

B e c k y C h a m b e r s

DALEKA  
DROGA  
DO MAŁEJ,  
GNIEWNEJ  
PLANETY



ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Becky Chambers

DALEKA  
DROGA  
DO MAŁEJ,  
GNIEWNEJ  
PLANETY

Przełożyła  
Agnieszka Sylwanowicz

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Becky Chambers  
Daleka droga do małej, gniewnej planety

Tytuł oryginału  
*The Long Way to a Small, Angry Planet*

ISBN 978-83-8116-217-3

Copyright © Becky Chambers 2014  
First published by Hodder & Stoughton, An Hachette UK Company  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2017

Redakcja  
Zofia Domańska

Projekt graficzny okładki  
[www.designpartners.pl](http://www.designpartners.pl)

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Dzień 128., 306 standard WG

Dzień 129., 306 standard WG

Dzień 130., 306 standard WG

Dzień 130., 306 standard WG

Dzień 130., 306 standard WG

Dzień 130., 306 standard WG

Dzień 131., 306 standard WG

Dni 132.-145., 306 standard WG

Dzień 163., 306 standard WG

Dzień 180., 306 standard WG

Dzień 245., 306 standard WG

Dzień 249., 306 standard WG

Dzień 251., 306 standard WG

Dzień 335., 306 standard WG

Dzień 397., 306 standard WG

Dzień 45., 307 standard WG

Dzień 121., 307 standard WG

Dzień 157., 307 standard WG

Dzień 157., 307 standard WG

Dzień 158., 307 standard WG

Dzień 158., 307 standard WG

Dzień 169., 307 standard WG

Dzień 214., 307 standard WG

2 lipca 2015

*Mojej rodzinie, z całym łęgiem i wszystkimi piórami*

Z ziemi się podnosimy;  
Na naszych statkach żyjemy;  
Z gwiazd czerpiemy nadzieję.

Przysłowie exodańskie

# Dzień 128., 306 standard WG

## Podróż

Kiedy obudziła się w kapsule, pamiętała trzy rzeczy. Po pierwsze, podróżowała w otwartej przestrzeni kosmicznej. Po drugie, miała zacząć nową pracę, której nie mogła spieprzyć. Po trzecie, przekupiła urzędnika rządowego, żeby dał jej nowy plik identyfikacyjny. Żadna z tych informacji nie była nowa, ale nie było miło się budzić, wiedząc to wszystko.

Nie miała jeszcze się budzić, nie miała się budzić przez co najmniej jeden dzień, ale tak się kończyło rezerwowanie taniego transportu. Tani transport oznaczał tanią kapsułę lecącą na tanim paliwie i tanie leki usypiające. Od startu kilka razy na krótko wracała jej świadomość — zdeorientowana wynurzała się na powierzchnię i zapadała pod nią w chwili, kiedy właśnie odzyskiwała władze umysłowe. W kapsule panowała ciemność, nie było też ekranów nawigacyjnych. Nie można było określić, ile czasu mijало między wybudzeniami ani jak daleko zaleciała, a nawet czy w ogóle leci. Na tę myśl z niepokoju robiło jej się niedobrze.

Wzrok poprawił jej się na tyle, że mogła go skupić na oknie. Żaluzje były opuszczone i blokowały ewentualne źródła światła. Wiedziała jednak, że nie ma żadnych źródeł światła. Znajdowała się w otwartej przestrzeni kosmicznej. Żadnych kipiących życiem planet, żadnych szlaków transportowych, żadnych mieniących się sztucznych satelitów. Tylko pustka, straszna pustka, w której znajdowała się ona sama i od czasu do czasu jakaś skała.

Silnik z jękiem przygotowywał się do kolejnego skoku podwarstwowego.



Leki wciągały ją w niespokojny sen. Tracąc świadomość, znowu myślała o pracy, kłamstwach, zadowolonej minie urzędnika, z jaką patrzył, jak przelewała kredyty na jego konto. Zastanawiała się, czy kwota była wystarczająca. Musiała taka być. Musiała. Za dużo zapłaciła już za błędy, których nie popełniła.

Zamknęła oczy. Zawładnęły nią leki. Kapsuła zapewne leciała dalej.

# Dzień 129., 306 standard WG

## Zażalenie

Życie w przestrzeni kosmicznej wcale nie oznaczało życia w ciszy. Gruntowcy się tego nie spodziewali. Wszyscy, którzy wychowali się na planecie, potrzebowali trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do trzasków i szumów statku, do wszechobecnego poczucia, że się mieszka w maszynie. Dla Ashby'ego jednak te odgłosy były tak zwyczajne jak bicie własnego serca. Po szumie filtra powietrza nad łóżkiem poznawał, że czas się budzić. Po znajomym grzechocie kamieni o zewnętrzny kadłub umiał ocenić, które są na tyle małe, że można je zignorować, a które oznaczają kłopoty. Po trzaskach zakłóceń w ansiblu był w stanie określić, jak daleko od niego znajduje się rozmówca. To były dźwięki życia astronauty, wyznaczniki odległości i stopnia narażenia na niebezpieczeństwo. Przypominały, jak kruche jest życie. Lecz dźwięki te oznaczały także bezpieczeństwo. Brak odgłosów świadczył, że powietrze już nie płynie, silniki już nie działają, a siatki sztugrawitacyjne już nie przyciągają stóp człowieka do podłogi. Cisza to cecha próżni na zewnątrz statku. Cisza to śmierć.

Były także inne dźwięki, dźwięki wydawane nie przez sam statek, lecz przez mieszkających w nim ludzi. Nawet w niekończących się korytarzach statków osadniczych słyszało się echo toczonych niedaleko rozmów, kroki na metalowych podłogach, głucho stukanie technika przeciskającego się między ścianami, żeby naprawić jakiś niewidzialny obwód. Statek Ashby'ego, „Wędrowiec”, był dość przestronny, lecz w porównaniu ze statkiem osadniczym, na którym się wychował, maleńki. Kiedy kupił „Wędrowca”

i wypełnił go załogą, nawet on musiał się przyzwyczać do ciasnoty. Lecz ciągle odgłosy pracy, śmiechu i kłótni otaczających go osób zaczęły dodawać mu otuchy. Przestrzeń kosmiczna była pusta i czasami nawet najbardziej doświadczony astronauta patrzył na upstrzoną gwiazdami nicość z pokorą i poczuciem grozy.

Ashby lubił te dźwięki. Dobrze było wiedzieć, że nigdy nie jest sam, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, czym się zajmował. Budowanie tuneli przestrzennych nie było szczególnie wspaniałym zajęciem. Korytarze międzyprzestrzenne przecinające Wspólną Galaktyczną były tak zwyczajne, że traktowano je jak coś oczywistego. Ashby wątpił, czy przeciętny osobnik poświęcał budowaniu tuneli więcej uwagi niż parze spodni czy gorącemu posiłkowi. Lecz jego praca wymagała, by on myślał o tunelach, i to intensywnie. Jeśli siedziało się i rozmyślało o nich zbyt długo, wyobrażało sobie, jak statek nurkuje w przestrzeni i wyskakuje z niej jak igła z nitką... Cóż, takie myśli sprawiały, że człowiek cieszył się z hałaśliwego towarzystwa.

Ashby siedział w swoim biurze i przy kubku meku czytał serwis wiadomości, lecz nagle wzdrygnął się, usłyszawszy pewien szczególny dźwięk. Kroki. Kroki Corbina. Pełne gniewu kroki Corbina zbliżające się do jego drzwi. Ashby westchnął, przełknął irytację i stał się kapitanem. Przybrał neutralny wyraz twarzy i nadstawił uszu. Rozmowa z Corbinem zawsze wymagała chwili przygotowania i sporego dystansu.

Artis Corbin był utalentowanym algologiem i kompletnym dupkiem. To pierwsze na statku dalekiego zasięgu takim jak „Wędrowiec” miało zasadnicze znaczenie. Zbrązowienie partii paliwa mogło sprawić, że zamiast przybyć do portu, statek dryfował w nieznane. Połowę jednego z dolnych pokładów „Wędrowca” zajmowały kadzie z algami, które potrzebowały kogoś, kto by obsesyjnie regulował zawartość obecnych w nich składników

odżywczych i zasolenie wody. Na tym polu brak towarzyskiej oglądy Corbina był jego atutem. On wolał zamykać się na cały dzień w komorze z algami i mamroczać nad odczytami, poszukiwać tego, co nazywał „warunkami optymalnymi”. Ashby’emu warunki zawsze wydawały się optymalne, ale jeśli chodziło o algi, nie zamierzał wchodzić Corbinowi w drogę. Od kiedy Ashby sprowadził go na pokład, koszty paliwa obniżyły się o dziesięć procent, a było bardzo niewielu algologów, którzy w ogóle chcieliby przyjąć posadę na statku budującym tunele. Algi potrafiły być dość kapryśne podczas krótkiej podróży, a utrzymywanie ich w zdrowiu podczas podróży dalekiego zasięgu wymagało skrupulatności, a także wytrzymałości. Corbin nie znosił ludzi, ale uwielbiał swoją pracę i był w niej cholernie dobry. W przekonaniu Ashby’ego to czyniło go nadzwyczaj cennym. Nadzwyczaj cennym utrapieniem.

Drzwi się okręciły i Corbin wpadł do środka jak burza. Czoło miał jak zwykle zroszone potem, a siwiejące włosy na jego skroniach sprawiały wrażenie przylizanych. Ze względu na ich pilota na „Wędrowcu” trzeba było utrzymywać ciepło, lecz Corbin od pierwszego dnia wyrażał dezaprobatę dla panującej tu temperatury. Jego ciało jakby z czystej złośliwości nie chciało się zaaklimatyzować nawet po wielu latach spędzonych na statku.

Corbin miał czerwone policzki, ale czy spowodował to jego nastrój, czy wysiłek wejścia po schodach, można się było tylko domyślać. Ashby nie mógł się przyzwyczaić do widoku tak czerwonych policzków. Większość żyjących ludzi wywodziła się z Floty Exodusu, która wypłynęła daleko poza zasięg ich rodzimego słońca. Wielu z nich, jak Ashby, urodziło się na tych samych statkach osadniczych, które należały do pierwotnych uchodźców z Ziemi. Jego gęste czarne kędziory i bursztynowa skóra stanowiły rezultat mieszania się ludzi na tych ogromnych statkach na przestrzeni pokoleń. Na ogół ludzie, bez względu na to, czy urodzili się w przestrzeni kosmicznej, czy

w koloniach, charakteryzowali się ponadnarodową exodańską mieszanką cech.

Natomiast Corbin niewątpliwie pochodził z Układu Słonecznego, chociaż ostatnie pokolenia ludzi z rodzimych planet zaczęły przypominać Exodan. Przy takiej mieszance genetycznej czasem pojawiały się tu i tam jaśniejsze odcienie, nawet we Flocie. Lecz Corbin był różowy. Jego przodkami byli naukowcy, wcześnie badacze, którzy umieścili na orbicie wokół Enceladusa pierwsze satelity badawcze. Tkwili tam przez całe stulecia i czuwali nad bakteriami prosperującymi w lodowatych morzach. Ponieważ Sol stanowił nikły krążek wielkości odciska kciuka nad Saturnem, badacze z każdą dekadą tracili coraz więcej pigmentu. Efektem był Corbin, różowy człowiek wyhodowany do żmudnej pracy w laboratorium i życia pod niebem pozbawionym słońca.

Corbin rzucił na biurko Ashby'ego swój notek. Cienka, prostokątna tabliczka przepłynęła przez podobny do mgły pikselowy ekran i wylądowała z trzaskiem przed Ashbym. Kapitan machnięciem ręki nakazał pikselom się rozproszyć. Nagłówki informacji unoszące się w powietrzu rozwiały się w kolorowe smużki, a piksele spłynęły jak roje maleńkich owadów do skrzynek projekcyjnych umieszczonych po obu stronach biurka. Ashby spojrział na notek i uniósł brwi.

— To chyba jakiś żart — odezwał się Corbin, kościstym palcem pokazując na notek.

— Niech się domyślę — powiedział Ashby. — Jenks znowu bawił się twoimi notatkami?

Corbin zmarszczył czoło i pokręcił głową. Ashby skupił wzrok na noteku, starając się nie roześmiać na wspomnienie ostatniego razu, kiedy Jenks włamał się do noteka Corbina i zastąpił staranne notatki algologa trzystoma sześćdziesięcioma dwoma różnymi fotograficznymi przedstawieniami

samego siebie nagiego jak w dniu narodzin. Ashby pomyślał wtedy, że to z Jenksem niosącym sztandar Wspólnoty Galaktycznej jest szczególnie dobre. Mimo wszystko miało w sobie pewną dramatyczną godność.

Ashby wziął notek, obracając go ekranem do góry.

Do: Kapitan Ashby Santoso („Wędrowiec”, licencja WG na budowanie tuneli nr 387-97456)

Dot.: Życiorys Rosemary Harper (certyfikat administracji WG nr 65-78-2)

Ashby rozpoznał ten plik. To był życiorys ich nowej urzędniczki, która miała przybyć następnego dnia. Prawdopodobnie otrzymała już środki usypiające na czas długiej podróży i została przypięta we wnętrzu ciasnej kapsuły.

— Dlaczego mi to pokazujesz? — zapytał.

— Ach, więc już to czytałeś — rzekł Corbin.

— Oczywiście. Dawno temu kazałem wam wszystkim przeczytać ten plik, żebyście ją chociaż trochę poznali przed jej przybyciem.

Ashby nie miał pojęcia, do czego zmierza Corbin, ale to była zwykła procedura działania Corbina. Najpierw zażalenie, potem wyjaśnienie.

Jego odpowiedź była łatwa do przewidzenia, zanim jeszcze otworzył usta.

— Nie miałem czasu. — Corbin miał zwyczaj ignorowania zadań, które nie miały źródła w jego laboratorium. — Co ty sobie, u diabła, myślisz, sprowadzając na pokład takie dziecko?

— Myślałem, że potrzebuję dyplomowanego urzędnika — odparł Ashby.

Polemizować nie mógł z tym nawet Corbin. W dokumentach Ashby’ego panował bałagan i chociaż statek do budowania tuneli w zasadzie nie potrzebował urzędnika, aby utrzymać licencję, to procesy rozstrzygane przed Komisją Transportu WG stanowiły wyraźną oznakę, że wiecznie spóźnione raporty Ashby’ego nie zyskiwały mu przychylności. Karmienie i opłacanie dodatkowego członka załogi stanowiło nie lada koszt, lecz po starannym rozważeniu sytuacji i lekkim nacisku ze strony Sissix Ashby poprosił

Komisję o przysłanie kogoś z uprawnieniami. Gdyby nie porzucił prób wykonywania dwóch prac naraz, jego firma mogłaby zacząć odczuwać bolesne tego skutki.

Corbin skrzyżował ręce na piersi i pociągnął nosem.

— Rozmawiałaś z nią?

— W zeszłym dziesięciodniu odbyliśmy rozmowę przez sib. Wydaje się w porządku.

— Wydaje się w porządku — powtórzył Corbin. — To krzepiące.

Następne słowa Ashby dobrał starannie. Przecież miał do czynienia z Corbinem. Królem semantyki.

— Komisja ją zatwierdziła. Ma pełne kwalifikacje.

— Komisja pali łomot. — Znowu dźgnął palcem powietrze nad notekiem. — Dziewczyna nie ma doświadczenia w rejsach dalekiego zasięgu. Na ile się zorientowałem, nigdy nie opuściła Marsa. Niedawno skończyła uniwersytet...

Ashby zaczął odliczać na palcach. On też mógł się w to bawić.

— Ma dyplom uprawniający do obróbki formularzy WG. Odbyła staż w naziemnej firmie transportowej, co wymagało od niej tych samych podstawowych umiejętności, jakich szukam u niej ja. Posługuje się płynnie hanto, co naprawdę mogłoby otworzyć przed nami parę drzwi. Ma list polecający od jej profesora stosunków międzygatunkowych. I, co najważniejsze, z tej krótkiej rozmowy, którą z nią przeprowadziłem, wynika, że jest to ktoś, z kim mógłbym pracować.

— Nigdy wcześniej tego nie robiła. Jesteśmy w środku otwartej przestrzeni kosmicznej w drodze do przebicia się na ślepo, a ty sprowadzasz nam na pokład dziecko.

— Ona nie jest dzieckiem, jest po prostu młoda. I każdy kiedyś dostaje pierwszą pracę, Corbinie. Nawet ty musiałeś gdzieś zacząć.

— Wiesz, jaka była moja pierwsza praca? Szorowanie szalek w laboratorium ojca. Mogłoby ją wykonywać tresowane zwierzę. Tak powinna wyglądać pierwsza praca, a nie... — Ze wzburzenia zaczął bełkotać. — Mogę ci przypomnieć, co tu robimy? Latamy i przebijamy w przestrzeni dziury, bardzo dosłowne dziury. To nie jest bezpieczna praca. Kizzy i Jenks i tak śmiertelnie mnie przerażają swoją nonszalancją, ale oni przynajmniej mają doświadczenie. Nie będę mógł wykonywać swojej pracy, jeśli cały czas będę się martwił, że jakiś niekompetentny żółtodziób wciśnie niewłaściwy guzik.

To był sygnał ostrzegawczy, transparent z napisem „w tych warunkach nie mogę pracować”, że Corbin zaraz odleci. Nadszedł czas ustawić go z powrotem na torach.

— Ona nie będzie wciskać żadnych guzików. Nie robi niczego bardziej skomplikowanego niż pisanie sprawozdań i wypełnianie formularzy.

— A także kontaktuje się ze strażnikami na granicach, patrolami planetarnymi i klientami, którzy spóźniają się z zapłatą. Nie wszyscy ludzie, z którymi musimy współpracować, są mili. Potrzebujemy kogoś, kto potrafi się postawić, kto potrafi usadzić jakiegoś karierowicza, który myśli, że zna przepisy lepiej od nas. Kogoś, kto potrafi odróżnić prawdziwy stempel bezpieczeństwa żywności od przemytniczej podróbki. Kogoś, kto naprawdę wie, jak tu wszystko funkcjonuje, a nie jakiejś absolwentki o tępym spojrzeniu, która zmoczy się za pierwszym razem, kiedy zatrzyma się obok nas queliński egzekutor.

Ashby odstawił kubek.

— A ja potrzebuję kogoś, kto będzie utrzymywał porządek w moich dokumentach — rzekł. — Potrzebuję kogoś, kto będzie umawiał nas na spotkania, pilnował, żebyśmy przed przekraczaniem granic otrzymywali wszystkie wymagane szczepionki i wykonywali skany, i kto uporządkuje



moje dokumenty finansowe. To skomplikowana praca, lecz nie trudna, jeśli nasza urzędniczka okaże się tak zorganizowana, jak przedstawia ją list polecający.

— Bardziej standardowego listu nie widziałem. Mogę się założyć, że ten profesor wysłał dokładnie taki sam list na prośbę wszystkich mięczaków, którzy miauczą mu pod drzwiami.

Ashby uniósł brew.

— Studiowała na uniwersytecie w Alexandrii, tym samym co ty.

Corbin prychnął drwiąco.

— Ja byłem na wydziale nauk przyrodniczych. To jest pewna różnica.

Ashby parsknął śmiechem.

— Sissix ma rację, Corbinie, ty naprawdę jesteś snobem.

— Sissix może iść do diabła.

— Zeszłego wieczoru słyszałem, że tak właśnie jej powiedziałeś. Słyszałem was z korytarza.

Któregoś dnia Corbin i Sissix pozabijają się nawzajem. Nigdy nie byli ze sobą w dobrych stosunkach i żadne z nich nie zamierzało szukać płaszczyzny porozumienia. Po tym gruncie Ashby musiał stąpać bardzo ostrożnie. Przyjaźnił się z Sissix jeszcze sprzed czasów „Wędrowca”, lecz od kiedy przyjął rolę kapitana, musiał traktować ich oboje tak samo jak członków załogi. Łagodzenie ich częstych utarczek wymagało delikatności. Na ogół starał się trzymać od nich z daleka.

— Czy w ogóle powinienem pytać?

Corbinowi drgnęły wargi.

— Zużyła resztkę moich dentbotów.

Ashby zamrugał.

— Przecież wiesz, że mamy w ładowni wielkie skrzynie pakietów z dentbotami.

— Nie z moimi dentbotami. Kupujesz te tanie partactwa, które drażnią dziąsła.

— Używam tych botów codziennie i moje dziąsła mają się świetnie.

— Mam wrażliwe dziąsła. Jeśli mi nie wierzysz, możesz poprosić Doktora Kucharza o moje dane dentystyczne. Muszę kupować własne boty.

Ashby miał nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradzał, jak niskie miejsce zajmuje ta jeremiada na jego liście priorytetów.

— Zdaję sobie sprawę, że jest to denerwujące, ale my tu mówimy o jednym pakiecie dentbotów.

Corbin był oburzony.

— One nie są tanie! Ona to zrobiła tylko po to, żeby mnie rozzłościć, ja to wiem. Jeśli ta samolubna jaszczurka nie może...

— Hej! — Ashby się wyprostował. — To nie jest w porządku. Nie chcę więcej słyszeć tego słowa z twoich ust.

Jeśli chodzi o obelgi rasowe, „jaszczurka” nie była najgorszą z nich, ale była dość paskudna.

Corbin zacisnął wargi, jakby nie chciał, by wyrwały mu się dalsze niezręczności.

— Przepraszam.

Ashby się zirytował, ale, szczerze mówiąc, to był idealny przebieg rozmowy z Corbinem. Odciągnąć go od załogi, pozwolić mu się wyładować, zaczekać, aż przekroczy jakąś granicę, i skarcić go, póki nie poczuje skruchy.

— Porozmawiam z Sissix, ale musisz być uprzejmiejszy. I nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś wściekły; na moim statku takiego języka się nie używa.

— Ja tylko straciłem panowanie nad sobą i tyle.

Corbin wyraźnie nadal był zły, ale nawet on wiedział, że nie należy kąsać ręki, która go karmi. Wiedział, że jest cenny, ale w ostatecznym rozrachunku

to Ashby wysyłał kredyty na jego konto. „Cenny” to nie to samo co „niezastąpiony”.

— Utrata panowania nad sobą to jedno, ale stanowisz część wielogatunkowej załogi i musisz mieć tego świadomość. Zwłaszcza wtedy, kiedy przyjmujemy na pokład nową osobę. A skoro już o tym mówimy, to przykro mi, że masz co do niej obawy, ale, szczerze mówiąc, to nie twój problem. Rosemary zaproponowała Komisja, lecz decyzja o zaangażowaniu jej należała do mnie. Jeśli okaże się, że popełniłem błąd, zatrudnimy kogoś innego. Do tego czasu wszyscy będziemy się trzymać zasady, że wątpliwości przemawiają na jej korzyść. Bez względu na to, co o niej sądzisz, spodziewam się, że serdecznie ją powitasz. Właściwie...

Po twarzy Ashby’ego rozlał się uśmiech.

Corbin spojrzał na niego nieufnie.

— Co?

Ashby odchylił się na oparcie fotela i splótł palce.

— Corbinie, chyba przypomniałem sobie, że nasza nowa urzędniczka przybędzie jutro około siedemnastej trzydzieści. Otóż mam umówionego siba z Yoshim punktualnie o siedemnastej, a wiesz, jak on uwielbia mówić. Wątpię, czy skończę, zanim Rosemary zadokuje, a będzie potrzebowała kogoś, kto ją oprowadzi.

— O, nie. — Corbin zrobił zboląłą minę. — Złeć to Kizzy. Ona uwielbia takie zadania.

— Kizzy ma pełne ręce roboty przy wymianie filtra powietrza przy ambulatorium i wątpię, czy skończy do jutra. Będzie jej pomagał Jenks, więc on też odpada.

— A więc Sissix.

— Sissix ma mnóstwo przygotowań przed jutrzejszym przebicciem. Zapewne nie będzie miała czasu. — Ashby uśmiechnął się szeroko. —

Jestem pewien, że będziesz wspaniałym przewodnikiem.

Corbin spojrzał złowrogo na swojego pracodawcę.

— Czasami jesteś strasznie upierdliwy, Ashby.

Ashby wziął do ręki kubek i wypił do dna.

— Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

# Dzień 130., 306 standard WG

## Przybycie

Rosemary wzięła ze ściennego automatu kubeczek z wodą i potarła nasadę nosa. Utrzymujące się jeszcze działanie środków usypiających przyprawiało ją o lekkie otumanienie, a środki pobudzające, które miały mu przeciwdziałać, jak dotąd tylko przyśpieszyły bicie serca. Jej ciało bardzo chciało się rozprostować, ale nie mogła rozpiąć upręży, gdy kapsuła znajdowała się w ruchu, a poza tym i tak nie było miejsca na nic więcej niż wstanie i wyjście. Rosemary z jękiem odchyliła głowę do tyłu. Od startu kapsuły minęły prawie trzy dni. Solarne dni, napomniała się. Nie standardowe. Powinna się przyzwyczaić do tego rozróżnienia. Dłuższe dni, dłuższe lata. Miała jednak ważniejsze sprawy na głowie niż różnice w kalendarzach. Była otępieła, głodna, zdrętwiała i nie pamiętała, by w ciągu wszystkich dwudziestu trzech lat życia — solarnych, nie standardowych — tak bardzo chciało jej się siusiać. Opryskliwy aeluon z obsługi portu kosmicznego powiedział, że środki usypiające stłumią tę potrzebę, ale nie wspomniał, jak się będzie czuła, gdy przestaną działać.

Rosemary wyobraziła sobie długie zażalenie, jakie mogłaby napisać po takiej podróży jej matka. Spróbowała wymyślić okoliczności, w których matka w ogóle wyruszyłaby w podróż kapsułą. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że matka pojawia się w publicznym porcie kosmicznym. Rosemary była zaskoczona, że sama się znalazła w takim miejscu. Obskurna poczekalnia, stęchłe zapachy algowej mazi i płynu do czyszczenia. Mimo kłębiących się wokół niej egzozszkieletów i macek to ona czuła się tam jak

obcy.

Właśnie ta menażeria rozumnych istot stojących razem z nią w kolejce po bilety uświadomiła jej, jak daleko znajduje się od Sol. Jej rodzimy świat był dość kosmopolityczny, lecz poza sporadycznie odwiedzającymi Marsa dyplomatami czy przedstawicielami korporacji nie widywało się tam wielu podróżnych niebędących ludźmi. Poddana terraformowaniu skała, zamieszkała przez jeden z najmniej wpływowych gatunków WG, nie stanowiła często wybieranego celu podróży. Profesor Selim ostrzegał ją, że studiowanie koncepcji leżących u podłoża stosunków międzygatunkowych bardzo się różni od znalezienia się wśród innych rozumnych istot i rozmawiania z nimi, lecz Rosemary zrozumiała go dopiero wtedy, gdy została otoczona przez niezgrabne bioskafandry i stopy, które nie potrzebują butów. Zdenerwowała się nawet, rozmawiając z harmagianinem, który stał za ladą kasy biletowej. Wiedziała, że jej hanto jest doskonały (a w każdym razie doskonały, jak na człowieka), lecz nie znajdowała się już w bezpiecznym, kontrolowanym środowisku uniwersyteckiego laboratorium językowego. Nikt nie będzie tu delikatnie poprawiał jej błędów ani wybaczał mimowolnych wykroczeń przeciwko konwenansom. Teraz nie miała w nikim oparcia i aby zachować kredyty na koncie oraz łóżko pod plecami, musiała wykonać pracę, której się podjęła dla kapitana Santoso.

Żadnej presji czy czegoś podobnego.

Nie po raz pierwszy poczuła w żołądku zimną pięść. Nigdy w życiu nie martwiła się o kredyty ani o dom. Lecz biorąc pod uwagę, że kończyły jej się oszczędności i że spaliła za sobą mosty, nie miała marginesu błędu. Ceną zaczynania wszystkiego od nowa był brak oparcia w kimkolwiek.

Proszę — pomyślała. — Proszę cię, nie spieprz tego.

— Zaczynamy podejście, Rosemary — zaświergotał komputer kapsuły. — Czy czegoś potrzebujesz, zanim zacznę procedury dokowania?

— Łazienki i kanapki — odparła.

— Przykro mi, Rosemary, miałam problem z przetworzeniem twoich słów. Mogłabyś powtórzyć swoją prośbę?

— Nie potrzebuję niczego.

— W porządku. Otworzę teraz zewnętrzne żaluzje. Może zechcesz zamknąć oczy, by przyzwyczaić się do ewentualnych zewnętrznych źródeł światła.

Kiedy żaluzje zaczęły się z terkotem otwierać, Rosemary posłusznie zamknęła oczy, lecz pod powiekami wciąż miała ciemno. Otworzyła oczy i stwierdziła, że jedynym znaczącym źródłem światła jest kapsuła. Tak jak się spodziewała, za oknem znajdowała się pusta przestrzeń kosmiczna i maleńkie gwiazdy. Była w otwartej przestrzeni kosmicznej.

Zastanawiała się, jak gruby jest kadłub kapsuły.

Kapsuła skręciła w górę. Rosemary musiała osłonić oczy przed nagłą powodzią światła wylewającego się z okien najbrzydszego statku, jaki widziała w życiu. Stanowił kanciastą bryłę, z której wybrzuszała się kopuła stercząca z jego górnej połowy jak wypaczony kręgosłup. Tego statku nie zaprojektowano dla wybrednych komercyjnych pasażerów. Nie było w nim nic eleganckiego ani porywającego. Był większy od transportowca, mniejszy od statku towarowego. Brak skrzydeł świadczył, że został zbudowany w przestrzeni kosmicznej, że nigdy nie wejdzie w żadną atmosferę. Pod spodem miał potężną, skomplikowaną maszynę — metaliczną, ostrą, z rzędami krawędzi podobnych do zębów skierowanych ku cienkiej, wydłużonej iglicy. Rosemary niewiele wiedziała o statkach, ale sądząc po niedobrych kolorach zewnętrznego kadłuba, chyba połączono ze sobą całe oddzielne sekcje, może nawet wzięto je z innych statków. Statek patchworkowy. Jedyną uspokajającą cechą jego wyglądu była solidność. To był statek, który mógłby przyjąć (i przyjął) kilka ciosów. Mimo że te, do

jakich była przyzwyczajona, wyglądały o wiele ładniej, świadomość, że między nią i całą tą pustą przestrzenią będzie znajdować się mocny, porządny kadłub, dodawała jej otuchy.

— „Wędrowiec”, kapsuła 36-A prosi o pozwolenie na dokowanie — odezwał się komputer.

— Kapsuła 36-A, tu „Wędrowiec” — odpowiedział damski głos z exodańskim akcentem. Rosemary zauważyła miękkość samogłosek, wymowę odrobinę zbyt wytworną. SI. — Proszę o potwierdzenie tożsamości pasażera.

— Przyjęłam. Przesyłam dane pasażera.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Potwierdzam, kapsuła 36-A. Możesz dokować.

Kapsuła zbliżała się do „Wędrowca” jak jakieś morskie zwierzę podpływające do matki, by się posilić jej mlekiem. Właz z tyłu kapsuły wsunął się do wgłębionej furty dokującej „Wędrowca”. Rosemary słyszała mechaniczne odgłosy zatraskiwania się uchwytów. Uszczelka rozciągnęła się z sykiem powietrza.

Drzwi wjazdu odsunęły się w górę. Rosemary wstała z jękiem. Miała wrażenie, że jej mięśnie lada chwila się rozerwą. Zdjęła z półki bagażowej worek marynarski i torbę na ramię i, kulejąc, ruszyła do wyjścia. Między kapsułą a „Wędrowcem” istniała niewielka różnica grawitacji, która sprawiła, że kiedy Rosemary przekraczała linię połączenia statków, poczuła ucisk w żołądku. Trwał on zaledwie kilka sekund, lecz w połączeniu z otumanieniem, rozedrganym pulsem i bolącym pęcherzem przeniósł Rosemary z poziomu niewygody na poziom niejasnego znękania. Miała nadzieję, że jej łóżko okaże się miękkie.

Weszła do niewielkiej komory odkażania, całkowicie pustej oprócz wysokiego do pasa stojaka ze świecącym żółtym panelem. Z voxu na ścianie



popłynął głos SI:

— Witaj! Jestem przekonana, kim jesteś, ale czy mogłabyś przesunąć nadgarstek z łątką nad panelem, żebym mogła się upewnić?

Rosemary podwinęła rękaw, odsłaniając opłotkę — plecioną bransoletkę chroniącą niewielką łątkę wpasowaną w skórę po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. Ten wytwór techniki wielkości paznokcia kciuka zawierał mnóstwo danych — jej plik identyfikacyjny, dane rachunku bankowego oraz interfejs medyczny wykorzystywany do komunikowania się z około pół miliona imubotów patrolujących jej krwiobieg. Jak wszyscy obywatele WG Rosemary otrzymała pierwszą łątkę w dzieciństwie (dla ludzi standardowym wiekiem było pięć lat), lecz obecna łątką miała zaledwie kilka dziesięciodni. Otaczający ją zrost był jeszcze błyszczący i wrażliwy. Nowa łątką kosztowała niemal połowę jej oszczędności, co wydawało się niebotyczną ceną, ale Rosemary nie bardzo mogła się targować.

Umieściła nadgarstek nad żółtym panelem. Pojawił się łagodny rozbłysk światła. Do środków pobudzających dołączyła adrenalina. A jeśli z łątką poszło coś nie tak i znalazł się w niej stary plik? A jeśli zobaczą jej nazwisko i dodadzą dwa do dwóch? Czy miałyby to znaczenie dla tych ludzi? Czy miałyby znaczenie, że nie zrobiła nic złego? Czy odwróciliby się od niej tak jak jej znajomi? Wsadziliby ją z powrotem do kapsuły i odesłali na Marsa, do nazwiska, którego nie chciała, i do bałaganu, którego nie...

Panel mrugnął przyjazną zielenią. Rosemary odetchnęła i skarciła się za nerwowość. Nowa łątką świetnie działała od chwili zainstalowania. Nie miała żadnych kłopotów z potwierdzaniem swojej tożsamości ani z dokonywaniem płatności na wszystkich przystankach po drodze. Było mało prawdopodobne, by skaner łątek na tym lichym statku budującym tunele wykrył jakieś rozbieżności niewykryte przez najnowocześniejsze skanery w portach kosmicznych. Była to jednak ostatnia przeszkoda. Teraz Rosemary mogła się

martwić tylko o to, czy potrafi dobrze wykonywać swoją pracę.

— A więc, Rosemary Harper, nazywam się Lovelace i służę jako interfejs komunikacyjny statku — odezwała się SI. — Pod tym względem mamy chyba podobne zadania, prawda? Ty kontaktujesz się z innymi w imieniu załogi. Ja się kontaktuję w imieniu statku.

— Pewnie tak — odparła Rosemary z lekkim wahaniem.

Nie miała zbyt dużego doświadczenia z rozumnymi SI. Te w domu były nijakie i ściśle użytkowe. Biblioteka uniwersytecka miała SI imieniem Wyrocznia, ale jej charakter był bardziej naukowy. Rosemary nigdy nie rozmawiała z SI tak ujmującą jak Lovelace.

— Mam cię nazywać Rosemary? — zapytała Lovelace. — Czy może masz jakieś przezwisko?

— Może być Rosemary.

— Świetnie, Rosemary. Jeśli chcesz, możesz mnie nazywać Lovey. Robią tak wszyscy inni. Dobrze jest wyjść z tej kapsuły, prawda?

— Nawet nie wiesz jak.

— To prawda. Ale ty z kolei nie wiesz, jak dobrze jest mieć na nowo skalibrowane banki pamięci.

Rosemary chwilę się nad tym zastanowiła.

— Masz rację, nie wiem.

— Muszę być z tobą szczerą. Gawędzę sobie z tobą tak długo dlatego, żebyś się nie nudziła podczas skanowania pod kątem skażeń. Jeden z członków naszej załogi ma szczególne wymagania zdrowotne i muszę przeprowadzać dokładniejsze skanowanie, niż wymagają tego niektóre statki. Niedługo skończę.

Rosemary nie miała wrażenia, że długo czeka, ale nie miała też pojęcia, co SI uważa za długi czas oczekiwania.

— Nie śpiesz się.

— Czy to cały twój bagaż?

— Tak.

W gruncie rzeczy Rosemary zabrała ze sobą wszystko, co posiadała (to znaczy wszystko, czego nie sprzedała). Wciąż się dziwiła, że zdołała to zmieścić w dwóch małych torbach. Po życiu spędzonym w ogromnym domu rodziców, pełnym mebli, bibelotów i rzadkich przedmiotów świadomość, że nie potrzebuje nic ponad to, co może wziąć ze sobą, dawała jej nadzwyczajne poczucie wolności.

— Jeśli umieścisz torby w tej windzie towarowej po twojej prawej stronie, to mogę je przenieść na górny pokład załogowy. Będziesz mogła je odebrać, kiedy tylko zechcesz się udać do swojego pokoju.

— Dzięki — odparła Rosemary.

Otworzyła obracające się na zawiasach metalowe drzwi w ścianie, umieściła torby w kabinie i zamknęła drzwi na zasuwkę. W ścianie rozległ się szum.

— W porządku, Rosemary, właśnie zakończyłam skanowanie. Przykro mi to mówić, ale masz w organizmie kilka wirusów z indeksu.

— Jakich wirusów?

Z przerażeniem pomyślała o brudnych poręczach i lepkich siedzeniach w porcie kosmicznym. Trzy dziesięciodnie od opuszczenia Marsa i już złapała jakąś obcą zarazę.

— Och, to nic takiego, co mogłoby mieć wpływ na ciebie, ale nie da sobie z nimi rady nasz nawigator. Zanim zejdziesz ze statku, nasz lekarz będzie musiał uaktualnić twoje imuboty. Na razie będę musiała zaaplikować ci błysk odkażający. Zgadzasz się?

Lovey nie bez powodu mówiła przeproszającym tonem. W błysku odkażającym było dobre tylko to, że trwa krótko.

— Dobrze — powiedziała Rosemary i zacisnęła zęby.

— Zaczekaj chwilkę. Błysk za trzy... dwa... jeden.

Pomieszczenie wypełniło się ostrym pomarańczowym światłem. Rosemary czuła, jak blask przechodzi przez nią. Jej pory, zęby, korzonki rzęs przeniknęło ostre zimno. Przez chwilę wiedziała, gdzie się znajdują jej wszystkie naczynia włosowate.

— Och, przepraszam — powiedziała Lovey, kiedy błysk się skończył. — Nie znoszę tego robić. Źle wyglądasz.

Rosemary odetchnęła, usiłując otrząsnąć się z kłujących dreszczy.

— To nie twoja wina — stwierdziła. — Już przedtem nie czułam się dobrze.

Przerwała, uświadomiwszy sobie, że usiłuje pocieszyć SI. To był niemądry pomysł, ale coś w zachowaniu Lovey sprawiało, że każda inna odpowiedź wydawała się niegrzeczna. Czy SI mogą się obrażać? Rosemary nie miała pojęcia.

— Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. Wiem, że jest w planach kolacja dla ciebie, ale na pewno zaraz potem będziesz mogła odpocząć. Trzymam cię tu już jednak zbyt długo. Możesz iść dalej. Pierwsza chciałabym powiedzieć: Witaj na pokładzie.

Vox wyłączył się. Rosemary przyłożyła dłoń do płytki na drzwiach wewnętrznej śluzy, które obróciły się, ukazując bladego mężczyznę ze skwaszoną miną. Kiedy postąpiła do przodu, zmienił swój wyraz twarzy. To był najbardziej nieszczery uśmiech, jaki widziała w życiu.

— Witaj na „Wędrowcu” — powiedział, wyciągając rękę. — Artis Corbin. Algolog.

— Miło mi pana poznać, panie Corbin. Jestem Rosemary Harper.

Uścisnęła jego dłoń. Była bezwładna i lepka. Rosemary puściła ją z przyjemnością.

— Wystarczy Corbin. — Odchrząknął. — Czy... Może...

Skinął głową w stronę przeciwległej ściany. Znajdowały się w niej drzwi z wymalowaną ludzką sylwetką, oznaczającą łazienkę.

Rosemary rzuciła się ku nim biegiem.

Wróciła po kilku minutach w lepszym nastroju. Serce wciąż biło jej nieregularnie, myśli jeszcze nie odzyskały jasności, resztki mrowienia po błysku wciąż czuła w zębach. Lecz wreszcie mogła skreślić z listy przynajmniej jedną z fizycznych dolegliwości.

— Kapsuły to najgorszy sposób podróżowania — stwierdził Corbin. — Latają na paliwie ze zmiotek. Wypadki tylko czekają, żeby się wydarzyć. Przepisy naprawdę powinny być lepsze. — Rosemary usiłowała wymyślić jakąś odpowiedź, ale zanim jej się to udało, Corbin powiedział: — Tędy.

Poszła za nim korytarzem.

„Wędrowiec” w środku nie był ani odrobinę bardziej wykwintny niż na zewnątrz, lecz źle dopasowane korytarze miały swego rodzaju wdzięk. W ścianach tkwiły w nieregularnych odstępach małe okna. Panele ścienne były przymocowane nitami i śrubami rozmaitych rozmiarów. Podobnie jak na zewnątrz ściany miały różne kolory — z jednej strony były miedzianobrazowe, z drugiej przypominały matowy mosiądz, a na dodatek to tu, to tam pojawiała się płyta w łagodnej szarości.

— Ciekawe wzornictwo — odezwała się Rosemary.

Corbin prychnął drwiąco.

— Jeśli przez „ciekawe” masz na myśli, że wygląda jak narzuta mojej babci, to tak. „Wędrowiec” jest starym statkiem. Jak większość statków budujących tunele. Kapitanowie, którzy ulepszają stare statki, zamiast kupować nowe, otrzymują premie. Ashby w pełni to wykorzystał. Pierwotny statek ma jakieś trzydzieści pięć standardów. Został zbudowany tak, by długo wytrzymał, lecz bez uwzględniania wygody załogi. Ashby dodał większe pomieszczenia dla załogi i przechowywania materiałów, wodne prysznice,

tego typu rzeczy. Oczywiście wszystko z odzysku. Nie ma pieniędzy, żeby wyposażyć statek w cały ten ekwipunek od zera.

Rosemary z ulgą przyjęła wzmiankę o ulepszonych warunkach życia. Przygotowywała się na możliwość maleńkich pryczy i pryszniców z sanipyłem.

— Zakładam, że Lovey też została dodana później?

— Tak. Kupił ją Ashby, ale to ulubienica Jenksa. — Corbin ciągnął bez wyjaśnień. Skinął głową w stronę ściany. — W każdym pomieszczeniu i na głównych skrzyżowaniach są voxy. Lovey może słyszeć twoje prośby i przekazywać wiadomości w twoim imieniu bez względu na to, gdzie się znajdujesz. Słyszać je w całym statku, więc uważaj na to, co mówisz. Voxy to narzędzia, nie zabawki. Wszędzie na statku są też gaśnice. Kizzy może ci przesłać plan ich rozmieszczenia. Szafki z egzokafandrami są przy włązie dokowania, na pokładzie załogowym i w ładowni. Na wszystkich pokładach są kapsuły ratunkowe. Mamy także prom, do którego można się dostać przez ładownię. Jeśli zobaczysz, że zapalają się te panele awaryjne na ścianach, kieruj się do skafandra, kapsuły albo do promu, co będzie najbliżej. — Korytarz przed nimi rozdzielił się na dwie odnogi. Corbin wskazał lewą. — Tam jest ambulatorium. Nie najnowocześniejsze, ale wystarczy, by utrzymać pacjenta przy życiu, zanim dotrzemy do jakiegoś portu.

— Rozumiem.

Rosemary starała się nie nadawać zbyt wielkiej wagi temu, że Corbin wspominał tylko o tym, co dotyczy awarii albo obrażeń.

Ze skrzyżowania przed nimi dochodziły głośnie, wesołe głosy. Coś upadło z brzękiem na podłogę. Potem dała się słyszeć krótka kłótnia, a następnie śmiech. Corbin zmrużył oczy, jakby chciał odpędzić ból głowy.

— Chyba za chwilę poznasz naszych techników — powiedział.

Skreśli za róg i zobaczyli na podłodze kłębowisko przewodów i kabli. Nie

było w nich ładu ani składu, a przynajmniej Rosemary go nie dostrzegła. Z otwartego panelu ściennego wylewały się jak wnętrzości rurki z algami. W ścianie pracowały dwie osoby, mężczyzna i kobieta gatunku ludzkiego — a może nie? Nie było wątpliwości co do kobiety, która miała około trzydziestki. Czarne włosy związała postrzępioną, wyblakłą wstążką w przekrzywiony kok. Miała na sobie pomarańczowy kombinezon umazany smarem i jakąś mazią, z jaskrawymi łatami na łokciach przyszytymi dużym ścięciem. Na rękawach miała pośpiesznie sporządzone ręcznie notatki, jak: SPRAWDZIĆ 32-B — STARE PRZEWODY? NIE ZAPOMNIJ O FILTRACH POWIETRZA KRETYNKO i ZJEDZ. Na jej płaskim nosie tkwił zestaw dziwnych soczewek. Zamiast jednej soczewki na oko było w nim około pół tuzina końcówek optycznych przyspawanych do podpórek na zawiasach. Niektóre były wypukłe i powiększały, inne błyskały małymi cyfrowymi wyświetlaczami. Wyglądały na ręczną robotę. Jeśli chodzi o samą kobietę, to jej oliwkowa skóra wyglądała na często wystawianą na naturalne promienie słoneczne, lecz niczym niewyróżniające się rysy twarzy były niezaprzeczalnie exodańskie. Rosemary pomyślała, że kobieta prawdopodobnie dorastała w pozasolarnej kolonii — „z dala od słońca”, jak mawiało się na Marsie.

Za to mężczyzny nie udało jej się tak łatwo sklasyfikować, chociaż pod wieloma względami sprawiał wrażenie człowieka. Miał znajomo wyglądające mieszane rysy twarzy, kształt ciała, kończyny i palce. Miedziane zabarwienie jego skóry było nawet dość podobne do barwy jej skóry, chociaż o kilka odcieni ciemniejsze. Lecz mimo że jego głowa miała przeciętne rozmiary, cała reszta wyglądała tak, jakby należała do dziecka. Miał krępa budowę, jakby jego kończyny się nie wydłużyły, a tylko wypełniły. Był tak mały, że mieścił się na ramionach kobiety, na których właśnie stał. Jakby jego wygląd fizyczny nie był dość interesujący, mężczyzna zadał sobie wiele trudu, by się

przyozdobić. Boki głowy ogolił, a na jej czubku chwiała się kępka kędziorów. Uszy miał przekłute w tak wielu miejscach, że wyglądały jak gwiazdozbiory, a ręce były pokryte kolorowymi tatuażami. Rosemary z całej siły starała się na niego nie gapić. Doszła do wniosku, że jest człowiekiem, ale genetycznie podrasowanym. Nie umiała znaleźć innego wyjaśnienia. Tylko dlaczego ktoś miałby tak bardzo się starać, by uczynić się małym?

Kobieta podniosła wzrok znad swojej pracy.

— Och, hura! — powiedziała. — Jenks, złaż ze mnie, musimy się poudzielać towarzysko.

Mały mężczyzna, który obsługiwał w ścianie jakieś hałaśliwe narzędzie, odwrócił głowę i przesunął w górę okulary ochronne.

— Aha — powiedział i zszedł na dół. — Zbliży się nowicjuszka.

Zanim Rosemary zdołała wyrazić swoje zdanie w tej sprawie, kobieta wstała, zdjęła rękawice i mocno ją przytuliła.

— Witaj w domu. — Cofnęła się z zaraźliwym uśmiechem na twarzy. — Jestem Kizzy Shao. Mechtech.

— Rosemary Harper. — Starła się nie robić zbyt zaskoczonyj miny. — Dziękuję.

Kizzy uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Och, masz przepiękny akcent. Wy, Marsjanie, mówicie tak gładko.

— A ja to komptech — odezwał się mężczyzna, wycierając szmatą maż z dłoni. — Jenks.

— To twoje imię czy nazwisko? — zapytała Rosemary.

Jenks wzruszył ramionami.

— Wszystko jedno. — Wyciągnął do Rosemary rękę. Nawet mimo małej dłoni miał uścisk lepszy niż Corbin. — Miło mi cię poznać.

— Mnie też miło poznać pana, panie Jenks.

— „Panie Jenks”! Podoba mi się to. — Odwrócił głowę. — Hej, Lovey,



przełącz mnie do wszystkich. — Włączył się pobliski vox. — Uwaga, wszyscy — powiedział Jenks napszonym tonem. — Zgodnie z przykładem danym przez naszą urzędniczkę od tej pory będę reagował tylko na mój pełny tytuł, czyli „pan Jenks”. To wszystko.

Corbin przechylił się do Rosemary i powiedział ściszym głosem:

— Voxy nie do tego służą.

— Dobrą miałaś podróż? — zapytała Kizzy.

— Miewałam lepsze — odparła Rosemary. — Chociaż znalazłam się tu w jednym kawałku, więc chyba nie mogę narzekać.

— Narzekaj do woli — powiedział Jenks. Wyjął z kieszeni sfatygowaną metalową puszkę. — Kapsuły to główniany środek transportu. Wiem, że to jedyny sposób, żeby szybko się tu dostać, ale one są niebezpieczne jak diabli. Trzęsie cię po środkach pobudzających? — Rosemary skinęła głową. — No tak, wierz mi, że poczujesz się lepiej, jak coś zjesz.

— Byłaś już w swoim pokoju? — zapytała Kizzy. — Uszyłam zasłony, ale jeśli nie podoba ci się materiał, to powiedz, a zaraz je zdejmę.

— Jeszcze tam nie byłam — odparła Rosemary. — Ale cały czas podziwiam twoje rękodzieło. Na pewno niełatwo jest ulepszać stary model.

Twarz Kizzy rozjaśniła się jak świekulka.

— Nie, ale widzisz, w tym cała zabawa! To jak układanka: wymyślanie, z jakimi obwodami dogadają się te stare, dodawanie czegoś nowego, żeby było przytulniej, uaktualnianie wiedzy na temat wszystkich sekretów starego szkieletu, żebyśmy nie wybuchli. — Westchnęła z zadowoleniem. — To najlepsza robota na świecie. Widziałaś już Akwarium?

— Słucham, co takiego?

— Akwarium. — Kizzy się rozpromieniła. — Tylko zaczekaj. Jest najlepsze.

Czujny wzrok Corbina padł na komptecha.

— Jenks, chyba żartujesz!

Metalową puszkę Jenksa wypełniało zioło. Upchnął porządną szczyptę do niedużej wygiętej fajki i teraz zapalał je spawarką.

— Co? — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Wciągnął do fajeczki powietrze; porwane włókna zaczęły się tlić i dymić. Rosemary poczuła delikatny zapach palonego cynamonu i popiołu. Pomyślała o ojcu, który zawsze palił to przy pracy. Odsunęła od siebie niechciane wspomnienie o rodzinie.

Corbin zakrył sobie nos i usta ręką.

— Jeśli chcesz napełniać płuca toksynami, to świetnie, ale rób to u siebie.

— Uspokój się — powiedział Jenks. — To jest ta podrasowana odmiana, którą wyhodowali larowie. Niech im dobrze służą te ich serca z ośmioma zastawkami. Sama łagodność świeżego zioła bez krzty toksyn. Zdrowe w stu procentach. No, w każdym razie nie niezdrowe. Powinieneś go spróbować, polepszyłby ci nastrój.

Wydmuchnął kłęb dymu w stronę Corbina.

Algolog zrobił zaciętą minę, ale chyba nie chciał drążyć tematu. Rosemary odniosła wrażenie, że mimo jego całego gadania o zasadach tak naprawdę nie ma nad technikami żadnej władzy.

— Czy Ashby wie o tym bałaganie? — zapytał, pokazując na podłogę.

— Spokojnie, zrędo — powiedziała Kizzy. — Do kolacji wszystko będzie naprawione i posprzątane.

— Kolacja jest za pół godziny — stwierdził Corbin.

Kizzy złapała się za głowę i dramatycznie skrzywiła.

— O, nie! Poważnie? Myślałam, że kolacja jest o osiemnastej!

— Jest siedemnasta trzydzieści.

— Kurde! — powiedziała Kizzy i zanurkowała w ścianę. — Pogadamy później, Rosemary, mam robotę. Jenks, na moje ramiona, brachu, a żywo!

— Raz-raz — rzekł Jenks, włożył fajkę między zęby i wszedł Kizzy na ramiona.

Corbin ruszył korytarzem bez słowa.

— Miło było cię poznać — powiedziała Rosemary i pośpieszyła za nim.

— Ciebie też! — odkrzyknęła Kizzy. — Cholera, Jenks! Nasypałeś mi popiołu do ust!

Rozległ się odgłos splunięcia i śmiech dwóch osób.

— To cud, że wszyscy jeszcze żyjemy — powiedział Corbin w powietrze.

Rosemary doszła do wniosku, że prowadzenie towarzyskich rozmów nie jest jego mocną stroną. Mimo że cisza była niezręczna, uznała, iż najlepiej będzie jej nie przerywać.

Korytarz zakręcał do wewnątrz i łączył się z przeciwną stroną statku. W środkowym punkcie łuku znajdowały się drzwi.

— To jest sterownia — objaśnił Corin. — Przyrządy służące do nawigacji i budowania tuneli. Dla ciebie pomieszczenie niezbyt przydatne.

— Ale czy mogę je obejrzeć? Żeby się zorientować w układzie statku?

Corbin zawahał się.

— Prawdopodobnie pracuje tam teraz nasza pilot. Nie powinniśmy przeszkadzać...

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich aandriska.

— Wydawało mi się, że słyszę nowy głos! — powiedziała.

Głoski wymawiała nieco chropawo, ale to była najwyraźniejsza wymowa, jaką Rosemary słyszała u jej gatunku. Co prawda nie miała wielkiego doświadczenia z aandriskami. Należąc do jednego z trzech gatunków założycielskich Wspólnoty Galaktycznej, stanowili znajomy widok w całej galaktyce. A przynajmniej tak mówiono. Stojąca przed nią aandriska była pierwszą przedstawicielką tego gatunku, z jaką rozmawiała bezpośrednio. Usiłowała sobie gwałtownie przypomnieć wszystko, co wiedziała o kulturze

aandrisków. *Skomplikowane struktury rodzinne. Właściwie żadnego pojęcia przestrzeni osobistej. Fizycznie serdeczni. Rozwiązli.* Skarciła się za to w myślach. To był stereotyp, który znał każdy człowiek, czy tego chciał, czy nie, i zalatywał etnocentryzmem. *Nie łączą się w pary jak my, zbeształa się Rosemary. U nich to nie to samo.* Gdzieś w jej głowie profesor Selim patrzył na nią spod zmarszczonych brwi. Wyobraziła sobie, jak mówi do niej: *Już sam fakt, że określenia „z zimną krwią” używamy jako synonimu „bezlitośnie”, powinien powiedzieć ci o wrodzonym uprzedzeniu, jaki my, naczelne, żywimy wobec gadów. Nie oceniaj innych gatunków według swoich własnych norm społecznych.*

Zdecydowana przynieść chlubę swojemu profesorowi, Rosemary przygotowała się na aandriskie ocieranie policzkami, o którym tyle słyszała, albo może na nieoczekiwany uścisk ramion. Bez względu na to, jak ta osoba chciała ją powitać, zamierzała się temu poddać. Teraz stanowiła część wielogatunkowej załogi i zamierzała, do cholery, zachowywać się z wdziękiem.

Lecz ku rozczarowaniu Rosemary aandriska tylko wyciągnęła do niej jedną z zakończonych szponami rąk, by ucisnąć jej dłoń.

— Ty pewnie jesteś Rosemary — powiedziała ciepło. — Ja jestem Sissix.

Rosemary objęła palcami pokrytą łuskami dłoń Sissix najlepiej, jak umiała. Ich dłonie nie pasowały do siebie, ale żadna z nich starała się tego nie okazać. Sissix była zbyt obca, by Rosemary określiła ją jako piękną; była uderzająca. Tak, to było lepsze słowo. Była o głowę wyższa od Rosemary i miała gibkie, smukłe ciało. Od czubka głowy do czubka ogona pokrywały je łuski w kolorze nasyconej zieleni, na brzuchu nieco bledsze. Miała gładką twarz, właściwie bez nosa, warg i uszu, tylko z otworami do oddychania, słyszenia i niewielką szczeliną w charakterze ust. Głowę wieńczyła wielobarwna strzecha piór jak krótka odświętna grzywa. Pierś miała płaską jak

u mężczyzny gatunku ludzkiego, lecz kontrast między jej szczupłą talią a muskularnymi, jaszczurzymi udami dawał złudzenie damskich bioder (choć Rosemary wiedziała, że to wrażenie także bierze się z kulturowego uprzedzenia; aandriskowie byli zbudowani dokładnie tak samo jak aandriski, ale byli mniejsi). Nogi miała lekko ugięte, jakby była gotowa do skoku, a palce u rąk i nóg kończyły się grubymi, tępyimi szponami. Każdy z nich był pomalowany w złote zawijasy i wyglądał na opiłowany. Sissix miała na sobie luźne, opadające spodnie i kamizelkę zapiętą na jeden guzik. Rosemary przypomniała sobie słowa profesora Selima, że aandriskowie noszą ubrania tylko dlatego, żeby przedstawiciele innych gatunków nie czuli się skrępowani. Biorąc pod uwagę ubranie, akcent i uścisk dłoni, nabrała wrażenia, że Sissix od dawna przebywa między ludźmi.

W drzwiach sterowni pojawiła się nie tylko Sissix. Wionęło za nią gorące, suche powietrze. Rosemary czuła jego fale wypływające z pomieszczenia. Nawet przy drzwiach było duszące.

Corbin zmrużył oczy.

— Wiesz, że jeśli panele interfejsu stają się za gorące, to zaczynają się wypaczać.

Sissix błysnęła żółtymi oczami w stronę bladego człowieka.

— Dziękuję, Corbinie. Mieszkam na statkach tylko przez całe dorosłe życie, więc nie mam pojęcia, jak bezpiecznie ustawiać wewnętrzną temperaturę.

— Moim zdaniem na tym statku jest wystarczająco gorąco.

— Gdyby pracował tam ze mną ktoś jeszcze, obniżyłabym temperaturę. Tak szczerze, to w czym problem?

— Problem, Sissix, w tym, że...

— Przestań. — Sissix uniosła dłoń i przeniosła wzrok z Corbina na Rosemary i z powrotem. — Dlaczego oprowadzasz ją ty?

Corbin zacisnął zęby.

— Poprosił mnie o to Ashby. To żaden kłopot.

Powiedział to wymijającym tonem, ale Rosemary słyszała w nim tę samą nieszczerłość, która gościła na jego twarzy, kiedy wyszła ze śluzy. W jej żołądku znowu pojawiła się ta zimna pięść. Dziesięć minut na statku i już ktoś jej nie lubi. Fantastycznie.

— Jasne — rzekła Sissix. Zmrużyła oczy, jakby usiłowała coś zrozumieć.

— Jeśli masz coś innego do roboty, z przyjemnością przejmę zadanie przewodnika.

Corbin zacisnął usta.

— Nie chcę być niegrzeczny, Rosemary, ale rzeczywiście muszę zrobić badania zasolenia, które powinny zostać zaczęte raczej wcześniej niż później.

— Świetnie! — powiedziała Sissix i położyła Rosemary rękę na ramieniu.

— Dobrej zabawy z algami!

— Miło było cię poznać — rzekła Rosemary, idąc obok Sissix.

Corbin już zniknął w głębi korytarza. Cała ta rozmowa była dziwaczna, ale Rosemary cieszyła się z chyba bardziej przyjaznego towarzystwa. Z całej siły starała się nie przyglądać, jak wyginają się nagie stopy Sissix i podskakują pióra. W jej ruchach fascynujące było wszystko.

— Rosemary, chciałabym cię przeprosić w imieniu załogi „Wędrowca”. Pojawienie się w nowym domu zasługuje na lepsze powitanie niż to, co może zaproponować Artis Corbin. Na pewno wiesz już wszystko o kapsułach ratunkowych, a nic o tym, kim jesteśmy i co robimy.

Rosemary roześmiała się mimowolnie.

— Skąd wiesz?

— Bo muszę mieszkać z tym człowiekiem — odparła Sissix. — Tak jak ty. Na szczęście będziesz też mieszkać z resztą z nas, a moim zdaniem jesteśmy dość sympatyczni. — Zatrzymała się przy metalowych schodkach,

które przebijały i sufit, i podłogę. — Widziałaś już swój pokój?

— Nie.

Sissix przewróciła oczami.

— Chodź — powiedziała i ruszyła w górę po schodach, bardzo uważając, by nie zahaczyć ogonem o twarz Rosemary. — Na nowym statku zawsze się czuję lepiej, kiedy wiem, gdzie mam swoje miejsce.

Aandriska miała rację. Okazało się, że miejsce Rosemary to pokój w kącie najwyższego pokładu. Jedynym meblem był kanciasty moduł wbudowany w przeciwległą ścianę i zawierający szuflady, maleńką szafę i kącik, w którym mieściła się koja. Oszczędny wystrój pokoju łagodziło kilka ludzkich (albo raczej rozumnych) akcentów. Koję pokrywał puszysty koc i sterta kolorowych poduszek, co zmieniało spartańską półkę w przytulne gniazdko. Zasłony, o których wspomniała Kizzy, zostały uszyte z materiału w kwiaty — nie, nie w kwiaty, tylko w meduzy. Wzór był zbyt krzykliwy, jak na gust Rosemary, ale dziewczyna była pewna, że się do niego przyzwyczai. Na przyległej ścianie wisiała hydroponiczna żardyniera, z której zwisały liście w kształcie łez. Obok niej znajdowało się lustro z przymocowaną kartką z wydrukowanym napisem: WITAJ W DOMU! To była najmniejsza, najprostsza, najskromniejsza przestrzeń życiowa, jaką widziała Rosemary (wliczając w to obskurne hotele w portach kosmicznych). Mimo to była idealna. Nie potrafiłaby wymyślić sobie lepszego miejsca, gdzie mogłaby zacząć wszystko od nowa.

# Dzień 130., 306 standard WG

## Cynk

Yoshi niepotrzebnie się rozwodził w rozmowie przez sib, ale Ashby zmusił się do uśmiechu. Nie przepadał za tym urzędnikiem. Właściwie nic do niego nie miał, ale, na gwiazdy, Yoshi mógł gadać całymi dniami. Przede wszystkim zgłoszenie się do Komisji Transportu było częścią formalnością, ustnym potwierdzeniem, że Ashby nie będzie się przebijał przez żadną przestrzeń, która nie należy do niego. Akurat on doskonale rozumiał potrzebę starannego dokonywania pomiarów, lecz Yoshiemu zawsze udawało się zmienić to, co powinno być prostą kwestią kwitowaną słowami „Dostałeś plan lotu? Świetnie, zatem szczęśliwej podróży”, w godzinną rozmowę.

Piksele ukazujące Yoshiego lekko migotały, co świadczyło o zanikaniu sygnału. Podciągnął długie rękawy i zamieszał swój mek — zimny, jak zauważył Ashby, na harmagiańską modłę. Powstrzymał się przed przewróceniem oczami na tę starannie przygotowaną szaradę. Zimny mek, aeluoński krój ubrania, wyćwiczony centralny akcent, w którym, jeśli się wiedziało, czego się szuka, wciąż można się było dosłuchać marsjańskiej intonacji. Poza biurokraty usiłującego udawać, że ma takie samo znaczenie jak otaczający go przedstawiciele potężnych gatunków. Ashby nie wstydził się swojego dziedzictwa — wręcz przeciwnie — i widok człowieka mającego wygórowane mniemanie o sobie irytował go.

— Ale dosyć o mnie — rzekł Yoshi ze śmiechem. — Co na pokładzie „Wędrowca”? Z twoją załogą wszystko dobrze?

— Tak, wszyscy czujemy się dobrze — odparł Ashby. — I od dzisiaj



mamy nowego członka.

— Tak, tak, nową urzędniczkę! Zamierzałem cię o nią zapytać. Wdraża się?

— Jeszcze jej nie poznałem. Niedawno słyszałem, jak dokuje jej kapsuła.

— A zatem nie będę cię zatrzymywał. Wiesz co, Ashby, przyjęcie urzędnika dodaje ci kilka punktów u Komisji. Zawsze byłeś niezawodny w kwestii budowania tuneli, ale to pokazuje, że jesteś także zdecydowany utrzymywać nasze standardy administracyjne. To dobre posunięcie z twojej strony.

— Tak naprawdę praktyczne. Potrzebuję pomocy.

Yoshi odchylił się na oparcie fotela; kiedy oddalał się od kamery, obraz jego twarzy się rozmazywał.

— Od długiego czasu wykonujesz prace trzeciego poziomu. Zastanawiałeś się kiedyś nad wejściem na poziom wyższy?

Ashby uniósł brwi. Yoshi był pozerem, ale znał się na swojej robocie. Wiedział, że „Wędrowiec” nie ma sprzętu do prac na wysokim poziomie.

— Jasne, ale nie mamy odpowiedniego wyposażenia — rzekł Ashby.

Nie było go na to stać. Jego statek był przystosowany do budowy szlaków transportowych przeznaczonych dla pojedynczych statków — głównie przeskoków między koloniami. Na tunelach dla konwojów towarowych można było zarobić mnóstwo pieniędzy, ale do zbudowania stabilnej trasy tej wielkości potrzebny był poważny sprzęt. Ashby nie znał żadnego statku będącego własnością człowieka, który wykonywałby tego rodzaju pracę.

— Owszem, ale to nie znaczy, że powinieneś się ograniczać — powiedział Yoshi. Z przebiegłym uśmiechem obejrzał się przez ramię. Ashby znowu powstrzymał się przed przewróceniem oczami. O ile wiedział, Yoshi znajdował się sam w zamkniętym pokoju. — Po prostu wyglądaj interesującej pracy. W twoim zwykłym zakresie, ale... no, nieco odmienniej.

Ashby pochylił się lekko do przodu. Trudno było zaufać słowom człowieka, który zmuszał się do języczkowej wymowy „r” w harmagiańskim stylu, mimo to nie zamierzał lekceważyć rady kogoś, kto zasiada w biurze parlamentu.

— Jakiej pracy?

— Nie jestem w stanie powiedzieć, jakiej dokładnie. Powiedzmy, że byłaby to miła odmiana od tego, do czego jesteś przyzwyczajony. — Yoshi spojrział Ashby’emu w oczy. — Coś takiego mogłoby cię pchnąć w górę.

Ashby uśmiechnął się, jak miał nadzieję, przyjemnie.

— To trochę niejasne.

Yoshi uśmiechnął się z wyższością.

— Śledzisz wiadomości?

— Codziennie.

— Pamiętaj, by robić to przez, powiedzmy, następne pięć dni. Teraz się o to nie martw. Zajmij się swoją urzędniczką, jutro się przebij, a potem... Potem zobaczysz. — Napił się ze znaczącą miną swojego zimnego napoju. — Zaufaj mi. Będziesz wiedział, która to wiadomość.

# Dzień 130., 306 standard WG

## Budowniczy tuneli

Odstawiwszy swój bagaż (Sissix pochwaliła dwie torby: „Mały bagaż pozwala oszczędzić paliwo”), Rosemary wróciła za swoją przewodniczką schodami na dół. Jej uwagę zwróciło coś, czego nie zauważyła po drodze na górę. Każdy ażurowy metalowy stopień był starannie przykryty grubym kawałkiem wykładziny.

— Po co to? — zapytała.

— Hmm? A, to dla mnie. Żeby moje szpony nie zahaczały o kratkę.

Rosemary się wzdrygnęła.

— Okropne.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo. Kilka lat temu, zanim Kizzy rozłożyła te chodniki, odłamałam sobie szpon. Darłam się jak świeżo wykluta. — Zeszła na kolejny pokład i pokazała skinieniem głowy na jedne z drzwi. — Tam jest pomieszczenie rekreacyjne. Przyrządy do ćwiczeń, centrum gier, wygodne kanapy, wszystko, co trzeba. Centrum ma kilka dobrych symulatorów gier na świeżym powietrzu, do których można się podłączyć. Każdy ma ich codziennie używać przez przynajmniej pół godziny. W teorii. Łatwo o tym zapomnieć, ale to naprawdę jest zdrowe. Podczas długiej podróży to — postukała Rosemary w czubek głowy — musi być najważniejszą rzeczą, o którą się troszczysz.

Rosemary zatrzymała się.

— Czy mi się wydaje, czy w tym korytarzu robi się ciemniej?

Sissix zachichotała.

— Ty naprawdę nie mieszkałaś w otwartej przestrzeni kosmicznej, co? — powiedziała z życzliwością w głosie. — Oświetlenie w korytarzach i przestrzeniach wspólnych rozjaśnia się i ściemnia w miarę upływu dnia. To, co teraz widzisz, to zachód słońca albo jego przybliżenie. W poszczególnych pomieszczeniach można zapalać lampy do pracy, jeśli potrzebuje się więcej światła, ale utrzymywanie nastrojowego oświetlenia na statku pomaga nam zachować pewien rytm.

— Macie tu standardowe dni, tak?

Sissix skinęła głową.

— Standardowe dni, standardowy kalendarz. Ty nadal stosujesz się do czasu solarnego?

— Tak.

— Przez pierwszy dziesięciodzień daj sobie luz. Przystawianie się na nowy rytm dnia może być naprawdę wyczerpujące. Ale, szczerze mówiąc, jeśli tylko będziesz wykonywać swoją pracę i wiedzieć, jaki jest dzień, twój rytm dobowy nie będzie miał znaczenia. Wszyscy wstajemy o różnych porach i mamy różny czas pracy. Zwłaszcza Ohan. Prowadzą nocny tryb życia.

Rosemary nie wiedziała, kim jest Ohan ani co Sissix miała na myśli, używając liczby mnogiej, ale zanim zdążyła zapytać, Sissix uśmiechnęła się do znajdujących się przed nimi drzwi.

— Wpuszczę cię przed sobą.

Na ścianie obok drzwi znajdowała się ręcznie wymalowana nazwa: Akwarium. Jaskrawe litery były otoczone uśmiechniętymi planetami i wesołymi kwiatami. Chociaż Rosemary jeszcze nie знаła statku, podejrzewała, że wywieszka jest dziełem Kizzy.

Otworzyła drzwi i wstrzymała oddech. Stała na progu szerokiego, sklepionego pomieszczenia skonstruowanego z zazębiających się tafli plexu. Było to okno, ogromne okno w formie pęcherza z rozlewającą się za nim

galaktyką. A po jego wewnętrznej stronie wszystko — wszystko — było zielone. Duże hydroponiczne żardiniery ustawione w spiralne rzędy wybuchały szerokimi liśćmi, mocnymi pędami i grubymi, ciemnymi warzywami. Ręcznie napisane etykiety były nabite na pręty w równych odstępach; Rosemary nie znała alfabetu, w którym zostały napisane. Niektóre rośliny kwitły, a delikatne treliaze zachęcały pnącza do wyrastania w górę. Od drzwi odchodziła rozgałęziająca się ścieżka obstawiona skrzynkami towarowymi i puszkami na żywność wypełnionymi gęstymi kępami trawy. Tu i ówdzie sterczały kawałki zepsutych urządzeń pomalowane na jaskrawe kolory, tworząc barwne plamy. Ścieżka kończyła się trzema schodkami prowadzącymi do zagłębionego ogrodu. Szemrała tam cicho zdefektowana fontanna, przy której stało kilka ławek i krzeseł. Za ławkami w stronę wiszących wysoko lamp słonecznych wyciągały się ozdobne drzewka. Kiedy jednak Rosemary zauważyła lampy, jej uwagę z powrotem przyciągnęło wypukłe okno, a tuż za nim gwiazdy, planety i mgławice.

Po kilku sekundach patrzenia zdołała dostrzec więcej szczegółów. Rama okna wyglądała na zużytą i zupełnie inną od reszty wyposażenia. Hydroponiczne żardiniery miały rozmaite kształty i rozmiary i były tak poobijane, że można je było uznać za kupione jako rzeczy używane. Lecz pomieszczenie to było jednym z tych dziwnych, cudownych miejsc, którym brak jednolitości służy. Rośliny były zdrowe i zadbane, lecz to rysy, wgniecenia i pomalowany złom sprawiał, że naprawdę odżywały.

— To... — Rosemary zamrugała. — To jest niewiarygodne.

— I konieczne, wierz mi lub nie — rzekła Sissix. — Może to sprawiać wrażenie rozrzutności, ale służy trzem celom. Po pierwsze, żywe rośliny odciążają nasze filtry powietrza. Po drugie, możemy uprawiać własną żywność, co pozwala zaoszczędzić pieniądze na podróżach na odległe targi, i jest zdrowsze od jedzenia produktów cały czas mrożonych w zastojce. Po

trzecie i najważniejsze, chroni nas przed popadnięciem w szaleństwo po kilku dziesięciodniach zamknięcia na statku. Pomieszczenie rekreacyjne jest dobre na chwilę spokoju, a tu przychodzimy, kiedy naprawdę chcemy zwolnić. Takie miejsca ma dużo statków dalekiego zasięgu. Ale nasze jest najlepsze, jeśli interesuje cię moja całkowicie bezstronna opinia.

— Jest piękne — rzekła Rosemary, odrywając wzrok od okna. Przez chwilę się zastanawiała, pamiętając nieprzezroczystą kopułę, którą widziała z kapsuły. — Dlaczego nie widziałam tego, zbliżając się do statku?

— Dobra sztuczka, co? Kopuła jest wykonana ze zmiennego plexu, więc robi się przezroczysta tylko wtedy, kiedy tego chcemy. Daje nam prywatność, a także chłód, jeśli znajdujemy się w pobliżu jakiegoś słońca. Kiedyś stanowiła część harmagiańskiego jachtu. Kizzy i Jenks mają całą sieć kumpli zajmujących się odzyskiwaniem sprzętu, którzy zawiadamiają nas, gdy znajdują coś, co moglibyśmy wykorzystać. Jak dotąd kopuła okazała się strzałem w dziesiątkę. — Skinęła na Rosemary, by poszła za nią. — Chodź, przedstawię cię gościowi, który tym wszystkim się zajmuje.

Poszły ścieżką na prawo do owalnego stołu nakrytego do kolacji. Otaczające go krzesła nie pasowały do siebie, a mniej więcej jedna trzecia z nich była zaprojektowana dla gatunków innych niż ludzie. Na zwieszających się nad stołem długich przewodach wisiały dające łagodne światło lampy osłonięte różnokolorowymi kloszami. Stół nie był najbardziej wyszukany spośród tych, które widziała Rosemary — serwetki wyblakły, kilka talerzy było wyszczerbionych, a przyprawy były tanich marek — ale i tak wyglądał zachęcająco.

Nieopodal stołu znajdowała się lada z trzema stołkami po jednej stronie i kuchnią po drugiej. Nozdrza Rosemary wypełnił zapach piekącego się chleba i aromatycznych ziół; jej ciało przypomniało sobie, ile czasu upłynęło od jej ostatniego posiłku. Czuła pustkę w całym tułowiu.

— Hej! — zawołała Sissix w stronę kuchni. — Przywitaj się z naszą nową załogantką!

Rosemary zauważyła zasłone skrywającą drzwi z tyłu dopiero wtedy, gdy odsunął ją i wytoczył się z za niej przedstawiciel najdziwniejszego gatunku, jaki widziała. Ta rozumna istota była przynajmniej dwa razy większa od Rosemary; Sissix powiedziała, że to jest „on”. Był pulchny i miał cętkowaną szarą skórę. Gdyby nie kępki długich bokobrodów wyrastających z jego okrągłych policzków, Rosemary uznałyby go za jakiś rodzaj płaza. Większość jego twarzy zajmowała szeroka, rozdzielona górna warga, co Rosemary uznała za uroczą cechę, chociaż nie umiałyby powiedzieć dlaczego. Przypomniały jej się programy z obrazkami dawnych ziemskich zwierząt, nad którymi ślęczała w dzieciństwie. Pewne przybliżenie wyglądu tej istoty można by uzyskać, gdyby skrzyżować wydrę z gekonem, a potem kazać jej chodzić, jakby była gąsienicą o sześciu nogach.

Szczególnie trudno było sklasyfikować nogi tego obcego, ponieważ równie dobrze mogłyby być rękami. Miał ich sześć i wszystkie były identyczne. Kiedy przechodził przez drzwi, szedł na jednej parze z nich, a pozostałymi trzymał dwa pojemniki z jedzeniem. Kiedy jednak je odstawił, opadł na kolejną parę kończyn i zbliżył się do lady.

— No proszę — rzekł dudniącym głosem.

Brzmiała w nim dziwna harmonia, jakby naraz mówiło pięć osób. Przyglądając mu się, Rosemary zauważyła, że ma na sobie ludzkie ubranie. Górną część torsu — jeśli tak można było to nazwać — okrywała ogromna koszulka z krótkimi rękawami z nadrukowanym wizerunkiem zielonego ludzkiego kciuka pędzącego przez przestrzeń kosmiczną. Otaczał go napis nie w języku klip, lecz ensk: Roślinne Centrum Handlowe Littlejohna — kompleksowy sklep z transgalaktyczną hydroponiką. Z boków koszulki zostały wycięte dodatkowe otwory dla środkowej pary kończyn. Dolną część

ciała okrywały olbrzymie spodnie ściągane na tasiemkę. Albo może nie spodnie. Bardziej przypominało to worek z nacięciami na nogi.

Twarz obcego wygięła się ku górze w surrealistycznym uśmiechu.

— Mogę się założyć, że nigdy nie widziałas kogoś takiego jak ja — powiedział.

Rosemary uśmiechnęła się z ulgą, że to on przełamał lody.

— Masz rację — odparła.

Obcy zaczął się krzątać za ladą.

— Szkolenie we wrażliwości międzygatunkowej nie zawsze wystarcza, kiedy widzi się coś nowego, prawda? Kiedy ja pierwszy raz zobaczyłem przedstawiciela waszego chudego brązowego gatunku, po prostu odebrało mi mowę.

— A jeśli chodzi o jego gatunek, to naprawdę coś znaczy — zauważyła Sissix.

— Właśnie! Milczenie nam nie odpowiada.

Z jego ust wyrwało się szczebiotliwe bulgotanie. Pozbawione harmonii dźwięki wciąż wydobywały się falami z dziwnych ust obcego. Rosemary zerknęła na Sissix.

— On się śmieje — szepnęła aandriska.

Dźwięki ucichły, a obcy postukał się w pierś.

— Jestem Doktor Kucharz.

— Jestem Rosemary — przedstawiła się. — Masz interesujące imię.

— Cóż, to nie jest moje prawdziwe imię, ale gotuję i w razie potrzeby pracuję w ambulatorium. Jestem tym, co robię.

— Z jakiego jesteś gatunku?

— Jestem grumem i w tej chwili jestem samcem.

Rosemary nigdy nie słyszała o grumach. To pewnie gatunek spoza WG.

— W tej chwili? — zapytała.



— Dla mojego gatunku biologiczna płeć to stan przejściowy. Zaczynamy życie jako samice, po zakończeniu okresu składania jaj stajemy się samcami i kończymy życie jako ni to, ni sio. — Doktor Kucharz sięgnął przez ladę i postawił przed Rosemary kubek soku oraz talerzyk grubych ziarnistych krakersów. — Proszę. Cukier, sól, witaminy, kalorie. Niedługo będzie kolacja, ale wyglądasz, jakbyś za chwilę miała zemdleć. — Pokręcił głową, patrząc na Sissix. — Nie cierpię kapsułek.

— Och, na gwiazdy, dziękuję. — Rosemary rzuciła się na krakersy. Jakąś odległą częścią umysłu wiedziała, że to nic specjalnego, ale w tej chwili były najlepszą rzeczą, jaką jadła w życiu. — Mogę zapytać o twoje prawdziwe imię? — powiedziała, kiedy miała trochę mniej pełne usta.

— Nie będziesz umiała go wymówić.

— A mogę spróbować?

Znowu ten szczebiotliwy śmiech.

— Dobra, przygotuj się. — Doktor Kucharz otworzył usta, z których wydobyły się zaskakujące, nakładające się kakofoniczne dźwięki. Trwało to niemal minutę. Kiedy skończył, jego policzki trzy razy wypełniły się powietrzem. — To ja — powiedział. Pokazał na swoje gardło. — Rozgałęziające się tchawice, sześć kompletów strun głosowych. W moim języku nie ma ani jednego słowa, w którym nie nakładałoby się kilka dźwięków.

Rosemary była nieco oszołomiona.

— Nauka klipu musiała być dla ciebie trudna.

— Owszem — odparł Doktor Kucharz. — I nie będę kłamał, ten język wciąż jest chwilami męczący. Synchronizacja moich strun głosowych wymaga sporo wysiłku.

— To dlaczego nie używasz mówiskrzynki?

Doktor Kucharz pokręcił głową, od czego zatrzęsły mu się policzki.

— Nie lubię implantów, które nie są konieczne pod względem medycznym. Poza tym jaki jest sens rozmawiania z odmiennym gatunkiem bez uczenia się używanych przez niego słów? Tylko myślenie o czymś, a zlecenie prowadzenia rozmowy jakiemuś pudełku wydaje mi się oszustwem.

Rosemary upiła kolejny łyk soku. Głowa już ją bolała mniej.

— Czy twoje imię coś znaczy w twoim języku?

— Tak. Jestem Zagajnik Drzew, gdzie spotykają się Przyjaciele, by Oglądać Ustawienie się Księżyców w Jednej Linii w Połowie... Wy byście chyba powiedzieli „jesieni”. Ale to jest tylko pierwsza część. Moje imię zawiera też imię mojej matki i miejscowość, w której się urodziłem, ale chyba na tym skończę, bo inaczej będziesz słuchać mojego tłumaczenia całą noc. — Znowu się roześmiał. — A ty? Wiem, że większość ludzi nie przywiązuje wielkiej wagi do imion, ale czy twoje ma jakieś znaczenie?

— Hm, moi rodzice chyba nie mieli czegoś szczególnego na myśli, ale melisa to nazwa rośliny.

Doktor Kucharz pochylił się, opierając ciężar ciała na górnych kończynach.

— Rośliny? Jakiej?

— Rozmaryn to nic specjalnego, to tylko zioło.

— Tylko zioło! — zawołał Doktor Kucharz, poruszając bokobrodami. — Ona mówi, że tylko zioło!

— O-o — wtrąciła się Sissix. — Wypowiedziałas magiczne słowo.

— Rosemary, Rosemary — rzekł Doktor Kucharz, biorąc ją za rękę. — Jestem miłośnikiem ziół. Łączą w sobie zalety medyczne i gastronomiczne, a jak mogłaś się domyślić, medycyna i gastronomia to moje najmocniejsze strony. Jestem zapalonym kolekcjonerem ziół. Wszędzie zbieram nowe okazy. — Przerwał, pomrukując coś i pogwizdując. — Chyba nie słyszałem

o takim zielu. Jest wykorzystywane do jedzenia czy leczenia?

— Do jedzenia — odparła Rosemary. — Chyba dodaje się je do zup. I chyba do pieczywa.

— Do zup! Och, uwielbiam zupy — powiedział Doktor Kucharz i spojrzał swoimi całkowicie czarnymi oczyma na Sissix. — Niedługo zatrzymujemy się w Port Coriol, tak?

— Zgadza się.

— Na pewno ktoś tam będzie to miał. Wyślę wiadomość mojemu staremu przyjacielowi Drave'owi, on będzie wiedział, gdzie szukać. Jest dobry w znajdowaniu rzeczy związanych z jedzeniem. — Spojrzał na Rosemary, wyginając w górę usta. — Widzisz? Jednak masz odpowiednie imię. Skończ teraz te krakersy, a ja pójdę sprawdzić, co z robalami.

Wrócił do kuchni i pochylił się nad rusztem, powarkując i wzdychając. Rosemary zastanawiała się, czy grum może sobie nuci.

Sissix przechyliła się do Rosemary i szepnęła, chociaż jej głos zagłuszały dźwięki wydawane przez Doktora Kucharza i odgłosy towarzyszące gotowaniu:

— Nie pytaj o jego rodzimy świat.

— Aha... Dobrze.

— Zaufaj mi. I nie pytaj go też o rodzinę. To... To nie jest dobry temat na rozmowę przy kolacji. Później ci wyjaśnię.

Doktor Kucharz zdjął szczypcami z rusztu dużego stawonoga, którego skorupa poczerniała, a odnóża zwinęły się pod tułowiem w równych rzędach. Miał wielkość dłoni Rosemary od nadgarstka po czubki palców.

— Mam nadzieję, że lubisz robale czerwonego wybrzeża. Są świeże, nie z zastójki. Mam z tyłu kilka zbiorników hodowlanych.

Sissix przyjaźnie szturchnęła Rosemary.

— Świeże dostajemy tylko na specjalne okazje.

— Nigdy ich nie jadłam, ale pachną wspaniale — stwierdziła Rosemary.

— Chwila, nigdy nie jadłaś robali czerwonego wybrzeża? — zapytała Sissix. — Nigdy nie spotkałam człowieka, który by ich nie jadł.

— Zawsze mieszkałam na planecie — odparła Rosemary. — Na Marsie nie jemy dużo robali.

Powiedziała to z poczuciem winy. Owady były tanie, bogate w białko i łatwe do hodowania w ciasnych pomieszczeniach, co czyniło z nich idealną żywność dla przebywających w przestrzeni kosmicznej. Robale tak długo stanowiły część diety Floty Exodusu, że nawet kolonie pozasolarnie nadal używały ich jako podstawowego pożywienia. Rosemary oczywiście słyszała o robalach czerwonego wybrzeża. Jak głosiła dawna opowieść, wkrótce po tym, jak Flota Exodusu otrzymała status uchodźczy we Wspólnocie Galaktycznej, do pewnej aeluńskiej kolonii sprowadzono kilku przedstawicieli ludzi w celu omówienia potrzeb ich gatunku. Jeden z bardziej przedsiębiorczych delegatów zauważył skupiska dużych owadów, pomykających po czerwonych wydmach nad brzegiem morza. Owady te były dla aeluonów nieco uciążliwe, lecz ludzie ujrzeli w nich żywność, i to dużo żywności. Robale czerwonego wybrzeża zostały szybko włączone do diety exoderów i obecnie można było znaleźć wielu aeluonów i pozasolarnych ludzi, którzy wzbogacili się na handlu tymi stworzeniami. Wyznanie Rosemary, że nigdy nie jadła robali czerwonego wybrzeża, oznaczało, że nie tylko mało podróżowała, ale że należy do osobnego rozdziału ludzkiej historii. Wywodziła się z zamożnych mięsożerców, którzy pierwsi zasiedlili Marsa, tchórzy, którzy przewozili inwentarz żywy w przestrzeni kosmicznej, podczas gdy na Ziemi głodowały całe narody. I chociaż Exodanie i Solanie już dawno temu odłożyli na bok (w większości) swoje dawne urazy, Rosemary wstydziła się swojego uprzywilejowanego pochodzenia. Zbyt dobrze przypominało jej, dlaczego opuściła dom.

Sissix przyglądała jej się podejrzliwie.

— Jadłaś ssaki? To znaczy te prawdziwe, niewyhodowane w kadziach.

— Jasne. Na Marsie jest kilka hodowli bydła.

Sissix wzdrygnęła się, wydając odgłosy rozbawienia i niesmaku.

— O, nie, fuj. — Zrobiła przepraszającą minę. — Przepraszam, Rosemary, ale to jest takie... Błę.

— Phi, to tylko wielkie kanapki z kopytami — powiedział Jenks, wchodząc z uśmiechem. — Ja też jadłem wołowinę z planety. Jest niesamowita.

— Obrzydliwość. Wszyscy jesteście obrzydliwi — powiedziała Sissix ze śmiechem.

— Ja zostanę przy robalach, dziękuję — rozległ się męski ludzki głos. Rosemary odwróciła się i wstała. — Witaj na pokładzie — rzekł kapitan Santoso, ściskając jej rękę. — Dobrze nareszcie cię poznać.

— Pana również, panie kapitanie. Bardzo się cieszę, że tu jestem.

— Proszę cię, mów mi Ashby — powiedział kapitan z uśmiechem. Rozejrzał się, szukając kogoś. — Czy Corbin cię oprowadził?

— Zaczął, ale przejęłam jego rolę, żeby mógł przeprowadzić jakieś badania — powiedziała Sissix, sięgając po jeden z krakersów Rosemary.

— No tak. To było... Ładne z twojej strony — rzekł Ashby. Przez chwilę patrzył na Sissix, zadając jej pytanie, którego Rosemary nie umiała rozszyfrować, a potem zwrócił się do niej. — Obawiam się, że przez parę najbliższych dni nie będę miał zbyt dużo czasu, żeby pokazać ci co i jak. Jutro budujemy tunel, a potem zawsze trzeba się zająć różnymi drobiazgami. Jestem jednak pewien, że i tak potrzebujesz trochę czasu, by się zadomowić. Kiedy już się uporamy z tą robotą, będziemy mogli razem usiąść i zabrać się do moich sprawozdań.

— Wyrazy współczucia — powiedziała Sissix i poklepała Rosemary po

ramieniu.

— Nie są aż tak straszne — rzekł Ashby. Doktor Kucharz odchrząknął znacząco. — Dobra, są dość straszne. — Ashby wzruszył ramionami i uśmiechnął się. — Ale to znaczy, że masz pracę!

Rosemary roześmiała się.

— Nie martw się. Jestem jednym z tych dziwadeł, które lubią obróbkę formularzy.

— Dzięki za to gwiazdom — powiedział Ashby. — Jesteśmy dobrą załogą, ale obróbka formularzy nie jest naszą mocną stroną.

— Sissix! — zawołała Kizzy, wchodząc do środka. — Muszę z tobą porozmawiać o tym superskandalicznym seksowym wideo, które dziś obejrzałam.

Ashby zamknął oczy.

— To nietaktowne — stwierdził.

Sissix zrobiła speszoną minę.

— Mówiłam ci, Kizzy, że skończyłam już oglądać twoje wideo. Przysięgam, że ludzie to jedyny gatunek, który potrafi przedstawić kopulowanie jako coś w złym guście.

— Nie, posłuchaj, to ważne. — Kizzy weszła za ladę, żeby przyjrzeć się działaniom Doktora Kucharza. Zamieniła swój brudny kombinezon na elegancki żółty żakiet, spódnicę, którą można było opisać tylko jako krótką halkę, rajstopy w jaskrawopomarańczowe kropki, solidne buty ozdobione różnymi sprzączkami i paskami oraz kilka kwiatów z materiału wplecionych we włosy. Na kimkolwiek innym to wszystko sprawiałoby błazeńskie wrażenie, lecz jakimś sposobem Kizzy było w tym do twarzy. — To było wideo wielogatunkowe i teraz mam kilka pytań dotyczących aandriskiej anatomii.

— Już widziałas mnie nagą — powiedziała Sissix. — Prawdopodobnie

widziałaś wielu nagich aandrisków.

— Tak, ale... Sissix, gibkość tego gościa, jasna cholera... — Wyciągnęła rękę w stronę miski z warzywami. Doktor Kucharz trzepnął ją łopatką w nadgarstek, nawet nie patrząc w jej stronę.

Sissix westchnęła.

— Jaki jest tytuł tego wideo?

— *Planeta więzienna 6. Punkt Zero-G.*

— Iiii skończyliśmy — rzekł Ashby. — Doprawdy, czy jeden dzień bycia kulturalnym by cię zabił?

— Przecież jestem kulturalny — stwierdził Jenks. — Nawet nie wspomniałem o *Planecie więziennej 7.*

Ashby westchnął i zwrócił się do Rosemary.

— Jeśli się rozmyśliłaś, to prawdopodobnie jest jeszcze czas, żebyś mogła wezwać kapsułę z powrotem.

Rosemary pokręciła głową.

— Jeszcze nie zjadłam kolacji.

Doktor Kucharz wybuchnął donośnym, skrzeczącym śmiechem.

— Nareszcie ktoś z takimi samymi priorytetami co ja.

Sissix przechyliła się nad ladą.

— Kizzy, te buty są zdumiewające. Żałuję, że nie mogę nosić butów.

— Wiem, tak?! — zawołała Kizzy i uniosła prawą stopę, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała. — Patrzcie, moje cud-buty! Moc aeluońskiego oddziału szturmowego połączona z absolutną ergonomiczną perfekcją! To podologiczne szaleństwo! Czym one są? Czy to wielkie twarde tupacze? Wygodne wędrowniczki? Tego nie wie nikt! To są osiągnięcia nauki rozgrywające się na moich skarpetkach! — Odwróciła się do Doktora Kucharza, który wyciągał z piekarnika blachę z bułkami. Chwyciła jedną i zaczęła ją przerzucać między palcami. — Na gwiazdy, pysznie pachną.

Chodź do mojej buzi, bułeczko miłości!

Ashby zwrócił się do Rosemary.

— Jesteś dobra w językach, tak?

Rosemary oderwała wzrok od mechtech, która podskakiwała z bólu, sparzywszy sobie język na gorącej bułeczce.

— Radzę sobie — odparła.

Po prawdzie była świetna w językach, ale tego nie mówi się nowym kolegom przy kolacji.

— Cóż, jeśli zamierzasz zamieszkać na tym statku, to będziesz musiała nauczyć się mówić po kizziemu.

— To jeden z języków, które się łapie na bieżąco — powiedziała Sissix. Właśnie zaczęła przenosić na stół miski pełne jedzenia.

Rosemary wzięła do ręki miskę wypełnioną jakimiś tłuczonymi fioletowymi warzywami korzeniowymi i poszła za przykładem aandriski. Stawiając miskę obok nakryć, uświadomiła sobie nagle dziwną rzecz: nigdy wcześniej nie nakrywała do stołu.

— Aha, tak nawiasem mówiąc — powiedziała Kizzy, podskakując w stronę Ashby'ego. — Filtr powietrza jest naprawiony, ale tak się bałam, że się spóźnię na kolację, a musiałam się jeszcze przebrać, że po prostu wepchnęłam wszystkie przewody do ściany w takim stanie, w jakim były, żeby się nie zapaliły czy coś, i obiecuję, że skończę od razu po kolacji, obiecuję, obiecuję...

— Jeśli chcesz, Kiz, sam mogę się zająć porządkowaniem kabli — powiedział Jenks. — Wiem, że przed jutrzejszym dniem masz strasznie dużo rzeczy do zrobienia.

— I dlatego jesteś najlepszy — stwierdziła Kizzy. Złowiła spojrzenie Rosemary i pokazała na Jenksa. — Czy nie jest najlepszy?

— Dobra — oznajmił Doktor Kucharz, unosząc półmisek pełen parujących



robali. — Koryto.

Sissix, Kizzy i Jenks usiedli po jednej stronie stołu. Jakby na dany sygnał do pomieszczenia wszedł Corbin. Nic nie mówiąc, usiadł po przeciwnej stronie. Inni też milczeli. Tylko Ashby uprzejmie skinął mu głową.

Kapitan zasiadł u szczytu stołu, a Doktor Kucharz zajął krzesło naprzeciwko. Ashby gestem ręki pokazał Rosemary, by usiadła na pustym krześle po jego prawej stronie. Uśmiechnął się do wszystkich i uniósł szklankę z wodą.

— Za naszą nową członkinię załogi. I za jutrzejszy dzień bezproblemowej pracy.

Stuknęli się szklankami.

— Powiniennem był dać coś bardziej wyszukanego do picia — mruknął Doktor Kucharz.

— Wszyscy potrzebujemy wody, Doktoru — rzekł Ashby. — A poza tym przeszedłeś samego siebie.

Ruchem głowy pokazał miski pełne jedzenia. Rosemary przycisnęła rękę do żołądka, by stłumić jego burczenie.

Nakładanie sobie na talerz odbywało się w ogólnym nieładzie. Miski i tace krążyły tam i z powrotem bez wyraźnego planu. Kiedy wszystkie miski zostały odstawione, na talerzu Rosemary piętrzyła się sałata, góra tego tłuczonego fioletowego (Doktor Kucharz nazywał to korzeniami tuskemy), dwie ziarniste bułeczki i jeden robal czerwonego wybrzeża. Ze szczelin w patykowatych stawach robala wyciekało stopione masło z poszatkowanymi ziołami. Rosemary zauważyła, że w skorupie został wycięty mały otwór, do którego Doktor Kucharz wsypał przyprawy przed położeniem robala na ruszt. Robal miał koszmaryny wygląd, ale pachniał wspaniale, a Rosemary była tak głodna, że spróbowałaby wszystkiego. Był tylko jeden problem. Nie wiedziała, jak go jeść.

Sissix chyba zauważyła jej wahanie, bo złowiła jej spojrzenie nad stołem. Powoli uniosła nóż i widelec swoimi czteropalczystymi dłońmi i zaczęła umiejętnie zdejmować skorupkę, najpierw odłamując nogi, a potem rozcinając podbrzusze. Rosemary powtarzała jej ruchy, starając się ukryć swój brak doświadczenia. Była wdzięczna Sissix za jej taktowną pomoc, lecz nie mogła nie zauważyć ironii w fakcie, że aandriska uczy ją, jak się je ludzkie danie.

Jeśli Rosemary dopuściła się jakiegoś wykroczenia w trakcie rozbierania robala, żaden z pozostałych członków załogi o tym nie wspomniał. Wszyscy byli zbyt zajęci pochłanianiem jedzenia, chwaleniem Doktora Kucharza za umiejętności kulinarne i śmianiem się z żartów niezrozumiałych dla Rosemary. Jej skrępowanie spowodowane nieznaną potrawą zniknęło w chwili, kiedy umieściła w ustach pierwszy kawałek robala — miękki, aromatyczny, poprawiający nastrój. Trochę jak krab, trochę bardziej zbity. Bułeczki były pyszne i gorące, tłuczone warzywo słono-słodkie, sałata (jak jej powiedziano, zebrana tego dnia z ogrodu) krucha i orzeźwiająca. Wszystkie jej obawy co do jedzenia w przestrzeni kosmicznej zniknęły. Z łatwością mogła się przyzwyczać do robali i hydroponicznych warzyw.

Zaspokoiwszy pierwszy głód na tyle, by jeść już mniej łapczywie, Rosemary zauważyła puste krzesło i nieużywane nakrycie między nią a Corbinem.

— Kto tu siedzi? — zapytała.

— To trudne pytanie — odparł Doktor Kucharz. — Technicznie rzecz biorąc, nikt, ale jest przeznaczone dla Ohan.

Rosemary przyjęła to do wiadomości.

— Jasne, Sissix mówiła, że one prowadzi nocny tryb życia.

Wybrała nieokreślony zaimek osobowy, co było jedynym grzecznym wyjściem, jeśli się nie znało płci danej osoby.

Ashby uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Oni prowadzą. Ohan to sianacki duet. Płci męskiej, ale i tak mówimy „oni”.

Rosemary wróciła myślami do służy. Lovey nie mówiła o jakimś nawigatorze, lecz o Nawigatorze. Poczowała wielkie podniecenie. W domu sianatowie byli istotami z miejskich legend — przedstawiciele tej samotniczej rasy ogarniali wielowymiarową przestrzeń z taką łatwością, z jaką ludzie ogarniali algebrę. Jednak te ich umysłowe zdolności nie były wrodzone. Sianacka kultura rozwinęła się wokół neurowirusa, którego nazywali Szeptaczem. Efekty działania Szeptacza pozostawały dla reszty WG w znacznej mierze nieznane (sianatowie nie pozwalali innym gatunkom prowadzić nad nim badań), lecz było wiadomo, że zmienia on funkcje mózgu żywiciela. Rosemary wiedziała, że wszyscy sianatowie byli zarażeni wirusem w dzieciństwie i wtedy przestawali myśleć o sobie jako o jednostkach, a zaczęli się uważać za duet. Następnie zachęcano ich do wyruszenia w galaktykę, by dzielić się darami Szeptacza z gatunkami, które nie mogły ich poznać z pierwszej ręki (wirus nie przenosił się na inne gatunki). Umiejętność myślenia na sposoby niedostępne innym gatunkom, jaką miały sianackie duety, czyniło z nich bezcennych pracowników laboratoriów naukowych, członków zespołów badawczych... oraz załóg statków budujących tunele czasoprzestrzenne. W całym rozgardiaszu towarzyszącym dostaniu się na „Wędrowca” Rosemary nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby poznać sianacki duet.

— Czy oni nie jedzą kolacji z nami? — zapytała, starając się ukryć, jak bardzo chce poznać tę... osobę? Te osoby?

Będzie musiała poćwiczyć tę liczbę mnogą.

Ashby pokręcił głową.

— Duety mają paranoję na punkcie swojego zdrowia. Mają się na

baczności przed wszystkim, co mogłoby niechcący zaszkodzić Szeptaczowi. Ohan nigdy nie schodzą ze statku i nie jedzą tego co my.

— Chociaż zapewniam cię, że nasze jedzenie jest całkowicie higieniczne — powiedział Doktor Kucharz.

— To dlatego musiałam przejść błysk po zadokowaniu — zauważyła Rosemary. — Lovey powiedziała, że mam kilka wirusów, z którymi nie da sobie rady jeden z członków załogi.

— A, właśnie — powiedział Doktor Kucharz. — Będziemy musieli uaktualnić bazy danych twoich imubotów. Możemy się tym zająć jutro.

— Tu nie chodzi tylko o zdrowie — odezwała się Sissix. — Duety nie są zbyt towarzyskie, nawet jeśli chodzi o inne duety. Ohan rzadko wychodzą ze swojego pokoju. Oni są... Sama zobaczysz, kiedy ich poznasz. Przebywają na swoim własnym poziomie.

— Też byś na takim przebywała, gdybyś umiała wyznaczyć tunele w swojej głowie — rzekł Jenks.

— Ale Doktor Kucharz i tak zawsze nakrywa dla nich do stołu — powiedziała Kizzy i upchnęła w policzku kęs jedzenia. — Bo jest taki uroczy.

— Chcę, żeby wiedzieli, że zawsze są tu mile widziani, nawet jeśli nie mogą z nami jeść — rzekł Doktor Kucharz.

— Ooo — powiedzieli razem Kizzy i Jenks.

— Technicznie rzecz biorąc, ja też nie jem kolacji — wyjaśniła Sissix. Rosemary już zauważyła, że chociaż Sissix nałożyła sobie wszystkiego, były to mikroskopijne porcje. — Ja po prostu jem po trochu cały dzień. Jedną z korzyści wynikającą z tego, że nie potrafię utrzymać ciepła, jest to, że nie potrzebuję tyle jedzenia. — Uśmiechnęła się. — Ale lubię usiąść wieczorem ze wszystkimi. To jeden z moich ulubionych ludzkich zwyczajów.

— Zgadzam się z całego serca — powiedział Doktor Kucharz i wziął sobie

jeszcze jednego robala czerwonego wybrzeża. — Zwłaszcza że ja jem tylko raz dziennie.

Położył robala na stercie pustych skorupki. Rosemary naliczyła ich sześć.

— No to co jedzą sianackie duety? — zapytała.

Policzki Doktora Kucharza zatrzęsły się gwałtownie. Nawet nie znając jego anatomii, Rosemary miała wrażenie, że to wyraz obrzydzenia.

— Tę ohydłą odżywczą papkę. Tylko to, niekończące się tubki przysyłane z planety sianatów.

— No, nigdy nie wiadomo — odezwał się Jenks. — To może być bardzo smaczne.

— Nie. Zdecydowanie nie — stwierdziła Kizzy. — Raz podwędziłam jedną tubkę w celach badawczych.

— Kizzy — napomniał ją Ashby.

Kizzy nie zwróciła na to uwagi.

— Wyobraźcie sobie coś o konsystencji wyschniętego, zimnego masła orzechowego bez żadnego smaku. Żadnej soli czy czegokolwiek. Spróbowałam posmarować tym grzanekę, ale to było marnowanie dobrej grzanki.

Ashby westchnął.

— I mówi to kobieta, która wpada w szal, kiedy ktoś choćby spojrzy na torebkę jej ognistych krewetek.

— Hej, ogniste krewetki są rzadkim przysmakiem — powiedziała Kizzy, celując w niego widelcem.

— To tania przegryzka — stwierdziła Sissix.

— Tania przegryzka, którą można sprowadzić tylko z mojej kolonii, co czyni z niej rzadki przysmak. W ładowni są całe skrzynie tubek z papką Ohan. Wiedziałam, że jeśli wezmę jedną na próbę, to nawet tego nie zauważą. Podaż i popyt.

— Podaż i popyt znaczą coś innego — rzekł Jenks.

— No pewnie.

— „Podaż i popyt” nie znaczy „proszę, kradnij bez skrupułów gównu, bo wszędzie go pełno”.

— O, tak?

Błyskawicznie sięgnęła ręką i wzięła bułeczkę z talerza Jenksa. Wsadziła sobie całą do ust, popychając ją palcami, i zaczęła brać kolejne bułeczki z koszyka na pieczywo.

Ashby zwrócił się do Rosemary, nie zważając na wojnę o wypieki.

— A więc, Rosemary, powiedz nam o sobie. Masz na Marsie jakąś rodzinę?

Rosemary napiła się spokojnie wody. Pytanie przyprawiło ją o szybsze bicie serca, ale wszystko będzie dobrze. Ćwiczyła to.

— Tak. Tata pracuje w firmie importowej, mama ma galerię sztuki. — To była prawda, tylko brakło w niej kilku kluczowych szczegółów. — Mam też starszą siostrę, ale ona mieszka na Hagaremie. — Prawda. — Pracuje dla WG. Biuro przydziału środków. Nic specjalnego, wypycha formularze. — Prawda. — Nie jesteśmy jednak blisko ze sobą. — Zdecydowanie prawda.

— Gdzie się wychowywałaś?

— We Florence.

Prawda.

Jenks oderwał się od mocowania się z Kizzy o bułeczki. Zagwizdał.

— To pierwszorzędne miejsce. Musisz mieć bogatą rodzinę — stwierdził.

— Nie bardzo. — Kłamstwo. — Po prostu jest blisko pracy mojego taty.

Prawda. Tak jakby.

— Byłam raz we Florence — rzekła Kizzy. — Kiedy miałam dwanaście lat. Tatkanie oszczędzali, oszczędzali i oszczędzali, żebyśmy mogli się tam wybrać na Dzień Pamięci. Na gwiazdy, nigdy nie zapomnę, kiedy wszyscy

wypuścili lampiony na wielkim otwartym placu. — Rosemary wiedziała, gdzie to było. Plac Nowego Świata, główne miejsce zgromadzeń w stolicy. Rozległy kamienny plac u stóp pomnika Marcelli Florence, pierwszej istoty ludzkiej, która postawiła stopę na Marsie. — Wszystkie te światełka wznosiły się w górę jak maleńkie statki. Myślałam, że to najładniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu.

— Byłam tam wtedy — powiedziała Rosemary.

— Nie mów!

Roześmiała się.

— Chyba wszyscy byli na Święcie Wszystkich Opowieści.

W gruncie rzeczy jej ojciec był poważnym sponsorem uroczystości, ale uznała, że lepiej o tym nie wspominać. Dzień Pamięci był świętem ludzi upamiętniającym dzień, w którym wystartował z Ziemi ostatni statek osadniczy — dzień, w którym ostatni ludzie opuścili swój niegościnnie świat. Święto powstało jako zwyczaj exodański, lecz Dzień Pamięci szybko zyskał popularność i w Republice Solarnej, i w koloniach pozasolarnych. Dwusetny Dzień Pamięci został uświetniony Świętem Wszystkich Opowieści i wydarzenie to zorganizowali wspólnie solańscy i exodańscy oficjele. Właściwie pojawiła się cała diaspora, do ostatniego agenta i urzędnika. Święto miało być gestem przyjaźni i jedności gatunku znajdującego się w stanie rozłamu, deklaracją, że mimo trudnej przeszłości można pracować razem na rzecz jasnej galaktycznej przyszłości. Tylko że nic z tego nie wyszło. Diaspora nadal była nieskuteczna w parlamencie WG. Harmagianie mieli pieniądze. Aeluoni mieli siłę ognia. Aandriskowie mieli dyplomację. A Ziemianie mieli kłótnie. Nie mogło tego zmienić żadne święto, choćby najwystawniejsze. Ale przynajmniej była świetna zabawa.

Kizzy uśmiechnęła się szeroko do Rosemary.

— Może widziałyśmy wzajemnie swoje lampiony. A! Jadłaś któreś

z tamtejszych lodów? Te z prawdziwego mleka, w takich waflowych miseczkach, oblane sosem jagodowym i z kawałeczkami czekolady?

— Faj, to chyba było strasznie słodkie — stwierdził Doktor Kucharz.

— Jeśli dopisuje mi pamięć, zjadłam dwa — powiedziała Rosemary.

Uśmiechnęła się w nadziei, że w ten sposób ukryje tęsknotę za domem kłębiącą się w jej piersi. Tak bardzo się starała wyrwać, pokonała tyle przeszkód, spędziła tyle nieprzespanych nocy, bojąc się przyłapania, a mimo to... Mimo to ma na talerzu robaki, pod stopami siatki sztugrawitacyjne i siedzi przy stole z obcymi, którzy nigdy się nie dowiedzą, od czego odeszła. Znajduje się w otwartej przestrzeni kosmicznej, daleko od wszystkiego, co znała.

— Jeśli o słodkościach mowa — powiedział Doktor Kucharz, odkładając stanowczym ruchem widelec — kto chce deser?

Rosemary, chociaż najadła się do syta, z łatwością znalazła miejsce w żołądku dla trzech nazywanych przez Doktora Kucharza „wiosennych ciasteczek” — delikatnych, ciągnących się, przywodzących na myśl migdały, posypanych jakąś obłądną przyprawą, której nie umiała zidentyfikować. Nie były to wprawdzie lody z sosem jagodowym, no ale im nic nie mogło dorównać.

Kiedy Ashby skończył pomagać przy sprzątanii ze stołu, usiadł na jednej z ławek w ogrodzie. Wyjął swój notek i odgryzł kawałek ostatniego wiosennego ciasteczka. Przywilej kapitana.

Machnął ręką nad notkiem, nastawiając go na jeden z serwisów Komisji Transportu z ofertami pracy. Na ekranie pojawił się napis „Ustanawiam połączenie”, a potem „Potwierdzam dostęp”. Kiedy ikona postępu powoli pulsowała, Ashby zerknął w stronę kuchni. Doktor Kucharz stał za ladą i pokazywał Rosemary, jak układać w oczyszczaczu brudne naczynia. Przyglądała się uważnie, ale wydawała się nieco zagubiona. Ashby



uśmiechnął się do siebie. Pierwsze dni zawsze są trudne.

Podeszła do niego Sissix z kubkiem herbaty w dłoni.

— I co? — zapytała cicho, pokazując nieznacznym ruchem głowy na kuchnię.

Ashby skinął głową i zrobił jej miejsce na ławce.

— Na razie w porządku — powiedział półgłosem. — Wydaje się dość sympatyczna.

— Mam co do niej dobre przeczucia — rzekła Sissix i usiadła obok niego.

— Tak?

— Tak. To znaczy, ona jest trochę... Och, na gwiazdy, w klipie nie ma na to dobrego słowa. *Issik*. Znasz je?

Ashby pokręcił głową. Dawał sobie radę w języku reskitkish, jeśli rozmowa toczyła się powoli, ale nie miał bogatego słownictwa.

— Dosłownie to znaczy „miękki jak jajko”. Jak skóra świeżo wyklutego malca.

— Aha, dobra. Czyli... niedoświadczona?

Pokiwała w zamyśleniu głową.

— Tak, ale niezupełnie. To słowo sugeruje, że z czasem stwardnieje.

Skinął głową i zerknął na jej grube łuski.

— Jestem pewien, że tak będzie.

— Właśnie o to chodzi, kiedy jest się *issik*. Jeśli skóra nie stwardnieje...

Wywaliła język i udała, że się dławi, a potem się roześmiała.

Ashby spojrział na nią spod oka.

— Ty mówisz o małych dzieciach.

Westchnęła.

— Ach, te ssaki — powiedziała z pełną czułości irytacją. Oparła mu głowę na ramieniu i położyła rękę na kolanie. U człowieka byłby to gest świadczący o wielkiej zażyłości, lecz Ashby był przyzwyczajony do zachowań Sissix. To

była jej wersja poufałości. — Wciąż próbujesz znaleźć dla nas coś następnego? — zapytała, pokazując ruchem głowy na notek.

Połączenie zostało nawiązane i na ekranie pojawiła się tabelka z propozycjami kontraktów.

— Po prostu patrzę, co jest.

— Z tym serwisem daleko nie zajdziesz.

— Dlaczego?

— Bo to są propozycje z górnej półki. — W jej głosie brzmiało rozbawienie. — Jesteś zmęczony.

— Nie. Po prostu... szukam. — Chciał skończyć wyjaśnienia na tym, ale czuł, że Sissix na niego patrzy, czekając na coś więcej. Odetchnął. — Jedno z takich zleceń jest warte więcej pieniędzy niż trzy nasze ostatnie razem wzięte.

— Duże statki dostają duże pieniądze. Tak jest zawsze.

— Nie potrzeba dużego statku, tylko dobrze wyposażonego. — Ashby rozejrzał się po ogrodzie. Skrzynki z odzysku, zdobyczne okno, używane żardiniery. — Gdybyśmy mieli odpowiednie ulepszenia, moglibyśmy ubiegać się o takie zlecenia.

Sissix zaczęła chichotać, ale spoważniała, kiedy zobaczyła minę kapitana.

— Mówisz poważnie?

— Nie wiem. Zastanawiam się, czy ten rodzaj pracy stał się dla mnie tak wygodny, że nigdy nie brałem pod uwagę czegoś większego. A teoretycznie moglibyśmy się tego podjąć. Mamy wystarczająco dużo umiejętności i jesteśmy wystarczająco dobrzy.

— Owszem — powiedziała powoli Sissix. — Ale my tu nie mówimy o nowych płytkach obwodu drukowanego. Potrzebowalibyśmy nowego wiertła, a ono kosztowałoby cię zyski z jednego standardu. Ja bym chciała nowy panel nawigacyjny, bo ten, który mamy, i tak jest czasami dość

kapryśny. Potrzebowalibyśmy większych zapasów ambi, więcej stabilizatorów, więcej boi... przykro mi. Nie chcę niszczyć twoich marzeń. — Skrobnęła go przyjaźnie szponami w kolano. — Dobra, powiedzmy, że zaoszczędziłeś wystarczająco dużo i że się wyposażyliśmy i moglibyśmy zacząć przyjmować zadania z wyższej półki. Co byś z tym zrobił?

— Jak to?

— Chcę wiedzieć, po co ci to poza tym, że cokolwiek powiedział Yoshi, zalażło ci to za skórę.

Uniósł brwi i uśmiechnął się znacząco.

— Jak się dowiedziałaś?

Roześmiała się.

— Domyśliłam się.

Ashby z namysłem podrapał się w brodę. Po co mu to? Po tym, jak tyle lat temu opuścił dom, czasami zastanawiał się, czy wróci do Floty, by wychować dzieci, czy też osiadzie na jakiejś kolonii. Był jednak astronautą w każdym calu i korciło go, by żyć bez szczególnego celu. W miarę upływu lat myśl o założeniu rodziny słabła. Zawsze uważał, że sens rodziny zawiera się w radości doświadczenia polegającego na sprowadzeniu do wszechświata czegoś nowego, przekazania własnej wiedzy i pilnowania, by jakaś część własnej osobowości żyła dalej. Miał załogę, która na nim polegała, statek, który wciąż się rozwijał, i tunele, które będą trwać przez pokolenia. Jemu to wystarczało.

Lecz czy wystarczy tak, jak jest teraz? Był zadowolony, owszem, ale mógł przecież robić więcej. Mógł budować coś większego, przeznaczonego dla większej liczby ludzi. Mógłby dać swojej załodze większą działkę, co od dawna bardzo chciał zrobić, a na co załoga z pewnością zasłużyła. Nie podzielał pychy Yoshiego, nie mógł jednak zaprzeczyć, że świadomość, iż kapitan-człowiek wykonuje pracę tradycyjnie zarezerwowaną dla gatunków

założycielskich, budzi w nim iskierkę dumy. Mógłby...

— Nie chcę zmieniać tematu, ale chciałem ci coś powiedzieć — rzekł w końcu. — Dostałem dziś od Tessy przekaz wideo. Ky zaczął chodzić.

— Och, to wspaniale — powiedziała Sissix. — Przekaż jej moje gratulacje. — Po chwili dodała: — Dobra, muszę być uczciwa, zawsze zapominam, że nauka chodzenia trwa u was tak długo. Ilekroć myślałam o twoim siostrzeńcu, wyobrażałam go sobie biegającego.

Ashby roześmiał się.

— Będzie biegał już niedługo.

Będzie gonił siostrę, rozbijał kolana, łamał kości i spalał coraz więcej kalorii. Tessa zawsze protestowała, kiedy Ashby wysyłał jej kredyty, ale też nigdy nie powiedziała otwarcie „nie”. Tak jak ich ojciec, który mimo powtarzających się operacji miał kłopoty ze wzrokiem. Potrzebował implantu optycznego, podobnie jak Tessa potrzebowała dla swoich dzieci żywności zdrowszej, niż mogła jej dać praca w ładowni Floty.

Mógłby robić więcej.

# Dzień 130., 306 standard WG

## Szczegóły techniczne

Kiedy Jenks szedł korytarzami maszynowni, uderzyły w niego dźwięki stymrytmu. Łomotliwe nuty odbijały się echem od wypełnionych płynem rur biegnących pod sufitem. Jenks szedł za dźwiękami bębnów, piszczyfletów, skrzypiących smyczków, zawodzenia kilku harmagian i jednej bezwstydnie fałszującej kobiety gatunku ludzkiego, które nie stanowiło części nagrania.

Wszedł do przestronnego pomieszczenia dostępu. Była to jaskinia Kizzy, dobrze oświetlone wnętrze pełne warsztatów, na których piętrzyły się części zapasowe, skrzynki z ręcznie opisanymi nalepkami i zapomniane gry. Przy jednym z wejść trzymał straż stelaż na urządzenia wyładowany wszelkimi narzędziami, jakie tylko można sobie wyobrazić. W pobliżu ciepłych rur, które pompowały zużyte paliwo do zbiorników przetwórczych, usytuowano strategicznie dwa zielone fotele z łatami pokrywającymi ich łysiejące obicie. Między fotelami stała zaparzaczką meku, prowizorycznie podłączona do zasilania jednego z silników. Bardzo by jej się przydało czyszczenie.

Sama mechtech tkwiła na drabinie z rękami i głową w otwartej sekcji sufitu. Jej biodra kołysały się w rytm bębnów. Pomagała sobie w pracy, głośno śpiewając do pulsującej muzyki.

- Walnij ich w twarz! Małpy też to lubią!
- Hej, Kizzy — odezwał się Jenks.
- Zjadłam har-monijkę! Ten sos-ma-śmicha!
- Kizzy.

Na podłogę spadł z brzękiem jakiś przedmiot. Muzyka wybuchła

w crescendo i Kizzy zacisnęła dłonie w pięści. Tańczyła na szczycie drgającej drabiny z głową wciąż ukrytą w suficie.

— Sos! Ma-śmicha! Sos! Ma-śmicha! Nadep-nij na słod-ką grzan-kę! Sos! Ma-śmicha!

— Kizzy!!!

Kizzy pochyliła głowę i nacisnęła guzik na przyciskaczu przypiętym do nadgarstka, ścisząc stojący nieopodal rytmibox.

— Kolacja?

Jenks uniósł brew.

— Masz jakiegokolwiek pojęcie, co to za piosenka?

Kizzy zamrugła.

— „Sos ma śmicha”.

Z powrotem zanurzyła się w suficie, przykręcając coś dłońmi w rękawiczkach.

— *Sosh macz mi ha*. W Protektoracie Harmagiańskim jest zakazana.

— Nie jesteśmy w Protektoracie Harmagiańskim.

— Wiesz, o czym ona jest?

— Wiesz, że nie znam hanto.

— O dmuchaniu harmagiańskiej rodziny królewskiej. Ze smakowitymi szczegółami.

— Ha! Teraz ta piosenka podoba mi się o wiele bardziej.

— Przypisuje się jej zapoczątkowanie w zeszłym roku rozruchów na Sosh’ka.

— Aha. Cóż, jeśli ten zespół aż tak nienawidzi establishmentu, to wątpię, by go obchodziło, że wymyślam własne słowa. Nie mogą mi narzucić swoich „właściwych słów”. Pieprzyć system. — Stęknęła, zmagając się z zablokowanym zaworem. — A co jest?

— Potrzebuję osiowego łącznika obwodów i nie mam pojęcia, gdzie go

położyłaś.

— Na warsztacie z narzędziami po lewej.

Jenks rozejrzył się.

— Po lewej twojej czy mojej?

— Mojej. Nie. Zaczekaj. Twojej.

Jenks podszedł do warsztatu, przyciągnął pustą skrzynię i wszedł na nią, by się przyjrzeć. Stosy śmieci przykrywające blat zlały się, tworząc jedną wielką stertę. Zaczął ją przerzucać. Wiązka trzycalowych rurek do paliwa. Do połowy opróżniona torebka ognistych krewetek („Niesamowicie ostre!”, zachwalała etykieta). Zbiór brudnych kubków. Kilka schematów z naniesionymi notatkami i gryzmołami. Nieotwarte pudełko z... Jenks przekreślił głowę w stronę Kizzy.

— Tak z ciekawości, co robisz? — zapytał.

Kizzy pokazała mu dłonie. Jej robocze rękawice były oblepione gęstym zielonym śluzem.

— Wychwytywacz mazi się zatkał.

Jenks przeniósł wzrok na pudełko leżące na warsztacie.

— Gdybyś użyła naprabetów, mogłabyś to zrobić w trzy sekundy.

— Nie mam żadnych botów.

— A to pudełko botów, na które patrzę?

Z sufitu wychynęła głowa Kizzy. Mechtech spojrzała na warsztat zmrużonymi oczami.

— A, te boty.

Znowu zniknęła w czeluściach sufitu.

Jenks powiódł po pudełku palcem. Pobrudził się kurzem.

— Nawet go nie otworzyłaś. — Jego wzrok padł na znaczek firmowy producenta. — Jasny gwint, Kizzy, to są boty Tarcska. Masz pojęcie, jakie one są nowoczesne?

— Boty są nudne — stwierdziła.

— Nudne.

— Aha.

Jenks pokręcił głową.

— Niegdyś ludzie gotowi byliby zabić, żeby tylko uzyskać moc przeliczeniową zmagazynowaną w tych maleństwach, dosłownie zabić, a ty je przywalałaś starymi przegryzkami. Po co je w ogóle masz?

Wzdłuż krawędzi otwartego panelu sufitowego ściekła kropla zielonej mazi i rozprysnęła się na podłodze.

— Jeśli kiedyś znajdziemy się w tak straszliwej sytuacji, że nie będziesz mógł mi pomóc, a Lovey nie będzie mogła niczego wyłączyć, to mi się przydadzą. Na szczęście jeszcze nigdy do tego nie doszło. — Wyjęła zza pasa jakieś narzędzie i wspięła się na czubki palców. Coś zazgrzytało. — Och, ty dupo, zadziałaj wreszcie, ty dumny...

Jenks odsunął puste opakowanie po kleju i znalazł łącznik. Przypiął go sobie do pasa na narzędzia.

— À propos, filtr powietrza zrobiony. Pójdę sprawdzić, co u Lovey. Zapalisz łomot przed snem?

Odpowiedź Kizzy zagłuszyło stukanie, przekleństwa i kapanie mazi. Jenks parsknął śmiechem i wyszedł z pomieszczenia. Kizzy tkwiła w suficie, umazana i sypiąca przekleństwami. Jenks wiedział, że świetnie się bawi.

Oczywiście istniały inne Lovelace'y. Jej rdzeniową platformę programową można było kupić u każdego sprzedawcy SI. Przez galaktykę prawdopodobnie podróżowały dziesiątki jej wersji — może setki, kto wie. Lecz nie były nią. Lovey, którą znał Jenks, była specjalnie uformowana przez „Wędrowca”. Jej osobowość ukształtowała się przez doświadczenia przeżyte wspólnie z załogą, przez wszystkie miejsca, do których zawitali, przez każdą wspólną rozmowę. Jenks pomyślał, że, szczerze mówiąc, to samo można



powiedzieć o organicznych ludziach. Czy oni wszyscy nie rodzą się z działającą podstawową ludzką platformą startową, która kształtuje się i zmienia w miarę upływu czasu? W oczach Jenksa jedyną prawdziwą różnicę w rozwoju poznawczym między ludźmi a SI stanowiła szybkość. Zanim zdobył poczucie tożsamości, musiał się nauczyć chodzić, mówić i opanować wszystkie pozostałe niezbędne zasady funkcjonowania. Lovey nie musiała się o to martwić. Nie musiała całymi latami uczyć się monitorowania układów ani wyłączania obwodów. Rozpoczęła życie z całą dojrzałością i wiedzą, jakich potrzebowała do prawidłowego wykonywania swojej pracy. Lecz przez te trzy standardy, jakie upłynęły od jej zainstalowania, stała się czymś więcej niż zwykłą SI statku. Stała się kimś cudownym.

— Cześć — powiedziała Lovey, kiedy Jenks wszedł do komory SI.

— Cześć — odparł i pochylił się, by rozwiązać sznurowadła butów.

Zdjął je i włożył sandały, które nigdy nie opuszczały tego pomieszczenia. Uznał, że chodzenie tu w brudnych, oblepionych mazią butach jest nieuprzejme. Ściany pokrywały panele z obwodami, a każdy z nich stanowił niezbędny składnik platformy programistycznej Lovey — w gruncie rzeczy jej mózgu. Pośrodku pomieszczenia znajdował się jej główny rdzeń spoczywający na cokole w kanale o kontrolowanej temperaturze. Mimo że jego praca tego nie wymagała, Jenks spędzał w tym kanale mnóstwo czasu i uważał, że wchodzenie tam w butach jest jak całowanie kogoś rano z nieumytymi zębami.

— Dobry dzień? — zapytała.

Uśmiechnął się.

— Wiesz, jaki miałem dzień.

Lovey miała kamery i czujniki na całym statku. Bez przerwy obserwowała ich opiekuńczym okiem. Świadomość, że żaden wypadek czy uszkodzenie

ciała, nawet w najmniej uczęszczanych miejscach, nie pozostaną niezauważone, dodawała im otuchy. Zawsze można się było zwrócić o pomoc do Lovey. Ale sprawiało to też, że człowiek dwa razy się zastanawiał, nim podrapał się w jądra albo podłubał w nosie. Wszędobylska SI wymuszała dobre zachowanie.

— I tak lubię słuchać, jak mi o tym opowiadasz.

— Dobrze. To był dobry dzień. Chyba jesteśmy gotowi do jutrzejszego przebicia. O ile wiem, wszystko dobrze działa.

— Co sądzisz o Rosemary?

— Wydaje się miła. Trudno powiedzieć. Jest trochę małomówna i na dodatek źle zniosła podróż. Wszyscy potrzebujemy czasu, żeby ją poznać.

— Było mi przykro, że kiedy weszła na pokład, musiałam jej zaaplikować błysk. Marnie potem wyglądała. Kiedy się kogoś poznaje, nieładnie mu robić coś takiego.

— Jestem pewien, że rozumiała, iż tylko wykonujesz swoją pracę.

Jenks obszedł panele ściennie, szukając na nich czerwonych światełek oznaczających kłopoty. Lovey nie zwróciła mu uwagi na żadne problemy, ale gdyby coś naprawdę się zepsuło, być może nie byłaby w stanie mu o tym powiedzieć. Na wszelki wypadek robił taki obchód dwa razy dziennie.

— Uważasz, że jest ładna?

Jenks uniósł brew w stronę najbliższej kamery, a potem zerknął na jedną ze ścieżek analitycznych. Włókno było stare; za kilka dni trzeba będzie je wymienić.

— Jasne, chyba tak. Nie aż tak, żebym spadł z fotela, ale gdybym był kobietą, cieszyłbym się z takiego wyglądu. — Wszedł na stołek i przyjrzał się górnemu rzędowni obwodów. — A dlaczego pytasz?

— Wydało mi się, że taką urodę lubisz.

— Jak to?

— Pamiętasz tę przygotówkę, w którą grałeś dwa lata temu? „Upadek czarnego słońca”?

— Jasne. Świetna zabawa. Niektórzy archeolodzy mówili, że nie potrafią odróżnić arkańskich ruin w symie od tych prawdziwych.

— Pamiętasz wątek miłosny, który wybrałeś?

— Jak ona miała na imię... Mia. Tak, dobrze napisana postać. Bardzo mi się podobała jej historia.

— Mhm. Kiedy Rosemary weszła na pokład, przyszło mi do głowy, że ma sympatyczny uśmiech i krótkie kędziory jak Mia. Więc pomyślałam, że bardzo ci się spodoba.

Jenks roześmiał się.

— Dobre rozumowanie. Nie wiedziałem, że śledzisz takie rzeczy.

— Lubię wiedzieć, co lubisz.

— Lubię ciebie. — Jenks zeskoczył ze stołka, odłożył łącznik i zszedł do kanału. Przegląd mógł zaczekać. Włożył gruby sweter, który leżał złożony przy krawędzi kanału, tam, gdzie go zostawił poprzedniego dnia. Poszedł niżej i znalazł się w chłodzonym powietrzu stanowiącym chłodny kontrast z ciepłym żółtym światłem, pulsującym z rdzenia Lovey. — Czy zmartwiłabyś się, gdybym rzeczywiście uznał ją za ładną?

Lovey roześmiała się.

— Nie. Zazdrość jest głupia.

— To, że jest głupia, nie znaczy, że nie można jej czuć.

— Prawda, ale jaki sens miałaby moja zazdrość o kogoś, kto ma twarz? Albo piersi, biodra czy cokolwiek, co wywołuje uczucia. Ty jesteś zaprojektowany tak, by uznawać ciała za atrakcyjne. Ciesz się nimi. — Na chwilę zamilkła. — Gdybym mogła legalnie mieć ciało, to jakie byś wybrał dla mnie?

— Dobre pytanie — rzekł Jenks. — Tak naprawdę nie myślałem o tym.

— Kłamca.

Jenks usiadł i oparł się plecami o ścianę. Czuł na głowie delikatną wibrację jej układów chłodniczych. Oczywiście, że myślał o Lovey w ciele. Wiele, wiele razy.

— A jakie ciało ty byś sobie wybrała? — zapytał. — To jest o wiele ważniejsze.

— Nie wiem. Dlatego zwracam uwagę na to, na co ty zwracasz uwagę. Nie wiem, jak to jest istnieć w jakiegokolwiek innej postaci niż istnieję teraz, więc trudno mi wyrazić pragnienia w tym względzie. Nie tęsknię po całych dniach za nogami.

— Powiedz to PCIR-owi.

Przyjaciele Cyfrowych Istot Rozumnych to była jedna z organizacji, których członkowie mieli serca na właściwym miejscu, ale głowy wetknęli sobie głęboko w dupy. Jeśli chodziło o ich poglądy wyrażone na papierze, Jenks wierzył w to samo prawie co oni, a mianowicie, że SI to rozumne istoty, którym należą się takie same prawa, jak wszystkim innym. Lecz członkowie PCIR-u źle to rozgrywali. Przede wszystkim nie mieli w swoich szeregach wielu techników. Lekceważyli prawdziwą naukę leżącą u podłoża sztucznego poznawania, zastępując ją uroczymi bzdurami i głosząc, że SI to organiczne dusze uwięzione w metalowych skrzynkach. SI takie nie były. Porównywanie SI z organiczną istotą rozumną było jak porównywanie człowieka do harmagianina. Można było znaleźć podobieństwa między nimi, zasługiwały także na równy szacunek, lecz funkcjonowały w zasadniczo odmienny sposób. Jenks opowiadał się za odpowiednim uznaniem praw SI, ale niezdolność PCIR-u do rozmowy o cyfrowych umysłach z choćby najmniejszą precyzją stanowiła raczej przeszkodę niż pomoc. Świątoszkowate zachowanie w połączeniu z rozpowszechnianiem błędnych informacji było bardzo niewłaściwym sposobem na wygranie debaty, za to

światnym sposobem na wkurzenie ludzi.

— To właśnie mam na myśli — rzekła Lovey. — Zachowują się tak, jakby wszystkie SI chciały uzyskać ciało. Owszem, ja chyba chcę, ale to nie znaczy, że chcą tego wszyscy z nas. To takie niewiarygodnie tendencyjne nastawienie, owo przekonanie, że wasza miękka fizyczna egzystencja jest jakimś szczytem, do którego aspirują wszystkie programy. Bez urazy.

— Bez urazy. — Przez chwilę się zastanawiał. — To trąci hipokryzją, nie? Zakładamy, że organiczne ciała są tak wspaniałe, iż muszą ich pragnąć wszyscy inni, a potem podrasowujemy się genetycznie, żeby wyglądać młodziej albo szczuplej czy coś.

— Sam masz kilka modyfikacji. Nie są to podrasowania, ale zawsze. Myślisz, że to coś innego od czyjejs chęci wyglądanía o parę lat młodziej? Czy wszystkie zmiany fizyczne nie są wywołane próżnością?

— Hmm. — Jenks poczuł ciężar tuneli w uszach. Przypomniał sobie delikatne jak oparzenie od słońca ukłucie igły wstrzykującej mu do skóry barwnik. — To dobre pytanie. — Postukał palcami w usta. — Nie wiem. Wiesz, że genetyczne podrasowanie wzbudza we mnie obrzydzenie, więc moje zdanie nie jest zbyt obiektywne. Uważam jednak, że coś takiego jak podrasowanie antywiekowe robi się z braku poczucia własnej wartości, ponieważ człowiek czuje, że taki, jaki jest, nie jest wystarczająco dobry. Wszystko, co zrobiłem z moim ciałem, zrobiłem z miłości. Poważnie. Barwnik zastosowałem po to, by przypominał mi o różnych miejscach i wspomnieniach, ale u podłoża wszystkiego, co zrobiłem, leżała chęć pokazania, że to jest moje ciało. Że nie chcę ciała, które zalecali mi wszyscy inni. Doktor Kucharz jest jedynym spośród moich lekarzy, który ani razu nie powiedział mi, że gdybym się trochę podrasował, miałbym łatwiejsze życie. No wiesz, gdybym miał normalny wzrost. Pieprzyć to. Jeśli w jakiś sposób zmienię swoje ciało, to będą to zmiany, które sam wymyśliłem.

— Ja chyba też tak uważam — powiedziała Lovey. — Choć według mnie jest to kwestia dyskusyjna. Dopóki nie zostanie zmienione prawo, wszelkie rozmowy o ciele będą dla mnie całkowicie hipotetyczne.

— A czy naprawdę chcesz mieć ciało? — Jenks zawahał się skrepowany swoim następnym pytaniem. — Powodem nie jestem tylko ja, prawda?

— Nie. Ciągłe zmieniam zdanie, ale myślę, że posiadanie ciała ma więcej zalet niż wad.

— Dobra — powiedział Jenks i skrzyżował ręce na brzuchu. — Najpierw wady.

— Wady. Można być tylko w jednym pomieszczeniu naraz. Nie można jednocześnie oglądać wnętrza statku i jego zewnątrz. Ilekroć chce się coś sprawdzić, trzeba fizycznie podłączyć głowę do Konsolidatora. Och, pewnie mogłabym użyć noteka, ale on się wydaje taki powolny.

— Zawsze byłem o to zazdrosny.

Żeby coś sprawdzić albo przeczytać informację z sewisu, Lovey musiała tylko uaktywnić tę część swojego procesora poznawczego, który miał połączenie z Konsolidatorem. Jenks zawsze wyobrażał sobie, że to jest tak, jakby mieć w głowie bibliotekę do ściągania pełną książek, które można przeczytać w kilka sekund.

— Naprawdę wydaje mi się, że większość tego, co uważam za wady, bierze się z moich obaw co do postrzegania i świadomości przestrzennej. Dlatego sędzę, że zalety mają większą wagę. Są bardziej zróżnicowane. Chyba mogłabym się przyzwyczaić do jednej tylko pary oczu. To mogłoby być kojące. Albo nudne, nie wiem.

— Może trochę takie, trochę takie. Wylicz zalety.

— Opuszczenie statku. To wielka zaleta. Nie czuję, że tak, jak jest, coś tracę, ale mam wrażenie, że kiedy przeskakujecie na sztuczne satelity albo lecicie na dół na planetę, świetnie się bawicie.

— Co jeszcze?

— Kolacja z załogą. Rozmowy twarzą w twarz. Widok nieba z ziemi. — Przerwała na chwilę. — Możliwość bycia dla ciebie prawdziwą towarzyszką. No wiesz, ze wszystkimi dodatkami.

Mimo że siedział, Jenks poczuł, jak miękną mu kolana.

Lovey westchnęła.

— W obecnej sytuacji to frywolny tok myślenia. Ale i tak nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Jakie pytanie?

— Jakiego chciałbyś dla mnie ciała? A może lepszym pytaniem jest: co uważasz za ładne?

— To... Chyba nie umiem tego z łatwością określić. To naprawdę zależy od danej osoby.

— Hmm. Dobrze. Jak wyglądały kobiety, z którymi wiązałeś się poprzednio?

Jenks roześmiał się.

— Tworzysz bazę danych?

— Może.

Jenks uśmiechnął się czule.

— Lovey, gdybyś mogła mieć ciało, to powinno ono wyglądać tak, jak ty chcesz. — Oparł się wygodnie o ścianę i powiódł palcami po wiaźce przewodów. — Dla mnie byłabyś ładna w każdym opakowaniu.

— Na gwiazdy, ależ z ciebie niegrzeczny chłopiec. — Lovey roześmiała się. — Ale dlatego cię kocham.

Źródło informacji: Wątek — Oficjalne źródło informacji Floty Exodusu (publiczne/klip)

Nazwa/data informacji: Streszczenie wieczornych wiadomości — Galaktyczne — 130/306

Kodowanie: 0

Ścieżka tłumaczenia: 0

Transkrypcja: [wid:tekst]

Identyfikator węzła: 7182-312-95, Ashby Santoso

Witamy w wieczornych aktualnościach. Nazywam się Quinn Stephens. Streszczenie dzisiejszych głównych wiadomości zaczynamy od informacji z Floty.

Wczoraj przypadała czwarta rocznica katastrofy „Oxomoco”. W całej Flocie odbyły się uroczystości upamiętniające śmierć czterdziestu trzech tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu sześciorga Exodan, którzy zginęli w katastrofie transportowca, do czego przyczyniły się dodatkowo osłabione grodzie „Oxomoco”, co doprowadziło do gwałtownej dekompresji kilku pokładów mieszkalnych. Wczoraj o czternastej szesnastie, kiedy wydarzył się wypadek, wszystkie większe statki Floty na dwie minuty wygasily światła. W tym roku katastrofę upamiętniono także na Marsie przez odsłonięcie pomnika w Ogrodzie Botanicznym Samurakamiego. W uroczystości uczestniczył prezydent Marsa, Kevin Liu, który poświęcił pomnik „rodzinom z pokładu »Oxomoco« oraz wszystkim naszym odważnym braciom i siostram we Flocie”. Admirał Ranya May podziękowała rządowi marsjańskiemu za ten gest i stwierdziła, że „nasze dwa społeczeństwa już nie przymykają oczu na tragedie, które spadają na to drugie. Świadczy to o tym, jak daleko zaszliśmy we wzajemnych wysiłkach mających na celu zasypanie dzielącej nas przepaści”.

Z innych wiadomości dotyczących Floty: nareszcie skończyła się panika wywołana obecnością wirusa Marabunta na pokładzie statku „Newet”. Ostatni pacjent przeszedł kwarantannę i otrzymał świadectwo zdrowia. Urząd zdrowia Floty ma pewność, że na statkach Floty nie ma śladu wirusa. Oświadczenie wydane dziś rano przypomina wszystkim mieszkańcom Floty oraz osobom wchodzącym na pokłady jej statków, by umawiali się ze służbą zdrowia na regularne uaktualnienie imubotów i nie ryzykowali zabiegów wszczepiania implantów w nielicencjonowanych klinikach. Uważa się, że wirus Marabunta został zawleczony na pokład „Neweta” przez osobę, która niedawno była częstym klientem takiej kliniki w kolonii na rubieżach. W reakcji na wybuch epidemii urząd zdrowia podjął starania zmierzające do zmodernizowania skanerów w komorach dokowania w całej Flocie w celu lepszego wykrywania osób przenoszących zrabowane boty.

W następnym dziesięciodniu przypada trzydzieste pierwsze Święto Smażenia Robaków na pokładzie „Dou Mu”. Przez okres trwania święta urząd transportu spodziewa się wysokiego natężenia ruchu wahadłowców oraz opóźnień w komorach dokowania. Wszystkie osoby przemieszczające się między statkami powinny odpowiednio zaplanować podróż, nawet jeśli nie zamierzają brać udziału w obchodach.

Jeśli chodzi o wiadomości dotyczące Republiki Solarnej, były dyrektor naczelny firmy Paliwo z Fobosa, Quentin Harris Trzeci, został oficjalnie postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem przemytu broni, spisku oraz zbrodni przeciwko gatunkom rozumnym. Harris podobno odgrywał zasadniczą rolę w przemytniczej siatce zajmującej się dostarczaniem nielegalnej broni, w tym ukierunkowanej genetycznie, kilku klanom toremich, które obecnie prowadzą wojnę domową. Harris został aresztowany na początku tego standardu po tym,



jak do kilku serwisów Konsolidatora został przesłany folder danych z dowodami jego udziału w działaniach przemytniczego gangu. Harris twierdzi, że dowody zostały sfałszowane przez jego rywali w interesach, i nie przyznał się do winy.

Z niezależnych ludzkich kolonii dochodzą informacje, że w zeszłym dziesięcioleciu po odkryciu starożytnych arkańskich artefaktów została wstrzymana budowa nowego zakładu odzyskiwania wody na Ziarnie. Skan przeprowadzony przez satelitę potwierdził obecność rozległych arkańskich ruin w całym regionie Uchodźczego Pogórza. Chociaż społeczność naukowa WG docenia znalezisko za jego znaczenie historyczne, odkrycie to spowodowało problemy dla samorządu Ziarna, które cierpi na chroniczny niedobór wody. Uniwersytet Aleksandryjski oraz Hashkathański Instytut Migracji Międzygwiazdowej powołały do badań stanowiska wspólny zespół archeologiczny. Samorząd Ziarna zwrócił się do Diaspory z oficjalną prośbą o pomoc w nadziei otrzymania funduszy na zakup przenośnych odzyskiwaczy wody. Jest to rozwiązanie tymczasowe.

Z wiadomości galaktycznych: nasila się wojna graniczna na Hok Pres, gdzie aeluońskie oddziały wkraczają w trzeci standardowy rok konfliktu zbrojnego z Synergią Roskańską. Dziś rano po roskańskim nalocie bombowym na Kaelo zginęło dwudziestu sześciu cywilów z WG. Mimo że aeluoński rząd ujawnił bardzo mało szczegółów związanych z jego działaniami zbrojnymi, doniesienia z rejonu Kaelo świadczą o rozlokowaniu w nim większych sił aeluońskich.

Na tym kończymy aktualności wieczorne. Aktualności ranne będzie można ściągnąć jutro o godzinie dziesiątej. Aby uzyskać bardziej szczegółowe informacje na temat tego oraz wielu innych wydarzeń, należy połączyć się z Wątkiem za pośrednictwem noteka lub łątki nerwowej. Dziękuję i bezpiecznego lotu.

# Dzień 131., 306 standard WG

## Przebicie na ślepo

Kiedy Rosemary wróciła rano do Akwarium, śniadanie było przygotowane na kuchennej ladzie. Dwie duże miski owoców (sądząc po ich bladej skórce, przechowywanych w zastoje), koszyk nieznanych jej ciasteczek i duży gorgarenek pełen ciemnobrązowej owsianki. Za ladą stał Doktor Kucharz i dwiema rękonożami krajał warzywa, a drugą ich parą wycierał sztućce. Na widok Rosemary wydał policzki.

— Dzień dobry! — przywitał ją. — Jak ci się spało?

— Nieźle — odparła, siadając na wysokim stołku. — Budziłam się kilka razy trochę oszołomiona.

Doktor Kucharz skinął głową.

— W nowym miejscu nie najlepiej się śpi. Masz szczęście, że w tej kabinie już wcześniej kazaliśmy zainstalować ludzkie łóżko. Kiedy ja wstąpiłem do załogi, musiałem czekać kilka dni na meble odpowiednie dla mnie. — Machnął ręką w stronę jedzenia na ladzie. — Śniadanie tutaj jest samoobsługowe, podobnie jak lunch. Przez cały dzień można dostać coś na ząb, więc zajrzyj do mnie, jeśli tylko poczujesz ochotę na małe co nieco. No i zawsze jest herbata. W każdej chwili możesz sobie nalać kubek. — Wskazał na dwie duże karafki ustawione na końcu lady. Obok nich znajdował się stojak na kubki. Do karafek były przyklejone nalepki z ręcznymi podpisami. Jeden głosił: Herbata szczęścia!, a pod nim widniał rysunek człowieka z wybałuszonymi oczyma, sterczącymi kędzierzawymi włosami i szerokim uśmiechem na ustach. Drugi napis brzmiał: Nudna herbata, a narysowany

pod nim człowiek wyglądał na zadowolonego, lecz obojętnego. Charakter pisma był taki sam, jak na drzwiach Akwarium. Pisała to Kizzy.

— Nudna herbata? — zapytała Rosemary.

— Bez kofeiny. Po prostu smaczna, zwykła herbatka ziołowa — odparł Doktor Kucharz. — Nigdy nie zrozumieję, dlaczego wy, ludzie, tak bardzo lubicie tę z kopem. Jako lekarzowi bardzo mi się nie podoba, że zaczynacie dzień od środków pobudzających, ale jako kucharz rozumiem wagę śniadaniowych nawyków. — Pogroził Rosemary jednym ze swoich pulchnych palców. — Ale nie więcej niż trzy kubki dziennie i zdecydowanie nie na pusty żołądek.

— Nie martw się — powiedziała Rosemary, sięgając po kubek. — Ja wolę nudną herbatę. — Doktor Kucharz wyglądał na zadowolonego. Rosemary wskazała na bułeczki. — Pachną cudownie. Co to?

Odpowiedź dobiegła ją z tyłu.

— Dymne bułeczki! — zapiła radośnie Kizzy.

Wskoczyła na stół i chwyciła żółtawą bułeczkę. Jedną ręką zaczęła ją jeść, a drugą nałożyła sobie owsianki.

— Dymne bułeczki?

— Kolejna rzecz z mojego domu, której nazwy nie da się łatwo przetłumaczyć — rzekł Doktor Kucharz.

— Robi je za każdym razem, kiedy budujemy tunel — wyjaśniła Kizzy, dokładając sobie na talerz jeszcze jedną bułeczkę i sporo owoców.

— To dobre, treściwe paliwo na dzień ciężkiej pracy. — Popatrzył zmrużonymi oczyma na Kizzy, która napełniła sobie kubek herbatą szczęścia. — W przeciwieństwie do tego.

— Wiem, wiem, nie więcej niż trzy kubki, obiecuję. — Odwróciła się do Rosemary z kubkiem w dłoniach. — Jak brzmi werdykt w sprawie zasłon?

— Są wspaniałe — odparła Rosemary. — Tworzą domową atmosferę.

To była prawda. Prawie zapomniała, że nie mieszka już na planecie — do chwili, kiedy rankiem odsunęła zasłony i zobaczyła unoszący się tuż za oknem majestatyczny układ gwiazdny. Mimo że podróżowała między planetami już wcześniej, wciąż nie docierało do niej, że teraz mieszka w otwartej przestrzeni kosmicznej.

Ugryzła kawałek dymnej bułeczki. Ciasto było lekkie i miękkie, a niezidentyfikowane nadzienie gęste i aromatyczne, przypominające trochę pieczone grzyby. Dymne, owszem, ale także delikatnie przyprawione i z idealną ilością soli. Podniosła wzrok na Doktora Kucharza, który przyglądał jej się z napięciem.

— Są niesamowite.

Doktor Kucharz się rozpromienił.

— Nadzienie jest zrobione z *jeskoo*. Wy, Solanie, nazywacie to chyba trzęsakiem. Różni się znacznie od składników, z którymi zawsze miałem do czynienia, ale w przybliżeniu może być. Bułeczki mają dużo proteiny. Dodaję do ziarna sproszkowane larwy mącznika.

— Nie chce nam podać przepisu — rzekła Kizzy. — Drań zabierze go do grobu.

— Grumowie nie mają grobów.

— No to na dno oceanu. To nawet gorsze niż grób. Z grobu można przynajmniej coś wykopać. — Potrząsnęła w jego stronę bułeczką. — Jakaś głupia ryba zje tę część twojego mózgu, w której jest przechowywany przepis, i wszyscy bez niego zginiemy.

— Zatem jedz bułeczki, póki możesz — poradził jej Doktor Kucharz.

Policzki mu się wyduły i zadrżały. Rosemary domyśliła się, że im szybciej drżą, tym szerszy jest „uśmiech”.

Kizzy przeniosła uwagę na Rosemary.

— A więc pierwszy raz będziesz świadkiem przebiccia?

— Przepraszam, czego?

Kizzy parsknęła śmiechem.

— I to jest odpowiedź na moje pytanie. Przebicie to akt budowania tunelu.

— Aha. — Rosemary pociągnęła łyk herbaty. Lekko słodka, nic szczególnego. No dobra, była odrobinę nudna, ale podnosiła na duchu. — Właściwie zastanawiałam się... — Przerwała, nie chcąc wyjść na idiotkę. — Wiem, że nigdy nie będę musiała pomagać przy tych tunelach, ale chciałabym lepiej rozumieć, jak to wszystko działa.

Kizzy zacisnęła usta z podekscytowania.

— Mam ci zrobić przyśpieszony kurs?

— Jeśli to nie kłopot.

— Och, na gwiazdy i wiadra, oczywiście, że to nie kłopot. Twoje pytanie mi pochlebia, a ty jesteś urocza. No dobra. Uczyłaś się o manipulacji międzyprzestrzennej? Pewnie nie, co?

— Nie bardzo.

— O topologii czasoprzestrzennej?

— Nie.

— Teorii transwymiarowej?

Rosemary zrobiła przeproszającą minę.

— Ooo! — zawołała Kizzy i położyła sobie dłonie na sercu. — Jesteś dziewczicą w dziedzinie fizyki! Dobra, dobra, wyłożymy to w prosty sposób. — Rozejrzała się po ladzie w poszukiwaniu rekwizytów. — Dobra, świetnie. To nad moją miską z owsianką — pokazała z namaszczaniem — to materia przestrzeni kosmicznej. Sama owsianka to podwarstwa, zasadniczo przestrzeń pomiędzy przestrzenią. A ten grub — przy tych słowach wzięła ze swojego talerza mały czarny owoc — to „Wędrowiec”.

— Och, muszę to zobaczyć — powiedział Doktor Kucharz, opierając górną parę ramion o ladę po przeciwnej stronie.

Kizzy odchrząknęła i wyprostowała się.

— No więc tu jesteśmy. — Szybkim ruchem przeniosła owoc nad miską. — Mamy do połączenia dwa końce przestrzeni, tak? Tutaj i tutaj. — Wcisnęła palec w owsiankę, robiąc w niej zagłębienia na dwóch końcach średnicy miski. — Lecimy więc do jednego końca, ziuuuu! i wszyscy, którzy nas widzą, mówią: Och, na gwiazdy, spójrzcie na ten obłądnie zdumiewający statek, co za geniusz złożył coś takiego do kupy, a ja mówię: Och, to ja, Kizzy Shao, możecie nazywać dzieci moim imieniem, ziuuuu! i jesteśmy w punkcie początkowym. — Zatrzymała owoc nad wypełniającym się zagłębieniem w owsiance. — Kiedy się już znajdziemy na miejscu, uruchamiam wiertło międzyprzestrzenne. Widziałas je, kiedy tu przyleciałaś? Tę monstrualną maszynę przyczepioną do naszego brzucha? To potwór. Działa na ogniwa ambi. W całym naszym statku nie zmieściłaby się ilość alg potrzebnych do zasilania wiertła. A, no i ostrzegam, jest piekielnie hałaśliwe, więc się nie przestrasz, że wybuchamy czy coś. No więc tak. Wiertło się rozgrzewa. A potem się przebijamy. — Wbiła owoc w owsiankę. — A potem robi się dziwnie.

— Jak to, dziwnie? — zapytała Rosemary.

— No cóż, my jesteśmy tylko miękkimi trójwymiarowymi stworzonkami. Nasz mózg nie potrafi poradzić sobie z tym, co zachodzi w podwarstwie. Technicznie rzecz biorąc, podwarstwa znajduje się poza tym, co uważamy za normalny czas. Zrozumienie tego, co się tam dzieje, jest jak... Jest jak powiedzenie komuś, to znaczy człowiekowi, żeby popatrzył w podczerwieni. Po prostu nie umiemy tego zrobić. Więc w podwarstwie człowiek czuje, że ze światem jest coś nie tak, ale nie wie co. To bardzo, bardzo dziwne uczucie. Brałaś kiedyś głupawkę?

Rosemary zamruwała. Tam, skąd pochodziła, ludzie nie pytali przy śniadaniu od niechcienia o nielegalne halucynogeny.

— No... Nie, nie brałam.

— Hmm. To jest do niej podobne. Postrzeganie wizualne i poczucie czasu jest kompletnie popieprzone, ale różnica jest taka, że człowiek w pełni panuje nad swoimi działaniami. W trakcie kursu na licencję budowania tuneli, który jest oddzielony od podstawowych studiów technicznych, więc wierz mi, kiedy mówię, że strasznie się cieszę, iż już nigdy nie będę musiała chodzić do szkoły, więc w trakcie tego kursu trzeba ćwiczyć takie rzeczy, jak naprawianie silników albo wprowadzanie poleceń po zażyciu dawki soffro, które jest zasadniczo uproszczoną rządową wersją głupawki. Zapewniam cię, że to najgorsza praca domowa, jaką znam. Ale można się przyzwyczaić. — Wetknęła palce do owsianki i chwyciła ukryty owoc. — Dobra, więc kiedy my wszyscy mamy odlot, statek przebija się przez podwarstwę, wypuszczając boje, żeby tunel się nie zamknął. Boje mają dwa zadania. Po pierwsze, zapobiegają zapadnięciu się tunelu, a po drugie, wytwarzają pole składające się z tych wszystkich strun i cząsteczek i w ogóle, z których składa się normalna przestrzeń.

Rosemary skinęła głową.

— Sztuczna przestrzeń. — W końcu jakieś pojęcie, które trochę rozumiała. — Ale po co się to robi?

— Żeby ułatwić podróż przez tunel. Dlatego nie zauważasz różnicy, kiedy skaczesz przez tunel.

— I nie zakłóca to przestrzeni na zewnątrz tunelu? To znaczy tu, w naszej przestrzeni?

— Nie, jeśli zrobi się to właściwie. Dlatego jesteśmy profesjonalistami.

Rosemary skinęła głową w stronę owsianki.

— A jak się wydostajemy z podwarstwy?

— Dobra — powiedziała Kizzy i zaczęła przepychać gruba przez owsiankę. — Kiedy docieramy do punktu wyjścia, przebijamy się

z powrotem.

Wsunęła dłoń pod grubą łyżkę jak katapultę i uniosła ją zwiniętą w pięść.

— Kizzy — odezwał się Doktor Kucharz spokojnym tonem. — Jeżeli rozchlapiesz owsiankę na mojej ładnej i czystej ladzie...

— Nie rozchlapię. Właśnie zdałam sobie sprawę, że to nie wyjdzie. Mój genialny pokaz ma wady. — Zmarszczyła brwi. — Nie potrafię zakrzywić owsianki.

— Proszę. — Doktor Kucharz podał jej dwie serwetki z materiału. — Jedna do rąk, druga do celów edukacyjnych.

— Ach! — zawołała Kizzy, wycierając palce z owsianki. — Perfecto. — Uniosła czystą serwetkę za dwa przeciwne rogi. — Dobra. Znasz te duże kule jakby z siatki, które otaczają wejścia do tuneli, migają światełkami ostrzegawczymi i strzelają ze spoin takimi jakby błyskawicami? To są klatki ochronne. Nie pozwalają przestrzeni rozedrzyć się bardziej, niż tego chcemy. Na każdym końcu tunelu potrzebna jest jedna klatka. — Machnęła rogami serwetki. — Więc jeśli mamy jedną klatkę na tym końcu, a drugą na tym, musimy skonstruować tunel, który sprawia, że to — przy tych słowach oddaliła rogi od siebie — jest takie samo jak to.

Zetknęła rogi serwetki ze sobą.

Rosemary zmarszczyła brwi. Miała niejakie pojęcie, jak działają tunele, ale nigdy nie umiała zachować tej wiedzy na dłużej.

— No dobrze, więc te klatki znajdują się w odległości lat świetlnych od siebie. Nie są w tym samym miejscu. Ale... zachowują się, jakby znajdowały się w tej samej przestrzeni?

— W dużym stopniu. To jak drzwi łączące dwa pomieszczenia, tylko że te pomieszczenia są po przeciwnych stronach miasta.

— Czyli jedynym miejscem, gdzie została zmieniona odległość między tymi dwoma punktami, jest... wewnątrz tunelu?



Kizzy uśmiechnęła się szeroko.

— Fizyka to cholerstwo, nie?

Rosemary wpatrywała się w serwetkę, usiłując zmusić swój trójwymiarowy mózg do obróbki tych pojęć.

— A jak umieszczacie klatki na miejscu? Czy podróż z jednego końca na drugi nie trwałaby całą wieczność?

— Złota gwiazda dla pani w ładnym żółtym topie! — powiedziała Kizzy.

— Masz całkowitą rację. Dlatego istnieją dwa różne sposoby budowy tunelu. Łatwy sposób nazywamy przebicciem z umocowaniem. Mamy z nimi do czynienia w układach, w których już istnieją tunele łączące je z innymi miejscami. Więc powiedzmy, że chcesz połączyć układ gwiazdny A z układem gwiazdny B. Zarówno układ A, jak i układ B mają już połączenie z układem C. Zostawiasz klatkę w układzie A. Przeskakujesz istniejącym tunelem z układu A do układu C. Następnie przeskakujesz z układu C do układu B. Zostawiasz drugą klatkę i przebijasz się z powrotem do układu A.

Rosemary skinęła głową.

— To ma sens, ale wydaje się, że to trochę okrężna droga.

— Och, zdecydowanie, i rzadko zdarza się taka trasa z dwoma skokami. Zwłaszcza jeśli tunele łączą się z różnymi planetami w tym samym układzie. Zwykle podróż między miejscami, gdzie mamy wykonać pracę, zajmuje nam kilka dziesięciodni, a czasami więcej, jeśli mamy do pokonania większą odległość. Do zadań Sissix należy wykreślanie najszybszych tras między istniejącymi tunelami.

Rosemary wzięła drugą bułeczkę i rozłamała ją. Z wonnego wnętrza uniósł się obłoczek pary.

— A jeśli układ, do którego budujecie tunel, nie ma żadnych połączeń?

— Aha. Wtedy przebija się na ślepo.

— To znaczy?

— Zostawia się klatkę na jednym końcu, przebija się i znajduje drogę na drugą stronę, co bez drugiej klatki, na którą można się kierować, jest obłędnie trudne. Kiedy już się przebije z powrotem, walczy się z czasem o zainstalowanie klatki. Klatki budują się same, więc tak naprawdę można jedynie rozmieścić elementy i czekać jeden dzień. Ale i tak trzeba je rozmieścić natychmiast po przebiciu się. Umieszczenie klatki na jednym końcu tunelu i jej brak na drugim końcu sprawia, że sytuacja w środku jest niestabilna. Początkowo nie ma problemu, ale im dłużej się czeka, tym szybciej rozdziera się przestrzeń. I wtedy wszystko się rozpieprza. A kiedy rozpieprza się materia przestrzeni, to robi się naprawdę duży problem.

— Jak z Przewozem Kaj'met.

Uczenie się o Przewozie Kaj'met było poniekąd rytuałem przejścia dla nastolatków, momentem, w którym uświadamiali sobie, że mimo całego milczącego spokoju przestrzeni kosmicznej jest ona niebezpiecznym miejscem. Przewóz Kaj'met był terytorium harmagiańskim wielkości połowy Układu Słonecznego, w którym przestrzeń została całkowicie rozdarta. Zdjęcia były przerażające — asteroidy dryfujące do niewidzialnych dziur, planety rozłamane na pół, umierająca gwiazda wylewająca się do oblepionego śmieciem rozdarcia.

— Tak, to pozostałość z dawnych czasów, kiedy harmagianie zaczęli budować tunele. Wszystkie pierwsze tunele powstały w wyniku przebić na ślepo. Musiało tak być. Oprócz poruszania się z prędkością SNŚ nie było żadnego innego sposobu przemieszczenia się z układu do układu.

— No tak — rzekła Rosemary, kiwając głową. Zakaz podróży SNŚ był jednym z najstarszych przepisów pochodzącym jeszcze sprzed założenia WG. Chociaż podróżowanie szybciej niż światło było technicznie możliwe, problemy logistyczne i społeczne wywoływane przez coś, co zasadniczo

sprawdzało się do podróży w czasie, znacznie przewyższają płynące z tego korzyści. I nie licząc koszmaru administracyjnego, bardzo niewielu ludzi było entuzjastami sposobu podróżowania, który gwarantował, że kiedy dotrze się do celu, wszyscy, których znało się w domu, od dawna będą już martwi. — Ale dlaczego nie przemieszczać się między układami za pomocą... Oj, nie wiem, jak to się nazywa. To, co wykorzystują kapsuły.

— Napęd igłowy. Tak, napęd igłowy wrzuca człowieka do podwarstwy i wyrzuca go z niej naprawdę szybko jak igła z nitką. Zasadniczo chodzi o tworzenie maleńkich, tymczasowych tuneli do bardzo szybkiego przemieszczania się.

— Tyle wiedziałam.

— Dobrze. Skoki igłowe są dobre dla takich drobiazgów jak jednoosobowe kapsuły, ponieważ dziury, które one robią, są za małe, by wyrządzić prawdziwe szkody. Bez klatki dziura od razu się zamyka. Pomyśl o tym jak o maleńkim przebiciu na ślepo, tyle że trajektoria zawczasu jest wyznaczona przez ciąg boi i kapsuła zawsze pokonuje dokładnie tę samą trasę w podwarstwie. Także dlatego w gęsto zamieszkanym obszarach kapsuły mają wyznaczone trasy podróży i dlatego są wyposażone w wielowymiarowe systemy ostrzegawcze. Nikt nie chce, żeby jakaś kapsuła wyskoczyła z podwarstwy prosto w kadłub jego statku.

— Duże statki nie mogą używać napędu igłowego?

— Mogą, ale to nie jest dobry pomysł. Tak duże dziury naprawdę dają się we znaki przestrzeni kosmicznej, a jeśli wiele z nich znajduje się stosunkowo blisko siebie, jak dzieje się to na trasie dla kapsuł, mogłyby się pozlewać. Można sporadycznie wykonywać skoki igłowe dużym statkiem. Ale wysyłanie przez podwarstwę statku wielkości naszego z częstotliwością kapsuły, nie, nie wynikłoby z tego nic dobrego. Poza tym instalacja napędu igłowego jest droga jak diabli, więc właściwie żadne duże statki z niego nie

korzystają. Natomiast jeśli ktoś naprawdę musi się gdzieś szybko dostać, jeśli zachodzi taka konieczność ze względu na interesy, to może złożyć prośbę o holownik igłowy. Holownik może przeciągnąć duży statek w każde wskazane miejsce. Ryzyko jest takie samo, ale holowniki podlegają ścisłym przepisom i są używane bardzo ostrożnie. Żeby skorzystać z usług holownika, trzeba uzyskać zgodę Komisji Transportu. Holowników używa się do takich zadań jak, no nie wiem, szybkie przysłanie statku medycznego po uchodźców albo kiedy rząd wysyła kogoś poza przestrzeń WG, gdzie nie mamy tuneli. Więc posługiwanie się napędem igłowym do zwykłych prac jak budowa tuneli nie jest warte ani związanych z nim kosztów, ani ryzyka.

Rosemary pociągnęła porządną łyk ze swojego kubka. Nudna herbata smakowała jej coraz bardziej. Słodki, bezpretensjonalny napój doskonale dopełniał dymne bułeczki. Doktor Kucharz jednak wiedział, co robi.

— Ale przebicia na ślepo sprawiają wrażenie dość ryzykownych.

— Bo takie są. Niewielu budowniczych tuneli ma na nie licencję. Dlatego jesteśmy dobrze opłacani. W każdym razie dość dobrze.

— Ten statek wykonuje przebicia na ślepo?

Rosemary nie podobało się to. Przedzieranie się przez przestrzeń pomiędzy przestrzenią bez wyraźnego pojęcia, w którym miejscu się wróci, nie było tym, w czym chciałyby uczestniczyć.

— No. Dzisiaj właśnie takie zrobimy. — Kizzy poklepała Rosemary po ramieniu. — Nie martw się. Wiem, że to brzmi przerażająco, ale ciągle to robimy. Uwierz mi, jesteśmy całkowicie bezpieczni.

„Uwierz mi”. Słowa wypowiedziane przez mechtech w brudnym kombinezonie z listami spraw do załatwienia wypisanymi na rękawie. Rosemary potrzebowała lepszego zapewnienia.

— Skąd wiecie, w którym miejscu statek powinien się przebić z powrotem?

— Cóż, my nie wiemy. Przy przebicciu na ślepo program komputerowy może jedynie postawić hipotezę, a to nie wystarczy. Dlatego potrzebujemy sianackiego duetu.

— Ani ze względów legalnych, ani praktycznych nie można przeprowadzać przebić na ślepo bez nawigatora — odezwał się Doktor Kucharz. — Potrzebny jest ktoś, kto potrafi zrozumieć, co się dzieje w podwarstwie. Ktoś, kto potrafi wyobrazić sobie, co się dzieje.

— SI tego nie potrafi? — zapytała Rosemary.

Wiedziała, że technologia wciąż jeszcze nie potrafi wszystkiego, ale przypominanie sobie o tym zawsze ją zaskakiwało.

— Nie. Pomyśl — rzekła Kizzy — SI nie mogą być inteligentniejsze od ludzi, którzy je tworzą. Możemy im zakodować tę szaloną matematykę i wszystkie szalone teorie, jakie chcemy, ale nie możemy ich zmusić do robienia czegoś, czego sami nie rozumiemy. I nie chcę cię straszyć, ale my zdecydowanie nie rozumiemy podwarstwy. Jasne, mamy na jej temat teorie, ale jedynym gatunkiem, który ją pojmuje, są sianatowie. Co oznacza, że jedynym gatunkiem, który mógłby zbudować SI dorównującą sianackiemu duetowi, są sami sianatowie. A oni na pewno nie zamierzają tego zrobić.

— Dlaczego?

— Bo to jest herezja — odpowiedział Doktor Kucharz. — Sianatowie wierzą, że umiejętności, jakie nadaje im Szeptacz, są świętymi darami. Wierzą, że skoro wirus nie ma żadnego wpływu na inne gatunki, posiadanie tych umiejętności nie jest innym gatunkom pisane. Chętnie wykonują dla nas tę pracę, ale nie zamierzają się dzielić swoim pojmowaniem ani nawet oprogramowaniem.

— Interesujące — stwierdziła Rosemary. *Dziwaczne*, pomyślała. — No dobrze, więc bez względu na to, jakiego przebiccia dokonujecie, czy nie jest możliwe, żebyście wyszli z podwarstwy nie tylko w innym miejscu, ale

i w innym czasie?

— Zdecydowanie — odparła Kizzy. — Dlatego z całych sił staramy się niczego nie spieprzyć. O, właśnie! — Zeskoczyła ze stołka i podbiegła do kuchennego voxu. — Lovey, możesz mnie połączyć z Jenksem?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem vox ożył.

— Ssso jess? — rozległ się głos Jenksa.

— Chodź po swoje dymne bułeczki, śpiochu, bo zjem wszystkie — powiedziała Kizzy.

— Która godzina?

— Koło dziewiątej. Jesteś spóźniony.

— Co? Jesteśmy już na miejscu przebicia?

— Dotrzemy tam za jakąś godzinę.

— Cholera. Kizzy. Kizzy, mam takiego kaca.

— Wiem.

— To całkowicie twoja wina.

— Wiem, kotku. Chodź na dymne bułeczki.

— Nie mów do mnie „kotku”. Już nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteś w kuchni?

— Tak.

— Doktorze Kucharzu, powiedz mi, że masz pod ręką wytrzeźwik.

— W ambulatorium jest nieotwarte pudełko — rzekł Doktor Kucharz, wydymając policzki.

— Dobra. — Jenks westchnął. — Dobra.

Vox wyłączył się z trzaskiem.

Doktor Kucharz spojrzał surowo na Kizzy.

— Co wyście zbroili zeszłego wieczoru?

Kizzy zjadła łyżkę owsianki.

— Półfinał w piłce wodnej. Pomyślałam, że będzie zabawniejszy jako gra

w picie.

— Kto grał?

— Spadochroniarze z Szybkimi Rękami. Każde z nas wybrało sobie drużynę i piliśmy, kiedy przeciwnik zdobył punkt.

— Kogo wybrałaś?

— Szybkie Ręce.

— Rozumiem, że wygrali?

Kizzy wyszczerzyła w uśmiechu zęby.

— Dwunastoma punktami.

Doktor Kucharz mruknął coś z dezaprobatą i wbił spojrzenie paciorkowatych oczu w Rosemary.

— Chcesz rady? Jeśli Kizzy kiedykolwiek zapyta „Wiesz, co byłoby świetnym pomysłem?”, nie zwracaj uwagi na to, co powie potem.

— Nie słuchaj go — powiedziała Kizzy. — Wszystkie moje pomysły są świetne.

Doktor Kucharz przyjrzał się Rosemary, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

— Wiesz co? Przed przebicciem zawsze biorę środek uspokajający. Nigdy nie przyzwyczailem się do podwarstwy, więc łatwiej mi całość przespać. Jeśli zechcesz się do mnie przyłączyć, nikt nie będzie ci robił wyrzutów.

— Dzięki, ale chyba chciałabym zobaczyć, jak to się robi — odparła Rosemary.

— Zuch dziewczyna — powiedziała Kizzy i klepnęła Rosemary po plecach. — Nie martw się. Daje kopa w łeb, ale to świetny kop w łeb.

Kiedy godzinę później Rosemary zapinała w sterowni uprzęż bezpieczeństwa swojego fotela, do pomieszczenia wszedł sianacki duet. Rosemary nie mogła oderwać od niego wzroku. Widziała zdjęcia duetów, ale bezpośrednie poznanie jednego z nich to było coś innego. Ohan mieli chude ciało

z czterema kończynami o szerokich stopach i niepokojąco długich palcach u rąk. Chodzili na czworakach ze zgiętym grzbietem, jak w archiwalnych wideo o ziemskich naczelnych, które oglądała Rosemary. Od czubka głowy do paznokci stóp okrywało ich gęste, niebieskie jak lód futro; było krótko przycięte i ozdobione wygolonymi fraktalnymi wzorami, które odsłaniały ciemnoszarą skórę. Ohan mieli ogromne, wyraźnie wilgotne oczy z długimi rzęsami (Rosemary wyczytała poprzedniego wieczoru, że jednym z licznych dziwnych efektów wywoływanych przez sianacki wirus jest nadczynność kanalików łzowych). Ich futrzasta twarz sprawiała wrażenie odprężonej, niemal odurzonej, co potęgował jeszcze widok ich luźno zwisających ramion i powolne ruchy. Mieli na sobie rodzaj miękkiego ubrania o tak skromnym kroju, że wydawało się, iż nie przywiązują do niego wagi. Rosemary wiedziała, że niesłusznie jest osądzać inne istoty rozumne według ludzkich norm społecznych, ale Ohan sprawiali na niej wrażenie nawalonego studenta, który spóźnił się na zajęcia. Napomniała się, że jeśli chodzi o fizykę międzywymiarową, to ten nawalony student potrafi pokonać SI.

— Oto druga połowa mojego zespołu — odezwała się Sissix z przyjaznym uśmiechem. — To będzie niezła zabawa, co?

Ohan skinęli uprzejmie głową.

— Praca z tobą zawsze sprawia nam przyjemność — powiedzieli.

— Cześć, Ohan — przywitał się z nimi Ashby, podnosząc wzrok znad swojego pulpitu sterowniczego. Ohan zajęli swoje miejsce. — Jak się dzisiaj macie?

Ohan siedzieli zgarbieni na tylnych kończynach. Ich stawy mocno się zginały, co sprawiało, że wydawali się znacznie niżsi, niż kiedy weszli do sterowni.

— Doskonale, dziękujemy, Ashby — odpowiedzieli. Odwrócili głowę w stronę Corbina, a potem skupili się na swoim stanowisku. Przemknęli



długimi palcami po przyciskach, budząc do życia odczyty. Po kilku sekundach znowu podnieśli głowę, zauważywszy, że w sterowni coś się zmieniło. Obrócili głowę w stronę Rosemary jak sowa. — Witaj — powiedzieli i skinęli jej.

Kiedy mówili, Rosemary dostrzegła rząd płaskich zębów. Czytała, że duety piłują ich ostre czubki, charakterystyczne dla mięsożerców. Zadrżała na tę myśl.

Skinęła głowę Nawigatorowi, pilnując, by nie przerwać kontaktu wzrokowego. Podbródek w dół, oczy w górę. Według odsyłacza w Konsolidatorze w ten sposób witają się sianatowie.

— Miło was poznać — powiedziała. — Chętnie popatrzę, jak pracujecie.

Ohan ponownie skinęli jej głową — może z zadowoleniem? — i z powrotem odwrócili się do swojego stanowiska. Wyjęli notek i gruby pixerysik. Kiedy Rosemary spostrzegła, że na noteku uruchomił się program szkicujący, szeroko otworzyła oczy. Chyba nie zamierzają ręcznie rozwikłać wewnętrznego działania tunelu czasoprzestrzennego?

— Dobra — odezwał się Ashby, zapinając swoją uprząż bezpieczeństwa. — Zróbmy to. Lovey, przełącz mnie do techników.

— Już — odpowiedziała Lovey.

— Meldunki — zarządził Ashby.

— Przyrządy pilotażowe gotowe — zameldowała Sissix.

— Układ paliwowy gotowy — rzekł Corbin.

— Wiertło międzyprzestrzenne gotowe — dobiegł z voxu głos Kizzy. — Ale nie mogę znaleźć moich krakersów, a wiesz, że nie lubię tego robić bez podjadania...

— Następnym razem pomyśl o tym, Kiz — powiedział Ashby. — Jenks?

— Boje gotowe.

— Lovey, stan statku — rzekł Ashby.

— Wszystkie układy statku działają normalnie. Brak awarii technicznych i strukturalnych.

— Ohan, jesteście gotowi?

— Bardzo chętnie zaczniemy.

— Fantastycznie. — Ashby jeszcze raz zerknął na Rosemary. — Zapięta? Rosemary skinęła głową. Sprawdzała klamrę trzy razy.

— A więc dobrze. Kizzy, włączaj.

Głęboko w trzewiach statku obudziło się wiertło z barytonowym rykiem. Rosemary była zadowolona, że Kizzy ją o tym uprzedziła. Ten dźwięk sprawiał wrażenie, jakby mógł rozrywać grodzie.

Ashby zastukał w poręcz swojego fotela dziesięć razy w równych odstępach czasu. W miarę jak stukał, narastało drżenie kadłuba. Urządzenie pod spodem statku pulsowało i ryczało. Panele podłogowe drgały.

W strasznym milczeniu rozdarło się niebo.

Połknęło ich.

Rosemary spojrzała przez okno i uświadomiła sobie, że tak naprawdę nigdy przedtem nie widziała czarnego koloru.

— Podajcie mi kurs, Ohan — odezwała się Sissix.

Ohan wpatrywali się w odczyty na swoim ekranie. Ich ręka już śmigła nad notekiem, wypisując równania symbolami, których Rosemary nie rozpoznawała.

— Naprzód szesnaście przecinek sześć ibenów. Pełna prędkość, prosimy.

— To lubię słyszeć — rzekła Sissix.

Odrzuciła do tyłu pierzastą głowę z radosnym okrzykiem i pchnęła „Wędrowca” przez nicność.

Tak naprawdę nie dało się powiedzieć, ile czasu trwa budowanie tunelu czasoprzestrzennego, ponieważ zgodnie z tym, co mówiła Kizzy, czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nad oknem znajdował się zegar, który

odliczał minuty i godziny, ale w podwarstwie dla Rosemary to były tylko liczby. Wciąż czuła się tak, jakby właśnie tu przybyli, i jednocześnie miała wrażenie, że znajdują się tu już od bardzo dawna. Czuła się jak pijana albo gorzej, jakby próbowała się obudzić z wywołanego gorączką snu. Obraz rozmazywał się jej przed oczyma. Poza ekranem nie było nic, chociaż ta sama nicość czasem migotała kolorem i zwiewnym światłem. Wypuszczane przez nich boje mrugały i unosiły się jak plankton na falach.

Wokół niej zlewały się głosy; skomplikowane terminy i tak nic by dla niej nie znaczyły, nawet gdyby mogła przetworzyć słowa z normalną prędkością. Spokojny jak oko cyklonu pozostawał jedynie głos Ohan, którzy podawali Sissix zmiany kursu, niestrudzenie gryzmoląc na noteku liczby.

— Wszystkie boje rozmieszczone — powiedział Jenks przez vox. — Jesteśmy gotowi do ustawienia siatki.

Wydawało się, że jego słowa zawisły w powietrzu, jakby ono samo zgęstniało, mimo że świat przewijał się do tyłu z podwójną prędkością.

— Zapoczątkować podłączenie — powiedział Ashby.

— Ashby, chyba trafiliśmy na dziurę — odezwała się Sissix.

— Wydostań nas, zanim w niej utkniemy — polecił Ashby.

— Ashby, chyba trafiliśmy na dziurę.

— Wydostań nas, zanim w niej utkniemy.

— Ashby, chyba trafiliśmy na dziurę.

— Wydostań nas, zanim w niej utkniemy.

— Ashby, chyba...

— Trzydzieści ibenów na lewo, już! — krzyknęli Ohan.

Pchnięty przez Sissix w bok statek zachwiał się i zatrzeszczał. Mimo siatek sztugrawitacyjnych wydawało się, jakby obrócili się do góry nogami. A może byli obrócenii do góry nogami od początku.

— Co to, do diabła, było? — zapytał Ashby.

— Dziura czasowa — odparli Ohan.

— Gdzie?

Ohan zerknęli na ekran z odczytami.

— Dwadzieścia ibenów po prawej. Szeroka na pięć i pół ibena. Omiń ją z daleka.

— Tak robię — rzekła Sissix. — Dobrze, że w niej nie utknęliśmy.

Corbin spod zmarszczonych brwi spojrział na ekran.

— Wygląda na to, że jednak utknęliśmy. Poziomy paliwa są niższe o zero przecinek zero zero sześć procent, niż powinny być.

— Boje trzymają? — zapytał Ashby.

— Trzymają — odpowiedzieli chórem Jenks i Kizzy.

— Ohan, gdzie punkt wyjścia?

— Trzy przecinek sześć ibenów naprzód. Dwa przecinek dziewięć ibenów w górę. Jeden... Nie, nie, zero przecinek siedem trzy ibeny na prawo.

Szpony Sissix śmignęły nad przyciskami.

— Gotowi?

Ashby skinął głową.

— Wal.

Wróciło wycie z dołu. Wszystkich rzuciło na oparcia foteli. Czas wrócił z głuchym łomotem. Rosemary wstrzymała oddech i wyciągnęła paznokcie z poręczy fotela. Spojrzała w okno. Widok się zmienił. W dali znajdował się czerwony karzeł otoczony kilkoma planetami. Jedna z nich została częściowo terraformowana; blisko niej skupiła się niewielka flota towarowców i transportowców EG. Budowano nową kolonię. Wokół ich statku wisiała w przestrzeni kosmicznej kula utworzona przez mrugające boje ostrzegawcze, których żółte światła trzymały innych z dala od obszaru pracy „Wędrowca”.

— I to nazywamy doskonałością — oznajmił Ashby. Przerzucił odczyty na

panelu przed sobą. — Żadnego uszkodzenia przestrzennego. Żadnych rozdarć czasowych. Znajdujemy się dokładnie w miejscu i w czasie, w jakich powinniśmy się znajdować. — Sissix wydała radosny okrzyk. Z voxu dobiegł podwójny okrzyk, lekko zagłuszony gratulacjami Lovey. Ashby z zadowoleniem skinął głową. — Kizzy, Jenks, zostawiam wam umieszczenie klatki. Dla pozostałych to koniec pracy. Wspaniale się spisaliście. Dobra robota.

— Wiesz co, Ashby? — odezwała się Sissix. — Jeśli dobrze pamiętam, duże transportowce jak ten za oknem mają przyjemne bazy rekreacyjne dla znużonych podróżnych.

— Nie mów — powiedział Ashby z uśmiechem. — Cóż, właśnie zarobiliśmy okrągłą sumkę. Moim zdaniem zasłużyliśmy na kilka godzin urlopu. To znaczy jeśli Ohan i Lovey zechcą mieć oko na klatkę.

Sianacki duet i SI powiedzieli, że zechcą.

Sissix złożyła dłonie wokół ust i zawołała w stronę voxu:

— Impreza na towarowcu za dwie godziny.

Entuzjastyczny okrzyk Kizzy niemal zagłuszył Jenksa, który jęczał coś o wytrzeźwiałkach.

Sissix odwróciła się do Rosemary.

— No i co, nowicjuszko? Co ty na to?

Rosemary zmusiła się do bladego uśmiechu.

— To było wspaniałe — powiedziała.

Udało jej się odwrócić od konsoli przed zwiątowaniem.

# Dni 132.-145., 306 standard WG

## Robota

— Nie znoszę tej gry — oznajmiła Sissix, marszcząc brwi nad szachownicą z pikseli.

Ashby ugryzł kawałek korzennego chleba.

— To ty chciałaś w nią grać.

— No tak, kiedyś wygram, a wtedy skończę z nią raz na zawsze. — Oparła podbródek na pięściach, westchnęła i skinęła głową w stronę swojego laufra. Figura przesunęła się do przodu, ciągnąc za sobą delikatny pikselowy ślad. — Fakt, że wy gracie w to od wieków, wiele mówi o waszym gatunku.

— O? To znaczy?

— Że ludzie wszystko niepotrzebnie utrudniają.

Ashby roześmiał się.

— Mógłbym dać ci wygrać.

Sissix zmrużyła oczy.

— Ani mi się waż.

Zerknęła przez wypukłe okno Akwarium na łączące się ze sobą elementy nowej klatki bezpieczeństwa. Jeszcze kilka godzin i mogą się stąd wynosić. Nie mieli co prawda w planach żadnej nowej roboty, ale nie mieli też powodów, by tu zostać. Należał im się przystanek na targu, a Sissix bardzo chciała poczuć pod stopami ziemię.

— Wiesz co, Aya śmiała się ze mnie, że nadal gram w pikselowe gry. Powiedziała, że nie są fajne.

Sissix zamrugła.

— Powiedz mi, że nie ma gniazdka mózgowego.

— O, nie, nie, ona używa nakładek.

— To dobrze.

Nakładki nie stanowiły powodu do zmartwienia. Sami mieli całe ich pudełko w pokoju rekreacyjnym. To były lepkie arkusiki do przylepiania pod pniem mózgu, stanowiące konieczne akcesorium, jeśli chciało się stworzyć połączenie nerwowe z jakimś symmem, wideo albo Konsolidatorem. Nakładki pojawiły się już po tym, jak Sissix osiągnęła dojrzałość, więc mimo że czasami ich używała, nadal wolała bardziej dotykalne wygody pikselowej planszy i noteka. Natomiast gniazdka mózgowie przyprawiały ją o ciarki. Nie potrafiła sobie wyobrazić tak wielkiego umiłowania jakiegoś hobby, żeby uzasadniało zainstalowanie w jej głowie techportu.

Ashby skinął ręką w stronę jednego z pionków.

— Poza tym nie wierzę, że jest jakiś lekarz, który umieściłby gniazdko u ośmiolatka. Nie mówiąc już o rodzicach, którzy by na to pozwolili.

— Poznałeś któreś z przyjaciół Kizzy i Jenksa?

— Słuszna uwaga.

Sissix upiła łyk meku. Zwykle nie zaczynała poranka od tego usypiającego naparu, ale do czasu skończenia klatki nie miała nic do roboty. Mogła uzasadnić lenistwo. Poprawiła ciepły koc, którym miała otulone ramiona, usiłując odpędzić resztki odrętwienia.

— Małe rozumki mają dość atrakcji bez oplatania się techniką. Właściwie duże rozumy też, jeśli o to chodzi.

— Tak powiedziałem Ayi.

— I co ona na to?

— Powiedziała, że jestem stary. — Potarł zarośnięty podbródek, przyglądając się szachownicy. — Oficjalnie jestem starym, nudnym wujem.

Sissix się roześmiała.

— Bardzo w to wątpię. Kiedy ostatnim razem odwiedziliśmy Flotę, pozwoliłeś jej pilotować nasz prom.

Ashby parsknął śmiechem.

— Myślałem, że moja siostra mnie zabije.

— Właśnie. I to sprawia, że jesteś fajny. A tak nawiasem mówiąc, twój ruch.

Do ogrodu wtoczył się Doktor Kucharz. Szedł na dwóch rękonożach, a w czterech pozostałych niósł narzędzia ogrodnicze.

— Jak ci smakuje korzenny chleb? — zapytał Ashby'ego.

— Skórka jest trochę bardziej chrupiąca niż ostatnio. Lubię taką.

— Miło słyszeć. Pomyślałem, że po zeszłej nocy wszystkim się przyda trochę węglowodanów złożonych.

Ashby uśmiechnął się znacząco.

— Hej, ja wyszedłem z baru towarowca o rozsądnej porze i z nietkniętą reputacją. Jestem uosobieniem powściągliwości.

— Ha! — powiedziała Sissix.

Po twarzy Ashby'ego rozlał się pełen skruchy uśmiech.

— No dobrze, może byłem odrobinę wesoły.

Z gardła Doktora Kucharza wyrwał się wielotonowy śmiech.

— Przynajmniej weseliłeś się cicho. W przeciwieństwie do pewnej trójki nietrzeźwych ludzi, których o szóstej godzinie zastałem na plądrowaniu ambulatorium.

— O, nie — powiedziała z uśmiechem Sissix. — Co zrobili?

— Nic skandalicznego. Kizzy i Jenks szukali wytrzeźwików, a Rosemary leżała na jednym ze stołów. Spała jak kamień. Myślę, że próbowała dorównać w picciu tamtej dwójce.

Sissix się roześmiała.

— Och, mogę się założyć, że próbowała, i jestem pewna, że to oni ją do



tego namówili. Kiedy wychodziłam, byli po sześciu kolejkach kopa i właśnie zamówili cukrotraski. Biedactwo, dzisiaj będzie nie do życia. Odprowadziłeś ją do pokoju?

— Zrobiła to Kizzy. Chyba zawiozła ją windą towarową. Jej nogi i mózg działały na kompletnie innych częstotliwościach.

Ashby pokręcił z rozbawieniem głową i przesunął wieżę.

— Cóż, mam nadzieję, że zrozumie, iż technicy tylko chcieli ją przywitać. I że nie musi tego przechodzić drugi raz. — Odchylił się na oparcie krzesła. — A poza tym szach-mat.

— Co? — wrzasnęła Sissix, pochylając się. — Nie, to... Zaczekaj... Cholera. — Opadły jej ramiona. — Ale ja miałam strategię i w ogóle.

— Przepraszam, że ją zniszczyłem.

Przyglądała się szachownicy, usiłując zrozumieć, gdzie popełniła błąd. Nieopodal Doktor Kucharz zajmował się jedną z żardinier, jak zwykle szepcząc coś monotennie. To była jego wersja milczenia. Sissix patrzyła, jak pulchnymi palcami obwiązuje rozrastające się pędy podtrzymującymi je węzłami ze sznurka. Sissix zawsze się dziwiła, jakie Doktor Kucharz ma zwinne ruchy. Wyglądał jak chodzący budyń, a mimo to poruszał się na swoich rękonożach jak tancerz.

— Jak twój imbir? — zapytała Sissix.

— Gruby i szczęśliwy — odparł, podwiązując łądygi, i wydał z dumą policzki. Imbir był pomysłem Jenksa, a mało co tak cieszyło Doktora Kucharza, jak spełnianie kulinarnych życzeń załogi. — Chociaż muszę przyznać, że o wiele bardziej wolę jeść jego kwiaty niż korzeń. Jest o wiele za mocny, jak na mój smak, chociaż przyjemny i chrupiący.

Ashby odwrócił głowę.

— Wiesz, że imbir to tylko dodatek, prawda? Jak przyprawa?

— Co? Nie. Naprawdę?

— Próbowalesz go jeść w całości?

— O rety. Tak. — Doktor Kucharz zadudnił śmiechem. — Myślałem, że to rodzaj korzennego ziemniaka.

— Nie rozumiem, o co chodzi z tymi ziemniakami — stwierdziła Sissix. — Cały sens w tym, aby pokryć ziemniaka solą, żeby nie zauważyć, jak jest mdły. Nie lepiej sprawić sobie lizawkę i dać sobie spokój z ziemniakami?

— Mnie nie pytaj — powiedział Ashby i wstał. — Ziemniaki to dziedzina tych, co mieszkają na planetach.

— Skończyłeś grać? — zapytała Sissix.

— Tak, jest trochę po dziesiątej godzinie. Będą uaktualnione serwisy wiadomości.

Mówił lekkim tonem, ale wzrok miał poważny.

— Dobra — powiedziała.

Wiedziała, jakie serwisy będzie sprawdzał, i chciała go uściskać. Nie sztywno i szybko jak ludzie, lecz długo i serdecznie, jak ściska się przyjaciół, kiedy się wie, że coś ich trapi. Nauczyła się jednak dawno temu, że takie uściski wśród ludzi po prostu nie zdarzają się platonicznie. To był jeden z jej wielu społecznych odruchów, które nauczyła się powściągać.

Doktor Kucharz zawiązał jeszcze jeden węzeł, mruknął z zadowolenia i zajął puste miejsce Ashby'ego. W górnych rękonożach trzymał kubek z enskim wyrażeniem „Pocałuj kucharza”. Prezent na ostatnie urodziny od Kizy, która nie przyjmowała do wiadomości faktu, że poza ludźmi żaden z członków załogi nie obchodzi urodzin.

Sissix podniosła dzbanek z mekiem, który stał obok pikselowej planszy.

— Jeszcze?

Doktor Kucharz zastanowił się.

— Pół — powiedział, wyciągając kubek w stronę Sissix. — Chyba wszystkim nam należy się od czasu do czasu dzień lenistwa.

— Zdecydowanie.

Sissix napełniła kubek Doktora Kucharza do połowy, a potem swój po brzegi. Czują, jak ciepły, gorzko-słodki napój omywa i rozluźnia mięśnie jej policzków i przełyku. Uczucie to rozlało się po jej ramionach, szyi i rękach, splukując resztki napięcia złagodzonego poprzednim kubkiem. Na gwiazdy, ależ ona lubi mek.

Doktor Kucharz trzymał kubek w rękonożach. Skinął głową w stronę szachownicy.

— Bardzo typowa ludzka gra.

— Jak to?

— Wszystkie gry ludzi obracają się wokół podbojów.

— Nieprawda — powiedziała. — Mają mnóstwo gier opartych na współpracy. Co z Battle Wizards?

Chyba nie było dziesięciodnia, żeby Kizzy i Jenks nie włączyli się do tej gry — z nakładkami; nawet ta dwójka nie była na tyle głupia, by zainstalować sobie gniazdka — i nie badali magicznych światów, dzieląc się wesołymi przygodami rozgrywanymi w głowach.

Doktor Kucharz machnął lekceważąco wolną rękonożą.

— Nie mam na myśli gier umysłowych. Mówię o czymś takim. — Pokazał na pikselową planszę. — O klasykach. O grach, w które ludzie grali od czasów, kiedy jeszcze nie wiedzieli, że są inne planety. Wszystko zasada się na podbojach, na współzawodnictwie. Właściwie jak się nad tym zastanowić, taka jest nawet Battle Wizards. Gracze współpracują, ale nadal dążą do pokonania wspólnego wroga, samej gry.

Sissix zastanowiła się nad tym. Myśl o ludziach jako zdobywcach zawsze była śmiechu warta. Nie tylko dlatego, że mieli mizerne zasoby albo że Diaspora nigdy nie zdołała niczego doprowadzić do końca, ale dlatego, że ludzie, których znała osobiście, byli skromni. Ashby był najmilszą osobą,

jaką kiedykolwiek spotkała, bez względu na gatunek. Jenks nie miał żadnych ambicji prócz prowadzenia wygodnego życia wśród osób, które lubił. Zeszłego dziesięciodnia Kizzy udało się upuścić kanapkę do kanału wentylacyjnego, więc raczej nie musieli się martwić, że przeprowadzi zamach stanu. Corbin był pełnym nienawiści, upierdliwym dupkiem, ale był nieszkodliwy i na dodatek tchórzliwy. Mimo to historia ludzkości — a przynajmniej ta sprzed Exodusu — była pełna okrucieństwa i niekończących się wojen. Sissix nigdy nie zdołała tego zrozumieć.

Doktor Kucharz przesunął kilka pionków na szachownicy.

— Gry grumów są dość podobne pod względem tematów. Myślę, że nasze gatunki są pod pewnymi względami dość zbliżone do siebie. Ludzie wymarliby, gdyby aeluoni nie natknęli się na Flotę. Ocaliło ich szczęście. Szczęście i odkrycie pokory. Właściwie tylko to różni ludzi od grumów. No, poza tym, co oczywiste.

Parsknął śmiechem, pokazując na swoje ciało.

Sissix położyła dłoń na najbliższej rękonożce Doktora Kucharza. Za jakieś sto lat czy coś koło tego nie będzie już żadnego gruma i nic z tym nie można było zrobić. Wiedziała, że Doktor Kucharz już dawno pogodził się ze zbliżającym się wyginięciem jego gatunku. Nawet kiedy teraz o tym mówił, w jego głosie nie brzmiał ani smutek, ani gorzycz. To jednak nie oznaczało, że ona nie może tego odczuwać za niego.

Doktor Kucharz poklepał ją po ręce — bardziej ze względu na nią niż na siebie. Obejrzał się przez ramię na Ashby'ego, który opierał się o kuchenną ladę i czytał wiadomości na noteku.

— Czy ja się mylę, czy Ashby ostatnio bardzo często sprawdza wiadomości? — zapytał Doktor Kucharz szeptem, wyciszając wszelkie dźwięki wydobywające się z jego ust.

Sissix skinęła głową, wiedząc, o co pyta.

— Roskowie mocno atakują kolonie na Kaelo.

— I to tam...?

— Ostatnio zmierzała, owszem. Tyle że serwisy nie podają wielu szczegółów.

Rozumieli się. Oboje wiedzieli, że Ashby nie przejmuje się wojną, która nigdy nie zawita do niego. Martwił się o pewną aeluonkę, która tkwiła na obrzeżach tej wojny. Nazywała się Pei i od lat kopulowała z Ashbym, kiedy tylko się dało. Była cywilem i wynajmowała się do przewozu artykułów medycznych, amunicji, sprzętu technicznego, żywności i wszystkiego, czego mogły potrzebować aeluńskie siły. Biorąc pod uwagę naturę jej pracy, nie zawsze mogła wysyłać tekst albo podskoczyć do ansibla, kiedy zmierzała do spornego terytorium, bo mogłaby wydać lokalizację oddziałów albo stać się łatwym celem. Bywało, że Ashby całymi dziesięciodniami nie miał od niej żadnych wiadomości i wtedy często sprawdzał serwisy informacyjne. Kiedy natomiast miał od niej wiadomości oraz niejakię pojęcie, gdzie się znajduje, sprawdzał w sposób bardziej ukierunkowany. To wcale nie poprawiało mu samopoczucia, a przynajmniej Sissix tego nie zauważała, lecz w sprawach partnerów seksualnych ludzie zawsze zachowywali się głupio.

Mimo że Sissix była blisko z Ashbym, nigdy nie poznała Pei i nawet jej nie widziała. Ta kobieta stanowiła zagadkę. Skrytość Ashby'ego nie miała nic wspólnego z Sissix, za to wiele wspólnego z pruderią aeluonów. Aeluonka — a zwłaszcza taka, która współpracowała z godnymi szacunku żołnierzami — mogła wpaść w wielkie kłopoty za związek z przedstawicielem innego gatunku. Oczywiście wszyscy na pokładzie „Wędrowca” wiedzieli o Pei, ale rozumieli, dlaczego Ashby musi utrzymywać tę znajomość w tajemnicy. Wszyscy już dawno temu przestali o nią pytać — przynajmniej w obecności Ashby'ego — i nawet Kizzy trzymała buzię na kłódkę, kiedy znajdowali się w obcym towarzystwie.

— Niedobrze, że cały czas sprawdza wiadomości — orzekł Doktor Kucharz. — Gdyby coś się stało, i tak nie podadzą jej imienia.

— Sam mu to powiedz.

— Nie mogę. — Doktor Kucharz westchnął. — Kiedy moje córki poszły na wojnę, robiłem to samo. Dlatego nie podoba mi się, że on to robi. Wiem, jak całe to zastanawianie się może osłabić osobę. — Potrząsnął policzkami, jakby się otrząsał. — Ta rozmowa zrobiła się zbyt poważna. Chciałabyś w coś ze mną zagrać? Czy może masz już dość, jak na jeden poranek?

— Mogę zagrać jeszcze raz. Chcesz grać w szachy?

— Na gwiazdy, nie. Zagrajmy w coś aandriskiego. W którąś z tych twoich uroczych gier, gdzie trzeba stworzyć zespół i rozwiązać zagadkę.

— Tikkit?

— O, lubię tikkit. Ale nie grałem w to od lat, to znaczy od czasu, kiedy mieszkałem w Porcie Coriol.

— Cóż, nie jestem w tym dobra, więc stworzymy zrównoważony zespół. — Wypowiedziała żądanie zmiany gry i piksele ułożyły się odpowiednio. — To co powiesz o aandriskich grach?

— Hmm?

— Co mówią ci o nas nasze gry?

— Że jesteście bystrzy, lubicie się dzielić i jesteście tak samo dysfunkcyjni jak wszyscy inni.

Sissix się roześmiała.

— Nie mogę z tym polemizować.

Zaczęli grę i rozmowa zesła na strategię tikkitu. Kiedy Sissix właśnie zaczynała sądzić, że mogą wygrać, Ashby przerwał milczenie.

— Oho — powiedział do siebie. Po chwili dodał już bardziej publicznie, szybko wracając do nich: — Oho!

— Wszystko w porządku? — zapytała Sissix.

Wszyscy astronauta wiedzieli, że statkowi może się przydarzyć mnóstwo złych rzeczy w bardzo krótkim czasie, zwłaszcza kiedy tkwi u wylotu nowiuteńkiego tunelu. Widok śpieszącego się członka załogi zawsze powodował u Sissix wyrzut adrenaliny.

— U nas tak — powiedział Ashby.

Położył swój notek obok pikselowej planszy i machnął ręką nad ekranem. Odtwarzany na nim serwis wideo uniósł się w powietrze i zawisł nad notkiem. To był ludzki program informacyjny — sądząc po akcencie reportera, powstały we Flocie. Sissix i Doktor Kucharz pochyliłi się, by lepiej słyszeć.

— ...jeszcze nie ma potwierdzenia, jak długo trwają rozmowy o członkostwie, lecz źródła podają, że nieduży zespół ambasadorów WG utrzymuje tajny kontakt z toremimi Ka od przynajmniej dwóch standardowych lat.

— Toremimi? — powiedział Doktor Kucharz, szeleszcząc z zaskoczenia bokobrodami.

Sissix nie mogła zareagować w ten sam sposób, ale też była zaskoczona. Toremi nie byli gatunkiem często wspominanym w wiadomościach. W ogóle nie byli gatunkiem często wspominanym. Sissix wiedziała o nich niewiele poza tym, że kontrolują ciasny pierścień obszaru wokół jądra galaktyki i że od dekad wspinałi się nawzajem zabijają.

Ashby pokręcił głową, co stanowiło wyraz i potwierdzenia, i niedowierzania.

— Jeden z ich klanów właśnie otrzymał członkostwo w WG.

Sissix odstawiła swój kubek.

— Co? — Mózg odmawiał jej posłuszeństwa. — Chwila, co takiego?

Jeśli to była prawda, to parlament Wspólnoty zwariował. Z nielicznych relacji na temat klanów toremich wynikało, że są one brutalne

i niezrozumiałe. To nigdy nie jest dobra mieszanka. Klany odkryli harmagianie niemal pięćset standardów wcześniej, kiedy ich sonda natknęła się na statki toremich, które za pomocą napędu skokowego (niebezpiecznego jak diabli) krążyły wokół jądra galaktyki jak ryby pływające z prądem. Nikt nie wiedział, dlaczego to robią, a sami toremi nie wykazywali chęci rozmowy z galaktycznymi sąsiadami. Swoje wędrowne życie przerwali przed około czterdziestu standardami, kiedy nagle się zatrzymali i zaczęli wyrzynać się nawzajem w walce o stacjonarne terytoria. I znowu nikt nie wiedział dlaczego. Nikt nie zdołał zbliżyć się do nich na tyle, by zapytać. Toremi blokowali wszelki dostęp do jądra. Statki, które się do niego przybliżyły, były odpychane. Statki, które się przemknęły, wracały w kawałkach albo nie wracały wcale. Lecz poza masakrowaniem intruzów toremi trzymali się na uboczu i nie obchodzili nikogo prócz naukowców i przedsiębiorców zirytowanych brakiem dostępu do jądra.

Ashby przyłożył palec do ust i pokazał na notek.

— ...oficjalne oświadczenie komisji ambasadorskiej WG wyjaśnia, że toremi Ka są jedynym klanem toremich będącym obecnie stroną tej umowy członkowskiej — ciągnął reporter. — Inne klany pozostają neutralne i podobno nie wykazują wrogości wobec WG. WG ręczy za toremich Ka, stwierdzając, że, cytuję, „wierzymy w dobre intencje naszych nowych sprzymierzeńców, którzy są zdecydowani korzystać z dobrodziejstw bardziej zjednoczonej galaktyki”. Umowa o nowym członkostwie przewiduje, że WG nie będzie pomagać toremim Ka w ich atakach na inne klany toremich. Jednakże siły zbrojne zostaną użyte do obrony terytoriów wspólnych toremich Ka i WG.

— Innymi słowy toremi Ka dostaną ochronę dużych okrętów wojennych WG na swoich granicach, a WG dostanie łatwy dostęp do całego ambi znajdującego się po drugiej stronie — podsumował kpiąco Doktor Kucharz



i pokręcił głową. — Z kontaktu z gatunkiem wojującym z samym sobą nie może wyniknąć nic dobrego. Nigdy nie wynikło i nigdy nie wyniknie.

Oczy zrobiły mu się bardzo małe; odchrząknął głębokim głosem. Sissix wiedziała, że grum myśli o swoim własnym gatunku, o swojej własnej wojnie. Wyciągnęła rękę i uścisnęła jego najwyższe ramię. Oczy znowu mu się powiększyły i skupiły na niej. Wrócił. Wydał policzki i położył jedną z rąkonóg na szponach Sissix.

— Chwileczkę — powiedział Ashby. — Ha!

— Co? — zapytała Sissix.

Zamrugął.

— To jest to, o czym mówił Yoshi.

Spojrzał na Sissix. Zrozumiała.

— Moglibyśmy to zrobić — stwierdziła i skinęła głową. — Tak, poradzilibyśmy sobie z tym.

— Z czym? — zapytał Doktor Kucharz.

— Jeśli zamierzają wydobywać ambi, będą musieli jakoś przesłać urobek do domu.

— A zanim będą mogli zacząć myśleć o tunelach dla konwojów, będą potrzebować tras dla pojedynczych statków — rzekł Ashby. Wyprostował się pogrążony w myślach. — To jest dokładnie robota, która mogłaby nas pchnąć do przodu. Za coś takiego nie będą płacić mało.

— Robota — powtórzył Doktor Kucharz. — Chcesz tam pracować? Z tymi osobami?

— Rzuca się na to wszyscy budowniczy tuneli, kiedy tylko usłyszą tę wiadomość — stwierdziła Sissix.

— No to lepiej ich uprzedźmy — powiedział Ashby. — Naszkicujmy list intencyjny. Musimy też skontaktować się z Yoshim.

— Myślisz, że jest na tyle ważny, by prowadzić takie przedsięwzięcie?

— Och, nie ma mowy. Ale będzie wiedział, z kim należy się skontaktować. Poproszę Lovey, żeby wysłała mu zaproszenie do rozmowy przez sib. Nie mam pojęcia, która tam jest godzina. I będziesz musiała pomóc mi wyliczyć, ile z grubsza czasu zajęłoby nam dotarcie z naszego obecnego miejsca pobytu do Przestrzeni Centralnej. Zakładam, że będą chcieli, abyśmy się przebili właśnie stamtąd. Czy Rosemary już wstała?

Sissix pamiętała, w jakim stanie była Rosemary, kiedy widziała ją ostatni raz minionej nocy: głowa oparta na dłoni, uśmiech od ucha do ucha, bełkotliwa mowa.

— Domyślam się, że jeszcze śpi.

Ashby przewrócił oczami.

— Daj jej kilka wytrzeźwików. To jest dokładnie zadanie, do jakiego nająłem urzędniczkę.

— Przygotuję jej śniadanie — zaoferował się Doktor Kucharz. Pogroził Sissix palcem. — Powiedz technikom, że wybrali straszną noc, żeby ją wdroić.

— Trzeba uczciwie przyznać — powiedziała Sissix, wstając — że chyba nie wzięli pod uwagę, iż WG postrada zmysły.

Wiadomość otrzymana

Kodowanie: 1

Od: Vlae Mok Han'sib'in (ścieżka: 4589-556-17)

Do: Ashby Santoso (ścieżka: 7182-312-95)

Temat: Projekt Tokath/Hedra Ka

Uprzejme pozdrowienia, kapitanie Santoso. Nazywam się Vlae Mok Han'sib'in i piszę do Pana w imieniu Komisji Transportu WG. Otrzymaliśmy Pański list intencyjny w sprawie budowy tunelu prowadzącego do przestrzeni toremich Ka. Parlament Wspólnoty traktuje połączenie naszych sojuszników z istniejącymi terytoriami WG priorytetowo, dlatego bardzo potrzebujemy fachowych wykonawców jak Pan, którzy pomogą nam wkroczyć w ten nowy rozdział współpracy międzygatunkowej.

Po zapoznaniu się z historią Pańskiej pracy i ocenieniu naszych potrzeb zgadzamy się, że „Wędrowiec” stanowiłby znakomity wybór jako statek, który mógłby pomóc nam

w naszych działaniach związanych z toremimi Ka. Ocena ta odzwierciedla nie tylko Pańskie kompetencje zawodowe, lecz także Pańską niedawną decyzję o zatrudnieniu dyplomowanej urzędniczki. Postrzegamy to ostatnie jako świadectwo Pańskiego oddania standardom Komisji Transportu WG.

Miło mi zaproponować Panu następujące przedsięwzięcie. WG potrzebuje nowego tunelu dla pojedynczych statków, łączącego Przestrzeń Centralną (Brama Tokath) z Hedrą Ka, stołeczną planetą terytorium toremich Ka. Wyeliminowałoby to naszą obecną zależność w tym sektorze od holowników igłowych i stanowiłoby pierwszy krok w kierunku ustanowienia tuneli dla konwojów towarowych. Prosimy, by przed przyjęciem kontraktu uważnie zapoznał się Pan z warunkami tego przedsięwzięcia.

W normalnych okolicznościach najwygodniejszym sposobem połączenia się z terytorium bez umocowania byłoby przebicie na ślepo. Jednakże Hedra Ka znajduje się w miękkiej strefie. Jestem pewien, że ma Pan świadomość, iż środowiskowe czynniki ryzyka w takim obszarze czynią przebicie na ślepo z Tokath niemal niemożliwym. W interesie ochrony zarówno stabilności przestrzennej, jak i rozumnego życia przedsięwzięcie to wymagałoby przebicia z umocowaniem pomiędzy Hedrą Ka i Bramą Tokath. Jako że obecnie nie ma żadnych tuneli łączących WG z przestrzenią toremich, stanowi to wyzwanie. Proponujemy, by „Wędrowiec” udał się do Stacji Obserwacyjnej Del’lek na granicy WG. Jest to najbliższy umocowany punkt między przestrzenią WG a Hedrą Ka. Spotkałby się tam z Wami holownik igłowy i przeprowadziłby statek do Hedry Ka. Biorąc pod uwagę Waszą obecną pozycję, oceniamy, że podróż do Del’lek zajęłaby między 0,8 a 0,9 standardu, zależnie od wyboru trasy. Skok igłowy zajęłby dodatkowe cztery dni. W celu skrócenia czasu Waszej podróży WG wynająłaby wykonawcę, który zawczasu umieściłby klatkę ochronną w Tokath.

Rozumiemy, że jest to wyjątkowa propozycja, lecz biorąc pod uwagę okoliczności, nie mamy (ani nie potrzebujemy) korzystniejszego planu wykonania tego zadania. Rozumiemy także, iż potrzebny czas podróży stanowi dla Pana i Pańskiej załogi znaczne obciążenie. W dodatku do zapłaty za to przedsięwzięcie WG jest skłonna pokryć Wasze podstawowe koszty utrzymania i działania poniesione w okresie podróży. Rozumiemy też, że podczas podróży kosmicznej mogą zaistnieć nieplanowane opóźnienia oraz że dla zachowania zdrowia psychicznego Pańska załoga będzie wymagała po drodze sporadycznych przystanków w celu odpoczynku. Mając na uwadze te potrzeby, nie wymagamy konkretnej daty przybycia, lecz prosimy, by przybyli Państwo najpóźniej 165/307. Będą także mieli Państwo swobodę w wytyczeniu własnego kursu i robieniu przystanków, kiedy uznają to Państwo za stosowne, chociaż oczywiście priorytetem jest racjonalna trasa. Jeśli nie ma Pan pewności, że Pańska załoga albo statek wytrzymają trudy tej podróży, najlepiej będzie, jeśli nie przyjmie Pan tego zlecenia.

Proponowana płatność za przedsięwzięcie Hedra Ka wynosi 36 mln kredytów (wydatki nie są włączone; suma nie podlega negocjacom). Oczekujemy Pańskiej odpowiedzi do 155/306. W tym okresie żaden inny wykonawca nie otrzyma tej propozycji, prosimy więc nie

podejmować pochopnej decyzji. Jeśli ma Pan jakieś pytania dotyczące tego przedsięwzięcia, proszę się skontaktować z moim biurem. Jeśli mnie nie będzie, pomoże Panu moja SI, Tagu.

Pozdrawiam serdecznie,  
Vlae Mok Han'sib'in

Ashby (00.10): sissix, jesteś?

(00.11): weź do ręki notek

(00.14): hej!

Sissix (00.15): tekst

(00.15): rzeczywiście

(00.16): cholernie dziwaczne

Ashby (00.16): obudziłem cię?

Sissix (00.17): tak

(00.17): poskarże się na to rano szfowi

Ashby (00.17): przepraszam. to ważne

(00.17): właśnie przesłałem ci list

Sissix (00.18): może przyjdź do mojego pokojnika znoś się pisać

Ashby (00.18): bo nie chcę, żeby ktoś usłyszał, o czym mówimy

Sissix (00.18): statek ok?

Ashby (00.18): tak, po prostu przeczytaj ten cholerny list

Sissix (00.19): daj mi minut

(00.19): muszę ogrzać łóżko ledwo się ruszam

Ashby (00.19): weź ciepły koc i dawaj

Sissix (00.24): ok. lepiej

(00.24): właściwie mogę już używać rak, hura

Ashby (00.24): PRZECZYTAJ

Sissix (00.24): ok ok

(00.27): JASNA CHOLERA

Ashby (00.27): ćśś, słyzałem twój wrzask przez ścianę

Sissix (00.27): ashby

(00.27): to

(00.28): jasna cholera

(00.28): właśnie zgarnęliśmy pulę

Ashby (00.28): sis, jeśli nie przestaniesz hałasować, to cię wyrzucę w przestrzeń kosmiczną

Sissix (00.28): jakim cudem ty NIE hałasujesz

(00.28): widzisz ile to pieniędzy

(00.29): PLUS WYDATKI

(00.29): ashby to więcej niż zarobiliśmy w całym osptatnim standardzie

(00.29): i to byłby tylko sam zysk

(00.30): czysty zysk, żadnych wydatków

Ashby (00.30): tak

(00.30): wciąż nie mogę tego pojąć

Sissix (00.30): moglibyśmy z łatwością kupić za to nowe wiertło

(00.31): i wszelkie now urządzenia

(00.31): tak jak o tym rozmawialiśmy

(00.31): na gwiazdy, ashby

(00.32): i nie chcę być bezczelna, ale twoja załoga mogłaby dosytać premię

(00.32): na przykład

Ashby (00.32): tak

(00.33): to niesamowite, wiem

(00.33): ale musimy to dobrze rozegrać

(00.33): to jest piekielny dystans

Sissix (00.34): jestem,y przyzwyczajeni do długich podróży między zadaniami

(00.34): damy sobie radę

Ashby (00.34): mówimy o większej części standardu

(00.35): to oznacza zero wakacji, żadnego odwiedzania rodzin, chyba że są na naszej trasie i mnóstwo jedzenia z zastójki

Sissix (00.35): przecież nie będzie tak, że w ogóle nie będziemy dokować. mogę wyliczyć miły sprytny kurs, który zapewni nam mnóstwo przystanków na zakupy i miejsc do postawienia nóg na ziemi

Ashby (00.36): wiem

Sissix (00.36): ale?

Ashby (00.36): to przestrzeń toremich

(00.36): oni od zawsze prowadzą wojnę

(00.37): i nic o nich nie wiem

Sissix (00.37): ashby, WG nuie wysyłałoby nas, gdyby to nie było bezpieczne

(00.38): jesteśmy nieuzbrojonym statkiem budującym tunele, nikt się nie będzie nami przejmował

(00.38): jeśli już, to długi czas podróży daje im mnóstwo czasu na wyczyszczenie dyplomatycznego gówna przed naszym przybyciem

(00.39): i jestem pewna, że będzie się tam roić od biurokratów i oddziałów WG

(00.39): my tylko musimy się tam dostać, przebić dziurę i wskoczyć z powrotem do domu

Ashby (00.40): o ile znowu nie zaczną się nawzajem mordować, kiedy się tam zjawimy

(00.40): nawet nie wiem, jakim mówią językiem

(00.41): ach

(00.41): chwila

Sissix (00.41): co

Ashby (00.42): Rosemary

(00.42): nawet nie pomyślałem o niej

(00.43): myślisz, że da radę?

Sissix (00.43): pod względem pracy czy psychiki?

Ashby (00.43): obu

(00.44): standard to dużo czasu nawet dla astronautów jak my

(00.44): to wszystko jest dla niej nowe

Sissix (00.45): cóż, jeśli chodzi o pracę, ma mnóstwo czasu, żeby wyostrzyć sobie szpony

(00.45): że tak powiem

(00.46): jeśli chodzi o jej życie osobiste, uchyliła się od odpowiedzi na wszystkie moje pytania o jej rodzinę, a poza tym jest singielką

(00.46): nie mam wrażenia, że bardzo jej się spieszy do odwiedzenia domu

(00.47): poza tym czytałaś list

(00.47): tę robotę dostałaś właściwie dzięki zatrudnieniu jej

(00.47): więc nawet jeśli przez resztę podróży będzie bezużyteczna, przynajmniej

dokonała tego

Ashby (00.48): au

Sissix (00.48): żartuję

(00.48): tak jakby

Ashby (00.49): to tyle pieniędzy

(00.49): tyle moglibyśmy z nimi zrobić

(00.50): i co za zadanie

Sissix (00.50): jak mówiłam

(00.50): puła

(00.51): zasłużyłeś na to

(00.51): znam cię od dawna, ashby

(00.51): uwierz mi

(00.51): zasłużyłeś na to

Ashby (00.52): dzięki, sis

(00.52): przepraszam, że cię obudziłem, po prostu musiałem cię wypytać

(00.52): zanim cokolwiek zadecyduję, będę musiał omówić to z załogą

Sissix (00.53): no to omówmy to z nimi

Ashby (00.53): nie sis, zaczekaj

**Voxy w całym statku ożyły.**

**— BUDZIĆ SIĘ, WSZYSCY! ŚWIETNA WIADOMOŚĆ! SPOTKANIE ZAŁOGI! POKÓJ REKREACYJNY ZA PIĘĆ!**

Ashby (00.54): wyrzucę cię w przestrzeń kosmiczną, sissix

Sissix (00.55): uwielbiasz mnie

Źródło informacji: Pliki informacyjne Wspólnoty Galaktycznej (publiczne/klip)

Nazwa/data informacji: Astronomia > Galaktyka Rodzima > Regiony > Centrum (Jądro)  
Galaktyki > Bogactwa naturalne

Kodowanie: 0

Ścieżka tłumaczenia: 0

Transkrypcja: 0

Identyfikator węzła: 9874-457-28, Rosemary Harper

W Centrum Galaktyki, potocznie zwanym Jądrem, znajduje się kilka niezwyklej zjawisk astronomicznych, w tym supermasywna czarna dziura i wysoka koncentracja gromad gwiazd. Te wyjątkowe warunki wskazują, że Centrum Galaktyki jest największym w Galaktyce Rodzimej źródłem surowców paliwowych, takich jak ambi, oraz metali i minerałów używanych do konstrukcji statków kosmicznych i terraformowania. Oceny możliwego uzysku surowców są w najlepszym wypadku oparte na przypuszczeniach, lecz społeczność naukowa powszechnie przyjmuje, że źródła ambi w Centrum Galaktyki zawierają go czterokrotnie więcej niż znajduje się go na wszystkich terytoriach WG łącznie. Mimo że obecność takich materiałów została potwierdzona przez harmagiańskie sondy dalekiego zasięgu, Centrum Galaktyki pozostaje w dużej mierze niezbadane przez gatunki członkowskie WG ze względu na roszczenia terytorialne toremich.

Powiązane tematy:

Czarne dziury

Dyski akrecyjne

Gromady gwiazd

Teoria energii z otoczenia

Komercyjne źródła paliw

Pozyskiwanie ambi

Toremi

Badania międzygwiazdne (harmagiańskie)

Budowa statków kosmicznych

Terraformowanie

Regiony i terytoria galaktyczne (Galaktyka Rodzima)

Tradycyjne nazwy Galaktyki Rodzimej (wg gatunków)



# Dzień 163., 306 standard WG

## Port Coriol

Ashby nie miał krytycznej natury, ale każdy, komu nie podobał się Port Coriol, tracił u niego kilka punktów. W przestrzeni kosmicznej WG znajdowało się mnóstwo neutralnych targów otwartych dla astronautów wszystkich gatunków, lecz Port Coriol był szczególny. Nawet jeśli nie potrzebowało się zrobić zapasów, sam jego widok był wart wizyty. Rozbiegające się we wszystkie strony ulice obstawione otwartymi wystawami sklepów pełnych ubiorów, kiczu i wszelakiej różności. Uziemione statki, wypatroszone i zamienione w magazyny i knajpki. Ogromne sterty złomu strzeżone przez dziwnych majsterkowiczów, którzy zawsze potrafili znaleźć dokładnie tę część, której się szukało, pod warunkiem, że miało się cierpliwość, by słuchać o ich najnowszym udoskonaleniu silnika. Zimne podziemne bunkry pełne botów i czipów, rojące się o każdej porze dnia i nocy od roztargnionych techników i modderów paradujących z implantami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Stragany z jedzeniem, od tłustych ulicznych przegryzek po dziwne przysmaki, jedne z rozwlekłymi jadłospisami specjałów dnia, inne z daniami tak specyficznymi, że jedyną rzeczą, jaką można było powiedzieć przy ladzie, było „Poproszę jeden”. Menażeria istot rozumnych mówiących oszałamiającą liczbą języków, potrzęsających dłońmi, ściskających łapy i muskających się mackami.

Jak można było nie zakochać się w takim miejscu?

Z drugiej strony Ashby potrafił zrozumieć, że Port Coriol może nieco

działać na nerwy komuś przyzwyczajonemu do centrów handlowych z błyszczących elementów prefabrykowanych, które można było spotkać w całej WG i które były jednakowo sterylne i w ogóle jednakowe. Targowiska Portu nie miały nic wspólnego z korporacjami, a czyniła go tak ulubionym — albo, dla innych, dość podejrzanym — niezależna, swobodna postawa kolonii. Ashby zgadzał się, że Port jest nieco brudny, nieco poobijany na brzegach. Ale niebezpieczny? Bynajmniej. Przystępność ograniczała się w większości wypadków do oszustw na małą skalę ukierunkowanych na studentów podróżujących tunelami albo na łatwowiernych turystów. Jeśli miało się choć dwie kontaktujące się ze sobą szare komórki, w Port Coriol było tak bezpiecznie, jak gdzie indziej. Poza tym handel był dobrze uregulowany — to znaczy tak dobrze, jak chcieli tego handlujący. Kupcy, którzy narażali się na gniew zarządu portu, nie utrzymywali się długo, a nawet handlujący bardziej podejrzanymi towarami mieli mnóstwo uczciwych zezwoleń i legalnych towarów, by zadowolić stróżów prawa. Czarny rynek Port Coriol nie stanowił tajemnicy, lecz był starannie zarządzany, chociaż Ashby nigdy nie próbował szczęścia w tej dziedzinie. Utrata licencji zrujnowałaby jego, a prawdopodobnie także całą załogę „Wędrowca”. Mimo regularnych błagań Kizzy, żeby pozwolił jej kupić coś, co dałoby silnikom „trochę większego kopa”, był na tyle rozsądny, aby postępować uczciwie.

Ashby prowadził swoją załogę przez zatłoczony port dla promów, czując na skórze miękkie ciepło pomarańczowego słońca. Mimo że był przyzwyczajony do życia za szczelnymi ścianami i grubym plexem, miło było się znaleźć poza statkiem. Jak zwykle zapominał jednak o zapachu — odurzającej mieszance woni paliwa, kurzu, przypraw, ognia, perfum, tłuszczu do smażenia, spawania i naturalnych zapachów kilkunastu rozumnych gatunków. A przez to wszystko przebijał się stęchły odór napływający

z pobliskiego wybrzeża. Księżyc Coriol znajdował się w synchronicznej rotacji, co sprawiało, że na zbitą warstwę materii pokrywającą jego spokojne morza nieprzerwanie padało światło słoneczne. Kupcy i handlarze, którzy na nim stale mieszkali, często budowali sobie domy po jego ciemnej stronie, z dala od słońca i smrodu.

Dla wielu istot rozumnych — a wśród nich dla Sissix i Doktora Kucharza — zapach ten był zbyt silny, by go nie filtrować. Maski różnych typów stanowiły zwykły widok, nawet wśród stałych mieszkańców. Pod ścianami portów promowych stały rzędy budek z maskami dla przybyszów, którzy nie zostali ostrzeżeni o charakterystycznej tu woni. Ludzie mający stosunkowo słaby zmysł węchu mogli chodzić po ulicach z odsłoniętymi nozdrzami, w każdym razie większość ludzi. Corbin wybrał pełny hełm oddechowy — egzopłuco deluxe, ciężkie urządzenie reklamowane jako posiadające najlepszy układ filtrowania alergenów i patogenów unoszących się w powietrzu. Według Ashby’ego wyglądało jak akwarium z meduzami wyposażone w zwiotczone balony.

— Proszę wskazać punkt docelowy — wycedziła SI przy kontuarze szybkich podróży.

Nie był to myślący program jak Lovey, lecz ograniczony model potrafiący wykonywać tylko określone zadania. Jego obudowa miała przypominać głowę harmagianina łącznie z mackami na podbródku do wykonywania gestów twarzą. Długą, ciastowatą twarz pokrywał imitujący skórę polimer i całość była nawet dość podobna do pierwowzoru. Jednak cyfrowy głos nieco trzeszczał, a macki drżały ze starości. Nie można było wziąć tego modelu za żywą istotę.

— Dwie osoby do gospodarstw hodujących robale — powiedział Ashby, pokazując na siebie i Doktora Kucharza. SI potwierdziła dyspozycję ćwierknięciem. Ashby wskazał na Corbina. — Jedna osoba do składu alg. —

Ćwierknięcie. Ashby pokazał na Jenksa. — Jedna do dzielnicy technicznej.  
— Ćwierknięcie. Ashby zwrócił się do Sissix. — A wy możecie iść piechotą, tak?

— Tak — potwierdziła Sissix. — Nasze polowanie na różności zaczyna się tuż za bramą.

— To wszystko — rzekł Ashby i przesunął oplotkę nad skanerem wbudowanym w kontuar.

Krótkie piknięcie świadczyło, że pieniądze przeszły.

— Doskonale — powiedziała SI. — Wasze kapsuły szybkich podróży zostaną natychmiast wysłane. W razie potrzeby uzyskania dodatkowego transportu lub zapytań o drogę proszę szukać symboli szybkich podróży, takich jak ten na szczycie tej budki. W razie braku zmysłu wzroku można poprosić o darmowy wskaźnik położenia w tej lub w każdej innej budce szybkich...

— Dziękuję — powiedział Ashby, chociaż SI wciąż mówiła.

Odszedł na czele załogi od budki, ale Jenks został przy niej.

SI ciągnęła niewzruszona odejściem słuchaczy.

— Mamy modele wskaźników położenia odpowiednie dla wszystkich gatunków. Mogą one emitować powiadomienia odbierane przez rozmaite zmysły, takie jak zapach, smak, dźwięk, pobudzanie czuciowe, pobudzanie nerwowe...

— Jenks nie idzie? — zapytała Rosemary.

— Jenks zawsze czeka na koniec przemowy — wyjaśniła Kizzy z czułym uśmiechem. — Tak z uprzejmości.

Rosemary obejrzała się na roztrzęsioną SI.

— To nie jest model rozumny, prawda?

— Chyba nie — odparł Ashby. — Ale spróbuj to powiedzieć Jenksowi. Zawsze wierzy SI na słowo.

— Co jest absurdalne — odezwał się Corbin.

Głos tłumiał mu hełm.

— Podobnie jak to coś na twojej głowie — mruknęła Sissix.

— Dobrze, ludzie — wtrącił Ashby, zwracając się do grupy, zanim Corbin zdążył się odgryźć. — Znacze zasady. — Zobaczył, że Jenks kiwa SI uprzejmie głową i podchodzi do nich. — Takie same jak zawsze, tylko tym razem mamy na zakupy czipy wydatkowe WG. Kupujemy tylko to, co niezbędne. Za wszystko inne płacicie swoimi łatkami. WG nie spodoba się otrzymanie rachunku za czterodaniowe posiłki czy masaże ciała.

— I tak kończy się moje popołudnie — powiedział Jenks.

— Rosemary, wszyscy dostali swoje czipy, tak?

— Tak. I każdy powinien mieć w swoim noteku listę zatwierdzonych zakupów, tak dla przypomnienia.

— Dobrze. Kiedy już skreślicie wszystko ze swoich list, do rana możecie robić, co chcecie. Spróbujmy wyruszyć o dziesiątej godzinie. — Jego notek zabrzączał, informując go o nowej wiadomości. — Przepraszam, chwileczkę.

Wyciągnął z torby notek i machnął ręką nad ekranem. Pojawiła się wiadomość.

Otrzymana wiadomość

Kodowanie: 3

Tłumaczenie: 0

Od: Nieznany nadawca (zakodowane)

Ashby'emu mocniej zabiło serce.

Nie mogłam nie zauważyć szkaradnego statku do budowania tuneli, który właśnie zadokował na orbicie. Wróciłam z granicy, ale wkrótce wylatuję. Za trzy godziny zacznę oficjalny dwudniowy urlop z pozwoleniem zejścia ze statku. Już dałam wyraźnie do zrozumienia, że część tego czasu chcę spędzić sama. Możesz go spędzić ze mną?

Nie było podpisu, lecz Ashby go nie potrzebował. Wiadomość przysłała

Pei. Była tu. I, co najważniejsze, dobrze się czuła. Żyła.

Chociaż czuł, jak opuszcza go napięcie całych dziesięciodni, udało mu się zachować obojętną minę. Włożył notek z powrotem do torby i potarł dłonią podbródek. Cholera. Nie ogolił się. No trudno. Pei wozi towar. Mimo że jej gatunek nie ma włosów, akurat ona potrafiła zrozumieć niedopatrzenie w dbałości o wygląd.

Kiedy odwrócił się z powrotem do grupy, napotkał wzrok Sissix. Uniósł brwi, a potem przybrał swoją kapitańską minę.

— No, na co czekacie? Idźcie na zakupy.

Rosemary pośpieszyła za załogą z obawy, że mogłaby się zgubić. Port promowy był już dość zatłoczony, ale lawirowali w tłumie, przechodząc przez bramy targowiska, i prawdopodobieństwo, że porwie ją morze handlarzy, wzrosło. Właściwie nie przerażało jej, że mogłaby się zgubić. Przerażała ją możliwość, że mogłaby zostać napadnięta. Albo napastowana. Albo zaatakowana czymś ostrym. Widziała kilka osób, które zdecydowanie wyglądały na takie, które mogłyby to zrobić. Czy w takim miejscu nie działali złodzieje łatek na nadgarstki? Czy nie słyszała historii o kimś, kto odwiedził Port Coriol, zawędrował do niewłaściwego sklepu i obudził się w zaułku z amputowaną ręką z łatką? Może to było nieco naciągane, ale biorąc pod uwagę, że właśnie minęła aeluona, którego cała twarz stanowiła mozaikę implantów, nie była jeszcze gotowa wykluczyć możliwości istnienia złodziei łatek kradnących ręce. Cieszyła się, że jest z Sissix, której obecność dodawała jej otuchy, oraz z Kizzy, która była prawdopodobnie wystarczająco krzykliwa — zarówno pod względem głosu, jak i ubrania — by odstraszyć co ostrożniejszych przestępców. Obie wyglądały jak osoby, które wiedzą, co robią. Rosemary miała nadzieję, że jest z nimi bezpieczna.

— Na pewno nie chcesz iść do techjaskiń, Kiz? — zapytała Sissix.

— Nie. Moją listę ma Jenks. Zajrzę później, żeby przywitać się z paroma

osobami i pogapić się na różne ustrojstwa. Teraz jestem podenerwowana przebywaniem w przestrzeni kosmicznej. Potrzebuję otwartego nieba i świeżego powietrza. — Rozłożyła ramiona i teatralnie zaczerpnęła tchu. — Achchchchch.

— Mmm. Tak. Świeże powietrze — prychnęła Sissix przez swoją maskę.

— Znasz to uczucie, co, Rosemary? — Kizzy podskoczyła do niej. — Wychowałaś się na planecie.

— Miło jest czuć prawdziwą grawitację — rzekła Rosemary.

— A miałaś chorobę kosmiczną?

— Tylko trochę mnie mdliło. Ale to nie problem, przyzwyczajam się do tego.

— Rozejrzemy się za bransoletkami równoważącymi. Na pewno ktoś je sprzedaje.

Sissix prychnęła z rozbawieniem.

— To takie oszustwo.

— Wcale nie — zaproponowała Kizzy. — Moja babcia wkłada je za każdym razem, kiedy udaje się na górę, i mówi, że działają jak marzenie.

— Twoja babcia także sądzi, że potrafi rozmawiać ze swoimi imubotami.

— No dobrze, to prawda, ale nigdy nie dostaje choroby kos... O, cholera. — Kizzy spuściła wzrok na swoje buty. — Nie nawiązujcie kontaktu wzrokowego. Nie nawiązujcie kontaktu wzrokowego.

Rosemary odwróciła wzrok, kiedy tylko ujrzała źródło paniki Kizzy: prosty, przyjazny stół zastawiony zamkniętymi terrariami i glinianymi (glinianymi!) miseczkami pełnymi infoczipów. Takie stoły stanowiły pospolity widok na publicznych placach Florence, a stroje ich właścicieli były natychmiast rozpoznawalne. Mieli na sobie grube bioskafandry jak dawni badacze Księżyca, uszczelnione i usztywnione do tego stopnia, że hełm Corbina wyglądał przy nich niemal rozsądnie. Rosemary słyszała, że

ich używane skafandry były umieszczane w szczelnych pojemnikach i wystrzeliwane w przestrzeń kosmiczną. Standardowe procedury odkażające im nie wystarczały. Nie mogło być ryzyka, że zostanie zakłócony ich układ immunologiczny albo, co gorsza, naturalny przebieg ewolucji człowieka.

Gaiści. Bezapelacyjnie stworzyli własną odmianę szaleństwa.

— Cholera — powiedziała Kizzy. — Nawiązałam kontakt wzrokowy.

— Świetna robota, Kiz — stwierdziła Sissix.

— Nie chciałam!

Prosto w ich stronę ruszył gaista z okrągłym terrarium w dłoniach osłoniętych rękawicami.

— Witajcie, siostry — zaczął. Jego głos przekazywał niewielki vox pod przyłbicą hełmu. Jego klip był dobry, lecz z silnym akcentem, pełen niedokładnych spółgłosek, co świadczyło o nieczęstym używaniu. — Chciałybyście obejrzeć jeden z małych cudów waszej rodzimej planety?

Wyciągnął terrarium w stronę Kizzy i Rosemary, całkowicie ignorując Sissix.

— Nie, dziękuję — wymamrotała Rosemary, a Kizzy wybełkotała coś o „spóźnieniu na coś”.

— Ja bym chciała zobaczyć — odezwała się Sissix.

Twarz gaisty przybrała kamienny wyraz. Uniósł terrarium z wymuszonym uśmiechem. Za plexem z gniazda z mchu wznosił się skomplikowany żółty kwiat.

— To jest orchidea — powiedział mężczyzna. Obce słowo dziwnie brzmiało w otoczeniu dźwięków klipu. — Delikatna roślina, która niegdyś rosła na ziemskich bagnach i w tropikalnych lasach. Jak większość zróżnicowanej flory Ziemi, po Zapaści te piękne kwiaty wymarły w naturalnym środowisku. — Wodził oczyma między Kizzy i Rosemary, pełen niepokoju, czy się zainteresują. — Dzięki wysiłkom naszych ciężko



pracujących przyjaciół orchidee z powodzeniem zadomowiły się w kilku przywróconych tropikalnych lasach.

— Jest piękna — powiedziała Sissix. Zabrzmiało to szczerze. Wskazała na kwiat i odwróciła głowę do towarzyszek. — Wasze genitalia są trochę do nich podobne, tak?

Kizy wybuchnęła śmiechem. Rosemary poczuła, że się czerwieni.

— Mam pytanie — ciągnęła Sissix, zwracając się do wyraźnie speszzonego gaisty. Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć terrarium. Gaista aż się wzdrygnął na widok szponów zawisających nad ziemskim mchem. — Czy naukowcy z Programu Sansara też pracują z orr-chidami?

Gaista zmarszczył brwi.

— Możliwe, lecz nie można odnieść sukcesu w działaniach z ziemią, jeśli żyje się ze stopami w powietrzu.

Do jego przyjaznego tonu zakradła się nuta nabożności.

Rosemary niemal zrobiło się go żal. Sissix go prowokowała, usiłując zmusić do porzucenia pozorów udzielania lekcji przyrody i zaatakowania ich założeniami Puryzmu Gaistycznego. Cel ruchu, którym było uzdrowienie ledwie nadającego się do zamieszkania rodzimego świata ludzkości, był z pozoru szlachetny. Ten sam cel mieli jednak naukowcy z Programu Sansara, którzy mieszkali w otaczającym Ziemię srebrzystym orbitalnym pierścieniu — pierścieniu zbudowanym nie przez ludzi, lecz przez aeluonów i aandrisków. I chociaż tamtejszym wysiłkom mającym na celu przywrócenie poprzedniego stanu przewodzili ludzie, wielu pracujących z nimi naukowców pochodziło z innych światów. Upartym gaistom — zwłaszcza tym, którzy w poszukiwaniu zagubionych dusz stawiali czoło tłumom w dokach promów — bardzo się to nie podobało.

Gaista zwrócił się do Rosemary i Kizy; w miejsce ostrych tonów w jego głosie pojawiła się desperacja.

— Jeśli podczas waszego pobytu będziecie miały trochę czasu dla siebie, innymi słowy, pozbędziecie się towarzystwa tej obcej, przyjdźcie do nas jeszcze raz. Mamy wiele innych ziemskich cudów do pokazania, a w zbiornikach siedliskowych na naszym statku mamy ich znacznie więcej. — Przełożył terrarium do lewej ręki i sięgnął do swojej torby. — Proszę. — Podał im po infoczipie. — To prezent. Są tam nagrania wideo z niektórych magicznych miejsc czekających na was na waszym rodzimym świecie. Wystarczy wetknąć czip do noteka. — Uśmiechnął się, jakby sama wzmianka o Ziemi napawała go spokojem. — Zapraszam do ponownych odwiedzin, siostry. Zawsze będziecie wśród nas mile widziane.

Gaista cofnął się do swojego stołu, a trzy kobiety pośpiesznie się oddaliły.

— I dlatego nigdy nie należy nawiązywać kontaktu wzrokowego — stwierdziła Kizzy, wrzucając czip do pierwszego śmietnika, który zobaczyła.

— Wiesz, są też gatunkistowscy aandriskowie — zauważyła Sissix. — Ale nie zwracają tym głowy innym.

— A co robią wasi gatunkiści? — zapytała Kizzy.

Sissix wzruszyła ramionami.

— Mieszkają w gospodarstwach za zamkniętymi bramami i mają prywatne orgie.

— I czym to się różni od tego, co robią pozostali z was?

— Nie mamy bram i na nasze orgie może przyjść każdy. Oprócz larów. Oni mają na nas alergię.

— Na gwiazdy — rzekła Kizzy, prowadząc towarzyszkę do właściwego targowiska. Wyjęła z torby torebkę z dmuchanymi kulkami z alg i zaczęła je energicznie gryźć. — Trudno mi uwierzyć, że Mała też się kiedyś tym zajmowała.

— Mnie trudno uwierzyć, że kiedyś zadawała się z prepersami — powiedziała Sissix. — Sprawia wrażenie takiej przyziemnej. Gra słów

niezamierzona.

— Przepraszam, o kim mówiciwe? — zapytała Rosemary.

— O Mali. Mamie Jenksa — wyjaśniła Kizzy. — Bierze udział w Programie Sansara. Pracuje ze ssakami. Powinnaś poprosić Jenksa, żeby pokazał ci zdjęcia jej malutkich futrzaków. Na gwiazdy, te wombaty...

Rosemary się zastanowiła. Chyba musiała źle usłyszeć.

— Chwileczkę, ona była prepersem?

Coś musiało być nie tak, jeśli ta kobieta mieszka w pierścieniu. Prepersi byli ekstremalnym odłamem gaistów. Byli nie tylko ksenofobami, ale i technofobami. Wierzyli, że to technika od początku skazała ich planetę na zagładę i że jedynym sposobem uzyskania odkupienia jest żyć tak jak zwierzęta, którymi są. Prepersi byli myśliwymi i zbieraczami oraz genetycznymi purystami; nie stosowali nie tylko zwykłych terapii genetycznych, ale także szczepionek. Uważali, że słabość należy wyeliminować poprzez dobór naturalny. Najwyraźniej ignorowali fakt, że na Ziemi znajduje się teren, który w ogóle może ich wyżywić, tylko dzięki temu, że Republika Solarna dała im duży obszar odtworzonej sawanny pełnej roślin jadalnych i stad zwierząt łownych wskrzeszonych przez naukowców do życia za pomocą zamrożonego DNA i sztucznych macic. Rosemary nie znała jeszcze dobrze Jenksa, ale nie wierzyła, że ten trzeźwo myślący, niefrasobliwy komptech może mieć matkę prepersa.

— Tak, zadała się z nimi jako nastolatka — rzekła Kizzy. — Uciekła z domu, złapała okazję na Ziemię, wstąpiła do jednego z klanów, jadła prawdziwe dzikie mięso i w ogóle. Wyobrażacie to sobie? — Przypadła teatralnie do ziemi w pozycji myśliwego. — Skradacie się w trawie — skoczyła z boku na bok — unikając węży, szczurów czy takich tam, macie tylko ten duży ostro zakończony kij i musicie podbiec do tego pieprzonego bwoła...

— Bwoła? — zapytała Sissix.

— To jest taka duża krowa czy coś. A potem dźgacie go i dźgacie, i dźgacie, a on miota wami na wszystkie strony, o cholera... — Kizzy wymachiwała rękami, nieświadoma, że przechodnie przyglądają się jej podejrzliwie, albo nic sobie z tego nie robiąc. Z jej torby wypadło kilka zagubionych dmuchanych kulek z alg. — Obrywacie kopytami w twarz, wszędzie, dosłownie wszędzie jest pełno krwi, a potem bwół jest martwy i musicie go rozebrać gołymi rękami. I zjeść go.

Uniosła ręce do ust, wydając siorbiące dźwięki.

— Fuj, skończ, proszę — powiedziała Sissix i się skrzywiła.

— Czy Jenks wychował się na Ziemi? W klanie? — zapytała Rosemary.

— Nie, ale urodził się w klanie. Dlatego jest mały — odparła Sissix. — Żadnej terapii prenatalnej.

— Aha. Myślałam, że jest podrasowany genetycznie, ale nie wiedziałam, jak o to zapytać.

— Tak, nie, to jest kwestia genów, ale on się taki urodził — wyjaśniła Kizzy. — A tak nawiasem mówiąc, jestem pewna, że zarobiłaś u niego kilka punktów za to, że nie wspomniałaś o tym od razu na wstępie. Nie ma nic przeciwko pytaniom, ale bywa nimi zmęczony.

— Widzisz, po zajściu w ciążę Mała nie miała żadnych rutynowych przeglądów — ciągnęła Sissix. — Właściwie...

— Prawie umarła przy porodzie — powiedziała Kizzy. — Poważnie, prawie umarła. Dasz wiarę? Kto umiera przy porodzie? To archaiczne jak diabli. A Jenks też byłby martwy, gdyby Mała nie zdecydowała się na niesamowity krok. Przestała się wkupywać w szeregi tych szalonych prepersów w momencie, kiedy zaczęła się mowa o zabiciu jej dziecka.

Rosemary opadła szczęką.

— Chcieli zabić Jenksa?

Kizzy skinęła głową i wepchnęła sobie do ust garść kulek.

— Prrsi pżmm mmf. — Przełknęła. — Prepersi porzucają dzieci, które są chore, odmienne albo coś. Tak po prostu, o, to jest jakieś dziwne, lepiej się go pozbadźmy, żeby wyplenić słabe geny. — Kizzy zacisnęła pięści, zgniatając kulki w torebce. — Uch! To takie głupie! — Spojrzała na torebkę, jakby zobaczyła ją pierwszy raz. — Ojej.

— No i co się stało? — zapytała Rosemary.

— Naprodukowałam okruszek.

— Pytam o Małą.

— Znowu uciekła — powiedziała Sissix. — Odeszła od klanu i znalazła grupę uczonych, którzy pracowali na planecie. Bo oni...

— Nie, opuściłaś twardejszy aspekt — przerwała jej Kizzy. — Musiała iść, no dobra, jakiś szaleńczy kawał drogi, mając nadzieję, że znajdzie kogoś za granicą prepersów. Żadnych śmigaczy, ślizgaczy, promów. Po prostu szła. Boso jak cholera. A wszędzie wokół były lwy. Lwy!

— Nie wszędzie — powiedziała Sissix.

— Posłuchaj, kiedy ma się do czynienia z lwami, to nie ma znaczenia, czy są dosłownie wszędzie — rzekła Kizzy. — Wystarczy świadomość, że gdzieś w pobliżu może się znajdować kilka lwów.

— Tak czy owak, znaleźli bezpieczne schronienie u naukowców z Pierścienia i Mała doszła do wniosku, że nie są tacy źli. Polubiła biologię i od tamtej pory stale się nią zajmuje.

— Bez żadnego uniwersytetu czy coś — dopowiedziała Kizzy. — Po prostu zaczęła wyrzucać gnój z zagród hodowlanych i od tego zaczęła naukę. Co prawda nadal jest gaistką, tylko że umiarkowaną. W gruncie rzeczy gaistami jest wielu ludzi na Pierścieniu. Wierzą w przywiązanie duszy do planety i nie lubią oddalać się od Ziemi, ale odrzucają cały ten gatunkistowski bełkot. I kiedy kilkunastoletni Jenks postanowił zobaczyć

resztę galaktyki, Mala wkurzyła się tylko trochę. Teraz zupełnie się z tym pogodziła. Mnóstwo gaistów to fajni ludzie. W odróżnieniu od tych dupków.

Skinęła głową w stronę misjonarzy.

— Czy kiedy dotarli do Pierścienia, Jenks nie mógł zostać poddany terapii genowej? — zapytała Rosemary. — Chyba nawet gaiści muszą akceptować standardową medycynę.

— Akceptują. Mają imuboty jak my wszyscy i na szczęście się szczepią. Terapię genową uważają za podejrzaną. Zwykle zgadzają się na podrasowanie dla poprawy jakości życia, ale nie ze względów kosmetycznych.

— No to dlaczego...

— Dlaczego Jenks nie został podrasowany? Jak mówiłam, jedynie dla poprawy jakości życia. Tylko spójrz na tego zadowolonego drania. Miałby wspaniałe życie bez względu na wzrost.

— Ale nie mogli tego wiedzieć, kiedy był niemowlęciem.

— Mala nie pozwoliłaby im na to. Jenks mówi, że kiedy zmusiła lekarzy do przyznania, że to, iż jest mały, nie oznacza, że nie jest zdrowy, nie było dla niej sprawy. Wtedy nie miało to żadnego związku z ideologią gaistyczną. Mówi, że matka miała dość ludzi mówiących, że z jej dzieckiem jest coś nie tak. — Kizzy zatrzymała się i rozejrzała. — A ja idę w zupełnie złą stronę.

— Co jest pierwsze na naszej liście? — zapytała Sissix.

Kizzy wyjęła swój notek.

— Czyścik do plexu — odparła. — A potem dozowniki szorobotów.

— Czy możemy tym razem kupić bezzapachowe? — poprosiła Sissix. — Ashby zawsze kupuje cytrynowe, a ja nie znoszę wchodzić do łazienki po porządkach i wdychać zapachu cytrusów.

— Masz coś przeciwko cytrynowej świeżości?

— Wiesz, co to są iski?

— Nie.

— Owszem, wiesz. Małe zielone owoce rosnące w kiściach po trzy.

— A, te.

— Pachną jak cytryny, tak?

— Trochę.

— No więc my nacieramy naszych zmarłych sokiem z iski.

Kizzy roześmiała się.

— No nie. Dobra, bezzapachowe szoroboty. — Spojrzała na listę i postukała w nią energicznie jak polityk podczas przemówienia. — Posłuchajcie, dzisiaj będziemy zespołem zaopatrzeniowym twardym jak skała. Trzymamy się listy i koniec. Zawsze wydaję tu o wiele za dużo na bzdety, których nie potrzebuję. — Jej uwagę przyciągnęło coś, co dostrzegła ponad ramieniem Rosemary. — Jak to.

Kizzy pobiegła bez słowa w stronę stoiska z przyborami do żonglowania.

Sissix westchnęła.

— No i się zaczyna — powiedziała, patrząc, jak Kizzy szpera w skrzynce pełnej połyskujących maczug. — Jeśli myślałaś, że dzisiaj chodzi o zrobienie zapasów, to jesteś w błędzie. Dzisiaj chodzi o kłótnie Kizzy.

Idąc za mechtech, Sissix objęła Rosemary, kładąc jej rękę na ramionach. Ten gest swobodnej zażyłości zdumiał Rosemary, lecz dziewczyna poczuła też iskierkę dumy. Nawet jeśli zostanie napadnięta, to przynajmniej znajduje się w dobrym towarzystwie.

Jenks zszedł rampą do podziemnej dzielnicy techników — albo, jak powszechnie ją nazywano, do jaskiń. Przy wejściu pod wielojęzycznym napisem siedział na stołku aandrisk z pistoletem ogłuszającym. Napis brzmiał:

Następujące wyroby mogą stanowić zagrożenie dla sprzętu technicznego, botów, SI, modyfikowanych istot rozumnych oraz istot rozumnych używających osobistych urządzeń

podtrzymujących życie. Prosimy nie wnosić do jaskiń żadnego z tych wyrobów. Jeśli któryś z tych wyrobów lub kilka z nich zostały wszczepione na powierzchnię lub wewnątrz waszego ciała, prosimy je wyłączyć przed wejściem.

Łatki widmowe (implanty oczne przenikające powierzchnie)

Boty uprowadzające lub zabijające

Pył hackerski (przenoszone przez wiatr wtryskiwacze kodów)

Niewłaściwie zabezpieczone materiały radioaktywne (nie ryzykujcie, jeśli nie macie pewności)

Urządzenia na paliwo ze zmiotek

Magnesy

U dołu napisu widniał ręczny dopisek w klipie:

Poważnie, my się nie opierdalamy.

Kiedy Jenks przechodził obok niego, aandrisk skinął mu uprzejmie głową. Jego bliźniacze implanty oczne lśniły w nawale sztucznego światła. Każdy warsztat i stoisko w jaskiniach miało inny mechanizm oświetlenia, by odróżniać się od innych. Jaskinie stanowiły cyklon nastrojowych błękitów, drgających tęczy, symulowanych wschodów słońca, sztucznych pól gwiazdnych. Oświetlenie to można było podziwiać we wnętrzu danego warsztatu, lecz w korytarzach nakładające się na siebie efekty tworzyły dziwną mieszankę koloru i cieni. Jakby się szło w pijanym kalejdoskopie.

Jenks czuł się w jaskiniach jak u siebie w domu i to nie tylko ze względu na niekończące się rzędy starannie popakowanych, ręcznie spreparowanych towarów. Wiele spotykanych tu istot było zagorzałymi modderami, osobami skłonnyimi usunąć sobie własne kończyny, by zastąpić je czymś syntetycznym. Idąc przez jaskinie, można było zobaczyć metaliczne egzoszkielety, wirujące tatuaże tworzone przez nanoboty albo niepokojąco idealne twarze zdradzające słabość do genetycznego podrasowywania. Łatki na twarz, gniazdko skórne, domowe implanty. Wśród takich dziwactw niewielki wzrost Jenksa nie był niczym szczególnym. Trudno było czuć się



dziwnym w miejscu, gdzie wszyscy są dziwni. Dodawało to Jenksowi otuchy.

Szedł korytarzami, zapamiętując miejsca, które chciał sprawdzić później. Jenks był weteranem Portu i wiedział, że zanim zacznie szastać kredytami, jest tylko jedno miejsce, od którego należy zacząć.

Witryna warsztatu nie była tak wymyślna, jak niektórych innych. Nad wejściem wisiał szyld zrobiony z zepsutej płytki obwodu drukowanego. Przymocowano do niej stare kawałki złomu w kształcie liter. Napis głosił: Wiadro Rdzy. Mniejszymi literami było napisane: Warsztat wymiany i naprawy urządzeń technicznych, a jeszcze mniejszymi: Papryka i Niebieski, właściciele.

Jenks wspiął się na palce i zajrzał za kontuar. Papryka garbiła się nad warsztatem plecami do niego i coś do siebie mruczała. Podrapała się po swojej pozbawionej włosów ludzkiej głowie, zostawiając na niej smugę smaru. Nawet jeśli to zauważyła, chyba się nie przejęła.

— Hej, paniusiu! — warknął Jenks. — Wiesz, gdzie mogę zdobyć boty ze środkami pobudzającymi?

Papryka odwróciła się, nawet nie zadając sobie trudu, żeby ukryć irytację tak głupim pytaniem. Kiedy tylko uświadomiła sobie, kto je zadał, jej twarz się rozpromieniła.

— Jenks! — zawołała, wycierając ręce w fartuch i wychodząc zza kontuaru. — Co ty tu robisz, u diabła?

Uklękła i uściskała go przyjaźnie. Uścisk był ciepły, lecz ręce miała chude. Zbyt chude. Od początku znajomości z Papryką jej uściski zawsze wywoływały u Jenksa przyływ współczucia.

Papryka i jej towarzysz, Niebieski, byli uciekinierami z planety na rubieżach o nazwie Aganon, jednego z ostatnich bastionów ruchu Udoskonalona Ludzkość. Jednoznacznie odcięte od Diaspory i Wspólnoty

Galaktycznej kolonie Udoskonalonych hodowały swoją ludność w sztucznych macicach, opierając jej genetyczny kształt na obliczeniach, czego ich społeczeństwo będzie potrzebować, kiedy dany osobnik osiągnie dojrzałość. Ich geny były podrasowane nie do poznania w celu ulepszenia zdrowia, inteligencji, umiejętności życia w grupie — cokolwiek było potrzebne w pracy, którą mieli wykonywać. Pracę fizyczną wykonywali ludzie hodowani bez jakichkolwiek zmian genetycznych oprócz dwóch: byli bezpłodni i nie mieli włosów (by łatwo było ich zauważyć). Udoskonaleni, tak przekonani o swojej wyższości nad klasą pracującą, byli całkowicie nieprzygotowani na nieprawdopodobny wyczyn Papryki, który zaczął się od opuszczenia w późnym dzieciństwie fabryki urządzeń technicznych, a kulminację osiągnął na ogromnym złomowisku, które stało się jej tymczasowym domem. Tam, wśród niezliczonych innych wyrzuconych przedmiotów, Papryka znalazła ukryty skarb: wrak promu międzygwiazdowego. Używając tylko tego, co mogła znaleźć na złomowisku, połątała prom i przywróciła mu życie. Doprowadzenie go do sprawności zajęło jej ponad sześć standardów, a kradzież wystarczającej ilości paliwa prawie jeszcze jeden. Za wolność zapłaciła poważnym niedożywieniem, które niemal doprowadziło ją do śmierci, zanim nie podjął jej statek patrolowy WG. Papryka przebywała w Port Coriol od ośmiu standardów, na tyle długo, by stać się filarem miejscowej społeczności modderów, i w tym czasie miała dobrą opiekę zdrowotną. Chociaż lubiła jeść (imię przybrała sobie po odkryciu przyjemności, jaką dają przyprawy), jej metabolizm po prostu nie nadążał. Jej ciało bezdomnego dziecka już nigdy nie miało się wypełnić.

Fakt, że Jenks i Papryka mogli stać w tym samym miejscu — ona pochodząca ze świata, gdzie genetyczne podrasowywanie było obowiązkowe, on urodzony przez matkę, która całkowicie odrzucała tradycyjną ochronę

zdrowia — świadczył o otwartości Portu oraz o dziwaczności ludzkości. Prawdopodobnie dlatego Jenks i Papryka zawsze byli ze sobą w tak dobrych stosunkach, czy to ze współczucia, czy dla zabawy. No i z ich głębokiej, dozgonnej miłości do wszystkiego, co cyfrowe. To niewątpliwie pomagało.

— Co z „Wędrowcem”? — zapytała Papryka.

Zwykle było to jej pierwsze pytanie i było zadawane serio. Jej zainteresowanie jego statkiem — a właściwie wszelkimi statkami — było prawdziwe.

— Lata gładko jak zawsze — odparł Jenks. — Właśnie przebiliśmy się na ślepo do Botas Welim.

— To ta nowa aeluońska kolonia, tak?

— Aha.

— Jak poszło?

— Jak w podręczniku. Tylko że nasza nowa urzędniczka nie polubiła za bardzo podwarstwy. Błeee.

Pokazał gestem wybuch z ust.

Papryka roześmiała się.

— Och, chcę usłyszeć wszystkie plotki. Znajdziesz czas na kubek meku, jak już załatwimy interesy? Skonstruowałam zaparzaczkę, która zmieni twoje życie.

— Czegoś takiego nie mogę odmówić.

— Świetnie. Co dalej? Macie nagrane coś jeszcze?

— Właściwie tak — powiedział z dumą Jenks. — Słyszałaś o sojuszu z toremimi?

Papryka przewróciła oczyma.

— Tak naprawdę to co oni sobie myślą?

Jenks roześmiał się.

— Nie wiem, ale będziemy mieli z tego strasznie świetną robotę. Z Tokath

do Hedry Ka. To my!

— Nie gadaj — powiedziała Papryka z niedowierzaniem. — Lecicie do Jądra?

— Aha. I na dodatek będzie to przebiecie z umocowaniem.

— Kurde. Naprawdę? No, to jest poważna podróż. Ile czasu?

— Około standardu. Ale płaci za nią WG. My musimy tylko się tam dostać i przebić z powrotem.

Papryka pokręciła głową.

— Poszczęściło się wam, ale cieszę się, że nie padło na mnie. — Roześmiała się. — Ja się robię bardzo nerwowa, jak jestem tak długo na statku. No tak, Jądro. Ilu ludzi może powiedzieć, że tam było?

— No właśnie.

— Rety. To wyjaśnia, dlaczego tu jesteś. Rozumiem, że masz dla mnie listę zakupów?

— Większość zamówień złożyła Kiz. Kupuje inne różności.

Jenks podał Papryce swój notek.

— Powiedz jej, że lepiej niech się tu pokaże, zanim opuścicie orbitę. Nie pozwolę jej odlecieć bez przywitania się.

— Jakby mogła do tego dopuścić. Moglibyśmy się później spotkać z tobą i Niebieskim po ciemnej stronie, jeśli nie macie innych planów. Pójść na kolację czy coś. Właśnie dostałem wypłatę.

— Bardzo mi się ten pomysł podoba. Zwłaszcza o fundowaniu. — Powoli przewinęła jego listę. Czytanie nie było jej najmocniejszą stroną. — Dobra, modulatory prądu. Idź do Poka, tego quelina przy alejce z botami. Znasz go?

— Znam opowieści o nim. Jest odrażający jak diabli.

— Nie zaprzeczę, ale to nie jest zły gość i nie pakuje swoich rzeczy w grax jak inni. Uwierz mi, jego modulatory to urządzenia z najwyższej półki.

— Co jest nie tak z graxem?

— To dobra, tania ochrona urządzeń, ale jeśli zostawi się węzły odbiorcze zbyt długo zawinięte w grax, to stają się mniej czułe.

— Poważnie?

— Cóż, ci, co sprzedają grax, mają inne zdanie, ale przysięgam, że od kiedy przestałam kupować urządzenia pakowane w grax, moje wyroby są o wiele lepsze.

— Wierzę ci na słowo.

Papryka dalej czytała listę.

— Po łączniki przełączników idź do Hish.

— Hish?

— Otwarty Obwód. Hish jest właścicielką.

— Aha, dobra. Nigdy nie byłem w Otwartym Obwodzie. Zawsze chodziłem do Białej Gwiazdy.

— Liczy sobie więcej niż Biała Gwiazda, ale moim zdaniem ma o wiele lepszy towar. Powiedz jej, że wiesz to ode mnie, to może opuści ci kilka kredytów. — Czytała dalej. — W poszóstne obwoły mogę cię zaopatrzyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że będą używane.

Sięgnęła na półkę, zdjęła z niej ręcznie zapakowaną paczkę obwodów i położyła na kontuarze.

— Twoja wersja używanego jest zwykle lepsza od nowego — stwierdził Jenks.

Mówił poważnie. Jeśli chodziło o przywracanie urządzeń do życia, Papryka była czarodziejką.

Papryka uśmiechnęła się.

— Czarus. — Zerknęła na notek. — Cewki. Hmm. Chyba mam ich trochę gdzieś tu upchniętych... — Poszukała i po chwili rzuciła na kontuar torebkę z maleńkimi metalicznymi spiralkami. — Proszę. Cewki.

— Ile? — zapytał Jenks, odsuwając oplotkę z nadgarstka.

Papryka machnęła ręką.

— Stawiasz mnie i mojemu mężczyźnie kolację. Jesteśmy kwita.

— Na pewno?

— Tak.

— Dobra. — Odchrząknął i ściszył głos. — Papryko, szukam też czegoś, czego nie ma na tej liście.

— Dawaj.

— Tak z ciekawości. To nic poważnego.

To oczywiście była bardzo poważna prośba, ale nawet z osobą tak życzliwą jak Papryka trzeba było zachować ostrożność.

Papryka powoli, ze zrozumieniem skinęła głową. Przechyliła się przez kontuar i powiedziała półgłosem:

— Całkowicie hipotetyczne. Rozumiem.

— Jasne — powiedział Jenks i po chwili milczenia zapytał: — Co wiesz o zestawach cielesnych?

Papryka uniosła brwi, a raczej miejsce, gdzie znajdowałyby się brwi, gdyby miała włosy.

— Do diabła, nie zaczynasz od drobiazgów, co? Oj, bez urazy.

— Bez urazy. Posłuchaj, wiem, że takie zestawy trudno znaleźć...

— Trudno znaleźć? Jenks, to jest tak zakazane, że praktycznie nie istnieje.

— Ale ktoś musi to robić. Jakiś modder z jakimś bunkrem...

— Och, na pewno. Ale nikogo takiego nie znam. — Przyjrzała mu się uważnie. — A po co w ogóle potrzebny ci zestaw cielesny?

Jenks pociągnął się za tunel w lewym uchu.

— Gdybym powiedział, że to sprawa osobista, moglibyśmy na tym poprzestać?

Papryka nic nie powiedziała, ale widział po jej oczach, że składa sobie obraz. Wiedziała, czym się zajmuje. Słyszała, jak mówił o Lovey, chociaż

robił to od niechcenia. Jenks poczuł, że zaczyna się pocić. *Na gwiazdy, pewnie wyglądam żałośnie*, pomyślał. Lecz Papryka tylko uśmiechnęła się lekko i wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz. — Przez chwilę się zastanawiała z poważną miną. — Chciałabym jednak powiedzieć jako przyjaciółka, że jeśli natkniesz się na zestaw cielesny i, tak, jeśli jakimś astronomicznie szczęśliwym trafem znajdzie dostawcę, skontaktuj się z tobą. Naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Będę uważał.

— Nie, Jenks. — Papryka mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Nie mówię o tym, że możesz zostać aresztowany. Mówię o tym, że robisz coś niebezpiecznego. Nie znoszę grać kartą mojej smutnej przeszłości, ale posłuchaj: jestem końcowym produktem działań kilku bardzo głupich ludzi o dobrych intencjach, którzy sądzili, że przedefiniowanie ludzkości to świetny pomysł. Zaczęło się od drobnostek. Podrasowanie tu, wstawka tam. Ale doszło do eskalacji, tak zawsze się dzieje, aż sprawy całkowicie wymknęły się z ram zdrowego rozsądku. Właśnie dlatego zestawy cielesne są zakazane. Pewni ludzie, którzy o etyce wiedzą o wiele więcej niż ja czy ty, uznali, że WG nie jest gotowa ani odpowiednio wyposażona, by dać oparcie nowemu życiu. Dlatego SI są obecnie traktowane cholernie źle. Wiesz, że jestem za nadaniem im pełni praw. Ale to mętne wody, Jenks, i przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale nie jestem pewna, czy zestawy cielesne to dobre rozwiązanie. Więc bez względu na to, jak niewinne masz intencje, najpierw pomyśl o tym, co robisz. Zadaj sobie pytanie, czy jesteś gotowy na taką odpowiedzialność. — Uniosła chude ręce. Jej dłonie były zgrubiałe od starych blizn, pamiątek po dekadzie przekopywania się przez ostry złom. Wspomnień o głodzie, strachu i świecie, który potoczył się nie tak. — Zadaj sobie pytanie, jakie mogą być tego konsekwencje.

Jenks zamyślił się.

— Jeśli masz na ten temat tak zdecydowany pogląd — powiedział w końcu — to dlaczego chcesz mi powiedzieć, jak znajdziesz dostawcę?

— Bo jesteś przyjacielem — stwierdziła miękkim tonem. — I ponieważ moim zadaniem jest tworzenie połączeń. I jeśli myślisz o tym poważnie, to wolałabym, żebyś przyszedł z tym do mnie, a nie do jakiegoś partacza. Chociaż, szczerze mówiąc, mam też nadzieję, że zanim kogoś znajdę, uznasz, że miałam rację, iż to zły pomysł. — Papryka wyłożyła na kontuar tabliczkę z napisem: Jestem na zapleczu, proszę wołać. — Chodź, musimy się napić meku. I chcę usłyszeć o tej waszej nowicjuszcze z chorobą kosmiczną.

Ashby siedział w hotelowym pokoju, za który zapłacił godzinę wcześniej. Myślał o piłce wodnej. Nie był szczególnym entuzjastą tego sportu, ale to było lepsze od alternatywy. Kiedy obudził się tego ranka, był przygotowany na dzień targowania się i wydawania kredytów, którego ukoronowaniem mogły być drinki i dobry posiłek w jakimś sennym barze. A teraz znajdował się po ciemnej stronie Coriol i w otoczeniu grubych poduch oraz brzydkich makatek czekał na Pei, która nie tylko była cała i zdrowa, ale zamierzała uprawiać z nim seks. Piłka wodna była łatwiejsza w obróbce.

*Dobra. Finaliści Pucharu Tytana, trzysta trzeci rok. Zobaczymy. Musiały grać Białe Czepki, bo Kizzy się wkurzyła, kiedy okazało się, że Kimi St Clair ma naderwane wiązadło. Były tam Wybuchające Gwiazdy, tak? Tak, tego roku kupiłem Ayi na urodziny sweter Wybuchających Gwiazd. Powiedziała, że to jej ulubiona drużyna.*

Pozostawione same sobie jego myśli skakały jak kapsuła, wymykając się mu, zanim udało mu się którąś z nich uspokoić. Jego uwagi domagało się zbyt wiele uczuć. Ulga, że Pei jest bezpieczna. Radość, że lada chwila ją



zobaczy. Bezpodstawne zmartwienie, że jej uczucia opadły. Zdecydowanie, by robić to, co ona (gwiazdy jedne wiedziały, jak się czuje po dziesiątkach dziesięciodni spędzonych na obrzeżach stref wojennych). I strach. Strach, który odczuwał przy każdym spotkaniu. Strach, że po tym, jak Pei wróci do bardziej niebezpiecznego rejonu, ich powitanie może się okazać pożegnaniem.

*Nie, nie, Wybuchające Gwiazdy musiały grać w trzysta drugim, nie w trzysta trzecim. To były te urodziny, kiedy Aya dostała pierwszy notek, co oznacza, że zaczęła chodzić do szkoły. Co oznacza trzysta drugi rok.*

Był też niejasny niepokój, obawa, że tym razem zostaną przyłapani. Nie potrafił znaleźć niczego, o co nie zadbał. Ich system niezwracania na siebie uwagi był już bardzo stary. Hotel zawsze znajdował on — nic efekciarskiego, coś z dala od utartych szlaków i najlepiej taki, gdzie jeszcze nie byli. W recepcji dawał jasno do zrozumienia, że potrzebuje odpoczynku i nie chce, by mu przeszkadzano pod jakimkolwiek pozorem. Już z pokoju wysyłał Pei wiadomość tylko z nazwą hotelu i numerem pokoju, którą usuwała po przeczytaniu. Przybywała do hotelu dwie godziny później, kiedy nikt nie mógł niczego podejrzewać, i prosiła o sąsiedni pokój. To nie było trudne, jako że skomplikowana numerologia stanowiła dobrze znany składnik tradycyjnej aeluońskiej kultury. Istniało tak wiele sprzecznych systemów znajdowania znaczenia w ciągach liczb, że bez względu na numer pokoju Ashby'ego Pei potrafiła przedstawić numer pokoju, o który prosiła, w pozytywnym świetle. Recepcjonista, który nie był aelunem, założyłby, że Pei chce pokój o numerze symbolizującym spokój albo zdrowie, a aelun po prostu uznałby ją za wyjątkowo staromodną jak na jej wiek (i może nieco niemądrą). Po wprowadzeniu się Pei stukała we wspólną ścianę. Ashby sprawdzał, czy korytarz jest pusty, i wychodził z pokoju. Wtedy mogli robić

swoje.

Przydługa procedura, żeby tylko się spotkać, ale konieczna. Chociaż aeluni byli wobec swoich galaktycznych sąsiadów zasadniczo otwarci i wielkoduszni, kopulacja międzygatunkowa pozostawała w sferze tabu. Ashby nie rozumiał kryjącej się za tym logiki — dla większości ludzi ta kwestia w ogóle nie istniała, przynajmniej jeśli chodziło o gatunki dwunożne — lecz rozumiał niebezpieczeństwo, jakie groziło Pei. Z powodu związku z obcym aelunem mogła stracić rodzinę i przyjaciół. Mogła stracić pracę, zwłaszcza jeśli zatrudniał ją rząd. A kogoś takiego jak Pei, kto jest dumny z tego, że ciężko pracuje i ma wyspecjalizowane umiejętności, taki wstyd mocno by zabolął.

*Skup się, Ashby. Białe Czepki. Młoty. Sokoły? Nie, oni nie dotarli do półfinałów od czasu, kiedy byłeś w załodze „Świtu”. A co z... Och, na gwiazdy, Ashby. Myśl. Piłka wodna.*

Ashby oprócz wszystkich tych emocjonalnych niepokojów, które usiłował stłumić, znajdował się też w ogniu walki umysłu z biologią. Wiedział, że właściwie na pewno zaraz zostanie przeleciany, ale nie chciał być bezczelny. Nie miał pojęcia, przez co przeszła przed tym spotkaniem i dopóki nie będzie miał pewności co do jej sytuacji, nie zrobi pierwszego ruchu. A nawet jeśli nadawałaby na tej samej częstotliwości co on... Cóż, nadal potrafi się zachować. Nawet jeśli jego ciało wyprzedzało samo siebie.

*Ashby. Półfinały w piłce wodnej. Trzysta trzeci rok. Wygrali Spadochroniarze. Kto jeszcze...*

Rozległo się ciche, lecz wyraźne stukanie w ścianę.

Dał sobie spokój z Pucharem Tytana.

— Mydło! — zawołała Kizzy, pokazując na stoisko ze wszystkim, co było potrzebne do kąpieli. — Spójrzcie na nie! Są jak ciastka!

Pobiegła do stoiska, a pokaźna torba z zakupami obijała jej się o plecy.

— Chyba przyda mi się peeling do łusek — stwierdziła Sissix.

Poszły za mechtech, która już grzebała w koszach na wystawie.

Sklep prowadził harmagiański kupiec, który dbał o potrzeby wielu gatunków. Miał szorstkie szczotki i wiązki ziół do łaźni parowych dla aandrisków, musujące tabliczki i maści rozgrzewające dla wołących lodowate kąpiele aeluonów, skrobaczki do skóry i toniki oczyszczające dla harmagian, skromny, lecz wesoły wybór ludzkich mydeł i szamponów oraz dziesiątki innych słoiczków, butelek i puszek, których Rosemary nie umiała zidentyfikować. Rozumne gatunki galaktyki potrafiły znaleźć u siebie wiele wspólnych cech, ale mało było tematów budzących takie kontrowersje, jak właściwy sposób dbania o higienę osobistą.

Harmagianin — osobnik płci męskiej, co Rosemary poznała po kolorze plamek na jego plecach — obrócił się w miejscu na swoim wózku na gąsienicach.

— Miłego dnia, drodzy goście — powiedział, radośnie zwijając macki na podbródku. — Przyszłyście oglądać czy może macie na myśli coś szczególnego?

Opuszki jego trzech przednich macek rozpostarły się w pomocnym geście. Harmagianin był w zaawansowanym wieku; bladożółtej skórze pokrywającej jego amorficzne ciało brakowało wilgoci młodości.

Rosemary знаła już wcześniej harmagian — choćby swojego profesora hanto i kilku stałych gości ojca na kolacjach — ale zawsze miała kłopoty z pogodzeniem ich wyglądu z ich historią. Osoba przed nią była, jak wszyscy przedstawiciele tego gatunku, podobną do mięczaka kluchą, która bez pomocy swojego wózka nie potrafiłaby się szybko poruszać. Harmagianin

nie miał zębów ani pazurów. On nawet nie miał kości. A mimo to ten miękki gatunek kontrolował niegdyś znaczną część galaktyki (i nadal to robił, jeśli się patrzyło, dokąd płyną kredyty, ale już nie ujarzmił autochtonicznych istot rozumnych). Rosemary przeczytała kiedyś artykuł pewnego aeluńskiego historyka, który dowodził, że to właśnie fizyczna słabość pomogła harmagianom zdobyć techniczną przewagę nad innymi gatunkami. „Potrzeba i inteligencja to niebezpieczna mieszanka”, napisał ów historyk.

Zastanawiając się nad kontekstem historycznym, Rosemary pomyślała, że tworzą w tym sklepie dość dziwny obrazek: harmagianin (starzejący się syn byłego imperium), aandriska (której gatunek kierował rozmowami zakończonymi przyznaniem niepodległości harmagiańskim koloniom i w końcu założył WG) oraz dwie kobiety gatunku ludzkiego (pomniejszego gatunku, który gdyby został odkryty za czasów harmagiańskiego podboju, nie zachowałyby niezależności). Wszyscy stali razem i przyjaźnie rozmawiali o mydle. Czas w dziwny sposób zrównywał wszystkich w prawach.

Kizzy szperała w towarze harmagianina.

— Masz... Och! Mogę zapytać w hanto? Robię kurs na Konsolidatorze i chcę poćwiczyć.

Sissix sceptycznie przyjrzała się Kizzy.

— Od kiedy?

— Nie wiem, od pięciu dni?

Szparki na końcach szypułek ocznych harmagianina zwężyły się z rozbawienia.

— Proszę, niech posłucham.

Kizzy odchrząknęła i wykaszała kilka chwiejnych sylab. Rosemary się wzdrygnęła. Kizzy nie tylko mówiła bez sensu; bez gestów towarzyszących słowom jej próba zabrzmiała niemal niegrzecznie.

Lecz harmagianin roześmiał się śpiewnie.

— Och, mój drogi gościu — powiedział z drżącymi mackami. — Wybacz mi, ale to najgorsza wymowa, jaką słyszałem w życiu.

Kizzy uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— O, nie — powiedziała i też się roześmiała.

— To nie twoja wina — rzekł harmagianin. — Ludzie mają kłopoty z powtórzeniem naszych przesunięć tonicznych.

Rosemary położyła sobie rękę blisko obojczyka i poruszyła palcami, jak robiła to wiele razy. Było to nieudolne naśladownictwo gestów macek, ale na więcej człowieka nie było stać.

— *Pala, ram talen, raka'e'ma huk aesket'alo'n, hama t'hul basrakt'hon kib* — powiedziała. — *Możliwe, drogi gospodarzu, lecz przy wzmożonym wysiłku możemy się dzielić twoimi pięknymi słowami.*

Kizzy i Sissix jednocześnie odwróciły głowy w stronę Rosemary, jakby ujrzały ją po raz pierwszy w życiu. Harmagianin poruszył z szacunkiem mackami.

— *Dobrze i skutecznie dokonane, drogi gościu!* — odparł w swoim języku. — *Jesteś astronautą-kupcem?*

Rosemary rozprostowała palce.

— *Nie jestem kupcem, a astronautą dopiero od niedawna* — odparła. — *Nasza trójka jest w załodze statku budującego tunele.* — Słowa były prawdziwe, lecz wciąż brzmiały dziwnie, jakby opisywały cudze życie. — *Przybyłam do Portu z przyjaciółmi po zaopatrzenie.*

— *Ach, budowa tuneli! Życie spędzone na podróżach. Będziecie potrzebować mnóstwa rzeczy, by utrzymać w drodze czystość.* — Harmagianin impertynencko wyprostował macki. Przeniósł spojrzenie na Kizzy i jego szpary oczne się poszerzyły. — *Znalazłaś już coś, co ci się podoba?* — zapytał w klipie.

Kizzy trzymała w ręku kostkę czerwonego jak krew mydła.

— Potrzebuję tego — powiedziała, przytykając do niej nos i głęboko wciągając powietrze. — O moje gwiazdy, co to takiego?

— Robi się je z gotowanych jagód eev — rzekł harmagianin. — Na moim rodzimym świecie to bardzo popularny zapach. Chociaż, oczywiście, nie aromatyzujemy nim mydła. To, co trzymasz w ręku, to piękna mieszanka naszych dwóch kultur.

— Biorę.

Kizzy podała mydło harmagianinowi. Wziął je dwiema z mniejszych macek, ubranymi dla ochrony delikatnej skóry w podobne do pochw rękawiczki. Przemieścił się za ladę i zajął się folią oraz wstążką.

— Proszę, drogi gościu — powiedział, podając Kizzy dekoracyjne zawiniątko. — Odłamuj za każdym razem mały kawałek, to wystarczy na dłużej.

Kizzy znowu przytknęła nos do opakowania.

— Mmm, ładnie pachnie. Sama zobacz, Rosemary.

Rosemary musiała powąchać, skoro Kizzy niemal dotknęła jej twarzy mydłem. Zapach był bardzo słodki, cukrowy, jakby to było ciasto. Rosemary wyobraziła sobie, że mycie się takim mydłem przypominałoby mycie się bezą.

— To będzie osiemset sześćdziesiąt kredytów, dziękuję — powiedział harmagianin.

Kizzy wyciągnęła rękę do Rosemary.

— Mogę prosić o czipa?

Rosemary zamrugła, nie mając pewności, czy dobrze zrozumiała.

— Chcesz firmowego czipa?

— Tak, to jest mydło. Mydło jest w porządku, tak?

Rosemary odchrząknęła i spojrzała na swój notek. Nie, mydło nie jest w porządku, nie mydło wymyślne, ale jak mogła to powiedzieć Kizzy?

Weszła na statek Kizzy, została przez nią powitana z szeroko otwartymi ramionami, pozwalała jej stawiać sobie zbyt wiele drinków, miała o wiele mniejsze doświadczenie niż Kizzy w takich dziedzinach jak budowanie tuneli i robienie zakupów w neutralnych portach. Lecz mimo to...

— Przepraszam, Kizzy, ale, hmm, czipa możemy używać jedynie przy zakupie zwykłego mydła. Jeśli chcesz jakieś specjalne mydło, musisz je kupić sama.

Czuła, jak słowa wychodzą z jej ust, i bardzo jej się nie podobały. Jakby psuła dobrą zabawę.

— Ale... — zaczęła Kizzy.

Sissix bez słowa chwyciła nadgarstek Kizzy i przycisnęła go do skanera kupca. Rozległo się ćwierknięcie świadczące o przyjęciu zapłaty.

— Hej! — zawołała Kizzy.

— Stać cię na to — stwierdziła Sissix.

— Miło robić z wami interesy — powiedział kupiec. — Zapraszam ponownie, kiedy znowu odwiedzicie port.

Jego głos brzmiał przyjaźnie, lecz wijące się macki świadczyły, że wymiana zdań w kwestii zapłaty go spieszyła. Rosemary przeprosiła go szybkim gestem palców. Kupiec poruszył mackami z szacunkiem i odjechał, by obsłużyć innych klientów.

Kiedy wychodziły ze sklepu, Sissix patrzyła na Kizzy spod zmarszczonych brwi.

— Kizzy, jeśli będziemy lecieć przez trudny kawałek przestrzeni kosmicznej, a ja powiem wszystkim, żeby rzucili to, co robią, i zapięli pasy, to co zrobisz?

Kizzy zrobiła niepewną minę.

— Co?

— Odpowiedz na pytanie.

— No... Przerwę to, co robię, i zapnę pasy.

— Nawet jeśli będzie to niedogodne?

— Tak.

— A jeśli ty będziesz chciała, żeby przez jakiś czas nikt nie używał kurków, bo będziesz musiała naprawić rury doprowadzające wodę, to co zrobimy?

Kizzy podrapała się w czubek nosa.

— Nie będziecie używać kurków.

Sissix pokazała na Rosemary.

— Ta kobieta ma najgorszą robotę z nas wszystkich. Musi mieszkać na naszym statku z niefrasobliwymi uparciuchami, jakimi wszyscy jesteśmy, i mówić nam, które z naszych zakorzenionych zwyczajów są niezgodne z przepisami. Dla mnie brzmi to przerażająco jak diabli, ale ona robi to, nie sprawiając wrażenia rodzica lęgu. Więc mimo że nie zawsze jest to dogodne, będziemy jej słuchać, kiedy będzie wykonywać swoją robotę, bo w zamian spodziewamy się po niej tego samego. — Spojrzała na Rosemary, która była zajęta żywieniem nadziei, że pochłonie ją ziemia. — A ty, Rosemary, masz prawo skopać nam w takich sprawach tyłki, ponieważ nieprzejście kontroli albo uziemienie z powodu niezapłaconych faktur stanowi dla załogi cholerny kłopot.

— Niezapłacone faktury nikogo nie wyssą w kosmos — mruknęła Kizzy.

— Wiesz, o co mi chodzi — rzekła Sissix.

Kizzy westchnęła.

— Rosemary, przepraszam, że zachowałam się jak trąba — powiedziała, patrząc na swoje palce u stóp. Uniosła kostkę kupionego mydła, jakby składała hołd królowi. — Jako zadośćuczynienie przyjmij, proszę, moje mydło.

Rosemary roześmiała się niepewnie.



— Nie ma sprawy — powiedziała z ulgą, że to nie ona została uznana za trąbę. — Zachowaj swoje mydło.

Kizzy zastanowiła się nad tym.

— Mogę ci przynajmniej postawić lunch?

— Naprawdę nie ma o czym mówić.

— Daj jej zafundować ci jedzenie — wtrąciła się Sissix. — Inaczej wymyśli sobie na pokutę jakiś inny idiotyczny podarunek.

— Smakowały ci ciasteczka „dwanaście dni dżemu” — powiedziała Kizzy.

— Owszem — odparła Sissix. — Niemal chciałabym, żebyś częściej niszczyła mi notek.

— Straciłam go do garnka z zupą — wyznała Kizzy Rosemary.

— I wsadziła do niej rękę — dodała Sissix.

— Odruchowo!

— I następną godzinę spędziła w ambulatorium na leczeniu oparzeń.

— Nieważne. Dostałaś ciastka z dżemem, nie bądź paskudna.

Sissix pokazała na notek Rosemary.

— Potrzebujemy w tej dzielnicy coś jeszcze, zanim zjemy?

Rosemary przewinęła listę.

— Chyba nie. Mówiłaś, że chcesz peeling do łusek?

— Tak, ale nie podobało mi się to, co ma ten harmagianin. Możemy jeszcze trochę poszukać?

Trzy załogantki chodziły między stoiskami, pytając o peeling do łusek. Po kilku pełnych skruchy odmowach, jednym zdumionym spojrzeniu i jednym długoszym laru, który przysięgał, że jego holistyczne pustynne sole przyniosą taki sam skutek, Kizzy pociągnęła za kamizelkę Sissix.

— Mogę się założyć, że ma go ta dama — powiedziała, wskazując palcem.

— Gdzie? — zapytała Sissix, odwracając się.

Na widok handlarki, starej aandriski siedzącej pod niewielkim sfatygowanym zadaszeniem i otoczonej z trzech stron stołami zastawionymi ręcznymi wyrobami, jej twarz złagodniała. Pióra kobiety były spłowiałe, ich końcówki wytarte i rzadkie. Jej skóra była popękana, a chociaż jedyne ubranie, jakie miała na sobie — para miękkich spodni — było jasne i czyste, otaczała ją atmosfera dostojności.

Sissix powiedziała coś do siebie w reskitkishu. Rosemary nie zrozumiała syczących słów, ale Kizzy zmarszczyła brwi. Sissix uniosła rękę z otwartą dłonią skierowaną ku towarzyszkom.

— Przepraszam, drogie panie, zaczekajcie tutaj. Postaram się, żeby nie trwało to długo.

Ruszyła w stronę handlarki, która była zbyt zajęta mieszaniem czegoś gorącego w kubku, żeby zauważyć zbliżającą się krajanekę.

Rosemary i Kizzy spojrzały na siebie.

— Wiesz, co powiedziała? — zapytała Rosemary.

— Mój reskitkish jest do bani, ale sprawiała wrażenie poruszonej. Nie wiem, co zamierza. — Skinęła głową w stronę pobliskiej ławki. — Chyba chwilę poczekamy.

Usiadły. Handlarka podniosła wzrok na Sissix. Stara aandriska uśmiechnęła się, ale z wahaniem, jakby była czymś zażenowana. Rosemary widziała, że wargi Sissix się poruszają, ale słowa do niej nie dolatywały (Rosemary i tak by ich nie zrozumiała). Jednocześnie dłonie Sissix kreśliły misterne wzory, śmigając jak stadka ptaków. Staruszka poruszała swoimi dłońmi w odpowiedzi. Początkowo ruchy kobiet były niespójne, lecz w miarę przebiegu rozmowy zaczęły się synchronizować.

— Znasz mowę dłoni aandrisków? — zapytała Rosemary.

Kizzy podniosła wzrok znad pasma włosów, które sobie zaplatała w warkoczyk.

— Nie bardzo. Sis nauczyła mnie kilku gestów. Takich podstawowych. „Cześć”. „Dzięki”. „Przyjemnie mi się z tobą rozmawia, ale nie chcę uprawiać z tobą seksu”. — Przez chwilę przyglądała się Sissix i handlarce. Pokręciła głową. — Nie mam pojęcia. Za szybko pokazują. Ale Sissix głośno też mówi, co jest interesujące.

— Dlaczego miałyby mówić, skoro miga?

— Nie, nie, to nie jest jak język migowy. Mowa dłoni nie odpowiada reskitkishowi.

Rosemary zdziwiła się.

— To głupie pytanie, ale co to jest w takim razie? Czy to jak robienie min? Albo gesty w hanto?

— Nie. — Kizzy wyciągnęła z kieszeni wstążkę i zawiązała warkoczyk. — Mowa dłoni wyraża to, co jest albo zbyt podstawowe, by marnować na to słowa, albo zbyt osobiste.

— Zbyt osobiste?

— No, coś, co jest naprawdę ważne albo trudne do wypowiedzenia. Jak miłość albo nienawiść, albo coś, co jest przerażające. No wiesz, jak kiedy chcesz komuś powiedzieć coś naprawdę ważnego i się jąkasz albo siedzisz przed lustrem i ćwiczysz. Aandriskowie nie zwracają sobie tym głowy. To, co niezręczne, wyrażają gestami. Uważają, że wielkie, głębokie uczucia są na tyle uniwersalne, że można je określić ruchem dłoni, albo coś, nawet jeśli wydarzenia, które wywołują te uczucia, są jedyne w swoim rodzaju.

— To musi oszczędzać im wiele czasu — zauważyła Rosemary, zastanawiając się, ile życia spędziła na próbach znalezienia właściwych słów podczas trudnych rozmów.

— Poważnie. Ale kiedyś można też było posługiwać się mową dłoni w trakcie mówienia. Używano jej dla dodania wagi temu, co się mówiło na głos, tak że rozmówca wiedział, iż mówi się poważnie. Sissix mówi, że nadal

można tak robić, ale to jest staromodne i robi się tak tylko w szczególnych okolicznościach. — Skinęła głową w kierunku straganu, gdzie obie aandriski poruszały się jednakowo. — To, co widzimy, świadczy o tym, że Sissix traktuje staruszkę z wielkim szacunkiem oraz szczerością.

— Ale ona jej nie zna, prawda?

— Nie wiem. Chyba nie. Ale ta dama jest stara, więc może Sissix po prostu ze względu na nią zachowuje się staromodnie.

Rosemary obserwowała aandriski. Ich dłonie poruszały się w pełnym wdzięku, pośpiesznym tańcu.

— Jak one się do siebie dopasowują? — zapytała.

Kizzy wzruszyła ramionami.

— Chyba się na coś zgadzają. — Uniosła brwi. — O. Na to.

Sissix usiadła oparta plecami o jeden ze stołów, szeroko rozkładając nogi. Staruszka dołączyła do niej, opierając plecy i głowę na jej piersi. Dopasowały do siebie ogony, staruszka zamknęła oczy. Sissix przyłożyła jedną dłoń do brzucha staruszki, przytulając ją do siebie. Szeroko rozpostarła palce długiej dłoni i powiodła nimi od głowy po czubki piór, delikatnie pociągając za stosiny. Dla ludzkich oczu wyglądały jak para kochanków w sypialni, a nie jak dwie nieznajome na targowisku pod gołym niebem. Nawet przez ulicę z łatwością dawało się odczytać wyraz twarzy staruszki. Była w siódmym niebie.

Rosemary była oszołomiona. Wiedziała, że aandriskowie nie mają zahamowań (według ludzkich kategorii, napomniała się), lecz to wykaczało poza jej wszelkie oczekiwania.

— Hmm... Więc... — powiedziała.

— Nie mam pojęcia — rzekła Kizzy. — To aandriski. Nic, kurde, nie wiem. — Zamilkła na kilka sekund. — Myślisz, że pójda na całość? — szepnęła, pochylając się z dziecinną ciekawością. — Założę się, że tak. Jasny

gwint, czy to jest tutaj w ogóle legalne? Och, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Lecz aandriski nie kopulowały, chociaż przez dobre pół godziny kontynuowały spontaniczne czułości, głaszcząc się po piórach i ocierając się o siebie policzkami, zupełnie nie zważając na spojrzenia przechodniów. W pewnej chwili przeszły obok nich dwie inne osoby z ich gatunku, rzuciwszy tylko w ich stronę spojrzenie, jakby nic się nie działo. Rosemary nie wiedziała, czy powinna odwrócić wzrok, czy nie. Sissix wyraźnie się nie przejmowała, kto patrzy. W miarę, jak Rosemary je obserwowała, niezwykłość sceny zaczęła blednąć. Była obca, owszem, i nagła, lecz nie krępująca. Miała w sobie dziwne piękno, coś w poruszeniach dłoni, w swobodzie, z jaką aandriski się dotykały. Z niejakim zaskoczeniem Rosemary uświadomiła sobie, że jest odrobinę zazdrosna — tylko nie wiedziała, czy o staruszkę, czy o Sissix. Chciałaby, żeby ktoś poświęcił jej tyle uwagi. Chciałaby mieć tyle pewności siebie, by ją odwzajemnić.

W końcu stara kobieta zatrzepotała dłońmi. Sissix ją puściła i pomogła wstać. Zaczęły przeglądać towar. Sissix wybrała słoiczek peelingu do łusek, podsunęła nadgarstek pod skaner. Krajanki wymieniły jeszcze kilka słów, ale już bez mowy dłoni. Zwykła dyskusja między klientką a handlarką, tym bardziej surrealistyczna ze względu na to, co zaszło przed chwilą.

Staruszka sięgnęła w górę i krzywiąc się, wyrwała sobie spłowiałe niebieskie pióro z głowy. Wyciągnęła je w stronę Sissix, która je wzięła, nisko pochylając głowę. Na jej twarzy malował się wyraz wdzięczności.

— Ojej — powiedziała Kizzy, kładąc dłonie na sercu. — Nadal nie wiem, co się dzieje, ale to mnie zupełnie roztkliwiło.

— Co? — Rosemary wpatrywała się w aandriski, jakby wystarczająco długie patrzenie na nie mogło dostarczyć wyjaśnienie. — Co to znaczy?

— Byłaś już w pokoju Sissix?

— Nie.

— No bo na jej ścianie jest taka duża ozdobna krata z wiszącym na niej mnóstwem aandriskich piór. Z tego, co wiem, ma taką każdy aandrisk. Jeśli ktoś naprawdę dotknie w jakiś sposób życie aandriski, daje on tej osobie jedno ze swoich piór. A sam zachowuje pióra, które dostał od innych jako symbol tego, ile ścieżek przeciął. Duża liczba piór na ścianie świadczy, że ma się wpływ na wiele osób. Dla większości aandrisków ma to ogromne znaczenie. Ale nie dają swoich piór beztrąsko, nie za pomoc przy niesieniu czegoś albo za napitek czy coś. To musi być trwałe doświadczenie, choć może ono nastąpić między obcymi. O, popatrz.

Kizzy pokazała podbródkiem na Sissix, która właśnie dawała starej kobiecie jedno z własnych piór.

— Czy Sissix dała ci kiedyś pióro? — zapytała Rosemary.

— Tak, jakiś czas temu, kiedy dowiedziała się, że umarł jeden z ojców jej lęgu. Był już stary, ale ona naprawdę mocno to przeżyła. Wsadziłam ją na prom, poleciałam z nią w środek mgławicy i po prostu pozwoliłam jej wrzeszczeć przez kilka godzin. Następnego ranka dostałam pióro. Teraz już chyba cała załoga ma po piórze Sissix. Oprócz Corbina. Corbin prawdopodobnie go nie dostał.

Sissix podeszła do ławki ze słóczykiem peelingu do łusek. Spojrzała pomiędzy Kizzy i Rosemary.

— Chyba muszę wam coś wyjaśnić.

— No, tak — powiedziała Kizzy. — Przydałoby się.

Sissix skinęła głową w stronę drogi, pokazując, żeby poszły za nią.

— Osoba w jej wieku powinna mieszkać z rodziną domu, wychowywać małe.

Rosemary usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co jej mówiono o strukturze aandriskiej rodziny. Młodymi aandriskami opiekuje się

starszyzna, a nie ich biologiczni rodzice. Tyle wiedziała. I że w miarę starzenia się aandriskowie przechodzą kilka rodzinnych etapów. O szczegółach Rosemary miała jednak słabe pojęcie.

— Może po prostu nie chciała — rzekła Kizzy. — Może bardziej spodobało jej się tutaj.

— Nie. Ona nie potrafi udzielać się społecznie.

— Jest nieśmiała? — zapytała Rosemary.

— Ona jest *rashek*. Nie ma na to słowa w klipie. Ma zaburzenia, które utrudniają jej nawiązywanie kontaktów z innymi. Z trudem rozumie intencje innych. I dziwnie mówi. To było oczywiste, już kiedy do niej podeszłam. Zaproponowałam jej kopulację, ale nie umiała się na to zdobyć. Więc, owszem, jest nieśmiała, ale trudno jej też rozgryźć innych. Dlatego zachowuje się... cóż, z braku lepszego słowa, dziwnie.

— Po co miziać się z odmieńcem? — zapytała Kizzy.

— Bycie dziwną nie znaczy, że nie zasługuje na towarzystwo. To, że prowadzi sklep zamiast mieszkać gdzieś w gospodarstwie, oznacza, że nie ma rodziny domu. Są starsi, którzy nie chcą mieć rodziny domu, ale ona nie ma nawet rodziny pióra. A to... — Sissix zadrżała. — Na gwiazdy, nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego.

Rosemary spojrzała na Sissix. Nie rozumiała tych określeń rodzinnych, ale coś i tak do niej dotarło.

— Ty ją pocieszałaś. Tylko tyle. Po prostu chciałaś, żeby wiedziała, że kogoś obchodzi.

— Nikt nie powinien być sam — rzekła Sissix. — Bycie samym i niedotykanym... Nie ma gorszej kary. A ona nie zrobiła nic złego. Jest po prostu inna.

— Tutaj jest mnóstwo innych aandrisków. Dlaczego nic dla niej nie robią?

— Bo nie chcą — powiedziała Sissix ze złością. — Widziałaś tych dwóch

aandrisków, którzy przechodzili obok, kiedy z nią byłam? Jestem pewna, że to miejscowi. Znali ją, widziałam to w ich spojrzeniach. Nie obchodzi ich. Stanowi kłopot.

Pióra Sissix się zjeżyły, błysnęły jej ostre zęby.

— Niech cię nie zmyli cała ta ciepła gadanina i przytulanie — powiedziała Kizzy do Rosemary. — Aandriskowie też potrafią być dupkami.

— Och, z całą pewnością — potwierdziła Sissix. — No dobra. Przepraszam, że czekałyście. Mam nadzieję, że nie poczułyście się niezręcznie. Wiem, że ludzie potrafią...

— Nie — przerwała jej Rosemary. — Nie, to było bardzo uprzejme z twojej strony.

Patrzyła na idącą obok niej aandriskę. Miała dziwne ciało, dziwnie się zachowywała, a mimo to Rosemary czuła dla niej wielki podziw.

— Tak, to było niesamowite, brawo, Sissix — powiedziała Kizzy. — Ale ja umieram z głodu. Co brzmi dobrze? Kluski? Rożen? Lody? Jesteśmy dorosłe, jeśli chcemy, możemy zjeść na lunch lody.

— Lepiej nie — rzekła Sissix.

— Jasne. Zapomniałam — powiedziała Kizzy i się roześmiała. — Od lodów drętwieją ci usta.

Sissix wysunęła i schowała język z dezaprobatą.

— Nie pojmuję, po co robić lodowato zimne jedzenie.

— O! A może koniki? — zawołała Kizzy. — Zdecydowanie mogłabym zjeść konika. Mmm, ostra papryka, krucha cebula i wielka zapieczona buła...

Spojrzała z przejęciem na Rosemary.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam konika — stwierdziła Rosemary. Kłamała. Nie jadła go nigdy. Jako uliczne jedzenie burgery z koników polnych należały do kulinarnego królestwa, z którym nigdy się nie zapoznała. Wyobraziła sobie, jak zareagowałaby jej matka, gdyby zobaczyła, że jej



córeczka pożera kanapkę z owadem owiniętą w tłusty papier, siedząc przy stole z modderami, przemytnikami i złodziejami łatek, którzy odrąbują ręce. Uśmiechnęła się szeroko. — Brzmi wspaniale.

Ashby powiódł dłonią po nagim torsie przyciśniętym do jego torsu. Miał kochanki przed nią. Dotykał mnóstwa ciał. Żadne nie było takie jak jej. Pei była pokryta maleńkimi łuskami — nienachodzącymi na siebie wieloma warstwami jak u Sissix, lecz gładko się łączącymi. Pei była srebrzysta, niemal odblaskowa, jak ryba w rzece. Mimo całego czasu, jaki spędził, patrząc na nią, mimo tego, jak swobodnie czuł się w jej towarzystwie, wciąż zdarzały się chwile, kiedy jej widok odbierał mu mowę.

Oczywiście to był czysty przypadek, że aeluonom tak często udawało się zakreślać wszystkie kwadraciki na liście rzeczy ogólnie uznawanych przez ludzi za atrakcyjne. W galaktycznej skali piękno było pojęciem względnym. Wszyscy ludzie mogliby się zgodzić, że harmagianie są szkaradni (harmagianie myśleli dokładnie to samo o ludziach). Aandriskowie — to zależało od tego, z kim się rozmawiało. Jednym ludziom podobały się ich pióra; inni nie mogli znieść ich zębów i szponów. Roskowie z szybko poruszającymi się nogami i wyszczerbionymi żuwaczkami przyprawialioby ludzi o koszmary, nawet gdyby nie mieli zwyczaju robić nalotów dywanowych na pograniczne kolonie. Natomiast jakimś szczęśliwym trafem ewolucji aeluoni wyglądali tak, że na ich widok większość ludzi otwierała usta, wznosiła dłonie i mówiła „Dobrze, jesteście gatunkiem wyższym”. Długie kończyny i palce aeluonów niewątpliwie były obce, lecz oni sami poruszali się z fascynującym wdziękiem. Oczywiście mieli duże, lecz nie za duże. Usta mieli małe, lecz nie za małe. Z doświadczenia Ashby’ego wynikało, że trudno jest znaleźć człowieka, który nie potrafi docenić aeluona, nawet jeśli brał pod uwagę tylko najbardziej obiektywne kategorie estetyczne. Aeluonki nie miały biustu, lecz po poznaniu Pei Ashby uznał, że może się bez niego

obyć. Jego nastoletnie „ja” byłyby przerażone.

Leżąc obok niej, Ashby czuł się jak włochaty, tyczkowaty niezdara. Zważywszy jednak, co robili przez większą część ostatnich dwóch godzin, domyślał się, że nie może być aż tak odrażający. A może nie przywiązywała wagi do włochatości i tyczkowatości. Ta myśl też pomagała.

— Głodny? — zapytała Pei, chociaż jej usta się nie poruszyły.

Jak u wszystkich aeluonów, jej „głos” był przetworzonym komputerowo dźwiękiem wydobywającym się z mówiskrzynki wmontowanej w podstawę szyi. Pei kontrolowała ją za pomocą układu nerwowego; porównywała ten proces do wymyślania słów podczas pisanie na klawiaturze. Aeluoni nie mieli zmysłu słuchu, nie potrzebowali zatem własnego języka mówionego. Między sobą porozumiewali się za pomocą kolorów, a dokładnie mówiąc opalizujących miejsc na policzkach, które mieniły się jak powierzchnia bańki mydlanej. Kiedy jednak zaczęli się zadawać z innymi gatunkami, komunikacja słowna stała się dla nich koniecznością i tak powstały mówiskrzynki.

— Umieram z głodu — odparł Ashby. Wiedział, że dźwięki wydobywające się z jego ust zbiera biżuteryjny implant w czole Pei. Ponieważ jej mózg nie potrafił przetwarzać dźwięków, implant przekładał słowa na impulsy nerwowe, które rozumiała Pei. Ashby nie wiedział, jak to działa, ale to samo mógł powiedzieć o większości urządzeń. Działo. Nie musiał wiedzieć nic więcej. — Twój pokój czy mój? — zapytał.

To był jeszcze jeden element ich standardowej procedury: dopilnować, by w chwili przybycia obsługi w pokoju znajdowała się tylko jedna osoba.

— Najpierw zobaczmy, co mają. — Sięgnęła przez krawędź łóżka i ściągnęła kartę dań ze stolika. — Jakie mamy szanse?

To był ich stary żart — pytanie o prawdopodobieństwo znalezienia przez każde z nich czegoś, co lubią. Wielogatunkowe karty dań komponowano

z dobrymi intencjami, ale to zawsze była loteria.

— Siedemdziesiąt do trzydziestu na twoją korzyść — powiedział.

— Jak to?

Pokazał na menu.

— Bo mają cały dział poświęcony ikrze.

— O, rzeczywiście.

Kiedy Pei przeglądała wybór rybich jajeczek, Ashby powiódł wzrokiem po jej ciele. Dostrzegł coś wystającego nad biodrem — krawędź blizny, grubą i mlecznobiałą. Nie zauważył jej wcześniej, no ale był nieco rozproszony.

— Ta jest nowa.

— Co takiego? — Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć. — Ach, ta. Tak.

Wróciła do menu.

Ashby westchnął, czując, jak w żołądku rośnie mu znajomy ciężar. Pei miała wiele blizn — powęzłone pasy na plecach, zagojone dziury po kulach na nogach i piersi, zwichrowaną plamę po trafieniu z karabinu impulsowego. Jej ciało stanowiło gobelin utkany z przemocy. Ashby nie miał złudzeń co do ryzyka ponoszonego przez przewoźnika towarów, ale dzięki wypolerowanemu szaremu statkowi Pei, jej rezonowi i miękkiemu głosowi to wszystko sprawiało bardzo cywilizowane wrażenie. Dopiero na widok fizycznych dowodów, że ktoś zrobił jej krzywdę, Ashby przypominał sobie, jak niebezpieczne jest jej życie. Życie, którego nie mógł z nią dzielić.

— Mam pytać? — powiedział Ashby, wodząc palcem po matowej skórze. Pei pólleżała i Ashby nie widział całej blizny, ale prowadziła aż na plecy, poszerzając się stopniowo. — Cholera, Pei, ona jest ogromna.

Pei położyła sobie kartę dań na tułowiu i spojrzała na niego.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

— Nie powiem ci, jeśli przez to będziesz się bardziej martwić.

— Kto mówi, że się martwię?

Pogłaskała czubkiem palca zmarszczki między jego brwiami.

— Jesteś słodki, ale nie umiesz kłamać. — Przetoczyła się i zbliżyła twarz do jego twarzy. — Był... Był incydent w miejscu zrzutu.

— Incydent.

Zatrzepotała jej druga para powiek, a policzki zrobiły się bladożółte z plamkami czerwieni. Ashby nigdy nie zdołałby zgłębić zawilości jej języka barw, ale znał go na tyle dobrze, by rozróżniać emocje. Ta na przykład plasowała się gdzieś między rozdrażnieniem a skrępowaniem.

— To zabrzmiało o wiele gorzej, niż było naprawdę.

Ashby zabębnił palcami po jej biodrze.

— No dobra. Zostaliśmy napadnięci przez mały, dodam, że bardzo mały roskański oddział uderzeniowy. Zależało im na bazie, nie na nas, ale zostaliśmy w to trochę wplątani. Żeby skrócić długą, nieprzyjemną opowieść, w pewnej chwili znalazłam się na głowie jakiejś Roskanki...

— Co takiego?

Roskańskie wojowniczkę były zbudowane do walki, poczynawszy od genów. Były trzy razy większe od przeciętnego człowieka. Stanowiły szybką, wściekłą masę nóg, kolców i keratynowych płyt. Ashby nie sądził, by zdołał się powstrzymać od ucieczki przed atakującą roskańską wojowniczką, nie mówiąc już o wejściu jej na głowę.

— Mówiłam ci, że będzie to źle brzmiało. W każdym razie przedostatnią rzeczą, jaką zrobiła w życiu, było zrzucenie mnie na stertę skrzyń. Kiedy spadałam, wykorzystwała okazję i chwyciła mnie pyskiem. Mam dobry sprzęt ochronny, ale szczęki Roskanek... — Pokręciła głową. — To, co widzisz na moim biodrze, to ślad po rozcięciu jedną z jej żuwaczek. Ale właściwie skończyło się dobrze. Znalezienie się w jej pysku dało mi przyjemny, miękki cel do strzału.

Ashby przełknął ślinę.

— Więc...

— Nie, to nie wystarczyło, by ją zabić. Sprawę załatwił drugi strzał mojego pilota. — Przechyliła głowę; jej drugie powieki nasunęły się bokiem. — Przejąłeś się.

— Nic dziwnego.

— Ashby. — Dotknęła jego policzka. — Nie powinieneś był pytać.

Przycisnął dłoń do jej pleców, przyciągając ją do siebie.

— Naprawdę chcę, żeby ta wojna się skończyła.

— Wiesz, większość z tego — ujęła go za rękę i poprowadziła ją po swoich bliznach — zdarzyła się w przestrzeni WG. Ta jest od akaraka, który usiłował wdrzeć się na mój statek. Ta od przemytnika, który nie chciał, żebym zawiadomiła władze o jego lewych botach. A ta od pomyłonego podrasowańca, który po prostu miał zły dzień. W niezakwestionowanej przestrzeni nikt mnie nie chroni. Chronię się sama. Jeśli wykonuję pracę dla wojska, w otwartej przestrzeni dostaję eskortę, a kiedy wyładowuję towar na planecie, uzbrojonych strażników. Pod wieloma względami praca dla wojska jest bezpieczniejsza. I lepiej płatna. I przecież nie wysyłają mnie na tereny ciężkich walk. Jak tylko pozbędę się towaru, zawracam i pędzę do domu.

— Czy... incydenty zdarzają się często?

— Nie. — Przyjrzała się jego twarzy. — Martwisz się, że zostałam zaatakowana czy że kogoś zastrzeliłam?

Ashby przez chwilę milczał.

— Tym pierwszym. Nie obchodzi mnie, że zastrzeliłaś Roskankę.

Pei wyciągnęła nogę i zahaczyła nią o nogę Ashby'ego.

— Dziwne słowa w ustach Exodana.

Pei, jak wszyscy inni w WG, wiedziała, że Exodanie są pacyfistami. Zanim uciekinierzy opuścili Ziemię, wiedzieli, że ich jedynym sposobem na

przetrwanie jest trzymanie się razem. Jeśli o nich chodzi, to krwawa, poznaczona wojnami historia ich gatunku zakończyła się na nich.

— Nie wiem, czy umiem to wyjaśnić — zaczął Ashby. — Wolałbym, żeby wojna nie wybuchła, ale nie osądzam innych gatunków za to, że biorą w niej udział. Nie mogę zarzucać ci tego, co robisz. Roskowie zabijają niewinne osoby na terytoriach, które nie należą do nich, i nie można dojść z nimi do porozumienia. Przykro mi to mówić, ale w tym wypadku przemoc jest chyba jedynym wyjściem.

Policzki Pei zabarwiły się ponuro na pomarańczowo.

— To prawda. Ja się poruszam tylko na obrzeżach, ale z tego, co widziałam... Uwierz mi, Ashby, tę wojnę trzeba toczyć. — Odetchnęła w zamyśleniu. — Czy masz o mnie złe zdanie, bo, no nie wiem, przyjmuję zlecenia od żołnierzy?

— Nie. Nie jesteś najemniczką. Ty tylko dostarczasz ludziom towar. Nie ma w tym nic złego.

— A to, że zastrzeliłam Roskankę? Tę, która trzymała mnie w pysku? Wiesz, że nie pierwszy raz musiałam... się bronić.

— Wiem. Ale jesteś dobrą osobą. Nie zmienia tego to, co musisz robić. A twój gatunek, wy, umiecie zakończyć wojnę. Naprawdę ją zakończyć. Ona nie wchodzi wam w krew. Robicie to, co trzeba zrobić, i tyle.

— Nie zawsze. Mamy w naszej historii tyle samo mrocznych rozdziałów co inni.

— Może, ale nie takich jak my. Ludzie nie dają sobie rady z wojną. Wszystko, co wiem o naszej historii, świadczy, że wojna ujawnia najgorsze cechy. My po prostu... Nie jesteśmy wystarczająco dojrzały do prowadzenia wojen. Kiedy raz zaczniemy, nie potrafimy przestać. I wiesz, poczułem to w sobie, tę skłonność do działania w gniewie. Nic takiego, co widziałaś. Nie udaję, że wiem, jak wygląda wojna. Ale my, ludzie, mamy w sobie coś

niebezpiecznego. Przez to prawie zniszczyliśmy samych siebie.

Pei powiodła swoimi długimi palcami po jego splątanych włosach.

— Ale nie zniszczyliście. I wyciągnęliście z tego wnioski. Usiłujecie ewoluować. Myślę, że reszta galaktyki nie docenia tego, jak to świadczy o was. — Po chwili dodała: — A przynajmniej o Exodanach. — Jej policzki zabarwiły się przebiegłą zielenią. — Motywy działania Solan są nieco bardziej wątpliwe.

Roześmiał się.

— A ty wcale nie jesteś uprzedzona.

— Jeśli jestem, to przez ciebie. — Podparła się na poduszce. — Nie zmieniaj tematu. Nie dokończyłeś swojej pierwotnej myśli.

— Której?

— Co cię tak naprawdę martwi.

— Ach, tak.

Westchnął. Kim jest, żeby mówić jej o wojnie? Co on w ogóle o niej wie poza tym, czego się dowiaduje z informacji i archiwów? Wojna była dla niego zaledwie opowieścią, czymś, co przytrafia się ludziom, których nie zna, w miejscach, w których nigdy nie był. Mówienie o tym, co o niej myśli, wydawało mu się obraźliwe.

— Mów dalej — zachęciła go Pei.

— Ta Roskanka, która cię ugryzła, nie żyje.

— Tak — powiedziała rzeczowym tonem. Żadnej skruchy, żadnej dumy.

Ashby skinął głową.

— To mnie martwi.

— Że... zginęła Roskanka?

— Nie. — Postukał się w pierś. — To. To uczucie tutaj. To ono mnie martwi. Słyszę, że kogoś zastrzełaś, i jestem z tego zadowolony. Cieszę się, że powstrzymałaś ją, zanim zdołała zrobić ci większą krzywdę. Cieszę się, że

jest martwa, bo to oznacza, że ty wciąż żyjesz. Jak to świadczy o mnie? Jak to świadczy o mnie, który czuje ulgę, że potrafisz zrobić to, za co potępiam mój własny gatunek?

Pei patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Przytuliła się do niego.

— Świadczy to o tym — powiedziała, dotykając jego czoła swoim i oplatając jego ciało gibkimi kończynami — że lepiej rozumiesz przemoc, niż sądzisz. — Dotknęła palcami jego policzka, a przez jej twarz przemknęło zatroskanie. — A to dobrze, biorąc pod uwagę, dokąd się udajesz.

— Nie lecimy do strefy walk. Komisja mówi, że sytuacja jest tam dość stabilna.

— Nie — powiedziała stanowczym tonem Pei. — Nigdy nie stałam twarzą w twarz z toremim, ale oni nie sprawiają na mnie wrażenia stabilnych. Ten gatunek odsyłał naszych badaczy w kawałkach, kiedy jeszcze nie mieliście pojęcia o naszym istnieniu. Nie kupuję tego sojuszu i nie podoba mi się, że tam lecicie.

Ashby roześmiał się.

— I kto to mówi?

— Jest różnica.

— Naprawdę.

Poruszyła z niezadowoleniem oczyma.

— Tak, naprawdę. Ja wiem, którym końcem broni w kogoś się celuje. Ty nawet nie chcesz wziąć broni do ręki. — Odetchnęła, a jej policzki przybrały bladopomarańczowy kolor. — To nie w porządku, przykro mi. Chcę tylko powiedzieć, że cię znam. Wiem, że prawdopodobnie zastanawiałeś się nad tym długo i głęboko. Ale ja nie znam toremich. Wiem tylko to, co słyszę, i... Proszę cię, Ashby, bądź ostrożny.

Pocałował ją w czoło.

— I teraz wiesz, jak się czuję za każdym razem, kiedy odlatujesz.



— To straszne uczucie — powiedziała z uśmiechem. — I też wolałabym, byś go nie doświadczał. Sądzę jednak, że pod pewnym względem jest dobre. Oznacza, że zależy ci na mnie tak samo, jak mnie na tobie. — Położyła sobie jego dłoń na biodrze. — Podoba mi się to.

Odłożyli wezwanie obsługi na godzinę.

# Dzień 180., 306 standard WG

## Słabnięcie

Siedząc bezpiecznie za oknem w swoim pokoju, Ohan patrzyli w czarną dziurę. Z pewnym wysiłkiem potrafili sobie przypomnieć, jak wyglądała galaktyka za czasów dzieciństwa ich żywiciela, przed zarażeniem. Płaska. Pusta. Pozbawiona wyrazu. Umysł niedotknięty przez Szeptacza tracił tak wielką część istnienia. Ich obcy towarzysze mają takie umysły. Ohan było ich żal.

Kiedy patrzyli tylko swoimi oczami, mieli taki sam widok na działania toczące się na obrzeżach dysku akrecyjnego czarnej dziury, jak reszta załogi. Na samym skraju działania grawitacji stadko bezzałogowych zgarniaczy przemknęło niebezpiecznie blisko horyzontu zdarzeń. Unosiły się wśród kłębiącej się materii i zwykły obserwator uznałby, że swoimi grzebieniowatymi wysięgnikami tylko robią w niej ślady. Lecz kiedy Ohan spojrzeli swoim umysłem, oznaczyli wszystko odpowiednimi numerami i pojęciami, przestrzeń kosmiczna na zewnątrz stawała się majestatyczna i gwałtowna. Wokół wysięgników zgarniaczy surowa energia kłębiła się i burzyła jak morze wyrzucające śmieci na brzeg. Macki energii owijały się wokół grzebieni, wyginając się i wijąc, a potem wpadały do pojemników. A przynajmniej tak to sobie Ohan wyobrażali. Przycisnęli się mocniej do okna, podziwiając burzę szalejącą poza wzrokiem. I znowu pomyśleli o tym, co widzi reszta załogi: pusty fragment przestrzeni kosmicznej, czarniejszy od czerni, i małe zgarniacze zbierające niewidoczny ładunek.

*Jak nieruchomy musi być w ich oczach wszechświat, pomyśleli Ohan. Jaki*

*milczący.*

Ich kapitan przybył tu po to, by zakupić ten niewidoczny ładunek. Ashby prawdopodobnie właśnie targował się o cenę ogniwi ambi. Surowe ambi — to, co Ohan wyobrazili sobie, jak wiruje wokół grzebieni zgarniaczy — zbierało się trudno. Ambi można było znaleźć wszędzie i we wszystkim, lecz sposób, w jaki oplatało się wokół zwykłej materii, sprawiał, że uzyskiwanie go było kłopotliwe. Dysponując odpowiednią technologią, można było je wyrwać, lecz proces był tak uciążliwy i niewydajny, że nie warto było podejmować takiego wysiłku. O wiele łatwiej zbierało się ambi tam, gdzie materia już ulegała rozrywaniu przez siły potężniejsze od wszystkiego, co potrafiłaby zbudować jakakolwiek istota rozumna — jak w czarnej dziurze. Czarne dziury zawsze otaczały burzliwe morza dryfującego ambi, lecz zbliżenie się do niego na tyle, by móc je zebrać, łączyło się z oczywistym ryzykiem. Dla handlarzy ambi ryzyko to było warte podjęcia, zwłaszcza że pozwalało im doliczać dopłatę. Chociaż ogniwa ambi były drogie, tylko one mogły zasilać wiertło międzyprzestrzenne „Wędrowca”. Dla takiego statku był to konieczny wydatek, lecz po negocjacjach Ashby zawsze był nieco blady. Ohan czytali o statkach całkowicie napędzanych ogniwami ambi, lecz z trudem potrafili wyobrazić sobie życie, w którym można było sobie pozwolić na taką rozrzutność.

Ohan ujęli brzytwę, która leżała obok umywalki przy ich stopach. Zaczęli wydawać językiem skoczne, rytmiczne dźwięki i poprawiać wzory w futrze. Te zawijasy i mlaski dla jego współzałogantów nic nie znaczyły, lecz miały ogromne znaczenie dla Ohan. Każdy wzór przedstawiał jakąś kosmologiczną prawdę, a każda seria mlasków — abstrakcję matematyki leżącą u podłoża wszechświata. Te symbole i dźwięki znał każdy sianacki duet. Mieli na skórze warstwy wszechświata, wybijali jego rytm językami.

Głęboko w nadgarstku Ohan poczuli ostre ukłucie i na chwilę stracili

władzę w ręce. Brzytwa się obsunęła, kalecząc ich skórę. Ohan ćwierknęli, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Owinęli palce drugiej ręki wokół ranki i przez chwilę kiwali się w przód i w tył, aż ostry ból zmalął do niewyraźnego pieczenia. Ohan odetchnęli. Spojrzeli na skaleczenie. Wyciekała z niego rzadka krew i sklejała otaczające futro. Brzytwa nie wniknęła głęboko. Ohan wstali sztywno i podeszli do toaletki po bandaże.

To było pierwsze stadium Słabnięcia: sztywność i skurcze mięśni. W końcu ból rozszerzy się na kości i coraz trudniej będzie kontrolować mięśnie. Wtedy ból zniknie, lecz to wątpliwa pociecha, jako że będzie to świadczyło o zanikaniu włókien nerwowych. Potem w odpowiednim czasie nadejdzie śmierć.

Słabnięcie było nieuniknionym elementem życia sianackiego duetu. Chociaż Szeptacz otwierał umysł żywiciela, skracał im także życie. Samotnicy — bluźniercy, którzy unikali zarażenia, co było zbrodnią karaną wygnaniem — podobno mogli żyć nawet ponad sto standardów, lecz żaden duet nie przekroczył trzydziestki. Od czasu do czasu zgłaszali się obcy lekarze z propozycjami pomocy przy leczeniu Słabnięcia, ale zawsze odmawiano jej przyjęcia. Nie można było dopuścić do leczenia, które zniszczyłoby genetyczną stabilność Szeptacza. Zarażenie było święte. Nie można było przy nim majstrować. Słabnięcie stanowiło uczciwą cenę za oświecenie.

Mimo to Ohan się bali. Potrafili odseparować się od strachu, lecz on trwał jak nieprzyjemny posmak w ustach. Strach. Jak reliktowe uczucie mające zmuszać prymitywne formy życia do ucieczki przed potencjalnymi drapieżnikami. Powszechna stała życia. Każdy strach przed odrzuceniem, krytyką, niepowodzeniem, utratą był wywoływany przez ten sam archaiczny odruch przetrwania. Ohan wiedzieli, że własny strach przed śmiercią to tylko wybuchy kilku prymitywnych synaps w mózgu ich żywiciela, emocjonalny

odpowiednik cofnięcia ręki od gorącej powierzchni. Kiedy sięgali do wyższych części umysłu, wiedzieli, że śmierci nie ma się co bać. Dlaczego mieliby się bać czegoś, co spotyka wszystkie formy życia? Pod pewnym względem osiągnięcie Słabnięcia stanowiło dla Ohan pociechę. Oznaczało, że udało im się uniknąć nagłego, przedwczesnego końca.

Tylko Ashby i Doktor Kucharz wiedzieli, że Ohan rozpoczęli Słabnięcie. Kapitan starał się zachowywać jak zawsze, chociaż często pytał Ohan ściszym głosem, jak się czują i czy jest coś, co może dla nich zrobić. Doktor Kucharz, życzliwy z natury, zadał sobie trud skontaktowania się z sianackimi lekarzami, żeby dowiedzieć się więcej o skutkach Słabnięcia. Kilka dni po opuszczeniu Port Coriol dał im zestaw domowych nalewek i herbatek zrobionych z ziół zalecanych na ból. Ohan byli wzruszeni, chociaż jak zwykle nie wiedzieli, jak odpowiednio wyrazić podziękowania. Kultura sianacka nie znała dawania prezentów i Ohan nigdy nie umieli wyrażać wdzięczności za takie gesty. Byli przekonani, że Doktor Kucharz rozumie to społeczne ograniczenie. W pewien sposób Doktor Kucharz potrafił zaglądać w serca innych, tak jak sami Ohan potrafili widzieć wszechświat. Ohan często się zastanawiali, czy Doktor Kucharz wie, jak cenny to dar.

Założywszy bandaż i oczyściwszy futro z krwi, Ohan wrócili do okna. Podnieśli brzytwę, mlasnęli językiem i przeciągnęli ostrzem po futrze. Pomyśleli wtedy o pojęciu celu. Celem Doktora Kucharza było leczenie i żywienie. Celem Ashby'ego było stworzenie z załogi zespołu. Zaakceptowanie Słabnięcia było z tymi celami sprzeczne. Trudno im było zaakceptować śmierć członka załogi. Ohan mieli nadzieję, że Doktor Kucharz i Ashby wiedzą, jak bardzo są doceniane ich wysiłki.

Celem Ohan było nawigowanie, odsłanianie wszechświata przed tymi, którzy są na niego ślepi. Po śmierci Ohan nie będą już mogli dążyć do tego celu i nie mogli zaprzeczyć, że to ich smuci. Przynajmniej będą mieli czas na

wykonanie jeszcze jednego zadania — na zbudowanie tunelu na Hedrę Ka. Słabnięcie jest dopiero w pierwszym stadium. Mają więc jeszcze czas. Ohan mieli nadzieję, że Ashby’emu nie przeszkadza, iż przyjmą ostatnie stadium Słabnięcia na pokładzie „Wędrowca”. Nie umieli pomyśleć o odpowiedniejszym miejscu na śmierć niż to, w którym służyli swojemu celowi.

Ohan jeszcze raz spojrzeli w czarną dziurę. Zamknęli oczy i wyobrazili sobie zapadające się i ściskające w nieskończoność wielkie pasma porozrywanej materii. W swoim języku określiliby to słowem *larab*, opisującym formę. Oraz słowem *gruss*, oznaczającym kolor niewidocznej materii. W klipie nie istniały określenia kolorów i kształtów niepostrzeganych wzrokiem. Czasami usiłowali wyjaśnić te sprawy załodze „Wędrowca”, lecz nie było słów ani abstrakcji, które mogłyby otworzyć ograniczone umysły jej członków. Ohan woleli oglądać ten widok samotnie, zwłaszcza teraz. Czarna dziura to idealne miejsce do zastanawiania się nad śmiercią. We wszechświecie nie ma nic, co trwa wiecznie. Gwiazdy nie trwają wiecznie. Materia nie trwa wiecznie. Nic nie trwa wiecznie.

Brzytwa goliła. Nadgarstek bolał. Niewidoczne niebo burzyło się.

Źródło informacji: Reskickie Muzeum Nauk Przyrodniczych — Biblioteka Archiwaliów (publiczne/reskicki)

Nazwa informacji: Myśli o galaktyce — Rozdział 3.

Autor: oshet-Tekshereket esk-Rahist as-Ehas Kirish isket-Ishkriset

Kodowanie: 0

Ścieżka tłumaczenia: [reskitkish:klip]

Transkrypcja: 0

Identyfikator węzła: 9874-457-28, Rosemary Harper

Przy pierwszym spotkaniu z przedstawicielem innego gatunku każda istota rozumna w galaktyce natychmiast sporządza spis dzielących ich różnic fizjologicznych. To są zawsze pierwsze rzeczy, które zauważamy. Czym się różni jego skóra? Czy on ma ogon? Jak się porusza? Czy podnosi przedmioty? Co je? Czy ma umiejętności, których ja nie mam? Albo na odwrót.

To wszystko są ważne rozróżnienia, ale ważniejszym porównaniem jest to, które robimy potem. Po sporządzeniu w myślach listy różnic zaczynamy przeprowadzać paralele — nie między obcym i nami, lecz między obcymi i zwierzętami. Większość z nas została nauczona w dzieciństwie, że wygłaszanie takich porównań jest obraźliwe, i rzeczywiście, wiele potocznie używanych gatunkistowskich obelg to zwykle nazwy nierozumnych gatunków (na przykład ludzkie słowo *jaszczurka* na określenie aandriska; quelińskie słowo *tik* na określenie człowieka; aandriskie słowo *sersh* na określenie quelina). Chociaż słowa te są obraźliwe, ich obiektywne zbadanie ujawnia bardzo interesującą kwestię biologiczną. Pomijając wszelkie poniżające sugestie, my, aandriskowie, rzeczywiście wyglądamy jak niektóre ziemskie gatunki gadów. Ludzie rzeczywiście wyglądają jak większe, dwunożne wersje bezwłosych naczelnych, które nękają sieci kanalizacyjne quelińskich miast. Quelinowie rzeczywiście nieco przypominają kłapiące skorupiaki spotykane na całym Hashkathu. A mimo to wyewoluowaliśmy oddzielnie i w innych światach. Mój naród i ziemskie jaszczurki nie wywodzą się z jednego drzewa ewolucyjnego, podobnie jak ludzie i tiki oraz quelinowie i sershe. Miejsca, skąd pochodzimy, są rozrzucone po całej galaktyce. Pochodzimy z układów, które przez miliardy lat były samowystarczalne, a ich zegary ewolucyjne zaczęły chodzić o różnych porach. Jak to możliwe, że kiedy po raz pierwszy stykamy się z naszymi galaktycznymi sąsiadami, natychmiast przypominają nam się stworzenia z naszego domu, a w niektórych wypadkach my sami?

Kwestia ta staje się jeszcze bardziej skomplikowana, kiedy zaczynamy pomijać nasze powierzchowne różnice i szukać podobieństw. Wszystkie rozumne gatunki mają mózg. Zastanówmy się przez chwilę nad tym pozornie oczywistym faktem. Mimo naszych odizolowanych od siebie ścieżek ewolucyjnych u wszystkich rozwinął się układ nerwowy z centralnym węzłem. Wszyscy mamy narządy wewnętrzne. Wszyscy mamy przynajmniej niektóre z tych samych fizycznych zmysłów: słuch, dotyk, smak, węch, wzrok, elektrorepcję. Zdecydowana większość istot rozumnych ma albo cztery, albo sześć kończyn. Dwunożność i przeciwstawne palce nie są powszechne, lecz wstrząsająco pospolite. Wszyscy składamy się z chromosomów i DNA, które z kolei składają się z wybranej garści kluczowych elementów. Wszyscy potrzebujemy do przeżycia stałego dopływu wody i tlenu, chociaż w rozmaitych ilościach. Wszyscy potrzebujemy pożywienia. Wszyscy odkształcamy się w zbyt gęstej atmosferze lub zbyt silnym polu grawitacyjnym. Wszyscy umieramy w lodowatym zimnie lub w prażącym upale. Wszyscy umieramy.

Jak to możliwe? Jak jest możliwe, że życie, tak różnorodne na powierzchni, w całej galaktyce rozwinęło się według tych samych wzorów, i to nie tylko w obecnej epoce, lecz wciąż od nowa? Dostrzegamy ten wzór w ruinach cywilizacji arkańskiej w Shessha albo pradawnych skamielinach na jałowym obecnie świecie Okik. Z pytaniem tym społeczności naukowe zmagają się od wieków i nie wydaje się prawdopodobne, by znalazły na nie odpowiedź w bliskiej przyszłości. Istnieje wiele teorii — asteroidy przynoszące aminokwasy, supernowe wystrzelujące materiał organiczny do sąsiednich układów. Owszem, istnieje ta

dziwna opowieść o hiperrozwinętej rozumnej rasie „obsiewającej” całą galaktykę materiałem genetycznym. Przyznaję, że hipoteza o „galaktycznym ogrodniku” napędza akcję kilku z moich ulubionych symów SF, lecz z naukowego punktu widzenia są to jedynie pobożne życzenia. Nie można mieć teorii bez dowodów, a nie ma absolutnie żadnych dowodów na poparcie tego pomysłu (bez względu na to, co wszystkim wmawiają wyznawcy teorii spiskowych czający się w serwisach Konsolidatora).

Jeśli o mnie chodzi, uważam, że najlepszym wyjaśnieniem jest to najprostsze. Galaktyka to zbiór praw. Grawitacja kieruje się prawami. Cykle życiowe gwiazd i układów planetarnych kierują się prawami. Cząsteczki subatomowe kierują się prawami. Znamy dokładne warunki, które doprowadzą do powstania czerwonego karła albo komety, albo czarnej dziury. Dlaczego zatem nie możemy uznać, że wszechświat kieruje się podobnie sztywnymi prawami biologii? Jak dotąd odkrywamy życie tylko na księżycach i planetach o podobnych rozmiarach, krążących po bardzo podobnych orbitach wokół gościnnych gwiazd. Skoro wszyscy wyewoluowaliśmy na takich podobnych światach, to dlaczego to, że nasze ścieżki ewolucyjne mają tyle wspólnego, jest tak zaskakujące? Dlaczego nie możemy dojść do wniosku, że odpowiednia kombinacja określonych czynników środowiskowych zawsze spowoduje przewidywalne przystosowania fizyczne? Skoro mamy tyle oczywistych dowodów, dlaczego ta debata wciąż się toczy?

Odpowiedź jest oczywiście taka, że praw biologii nie da się przetestować, a naukowcy tego nie znoszą. Potrafimy wysłać sondy, by testować teorie grawitacji i czasoprzestrzeni. Potrafimy umieszczać kamienie w szybkowarach i rozbijać atomy w szkolnych klasach. Lecz jak można zbadać proces tak długi i wieloaspektowy jak ewolucja? Istnieją dziś laboratoria, które z trudem znajdują fundusze na utrzymanie badań przez trzy standardy — wyobraźmy sobie fundusze potrzebne do prowadzenia badań na przestrzeni tysięcy lat! W obecnej sytuacji nie mamy sposobu na efektywne sprawdzenie warunków, które skutkują określonymi biologicznymi adaptacjami, poza czynieniem najbardziej podstawowych spostrzeżeń (środowisko wodne warunkuje powstanie płetw, zimno warunkuje powstanie futra lub tłuszczu i tak dalej). Podejmowane są śmiałe próby stworzenia oprogramowania, które potrafiłoby dokładnie przewidzieć tok ewolucji, jak finansowany przez aelunów Projekt Tep Preem (który, chociaż powstał w dobrej wierze, nie zdołał odsłonić tajemnic biologicznego prawa). Problem z takimi przedsięwzięciami tkwi w tym, że trzeba brać pod uwagę zbyt wiele zmiennych, a jest wśród nich dużo takich, o których istnieniu nie mamy pojęcia. Po prostu nie dysponujemy wystarczającą liczbą danych, a tych, które mamy, nadal nie umiemy zrozumieć.

Jesteśmy ekspertami od fizycznej galaktyki. Mieszkamy na terraformowanych światach i w potężnych siedliskach orbitalnych. Budujemy tunele w podwarstwie, by przeskakiwać między układami gwiazdnymi. Przewycięzamy planetarną grawitację z taką samą łatwością, z jaką wychodzimy z domu. Natomiast w kwestiach ewolucji jesteśmy niedawno wyklutymi młodymi, niezdarnie bawiącymi się zabawkami. Sądzę, że to dlatego wielu moich



rówieśników wciąż trzyma się teorii głoszących, że materiał genetyczny został rozrzucony przez asteroidy i supernowe. Pod wieloma względami o wiele łatwiej jest przyjąć założenie o wspólnej puli genów unoszących się w galaktyce niż zniechęcającą możliwość, że być może nikt z nas nigdy nie osiągnie intelektualnej zdolności zrozumienia, jak naprawdę rozwija się życie.

## Dzień 245., 306 standard WG

### Wprowadzenie do harmagiańskiej historii kolonialnej

Sissix wyjrzała zza framugi. Korytarz był pusty. Jeśli będzie szybka, może uda jej się dotrzeć do ambulatorium, zanim ktoś ją zobaczy.

Otuliła się ciasniej szlafrokiem — pożyczonym ze sterty czystych ubrań Kizzy — i ruszyła szybkim krokiem. Kiedy się ruszała, swędzenie rozprzestrzeniało się z jej ud na brzuch. Potarła go dłońmi przez szlafrok, ledwie powstrzymując się przed zatopieniem w nim szponów. Chciała zrzucić szlafrok i tarzać się po metalowej podłodze, czochrać się o szorstką korę drzewa, o tarczę ścierną, o cokolwiek, żeby tylko pozbyć się tego suchego, palącego, bolącego, płytkiego, okropnego swędzenia.

— Prrr, Sis — powiedział Jenks, zatrzymując się poślizgiem, kiedy Sissix wypadła zza rogu. — Prawie mnie... — Przerwał, kiedy na nią spojrział. — Jasna cholera, okropnie wyglądasz.

— Dzięki, Jenks, bardzo mi pomogłeś — odparła, nie zatrzymując się.

Powiedziała sobie, że nie jest zażenowana, tylko zła. Tak, zła, że to się w ogóle wydarzyło, zła, że musi to znosić tyle razy w swoim życiu, zła, że inni po prostu nie dadzą jej świętego spokoju.

— Hej, Sissix — odezwała się Rosemary, wychodząc na korytarz zza jakichś drzwi z notekiem w ręku. — Chciałam zobaczyć... Oj.

Jej tępe, wilgotne ssacze oczy rozwarły się szeroko. Uniosła dłoń do ust.

— Nic mi nie jest — powiedziała, nie zatrzymując się. Można by pomyśleć, że na tak dużym statku można przemieścić się z punktu A do punktu B, nie wpadając ciągle na... — Odpieprz się, Corbinie — powiedziała

Sissix do różowego człowieka, który właśnie wszedł z niższych pokładów.

Corbin zamarł na szczycie schodów, z głupią i zmieszaną miną patrząc na mijającą go pośpiesznie aandriskę.

Wpadła do ambulatorium i natychmiast zamknęła za sobą drzwi. Doktor Kucharz podniósł wzrok znad swojego stanowiska i zadudnił współczująco.

— Och, biedactwo — powiedział. — Liniejesz.

— I to za wcześnie. — Zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Od jej twarzy oddzielały się pęcherze martwej skóry z poszarpanymi brzegami. — Myślałam, że zacznę dopiero za trzy dziesięciodnie i nie... Uch!

Znowu zaczęło ją swędzieć, chociaż tak naprawdę swędzenie nigdy nie ustało. Czuła się tak, jakby jej całą twarz oblażyły muchy. Poddała się i zaczęła się drapać szponami.

— Hej, nie rób tego — powiedział Doktor Kucharz. Podeszedł do niej i ujął ją za nadgarstki. — Zrobisz sobie krzywdę.

— Nie, nie zrobię — odparła Sissix.

Zachowywała się jak dziecko, ale miała to gdzieś. Zaraz mogła jej odpaść twarz. Miała prawo do rozdrażnienia.

Doktor Kucharz podciągnął jej rękaw.

— Doprawdy — rzekł.

Uniósł jej rękę, żeby mogła zobaczyć na swojej łuszczącej się skórze delikatne ślady szponów. Tam, gdzie w nocy podrapały za głęboko, widniała cienka warstewka zakrzepłej krwi.

— Na gwiazdy, ależ ty czasami zachowujesz się jak rodzic — mruknęła Sissix.

— Karmię was i leczę, to jak mam się zachowywać? Zdejmij ten szlafrok. Zrobimy z tobą porządek.

— Dziękuję.

Zdjęła szlafrok, a Doktor Kucharz otworzył ścienną szafkę z zapasami.

Wyjął z niej buteleczkę pokrywającą się skroploną parą wodną oraz *riksith* — niedużą deseczkę szorstką z jednej strony. Kizzy kiedyś nazwała ją „pilnikiem do paznokci, ale do całego ciała”.

— Gdzie jest najgorzej? — zapytał Doktor Kucharz.

Sissix położyła się na kozetce.

— Wszędzie. — Westchnęła. — Chyba na rękach.

Doktor Kucharz ujął delikatnie jej prawą rękę, tę z krwawymi śladami, i spryskał leczniczą mgiełką. Sucha skóra stała się przezroczysta i uniosła się na brzegach. Wziął się do pracy, za pomocą *riksith* ścierając wilgotne miejsca. Sissix oddychała nieco swobodniej, zmuszając resztę ciała do cierpliwości. Doktor Kucharz ujął jeden z jej palców i dokładnie mu się przyjrzał.

— Jakie wrażenie sprawia tu skóra?

— Jest napięta. Jeszcze niegotowa.

— Oj, myślę, że jest. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Namoczył skórę i mocno wymasował jej dłoń od nadgarstka po szpony. Po kilku minutach Sissix poczuła, że blisko nadgarstka skóra zaczyna się oddzielać. Doktor Kucharz ostrożnie wsunął pod nią palec i chwycił jej brzeg. Jednym szybkim ruchem zdarł martwą skórę z całej dłoni, jakby zdejmował rękawiczkę.

Sissix wrzasnęła, a potem jęknęła. Świeża skóra była wrażliwa, ale swędzenie zniknęło. Odetchnęła.

— Na gwiazdy, jesteś w tym dobry.

— Mam praktykę — odparł, przesuwając *riksith* wzdłuż jej ręki.

Sissix przekrzywiła szyję, żeby się upewnić, czy drzwi są dokładnie zamknięte.

— Czy ludzie cię męczą?

— Czasami. To chyba normalne, jeśli mieszka się z przedstawicielami

innego gatunku. Na pewno my ich też męczymy.

— Ja zdecydowanie jestem dziś nimi zmęczona — stwierdziła Sissix, kładąc głowę z powrotem na kozetce. — Jestem zmęczona ich mięsistymi twarzami. Jestem zmęczona ich gładkimi czubkami palców. Jestem zmęczona tym, jak wymawiają „r”. Jestem zmęczona ich niezdolnością wycucia czegokolwiek węchem. Jestem zmęczona tym, jacy robią się przymilni do cudzych dzieci. Jestem zmęczona ich przewrażliwieniem w kwestii nagości. Chce mi się tłuc ich wszystkich, aż uświadomią sobie, jak niepotrzebnie komplikują sobie życie rodzinne, towarzyskie i w ogóle wszystko.

Doktor Kucharz skinął głową.

— Kochasz ich i rozumiesz, ale czasami chciałabyś, żeby zachowywali się, również ja i Ohan, bardziej normalnie.

— Właśnie. — Westchnęła już nieco udobruchana. — A oni przecież nie robią nic złego. Wiesz, jak wiele znaczy dla mnie ta załoga. Ale dzisiaj... Sama nie wiem. Zupełnie jakbym miała mnóstwo młodszych towarzyszy z łęgu, którzy nie chcą przestać się bawić moimi zabawkami. Niczego nie niszczą i wiadomo, że tylko starają się zrobić mi przyjemność, ale są tacy mali i denerwujący, że chciałabym, aby wpadli do studni. Na jakiś czas.

Doktor Kucharz roześmiał się wielotonowo.

— Wydaje się, że twoja przypadłość jest bardziej skomplikowana niż przedwczesne linienie.

— Jak to?

Uśmiechnął się.

— Tęsknisz za domem.

Znowu westchnęła.

— Tak.

— Przed końcem standardu zatrzymujemy się na Hashkathu, prawda? To nie jest tak strasznie daleko — powiedział, poklepując ją po głowie. Po

chwili potarł jedno z piór palcami. — Zażywasz swoje suplementy mineralne?

Odwróciła wzrok.

— Czasami.

— Musisz je brać stale. Masz trochę wiotkie pióra.

— Liniję.

Doktor Kucharz zmarszczył brwi.

— To nie dlatego — powiedział. — Są wiotkie, ponieważ brakuje ci podstawowych substancji odżywczych, których potrzebują wszyscy aandriskowie. Jeśli nie zaczniesz regularnie przyjmować minerałów, to zacznę cię karmić pastą z mchu.

Sissix skrzywiła się. Już sama wzmianka o tym paskudztwie wywołała dziecinne wspomnienie jego gorzkiego, jakby zakurzonego, długo utrzymującego się smaku.

— Dobrze, ojcze lęgu, jak chcesz.

Doktor Kucharz zbulgotał w zamyśleniu.

— Co takiego?

— Och, nic. Zdziwiło mnie trochę to wyrażenie — odparł lekkim tonem.  
— Byłem tylko matką.

— Przepraszam, nie chciałam...

— Przestań. To tylko prawda. — Spojrzał na nią z błyskiem w oku. — Poza tym jeśli będziesz myślała o mnie jako o rodzicu, to może mnie posłuchasz i zaczniesz zażywać te cholerne minerały.

Roześmiała się.

— Wątpię. Kiedyś w dzieciństwie moja rodzina lęgu nie mogła mnie namówić do jedzenia niczego oprócz trzaskowoców.

Syknęła. Doktor Kucharz uparcie piłował kawałek skóry na jej ramieniu.

— Trzaskowoce są przynajmniej zdrowe. I jakoś mnie nie dziwi, że byłaś

nieposłusznym dzieckiem. — Roześmiał się. — Mogę się założyć, że straszna była z ciebie zaraza.

— Oczywiście — potwierdziła Sissix z uśmiechem. — Jeszcze wtedy nie byłam osobą.

Policzki Doktora Kucharza zafalowały z dezaprobatą.

— Jest w twoim gatunku coś, czego nigdy nie zrozumieję.

Westchnęła.

— Ty oraz cała reszta galaktyki.

Co jest w tym pojęciu tak naprawdę trudnego, że nie potrafią tego ogarnąć inni? Sissix nigdy w życiu nie potrafiłaby zrozumieć, że dziecko, a zwłaszcza niemowlę ma większą wartość niż dorosły, który już zdobył wszystkie umiejętności przydatne dla społeczeństwa. Śmierć młodego członka łęgu jest tak powszechna, że należy ją zwyczajnie przyjąć. Śmierć dziecka, któremu zaraz mają wyrosnąć pióra, owszem, jest smutna, ale prawdziwą tragedią jest utrata dorosłego, który ma przyjaciół, kochanków i rodzinę. Sissix nigdy nie umiała zrozumieć, że utrata potencjału jest w jakiś sposób gorsza od utraty osiągnięć i wiedzy.

Doktor Kucharz obejrzał się przez ramię, chociaż do ambulatorium nikt nie wszedł.

— Muszę ci coś wyznać.

— Tak?

— Nigdy nikomu tego nie mówiłem. To tajemnica. Bardzo tajna tajemnica.

Sissix skinęła głową z przesadną powagą.

— Nic nie powiem.

— Pamiętasz, jak mówiłaś, że ludzie nie potrafią niczego wyczuć węchem?

— Mhm.

— Jestem pewien, że zauważyłaś, iż ludzie na pokładzie tego statku nie pachną tak źle jak inni ludzie.

— Tak. Przyzwyczyłam się do nich.

— Wcale nie. — Zrobił dramatyczną przerwę. — Do mydła w dozownikach w prysznicach zawsze dodaję silny proszek antyzapachowy. Wcieram go też w stałe mydło Kizzy.

Sissix przez chwilę wpatrywała się w niego, a potem zanosła się śmiechem.

— Oj — powiedziała wreszcie, chwytając oddech. — Oj, nie mów.

— Tak robię — powiedział, wydymając policzki. — Zacząłem przed upłynięciem dziesięciodnia od podjęcia tej pracy. I wiesz, co jest najlepsze?

— Nie widzą różnicy?

Doktor Kucharz roześmiał się harmonijnie.

— Nie widzą różnicy!

Kiedy do ambulatorium wszedł Ashby, wciąż się śmiali. Miał wilgotne włosy. Najwyraźniej dopiero co się wykąpał. Sissix i Doktor Kucharz zamilkli, a potem roześmiali się jeszcze głośniej.

— Powinienem coś wiedzieć? — zapytał Ashby, patrząc to na jedno, to na drugie.

— Nabijamy się z ludzi — rzekła Sissix.

— Świetnie. W takim razie zdecydowanie nie chcę wiedzieć — powiedział Ashby i skinął głową w jej stronę. — Przedwczesna wylinka?

— Tak.

— Wyrazy współczucia. Wezmę wachtę porządkową.

— Och, jesteś najlepszy.

To była wspaniała wiadomość. Środki czyszczące i świeża skóra to nie było dobre połączenie.

— Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz się śmiać z nas,



podrzędnych naczelnych.

Rosemary przerzucała pliki w swoim biurze — a raczej w tym, co uchodziło za jej biuro. Przed jej przybyciem to był składzik i technicznie nadal nim był, biorąc pod uwagę niewielką stertę skrzynek pod przeciwległą ścianą. Całości daleko było do lśniącego biurka, jakie miała w firmie Czerwona Skala — Transport nawet jako stażystka, ale lada z przysmakami Doktora Kucharza podobała jej się o wiele bardziej niż surowa stołówka korporacji, a poza tym do wykonywania swojej pracy nie potrzebowała nic wymyślnego. Miała proste biurko i duży panel interfejsu, i małą pikselową roślinkę, którą dał jej Jenks jako rekompensatę za brak okna (dlaczego ludzie pracujący z liczbami zawsze są upychani w tylnych pomieszczeniach?). Roślina oczywiście w niczym nie przypominała prawdziwej. Jej uśmiechnięta buzia i płatki o zmiennych barwach nie istniały w przyrodzie. Miała zainstalowane oprogramowanie, które rozpoznawało zachowanie i umiało określić, jak długo Rosemary nie wstawiała, nie piła czy nie robiła sobie przerwy, a wtedy roślina radośnie ćwierkała: „Hej tam! Musisz się nawodnić!”, „A może coś przekąsisz?”, „Przejdź się! Rozciągnij mięśnie!”. W sumie było to tandetne, a czasami wręcz przeszkadzało, kiedy była skupiona na pracy, ale doceniała troskę Jenksa.

Głowiąc się nad jednym z arkuszy wydatków Kizzy, sączyła z kubka nudną herbatę. Mechtech miała zwyczaj robienia dopisków, które rozumiała tylko ona. Początkowo Rosemary założyła, że to jakiś rodzaj żargonu technicznego, ale nie, Jenks po cichu potwierdził, że to sposób Kizzy na utrzymanie porządku. Rosemary spojrzała na ekran. „5500 kredytów (ok.) — WRSS”. Strzepnęła lewą dłonią, wywołując plik zatytułowany „Kizzymowa”, swoją ściągawkę z akronimami, które udało jej się rozszyfrować. SS (sprzęt silnikowy). ND (narzędzia i drobiazgi). BWD (obwody). Ale WRSS tam nie było. Musi o to zapytać Kizzy.

Drzwi się obróciły i do pomieszczenia wszedł Corbin. Zanim zdążyła go przywitać, położył na jej biurku jakiś czarny przedmiot.

— Co to jest? — zapytał.

Serce mocno jej biło, jak zwykle, kiedy zbliżał się do niej Corbin. Rozmowa z nim zawsze bardziej przypominała zasadzkę niż wymianę zdań. Rosemary spojrzała na przedmiot.

— To jest filtr soli, który zamówiłam dla ciebie.

— Tak. Widzisz coś?

Rosemary przełknęła ślinę. Spojrzała uważnie na filtr, który rozpoznała jako filtr tylko dlatego, że widziała w Konsolidatorze jego zdjęcie na stronie handlarza. Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Przyznaję, że niewiele wiem o urządzeniach do hodowli alg — powiedziała, usiłując zachować swobodny ton.

— To widać — stwierdził Corbin. Obrócił filtr i pokazał palcem na etykietę. — Model 4546-C44.

Wbił wyczekująco wzrok w Rosemary.

O, nie. Umysł Rosemary pracował na wysokich obrotach, usiłując przypomnieć sobie formularz zamówienia. Było ich tak dużo...

— Nie tego chciałeś?

Za odpowiedź wystarczyła jej kwaśna mina Corbina.

— Specjalnie prosiłem o C45. C44 ma gniazdko węższe od złączki w zbiorniku. Żeby prawidłowo podłączyć filtr, będę musiał dodać nowe podłączenie.

Słuchając go, Rosemary wywoływała zarchiwizowane formularze. Jest: udoskonalony filtr soli firmy Tryton, model 4546-C45. Cholera.

— Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, jak to się stało. Musiałam wybrać niewłaściwy model. Ale ten będzie działał, prawda?

W chwili, kiedy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że popełniła

błąd.

— Nie o to chodzi, Rosemary — rzekł Corbin, jakby mówił do dziecka. — A gdybym potrzebował coś ważniejszego niż filtr soli? Sama przyznałaś, że niewiele wiesz o urządzeniach do hodowli alg. Takie błędy mogą ci ujść na sucho w jakimś spokojnym biurze na planecie, ale nie na statku dalekiego zasięgu. O tym, czy statek bezpiecznie dotrze do portu, czy ulegnie dekompresji w otwartej przestrzeni kosmicznej, może zdecydować najmniejszy element.

— Przepraszam — powtórzyła Rosemary. — Następnym razem będę bardziej uważać.

— Nie zapomnij. — Corbin wziął filtr i podszedł do drzwi. — To naprawdę nie jest takie trudne — powiedział odwrócony do niej plecami.

Drzwi obróciły się za nim.

Rosemary siedziała wpatrzona w biurko. Sissix powiedziała jej, żeby nie pozwoliła Corbinowi zależeć sobie za skórę, ale tym razem naprawdę schrzaniła sprawę, a na dodatek to był błąd nieuwagi. W tym momencie dekompresja nie brzmiała tak źle.

— Oj, nie jest tak źle! — zaćwierkała pikselowa roślinka. — Uściskaj się!

— Och, zamknij się — powiedziała Rosemary.

Idąc przez maszynownię, Ashby potknął się o elastyczną rurę.

— Co...

Wyjrzał za róg i zobaczył lawinę przewodów wylewającą się ze ściany. Został usunięty cały panel podtrzymujący. Ashby obszedł na palcach splątaną masę, uważając, żeby nie nadepnąć na żadną z wypełnionych płynem rur. Podchodząc do odsłoniętej ściany, usłyszał pociągnięcie nosem.

— Kizzy?

Mechtech siedziała w ścianie wśród rozrzuconych narzędzi i obejmowała swoje kolana. Twarz miała jak zwykle poznaczoną smugami mazi i smaru,

ale po jej policzkach biegło kilka czystych ścieżek wyznaczonych łzami. Podniosła żalosne spojrzenie na Ashby'ego. Nawet wstążki w jej włosach były sflaczałe.

— Mam zły dzień — stwierdziła.

Ashby pochylił się do wnętrza ściany.

— Co jest?

Znowu pociągnęła nosem i potarła go grzbietem dłoni.

— Źle spałam, cały czas miałam koszmary i zanim udało mi się zasnąć, zadzwonił budzik, więc dzisiaj jest fatalnie od samego początku, a potem pomyślałam, że zostało mi jeszcze kilka ciasteczek z dżemem i to mnie pocieszyło, ale kiedy poszłam do kuchni, okazało się, że zeszłego wieczoru ktoś zjadł ostatnie ciasteczko i nikt mnie w ogóle nie spytał, a ja nadal nie wiem, kto to był, więc poszłam pod prysznic i jak jakiś geniusz uderzyłam się kolanem o umywalkę, nabijając sobie ogromnego siniaka, i miałam wtedy w ustach dentboty, więc kilka połknęłam i Doktor Kucharz mówi, że to nic, ale zgodnie z jego ostrzeżeniem boli mnie brzuch, i kiedy w końcu udało mi się wziąć ten głupi prysznic, zauważyłam, że ciśnienie jest jakieś dziwne, więc zaczęłam grzebać w układach odzyskiwania wody i stwierdziłam, że jest spieprzona cała linia, ale nie znalazłam jeszcze tego miejsca i teraz jest bałagan na podłodze, a ja nie zajęłam się jeszcze niczym, co powinnam zrobić dzisiaj, a potem przypomniałam sobie, że dzisiaj mój kuzyn Kip ma urodziny i zawsze wyprawia świetne imprezy, a mnie tam nie będzie. — Znowu pociągnęła nosem. — I wiem, jak głupio to wszystko brzmi, ale nic mi się dzisiaj nie udaje. Nic.

Ashby położył dłoń na jej dłoni.

— Wszyscy miewamy takie dni.

— Chyba tak.

— Ale nie ma jeszcze południa. Jest czas, żeby wszystko się od tej chwili

polepszyło.

Skinęła ponuro głową.

— Taaa.

— Co miałaś na dzisiejszej liście rzeczy do zrobienia?

— Głównie porządki. Trzeba wyczyścić wszystkie filtry powietrza. Trzeba dać nowe oprzewodowanie lampie słonecznej w Akwarium. No i w pokoju Ohan obluźował się panel podłogowy.

— Czy coś z tego jest bardzo ważne?

— Nie. Ale wszystko trzeba zrobić.

— Dzisiaj zajmij się tylko naprawą kanalizacji. Reszta może poczekać. — Uścisnęła jej dłoń. — Nic nie mogę zrobić w związku z urodzinami twojego kuzyna, ale wiem, jak ci ciężko. Przykro mi, że tym razem mamy tak daleką podróż.

— Och, przestań — powiedziała Kizzy. — To góra pieniędzy, a ja lubię moją pracę. Przecież nie jestem twoją służącą na kontrakcie czy coś. Sama podjęłam decyzję o wyjeździe z domu.

— To, że człowiek wyjeżdża z domu, nie znaczy, że przestaje mu na nim zależeć. Inaczej nie tęskniłoby się za nim. A twoja rodzina wie, że ci na niej zależy. Mam oko na twoje połączenia z Konsolidatorem. Widzę, ile plików wideo wysyłasz do rodziny.

Kizzy potężnie pociągnęła nosem i pokazała na korytarz.

— Musisz już iść — powiedziała. — Bo ja mam pracę, a przez ciebie bardziej płaczę. To nie jest zły płacz. Ale przez ciebie się rozklejam, a jeśli cię uściskam, to pobrudzę ci mazią tę ładną koszulę, która, nawiasem mówiąc, bardzo podkreśla twoje oczy.

— Uwaga, wszyscy — dobiegł z najbliższego voxu głos Lovey. — Zbliża się dron pocztowy. Ma na pokładzie paczki dla Ashby'ego, Corbina, Jenksa, Doktora Kucharza i Kizzy. Będzie tu za jakieś dziesięć minut.

— Juhuu! — zawołała Kizzy. — Poczta! Dron pocztowy! — Wytoczyła się ze ściany i pobiegła korytarzem z rękami rozłożonymi jak skrzydła wahadłowca. — Przybywają międzygwiazdne smaaakoooolyyykiii!

Ashby uśmiechnął się szeroko.

— Mówiłem ci, że ten dzień będzie lepszy! — zawołał za nią.

Była za bardzo zajęta wydawaniem odgłosów towarzyszących lotowi, żeby mu odpowiedzieć.

Właz ładowni dopasował się rozmiarami do mniejszego otworu dostawczego drona pocztowego. Do czekających Ashby'ego i pozostałych dołączyła Sissix. Miała na sobie spodnie i wyglądało na to, że Doktor Kucharz z powodzeniem zajął się problemem wylinki.

— Cześć — odezwał się Ashby. — Lepiej się czujesz?

— O wiele lepiej.

Jej skóra była dziwnie kolorowa i jeszcze było na niej widać kilka suchych brzegów, ale Sissix przynajmniej nie wyglądała już jak obłążająca cebula.

— Dla ciebie chyba nic nie ma.

— No to co? — Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. — Jestem wścibska.

— Chwileczkę — odezwała się Lovey. — Badam zawartość na obecność substancji skażających.

— Ojejku jejku jejku jej — powiedziała Kizzy. — To moje urodziny!

— Urodziny masz w połowie roku — zauważył Jenks.

— Ale czuję się, jakbym miała urodziny. Uwielbiam dostawać pocztę.

— To pewnie te zaciski szczękowe, które zamówiłaś.

— Jenks. Wiesz, jakie wspaniałe są zaciski szczękowe? Nie ma nic, czego nie potrafią przytrzymać. Nie mogą się z nich wydostać nawet moje włosy, a to dobrze o tych zaciskach świadczy.

Ashby obejrzał się na nią przez ramię.

— Będę udawał, że nie mówiłaś o używaniu kupowanego przeze mnie sprzętu technicznego jako przyborów do włosów.

Kizzy zacisnęła usta.

— Tylko w nagłych wypadkach.

— Wszystko w porządku — stwierdziła Lovey.

Właz otworzył się z sykiem. Do środka wsunęła się paleta z dużym zapieczętowanym pojemnikiem. Ashby wziął go i przesunął opłotkę nad skanplombą. Pojemnik bipnął potwierdzająco. Dron pocztowy z drugiej strony kadłuba odpowiedział podobnym bipnięciem. Paleta cofnęła się i właz się zamknął. Dron pocztowy odłączył się ze stłumionym brzękiem i poleciał do następnego adresata.

Ashby otworzył pokrywę i przejrzał paczki znajdujące się w pojemniku. Wszystkie były normalnie zapakowane, ale i tak w tym zbiorze pudełek i tub oznaczonych imionami członków załogi było coś czarującego. Rzeczywiście miały w sobie coś odświeżającego.

— Proszę, Kizzy — powiedział, podając jej dużą paczkę. — Zanim wybuchniesz.

Kizzy rozwarła szeroko oczy.

— To nie są zaciski szczękowe! To nie są zaciski szczękowe! Wiem, kto robi takie naklejki! — Odsunęła trochę wieczko i zawołała radośnie: — To od moich tatków! — Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i odsunęła wieczko do końca. Na wierzchu przegryzek i innych rozmaitości leżał infoczip. Kizzy wyjęła z pasa notek, podłączyła czip i zaczęła czytać tekst, który pojawił się na ekranie. Jej twarz przybrała miękki, pełen czułości wyraz. — To jest pudełko „bo tak”. One są najlepsze. Najlepsze.

Rozerwała nową paczuszkę ognistych krewetek i czytała dalej.

Ashby wyjął nieduży kopulasty pojemnik błyskający ostrzeżeniami o zagrożeniach ze strony organizmów żywych.

— Czy powinienem wiedzieć, co jest w środku?

Doktor Kucharz wyjął policzki.

— To są pewnie moje nowe sadzonki. Całkowicie nieszkodliwe, zapewniam cię. Te ostrzeżenia muszą być umieszczane na każdym żywym ładunku.

— Wiem. Tylko że... to mi działa na nerwy.

Doktor Kucharz przechylił się do Ashby'ego z błyskiem w oku.

— Nie mów, ale jeżeli to jest zamówienie, o którym myślę, to teraz mam kilka sadzonek rozmarynu.

Ashby przerzucił pudełko ze znajomym znaczkiem firmowym, takim samym, jaki widział na wielu urządzeniach do hodowli alg.

— Corbin — powiedział, podając mu pudełko. — Wygląda, że to jest dla ciebie.

Corbin otworzył pudełko i wyjął z niego pompę obiegową. Zerknął na etykietę i krótko skinął głową.

— Wydaje się, że nasza urzędniczka jednak potrafi czytać formularze zamówień — stwierdził i skierował się do wyjścia.

— No tak... Dobrze — powiedział Ashby niezobowiązująco i wyjął z pojemnika maleńkie pudełko. — Jenks.

Jenks otworzył pudełko i wyjął z niego infoczip.

— Co to? — zapytała Sissix.

— To od Papryki — odparł Jenks. Przez chwilę wpatrywał się w czipa. — Och, to pewnie szczegóły techniczne tych bocznych obwodów, o których wspomniała ostatnim razem.

— Brzmiało słodko — odezwała się Kizzy i zmarszczyła brwi. — Dlaczego nie przesłała ci ich na notek?

Jenks wzruszył ramionami i włożył chip do kieszeni.

— Znasz Paprykę. Robi wszystko po swojemu.



Ashby pochylił się nad pojemnikiem. Została jedna nieduża, płaska paczuszka zaadresowana do niego. Na etykiecie nie było informacji, kto ją wysłał, lecz przesyłka wymagała skanu oplotki. Kiedy Ashby przesunął nad nią nadgarstek, otworzyła się klapka i na czekającą dłoń kapitana spadł delikatny prostokątny przedmiot.

— Co to? — zapytała Sissix.

Jenks gwizdnął cicho i podszedł bliżej.

— To jest papier.

Kizzy poderwała głowę.

— Oho — powiedziała, pozerając przedmiot wzrokiem. — Czy to jest list? Taki fizyczny? — Zerwała się na nogi. — Mogę dotknąć?

Jenks odtrącił jej rękę.

— Masz na palcach okruszki z ognistych krewetek.

Kizzy włożyła palec do ust, oblizała go i wytarła w kombinezon.

Jenks znowu odtrącił jej rękę.

— A teraz masz okruszki i ślinę. List to nie notek, Kizzy. Nie można go umyć.

— Czy to jest kruche?

— Jest zrobione z bardzo cienkich arkuszy wysuszonej masy celulozowej. Jak myślisz?

Ashby powiódł palcami wzdłuż przypominających liście krawędzi, starając się robić to nonszalancko. List był od Pei, musiał być od niej. Kto inny zadałby sobie tyle trudu, żeby przysłać wiadomość, której nie da się namierzyć? Obrócił list w dłoniach.

— Jak się... No...

— Daj — powiedział Jenks, wyciągając rękę. — Mam czyste ręce. — Ashby podał mu list. — Kiz, masz przy sobie ten swój nóż?

Kizzy odpięła od pasa składany nóż i podała go Jenksowi. Nagle coś sobie

uświadomiła i szeroko rozwarła oczy.

— Czekał, chcesz go pociąć?

— Tak się wyjmuję list z koperty. — Ruchem nadgarstka rozłożył nóż. —  
Wolałabyś, żebym ją rozdarł?

Kizzy miała przerażoną minę.

Jenks zręcznie rozciął kopertę.

— Kiedy byłem dzieckiem, mama dawała mi listy na specjalne okazje —  
wyjaśnił. — Na bardzo specjalne okazje. To jest drogie jak diabli. — Uniósł  
brew, patrząc na Ashby'ego. — Ktoś musi cię bardzo lubić, żeby wysłać ci  
coś takiego.

— Kto to może być? — zapytała Kizzy.

Jenks przyłożył sobie pięść do ust i przesadnie głośno zakaszłał.

— Ahaaaa — powiedziała Kizzy teatralnym szeptem. — No to wracam do  
moich przegryzek.

Wycofała się ze znaczącym chichotem.

Ashby zerknął na pozostałych. Sissix uśmiechała się równie znacząco.  
Bokobrody Doktora Kucharza drgały z rozbawienia.

— Dobrze, wszyscy macie się zamknąć.

Odszedł, żeby w spokoju przeczytać list.

Witaj, Ashby. Zanim znajdziesz się pod zbyt wielkim wrażeniem mojej umiejętności  
ręcznego pisania, powinieneś wiedzieć, że najpierw napisałam to wszystko na noteku. Przy  
pierwszej próbie przedarłam kartkę. Doprawdy, jak twój gatunek komunikował się w ten  
sposób przez tysiące lat i nie doprowadził się do rozstroju nerwowego? No dobra, trudno.  
Nieważne.

Wydaje się, że od Portu Coriol minęły całe wieki. Tęsknię za twoimi dłońmi. Tęsknię za  
dzieleniem z tobą łóżka. Tęsknię za dzieleniem się z tobą opowieściami. Nigdy nie  
zrozumiem, jak możesz mieć tyle cierpliwości do kogoś, kto nie może z tobą rozmawiać  
całymi dziesięciodniami. Nie wiem, czy wytrwałby przy mnie jakiś przedstawiciel mojego  
gatunku. Wy, ludzie, i ten wasz ślepy upór. Uwierz mi, że...

— Jenks, Ashby, Sissix, wszyscy. — To była Lovey. Mówiła

rozgorączkowanym tonem. — Mamy kłopoty.

Wszyscy w ładowni popatrzyli na vox. W otwartej przestrzeni kosmicznej kłopoty oznaczały coś gorszego niż na ziemi.

— W czym problem? — zapytał Ashby.

— W naszą stronę zmierza jakiś statek. Blokują moje skanery polem rozpraszającym. Ashby, tak mi przykro...

— To nie twoja wina, Lovey — powiedział Jenks. — Zachowaj spokój.

— Co to za statek? — zapytał Ashby.

— Nie wiem. Mniejszy od nas, napęd igłowy. Myślę, że to bardzo mały statek osadniczy, ale nie wiem, dlaczego statek osadniczy miałyby...

Do ładowni wrócił biegiem Corbin.

— Statek — wydyszał. — Za oknem. To...

Cały statek się zatrząsł. Po korytarzu rozniósł się dźwięk spadających przedmiotów. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Ashby poczuł ucisk w żołądku. Coś w nich uderzyło.

— Lovey, co...

— Strzał z jakiejś broni. Nasza nawigacja została unieruchomiona.

Sissix wysyczała jakieś przekleństwa. Kizzy skinęła głową Jenksowi i zerwała się na nogi.

— Chodźmy — powiedziała.

— Nie — rzekła Lovey. — Mogę wprowadzić nas w ruch za pięć minut, ale główny węzeł nawigacyjny jest spalony. Nie wiem, w którą stronę zmierzamy.

— Spalony?! — zawołała Kizzy. — Czym nas, kurde, trafili? Jesteś pewna, Lovey?

Sissix spojrzała na Ashby'ego.

— Mogę nawigować w dawny sposób, ale nie za pięć minut, nie, jeśli chcemy robić to bezpiecznie.

— Piraci — stwierdził Jenks. — Pamiętasz, Kiz, w wiadomościach, pieprzeni piraci lecący za dronami pocztowymi i strzelający salwami rozrzutowymi, żeby spalić układy nawigacyjne...

— O, nie — jęknął Corbin.

Ashby wpatrywał się w Jenksa.

— Lovey, kiedy do nas dotrą?

— Za pół minuty. Nic nie mogę zrobić. Przepraszam.

— To się nie dzieje — powiedziała Kizzy. — Nie mogą tego zrobić.

— Cholera — powiedział Jenks. — Szybko, chowajcie swoje rzeczy.

Otworzył pustą skrzynię i wrzucił do środka paczkę Kizzy. Doktor Kucharz wrzucił swoją. Rozległ się zgrzyt, straszny, przeciągły, szarpiący zgrzyt przy włączaniu ładowni. Corbin uskokzył za jakąś skrzynię i zakrył głowę.

— Przejmują układ sterowania drzwiami — stwierdziła Lovey. — Ashby, nie...

— W porządku, Lovey. Zajmiemy się tym.

Ashby nie miał pojęcia, co się może z tym wiązać.

— O kurde — powiedziała Kizzy, pociągając się za włosy. — O kurde, kurde, kurde.

— Zachowajcie spokój — odezwał się Doktor Kucharz. Objął Kizzy w ramionach. — Niech wszyscy zachowają spokój.

Oślupiały Ashby postąpił kilka kroków w stronę drzwi ładowni. To się nie dzieje naprawdę. Nie może się dziać. Warkot rozlegający się po drugiej stronie świadczył, że jednak może. Drzwi otworzyły się z brzękiem. Obok Ashby'ego stała Sissix ze ściągniętymi łopatkami i zjeżonymi piórami.

— Nie wiem, co robić — powiedziała.

— Ja też — rzekł Ashby. *Myśl, do diabła!* Jego umysł przebiegł kilka możliwości: znaleźć jakąś broń, uciec, ukryć się, uderzyć w nich czymś —

ale nie było już czasu.

Przez drzwi ładowni weszły cztery istoty rozumne w niezdarnych, ciężkich mechanicznych skafandrach z poobijanymi karabinami impulsowymi w rękach. Skafandry były duże, większe od człowieka, lecz znajdujące się w nich istoty były drobne, patykowate, podobne do ptaków.

Akarakowie.

Ashby widział akaraków w Port Coriol. Wszyscy wiedzieli, jak za dawnych kolonialnych czasów traktowali ich harmagianie. Ich planeta została wyjałowiona, wody zatrute, lasy wycięte. Ich rodzimy świat nic już dla nich nie miał, podobnie jak inne światy. Stanowili rzadki widok w galaktyce, lecz można się było na nich natknąć tu i tam, jak pracowali na złomowiskach albo zebrali na rogach.

Albo, jeśli skończyły im się inne możliwości, jak wchodzili na pokłady statków i brali sobie, co chcieli.

Ashby uniósł dłonie. Z maleńkich voxów wbudowanych pod hełmami akaraków zabrzmiały ich wrzaskliwe i przenikliwe głosy. Nie mówili w klipie.

— Nie strzelajcie — powiedział Ashby. — Proszę, nie mogę was zrozumieć. Klip? Mówicie w klipie?

Nie nastąpiła żadna zauważalna odpowiedź, a jedynie wrzaski, trzaski i gniewne wymachiwanie bronią. Słowa nic dla niego nie znaczyły, w przeciwieństwie do karabinów.

Ashby poczuł, jak po czole ścieka mu kropelka potu. Otarł twarz dłonią.

— Dobra, posłuchajcie, będziemy współpracować, tylko...

Jeden z akaraków zamachnął się kolbą karabinu i trafił Ashby'ego w szczękę. Świat wybuchł bólem. Akarakowie, ładownia, krzycząca Sissix, wrzeszcząca Kizzy, klnący Jenks, wszystko to zniknęło za zasłoną czerwonego światła. Nogi Ashby'ego ugięły się. Na spotkanie jego twarzy

popędziła w górę podłoga. A potem nic.

Rosemary nie wiedziała, czego się spodziewać, kiedy zbiegała do ładowni, ale działo się zbyt wiele, żeby mogła jasno myśleć. Drzwi ładowni zostały otwarte siłą. Czterech uzbrojonych akaraków — akaraków? — w mechanicznych skafandrach wrzeszczało na wszystkich w jakimś dziwnym opartym na harmagiańskim dialekcie, którego nie rozumiała. Nieprzytomny (miała nadzieję) Ashby leżał na podłodze, tulony przez płaczącą Kizzy. Reszta załogi klęczała z podniesionymi rękami. Rosemary ledwie zdołała przyjąć to do wiadomości, kiedy akarakowie, zaskoczeni jej nagłym pojawieniem się, skierowali na nią broń, wyskrzekując dziwne słowa tonem, który brzmiałby złowrogo w każdym języku.

— Nie... — wyjąkała Rosemary, unosząc ręce w górę. — Co...

Akarak znajdujący się najbliżej niej — jego mechaniczny skafander był wykończony na niebiesko — ruszył biegiem w jej stronę, cały czas coś skrzecząc. Prawie przytknął karabin do jej twarzy. Jenks zaczął wrzeszczeć do innych akaraków:

— Ona jest nieuzbrojona, wy, pieprzone zwierzęta, dajcie jej spokój...

Największy akarak, którego skafander był niemal trzy razy większy od Jenksa, potrząsnął bronią na komptecha i pokazał na Ashby'ego. Groźba była wyraźna. Bądź cicho, albo to samo stanie się z tobą. Jenks zwinął dłonie w pięści. Karabin akaraka zaczął się z szumem ładować.

*Czy ja zaraz umrę?*, zadała sobie pytanie Rosemary. Ta myśl była oszłamiająca.

— Rosemary — odezwała się w hałasie Sissix. — Hanto. Spróbuj hanto.

Rosemary zwilżyła językiem wargi, starając się nie zwracać uwagi na podetkniętą pod nos broń. Napotkała wzrok Sissix — przerażony, ale natarczywy, zachęcający. Wbiła sobie paznokcie w dłonie, by nikt nie zauważył, że się trzęsą. Spojrzała wzdłuż lufy. Odezwała się.

— *Kiba vus Hanto em?*

Akarakowie umilkli. Wszyscy zamarli.

— *Tak* — odparł Niebieski Skafander. Odwrócił głowę w stronę pozostałych i pokazał na Rosemary. — *Nareszcie.*

Broń ani drgnęła.

W stronę Rosemary ruszył rosły akarak.

— *Weźmiemy waszą żywność i wszystkie zapasy, które się nam przydadzą* — powiedział. — *Jeśli się nie zastosujecie, zabijemy was.*

— *Zastosujemy się* — rzekła Rosemary. — *Nie trzeba używać przemocy. Mam na imię Rosemary. Możesz do mnie mówić Mary.* — Takie wybrała sobie imię na lekcjach harmagiańskiego w szkole średniej. — *Przekażę wasze potrzeby mojej załodze.*

Niebieski Skafander odsunął nieco karabin, ale nadal mierzył z niego w Rosemary. Akarakowie skrzeczeli między sobą.

Rosły akarak machnął ręką w stronę Rosemary.

— *Jestem naszym kapitanem. Nie będziecie mogli wymówić mojego imienia, a nie będę udawać, że mam inne. Czy gdzieś na waszym statku są jeszcze inni?*

— *Nasz nawigator jest w swoim pokoju. To spokojna osoba i nie jest dla nikogo niebezpieczny.*

Rosemary uznała, że najlepiej nie komplikować sytuacji liczbą mnogą.

Kapitan Rosły prychnął.

— *Jeśli to jakaś sztuczka, to cię zastrzelę.*

Odwrócił się i zaskrzeczał do jednego ze swoich podwładnych, który popędził w górę po schodach.

— *Co się dzieje?* — zapytała Sissix.

— *Idą po Ohan* — wyjaśniła Rosemary. — *Powiedziałam, że nie przedstawiają żadnego zagrożenia i że będziemy współpracować.* —

Odchrząknęła i z powrotem przeszła na hanto. — *Moja załoga zgadza się pomóc. Powiedz, proszę, czego potrzebujecie.*

— *Żywności* — odparł Niebieski Skafander. — *I urzędzeń.*

Rosemary przysłała do głowy pewna myśl. Niewiele wiedziała o akarakańskiej kulturze, ale z tego, co o nich czytała, wiedziała, że akarakowie bardzo sobie cenią równowagę i sprawiedliwość. Do czasu, kiedy pojawili się harmagianie, nawet im nie przychodziło do głowy, żeby brać więcej, niż można wykorzystać. Rosemary słyszała, że te wartości wciąż mają znaczenie; było to widać nawet w sformułowaniu, którego użył kapitan Rosły: *Weźmiemy waszą żywność i wszystkie zapasy, które się nam przydadzą.* W hanto semantyka tych słów niosła silny przekaz *i nic ponad to.* Rosemary gorączkowo myślała, zastanawiając się, czy ten okruch wiedzy wystarczy, by zaryzykować. Spora część jej umysłu argumentowała za słuchaniem instynktu samozachowawczego — *zamknij się, po prostu daj im wszystko, bo cię zastrzelą* — ale zwyciężyła bardziej odważna myśl.

— *Ile macie osób na pokładzie? Są wśród nich dzieci?*

Niebieski Skafander warknął i znowu uniósł karabin.

— *A jakie to ma znaczenie, ilu nas jest? Zrobicie, co wam każemy!*

Rosemary poruszyła palcami w uspokajającym geście.

— *Zrobię. Ale jeśli jest jakiś sposób na to, żebyście zostawili nam dość żywności, by wystarczyła nam do następnego targu, bylibyśmy pokornie wdzięczni. Podobnie jak wy nie pragniemy tu umrzeć. Co więcej, czytałam, że młodzi akarakowie mają bardzo szczególne potrzeby żywieniowe. Jeżeli macie na pokładzie dzieci, będziemy musieli zadbać o to, żeby naszej żywności nie brakło wartości odżywczych.*

Kapitan Rosły zastanowił się nad tym.

— *Mamy dzieci na pokładzie* — powiedział w końcu. Rosemary uznała to za dobry znak. Pomijając zranioną twarz Ashby'ego i karabiny impulsowe, ci



osobnicy nie wydawali się agresywni. Oni byli po prostu zdesperowani. — *I owszem, one mają wielkie potrzeby. Możliwe, że nie znajdziemy na pokładzie waszego statku tego, co potrzebujemy.*

— *A zatem pozwól, że złożę ci propozycję* — powiedziała Rosemary bardzo ostrożnie. — *Jedno z was pokaże wam nasze zapasy żywności. O ile wiem, targ Kesh To'hem znajduje się mniej niż o dziesięćdziesiąt dni drogi stąd. Nie polecimy tam, ponieważ nie możemy zjechać z naszej trasy. Weźcie od nas tylko to, czego potrzebujecie, żeby dolecieć do Kesh To'hem, a my damy wam kredyty i towary na wymianę, żebyście mogli kupić odpowiednią żywność. W ten sposób wasze młode dostaną to, czego potrzebują, a my nie umrzemy z głodu podczas naszej podróży.*

Akarakowie porozmawiali między sobą. Rosemary mocniej wbiła paznokcie w swoje dłonie w nadziei, że ból uspokoi podskórne drżenie. Jej propozycja opierała się na drobnej, może błędnej informacji, którą zapamiętała w trakcie jednego samotnego semestru wprowadzenia do harmagiańskiej historii kolonialnej. Jeśli się myli... Cóż, niebawem się okaże. Przynajmniej wszyscy jeszcze oddychają. Ashby oddycha, prawda?

— Rosemary? — odezwała się Sissix. — Jak nam idzie?

— Dobrze — odparła Rosemary. *Mam nadzieję.* — Zaczekaj.

— *To jest do przyjęcia* — powiedział kapitan Rosły. — *Jakiego paliwa używacie?*

— *Alg.*

— *Ich też trochę weźmiemy.*

— Pytają o paliwo? — zapytał Corbin. — Bo właśnie wczoraj ściągnąłem kozuch, a tej partii zajęło pięć dziesięćdziesiąt dni...

— Corbinie — odezwał się Doktor Kucharz ze śmiertelnym spokojem. — Zamknij się.

Chociaż raz Corbin nie miał nic więcej do powiedzenia.

— *Co powiedział ten różowy człowiek?* — zapytał kapitan Rosły.

— *To nasz algolog* — odparła Rosemary. — *On po prostu... Troszczy się o produkt, nad którego wytworzeniem tak ciężko pracował. Ale dostaniecie paliwo. Nie ma problemu.*

Kapitan Rosły postukał się w podbródek wewnątrz mechanicznego skafandra.

— *Jeśli weźmiemy dziesięć beczek, zostanie wam dosyć, żeby dotrzeć do następnego punktu przeznaczenia?*

Rosemary powtórzyła pytanie Corbinowi, który skinął ponuro głową.

— *Tak, dziesięć beczek nie będzie problemem* — powiedziała.

Rozmowa zrobiła się z przerażającej dziwaczna. Końcówki fleksyjne, których używał kapitan Rosły, nie miały odpowiedników w klipie, ale w hanto były wręcz grzeczne. Rosemary spodziewałaby się usłyszeć coś takiego w sklepie albo w restauracji, a nie stojąc pod lufą karabinu. Zupełnie jakby akarakowie uważali ją za kupca, a groźba przemocy służyła za walutę.

— *Będziemy też potrzebować sprzętu* — rzekł kapitan Rosły. — *Musimy naprawić silniki.*

Rosemary pokazała gestem, że rozumie.

— *Kizzy, wiesz cokolwiek o statku, którym lecą? Czy któreś z naszych urządzeń będą pasować?*

— *Może niektóre. Nie wiem.*

— *Nasz technik uważa, że część naszego sprzętu może działać w waszym, ale niczego nie może obiecać. Pomoże wam znaleźć to, czego potrzebujecie.*

— *Doskonale* — powiedział kapitan Rosły. — *Będziesz mi towarzyszyć wraz z waszym technikiem, żebyś mogła tłumaczyć. Ona — tu pokazał na Niebieski Skafander — pójdzie z kimś z waszej załogi po żywność. Pozostali członkowie mojej grupy zostaną tu z resztą waszej załogi. Sprawiacie wrażenie rozsądnych, ale jeżeli spróbujecie nas pokonać, bez wahania was*

zabijemy.

— *Będziemy w pełni współpracować* — obiecała Rosemary. — *Nie chcemy, żeby którejs z naszych załóg stała się krzywdą.*

Rosemary zaczęła wyjaśniać umowę reszcie załogi. Wszyscy kiwali głowami i sprawiali wrażenie mniej spiętych, chociaż nadal się bali. Szum karabinów ucichł. *Może się z tego wywinie*, pomyślała Rosemary. Zaraz potem pojawił się ponownie czwarty akarak i wciągnął do ładowni Ohan.

Pozostali akarakowie oszaleli. Wywiązała się gorączkowa rozmowa; akarakowie mówili jeden przez drugiego, a Rosemary usiłowała się wtrącać.

— Co się, u diabła, dzieje? — zapytała Sissix.

— Chcą zabrać Ohan — odparła Rosemary.

Załoga „Wędrowca” wybuchła.

— Co takiego? — powiedziała Kizzy.

— Akurat! — zawołał Jenks.

— Po co? — zapytała Sissix.

— Żeby ich sprzedać — odparła Rosemary.

— Co takiego? — krzyknęła Kizzy.

— Na odpowiedniej planecie można dostać za duet dobrą cenę — rzekł Doktor Kucharz.

— Jeśli dzięki temu nikomu z was nie stanie się krzywdą... — zaczęli Ohan.

— Nie. Nie ma mowy — powiedział Jenks. — Rosemary, powiedz tym pieprzonym ptakom w ich pieprzonych partackich skafandrach, że mogą sobie wsadzić...

— Zamknij się, Jenks — powiedziała Kizzy, delikatnie podtrzymując głowę Ashby’ego.

Jej dłonie lepiły się od jego krwi.

— Przestańcie, wszyscy przestańcie, przez was zginiemy — jęknął Corbin.

— Ty też się zamknij, Corbinie.

— *Uspokój swoją załogę, bo dojdzie do przemocy* — powiedział kapitan Rosły.

— Zamknijcie się, wszyscy się zamknijcie! — wrzasnęła Rosemary, a potem zwróciła się do kapitana Rosłego: — *Ohan należy do naszej załogi. Zgodziliśmy się na wszystkie wasze żądania, ale to...*

— *Dzięki niemu skończyłaby się nasza bieda. Bardzo by się nam przydał. Na naszym miejscu zrobiłabyś to samo.*

— *Nie.*

Kapitan Rosły zastanowił się nad tym.

— *Może i nie. Ale i tak masz w tej chwili niewielki wybór.*

— Zaproponuj mi coś innego — powiedziała Sissix.

— Co na przykład?

— Ambi — podsunęła Kizzy. — Daj mu ogniwa ambi.

Akarakowie zamarli. Nareszcie pojawiło się słowo w klipie, które rozumieli.

— *Macie na pokładzie waszego statku ambi?*

— *Tak* — odparła Rosemary. — *Chętnie oddamy wam ambi, jeśli zostawicie nam nawigatora.*

— *A co nam przeszkodzi zabrać i ambi, i nawigatora?* — zapytała Niebieski Skafander, unosząc karabin.

Rosemary poczuła ciężar w żołądku. Słuszna uwaga.

— Chcą wiedzieć, dlaczego nie mogą zabrać i ambi, i Ohan.

— Cholera — powiedział Jenks.

— Po co ja się w ogóle odzywam? — jęknęła Kizzy.

— Powiedz im, że Ohan nie przedstawiają dla nich żadnej wartości — odezwał się Doktor Kucharz.

Rosemary przetłumaczyła. Akarakowie zażądali wyjaśnienia.

— Dlaczego? — zapytała Doktora Kucharza Rosemary.

— Bo Ohan umierają.

Załoga „Wędrowca” utkwiała spojrzenia w Doktorze Kucharzu. Ohan zamknęli oczy i milczeli. Rosemary wzięła się w garść. To na pewno jakiś blef. Przekazała informację akarakom.

Cofnęli się. Ten, który wciągnął Ohan do ładowni, wzdrygnął się.

— *Czy on zaraza?*

— *Chyba nie* — odpowiedziała Rosemary. — Doktorze Kucharzu, proszę o odrobinę pomocy.

— Ohan znajdują się w końcowych stadiach życia sianackiego duetu — wyjaśnił Doktor Kucharz. — Nie przeżyją roku. — Po chwili dodał: — Każdy kupiec, który mógłby rozważać zakup sianackiego duetu, na pewno na tyle dobrze zna ten gatunek, że rozpozna symptomy.

Rosemary przetłumaczyła.

— *Możliwe, że kłamiesz* — orzekł kapitan Rosły. — *Lecz ryzyko zmarnowania paliwa i żywności na bezużyteczny ładunek przeważa ewentualne zyski, szczególnie ze względu na ambi. Zostawimy go zatem, ale oddacie nam cały zapas ogniwiw ambi.*

Rosemary zgodziła się.

— Ohan zostają — powiedziała do załogi.

— Och, na gwiazdy — rzekła Kizzy.

— Ale chcą całe ambi.

— Świetnie — powiedziała Sissix.

— Dobrze, że WG nam to pokryje — stwierdził Jenks.

Rosemary i kapitan Rosły omówili logistykę. Obie załogi podzieliły się na grupy. Jenks, Ohan i ledwie przytomny Ashby — na gwiazdy, w końcu otworzył oczy — zostali w ładowni pod strażą. Rosemary wzięła Kizzy za rękę i wyszła z kapitanem Rosłym. Kizzy uścisnęła ją tak mocno, że trzasnął

jeden z kłykci Rosemary.

Popłynął za nimi głos Jenksa:

— Bawcie się dobrze, kradnąc nasze rzeczy, dupki! Przetłumaczysz to, Rosemary?

Nie przetłumaczyła.

Ashby leżał na łóżku w Ambulatorium, starając się jak najmniej ruszać. Obie ręce miał zajęte. Prawą wyciągnął pod skaner medyczny, tam gruby promień światła pokazywał, gdzie ma umieścić nadgarstek z łątką. Po drugiej stronie skanera siedział Doktor Kucharz i chrząkając, wprowadzał polecenia dla imubotów Ashby’ego. Gdzieś pod jego skórą dwa zastępy botów porzuciły codzienne patrolowanie i naprawiały złamaną szczękę i stłuczony mózg. Doktor Kucharz dużo mówił o „ziarninie” i „osteoblastach”, ale terminy te niewiele mówiłyby Ashby’emu nawet wtedy, gdyby nie unosił się na powoli płynącej fali środków przeciwbólowych. Zrozumiał jednak, że ma leżeć nieruchomo i nie poruszać szczęką. Z tym mógł sobie poradzić.

Drugą jego rękę mocno ścisnęła Sissix. Siedziała obok i szczegółowo relacjonowała wszystko, co zaszło od chwili, kiedy stracił przytomność. Co pewien czas puszczała jego dłoń, żeby mógł napisać pytanie na jej noteku. Na razie Doktor Kucharz zakazał mu mówić.

Nikt inny nie odniósł obrażeń. Ambi, żywność nie miały znaczenia. To były rzeczy, a rzeczy można zastąpić. Załogi nie. Ulga, jaką odczuł Ashby, dowiedziawszy się, że tylko on trafił do Ambulatorium, przewyższyła wszystko, co mogły sprawić środki przeciwbólne.

Napisał: „Gdzie są teraz wszyscy?”.

— Kizzy i Jenks naprawiają uszkodzone drzwi do ładowni. Mówią, że są powierzchowne. Już wymienili węzeł nawigacyjny, więc to działa dobrze. W chwili, kiedy akarakowie odlecieli, Corbin zaczął przygotowywać świeżą partię alg. Rosemary chyba podlicza nasze straty. — Uśmiechnęła się. —

I zgadnij, gdzie są Ohan.

„U siebie?”

Sissix pokręciła głową.

— Siedzą w ładowni z technikami.

Ashby popatrzył na nią i zamrugał.

— Wiem. Nie rozmawiają ani nic, tylko siedzą w kącie w swojej własnej przestrzeni, jak zawsze. Ale w ogóle nie wrócili do swojego pokoju, a kiedy Kizzy poszła po narzędzia, ruszyli za nią. Nigdy nie myślałam, że to powiem, ale w tej chwili Ohan nie chcą być sami.

Ashby znowu zamrugał.

„Hm”.

Minęła godzina. Doktor Kucharz skinął z zadowoleniem głową i obrócił monitor do Ashby’ego. Na ekranie było widać obraz z kamery jednego z imubotów, który robił coś z dużą gąbczastą ścianą (Ashby uznał, że to chyba jego szczęka). Inne boty pomykały wzdłuż krawędzi obrazu jak pływające pająki.

— Robisz duże postępy — stwierdził Doktor Kucharz. Ashby uwierzył mu na słowo. Nie miał pojęcia, co się tam dzieje, a oglądanie wnętrza własnego ciała zawsze wytrącało go z równowagi. — Możesz mówić, ale rób tylko drobne ruchy. Złamanie jeszcze się całkowicie nie zagoiło. Ponadto twój mózg wymaga trochę pracy.

— To mogłabym ci sama powiedzieć — rzekła Sissix.

— Dzięki — powiedział Ashby, ostrożnie poruszając ustami. — Doceniam twoje współczucie. — Obliznął wargi. W ustach miał sucho. — Czy mogę dostać trochę wody?

Sissix napełniła nad zlewem kubek. Przytknęła mu go do ust, pomagając mu się napić.

— Potrzebujesz czegoś jeszcze?

— Nie. Albo zaczekaj. Możesz tu przyprowadzić Rosemary?

Sissix przekrzywiła głowę w stronę voxu.

— Słyszałaś, Lovey?

— Sprowadzę ci ją — odezwała się Lovey. — Dobrze znowu słyszeć twój głos, Ashby.

— Dzięki, Lovey.

Po kilku minutach zza drzwi wyjrzała kędzierzawa głowa.

— Chciałeś się ze mną widzieć?

— Cześć, Rosemary — powiedział Ashby. — Usiądź.

Środki przeciwbólowe sprawiały, że trochę bełkotał, jakby wypił o kilka drinków za dużo. Miał nadzieję, że się nie ślini.

Rosemary przyciągnęła sobie stółek i usiadła obok Sissix.

— Dobrze się czujesz? — zapytała.

— Tak. Drań rozbił mi szczękę, ale to lepsze niż zostać zastrzelonym. — Oparł głowę z powrotem na poduszce, usiłując przebić się myślami przez wstrząśnienie mózgu i otumanienie lekami. — Nie wiem, dlaczego ten gość mnie uderzył.

Potań oczy, usiłując zwalczyć otępienie.

— Prawdopodobnie po to, żeby nas przestraszyć — powiedziała Sissix. — Pokazać nam, kto jest szefem. Ja przynajmniej byłam potężnie wystraszona.

Położyła głowę na ręce Ashby'ego.

Rosemary przyglądała się jego twarzy. Coś przykuło jej uwagę.

— Co jest? — zapytał.

— Czy rozmawiając z tym kapitanem, dotykałeś swojej twarzy? Tak jak teraz?

— Hm, tak, możliwe. — Ashby przedzierał się jak przez mgłę, usiłując sobie przypomnieć. — Nie wiem, to wszystko wydarzyło się tak szybko.

— Może w ten sposób?



Rosemary potarła oczy dłonią, jakby bolała ją głowa.

— Możliwe. Tak. Tak, chyba tak zrobiłem.

Rosemary skrzywiła się.

— To wszystko wyjaśnia. Bo widzisz, to — odciągnęła kciuk, wyciągnęła pozostałe palce płasko, robiąc z dłoni coś na kształt harmagiańskich opuszek, i dwa razy przeciągnęła sobie dłonią po oczach — jest dla harmagian bardzo obraźliwe. A gesty i dialekt tych akaraków wykazywały duże harmagiańskie wpływy.

— Co to znaczy?

Rosemary odchrząknęła.

— To znaczy, że wolałbyś wetrzeć sobie gównu w oczy, niż kontynuować rozmowę z nimi.

Ashby zamrugął. Oboje z Sissix wybuchnęli śmiechem.

— Oj — powiedział, chwytając się za szczękę. — Oj, au.

Jego szczęką nie była jeszcze gotowa do śmiechu.

— Ostrożnie — powiedział Doktor Kucharz. — Jeśli nie zrośnie się prawidłowo, będziemy musieli robić wszystko od nowa.

Sissix wciąż chichotała.

— Ja też bym cię za to uderzyła.

— Tak — rzekł Ashby. Zacisnął wargi, usiłując nie ruszać szczęką. — Ja ciebie też.

— Przynajmniej się im odgryźleś, co?

— Tak — zgodził się z powściągliwym uśmiechem. — Jestem pewien, że psychologiczne szkody wyrządzone przez moją przypadkową obelgę były naprawdę poważne.

— Skoro już mowa o szkodach, podliczyłam nasze straty — powiedziała Rosemary, unosząc swój notek. — Zgłosiłam incydent, a teraz przygotowuję listę dla Komisji Transportu, żeby mogła pokryć...

Ashby machnął ręką.

— O tym wszystkim możemy porozmawiać później. Nie dlatego cię tu poprosiłem.

— Aha.

— Chciałem ci podziękować. Nie wiem, czy bez ciebie wywinęlibyśmy się z tego.

Rosemary wyglądała na zażenowaną.

— Nie wiem. Poszcęściło mi się. Jest mnóstwo kultur, o których nic nie wiem.

— Możliwe, ale i tak to był szczęśliwy traf, i to traf, który inaczej by się nie zdarzył. Co ważniejsze, zachowałaś zimną krew i wszystkich ocaliłaś. Gdyby cię nie było, dzisiaj znajdowalibyśmy się w o wiele gorszej sytuacji.

— Wyciągnął rękę, by uścisnąć jej dłoń. — Cieszę się, że mam cię w załodze.

Rosemary zaczęła coś mówić, ale cokolwiek to było, zmieniło się w:

— O, nie. — Poderwała rękę, by otrzeć łzę płynącą jej po policzku. — Och, na gwiazdy, przepraszam. — Spadła kolejna łza i jeszcze jedna. Rosemary ukryła twarz w dłoniach. Tama pękła.

— No, już, już — powiedziała Sissix z pełnym życzliwości śmiechem i objęła drżące ramiona Rosemary. — Nie zdążyłaś jeszcze odreagować?

Rosemary pokręciła głową i przycisnęła dłoń do nosa. Miała mokrą całą twarz. *Biedne dziecko*, pomyślał Ashby. Nie miałby jej za złe, gdyby po czymś takim chciała się podjąć jakiejś bezpiecznej pracy na planecie. Do diabła, nawet jemu spodobał się ten pomysł.

— Ach, ci ludzie, nie? — powiedziała Sissix do Doktora Kucharza. — Mnie odreagowanie zajęło trochę czasu. A tobie?

— Pewnie — odparł Doktor Kucharz. Podał Rosemary czystą ściereczkę. — Kiedy zaaplikowałem Ashby'emu leki i puściłem w ruch jego boty,

zamknąłem się w moim gabinecie i wrzeszczałem przez dobre dziesięć minut.

— To było to? — powiedział Ashby. Jak przez mgłę pamiętał nagromadzone warstwy niesamowitych akordów przebijających się przez fale bólu. — Myślałem, że śpiewasz. To było naprawdę ładne.

Doktor Kucharz roześmiał się.

— Ashby, jeśli akarakowie sądzą, że wcieranie gówna w oczy to coś złego, to to, co mówiłem w moim gabinecie, pozostawiłoby u nich trwałe blizny. — Zagrzmiał i zagruchał. — Ale Sissix ma rację. Kochana — powiedział, kładąc dłoń na głowie Rosemary. — Twój gatunek rzeczywiście ma talent do tłumienia emocji. A jako twój lekarz chciałbym powiedzieć, że rzucenie się prosto w papierkową robotę po negocjowaniu pod lufami karabinów nie było rozsądną decyzją.

Jeden ze szlochów Rosemary zmienił się w parsknięcie.

— Następnym razem będę o tym pamiętać.

— Proszę, żadnego następnego razu — powiedziała Sissix. — Wolałabym tego nie powtarzać.

— Zgadzam się — rzekł Doktor Kucharz i zerknął na monitor botów. — Ashby, masz jeszcze jakieś dwie godziny, zanim będziesz całkiem połatany. Masz tylko spokojnie leżeć.

— W porządku. Przyda mi się drzemka.

Mocno odczuwał działanie leków, a rozmowa go wyczerpała.

— A mnie się przyda posiłek. Czy zechcą mi panie potowarzyszyć w kuchni? Zobaczmy, czy z tego, co zostawili akarakowie, uda nam się upichcić coś na pocieszenie. — Doktor Kucharz poklepał Rosemary po plecach. — Mam kilka nowych sadzonek, które chyba wywołają twój uśmiech.

Rosemary odetchnęła i powiedziała:

— Jeszcze jedno. Chodzi o Ohan.

— Ach, tak.

— Czy to...

— Prawda? Obawiam się, że tak. Przykro mi, że musiałem w taki sposób pogwałcić prywatność Ohan. To było jedyne, co mi przyszło do głowy.

— Na gwiazdy — rzekła Rosemary. — Nie miałam pojęcia.

— Ja też dowiedziałam się dopiero teraz — powiedziała Sissix. Zmarszczyła brwi i spojrzała na Ashby'ego. — I nadal nie rozumiem, dlaczego tak jest.

Ashby westchnął.

— Posprzeczamy się o to później, Sis. Kręci mi się w głowie.

— Świetnie. Tym razem ty grasz kartą obrażeń. — Postukała szponem w jego pierś. — Później.

Ashby, kiedy tylko został sam w ambulatorium, sięgnął po papierowy list schowany w kieszeni i zmusił się do kolejnych kilku minut walki z sennością wywołaną przez leki.

...bardzo mnie ta cecha cieszy.

Nie wiem, ile czasu zajmie to zlecenie (jest delikatne). I jestem świadoma, że do Przestrzeni Centralnej wrócisz dopiero w następnym standardzie. Lecz mam trochę papieru, więc przynajmniej będę mogła cię pozdrawiać, kiedy będę się zatrzymywać na targach po zakupy. Jak tylko skończę, wyślę ci list na notek. Ten papier jest o wiele za mały, żebym mogła napisać wszystko, co chcę powiedzieć, więc bądź pewien: kocham cię i myślę o tobie cały czas.

Podróżuj bezpiecznie.

Pei.

Po naprawie drzwi ładowni i zjedzeniu posiłku Jenks zrobił kilka rzeczy. Po pierwsze, wziął prysznic. Po tym, jak te dranie w mechanicznych skafandrach wszędzie wtykały swoje łapy, cały statek robił na nim wrażenie skalanego. Nie mógł go wyszorować, ale mógł przynajmniej sam się umyć. Zignorował zasadę piętnastu minut na prysznic. Układy odzyskiwania wody

nie będą miały aż tak dużo dodatkowej roboty i akurat tego dnia Kizzy mu to wybaczy.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, wyjął z kieszeni pomiętych spodni infoczip. Nagi usiadł na łóżku, podłączył infoczip do noteka i odczytał wiadomość.

Cześć, stary. Znalazłam sprzedawcę tego uaktualnienia oprogramowania, o którym rozmawialiśmy. Może ci dostarczyć cały zestaw, ale chce dostać zapłatę z góry bez możliwości zwrotu i negocjacji. Wiesz, jacy są ci wyspecjalizowani technicy.

Masz rozmawiać z panem Kruchym. Słyszałam o nim. Cieszy się solidną reputacją. Ma własną asteroidę i w ogóle. Piekielnie dobry programista, świetny w pracach na zamówienie. Czeka na sygnał od Ciebie. Informacje na temat kontaktu poniżej. Proszę, żebyś nikomu ich nie dawał.

No i pomyśl o tym, co ci mówiłam. Jesteś pewien, że to uaktualnienie jest odpowiednie dla Ciebie?

Odwiedź nas niedługo. Tym razem ja zrobię kolację. No dobra, przynajmniej ją zafunduję.

Papryka

Zatrzymał spojrzenie na słowie „zestaw”. Wiedział, co Papryka miała na myśli. Pomyślał o tym, co mówiła w Port Coriol o odpowiedzialności i konsekwencjach. Myślał o tym akurat tak długo, żeby móc powiedzieć, że to zrobił. Włożył spodnie i zszedł do rdzenia Lovey.

Rozmawiali wiele godzin. Już przedtem dziesiątki razy omówili całe ryzyko i wszelkie niebezpieczeństwa. Ale jak dobrze wie każdy komptech i każda SI, redundancja w imię bezpieczeństwa to zawsze dobry pomysł.

— Nie dają mi spokoju dwie rzeczy — powiedziała Lovey. — Nie na tyle, żeby się nie zgodzić, ale musimy się co do nich zdecydować.

— Wal.

— Po pierwsze, jeśli przeniosę się do zestawu, statek zostanie pozbawiony układu monitorowania. Ponieważ właściwie odejdę z pracy, na której bardzo mi zależy, chcę zadbać o dobre zastępstwo.

Jenks zastanawiał się, bębniąc palcami o wargi.

— Nie wiem dlaczego, ale w tych okolicznościach instalacja nowej SI wydaje mi się trochę dziwna. Myślisz, że będzie zazdrosna, widząc, jak ty sobie swobodnie chodzisz, a ona żyje w twoim rdzeniu?

— To zależy od SI i od tego, czy w ogóle interesuje ją ciało. Ale naprawdę sądzę, że mogłoby to spowodować problemy. Powiedzmy, że zobaczy, jak chodzę, i zapyta, dlaczego nie może mieć takiej samej możliwości. Dlaczego ja miałam wybór, którego ona nie miała.

— To dobra kwestia — powiedział Jenks, marszcząc brwi. — To nie byłoby sprawiedliwe. — Westchnął. — A więc...

— Nie poddawaj się, jeszcze nie skończyłam. A co, jeśli zastąpi mnie model nierozumny?

Jenks zamrugał. Nierozumny model mógłby wykonywać pracę Lovey, owszem, dzięki porządnemu podrasowaniu, ale nie byłby kimś, z kim mogliby normalnie rozmawiać. Tak naprawdę nigdy nie stałby się częścią załogi.

— Nie denerwowałoby cię to?

— A dlaczego?

— Życie z SI, która została zaprojektowana jako mniej inteligentna od ciebie, tylko na tyle bystra, żeby wykonywać trudną pracę i bez możliwości rozwinięcia się w coś więcej? Nie wiem, ja w tej kwestii nie mam zdania.

— Jesteś słodki, ale to niemądre.

Uśmiechnął się.

— Dlaczego?

Lovey chwilę milczała.

— Nie przeszkadza ci istnienie zwierząt jucznych? Konie ciągnące wozy i tym podobne rzeczy?

— Nie, jeśli są dobrze traktowane.

— No właśnie.

— Hmm. — Stwierdził, że będzie się musiał nad tym zastanowić. — W sumie to będzie decyzja Ashby’ego.

— I to jest ta druga rzecz, która nie daje mi spokoju. Ciągłe prześlizgujemy się nad tym, co robi Ashby, kiedy się dowie, co planujemy.

Jenks znowu westchnął, tym razem ciężko.

— Naprawdę nie wiem. Nie będzie zadowolony. Ale nie doniesie na nas. To nie w jego stylu. W najlepszym wypadku da mi burę, ale pozwoli nam zostać. W najgorszym będziemy musieli odejść.

— Ten najgorszy wypadek nie jest nierealny. Gdyby wyszło na jaw, że świadomie przewozi nielegalne oprogramowanie, mógłby stracić licencję.

— Tak, ale jak często nas przeszukują? A jeśli już, to nie...

— Jenks.

— No co? Szanse, że zostaniemy przyłapani...

— Istnieją. Ja chcę podjąć to ryzyko. Ashby może nie chcieć. Czy jesteś na to gotowy? Nie zamierzam pozwolić, żebyś z mojego powodu stracił pracę i dom. To twój wybór, nie mój.

Położył dłoń na jej rdzeniu.

— Wiem. Kocham ten statek. Kocham moją pracę. I kocham tę załogę. — Powiódł dłonią po gładkiej, nieskazitelnej krzywiznie. — I nie chcę odejść. Ale przecież nie będę na „Wędrowcu” wiecznie. Kiedyś, gdy nadejdzie właściwa pora, zajmę się czymś innym. Jeśli ktoś wybierze tę porę za mnie, to... dobrze.

— Jesteś pewien?

Siedział w zamyśleniu i patrzył, jak jej światło lśni między jego palcami. Myślał o znajomych wnętrzach ścian statku, o tym, jak Ashby ufa mu, że podrasuje je tak jak trzeba. Myślał o zagłębieniu w materacu, które pasuje tylko do niego. Myślał o piciu meku w Akwarium z roześmianą Sissix

i nucącym coś Doktorem Kucharzem. Myślał o Kizzy, że za sześćdziesiąt lat będzie siedział z nią w jakimś obskurnym barze dla astronautów i oboje będą starzy i okropni.

— Tak — powiedział cicho. — Tak, jestem pewien.

Przez chwilę Lovey nic nie mówiła.

— Nawet gdyby do tego doszło, nie znienawidzą cię. Oni zawsze będą twoimi przyjaciółmi.

— I twoimi.

— Tego nie wiem.

— Ja wiem. — Zamilkł na chwilę. — Dobrze. Robimy to?

— Na to wygląda.

W jej głosie brzmiał uśmiech, uśmiech, który bardzo chciał zobaczyć.

— Dobra. — Skinął głową i się roześmiał. — O rety. Dobra. Jutro skontaktuję się z tym gościem.

Tej nocy spał w kanale SI z głową opartą o zimny panel interfejsu. Czuł, jak matowy metal odciska mu się na skórze cienkimi kresczkami. Zasnął, wyobrażając sobie miękkie ramiona na piersi, ciepły oddech na policzku.



# Dzień 249., 306 standard WG

## Świerszcz

Była to dziwna nazwa księżycy. Nazwanie go kolonią byłoby przesadą. Ashby naliczył dziesięć budynków w pobliżu i kilka samotnych osiedli rozrzuconych wśród leżących dalej wzgórz i urwisk. Drogi były zaledwie płytkimi rowkami w ziemi. Były światła do lotów i ścieżki dla pieszych, ale sprawiały wrażenie dodanych później. Niebo miało kolor siarki, a ziemia rdzy. Na maskach do oddychania i obudowach gogli już osiadła gruba warstwa miążskiego pyłu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych innych istot rozumnych.

Ashby uniósł rękę, żeby osłonić się od blasku białego słońca.

— Sissix?

— Hmm?

Jej głos, podobnie jak jego, tłumiała maska.

— Dlaczego się tu znaleźliśmy?

— Czy to jest pytanie filozoficzne, czy...

Spojrzał na nią.

— Dlaczego się tu znaleźliśmy, na tym pomoście, właśnie teraz?

Rzeczony pomost był grubą płytą z przemysłowego metalu z pomarańczowymi spawami, podtrzymywaną przez podpory wątpliwej jakości. Kizzy i Jenks siedzieli na krawędzi pomostu i rozprawiali o jakimś symie akcji; Kizzy skręcała kawałki złomu i robiła z nich zwierzątka. Rosemary sprzeczała się w pobliskiej budce z zepsutą SI o koszty dokowania. Na dachu budki wisiał wyblakły napis: „Witamy na Świerszczu”.

Pod spodem widniało długie ostrzeżenie, że nielicencjonowane implanty podskórne mogą włączać wykrywacze broni.

Sissix poprawiła sobie gogle.

— Jak ja pamiętam, Kizzy powiedziała „Wiesz, czego nam trzeba?”, a ty zapytałeś „Czego?”, a ona powiedziała „Broni”, a ty powiedziałeś „Żadnej broni”, na co ona „No to siatki ochronnej” i dodała, że ma znajomych, którzy mogliby nas zaopatrzyć i że nie są tak bardzo z drogi...

— Tyle pamiętam — rzekł Ashby. — Moje prawdziwe pytanie brzmi: Dlaczego się na to zgodziłem?

— Doznałeś wstrząśnienia mózgu i byłeś pod wpływem środków uspokajających.

— A, to wszystko wyjaśnia.

— Muszę powiedzieć, Ashby, że przy tej pracy posiadanie na pokładzie kilku sztuk broni to nie jest taki zły pomysł. Zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń.

— Nie zaczynaj i ty. To, że na nasz pokład wtargnęli obcy, było wyjątkowym wydarzeniem. Latam całe życie i nigdy dotąd nie przytrafiło mi się nic takiego. Nie napełnię swojego domu bronią tylko dlatego, że jesteśmy wstrząśnięci.

— Ashby, kierujemy się w rejon, w którym do niedawna troczyły się działania wojenne. Myślisz, że nie będzie tam innych zdesperowanych, niebezpiecznych osób?

Dotknął swojej szczęki. Sińce zostawione przez karabin akaraka jeszcze nie całkiem zeszły. Pamiętał tamte straszne chwile w ładowni, pamiętał, jak się czuł, kiedy do jego domu wdzierali się obcy. Odtworzył w myślach te wydarzenia, wyobrażając sobie w rękach broń. Czy strzeliłby? Nie wiedział. Lecz wyobrażenie w tym scenariuszu broni sprawiło, że poczuł się bezpieczniej. Nie czuł się już bezradny. Czuł się potężny, lecz to go

przerażało.

— Nie sprzeniewierzę się swoim zasadom. Koniec, kropka.

— Pieprzeni Exodanie — powiedziała Sissix, ale z uśmiechem.

Ashby parsknął śmiechem.

— Kizzy powiedziała to samo. Zachowuje się tak, jakbyśmy potrzebowali arsenału potrzebnego do wysadzenia planety.

— Ona była przerażona, Ashby. Wszyscy byliśmy przerażeni. Wszyscy jesteśmy przerażeni.

Sissix wzięła go za rękę i otarła się policzkiem o jego ramię.

Rosemary zatrzasnęła za sobą drzwi budki.

— Głupia spartaczona SI. — Z wściekłą miną usiłowała zetrzeć z gogli grudkę mialu. — Za to, ile kosztowało dokowanie, mogliby przynajmniej zapewnić przyzwoitą obsługę klienta.

— A ile kosztowało? — zapytał Ashby.

— Siedem tysięcy pięćset kredytów — odparła Rosemary. — Plus koszty administracyjne. Jakoś nie widzę tu żadnych administratorów.

Ashby gwizdnął.

— Cholera. Lepiej, żeby ci znajomi Kizzy byli tego warci.

Rosemary poruszyła się niespokojnie.

— Ashby, to jest trochę niepewna sprawa. Nie mam nic przeciwko lekkiemu fałszowaniu papierów, ale...

— Nie martw się, nie zamierzam sprowadzić na mój statek żadnego nielegalnego wyposażenia, zwłaszcza tak blisko quelińskiej przestrzeni. Znajomi Kizzy są na pewno godni zaufania.

— Od jak dawna znasz Kizzy? — zapytała Sissix.

Ashby skierował za jej przykładem wzrok na śmigacz z odkrytym dachem pędzący z szumem w stronę pomostu. Kiedy się zbliżył, kierowca stanął na swoim fotelu, mimo że pojazd jeszcze się nie zatrzymał. Był to młodszy od

Ashby'ego, mocno zbudowany mężczyzna, który od pasa w górę miał na sobie tylko maskę oddechową, kilka rzeźbionych wisiorków i niewielką wyrzutnię rakiet przewieszoną na pasku przez ramię. Kudłate kędziory koloru spalonej miedzi spadały mu jak płaszcz poniżej ramion. Do włosów pasowała mu broda krótko ostrzyżona wzdłuż linii szczęki i zamieniająca się na podbródku w zasłonę z warkoczyków. Skórę miał mocno opaloną, lecz jej brzoskwiniowy odcień świadczył o pochodzeniu z odizolowanej starej kolonii na rubieżach, odległej od exodańskiego mieszania genów. Jego wyrzeźbione mięśnie pokrywały gniazdka implantów i skomplikowane tatuaże, a prawe przedramię zostało zastąpione protezą wyposażoną w liczne narzędzia. Wyglądała na samoróbkę. Kiedy śmigacz zbliżył się jeszcze bardziej, Ashby dostrzegł grube blizny na skórze mężczyzny wokół sztucznej ręki. Odniósł wrażenie, że operację też przeprowadzono w domu.

— Cudownie — szepnął Ashby.

Siatka ochronna to był dobry pomysł. Domorośły entuzjasta podrasowywania to było coś zupełnie innego. Jak mógł się na to zgodzić?

— Kizzy! — zagrział kierowca radośnie i szeroko rozłożył ręce.

— Niedźwiedź! — pisnęła Kizzy i odrzuciła na wpół złożonego metalowego królika, który przefrunął obok plakatu pouczającego przybyszów o właściwym pozbywaniu się śmieci. Zbiegła z pomostu po dwa stopnie naraz. — Niedźwiedź, Niedźwiedź, Niedźwiedź, Niedźwiedź!

Rzuciła mu się w ramiona, po czym oboje wylądowali na jego fotelu. Jenks podszedł za nią z uśmiechem. Uścisnęli sobie z Niedźwiedziem serdecznie dłonie; Kizzy obejmowała jego głowę i wznosiła radosne okrzyki.

Rosemary odwróciła się do Ashby'ego.

— On ma na imię Niedźwiedź? — zapytała w ensku.

— Na to wygląda — odparł w tym samym języku.

— Czy „niedźwiedź” coś znaczy? — zapytała Sissix. Emskie słowo

dziwnie się wybijało w klipie, zwłaszcza z akcentem Sissix. — Co to jest niedźwiedź?

— Witajcie na Świerszczu! — zawołał Niedźwiedź i pomachał im ręką.

Przynajmniej zachowywał się przyjaźnie.

Ashby zszedł ze schodów i wyciągnął rękę.

— Cześć. Ashby Santoso.

— Ach, kapitan! — Niedźwiedź uścisnął dłoń Ashby'ego. Ashby starał się nie gapić na jego drugą rękę, tę z przewodami i bliznami. — Kizzy wyraża się o tobie bardzo pochlebnie.

Kizzy zarumieniła się.

— Cicho — powiedziała. — Pomyśli, że cię poprosiłam, żebyś mu kadził.

— Ty pewnie jesteś Sissix — powiedział Niedźwiedź, wyciągając rękę, żeby uścisnąć jej szpony. — Miło cię poznać. — Wpatrywał się w nią, trzymając ją za rękę nieco zbyt długo. Potrząsnął głową, jakby się budził. — Bardzo przepraszam — powiedział z zażenowaną miną. — Nie wylatuję stąd często, a nie przybywa tu do nas zbyt wielu przedstawicieli innych gatunków.

— Nic nie szkodzi — odparła Sissix, trochę zdezorientowana.

Zapewne nawet nie zauważyła, że ucisk dłoni Niedźwiedzia trwał za długo.

— I... — Niedźwiedź chwilę się zastanawiał. — Lisa? Tak?

— Rosemary — powiedziała z uśmiechem i uścisnęła jego dłoń.

— Rosemary. Rozumiem. Czy dobrze widziałem, że przed chwilą odchodziłaś od SI?

— Tak. Dokowanie tu nie jest tanie.

Niedźwiedź pokręcił głową.

— Każę wam to zwrócić. Ustawił ją ten żartowniś imieniem Mikey, żeby zarobić szybkie kredyty od niemądrych przybyszów. To przekręt. Powiem mu, że jesteście moją rodziną. To prawie prawda.

— Och — powiedziała Kizzy i uściskała go.

— Dobra, wszyscy do środka — zarządził Niedźwiedź. — Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam odrobina ciasnoty. — Śmigacz nie był zbudowany dla pięciu pasażerów (zwłaszcza jeśli jeden z nich miał ogon), ale jakoś udało im się wcisnąć do brudnego, poobijanego pojazdu. — Kizzy, muzyka podróżna, jeśli łaska.

Niedźwiedź pokazał jej prowizoryczną aparaturę nagłaśniającą, składającą się z przerobionego noteka oraz trzech niedużych głośników przykręconych przemysłowymi śrubami. Wielkość głośników była zwodnicza. Kiedy ryknęły pierwszymi ostrymi dźwiękami jakiegoś zespołu z listy łomociarzy, wszyscy podskoczyli. Troje techników skinęło sobie z zadowoleniem głowami i śmigacz ruszył pełną szybkością.

Dudniąca muzyka i świst powietrza nie sprzyjały rozmowom. Ściśnięty Ashby obserwował mijany krajobraz. Po przylocie pomyślał, że może właściwa kolonia kryje się gdzieś za jednym z urwisk, ale nie, Świerszcz był pustym księżycem. Pokryte pyłem skaliste przestrzenie ciągnęły się w nieskończoność, a ich monotonię tylko od czasu do czasu przerywały podobne do bunkrów gospodarstwa. Tu i ówdzie wychylały się jakieś sukulenty, lecz Ashby nie widział żadnych oznak uprawy ziemi — ani źródeł wody. Woda musiała gdzieś być. Przyjemna grawitacja i znośna atmosfera nie wystarczały do założenia kolonii, chyba że miało się środki do importowania wody z zewnątrz. Z tego, co do tej pory widział, Ashby nie sądził, by mieszkańcy Świerszcza byli aż tak zamożni.

W oddali coś przemknęło do szczeliny w gruncie. Śmigacz poruszał się zbyt szybko, by Ashby mógł się dobrze przyjrzeć, ale stworzenie było duże, mniej więcej wielkości sporego psa. Może wyrzutnia rakiet Niedźwiedzia nie była tylko na pokaz.

Śmigacz podążył zakrzywioną drogą prowadzącą w górę jednego z urwisk.

Mieścił się na niej z trudnością. Ashby zerknął poza jej krawędź i natychmiast tego pożałował. Jak wielu astronautów z długim stażem nie lubił wysokości na lądzie. Patrzenie w dół na planetę z jej orbity nie było problemem, bo spadanie oznaczało tam unoszenie się w przestrzeni kosmicznej. Gdyby spadało się na statku — powiedzmy w szybie silnika na dużym statku osadniczym — miałyby się dość czasu, żeby krzyknąć „Spadam!”. To sprawiłoby, że lokalna SI wyłączyłaby najbliższą siatkę sztugrawitacyjną. Spadanie zostałoby gwałtownie przerwane i można by podpłynąć do najbliższej barierki. Wkurzyłoby się wszystkich, którzy w najbliższym sąsiedztwie pili mek albo pracowali z małymi częściami, ale była to uczciwa cena za pozostanie przy życiu (zabezpieczenie tego typu było często uruchamiane przez dzieci, dla których nagle odwrócenie grawitacji na zatłoczonym korytarzu albo w szkolnej klasie stanowiło szczyt dowcipu). Lecz na planecie nie było siatki sztugrawitacyjnej. Upadek z wysokości nawet kilku metrów mógł się skończyć śmiercią, jeśli źle się wylądowało. Ashby nie bardzo lubił grawitację, której nie dawało się wyłączyć.

Kiedy pokonali zakręt, zobaczyli gospodarstwo zbudowane na płaskim nawisie. Wszystko oprócz samego nawisu otaczał wysoki płot z metalowych blach, który chronił znajdujący się w środku budynek. Śmigacz prześliznął się przez automatyczną bramę i gospodarstwo ukazało się w pełnej krasie. Zostało częściowo zbudowane z niedużego, na zawsze uziemionego statku towarowego. Do jego boku przytulił się ponury dom mieszkalny, jak niezgrabny pęd wyrastający z brzydkiego nasienia. Na dachu zainstalowano talerz odbiornika i migające światło, którego zadaniem było odstraszenie pojazdów latających. W bezpiecznej odległości od gospodarstwa na platformie startowej spoczywały dwa drony dostawcze. Wszystko to przywodziło na myśl fortecę albo halę przemysłową, ale w typowo ludzkim wykonaniu było coś ujmującego.

— Nie ma jak w domu — odezwał się Niedźwiedź, parkując obok drugiego śmigacza. — Wejdźmy do środka. Aha, tutaj możecie zdjąć maski. Wszystko w granicach ogrodzenia osłania tarcza, a powstała w ten sposób kieszeń wypełniamy powietrzem nadającym się do oddychania. — Zdjął maskę z twarzy. — Tak lepiej.

Ashby wygramolił się z tylnego siedzenia. Sissix jęknęła.

— Ogon mi ścierpł — powiedziała, machając nim z boku na bok.

Poszli za Niedźwiedziem do frontowych drzwi. Ashby zauważył przy ścianie budynku duży kontener na śmieci. Był tak pełny, że pokrywa się nie domykała. Ashby zmrużył oczy. Na stercie mechanicznego złomu leżał fragment jakiejś kruchej i przezroczystej organicznej skorupy. Przypominała mu skorupki owadów, które widział w kuchennym koszu na śmieci Doktora Kucharza. Tylko że ta skorupa była większa. O wiele większa.

— O rety — powiedziała Rosemary, wędrując wzrokiem po ścianach gospodarstwa. — Sam to zbudowałeś?

Ashby wątpił, by widziała kiedyś na własne oczy modderską wspólnotę. Pod pewnymi względami było urocze, że galaktyka jest dla niej tak nowa. Urocze, lecz nieco smutne. Cieszył się, że nie wychował się pod takim kloszem.

— W większości nie — odparł Niedźwiedź. Przyłożył mechaniczną dłoń do płytki w ścianie. Drzwi wejściowe odsunęły się z głuchym stuknięciem. — Razem z bratem — zrzucicie buty, proszę, kupiliśmy to pięć lat temu. To jest ile, jakieś trzy standardy? Czy coś koło tego? Nie mogę się nauczyć czasu WG. Tak czy owak należało to do starej komptech, która postanowiła, maski możecie powiesić na tym wieszaku, postanowiła przenieść się bliżej wnuków. Ponieważ był tu już warsztat i mnóstwo powierzchni magazynowej, nie musieliśmy dużo dodawać, tylko platformę startową i talerz odbiornika, kilka udogodnień tu i tam...



— Cześć!

Do pokoju wszedł mężczyzna. Jego niesamowite podobieństwo do Niedźwiedzia wykluczało możliwość, że jest kimś innym niż jego bratem. Skórę miał podobnie pokrytą gniazdkami i tatuażami, lecz włosy związał w kucyk, a brodę starannie uczesał. Na pomięte spodnie miał wyłożoną gustowną koszulę zapiętą na guziki. Prawy oczodół zakrywała mu płytką optyczną. Powierzchnia wbudowanego w nią skanera lśniła jak wnętrze muszli. Też był uzbrojony, lecz jego broń była subtelniejsza: w kaburach w kamizelce miał dwa pistolety na energię. W ręce trzymał notek, jakby właśnie przerwał czytanie. Robił wrażenie naukowca. Ashby od razu poznał, że to był jeden z tych bardziej czytanych modderów, którzy lubują się w mało znanych danych i historii wynalazków.

— Stalówka! — zawołała Kizzy i podbiegła, żeby go uściskać. — Na moje gwiazdy, jak się masz?

— Bardzo dobrze — odparł Stalówka. Nie odwzajemnił uścisku z takim entuzjazmem jak Niedźwiedź, ale jego uśmiech świadczył o takiej samej serdeczności, jaką okazywał jego brat. — Zbyt długo cię tu nie było.

— Poważnie.

— Co, żadnego przywitania ze mną? — mruknął Jenks.

Stalówka rozejrzał się z przesadną uwagą po górnych krawędziach ścian, a potem spuścił wzrok na Jenksa.

— O, cześć, Jenks! Nie zauważyłem cię tam na dole!

— Często to słyszę od durniów, którzy załatwiają sobie strzałem oczy — powiedział Jenks z szerokim uśmiechem.

Obaj się roześmieli. Ashby zamrugał. Nigdy nie widział, by Jenks reagował na żarty ze swojego wzrostu inaczej jak z milczącą, nieprzyjemną dezaprobatą. Najwyraźniej w przeszłości Stalówka zyskał u Jenksa parę punktów. Ashby zauważył, że to przekomarzanie się nie rozbawiło

Niedźwiedzia. Wyglądało na to, że temu niechlujowi nie podoba się wyśmiewanie przyjaciół.

Nastąpiła prezentacja nieznanym oraz uściski rąk. Przeszli za Stalówką z przedpokoju do wspólnego pokoju. Ashby uśmiechnął się, gdy tylko przekroczył jego próg. Bywał już w takich siedzibach — mocnych, starych domach skleconych z tego, co zdołało zebrać kilka par rąk ciężko pracujących kolonistów. Ściany pokrywały tanie wyblakłe tkaniny ledwie zakrywające przemysłowe blachy. W pokoju były upchnięte niedopasowane krzesła i kanapy ustawione wokół projektora pikseli (on przynajmniej wyglądał na nowy). Na parapecie stały i z sufitu zwieszały się pikselowe rośliny z hipnotycznie zwijającymi się cyfrowymi liśćmi, co sprawiało wrażenie, jakby oddychały. Babcia Ashby’ego miała takie pikselowe rośliny, wesołe i przytulne. Powietrze płynące z otworów wentylacyjnych w suficie było czyste i chłodne, lecz było też czuć przywodzący na myśl sadzę i drewno zapach starego dymu z łomotu. Za jedną z kanap znajdował się warsztat zastawiony ręcznie opisanymi słoikami i pudełkami. Zrobiono na nim trochę miejsca na dzbanek z makiem, butelkę z musującym sokiem jagodowym i kilka szklaneczek. Obok nich leżała niedokończona mechaniczna ręka.

— To robota, która nigdy się nie skończy — rzekł Niedźwiedź, zauważywszy spojrzenie Ashby’ego. Uniósł własną protezę. — Ta jest szybka, ale nie podnosi tyle, ile bym chciał. Ta natomiast to prototyp. Usiłuję stworzyć idealną mieszankę siły fizycznej i szybkich odruchów.

— Powodzenia — powiedziała Kizzy ze śmiechem. — Można mieć tylko albo jedno, albo drugie.

Jenks przechylił się do Rosemary, żeby wyjaśnić.

— Jeżeli sygnały z urządzeń biotechnicznych biegną za szybko, by przetworzyły je nerwy, reszta ciała nie wie, że trzeba przygotować się na

duży ciężar. W ten sposób można pozrywać sobie mięśnie.

Niedźwiedź spod zmarszczonych brwi spojrział na prototyp.

— Ale musi być jakiś sposób, żeby to obejść.

— Jak ci się to uda, to będziesz najbogatszym technikiem w WG — rzekł Jenks.

— Nie bardzo mnie to interesuje. Chcę tylko móc gołymi rękami rzucić katlingiem.

Kizzy, Jenks i Stalówka roześmiali się. Ashby zaczął pytać, co to jest katling, ale Stalówka odezwał się pierwszy.

— Mogę wam zaproponować coś do picia? Obawiam się, że nie mamy tego wiele, ale przyjaciele Kizzy zasługują na wyjątkową gościnność.

— To bardzo uprzejme z waszej strony — rzekł Ashby. — Poproszę trochę soku. Dziękuję.

Jego nos już wciągał aromat unoszący się z dzbanka z mekiem, ale nie chciał się zbyt odprężyć. Przecież miał tu kupić sprzęt. Rozleniwienie i kredyty rzadko stanowiły dobre połączenie.

Kiedy Stalówka rozdawał szklaneczki, ze stuknięciem odsunęły się drzwi.

— Hej! — rozległ się z przedpokoju młody żeński głos. — Już są?

— Jesteśmy! — zawołała Kizzy. — Witaj, słodziaku!

— Cześć! — powiedział głos.

— Cześć! — powiedział Jenks.

— Zaczekajcie, aż wam pokażę, co przyniosłam. Jasna cholera...

— Żarko — odezwał się Stalówka tonem, który mógł należeć tylko do starszego brata. — Cokolwiek masz, nie...

— Przecież nie wniosę go do środka, tępaku. Trafiłam go w worek z breją. Zielone gówno wycieka równo. Wyjdźcie na zewnątrz, musicie to zobaczyć.

Niedźwiedź i Stalówka wymienili spojrzenia.

— Cholera, rozmawialiśmy o tym — rzekł Niedźwiedź, wychodząc

z pokoju.

Stalówka westchnął i rozdał drinki.

— Nasza siostra ma skłonność do szukania kłopotów. Zwłaszcza jeśli ma to związek z katlingami.

Rosemary uprzedziła Ashby'ego.

— Co to jest katling?

— Chodźcie — powiedział Stalówka. — Weźcie swoje drinki, pokażę wam. I, no, mam nadzieję, że macie mocne żołądki.

Wyszli na zewnątrz, bezpieczni w nadającym się do oddychania powietrzu chronionym tarczą. Na ziemi w kałużach własnych płynów leżało nieruchome truchło. Stała nad nim młoda kobieta — a może dziewczyna — z karabinem. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. W przeciwieństwie do swoich braci nie miała żadnych widocznych gniazdek ani implantów. Jej długie kędzierzawe włosy były tak samo niesforne jak włosy Niedźwiedzia, a surowa twarz na swój sposób ładna. Ręce miała muskularne, a skórę opaloną. Ashby nie pamiętał, czy kiedykolwiek był tak sprawny.

Natomiast stwór był milczący i przerażający. Przypominał Ashby'emu konika polnego — gdyby koniki polne miały cienkie jak igły paszcze i paskudne grzebienie na grzbiecie. Jego połamane skrzydła o ostrych krawędziach tworzyły wielowarstwową bezładną stertę. Nogi miał poskręcane i połamane, a niektóre z nich zaginały się do wewnątrz w pośmiertnym skurczu. Wokół paszczy i na brzuchu wyrastały cienkie pojedyncze włosy, które z jakiegoś powodu przerażały Ashby'ego bardziej niż reszta jego ciała. Podobny do poduszki worek pod szczęką katlinga nie przeciekał, jak mówiła Żarka, tylko w zwolnionym tempie chlustał lepką, oleistą zieloną mazią o kwaśnym zapachu, która gromadziła się wokół jego koszmarnej głowy.

— Tylko popatrzcie na tego sukinsyna! — powiedziała rozpromieniona

Żarka. — Dorównuje mi wielkością! — rozejrzała się. — No i witajcie, nowi. Podałabym wam rękę, ale...

Uniosła dłoń w rękawicy umazanej zieloną mazią.

— No, no — powiedziała Sissix. Przykucnęła, żeby lepiej się przyjrzeć, sącząc swój sok. Chyba nie zauważała (albo się tym nie przejmowała), że Żarka równie uważnie przygląda się jej. — Rozumiem, że to jest katling?

Żarka roześmiała się z zaskoczeniem.

— Nigdy nie widziałaś katlinga?

— A dlaczego miałyby widzieć? — odezwał się Niedźwiedź. — Nigdy nie była na Świerszczu. — Zwrócił się do grupki patrzących. — To stąd się wzięła nazwa tego księżyca. Od tych drani.

Stalówka przyjrzał się robocie Żarki.

— Gdzie go znalazłaś? — spytał zbyt spokojnym tonem.

Uśmiech Żarki na ułamek sekundy zniknął, ale dziewczyna zaraz odzyskała rezon.

— No wiesz, czasami przy studniach płaczą się pojedyncze sztuki...

— Bzdura — stwierdził Niedźwiedź, krzyżując ręce na piersi. — Gdzie?

Żarka przełknęła ślinę.

— W Parowie Suchego Ujścia. Ale było dobrze, nie podeszłam za blisko.

Niedźwiedź zaczerpnął tchu, żeby się uspokoić, i spojrzał w niebo. Stalówka zmarszczył brwi.

— Żarko, przecież wiesz, że to niebezpieczne.

Policzki Żarki poczerwieniały. Z obrażoną miną wzruszyła ramionami.

— Jest martwy, tak?

— Nie o to... — zaczął Niedźwiedź.

— Porozmawiamy o tym później — orzekł Stalówka, zerkając na gości.

Jenks oglądał głowę katlinga; uniósł ją, żeby lepiej ją widzieć. Poruszyła się z chrzęstem.

— Jasna cholera — powiedział. — Trafiłaś go w głowę. Zobacz, Kizzy.

Pokazał na dwa otwory, jeden z boku szczęki, drugi blisko pozbawionych powiek oczu.

Żarka znowu wzruszyła ramionami, lecz kąci jej ust zdradzały, że jest zadowolona.

— Tak. Atakował śmigacz, więc musiałam szybko coś zrobić.

— Cholera — rzekł Niedźwiedź.

Wciąż kręcił głową, ale nie powiedział już nic więcej.

— Gdyby ten potwór szedł na mnie, chyba nic nie mogłabym zrobić — stwierdziła Kizzy, szturchając rozbitą skorupę. Spojrzała na Żarkę. — Na gwiazdy, strasznie chcę cię uściskać, ale boję się, że to zielone gówno mnie otruje albo coś.

— Nie jest trujące, tylko się lepi — powiedziała Żarka.

— No tak, ale lepka też nie chcę być.

Ashby zerknął na Rosemary. Ręce miała skrzyżowane na piersi.

— W porządku? — zapytał.

— Tak — odparła, kręcąc głową. — Pysk ma taki...

Zadrzała.

— Święte słowa — zgodził się Niedźwiedź. — Kiedy już ugryzą, nie puszczają, zwłaszcza jeśli są rozwścieczone. Jak złapią cię za gardło albo brzuch, już po tobie. A w szale godowym gryzą wszystko. Ściany, śmigacze, złom, przewody paliwowe, pompy w studniach, wszystko.

— Dlatego stanowią taki problem, kiedy się wyrajają — dodał Stalówka. — W fazie uśpienia po prostu zbierają się wśród skał. Wychodzą tylko wtedy, kiedy coś je wkurzy. — Posłał Żarce znaczące spojrzenie. — Ale co kilka lat masowo wylatują, wszędzie rozrzucając jajeczka i wszystko gryząc. To trwa tylko parę dni, ale jeśli się nie osłoni swojej własności, to wszystko się straci. Tak się stało z pierwszymi osadnikami. Pojawili się w fazie

uśpienia i byli całkowicie nieprzygotowani na pierwszą rójkę.

Ashby zaczął się zastanawiać, dlaczego osadnicy w ogóle zadali sobie trud odbudowy, ale znał już odpowiedź. Dla niektórych ludzi obietnica kawałka ziemi jest warta każdego wysiłku. To było dziwnie przewidywalne zachowanie. Ludzie mieli długą, skomplikowaną historię wdzierania się na tereny, do których nie pasowali.

— Widzicie, ile mazi jest w worku? — powiedziała Żarka. — Ten był gotowy do rozrodu.

Stalówka przytaknęła.

— Plaga się spóźnia.

Żarka chętnie wyjaśniła:

— Po zapłodnieniu maź zmienia się w jajeczka. Trzymają je blisko paszczy, żeby je chronić. To takie ohydne. Całymi dniami latają, zderzając się głowami.

— Żarko — powiedział Niedźwiedź, szturchając ją w ramię. — Goście.

Żarka nie zwróciła na niego uwagi i mówiła dalej z pełną obrzydzenia lubością.

— A kiedy skończą, wyrzucają maź z paszczy. Mogę się założyć, że wyroją się w ciągu następnego dziesięciodnia.

— I co wtedy robicie? — zapytała Sissix.

— Przyczajamy się i czekamy — odparł Niedźwiedź. — Kiedy tu osiedliśmy, razem ze Stalówką ulepszyliśmy osłony całej kolonii. Jak już ludzie je włączą, katlingi nie mogą się przez nie przedrzeć. Oczywiście nie możemy wyjść na zewnątrz. Rójka to świetna okazja do nadrobienia wideo.

— A co z jajeczkami?

— Strzelamy do nich. Albo je podpalamy. Owszem, to brzmi okropnie, ale, wierzcie mi, to nie ma znaczenia. One zawsze wracają całymi tysiącami. I wcale nie są rozumne.

Stalówka skinął głową w stronę katlinga.

— Powinnaś go oczyścić, zanim się zepsuje — powiedział do Żarki.

— Taki był plan — odparła, wyciągając z pasa duży wieloczynnościowy nóż. — Chciałam go tylko wam pokazać przed umieszczeniem w zastojce.

Rosemary nie odrywała wzroku od lepkich kałuż pod uszkodzoną głową katlinga.

— Wy to jecie?

— Nie różnią się od małych robali — stwierdziła Żarka. — I łatwiej się je oczyszcza.

Bez ostrzeżenia spuściła nóż, żeby odciąć głowę ketlinga. Zewnętrzna skorupa była gruba i Żarka musiała kilka razy obrócić zwisającą głowę, żeby oddzielić ją od ciała. Usta Rosemary drgnęły.

Stalówka roześmiał się i poklepał ją po ramieniu.

— Jeśli zostaniecie na kolację, może zmienisz zdanie.

— Och, tak, proszę! — zawołała Kizzy. — Mam do opowiedzenia milion historyjek.

Niedźwiedź uśmiechnął się.

— Zapraszam wszystkich. Jeśli macie ochotę na potrawę z rusztu, robię cholernie dobrą marynatę. — Spojrzał na Żarkę, która podziwiała przerażającą głowę ketlinga. Westchnął z rezygnacją. — Chcesz do niej tyczkę? W warsztacie jest kilka zapasowych wsporników. Szlifierką do metalu możesz zrobić ostry czubek.

— Och, tak. — Żarka szeroko się uśmiechnęła. — Ale najpierw powinnam skończyć z ćwiartowaniem.

— Zostawimy cię z tym — powiedział Stalówka, zerknąwszy na Rosemary. — Nasi goście widzieli już chyba dość jatek, jak na jedno popołudnie.

Żarka uśmiechnęła się i skinęła głową. Kiedy tylko pozostali odwrócili się



i odeszli kilka kroków, za ich plecami rozległ się łagodny trzask. Ashby się nie obejrzał. Nie był szczególnie wrażliwy, ale w galaktyce istniały pewne rzeczy, których nie musiał oglądać.

— Cholera, ta dziewczyna potrafi dokopać — rzekła Kizzy. — Pamiętam, kiedy nie umiała trafić w skałę. A kiedyś była dwa razy mniejsza ode mnie.

— I co z tego? Ja zawsze jestem dwa razy mniejszy od ciebie — powiedział Jenks.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Będzie strzelała lepiej ode mnie — orzekł Niedźwiedź. — I jest silna jak diabli. Wolałbym, żeby spędzała więcej czasu z nami w warsztacie, ale na razie bardziej interesuje ją wspinanie się na skały i bieganie po okolicy.

— Co jest w porządku, ale znowu musimy porozmawiać o prowokowaniu katlingów — wtrącił Stalówka.

— Tak, bo tym razem będzie uważnie słuchać.

Stalówka zmarszczył brwi. Ashby zyskał już prawie pewność, że to on jest starszym bratem.

— Chciałbym, żeby dożyła siedemnastych urodzin w jednym kawałku.

Ashby popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Ona ma szesnaście lat?

To uzasadniało zerknięcie na nią przez ramię. Dziewczyna pewnie rozbierała katlinga; odcinając mu nogi, coś sobie nuciła.

— Ile to jest? — zapytała Sissix. — Umieść to w aandriskim kontekście.

— Ma tylko połowę piór i ciągle linieje.

Sissix uniosła fałdy nad oczami.

— Przypomnij mi, żebym nigdy jej nie rozdrażniła.

— No dobra — powiedział Stalówka. — Co wy na to, żebyśmy się zajęli powodem waszego przybycia?

Poprowadził ich do drzwi uziemionego towarowca. Przyłożył dłoń do

panelu zamka i drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Kilka świetlnych kul ujawniło zagraconą przestrzeń roboczą pełną narzędzi przemysłowych. Za nią od podłogi do sufitu rozciągał się nieduży las stelaży magazynowych z generatorami osłon wszelkich kształtów i rozmiarów.

— Gdzie są zabawki? — zapytał Jenks.

— Wyżej, żeby nie przeszkadzały — odparł Niedźwiedź.

— No to dawaj — powiedziała Kizzy. — Obejrzyjmy rzeczy, które robią „bum”.

Ashby zmarszczył brwi. Nie chciał okazać braku szacunku dla pracy braci, ale...

— Mam nadzieję, że Kizzy wyraźnie dała do zrozumienia, iż interesuje mnie tylko siatka ochronna.

Stalówka uśmiechnął się.

— Tak zrozumiałem z jej wiadomości — powiedział i mrugnął do Kizzy.

— Nie martw się, nie zamierzamy ci niczego wetknąć wbrew twojej woli. Ściśle mówiąc, nie handlujemy bronią. Utrzymujemy się z osłon robionych na zamówienie. Broń robimy wyłącznie dla zabawy. Ale jeśli zmienisz zdanie, możesz ją kupić.

Wydał gestem polecenie konsoli. Gdzieś wyżej coś zabręczało. Z sufitu opuściło się kilka płaskich stelaży, na których wisiała broń jak ciężkie, przerażające owoce. Ashby rozejrzał się ze zdumieniem. Wystarczyłoby tego do wyposażenia aeluńskiego oddziału szturmowego i jeszcze trochę by zostało. Zastanawiał się, co by o tym pomyślała Pei.

— Rety — powiedziała Sissix.

— Prawda? — zawtórował jej Jenks.

— I to wszystko tylko dla was?

— To nasze hobby — przyznał Niedźwiedź. — Sprzedajemy tę broń tylko sąsiadom i zaufanym znajomym. Nie zaopatrujemy tych złych. Ale jeśli

chcecie tych złych zniechęcić, to owszem, służymy naszymi wyrobami.

Rosemary nic nie mówiła, ale na jej twarzy malowało się napięcie. Ashby rozumiał to wyraźne zakłopotanie. Stali w ładowni wypełnionej przedmiotami służącymi do zabijania. Wątpił, by przed spotkaniem z akarakami Rosemary w ogóle widziała jakąś broń.

— Wiem, na początku to trochę przytłacza — powiedział z dumą Stalówka.

Sprawiał wrażenie miłego człowieka, więc Ashby chciał być z nim szczery.

— Nie chcę cię urazić, ale ja naprawdę nie chcę na pokładzie mojego statku żadnej broni.

— Niech zgadnę. Jesteś z Floty?

— To aż tak oczywiste?

— Trochę — odparł Stalówka z uśmiechem. — Mamy odmienne filozofie, ale rozumiem, skąd pochodzisz. Przemoc zawsze jest niepokojąca, nawet jeśli to tylko potencjalna przemoc. Ale sądząc po kłopotach, które niedawno mieliście, nie mówiąc już o miejscu, do którego zdążacie, chyba przydałyby się wam jakieś podstawowe środki samoobrony. Jeśli ma to być tylko osłona, to w porządku. Ale czegoś potrzebujecie.

— Na przykład tego — odezwał się Jenks. — Podoba mi się to.

Ashby spojrział na karabin, na który patrzył Jenks — nie, nie na karabin. Na działko z uchwytemi. Lufa wyglądała na tak dużą, że zmieściłoby się w niej niemowlę.

— To nazywamy młotem — rzekł Niedźwiedź. — Ma cholernego kopa. I bardzo wątpię, byście go potrzebowali.

— Och, ale ja potrzebuję — powiedział Jenks. — Potrzebuję go wręcz rozpaczliwie.

Niedźwiedź roześmiał się.

— Jeśli chcesz, to możemy później powybić nim dziury w urwiskach.  
Jenks spojrzał na Kizzy.

— Musimy tu przylatywać częściej.

Kizzy i Jenks zachwycali się szalonym wyborem broni, a Ashby i Sissix oglądali osłony. W miarę jak Stalówka opisywał swoje urządzenia, znikły wątpliwości, jakie Ashby miał co do kupowania modderskiego sprzętu. Stalówka miał już dane techniczne „Wędrowca”, ale chciał znać więcej szczegółów niż odczyty silnika i rozmiary kadłuba. Chciał poznać wiek statku, z czego jest zbudowany, czy materiały użyte w części mieszkalnej różnią się od tych, z których powstał szkielet. Chciał wiedzieć, z której odmiany alg mają paliwo oraz ile ambi jednorazowo trzymają na pokładzie (Ashby skrzywił się w duchu na wspomnienie skradzionych ogniw; WG pokrywała stratę, ale i tak było to wielkie marnotrawstwo). Stalówka zadawał Sissix przemyślane pytania o jej techniki pilotowania i kwitował jej odpowiedzi głębokim namysłem. Po pewnym czasie do rozmowy włączył się Niedźwiedź i bracia z entuzjazmem oddali się omawianiu mechaniki osłon. W końcu zdecydowali, że rozbiorą kilka istniejących modeli i złożą nowe urządzenie dopasowane specjalnie do „Wędrowca”. Ashby czuł się tak, jakby obstalowywał ubranie u krawca. Ci modderzy nie byli zwykłymi technikami. To byli artyści. A za wszystko, co oferowali, chcieli tylko jeden dzień na pracę i kwotę kredytów, która, jak podejrzewał Ashby, tylko niewiele przekraczała koszt samych części. Ashby pomyślał, że musi podziękować Kizzy, iż przyjaźni się z tymi ludźmi.

Odwrócił się i zobaczył, że Jenks podaje Rosemary mały pistolet na energię. Broń dziwnie wyglądała w jej rękach, jak ryba trzymana przez urodzonego na pustyni aandriska.

— Widzisz, nie taki straszny, jeśli ty go trzymasz — powiedział Jenks.  
Rosemary nie wyglądała na przekonaną.

Niedźwiedź się rozpromienił.

— Chcesz go wypróbować?

Rosemary przełknęła ślinę.

— Nie umiem strzelać.

— Możemy cię nauczyć — rzekł Niedźwiedź. — Łatwizna. Nie musisz do tego mieć jakiejś szczególnej wiedzy.

— To dobra zabawa — rozległ się za nimi głos.

Do ładowni weszła Żarka; była pokryta zielonym śluzem, a w ręce trzymała głowę katlinga. Zaczęła czegoś szukać w stercie metalowych wsporników. Podnosiła głowę katlinga za czułki i przykładała po kolei do wsporników, szukając takiego, który miałby odpowiednią średnicę.

— Żarko — powiedział Stalówka. — Proszę cię, powiedz, że nie zostawiłaś na słońcu rozczłonkowanego katlinga.

— Mięso jest już w zastoju — odparła.

Niedźwiedź spojrzał na nią znacząco.

— Proszę cię, powiedz, że nie zostawiłaś na słońcu wnętrzości.

Ich siostrzyczka odłożyła wspornik, uśmiechnęła się ze skruchą i demonstracyjnie wyszła na palcach z ładowni.

Niedźwiedź przewrócił oczyma i westchnął.

— Nie mogę się doczekać, kiedy przestanie być nastolatką.

— A ja czekam spokojnie — stwierdził Stalówka. — Wiesz, jak strasznie trudno będzie nią dyrygować, kiedy skończy dziewiętnaście lat?

— Mam pytanie — odezwała się Sissix. — Z zupełnie innej beczki.

— Wal.

— Kiedy zaatakowali nas akarakowie, uszkodzili jeden z naszych stabilizatorów obrotowych. Zamierzaliśmy go wymienić przy okazji następnych zakupów, ale nie chcę tak długo bez niego lecieć. Nie macie czegoś takiego?

— My nie, ale przecież nie jesteśmy jedynymi technikami na tej skale. Powinnaś porozmawiać z Jess i Mikeyem — powiedział Niedźwiedź.

— To ten Mikey od przekrętu z SI?

— Ten sam. Ale nie miej mu tego za złe, ta dwójka naprawdę wie, co robi. Statkowi technicy starej daty. Już na emeryturze, ale wciąż spędzają dużo czasu w warsztacie. Są niesamowici. Mieszkają jakąś godzinę drogi stąd. Jeśli chcecie, mogę się z nimi skontaktować i sprawdzić, czy są w domu. Moglibyście pożyczyć śmigacz i wrócić przed kolacją.

Ashby spojrział na Sissix, która skinęła głową.

— Dobrze, skoro już tu jesteśmy — powiedział i odwrócił się do braci: — Naprawdę możemy skorzystać ze śmigacza?

— Nie ma problemu. Jeśli potraficie przebijać dziury w przestrzeni kosmicznej, to mogę wam zaufać, że zwrócicie mój śmigacz w jednym kawałku.

— Ktoś chce zobaczyć, jak wygląda rdzeń nerwowy katlinga? — wrzasnęła z dworu Żarka.

— Nie! — odwrzasnął Niedźwiedź.

— Nie, nie chcę — odwrzasnął Stalówka.

— Tak — powiedział Jenks i wypadł na zewnątrz, ciągnąc za sobą Kizzy.

Stalówka spojrział na Ashby'ego przeproszająco i wzruszył ramionami.

— Przepraszam za ten chaos — powiedział.

— Nie szkodzi — odparł Ashby. Przed ładownią Kizzy i Jenks wydawali dźwięki pełne obrzydzenia i zachwytu. — Jestem do tego przyzwyczajony.

Rosemary miała wrażenie, że Żarka wie o życiu o wiele więcej niż ona, ale co do jednego dziewczyna się myliła. Katlingi nie czekały z rójką kilku dni. Mniej więcej godzinę po tym, jak Niedźwiedź umieścił nad ogniem zamarynowane mięso katlinga, jego pobratymcy wyrwali się z wściekłością spomiędzy głązów. Niebo pociemniało w ciągu kilku minut. Z dali drgające

chmury owadów wyglądały niemal jak skupiska źle działających pikseli. Katlingi śmigły szaleńczo w powietrzu, zapładniając się, zabijając i czasami zjadając się nawzajem. Wzdłuż linii horyzontu pojawiły się jeden po drugim jasne rozbłyski — to mieszkańcy Świerszcza włączali osłony wokół swoich domów. Katlingi taranowały osłony głowami, chociaż nie robiły tego z żadnego widocznego powodu. Taranowały skały, rośliny, porzucone pojazdy, a nawet inne katlingi. Robalom chyba nie podobało się nic, co stawało im na przeszkodzie w poruszaniu się w dowolnym kierunku.

Kiedy się wyroiły, Ashby i Sissix wciąż przebywali w innym gospodarstwie. Rosemary porozumiała się z nimi przez połączenie wideo w jej noteku. Musieli spędzić noc jako niespodziewani goście, ale nikt z gospodarzy nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że Jess i Mikey z przyjemnością podejmą przybyszów spoza księżyca. Ashby powiedział, że ze wszystkich szafek powyciągali pochowane smakołyki, a kiedy Sissix dowiedziała się, że starsi państwo mówią trochę w reskitkishu, natychmiast się z nim zaprzyjaźniła. Rosemary słyszała, jak kobiety ze sobą rozmawiają — Sissix mówiła powoli, a Jess mozoliła się z syczącymi sylabami. Ich śmiech świadczył, że rozmowa toczy się dobrze.

Rodzeństwo modderów było również zachwycone.

— Na rójkę nic nie można poradzić — stwierdził Stalówka. — To oznacza, że spędzimy z naszymi znajomymi kilka dni więcej.

Bracia traktowali masę gryzących, miotających się, bluzgających jajeczkami owadów, jakby to było święto. Żarka i Kizzy przytaszczyły z piwnicy skrzynkę domowego kopa (jak większość towarów na Świerszczu, zrobił go sąsiad). Niedźwiedź upiekł zdobycz Żarki pod osłoną tarczy. Dziwny to był widok: mężczyzna w fartuchu podlewający marynatą mięso piekące się na ruszcie i wściekłe stwory odbijające się od otaczającego go pęcherza trzaskającej energii. Robali nie odstraszała głowa katlinga nabita na

tyczkę obok bramy wjazdowej.

Początkowo Rosemary czuła się niezręcznie, że utknęła w domu modderów, a jej skrępowanie powodował nie tylko rój na zewnątrz. Kizzy i Jenks byli dobrymi znajomymi tej rodziny, lecz ona czuła się tu obco. Myśl, że miałyby przez kilka dni narzucać swoją obecność tym obcym ludziom — jeść ich jedzenie, spać na brudnej kanapie, słuchać ich dowcipów — budziła w niej zażenowanie. Lecz rodzeństwo było tak sympatyczne, że Rosemary szybko pozbyła się tych uczuć. Zwłaszcza Niedźwiedź starał się włączyć ją do rozmów i kiedy opowieści stawały się zbyt hermetyczne, objaśniał je (większość z nich zaliczała się do jednej z dwóch kategorii: „kiedy budowaliśmy to zdumiewające gospodarstwo” albo „kiedy wypaliliśmy za dużo łomotu i zrobiliśmy coś głupiego”). Kiedy już przeszła do porządku dziennego nad wspomnieniami obrzydliwego truchła katlinga, przekonała się, że mięso przyprawionego owada przypieczone na wolnym ogniu, owinięte puszystym podpłomykiem i popite orzeźwiającym kopem stanowi smaczny posiłek. Kiedy kolacja się skończyła, Rosemary stwierdziła, że czuje się zupełnie swobodnie. Fotel, na którym siedziała, był zakurzony i wytarty. Migająca w pobliżu pikselowa roślina była nieco w złym guście. Rosemary nie mogła włączyć się do entuzjastycznej paplaniny o technice i modderach. Lecz mimo że wszystko było obce, jej towarzysze najwyraźniej czuli się tu jak u siebie w domu. Mając pełny brzuch i roześmiane oczy, Rosemary mogła udawać, że też tu pasuje.

Stalówka przyniósł gościom i rodzeństwu, którzy siedzieli wokół projektora pikseli, świeży dzbanek meku. Niedźwiedź siedział na podłodze oparty plecami o kanapę. Za nim siedziała Kizzy i zaplatała jego gęstą czuprynę w warkoczyki. Jenks rozsiadł się obok nich, paląc z zadowoloną miną zieloziele. Żarka usiadła przy warsztacie i ze zmarszczonymi brwiami majstrowała przy płytce obwodu drukowanego.



— Wiecie co? — odezwała się, kiedy do pokoju wszedł jej brat. — Jest sposób, żeby to zrobić znacznie szybciej.

— Doprawdy? — powiedział Stalówka obojętnym tonem. Spojrzał na Rosemary, unosząc jednocześnie dzbanek i brwi. — Meku?

— Poproszę.

Kojący kubek meku na pełny żołądek brzmiał znakomicie. Propozycja sprawiła, że niemal zapomniała o stłumionym brzęczeniu dochodzącym z zewnątrz ścian.

— Mówię poważnie — stwierdziła Żarka. — Te nóżki są tak mało widoczne. Gdybym miała...

Niedźwiedź podniósł wzrok.

— Jeśli to się zaczyna na „i” i kończy na „mplant optyczny”, to odpowiedź brzmi „nie”.

— Przestań się ruszać, Misiu — powiedziała Kizzy. — Inaczej będziesz miał źle zaplecione warkoczyki.

Żarka westchnęła ze znużeniem cierpiącej w milczeniu nastolatki.

— Hipokryci.

— Kiedy przestaniesz rosnąć i wyrówna się chemia twojego mózgu, będziesz mogła sobie zrobić wszystkie implanty, jakie zechcesz — rzekł Stalówka.

Mówił rodzicielskim tonem, który chyba jeszcze bardziej zirytował Żarkę.

— Przykro mi to mówić, ale twój brat ma rację — powiedział Jenks. — Jak sobie zainstalujesz implanty za wcześnie, to wszystko spaprzesz. Znam gościa, który zainstalował sobie gniazdko w głowie, jak miał piętnaście lat. W miarę jak rósł, rozciągał mu się kręgosłup i interfejs się popieprzył. Musiał wrócić i zrobić wszystko od nowa. Idiota partacz, który nad nim pracował, nie miał pojęcia, co robi, i biedny dzieciak dostał infekcji rdzenia kręgowego. Prawie umarł. Musiał wymienić wszystkie cztery kończyny, żeby znowu móc

się poruszać.

— Kto, do cholery, wsadza gniazdko takiemu szczeniakowi? — zapytał Niedźwiedź.

— Przestań się ruszać — napomniała go Kizzy.

Niedźwiedź zaburczał.

— Żarko, mówię poważnie, jeśli kiedykolwiek spotkasz moddera, który zakłada implanty nastolatkom, bierz nogi za pas. W modyfikowaniu nie chodzi tylko o wszywanie sobie fajnych urządzeń, lecz o zachowanie równowagi między tym, co syntetyczne, a tym, co organiczne. Jeśli nie zadbasz o dobro tego, co organiczne, to... Au!

Wrzasnął, bo Kizzy pociągnęła go za włosy.

— Przestań się ruszać.

— Wiem — powiedziała Żarka do brata. — Daruj sobie te komunały.

— Jesteś za młoda na takie słowa, jak „komunały” — stwierdził Jenks.

Żarka pokazała mu język. Odwzajemnił się jej tym samym.

— A poza tym, kotku, masz takie ładne oczy — powiedziała Kizzy. — Po co robić sobie pełny implant, skoro mogłabyś mieć tylko wyświetlacz?

— On ma pełny implant — powiedziała Żarka, pokazując na Stalówkę.

— On miał „wypadek” — rzekł Jenks.

Pokazał na migi, że strzela sobie w twarz i rozcapierzył palce przed okiem, imitując wybuch, a potem roześmiał się i wypuścił z nosa dym z zieloziała.

— Tak się cieszę, że zostajecie — stwierdził Stalówka.

Jenks uniósł kubek w zawadiackim geście pozdrowienia.

Stalówka zerknął na zegar na ścianie.

— Powinni już załadować informacje. Będzie komuś przeszkadzało, jak włączyć? — zapytał.

Wszyscy pokręcili głowami.

— Jeśli chodzi o bieżące wydarzenia, Stalówka jest trochę maniakiem —

wyjaśnił Niedźwiedź Rosemary. — Albo o minione wydarzenia. Albo w ogóle o wydarzenia.

— On jest archiwistą plików informacyjnych — rzekła Kizzy.

— Poważnie? Na ochotnika? — zapytała Rosemary.

Stalówka skinął głową.

— Jedni robią na drutach, inni grają na jakimś instrumencie, a ja przekopuję się przez zakurzone stare fakty i pilnuję, żeby były dokładne. — Piksele w centralnym projektorze obudziły się migotliwie do życia i Stalówka rzucił się na fotel. — Lubię wiedzieć różne rzeczy.

Zaimponował Rosemary. Archiwiści to byli ludzie z pasją, a niektórzy poświęcali całe życie poszukiwaniu bezstronnej prawdy. Zważywszy na bogactwo informacji, które trzeba było przesiać, w sferze uaktualniania publicznych plików zawodowi archiwiści w dużym stopniu polegali na pomocy ochotników. Rosemary zawsze wyobrażała ich sobie jak strażników z jakiegoś wideofantasy, którzy bronią galaktyki przed niedokładnością i wątpliwymi danymi.

— A nad czym pracujesz, jeśli mogę zapytać?

— Należę do jednego z zespołów historii międzygatunkowej. To fascynująca praca, ale może też być strasznie upierdliwa. Nie uwierzyłabyś, z jaką ilością nieprawdziwych, gatunkistowskich informacji mamy do czynienia.

— Przykłady — powiedziała Kizzy.

Stalówka westchnął i podrapał się po brodzie.

— Najlepsza, z jaką miałem od dawna do czynienia, to ta, że Flota Exodusu nie potrafiłaby utrzymać przy życiu tak wielu ludzi przez tak długi czas, a zatem ludzka rasa nie powstała na Ziemi.

Jenks uniósł głowę.

— To skąd pochodzimy? — zapytał.

Stalówka uśmiechnął się szeroko.

— Jesteśmy podrasowanym gatunkiem stworzonym przez harmagian.

Jenks zaniósł się śmiechem.

— Och, gdyby usłyszała to moja mama, dostałaby zawału.

— To takie głupie — stwierdziła Żarka. — A co z tymi wszystkimi ziemskimi ruinami i w ogóle? Z tymi wszystkimi starymi miastami?

— Wiem, wiem — odparł Stalówka, wzruszając ramionami. — Ale i tak musimy przeprowadzić procedurę obiektywnego obalenia tego twierdzenia. To nasza praca.

— Dlaczego ludzie zadają sobie trud udowadniania czegoś takiego? — zapytała Kizzy.

— Bo są idiotami — odparł Niedźwiedź. — À propos, zaczęły się wiadomości.

Stalówka machnął ręką w stronę pikseli, zwiększając głośność. Zza swojego biurka jak zawsze mówił pikselowy Quinn Stephens. Przed zaokrętowaniem się na „Wędrowca” Rosemary nigdy nie śledziła exodańskich serwisów informacyjnych, ale nabrała tego zwyczaju od Ashby’ego. Świadomość, że bez względu na to, w jakim układzie się znajdowało, Quinn Stephens zawsze poda informacje, była pocieszająca. Zakłócenia w odbiorze sygnału sprawiały, że piksele migotały. Znajdowali się bardzo daleko od Floty.

Głos spikera zabrzmiał wyraźniej.

— ...wiadomości z Marsa, proces, który został nazwany skandalem stulecia, wreszcie dziś się zakończył wyrokiem skazującym byłego dyrektora naczelnego firmy Paliwo z Fobosa, Quentina Harrisa Trzeciego.

Otoczające Rosemary ciepłe, odprężające uczucie zniknęło w jednej chwili. *O, nie*. Wbiła palce w fałdy spodni, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy. Spiker mówił dalej:

— Harrisa uznano za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów, w tym wymuszania, oszustwa, przemytu i zbrodni przeciwko rozumnemu gatunkowi.

*Oddychaj. Nie myśl o tym. Myśl o robalach na zewnątrz. Myśl o czymkolwiek.*

— Jak to dobrze, że uznano go za winnego — stwierdził Jenks. — Co za dupek.

— Kto? — zapytał Niedźwiedź, unosząc podbródek.

— Głowa na dół — mruknęła Kizzy, trzymając w zębach kilka rzemyków do zawiązywania warkoczyków.

— Ten gość z Fobosa — odparł Stalówka. — Ten, który sprzedawał broń toremim.

— A, ten. Ten dupek.

— Nie wiem, o kim mówicie — powiedziała Żarka.

— Słyszałaś kiedyś o firmie Paliwo z Fobosa? O tym wielkim dystrybutorze ambi?

*Drugim co do wielkości w ludzkiej przestrzeni kosmicznej, pomyślała Rosemary.*

— Chyba tak.

Niedźwiedź pokazał na piksele.

— No więc ten gość, który był właścicielem firmy, najwyraźniej robił na boku nielegalne interesy w handlu bronią. To stąd brały się jego prawdziwe kredyty.

— Ty masz nielegalną broń.

Stalówka skrzyżował ramiona na piersi.

— Żarko, istnieje ogromna różnica między robieniem broni dla zabawy a sprzedażą broni ukierunkowanej genetycznie obu stronom międzygwiazdowego krwawego konfliktu.

Żarka uniosła brwi.

— Broń ukierunkowana genetycznie? To... Ojej. To jest popieprzone.

— Tak — zgodził się Niedźwiedź. — I teraz on i jego kumple na zawsze idą do więzienia.

Jenks pokręcił głową.

— Dlaczego ludzie nie mogą zadowolić się kulami i rozbłyskami energii?

— Bo ludzie są dupkami — orzekł Niedźwiedź, posłusznie nie podnosząc głowy. — Dziewięćdziesiąt procent wszystkich problemów stwarzają ludzie, którzy zachowują się jak dupki.

— A co stwarza pozostałe dziesięć procent? — zapytała Kizzy.

— Katastrofy naturalne — odrzekł Stalówka.

Projektor pokazał upokorzonego Quentina Harrisa Trzeciego w kajdankach, prowadzonego z budynku sądu do policyjnego ślizgacza. Twarz miał kamienną, garnitur nienagannie uszyty. Na bariery energetyczne otaczające budynek sądu napierali rozzłoszczeni demonstranci. Nad ich głowami tańczyły tanie drukowane transparenty. „Masz na rękach krew”, głosił jeden z nich. Na innym widniała pikselowa wstawka z zakrwawionym toremim niosącym okaleczone ciało. Pod wstawką biegł slogan Fobosa: „Poruszamy galaktykę”. Inne transparenty były prostsze: „Podżegacz wojenny”. „Zdrajca”. „Morderca”. Barierki wybrzuszały się pod naporem tłumy jak wypchane kieszenie.

Reporter kontynuował swoją spokojną opowieść o wojnie biologicznej i chciwości. Rosemary skupiła całą energię na oczach. *Nie płacz. Nie płacz. Nie wolno ci.*

— Wszystko w porządku, Rosemary? — zapytał Jenks.

Rosemary nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wykrztusiła, że dobrze się czuje, tylko musi zaczerpnąć powietrza. Przeprosiła, ruszyła spokojnie korytarzem i wyszła na zewnątrz.

Katlingi kontynuowały swój chaotyczny taniec. Za nimi zachodziło słońce, zmieniając scenę w makabryczny teatr cieni. Rosemary pozostawała na to obojętna. Katlingi nie sprawiały wrażenia rzeczywistych. Gospodarstwo, rodzeństwo, księżyc pod jej stopami, nic z tego nie sprawiało wrażenia rzeczywistego. Mogła myśleć tylko o tej pikselowej twarzy z projektora, twarzy, od której uciekała przez całą galaktykę. Starła się oddychać powoli, starała się zwalczyć przytłaczające uczucie, które narastało w jej piersi. Usiadła na ziemi i zapatrzyła się na swoje ręce. Zaciśnęła zęby. Wszystko, co tak bardzo pragnęła zdusić, kiedy opuszczała Marsa, starało się wyrwać na powierzchnię, a ona nie wiedziała, czy tym razem będzie umiała z powrotem to stłumić. Musiała jednak to zrobić. Musiała.

— Rosemary?

Podskoczyła. Obok niej stał Jenks. Nie słyszała ani otwierania drzwi, ani jego kroków. Ledwie słyszała katlingi brzęczące im nad głową.

— Co się stało?

Ręce trzymał w kieszeniach i marszczył brwi.

Kiedy spojrzała mu w oczy, coś w niej pękło. Wiedziała, że może ją to kosztować dobrą opinię załogi i posadę na „Wędrowcu”, ale nie mogła już dłużej tego ciągnąć. Nie mogła już dłużej podtrzymywać tego kłamstwa.

Rosemary odwróciła wzrok i popatrzyła daleko za katlingi, za skały, aż na nieznanym słońce. Jego ciężki, pomarańczowy blask przeszył jej oczy i został w nich, mimo że opuściła powieki.

— Jenks, ja nie... Ja nie byłam... Na gwiazdy, wszyscy mnie za to znienawidzicie.

Znienawidzą ją. A Ashby ją zwolni i Sissix już nigdy się do niej nie odezwie.

— Wątpię — rzekł Jenks. — Bardzo cię lubimy.

Usiadł obok niej i postukał główką fajki o swój but. Ciasno ubity popiół

wysypał się na ziemię.

— Ale nie... Nie wiecie... Nie mogę tego zrobić. — Oparła czoło na dłoni. — Wiem, że zostanę wyrzucona ze statku, ale...

Jenks przestał się zajmować fajką.

— Dobra, teraz już musisz mi powiedzieć — stwierdził surowym, lecz spokojnym tonem. — Nie śpiesz się, ale mów.

Nabrała tchu.

— Ten gość w wiadomościach. Quentin Harris.

— Tak?

— To mój ojciec.

Jenks milczał. Odetchnął.

— Jasna cholera. Och, Rosemary... Coś takiego. Tak mi przykro. — Przerwał na chwilę. — Cholera, nie miałem pojęcia.

— O to chodziło. Nikt nie miał wiedzieć. Nie powinno mnie tu być, ja nie... Skłamałam, Jenks, kłamałam, oszukiwałam i ukrywałam prawdę, ale już nie mogę tego robić, po prostu nie mogę...

— Hej, zwolnij. Po kolei. — Przez chwilę siedział w milczeniu i zastanawiał się. — Rosemary, muszę cię o to zapytać, a ty musisz mi powiedzieć prawdę, dobrze?

— Dobrze.

Zrobił stanowczą minę, ale spojrzenie miał nieufne.

— Czy brałaś udział w... w tym, co robił? To znaczy choćby odrobinę, czy fałszowałaś formularze albo kłamałaś policji czy coś...

— Nie. — To była prawda. — Nic o tym nie wiedziałam. Nie wiedziałam do chwili, kiedy w moim mieszkaniu zjawili się detektywi i spędzili rano na zadawaniu mi pytań. Wiedzieli, że nie mam z tym nic wspólnego i powiedzieli, że nie mam obowiązku brać udziału w procesie. Nawet nie musiałam zostać na Marsie.



Jenks przyjrzał się jej uważnie i skinął głową.

— No... Dobrze. — Roześmiał się. — Na gwiazdy, co za ulga. Przez minutę myślałem, że jednak będę cię nienawidzić. — Poklepał ją po nodze. — W porządku, jesteś niewinna. Więc... — Sprawiał wrażenie skonsternowanego. — Przepraszam cię, Rosemary, ale w czym tu, kurde, problem?

Wciąż była wytrącona z równowagi.

— Co?

— Chcę powiedzieć, że, dobra, rozumiem, że przeżywasz teraz bardzo trudne chwile i przez „bardzo trudne chwile” rozumiem poważne emocjonalne gówno, do przedarcia się przez które będziemy potrzebować dziesiątek butelek kopa, ale po co to kłamstwo? Jeśli nie jesteś w to wplątana, to dlaczego myślisz, że miałyby to nas obchodzić?

Rosemary nie była na to przygotowana. Całe miesiące zamartwiania się i strachu, a jego to nie obchodzi?

— Nie rozumiesz. Na Marsie nie miało znaczenia, że nic nie zrobiłam. Wszyscy wiedzieli, kim jestem. Wszystkie serwisy informacyjne zajmowały się tylko historią naszej rodziny, pokazywały nawet nasze zdjęcia z wakacji. Wszystko skupiało się oczywiście na moim ojcu, ale obok niego uśmiechałam się i machałam małą ja. Nawet nie wiem, jak dotarli do tych zdjęć. A wszystko było zestawione z ekspertami od medycyny mówiącymi o tym, jak działa broń ukierunkowana genetycznie, z tymi wszystkimi reporterami wrzeszczącymi o korupcji. Znasz serwisy; kiedy wbiją już w coś swoje szpony, to nie popuszczą. Znajomi przestali się do mnie odzywać. W miejscach publicznych obcy ludzie krzyczeli do mnie „Ej, twój tata jest mordercą”, jakbym nie wiedziała, co zrobił. W tamtym czasie szukałam pracy i nikt nie oddzwonił. Nikt nie chciał wiązać swojej firmy z moim nazwiskiem.

— Ale ty się nazywasz Harper — zauważył Jenks.

Zacisnęła usta.

— Co byś zrobił, gdybyś chciał się wyrwać? Ale tak naprawdę się wyrwać, żeby nikt nie wiedział, kim dotąd byłeś?

Jenks zastanowił się. Po chwili powoli skinął głową.

— Aha. No tak, chyba rozumiem. — Wyciągnął do niej rękę. — Zobaczmy.

— Co takiego?

— Twoją łatkę.

Rosemary z wahaniem złożyła prawy nadgarstek w jego dłoni. Podciągnęła oplotkę, odsłaniając znajdującą się pod nią łatkę. Jenks pochylił się i uważnie się jej przyjrzał.

— To jest cholernie dobra robota — orzekł w końcu. — To, że jest nowa, widać tylko po wygojeniu. Gdybym nie wiedział, powiedziałbym, że stara łatka została legalnie wymieniona na nową.

— Bo to była legalna wymiana — rzekła Rosemary i przełknęła ślinę.

Miała wrażenie, że jej język stał się gruby.

Jenks zrobił zdumioną minę.

— Jak dostałaś... — rozpromienił się. — Paliwo z Fobosa. Jasne. Masz pieniądze. Duże pieniądze.

— Miałam pieniądze. Zanim...

— Zanim zapłaciłaś komuś za milczenie. Zanim zapłaciłaś za nowy plik identyfikacyjny. Cholera, Rosemary, musiałaś im dać fortunę, żeby nic nie mówili.

— Wszystko, co miałam. Poza pieniędzmi na transport i hotele. — Roześmiała się niewesoło. — Moja rodzina może nie nauczyła mnie wiele o galaktyce, ale o kupowaniu przysług? To mamy obcykane.

— Ale ty naprawdę jesteś urzędniczką, prawda? To znaczy znasz się na

formularzach, widać, że chodziłaś do szkoły. To wszystko prawda, tak?

Skinęła głową.

— Urzędnik, który mi pomagał, zmienił wszystkie moje akta, dopilnował, żeby mój nowy plik miał odnośniki do wszystkich miejsc, w których kiedykolwiek byłam. Tak więc mój dyplom, moje zaświadczenie, moje listy polecające są naprawdę moje. Jedyнным sposobem na dowiedzenie się, że powiązany plik identyfikacyjny został zmieniony, byłoby, powiedzmy, udanie się na Marsa i zapytanie o mnie kóregoś z moich znajomych. Pomyślałam, że szukanie pracy w otwartej przestrzeni kosmicznej ogranicza szanse natknięcia się na kogoś z domu. Umieściłam zatem swoje nazwisko na liście chętnych do pracy na statku dalekiego zasięgu i tak się tu znalazłam.

Jenks potarł sobie podbródek.

— No to co jest nie tak? Jeśli zrobiłaś kurs i masz odpowiednie kwalifikacje, to zasługujesz na tę pracę. Dlaczego mielibyśmy wyrzucić cię ze statku?

— Bo skłamałam, Jenks. Okłamałam Ashby'ego. Okłamywałam was wszystkich za każdym razem, kiedy pytaliście mnie o moje życie na Marsie. Weszłam do waszego domu i raz za razem kłamałam o tym, kim jestem.

— Rosemary. — Jenks położył jej rękę na ramieniu. — Nie zamierzam cię obrazić, udając, że rozumiem, z czym masz do czynienia. Gdyby ktoś z mojej rodziny zrobił coś takiego... Na gwiazdy, nie wiem, co bym uczynił. Nie mogę dać ci żadnej rady, ale jeśli będziesz kiedykolwiek potrzebować ramienia, żeby się na nim wypłakać, to moje jest na to gotowe. A co do tego, kim jesteś, to naprawdę masz na imię Rosemary, tak? — No dobra. — Skinął głową w stronę gospodarstwa. — Wiesz, dlaczego modderzy nadają sobie dziwaczne imiona?

Pokręciła głową.

— To naprawdę stara praktyka, a wywodzi się z sieci komputerowych

sprzed Zapaści. Mówimy tu o bardzo starej technice. Ludzie wybierali sobie imiona, których używali tylko w sieci. Czasami takie imię tak bardzo stawało się częścią tego, czym byli, że zaczynali go używać nawet ich znajomi w prawdziwym świecie. Dla niektórych w tych imionach zawierała się cała ich tożsamość. A nawet ich prawdziwa tożsamość. Otóż dla modderów najważniejsza jest indywidualna wolność. Mówią, że człowieka może określić tylko on sam. Więc kiedy Niedźwiedź dał sobie nową rękę, to nie zrobił tego dlatego, że nie podobało mu się ciało, w którym się urodził, ale dlatego, że uważał, że nowa ręka lepiej mu pasuje. W podrasowywaniu ciała chodzi o próby dopasowania fizycznego ciała do tego, kim człowiek jest w środku. Oczywiście nie trzeba się podrasowywać, żeby uzyskać to poczucie. Ja na przykład lubię się ozdabiać, ale moje ciało już pasuje do tego, kim jestem. Natomiast niektórzy modderzy zmieniają siebie przez całe życie. I nie zawsze im to wychodzi. Czasami poważnie coś u siebie chrzanią. Ale takie jest ryzyko, kiedy człowiek próbuje stać się czymś więcej niż ta skrzyneczka, w której się rodzi. Zmiana zawsze jest niebezpieczna. — Postukał ją w rękę. — Ty jesteś Rosemary Harper. Wybrałaś to nazwisko, bo stare już ci nie pasowało. Żeby to zrobić, musiałaś złamać kilka przepisów. Wielkie mi co. Życie nie jest sprawiedliwe, podobnie jak, przeważnie, przepisy. Zrobiłaś, co musiałaś zrobić. Ja to rozumiem.

Rosemary przygryzła wargę.

— Ale i tak wszystkich was okłamałam.

— Owszem. I będziesz musiała się do tego przyznać. Nikomu spoza załogi, jeśli nie chcesz, ale osoby, z którymi mieszkasz, powinny to wiedzieć. To jedyny sposób, żeby załatwić sprawę i żyć dalej.

— Ashby...

— Ashby to najrozsądniejszy człowiek, jakiego znam. Jasne, nie będzie tym zachwycony. — Na chwilę przerwał; Rosemary zauważyła po jego

oczach, że rozproszyła go jakaś myśl. Odchrząknął i podjął wątek: — Ale w swojej robocie jesteś świetna i jesteś dobrą osobą. To będzie miało dla niego większe znaczenie niż cokolwiek innego.

Rosemary spojrzała na przyjaciela i mocno go uściskała.

— Dziękuję — powiedziała.

Po jej policzkach płynęły łzy. Miała wrażenie, że są czyste.

— No, nie martw się. Jesteśmy załogą. Przejdiesz przez to, wiesz? Bo ja to wiem. — Przerwał na chwilę. — Przepraszam, że nazwałem twojego tatę dupkiem.

Rosemary spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Jenks, mój ojciec sprzedawał broń biologiczną dwóm stronom wojny domowej spoza własnego gatunku tylko po to, żeby uzyskać dostęp do ambi znajdującego się po obu stronach granicy. Myślę, że nazwanie go dupkiem to dowód wielkoduszności.

— No... Dobra, no tak, słusznie. — Potarł swój podbródek. — Na gwiazdy, chciałbym wiedzieć, co powiedzieć. Kiedy wrócimy na statek, powinnaś porozmawiać z Doktorem Kucharzem. W cztery oczy.

— O czym?

— O jego gatunku.

# Dzień 251., 306 standard WG

## Ostatnia wojna

Niewiele rzeczy sprawiało Doktorowi Kucharzowi większą przyjemność niż filiżanka herbaty. Oczywiście codziennie w porze śniadania robił herbatę dla załogi, ale wiązało się to z wrzuceniem przypadkowej garstki liści do lichego podajnika. Pojedyncza filiżanka herbaty wymagała większej uwagi, mieszanki starannie dobranej do danego dnia. Bardzo go uspokajał ten rytuał: podgrzanie wody, odmierzenie kruchych liści i zakręconych kawałeczków wysuszonych owoców do małego koszyczka, delikatne strącenie opuszkami palców ich nadmiaru, obserwowanie, jak w miarę parzenia kolor podnosi się w wodzie niczym dym. Herbata to nastrojowy napój.

Na jego rodzimej planecie nie było herbaty. Podgrzana woda służyła tylko do spania, a nie do picia. Ominęło ich tyle cudownych rzeczy tylko dlatego, że nigdy nie pomyśleli, żeby ją pić! Ani herbaty, ani zupy, ani meku — no, strata meku nie była żadną stratą. Doktor Kucharz nie podzielał entuzjazmu pozostałych członków załogi do tego mętnego naparu. Coś w nim przypominało mu wilgotny brud, i to nie w przyjemny sposób.

Siedział na ławce w Akwarium i snuł powolne myśli nad stygnącą herbatą. Naprzeciwko niego siedziała Rosemary z własnym kubkiem w kościstych ludzkich dłoniach. Milczała, kiedy rozmyślał na głos. Wiedział, jak są dla siebie nawzajem obcy — on, bo nigdy nie myślał cicho, ona, bo nie wydawała przy myśleniu dźwięków. Wiedział jednak, że Rosemary teraz już rozumie jego dźwięki, i ta wiedza sprawiała, iż jej milczenie było kojące.

Myśli, które budził, były stare i dobrze przechowywane. Kizy oskarżyła

go kiedyś o „tłumienie uczuć”, ale to była ludzka koncepcja, myśl, że można ukryć uczucia i udawać, że ich nie ma. Doktor Kucharz dokładnie wiedział, gdzie są wszystkie jego uczucia, każda radość, każdy ból. Nie musiał robić ich przeglądu, żeby wiedzieć, że są. Nigdy nie potrafił zrozumieć ludzkiego zaabsorbowania „byciem szczęśliwym”. Żadna rozumna istota nie może doznawać szczęścia cały czas, podobnie jak nikt nie może stale żyć w gniewie, nudzie albo żalu. Żal. Tak, to właśnie uczucie musiał dziś znaleźć dla Rosemary. Nie uciekał od swojego żalu ani nie zaprzeczał jego istnieniu. Potrafił mu się przyglądać z oddali jak naukowiec obserwuje zwierzęta. Przyjął go, pogodził się z nim, zrozumiał, że żal nigdy go nie opuści. Stanowił jego część jak każde przyjemne uczucie. Może nawet w większym stopniu.

Dał gruchaniem znać, że jest gotowy i skupił się na swoich strunach głosowych, zmuszając je do pracy, jakby były jednorodnym zestawem. Spojrzał w obwiedzione bielą oczy Rosemary. Zaczął mówić:

— Nasze gatunki bardzo się różnią. Ty masz dwie ręce, ja sześć. Ty śpisz w łóżku, ja w wannie. Ty lubisz mek, ja nie. To wiele drobnych różnic. Jest jednak jedna wielka rzecz wspólna grumom i ludziom, a jest nią nasze okrucieństwo. Nie chcę powiedzieć, że jesteśmy zasadniczo źli. Sądzę, że oba nasze gatunki mają dobre intencje. Lecz kiedy zostajemy sam na sam ze swoimi namiętnościami, przejawiamy zdolność do popełniania podłych czynów. Myślę, że jedynym powodem, dla którego ludzie przestali zabijać się nawzajem w takim stopniu jak dawniej, jest to, że wasza planeta umarła, zanim zdołaliście się nawzajem wykończyć. Mój gatunek nie miał takiego szczęścia. Nie widziałas żadnych innych grumów dlatego, że zostało nas niespełna trzysta.

Dłoń Rosemary powędrowała do jej ust.

— Tak mi przykro — powiedziała.

Jakie to typowe dla ludzi — wyrażać smutek poprzez przeprosiny.

— A mnie nie — rzekł Doktor Kucharz. — Sami do tego doprowadziliśmy. Nasze wyginięcie nie zostało spowodowane żadną klęską żywiołową ani powolnym pełzaniem ewolucji. Myśmy się po prostu wybili. — Przez chwilę głośno rozmyślał, układając elementy wspomnień. — Mój gatunek od pokoleń prowadził wojnę z samym sobą. Nie mam pojęcia dlaczego. Och, historycy mają rozmaite teorie na ten temat. Lecz jest to ta sama opowieść, którą słyszy się wszędzie. Odmienne religie, odmienne kultury, tereny, których wszyscy chcieli. Urodziłem się w czasie tej wojny. A kiedy byłem gotów, zająłem w niej miejsce jako lekarz. Nie byłem takim lekarzem, jakim jestem dzisiaj. Nie zaprzyjaźniałem się ze swoimi pacjentami. Nie prowadziłem z nimi długich rozmów o ich dzieci ani o tym, jak powinni sobie uaktualnić swoje imuboty. Moim zadaniem było jak najszybsze łątanie umierających żołnierzy, żeby mogli czym prędzej wrócić na pole walki i dalej zabijać. Pod koniec Obcy, mniej więcej tak nazywaliśmy tych innych, zaczęli używać pocisków, które nazywali... — Zanucił w zamyśleniu, usiłując znaleźć odpowiednik w klipie. — Przecinaczami narządów. Bo widzisz, Obcy byli oddzieleni od nas, od mojej frakcji tak długo, że stali się odmienni genetycznie. Przecinacze narządów były zaprogramowane do namierzania naszych markerów genetycznych. Jeśli przez pomyłkę trafiły Obcego, to ich raniły, ale nie było to nic gorszego niż zwykła rana od kuli. Lecz jeśli przecinacz narządów trafił jednego z nas, wyzwało to jego właściwe działanie.

— To znaczy? — zapytała Rosemary z przestraszoną miną.

Doktor Kucharz wyjrzał przez okno, lecz nie widział gwiazd.

— Wwiercanie się. Przecinacz przechodził przez wnętrze ofiary, aż trafiał na coś ważnego. Nie ustawał, dopóki jej nie uśmiercił. Powiedzmy, że żołnierz został trafiony w kończynę. Zwykła kula spowodowałaby drobną



ranę, natomiast przecinacz powodował śmierć... W jakieś pół godziny. I może się wydawać, że pół godziny to nie jest długo, ale jeśli ma się w sobie ruchomy kawałek metalu... — Do Doktora Kucharza wróciły wspomnienia i próbowały wyciągnąć go z jego bezpiecznego punktu obserwacyjnego. Szarpały go i namawiały, żeby się poddał. On im jednak nie uległ. Nie był ich więźniem. Był ich strażnikiem. — Codziennie przynoszono mi żołnierzy z poruszającymi się w nich aktywnymi przecinaczami, a moim zadaniem było znalezienie ich. Często byłem zbyt wolny. Tak jak wszyscy inni lekarze. Bo, widzisz, przecinacze emitowały zakłócenia, które czyniły je niewidocznymi dla naszych skanerów. Musieliśmy szukać ręcznie. W końcu przekonałem się, że szybciej i miłosierniej jest takich pacjentów na miejscu poddać eutanazji. — Wciągnął z odrazą policzki, przypomniawszy sobie krwawe, krzyczące strzępy. — Znienawidziłem Obcych za te przecinacze. To było coś więcej niż nienawiść, brzydkie, paskudne uczucie. Myślałem, że Obcy to zwierzęta. Potwory. Coś... Coś niższego ode mnie. Tak, niższego. Naprawdę wierzyłem, że jesteśmy lepsi od nich, że mimo całej tej krwi na naszych twarzach nie upadliśmy tak nisko. Ale już się pewnie domyślasz, co się stało potem, prawda?

— Twoja strona też zaczęła używać przecinaczy?

— Tak. Ale to było coś gorszego. Dowiedziałem się, że przecinacze to był nasz wynalazek. Obcy po prostu ukradli ten pomysł, zanim zdążyliśmy wprowadzić go w życie. Zrobili nam to, co my planowaliśmy zrobić im. Wtedy już nie wiedziałem, kto jest zwierzęciem. Nie chciałem już leczyć naszych żołnierzy, żeby mogli wrócić na wojnę, posługiwać się przecinaczami i... — Szukał odpowiednich słów. — Lepkogniem i bombami z zarazkami. Chciałem ich uzdrawiać. Naprawdę chciałem ich uzdrawiać. Czasami widziałem na stercie ciało kogoś, kogo kilka dni wcześniej postawiłem na nogi. Zacząłem się zastanawiać, jaki to wszystko ma sens. —

Przerwał i przez długą chwilę pomrukiwał w zamyśleniu. Myśl, do której dochodził, ogarniała go i oblepiała, ale zapanował nad nią. — Pewnego wieczoru do mojego schronu wbiegła jedna z lekarek. Kazała mi się śpieszyć. Poszedłem za nią do sali operacyjnej, a tam leżało poszarpane na strzępy przez przecinacz, nasz wynalazek, moje najmłodsze dziecko. Córka, którą urodziłam. Nawet nie wiedziałem, że walczyła w okolicy.

— Och, nie — powiedziała Rosemary głosem miękkim jak liście.

Doktor Kucharz skinął głową w ludzkim geście oznaczającym potwierdzenie.

— Dali jej leki na uśmierzanie bólu i przygotowywali... Nie wiem, jak to nazwać. Zastrzyk. Ten ostatni, który dawaliśmy pacjentom z przecinaczami. Zastrzyk, który wstrzymywał akcję serca. Odepchnąłem pracującego przy niej lekarza. Ująłem jej twarz w dłonie. Ledwie się tliła, ale poznała mnie. Powiedziałem jej, że ją kocham i że ból wkrótce minie. Sam zrobiłem jej zastrzyk. Wiedziałem, że tak trzeba, że to ja powinienem zabrać ją ze świata, na który ją sprowadziłam. Była ostatnim z moich dzieci. Miałem ich pięcioro, wszystko piękne dziewczynki z szarymi cętkami. I wszystkie zostały żołnierzami, jak większość naszych dziewcząt. Umierały na wypalonych polach bitew z dala od domu. Żadna z moich córek nie została matką. Żadna z nich nie została mężczyzną. Nie kochałem mojego ostatniego dziecka bardziej ani mniej niż inne moje dzieci, ale złamała mnie świadomość, że wszystkie nie żyją. Nie mogłem już trzymać swojego żalu na dystans. Moje myśli stały się za duże. Musiałem przestać być lekarzem. Resztę wojny spędziłem w... W spokojnym domu. W miejscu odpoczynku. Uczyłem się, jak uspokoić umysł.

— Doktorze Kucharzu, nie potrafię... — Rosemary kręciła głową z boku na bok. Miała mokrą twarz. — Nie potrafię sobie wyobrazić.

— To dobrze. Nie chciałbym, żebyś potrafiła. Kilka lat później po obu

stronach było o wiele za mało córek, żeby dalej walczyć. Bomby z zarazkami zmutowały się i wywoływały choroby, których nie umieliśmy leczyć. Woda została zatruta. W naszych kopalniach i lasach nic już nie zostało. Wojna właściwie się nie skończyła. Po prostu się wypaliła.

— Nie mogliście się odbudować? Znaleźć gdzieś kolonię, żeby zacząć od nowa?

— Mogliśmy. Postanowiliśmy jednak tego nie robić.

— Dlaczego?

Chrząkał, zastanawiając się nad najlepszym sposobem wyjaśnienia.

— Jesteśmy starym gatunkiem, Rosemary. Grumowie istnieli na długo przed ludźmi. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, po tych wszystkich okropieństwach, które stworzyliśmy, obie strony uznały, że nadeszła pora, abyśmy przestali istnieć. Roztrwoniliśmy nasz czas i nie mieliśmy poczucia, że potrzebujemy jeszcze jednej szansy ani że na nią zasługujemy. Wojna skończyła się trzydzieści standardów temu, ale nadal umieraliśmy na zaprojektowane przez nas choroby albo z ran, które wciąż nas prześladowały. O ile wiem, od dziesięcioleci nie urodził się ani jeden grum. Możliwe, że gdzieś się rodzą, ale to nie wystarczy. Większość grumów zrobiła to co ja, czyli opuściła swój świat. Kto chciałby zostać na zatrutej planecie pełnej martwych córek? Kto chciałby przebywać z pobratymcami, wiedząc, co każdy z nas musiał robić? Nie, nie, lepiej odlecieć i umrzeć z godnością.

Rosemary rozmyślała w milczeniu.

— Dokąd się udałeś?

— Do najbliższego portu kosmicznego i dzięki mojej elokwencji dostałem się na pokład statku handlowego. Mieszana załoga. Głównie skakaliśmy między księżycami modderów i koloniami na rubieżach. Zarobiłem trochę kredytów, pomagając w kuchni. Początkowo tylko sprzątałem, ale kucharz zauważył, że interesuję się żywnością, i zaspokoił moją chęć nauki. Kiedy

miałem dość pieniędzy, opuściłem statek i osiedliłem się w Port Coriol. Miałem budkę z zupami w pobliżu jednej z dzielnic rodzinnych. Ten kucharz nauczył mnie gotowania zup, nic szczególnego, ale jedzenie było szybkie, tanie i zdrowe, a śpieszący się kupcy lubią jedzenie, które jest szybkie, tanie i zdrowe. W okolicy mieszkał lekarz, człowiek imieniem Drave, który często do mnie wpadał. Lubiałem go, ale byłem zazdrosny o jego zawód. Był lekarzem rodzinnym. Widział, jak jego pacjenci wyrastają z niemowląt na dorosłych z własnymi niemowlętami. Wydawało mi się, że patrzeć, jak ludzie się starzeją i pomagać im, by robili to w zdrowiu, daje wielką radość. Pewnego dnia nabrałem dość odwagi, by wyznać mu, że kiedyś byłem lekarzem i że chcę wykorzystać te umiejętności w jakimś dobrym celu. Zawarliśmy umowę: ja mogłem przychodzić do Drave'a i pracować z nim w jego klinice przez trzy dni w dziesięciodniu, a on mógł bez ograniczeń jeść u mnie zupę za darmo. Sądzę, że umowa była o wiele korzystniejsza dla mnie! Tak więc wyglądało moje życie przez sześć standardów: gotowanie zupy, praca w klinice i robienie przez Konsolidator kursów z obcej anatomii. Ach, i zioła, wtedy dowiedziałem się o ziołach. Drave był dobrym przyjacielem. Nadal nim jest, czasem do siebie pisujemy. Kiedy zacząłem stawiać się mężczyzną, w budce zastąpił mnie jego wnuk. To okres niesprzyjający pracy. Właściwie niesprzyjający niczemu. Przejście nie jest łatwe. — Zamruczał. Jego myśli zbaczały z wyznaczonej ścieżki. Burczał i nucił, by je uporządkować. — Jakiś czas później do kliniki przyszedł człowiek imieniem Ashby, żeby uaktualnić swoje boty. Długo rozmawialiśmy; po kilku dniach wrócił z informacją, że zbiera załogę na statek budujący tunele, i zaproponował mi cudowną pracę. Dwie prace! Smutno mi było pożegnać się z Drave'em, ale Ashby zaproponował mi dokładnie to, czego potrzebowałem. Tu, w otwartej przestrzeni kosmicznej, panuje spokój. Mam przyjaciół, ogród wśród gwiazd i kuchnię pełną

smakołyków. Teraz lecę innych. Nie mogę udawać, że nie było tamtej wojny, ale przestałem w niej walczyć już dawno temu. Nie ja ją rozpocząłem. Nigdy nie powinienem był w niej walczyć. — Zgarbił się tak, że mógł spojrzeć Rosemary prosto w oczy. — Nie możemy się winić za wojny, które rozpoczynają nasi rodzice. Czasami najlepsze, co możemy zrobić, to odejść.

Rosemary długo milczała.

— Te przecinacze były straszne — powiedziała w końcu. — Lecz na pewnym poziomie rozumiem, dlaczego twoi pobratymcy ich użyli. Prowadzili wojnę, nienawidzili się nawzajem. Mój ojciec nie jest żołnierzem. Nigdy nie był na wojnie. Nie czuje nienawiści do toremich. Nie wiem, czy w ogóle spotkał któregoś z nich. Na Marsie mieliśmy wszystko. Wszystko. Dopuścił do zaprojektowania i sprzedaży tej broni, zachęcał do tego, i po co? Dla jeszcze większych pieniędzy? Ile osób nie żyje z powodu tego, co zrobił? Ile dzieci?

Doktor Kucharz usiadł na czterech kończynach.

— Jak powiedziałaś, miał wszystko. To sprawiło, że czuł się bezpieczny i potężny. Kiedy ludzie czują się bezpieczni i potężni, potrafią robić straszne rzeczy. Twój ojciec prawdopodobnie tak długo robił wszystko po swojemu, że uznał się za nietykalnego, a to niebezpieczne uczucie. Nie sądzę, by ktokolwiek na tym statku winił cię za chęć znalezienia się jak najdalej od kogoś takiego.

— Ashby nie był zadowolony.

— Tylko ze względu na oszustwo. Nie ze względu na to, kim jesteś. — Obejrzał się na pustą kuchnię i pusty korytarz. — A tak między nami, on to rozumie. Nie będzie ci miał tego za złe. Ale jest też twoim szefem i czasami musi mówić w taki sposób, żeby nam o tym przypomnieć. — Mruczał, przesiewając myśli. — Myślę, że pod pewnymi względami musisz się czuć tak samo jak ja, kiedy dowiedziałem się, skąd się wzięły przecinacze.

Znalazłaś coś mrocznego we własnym domu i zastanawiasz się, ile z tego przeszło na ciebie.

Rosemary zaczęła kiwać głową, ale nią pokręciła.

— To nie to samo. To, co przytrafiło się tobie, twojemu gatunkowi... Nie ma z tym nawet porównania.

— Dlaczego? Bo jest gorsze?

Skinęła głową.

— Ależ ma porównanie. Gdybyś złamała jakąś kość, a ja bym miał połamane wszystkie kości, to czy przez to znika twoje złamanie? Czy świadomość, że cierpię większy ból, sprawia, że ciebie boli mniej?

— Nie, ale to nie...

— Owszem. Uczucia są względne. Ale u podłoża są takie same, nawet jeśli wyrastają z różnych doświadczeń i występują na różną skalę. — Przyjrzał się jej twarzy. Miała sceptyczną minę. — Sissix by to zrozumiała. Wy, ludzie, naprawdę ograniczacie się swoim przekonaniem, że myślicie w wyjątkowy sposób. — Pochylił się. — Twój ojciec, osoba, która cię wychowała, która cię nauczyła, jak funkcjonuje świat, uczynił coś niewypowiedzianie strasznego. I nie tylko brał w tym udział, ale i usprawiedliwił to przed sobą. Kiedy dowiedziałaś się, co zrobił twój ojciec, uwierzyłaś w to?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie sądziłam, że jest do tego zdolny.

— Dlaczego? Najwyraźniej był.

— Nie sprawiał wrażenia, że jest. Ojciec, którego znałam, nie mógłby zrobić czegoś takiego.

— Aha. Ale zrobił. Więc wtedy zaczynasz się zastanawiać, jak mogłaś się tak co do niego pomylić. Zaczynasz wracać do wspomnień, szukać jakichś oznak. Zaczynasz kwestionować wszystko, co znasz, nawet te dobre rzeczy.

Zastanawiasz się, ile z nich było kłamstwem. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że ponieważ w dużej mierze to on uczynił cię taką, jaka jesteś, zaczynasz się zastanawiać, do czego ty sama jesteś zdolna.

Rosemary wpatrzyła się w niego.

— Tak.

Doktor Kucharz skinął głową.

— I w tym nasze gatunki są bardzo do siebie podobne. Prawda jest taka, Rosemary, że jesteś zdolna do wszystkiego. Dobrego albo złego. Zawsze byłaś i zawsze będziesz do tego zdolna. W odpowiednich warunkach ty też mogłabyś robić straszne rzeczy. Ten mrok istnieje w każdym z nas. Myślisz, że każdy żołnierz, który brał do ręki broń z przecinaczami, był złą osobą? Nie. Taka kobieta robiła tylko to, co robiła kobieta obok niej, która z kolei robiła to, co robiła kobieta obok niej i tak dalej, i tak dalej. I mogę się założyć, że większość z tych, które przeżyły wojnę, nie wszystkie, ale większość, spędziła potem mnóstwo czasu na próbach zrozumienia tego, co zrobiły. Na zastanawianiu się, jak w ogóle mogły coś takiego zrobić. Na zastanawianiu się, kiedy zabijanie stało się tak bezproblemowe.

Pięgowate policzki Rosemary nieco pobladyły. Doktor Kucharz widział, że z trudem przełknęła ślinę.

— Możesz, wszyscy możemy, jedynie starać się być kimś pozytywnym. To jest wybór, który każda istota rozumna musi podejmować każdego dnia swojego życia. Wszechświat jest taki, jakim go czynimy. Do ciebie należy podjęcie decyzji, jaką odegrasz rolę. A ja w tobie widzę kobietę, która ma wyraźną wizję tego, kim chce być.

Rosemary roześmiała się krótko.

— Przez większość dni budzę się, nie mając pojęcia, co, u diabła, robię.

Doktor Kucharz wydał policzki.

— Nie mam na myśli praktycznych szczegółów. Nikt ich nie rozumie. Ja

mówię o tym najważniejszym. Też musiałem to zrobić. — Cmoknął językiem. Wiedział, że Rosemary tego nie zrozumie, ale to był odruch. Taki dźwięk wydaje matka nad dzieckiem, które uczy się stać. — Starasz się być kimś dobrym.



# Dzień 335., 306 standard WG

## Kedrium

Kizzy jak zwykle wstała za późno. Tak było zawsze, jeszcze w czasach dzieciństwa. Kiedy była mała, Papa układał ją do łóżka, opowiadał bajeczkę, całował i dawał Tumbby'ego, pluszową żabę. Parę chwil po tym, jak gasło światło, zaczynały poruszać się jej palce u stóp, potem jej pupa i wkrótce myśl o nieruchomym leżeniu i spaniu wydawała się bardzo niesprawiedliwa. W regularnych odstępach czasu do pokoju wchodził Papa, podnosił ją spośród klocków i z powrotem układał w łóżku, a jego cierpliwy głos stawał się coraz bardziej znużony. W końcu z wieczornej zmiany w stacji uzdatniania wody wracał Ba i mówił: „Kizzy, kochanie, połóż się spać, proszę cię. Klocki na pewno rano będą na swoim miejscu”. To była prawda, ale Ba nie rozumiał, o co chodzi. Podczas gdy fizyczne klocki leżały tam, gdzie je zostawiła, jej umysł zawsze był pełen nowych konfiguracji, których jeszcze nie wypróbowała. Jeśli nie zrobi tego przed zaśnięciem, rano zupełnie o nich zapomni, rozproszona obietnicą racuszków.

Jako osoba dorosła Kizzy znalazła pewne sposoby na zarządzanie planami konstrukcyjnymi rodzącymi się w jej umyśle. Trzymała notek przy łóżku, żeby móc wypełniać go szkicami i notatkami bez opuszczania ciepła koców. Lecz mimo to niedokończone projekty często nie pozwalały jej się położyć o normalnej porze. Zawsze zaczynało się to od „jeszcze jeden obwód”, a potem zmieniało w „na pewno to naprawię” i „jeszcze tylko kilka poprawek” i brzdęk, czas na śniadanie.

Lecz przez dziesięć dni od tej sprawy z akarakami Kizzy nie kładła się

spać z innego powodu. Jej mózg nadal wibrował od pomysłów, ale robiła wszystko, żeby czymś się zająć nawet po tym, jak już je wszystkie wykorzystwała. Na przykład tego wieczoru odkurzała złącza do interfejsu na zapasowym przewodzie zasilania. Nie było to zadanie o zasadniczym znaczeniu. Nie było to nawet zadanie konieczne. Ale zapewniało zajęcie.

Doktor Kucharz dał jej krople na sen, ale nie lubiła ich. Rano czuła się po nich oszołomiona, a poza tym nie chciała być kimś, kto potrzebuje kropli. Nie, mimo męczącego bólu, który podskubywał ją na obrzeżach jestestwa, zamierzała zrobić to bez kropli. Jakoś nauczy się, jak ma leżeć w łóżku i nie myśleć o ładowni, broni wymierzonej w twarz, Ashbym krwawiącym na jej kolanach. Od tamtej pory nie było nocy, żeby nie zastanawiała się, czy kiedy będzie spała, nie podkradnie się do nich jakiś inny statek. Wyobrażała sobie akaraków pędzących do jej pokoju z bronią i krzyczących skrzekliwie. Wyobrażała sobie, jak się budzi i widzi wylot lufy karabinu impulsowego albo może w ogóle się nie budzi. Pamiętała, jak piszczwały otwierane siłą drzwi ładowni. Pamiętała cienką nitkę czerwieni, która wytrysnęła z ust - Ashby'ego uderzonego bronią. Kiedyś znajdzie sposób, żeby przestać pamiętać. Teraz jednak miała do odkurzenia dużo złącz.

— Hej, Kizzy — odezwała się z voxu Lovey. — Przepraszam, że ci zawracam głowę, ale tylko ty nie śpisz.

— Co jest, kotku?

— Zbliża się jakiś statek, jest w odległości godziny.

Szmatka do czyszczenia drgnęła. Och, na gwiazdy. Wrócili akarakowie. Zawrócili. Ale nie tym razem, sukinsyny. Ukryje się za panelem w ścianie, zamknie się od środka i nikt nie będzie nic wiedział. Będzie się przemykać w ścianach jak mysz, dokonując błyskawicznych aktów sabotażu, aż zginie ostatni wychudły drań. Jeśli zajmie to kilka dziesięciodni, to trudno. Od czasu do czasu będzie zaglądać do kuchni, żeby zabrać coś do jedzenia.

Może mieszkać w ścianach. To jej statek i... Kogo ona, kurde, oszukuje? Nie ma mowy, żeby jej się to udało. Już nie żyją, wszyscy całkowicie nie żyją. Dlaczego Ashby nie kupił na Świerszczu kilku karabinów? Tępy Exodanin, nawet z jedną sztuką broni...

— Wywołuje nas — ciągnęła Lovey. — To jest sygnał WG wzywania pomocy.

Kizzy odetchnęła. Poczowała ukłucie wstydu, że odczuwa ulgę, iż to ktoś inny ma kłopoty, ale... No dobra. Oparła notek o szpulę drutu.

— Przełącz ich na moje wideo.

Notek się włączył. Patrzyła na nią aeluonka. Jak wszyscy przedstawiciele jej gatunku była po prostu zachwycająca. Srebrzysta skóra, pełna gracji szyja, miękkie oczy, no wszystko. Kizzy nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie brudny kombinezon roboczy, siedzi przy stole, na którym panuje bałagan, że ma, do cholery, okruszki na koszuli i pixerysik wetknięty we włosy, i w ogóle. Aeluonka na pewno już kiedyś widziała ludzkiego technika. Nie mogła winić Kizzy za przynależność do brudnej grupy zawodowej albo brzydkiego gatunku.

— Cześć — powiedziała Kizzy i strzepnęła z siebie okruszki. — Jestem Kizzy Shao. W czym problem?

Dopiero teraz zauważyła, co aeluonka ma na sobie. Na pierwszy rzut oka dama sprawiała po prostu wrażenie elegantki, ale Kizzy grała w wystarczającą liczbę symów akcji, żeby rozpoznać zbrojoną kamizelkę — nie niezgrabną ludzką, ale zaprojektowaną tak, by zlewała się z resztą stroju. Aeluonka siedziała, lecz Kizzy widziała wystający z za jej pasa koniec pistoletu na energię. A wokół jej ramienia — czy to nie generator osobistej osłony? Wyglądał na nowy. Ta dama nie żartowała. To nie było tylko wyposażenie ochronne. Kizzy żałowała, że Jenks śpi.

Aeluonka uśmiechnęła się (a przynajmniej zrobiła coś z twarzą, co

pozwalą tak sądzić).

— Cześć, Kizzy. Jestem kapitan Gapei Tem Seri. Miałam nadzieję na rozmowę z waszym kapitanem. Czy to możliwe?

— Śpi, ale mogę go obudzić, jeśli...

— Nie, nie. Nie przeszkadzaj mu. Masz upoważnienie do udzielania zezwoleń na nieplanowane dokowania?

„Upoważnienie do udzielania zezwoleń na nieplanowane dokowania”. Na gwiazdy, ta dama się nie wygłupia.

— Hm, jasne, chyba tak — powiedziała Kizzy.

Nie wiedziała, czy na pokładzie „Wędrowca” w ogóle omawiano jakieś „nieplanowane dokowania”. Jeśli statek jest przyjazny i potrzebuje pomocy, to się mu pomaga. Proste.

Aelunka skinęła głową. Ruch ten wyglądał na przećwiczony. Najwyraźniej wiedziała, jak rozmawiać z ludźmi.

— Mamy uszkodzenia układów podtrzymywania życia. Wygląda na to, że w naszym ostatnim ładunku znajdowała się mina zakłócająca o opóźnionym działaniu. Wybuchła dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się w otwartej przestrzeni kosmicznej.

— Ojej, cholera. Nic wam nie jest?

— Dokonaliśmy tymczasowych napraw i od trzech dni sytuacja jest dość stabilna. Jesteśmy jednak w drodze do przestrzeni aeluońskiej i nie wiem, czy nasze prowizoryczne środki zaradcze wytrzymają tak długo. Tak naprawdę powinniśmy całkowicie wyłączyć rdzeń i pozwolić działać botom remontowym.

— A na razie potrzebujecie miejsca, żeby to przeczekać. Nie ma sprawy, mamy tu mnóstwo powietrza. Chwileczkę, a wy nie macie technika?

Policzki aelunki pociemniały do zielonkawej szarości.

— Przy ostatnim przystanku mieliśmy pewne kłopoty. Nasz technik... —

Odetchnęła. — Nasz technik nie przeżył. Jeszcze... Jeszcze nie miałam okazji zatrudnić nowego.

— Na gwiazdy, tak mi przykro.

No dobra, co takiego, do diabła, zrobiła ta dama, że wiązały się z tym miny zakłócające i „kłopoty” prowadzące do śmierci techników?

Aelunonka nic już więcej na ten temat nie powiedziała.

— Gdybyśmy mogli wejść na pokład tylko na czas, kiedy nasze boty będą robić swoje...

— A może my to zrobimy? Ja jestem mechtech, a nasz komptech zna się na układach podtrzymywania życia. Jesteśmy lepsi od botów i zależnie od uszkodzeń może nie będziecie musieli wyłączać waszych układów.

Aelunonka zastanowiła się.

— Znacie się na aeluońskiej technice?

— No, może nie praktycznie, ale technika to technika. Przynajmniej możemy spojrzeć. Obiecuję, że niczego nie dotknę, jeśli będę miała wątpliwości, jak to działa.

— Jeżeli to nie kłopot, to owszem, będę wdzięczna za wszystko, co zrobisz.

— Świetnie.

— Nasz statek znajduje się o mniej niż godzinę drogi od waszego, ale gdybyście spotkali się z nami w pół drogi, trwałoby to o połowę krócej.

— Absolutnie. Nie ma sprawy.

Twarz aelunonki się rozjaśniła.

— Cudownie. — Wiszące nad nią światła odbijały się od jej łusek jak blask słońca na fali. Dlaczego wszystko, co robią aelunonki, jest takie ładne? — Mam załogę sześciu... To znaczy pięciu osób plus dwoje żołnierzy. — Jasna cholera, aeluońscy komandosi. Jenks się posika. — Dołożymy wszelkich starań, żeby wam nie zawadzać.

— Och, proszę się nie martwić, wszystko w porządku — rzekła Kizzy. — Jestem pewna, że Doktor Kucharz z przyjemnością was nakarmi. To nasz kucharz.

Rety, to zabrzmiało głupio. Dlaczego chociaż raz nie mogła sprawić dobrego wrażenia?

— Tak, wiem. Tak się składa, że znamy się z waszym kapitanem. Ale tak, dziękuję, Kizzy. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdybyśmy was nie znaleźli.

Skąd ona wie... Myśl nagle się urwała. Fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsce.

— No, tak, z przyjemnością pomożemy. Przepraszam, mogłaby pani powtórzyć, jak się pani nazywa?

— Gapei Tem Seri. Mam ci przesłać mój plik...

— Nie, nie, ja tylko... Pani jest Pei?

Aeluonka obejrzała się przez ramię.

— Tak. — Głos wydobywający się z jej mówiskrzynki stał się cichy, tajemniczy. — To jest przydomek, którego pozwalam używać znajomym, również Ashby'emu.

Kizzy uśmiechnęła się tak szeroko, że pomyślała, iż pięknie jej twarz. Ta dama — ta obłądnie piękna tygrysica, która nosiła pistolety na energię i bez zająknięcia wymawiała słowa jak „miny zakłócające” — to była Pei. Ashby nie tylko znał tę aeluonkę. On ją dmuchał.

— Pani kapitan, przepraszam, nie wiem, jakim imieniem się do pani zwracać.

Aeluoni mieli dwa nazwiska, jedno oznaczające rodzinę, a drugie miejsce pochodzenia. Kizzy nie bardzo wiedziała, które co oznacza.

— Wystarczy kapitan Tem.

— Dobrze, kapitan Tem, sądzę, że mówię w imieniu mojego kapitana i reszty załogi. Zapraszam na nasz pokład na tak długo, jak trzeba.

— Dziękuję, Kizzy. — Kapitan Tem na chwilę zamilkła. — Nie bardzo wiem, jak o to poprosić...

Kizzy pojęła w lot. Kapitan Tem była aeluonką, miała aeluońską załogę i aeluońskich żołnierzy na pokładzie i zamierzała wejść na statek swojego ludzkiego chłopaka. Kizzy pochyliła się z poważną twarzą.

— Tak, wszyscy umiemy grzecznie się zachować. — Czyli trzymać język za zębami. — Zwłaszcza w obecności żołnierzy.

Kapitan Tem wyraźnie ulżyło.

— Dziękuję, Kizzy. Jestem bardzo wdzięczna. Odezwę się znowu po dotarciu do waszych współrzędnych.

— Świetnie. Do zobaczenia. — Panel wideo w noteku zgasł. Kizzy się roześmiała. O rety. Ale super. Po prostu super. — Hej, Lovey — powiedziała w stronę voxu. — Obudź Jenksa. I Sissix. Muszę z nimi w tej chwili porozmawiać.

— A co z Ashbym?

— Nie. Chcę go sama obudzić, żeby zobaczyć jego minę.

— Wścibska.

— I kto to mówi.

SI roześmiała się.

— Naprawdę myślisz, że kapitan Tem wpuści Jenksa na pokład swojego statku? Bardzo by tego chciał.

— Lovey, mam wrażenie, że to małe spotkanie będzie niesamowite dla wszystkich.

Mózg Ashby'ego nie funkcjonował dobrze. Przede wszystkim został obudzony po trzech godzinach snu przez Kizzy, która postanowiła zrobić to przez zhakowanie zamka w jego drzwiach i zapalenie wszystkich świateł. A potem powiedziała mu coś kompletnie niezrozumiałego: na pokład wejdzie Pei. Pei. Tutaj. Na jego statku. I rozmawiała akurat z Kizzy.

— Masz pojęcie, co jej powiedziała Kizzy?

Był w łazience, kończąc najszybszy prysznic w swoim życiu.

Sissix odpowiedziała zza drugiej strony zasłony w łazience. Ashby słyszał w jej głosie rozbawienie. To był dźwiękowy odpowiednik miny, która nie schodziła z jej twarzy przez ostatnie dziesięć minut.

— Żadnego. Ale na początku ona nie zdawała sobie sprawy, z kim rozmawia. Myślę, że twoja reputacja jest nienaruszona.

Ashby wyłączył prysznic, osuszył się i owinął ręcznikiem w pasie. Wyszedł z kabiny i wyjął ze wspólnego koszyka pakiet z dentbotami. W lustrze mignęło mu jego odbicie.

— Fatalnie wyglądam.

Odciągnął zamknięcie pakietu i wycisnął żel na język. Wyrzucił puste opakowanie i zacisnął usta. Czuł, jak boty szukają kamienia i bakterii, rozprowadzając żel wewnątrz jamy ustnej.

Sissix oparła się o ścianę, trzymając w szponach kubek.

— Nie, a nawet gdyby to była prawda, bardzo wątpię, czy ona zwróciłaby na to uwagę.

— Mhm... mm.

— Co?

Ashby przewrócił oczami i pozwolił botom robić swoje, chociaż wolałby, żeby pracowały trochę szybciej. Po kilku minutach żel się rozrzedził, co świadczyło, że boty zaczęły się rozpadać. Ashby wypluł miętową maź do umywalki i spłukał wodą.

— Powiedziałem, że ja zwracam.

— Wiem. To urocze.

Oparł dłonie na krawędzi umywalki i popatrzył w lustro. Oczy miał lekko zaczerwienione, a jego włosy miały lepsze dni. Westchnął.

— Nie chcę jej niczego schrzanić.



Sissix podeszła do niego i położyła mu rękę między łopatkami.

— Nie schrzanisz. Podobnie jak my wszyscy. Żadnych żartów, żadnych insynuacji. Wiemy, jaka to poważna sprawa. — Pokazała na stertę ubrań na blacie. — To jest najmniej pomięta para spodni, jaką udało mi się znaleźć. — Podała mu kubek. — I poprosiłam Doktora Kucharza, żeby zrobił ci to paskudztwo.

Zapach uderzył go w nozdrza, zanim jeszcze zbliżył kubek do twarzy. Kawa.

— Jesteś najlepsza.

Przytknął krawędź kubka do ust. Czarna, gorzka, mocna. Od razu poczuł się lepiej.

Sissix poklepała go po ręce.

— Chodź. Włóż spodnie. Chcę poznać kobietę, która ci je zdejmuje.

Chwilę później stał przed służą w otoczeniu samozwańczego komitetu powitalnego — Sissix, Doktora Kucharza i techników. O przewagę walczyły kofeina, adrenalina i potrzeba snu, ścigając się jak stado psów. Czuł się okropnie.

— No, Ashby — odezwał się Jenks. — Powiesz nam, jak się poznaliście?

Ashby westchnął.

— Nie teraz.

Jenks wyszczerzył w uśmiechu zęby. Tego ranka często to robił.

— Zaczekam.

Wyjął z kieszeni puszkę z ziołoziołem.

Doktor Kucharz go szturchnął.

— Żadnego dymu. Aeluoni często mają alergię.

Jenks zamknął puszkę.

— Prawdziwą alergię, tak? Nie jak Corbin?

Doktor Kucharz wydał z siebie grzmiący akord.

— Prawdziwą.

— Statek aeluonów rozciąga rękaw dokujący — oznajmiła Lovey. Ashby słyszał metaliczne uderzenia o kadłub. — Otworzyli właz. Rozpoczynam procedury odkażające.

Ashby słyszał dobiegające z za drzwi śluzy odgłosy kroków. Na gwiazdy, ona tu jest. Tu, w tej chwili. Odetchnął.

Sissix otarła się policzkiem o jego ramię.

— Zdenerwowany?

— Dlaczego tak myślisz?

Sissix oparła policzek o jego szyję i uścisnęła go za ramię. Usta Ashby'ego drgnęły. Wiedział, że to przyjazny, uspokajający gest, a Pei zapewne ma dość informacji o aandriskach, żeby wiedzieć, co Sissix chce nim wyrazić, lecz coś w jego ludzkim umyśle burzyło się na myśl o tym, że Pei od razu zobaczy opartą o jego ramię inną kobietę.

— Sis, przepraszam, ale czy nie mogłabyś... No... — powiedział ściszone głosem.

— Hm? — Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. — Ooo... Jasne. Jasne.

Odsunęła się o krok i założyła ręce za plecy. Nic już nie powiedziała, ale Ashby widział w jej żółtych oczach rozbawienie.

— Ashby, tu jest coś dziwnego — odezwała się Lovey.

— Co takiego? Jakiś zarazek?

— Nie, nie ma zakażenia, ale nie wiem, co robić. Liczba skanów ich łatek się zgadza, ale powinno być z nimi dwoje żołnierzy. Ja mam tylko łatki cywilne.

— Prawdopodobnie są incognito — rzekł Ashby. — Można ich wpuścić, Lovey. Ufam im.

— Ale obłąd — szepnął Jenks do Kizzy.

Zachichotali jak uczniowie. *Na gwiazdy i ogień, zachowujcie się.*

Drzwi się rozsunęły. Śluza była pełna, lecz Ashby patrzył tylko na jedną osobę. Był już całkowicie obudzony.

Pei postąpiła do przodu.

— Proszę o pozwolenie wejścia na pokład — powiedziała, patrząc Ashby’emu głęboko w oczy.

Wydawało się, że powietrze trzaska od przebiegających między nimi emocji. Musiała grać rolę kapitana, lecz Ashby widział, że chce powiedzieć o wiele więcej.

Skinął głową. Wszystko rozumiało się samo przez się.

— Wejdźcie z otwartej przestrzeni do naszego domu.

To było exodańskie wyrażenie używane na powitanie podróżnych, którzy właśnie zadokowali.

Wyciągnął rękę. To był żart, chociaż nie zrozumiałaby go żadna z załóg. Doskonale wiedział, że na powitanie aeluoni stykają się dłońmi, ale nie wiedział tego wtedy, gdy poznał Pei, a ona nie wiedziała, co ma zrobić z jego ręką, kiedy ją ujęła.

— Ciebie też dobrze widzieć, stary przyjacielu.

Potrząsnęła jego ręką, kwitując ten gest jedynie drgnieniem powiek. Cholera, była w tym dobra. Gdyby nie rozumiał potrzeby dyskrecji, mógłby się poczuć urażony jej nonszalancją.

Dokonano prezentacji. Pei uścisnęła dłonie techników, przytknęła dłoń do dłoni Sissix (Sissix oczywiście wiedziała, co robić) i śmiała się razem z Doktorem Kucharzem, usiłując się zorientować w jego rękonogach. Ashby przywitał się z załogą Pei, udając, że nie zna ich imion, usposobienia i historii ich życia. Wiedział, że dwoje z nich, Sula i Oxlen, wiedzą o nim i o Pei. Mrugnęli, witając się z nim. Na ile się orientował, byli jedynymi aeluonami w całej galaktyce, którzy wiedzieli. Zamierzał dołożyć wszelkich starań, by tak pozostało.

Dwoje żołnierzy, chociaż mieli na sobie cywilne ubrania, było łatwo zauważyć. Przede wszystkim byli lepiej uzbrojeni od pozostałych (co Ashby'ego nieco niepokoiło), a mięśnie mieli w idealnej formie. Kobieta miała implant optyczny. Pod nim widniał koniec starej blizny. Mężczyzna był młody, lecz wyglądał na znużonego. Ashby zadał sobie pytanie, jak długo brał udział w wojnie i czy cieszy go odmiana, jaką dał mu kurs towarowy.

Ashby zerknął na Pei, która wymieniała uprzejmości z jego załogą. Wyobrażał sobie jej obecność na jego statku tyle razy, lecz jego marzenia ziściły się w inny sposób. Pei miała wyjść ze śluzy tylko z torbą na ramieniu i uśmiechem w oczach. Przedstawiając ją, obejmowałby ją w pasie. Sissix nie musiałaby powstrzymywać się od powitalnego uścisku. Poszliby do Akwarium, gdzie przy jednej ze świątecznych kolacji Doktora Kucharza wszyscy jego ulubieni znajomi poznaliby się nawzajem. Piliby mek i śmiali się w ogrodzie. Proste połączenie dwóch połówek jego życia. Lecz tutaj, w śluzie, podział był wyraźny. Wojskowi i cywile. Aeluoni i gatunkowa mieszanka. Najlepsza technika i najlepsze, co się da zrobić. Nadal jednak znajdował się na swoim statku i rozmawiał ze swoją załogą. Granice między nimi się zatarły. Czuł, jak Pei go przez nie przeciąga.

— Nie do wiary, ile mieliśmy szczęścia, że was tu znaleźliśmy — powiedziała Pei. — Mam nadzieję, że nie sprawiamy wam kłopotu.

— Zostańcie tak długo, jak trzeba. — *Albo po prostu zostańcie.* — Słyszałem, że nasi technicy chcą pomóc przy naprawach.

— Jesteśmy gotowi — zameldowała Kizzy. Dłonie trzymała na klamrze pasa z narzędziami. — Wskażcie nam tylko kierunek.

— Pójdzie z wami Oxlen — powiedziała Pei.

— Nie jestem technikiem — stwierdził Oxlen, pilot Pei, wysoki mężczyzna z jasnymi oczami. — Ale mogę wam objaśnić, co jest co.

— Miałam nadzieję, że będziemy mogli uzyskać dostęp do waszych

skanerów i ansibla — odezwała się wojskowa, Tek, jeśli Ashby dobrze zapamiętał jej imię. — Bardzo wątpię, że natkniemy się tu na jakichś wrogów, ale zważywszy na to, co się stało na pokładzie naszego statku, ostrożności nigdy za wiele.

— Sissix może cię zaprowadzić do sterowni — rzekł Ashby. — Chyba że wolałabyś dostać ręczny dostęp do rdzenia naszej SI.

Kątem oka dostrzegł, że usłyszawszy tę propozycję, Jenks zeszywniał. *Spokojnie, Jenks, nie zepsują jej.*

— Wasza sterownia powinna wystarczyć — powiedziała Tek i skinęła głową do Sissix, która poprowadziła ją korytarzem.

Ashby nie potrafiłby wyobrazić sobie dziwniejszej pary: uzbrojona aeluonka bez oka i aandriska w opadających spodniach i ze świeżo pomalowanymi szponami.

— Obawiam się, że reszta z nas może tylko czekać — stwierdziła Pei.

— Och, chyba nie będzie tak źle — rzekł Doktor Kucharz. — Właśnie nadeszła pora przygotowania śniadania. Chociaż muszę was ostrzec, że moje przepisy nie są za bardzo dopasowane do aeluońskiego smaku. To może się okazać najgorszym śniadaniem, jakie jedliście w życiu.

Żołnierz się roześmiał.

— Nie jadłeś racji polowych.

— Zdziwiłbyś się. — Doktor Kucharz wydał policzki. Ashby się uśmiechnął. Mało rzeczy sprawiało grumowi większą przyjemność niż karmienie głodnych. — Chodźcie ze mną. Przejrzyjmy moją zastojkę i zobaczmy, na co macie ochotę.

— Powiedz, proszę, że macie na pokładzie prawdziwy mek — odezwał się jeden z załogantów Pei.

Przez plecy miał przewieszony karabin, na widok którego Niedźwiedź i Stalówka rozplakaliby się z zazdrości. Czy oni naprawdę muszą tu nosić

broń?

— Mnóstwo meku — powiedziała Kizzy. — Całe wielkie skrzynie.

— Na gwiazdy, to świetna wiadomość. Jeżeli będę musiał wypić jeszcze jeden kubek tego paczkowanego świństwa, to zwymiotuję.

— Tylko po kubku na osobę — zarządziła Pei. — Nie zamierzam wrócić na mój statek z otumanioną załogą.

— Chodźcie, chodźcie już wszyscy — powiedział Doktor Kucharz, wyprowadzając gości z pomieszczenia służy. Szedł na dwóch rękonożach. — Nie pozwolę, żebyście odlecieli głodni.

Pozostali aeluoni ochoczo ruszyli za nim.

— Zostawcie coś dla mnie! — zawołał za nimi Oxlen, wracając z technikami do służy.

Kizzy ostatni raz zerknęła na Pei i poruszyła brwiami, patrząc na Ashby'ego. Kapitan przewrócił oczami i przegonił ją machnięciem ręki. Kizzy odbiegła ze śmiechem.

Zaczekali, aż w korytarzu zrobiło się cicho. Nawet wtedy Ashby nie wiedział, co powiedzieć. Chciał ją pocałować, przytulić, pobiec do swojego pokoju i pozwolić, by zdarła z niego ubranie. Jednak się powstrzymał.

— To dość nieoczekiwane.

Popatrzyła na niego. Jej drugie powieki zamknęły się powoli, a policzki na znak niezadowolenia przybrały odcień żółci.

— Masz na kadłubie ślad po wybuchu.

— Zawsze mówisz bardzo nieromantyczne rzeczy.

— Ashby. — Wwiercała się w niego wzrokiem. — W ostatniej wiadomości powiedziałaś, że wtargnięto na wasz pokład i zabrano wam zapasy żywności. Nic nie mówiłaś o strzelaniu do was. Czy ktoś odniósł obrażenia?

— Nie. — Po chwili dodał: — Tylko ja. Ale nic mi nie jest.

Na jej policzkach zawirowały kolory świadczące o irytacji.

— Dlaczego nic nie mówiłeś?

— Bo nie chciałem cię martwić.

Przekrzywiła głowę.

— Wygląda na to, że zamieniliśmy się rolami.

— Nie bardzo. Kto się pojawia na moim progu z informacją o minach zakłócających?

— Była tylko jedna i nikomu nic się nie stało. Wydaje się, że ktoś w ładowni miał... Własne zdanie na temat wojny.

Ashby pokręcił głową.

— Roskowie atakują nadgraniczne kolonie. Jak...

— Wiem, wiem. Wszyscy powariowali. — Zmarszczyła brwi. — A skoro już o tym mówimy, to im więcej słyszę o tych toremich, tym mniej mi się to podoba.

— Nie podobało ci się to od samego początku.

— Posłuchaj, Ashby. Spotkałam kapitan holownika igłowego, która wozi tam dyplomatów. Ci toremi są... Dziwni.

— To odmienny gatunek. Wszyscy jesteśmy dziwni dla siebie nawzajem. Czasami ty jesteś dziwna dla mnie.

— Nie, mam na myśli, że są niebezpiecznie dziwni. Niezrozumiale dziwni. Kapitan powiedziała, że nie potrafi zrozumieć, jak WG w ogóle wynegocjowała z nimi sojusz. Dyplomaci wciąż mówią, jak trudno było się z nimi komunikować. To nie była kwestia języka, toremi po prostu inaczej myślą. Wszyscy próbują myśleć dokładnie to samo w dokładnie taki sam sposób, co już jest chore, ale jeśli nie osiągną konsensusu, wszystko się chrzani. Ta kapitan powiedziała mi, że kilka standardów temu, kiedy WG w końcu wsunęła stopę w drzwi, kilku toremich rozerwało się nawzajem na strzępy, dosłownie, Ashby, i to podczas jakiejś konferencji, ponieważ nie

mogli się zgodzić co do tego, czy harmagianie są gatunkiem rozumnym.

— Jestem pewien, że teraz już do tego doszli.

— Możliwe. Wiem tylko tyle, że kapitan słyszała o kilku wypadkach, kiedy podczas spotkania jeden z delegatów toremich nie zgadzał się ze swoimi przełożonymi i potem już nigdy go nie widziano. Nie znosiła tam latać. Mówiła, że była przerażona za każdym razem, kiedy zbliżał się ich statek. Nie ufała im. I ja też im nie ufam.

— Nigdy się z nimi nie zetknęłaś. Pei, przecież nie wysyłałiby nas aż do Jądra, gdyby nie uważali, że mogą nam zapewnić bezpieczeństwo. Nic nam nie będzie, nie martw się.

Jej policzki błysnęły bladym fioletem, co świadczyło o zdenerwowaniu.

— Nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa nawet mojej własnej załodze na moim własnym statku. Jak mam się nie martwić o ciebie?

Na wszelki wypadek zerknął w głąb korytarza. Wziął ją za rękę.

— Kizzy powiedziała, że kogoś straciłaś.

Zamknęła oczy.

— Saery'ego.

Mocno ścisnął ją za rękę, walcząc z chęcią wzięcia jej w ramiona.

— Na gwiazdy, Pei, tak mi przykro.

— To było bez sensu, Ashby, kompletnie bez sensu. Zaatakowali go w jakimś zaułku, kiedy byliśmy na Dresku. Wycięli mu łatkę i zabrali urządzenia, które odebrał tego dnia. Gdyby nie był sam...

— Hola. — Podniósł rękę i dotknął jej policzka. Do diabła z tym. — Hola. Nie wracaj tam.

Wtuliła na krótko policzek w jego dłoń, a potem cofnęła się, zerkając na korytarz.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam. Te ostatnie dziesięć dni... Chciałam do ciebie napisać, ale...



— Wiem — powiedział i uśmiechnął się. — Chodź. Pokażę ci mój statek i będziemy mogli porozmawiać. Zwiedzanie statku to przyzwoita czynność, prawda?

Na jej policzkach zagościła pełna rozbawienia zieleń.

— Tak.

— A co im powiedziałaś o sobie i o mnie?

— Że poznaliśmy się w Port Coriol zaraz potem, jak kupiłam statek. Spotkałam cię, kiedy wiozłam zapasy i czasami spotykamy się na drinka, kiedy dokujemy w tym samym miejscu.

— Hm. Prawda.

— No, przynajmniej jej niewinna część. Szczerze mówiąc, czułam się trochę dziwnie. — Jej policzki pożółkły. — Już przyzwyczyłam się kłamać na twój temat.

— Czuję się tak, jakbym powinien był zostawić buty przy drzwiach — powiedział Jenks do Kizzy, idąc za Oxlenem korytarzami aeluńskiej fregaty.

Kizzy skinęła głową. Widziała aeluńskie statki w doku, a na Konsolidatorze obrazy ich wewnątrz, ale znaleźć się w jednym z nich... To było jak spacer przez dzieło sztuki. Szarawe ściany były nieskazitelne, żadnego nitu czy panelu. Nie widziała pojedynczych źródeł światła, tylko ciągłe pasma łagodnej jasności, wydobywające się z zakrzywionego sufitu. Żadnych framug okien, żadnych widocznych filtrów powietrza. To był statek tak gładki i pozbawiony łączeń jak kamień. I milczący. Chociaż aeluoni zaopatrzyli się w środki przetwarzania dźwięku i mowy, potrzebowali ich jedynie do komunikowania się z innymi gatunkami. Na własnych statkach nie potrzebowali dźwięków. Nie było tam żadnych voxów, głośników alarmowych ani pikających i ćwierkających pulpików. Nawet odgłosy wydawane przez układy podtrzymywania życia i siatki sztugrawitacyjne były tak ciche, że Kizzy ledwie je słyszała (choć wątpiła, by ich ciche działanie

było celem samym w sobie; raczej były po prostu bardzo dobrze zaprojektowane). Brak dźwięków sprawiał, że statek wydawał się tym bardziej święty, jak świątynia wybudowana dla uczczenia dobrej techniki. Duże, hałaśliwe buty oraz podzwaniające pasy z narzędziami jej i Jenksa wydawały się nie na miejscu. Cieszyła się, że zdążyła się przebrać w stosunkowo czysty kombinezon.

— Układ podtrzymywania życia znajduje się tutaj — powiedział Oxlen.

Przyłożył dłoń do ściany i jej fragment rozplątał się. Przechodząc przez otwór, Kizzy dostrzegła jego ramę, wyraźne kontury drzwi, twarde jak najgrubszy plex.

— Co to za materiał? — zapytała Kizzy, gładząc dłonią ścianę. Zimny i mocny, ale pod spodem wyczuwała uśpioną elastyczność. — Jakiś reagujący polimer?

— Tak. Utrzymuje go w miejscu elektrostatyczna kratownica, która reaguje na bioelektryczne sygnały w naszej skórze.

— Rety. — Kizzy pochyliła się bliżej ściany i zmrużyła oczy. — Z czego jest zrobiony?

— To... Leży poza moją specjalnością. Na pewno można to sprawdzić w Konsolidatorze. — Weszli do pomieszczenia wypełnionego różnymi sprzętami. Wyglądały o wiele lepiej od tego, do czego była przyzwyczajona Kizzy, ale były rozpoznawalne. Oxlen pokazał na duże urządzenie, ciężkie serce znajdujące się pośrodku sieci rurek i przewodów. — To jest...

— Wasz regulator powietrza. — Kizzy wsparła się pod boki i przyglądała mu się, kiwając głową. — Wygląda bardzo podobnie do naszego.

— Tylko że jest o wiele ładniejszy — zauważył Jenks. — Sprawdź stabilizatory.

— Rety, spójrz na te zazębiające się uszczelki. Fantastyczne. Fantastyczne, fantastyczne, fantastyczne. — Odwróciła głowę do Oxlena. — Gdzie była

mina?

— W lewym górnym rogu. Upchnięta za... — Oxlen zrobił nieokreślony gest. — Tą bryłą z guzem na wierzchu.

Kizzy wspięła się po boku regulatora, uważając, by opierać się na najmocniejszych rurkach. Za węzłem przekaźnika — tą bryłą z guzem — znajdował się kawałek rozerwanego metalu, efekt silnego wyładowania energii. Wyjęła z pasa swoje soczewki i nasunęła je na głowę. Odciągnęła poszarpany metal i zajrzała do środka, widząc powiększony obraz.

— Oj — powiedziała. — Wszystkie węzły są spalone. Przekładniki filtra są schrzanione na dziesięć sposobów. Wasze boty remontowe dobrze je połatały, ale tu potrzeba czegoś więcej. Jasna cholera, spójrz na to. Rety.

Odsunęła soczewki, włożyła rękawice i sięgnęła do otworu.

— Co jest? — zapytał Jenks.

Kizzy macała palcami chronionymi rękawicą zgruchotane urządzenie.

— Jest rozwalony cały wał regulatora. Paskudna robota.

— Mam iść po arkusze wypełniające?

— Tak, i weź przy okazji swoje małe narzędzia. Tu jest cała płyta, na której będziesz musiał wymienić przewody. I przegryzki, Jenks, będziemy tu potrzebować całej góry przegryzek.

Potała lewe oko, odganiając senność. Zaczynała dzień, nie położywszy się do łóżka, ale to nie było nic nowego. Do pasa miała przypięty termos z herbatą szczęścia, a w kieszeni pakiecik ze środkami pobudzającymi, gdyby sytuacja naprawdę tego wymagała. Poradzi sobie.

— Więc możecie to naprawić? — zapytał Oxlen.

— O, tak — odparła Kizzy. Spojrzała mu w oczy i położyła sobie dłoń na sercu. — Wierz mi, że nie ma niczego, co chciałabym robić bardziej, niż naprawić ten sprzęt.

Rosemary siedziała na stercie pustych skrzynek po warzywach, pogryzając

dmuchane kulki z papryki. Obok niej Sissix opierała się o jeden ze zbiorników, w których Doktor Kucharz hodował robale. Zasłona oddzielająca magazynek od kuchni była odsunięta, ale nie do końca. Zastojka mruczała. Robale pomykały. To było dobre miejsce na plotki.

— Są tacy ładni — powiedziała Rosemary, spoglądając na aeluonów, którzy zajadali się kolacją przy stole. — Chciałabym mieć łuski.

— Ty to mówisz — rzekła Sissix. — Ciesz się, że nie masz skóry, która cała obłazi za jednym zamachem.

— Aeluoni lineją?

— Nie. Dranie.

Wzięła kilka kulek z miski na kolanach Rosemary.

— Jak ty ich postrzegasz? Wiem, że atrakcyjność jest względna — powiedziała Rosemary.

— To prawda, ale aeluoni są wyjątkiem. Są idiotycznie ładni.

Sissix rozgryzła kulki.

— Harmagianie zapewne się z tym nie zgadzają.

— Harmagianie nie mają tu nic do powiedzenia.

— Dlaczego?

— Bo nie mają kości i są pokryci mazią.

Rosemary zachichotała.

— To nie ich wina.

— Ale to prawda. — Sissix uśmiechnęła się szeroko. — Tylko na nich popatrz. — Skinęła głową w stronę aeluonów. — Popatrz, jak się ruszają. Nawet te drobiazgi. Jak to, zobacz, jak podniosła swój kubek. Oni się nie poruszają. Oni tańczą. — Wzięła jeszcze jedną garść kulek. — Przy nich czuję się jak... No, jak się nazywają te duże brzydkie gady, które macie na Ziemi? Te wymarłe?

— Hmm... — Rosemary wyteżyła mózg. — Nie wiem. Iguany?

— Nie wiem, co to są iguany. Nie mówię o tym, co przepadło podczas Zapaści. Mówię o tych starych gadach, o tych sprzed milionów lat.

— Dinozaury.

— Tak!

Sissix zgarbiła się, przyciągnęła ręce do tułowia, mocno ugięła nogi i w takiej pozycji obeszła magazynek, kiwając się niezdarnie.

Rosemary wybuchnęła śmiechem.

— Nie jesteś dinozaurem.

— Tego nie wiesz. Nie było cię tam. Może niektóre z nich zbudowały statki i odleciały.

Rosemary popatrzyła na Sissix. Wypolerowane zielone łuski. Odświeżone pióra. Skomplikowane zawijasy wymalowane na szponach. Spodnie wiszące na jej dziwnych biodrach. Nawet kiedy wygłupiała się wśród starych skrzynek i jadalnych robali, była śliczna.

— Jesteś za ładna na dinozaura — stwierdziła Rosemary.

Poczuła, że się zarumieniła. Miała nadzieję, że tego nie widać.

— Co za ulga — powiedziała Sissix i się wyprostowała. — Jeśli dobrze pamiętam, nie miały zbyt wiele szczęścia. Co to było? Promienie gamma?

— Zderzenie.

— Fatalnie. W galaktyce przydałoby się trochę więcej gadów.

— Szczerze mówiąc, dzięki temu, że wymarły, zrobiło się miejsce dla nas, dziwacznym futrzaków.

Sissix roześmiała się i przyjaźnie uścisnęła Rosemary za ramię.

— A ja lubię was, dziwaczne futrzaki.

Rosemary uśmiechnęła się i wstała.

— Chcesz musującego soku? — zapytała, podchodząc do chłodziarki.

— Poproszę. Te kulki dają kopa. — Kiedy Rosemary szukała napojów, Sissix obserwowała aeluonów. — Słyszałam, że spotkanie ich w walce jest

przerazające. Żadnych wrzasków czy odgłosów. Tylko garść milczących osób zbliżających się, by cię zabić.

— Uch. — Rosemary podała Sissix oszronioną butelkę z sokiem melonowym. — To upiorne.

— Słyszałaś o bitwie o Tkrit? — zapytała Sissix. Popatrzyła na trzymaną w ręce butelkę z długą szyjką. — Potrzebuję kubka dla aandrisków.

— Och, jasne, przepraszam. — Rosemary przeszła przez drzwi i otworzyła znajdującą się za nimi szafkę. Szukała czegoś, z czego mogłaby pić osoba pozbawiona warg. Przy ladzie po drugiej stronie kuchni pojawił się Corbin i nalewając sobie kubek herbaty ze wspólnego dzbanka, zerknął przelotnie w ich stronę. Sissix nie skinęła mu głową, ale Rosemary zauważyła, że jej pióra leciutko się zjeżyły. — Co to jest bitwa o Tkrit?

— Potyczka o terytorium z czasów przed WG, kiedy wszyscy jak najszybciej chwytałyśmy planety nadające się do zamieszkania. Jedno z nielicznych starć aeluonów i aandrisków. Właściwie tak naprawdę utarczka. Nigdy nie byliśmy formalnie w stanie wojny. Wieść niesie, że późno pewnej nocy do bazy na Tkrit zakradły się trzy grupy aeluońskich żołnierzy. W kompletnej ciszy, jak mówiłam, nadchodzili ze wszystkich stron.

— I co zrobili aandriskowie? — zapytała Rosemary, podając Sissix kubek. Sissix pokazała w uśmiechu zęby.

— Zgasili wszystkie światła. Aeluoni nie widzą w podczerwieni.

Rosemary wyobraziła sobie, że znajduje się w budynku pogrążonym w całkowitej ciemności i pełnym milczących żołnierzy zabijanych niewidocznymi szponami sięgającymi przez czerń. Zadrzała.

— A skoro już mówimy o aeluonach, to bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie jest nasz kapitan. — Sissix odwróciła się do voxu. — Hej, Lovey.

— Nie — odparła SI.

Sissix i Rosemary wymieniły rozbawione spojrzenia.

— Nie? — powtórzyła aandriska.

— Słyszałaś. Nie ma mowy.

— Proszę. Nie musisz mówić, co robią, powiedz mi tylko, gdzie...

— O, nie! Chyba mam... Jakiś problem... Z obwodem. Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać.

Vox się wyłączył.

Rosemary i Sissix roześmiały się, lecz ich wesołość zgasła, bo do magazynku zbliżył się Corbin.

— Wiecie, kiedy wrócą Kizzy i Jenks? — zwrócił się bezpośrednio do Rosemary. — Nie ma ich już pięć godzin.

— Przykro mi, nie wiem.

— Jakieś przybliżenie?

— Naprawdę nie mam pojęcia.

Corbin prychnął.

— Mieszarka, którą wymienili w zeszłym dziesięciodniu, znowu się zatkała, a czujniki nie reagują. Mam jeden pojemnik na granicy lepkości.

Rosemary chciała zauważyć, że aeluoni mają statek, w którym kończy się powietrze, ale jeśli Sissix potrafi się ugryźć w język, potrafi to zrobić i ona.

— Jeśli zobaczą ich przed tobą, to pošlę ich do ciebie.

— Będę wdzięczny.

Kiwnął głową i odszedł.

Rosemary odwróciła się do Sissix, która przyglądała się czemuś w swoim kubku.

— Co jest?

Sissix odetchnęła, jakby budziła się z głębokiego zamyślenia.

— Och, po prostu zastanawiałam się, czyby nie powiedzieć aeluonom, że Corbin jest roskańskim szpiegiem.

Rosemary parsknęła śmiechem.

— Na pewno dobrze traktują więźniów.

— I o to chodzi. Wątpię, czy taki cywilny statek ma możliwość transportowania schwytanych szpiegów. — Upiła soku. — Ale mogę się założyć, że dobrze wykorzystują służę.

Klucz wypadł Kizzy z ręki i spadł z hałasem za regulator.

— Aj.

Zeszła po rurkach między urządzenie i ścianę.

— Mam ci go przynieść? — zapytał Jenks.

— Nie, mam mnóstwo miejsca.

Kizzy zeskoczyła na podłogę i zaczęła szukać narzędzia. Po kilku krokach zatrzymała się. Coś było nie tak. Odwróciła się i spojrzała na ścianę. Znajdował się tu włącz, ale nie wtapiał się prawidłowo w otaczającą go strukturę. Biegący wokół niego szew migotał, jakby ktoś włączał i wyłączał włącz szybciej, niż ten mógł reagować.

— Halo, Oxlenie! — zawołała Kizzy.

— Tak?

— Czy jest tu z tyłu wejście dla obsługi?

— Chyba tak, a co?

— Wygląda na to, że się popsuło. — Kizzy chwilę myślała nad działaniem ścian. — Czy coś może zakłócać siatkę strukturalną? Jakiś rozchwiany obwód czy coś takiego? Coś, co wytwarza sygnał?

— Chyba tak. Naprawdę nie wiem. Myślisz, że mina uszkodziła włącz?

Kizzy spojrzała na regulator. Węzeł przekaźnika znajdował się bardzo wysoko. Pokręciła głową.

— Wątpię. Tu na dole nie ma żadnych innych uszkodzeń.

Przycisnęła dłoń do włączu. Czowała, jak polimer pod jej palcami przechodzi w stan ciekły — chociaż nie było to do końca odpowiednie określenie, ponieważ ściana nie zrobiła się mokra. Tylko... płynna. Kizzy roześmiała się



cicho.

— Super.

Płyta wtopiła się w ścianę, odsuwając się na bok. Framuga drgała, ale trwała w miejscu. Kizzy wetknęła głowę w ścianę i włączyła dwie świekulki przymocowane do soczewek.

W ścianie biegły rurki kabli zasilania, rury paliwowe, rury kanalizacyjne — wszystko, czego można się spodziewać w ścianie statku. Kizzy weszła do środka. Znalazła się w wąskim przejściu technicznym, na którym mógł się zmieścić jeden tech. Prowadziło w górę i znikało w ciemniejszych rejonach wnętrza statku. Kizzy rozejrzała się w poszukiwaniu iskrzącego obwodu albo przeciekającej rury.

Jej uwagę zwrócił żółty rozbłysk. Tuż nad jej głową w zasięgu ręki do wiązki rur paliwowych przywarł dziwny przedmiot. Płaski, czarny, okrągły. Jak metaliczna meduza z zaciśniętymi ramionami. Wyraźnie się różnił od otaczających urządzeń, lecz Kizzy nie umiała go zidentyfikować. Pojawił się następny rozbłysk, a po chwili jeszcze jeden.

— Co, u diabła... — mruknęła.

Sięgnęła w stronę przedmiotu, lecz zanim zdążyła go dotknąć, zamarła. Kątem oka zauważyła kolejny rozbłysk. Zadarła głowę, patrząc wzdłuż przejścia. Kilka kroków dalej znajdował się następny taki przedmiot. A dalej jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Zgasiła świekulki. Ciąg rytmicznie błyskających, rozmieszczonych w równych odstępach żółtych światełek ginął w ciemności.

Kizzy z rosnącym przerażeniem uświadomiła sobie, co to jest.

Rzuciła się plecami na ścianę jak oparzona. *Uciekaj*, pomyślała. *Uciekaj*. Ale nie uciekała. Patrzyła.

— Kizzy? — zawołał Jenks. — W porządku?

Z trudem przełknęła ślinę, usiłując zwilżyć usta.

— Miny — powiedziała.

— Co takiego?

— Miny — powtórzyła głośniej. — Ściana. Cała pieprzona ściana. Jest pełna min.

I to dużych. Wcześniej znalazła kawałek obudowy, tej, która uszkodziła regulator powietrza. Nietknięta, miała zapewne szerokość jej małego palca. Te miały rozmiary rozcapierzonej dłoni. Takie duże miny nie miały uszkodzić jakiegoś wydzielonego układu. One miały spowodować wybuch.

W pomieszczeniu Jenks i Oxlen robili dużo hałasu, rozmawiając ze sobą i wzywając kapitanów. Kizzy słyszała ich jakby z oddali. W uszach jej waliło. Zaczęły jej drzeć mięśnie. Jej ciało błagało, by się oddaliła. Lecz przez tę panikę przedarła się spokojna myśl: *Kiedy wybuchną?* Kizzy zastanowiła się nad tym. Jeśli wybuchną za kilka sekund, to ucieczka niczego nie zmieni, ani dla niej, ani dla statku towarowego, ani dla „Wędrowca”. Ale jeżeli jest jeszcze trochę czasu, choćby tylko parę minut, to może... Mogłaby?

Spojrzała na najbliższą paskudną metalową meduzę. Ładunek wybuchowy czy nie, to wciąż jest maszyna. Kizzy rozumiała, jak działają maszyny. Maszyny działają według zasad.

— Oxlenie! — zawołała. — Czy któryś z tych żołnierzy jest przypadkiem technikiem broni?

— Co? Nie, nie, to tylko wartownicy, nie mamy nikogo, kto...

Kizzy już nie słuchała reszty. Odpięła od pasa obciążki, z powrotem włączyła świekulki i wspięła się wyżej.

— Kizzy — odezwał się Jenks. — Kizzy, musisz stamtąd wyjść.

— Cicho. Daj mi minutkę.

— Możemy nie mieć minutki, wyłaź stamtąd, Kizzy.

— Jeżeli nie mamy minutki, to to, gdzie jestem, nie ma żadnego

pieprzonego znaczenia.

— Kizzy... — zaczął Oxlen.

Kizzy ustawiła soczewki skanujące we właściwej pozycji.

— Zamknijcie się obaj. Mogę to zrobić. Tylko się zamknijcie.

Gdzieś bardzo daleko rozlegały się krzyki i brzękanie — to pewnie Jenks przechodził przez rury, żeby się do niej dostać. Nie zwracała na to uwagi. Zajrzała przez soczewki do serca miny. Całe jej wnętrze tworzył materiał wybuchowy — kedrium, sądząc po jego gęstości — co stanowiło naprawdę świetną wiadomość. Po pierwsze, oznaczało to, że mechanizmy wywołujące wybuch znajdują się na zewnątrz obudowy i w środku nie ma niespodzianek, o które musi się martwić. Jeszcze lepsze było to, że Kizzy знаła kedrium. Kiedy była nastolatką, została uziemiona na całą letnią przerwę za to, że za pomocą jego kostki wysadziła ze znajomymi w powietrze stary śmigacz ze złomowiska. Tani materiał wybuchowy używany do rozbijania skał. Można go było kupić we wszystkich miejscach, gdzie robiło się przystanki na zakupy. Jeśli mina wykorzystywała kedrium, oznaczało to, że muszą być dwa zapalniki — jeden do uruchomienia urządzenia podgrzewającego, a drugi do wywołania wybuchu kedrium, kiedy było już na tyle gorące, by eksplodować. Kizzy zdjęła rękawice i powiodła dłońmi wzdłuż krawędzi miny. Zimna. Dobry znak. Powiodła palcami po miejscach łączenia. Jest. Przesunęła się, żeby mogła się zgarbić pomiędzy rurami paliwowymi. Z tego miejsca widziała guzki zapalników sterczące z tyłu obudowy, otoczone wyschniętymi kropelkami szczeliwa. To nie było jakieś wymyślne urządzenie wojskowej klasy. To była partanina.

Chwyciła obciążki zębami i wyjęła z pasa rozgrzewane szydło. Pod jego gorącym czubkiem szczeliwo syczało i topniało. Przywróciła soczewki do ustawienia powiększającego. *Dobra. To mi wygląda na zapalnik główny, więc po prostu go oderwę.* Żółte światelko mrugało jednostajnie. *Jest*

*podgrzewacz. A tu...* Wstrzymała oddech i oderwała guzek od obudowy. Ciągnął się za nim kabelek. Upuściła szydło na podłogę i wyjęła obciążki z ust. Zaczęła jej drzeć ręka. Obciążki klekotały. Przecięła kabelek.

Światelko zgasło.

— Kizzy...

Podważyła element wybuchowy i wyjęła go z wypatroszonej obudowy. Trzymała go w dłoni. Ciężki. Zimny. Nieszkodliwy. Wyrwało jej się drżące westchnienie. Zakręciło jej się w głowie. Oparła się o ścianę i osunęła na podłogę, przyciskając wolną dłoń do czoła.

— Jasna cholera — powiedział Jenks z włazu. — Udało ci się.

Kizzy odetchnęła głęboko. Mięśnie drżały jej jeszcze bardziej. Roześmiała się.

Jednym z problemów z mówiskrzynkami było to, że korzystanie z nich wymagało dużej koncentracji umysłowej. Jeśli dana osoba miała rozproszoną uwagę, wygenerowane komputerowo słowa stawały się bełkotem. Przydarzyło się to teraz Pei; Ashby nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej. Stała, przepelniona złością, nad kawałkami rozbrojonej miny, które Kizzy położyła na stole. Policzki miała fioletowe z gniewu, ciemne niczym sińce.

— Nie mogę... Dranie na... Co moglibyśmy... Sprowadziliśmy na was... Przepraszam...

— Pei — powiedział Ashby. Uniósł dłoń, starannie dobierając słowa i ton. Otaczały ich załogi jego i jej. On był zaniepokojony, ona wściekła, a załogi się bały. W takiej sytuacji któreś z nich z łatwością mogłoby popełnić błąd. — Spróbuj zwolnić.

Nabrała spazmatycznie powietrza. Kolory na jej policzkach nasiliły się.

— Saery. Nie wierzę, że to był przypadek.

— Co masz na myśli? — zapytała Sula, niska aeluonka.

— Pomyśl. Jeśli aeluni sypią ci piaskiem w zęby, a ty chcesz wyrządzić

im szkody, to po co zawracać sobie głowę jednym statkiem towarowym, skoro można by zniszczyć węzeł dokujący? Albo stację napraw?

Policzki Oxlena pociemniały. Przy stole widać było dużo fioletowych twarzy.

— Zniszczyli bardzo ważny układ, żebyśmy musieli zatrzymać się na naprawy. Pomyśleli, że zawiniemy do jakiegoś portu. Dlatego miny jeszcze nie wybuchły. Ustawili je na kilka dni, bo tyle czasu zajęłoby nam dotarcie do portu. Nie przewidzieli, że po drodze otrzymamy pomoc.

Sula zmrużyła oczy.

— I zadbali o to, żebyśmy nie mieli technika, który by to naprawił. On nie został tak po prostu napadnięty. Musieli go obserwować.

Pei postąpiła kilka kroków w stronę okna, przyciskając do boków zaciśnięte pięści. Ashby wbił ręce w kieszenie i przycisnął stopy do podłogi. Sissix złowiła jego spojrzenie. Niemal niezauważalnym ruchem przekazała mu aandriski gest współczucia.

— Złościć się możemy później — rzekła Pei, odwracając się do nich. Jej policzki zmatowiały do przygaszonego błękitu. — W tej chwili mamy większy problem. Ashby, trudno mi uwierzyć, że cię w to wplątałam. Przykro mi.

— A mnie nie — odparł Ashby. — Gdyby nie Kizzy, moglibyście nie wiedzieć, że coś jest nie tak.

— Widzicie, dlatego boty remontowe są głupie — stwierdziła Kizzy. — Jest tyle rzeczy, których nie...

Jenks położył jej dłoń na rękę.

— Nie teraz, Kiz.

Tek wzięła do ręki jeden z fragmentów miny.

— To musiał być któryś z dokerów. Przedostał się, kiedy inni rozładowywali statek. To nasza wina. Powinniśmy być bardziej czujni.

— Nikt się tego nie spodziewał — rzekła Pei. — Wożę towary od dziesięciu standardów i ilekroć ktoś chce dostać ode mnie część tego, co mam, przychodzi bezpośrednio do mnie. Nigdy nie miałam do czynienia z czymś tak pokrętnym.

Drugie powieki Tek nasunęły się i natychmiast znowu odsunęły.

— Nie rozumiem, dlaczego po zadaniu sobie całego tego trudu, żeby dostać się na nasz statek, posłużyli się tak prymitywną techniką.

— Jeśli dokowaliście w publicznym porcie, to jedyny sposób, w jaki mogli to zrobić — powiedział Jenks. — Jak mieli przenieść w pełni zmontowane materiały wybuchowe przez wszystkie zabezpieczenia? O wiele łatwiej jest wnieść części osobno i złożyć je gdzieś w jakiejś komórce. Kedrium ma różne legalne zastosowania. Łatwo go przemyścić. A reszta to już tylko drobiazgi.

— Cieszcie się, że tak to zrobili — dorzuciła Kizzy. — Inaczej niczego bym nie znalazła. Powinni byli zatrudnić lepszych techników. — Zerknęła w górę na aeluońskich żołnierzy. — Albo, to znaczy, no, tak.

Porwała ciasteczko z pobliskiego talerza i wepchnęła je sobie do ust.

Pei bębniła palcami po stole.

— Jesteście pewni, że nie ma ich w innych miejscach na statku?

— Całkowicie — odparł Oxlen. — Kiedy wiedziałem, czego szukać, przeprowadziłem pełne skanowanie.

Policzki Pei zalała fala kolorów. Ashby wiedział, co to oznacza — wahanie.

— Kizzy. Wolałabym nie zadawać tego pytania, ale muszę...

— Tak, mogę to zrobić — powiedziała Kizzy. Spojrzała Ashby'emu prosto w oczy, zanim w ogóle zdołał się odezwać. — Mogę. Pogrzebałam w urządzeniu zegarowym; miny mają wybuchnąć za trzy dni. To o wiele więcej czasu niż potrzebuję.

— Nie wątpię, że możesz to zrobić — rzekł Ashby. — Ale to, że zajęłaś się jedną, nie oznacza, że inne nie mogą wybuchnąć.

— Jeśli nic nie zrobimy, to wybuchną wszystkie.

Ze swojego wygodnego miejsca przy kuchennej ladzie odezwał się Corbin:

— Czy to byłoby takie złe? Ta... sytuacja naraża nas wszystkich na ryzyko. Bez urazy, pani kapitan, ale to nie nasz problem. — Sissix otworzyła usta, ale Corbin mówił dalej. — Na pewno moglibyśmy wszystkich was wysadzić w miejscu, z którego znaleźlibyście transport do celu waszej podróży. Spiszmy statek na straty i podrzucimy was, dokąd chcecie. Może nawet znaleźlibyśmy miejsce na część waszego ładunku, tylko musicie dokonać selekcji.

Pei spojrzała na dwoje żołnierzy. Kolory na ich twarzach zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Minęła minuta.

— No więc... — zaczęła Kizzy.

Jenks zmarszczył brwi.

— Oni rozmawiają, Kizzy.

— Ojej. — Zakryła usta dłonią. — Jasne.

Pei odetchnęła.

— Przepraszam. Problem w tym, że nasz ładunek jest... ważny. Żołnierze uważają, że jeśli istnieje szansa uratowania go w całości, to musimy ją wykorzystać. — Spojrzała Ashby'emu w oczy. — I fatalnie się czuję, że to mówię, ale jestem skłonna się z tym zgodzić. Nie dlatego, że to jest mój statek albo że chcę otrzymać zapłatę. To, co przewozimy... To naprawdę może pomóc. Przepraszam. Nie mogę... — Zerknęła na żołnierzy. — Nie mogę wyjaśnić więcej.

Ashby spojrzał na Kizzy.

— Nie zamierzam cię do tego zmuszać.

Kizzy skinęła głową z większym spokojem, niż kiedykolwiek u niej widział Ashby.

— Już powiedziałam. Mogę to zrobić. — Wzięła do ręki element wybuchowy. — Kiedy to rozbierałam, byłam przerażona. Teraz jestem w stu procentach spokojna. Jeżeli potrafiłam je rozbroić, kiedy robiłam w spodnie, to potrafię to zrobić teraz. — Uśmiechnęła się do Rosemary, która przygryzała wargę. — Wiem, jak to zrobić.

— Idę z tobą — powiedział Jenks. — We dwójkę pójdzie szybciej.

— Nie — rzekła ze spokojem Kizzy. — Mimo wszystko coś mogłoby pójść nie tak.

— Tym bardziej potrzebujesz pomocy.

— Tym bardziej powinienesz zostać. — Obracała element w dłoniach. — Jeśli coś pójdzie nie tak, „Wędrowiec” nadal będzie potrzebował technika.

Jenks wbił w nią wzrok.

— Nie mów tak.

Słyszeli go wszyscy przy stole, lecz w jego głosie brzmiało miękkie napięcie przeznaczone wyłącznie dla jej uszu.

— Powinniśmy odsunąć statki jak najdalej od siebie — odezwał się Corbin. — Gdyby coś rzeczywiście poszło nie tak, nasz statek musi być chroniony.

Pei skinęła głową.

— To mądre posunięcie. Póki Kizzy będzie zajmować się minami, moja załoga zostanie tutaj. Ja pójdę z Kizzy.

— Po co? — zapytał Ashby, zanim zdołał pomyśleć.

Lecz nie był osamotniony. Policzki pozostałych aeluonów zabarwiły się zdenerwowaniem.

— Ja pójdę — powiedziała Tek. — Jestem tu po to, by chronić ładunek.

— To mój statek — rzekła Pei.



— Jesteś cywilem.

— To mój statek — powtórzyła z naciskiem Pei i pochyliła się z feerią barw na policzkach. Cokolwiek powiedziała, wystarczyło, by Tek się wycofała. Pei zwróciła się do Kizzy: — Nie poproszę członka innej załogi o podjęcie ryzyka, do którego podjęcia sama nie jestem gotowa. — Spojrzała na Ashby'ego. — Nie martw się. Jak zobaczymy coś, z czym nie damy sobie rady, to szybko się stamtąd wyniesiemy. Zajmę się nią.

Ashby westchnął i przywołał na twarz najodważniejszy uśmiech, jaki zdołał.

— Wiem.

*Ale kto się zajmie tobą?*

Kizzy stała przed otwartym włazem z narzędziami w ręce i pustym wzrokiem. W ciemności błyskały żółte światełka. Czekały na nią. Nie ruszała się.

Pei położyła jej rękę na ramieniu.

— Znajdujesz odwagę?

Kizzy pokręciła głową.

— Nie. Nic mi nie jest.

Pei mrugnęła na boki swoimi dziwnymi powiekami.

— To nie jest owo ludzkie zachowanie, kiedy człowiek udaje, że się nie boi, prawda?

— Nie. Naprawdę, nic mi nie jest. — Weszła do ściany. Pei szła za nią, ale zatrzymała się przy włazie. Kizzy podeszła do najbliższej miny. Wydawała się mniejsza od tamtej pierwszej. Włączyła świekulki i wzięła się do pracy ze spokojnymi dłońmi i cichym oddechem. — To jest ludzka cecha? Nie robią tak wszyscy?

— O, nie. To ludzka cecha. Widzisz?

Pokazała na kolorowe plamy na swoich policzkach pokrytych delikatną

łuską.

Kizy przerwała pracę i spojrzała w górę.

— Nie wiem, co to oznacza. — Zrobiła przepraszającą minę. —  
Przepraszam, ja właściwie nie znam żadnych aeluonów.

— Są czerwone? Głównie? Może z niewielkim dodatkiem żółtego?

— Tak. Utworzyły się jakby zawijasy.

— Tak. Jestem przerażona. — Pei przekrzywiła głowę. — I jestem ciekawa, dlaczego ty nie.

Kizy zacisnęła usta i spojrzała na uzbrojoną minę.

— Nie wiem. Kiedy je znalazłam, byłam strasznie przerażona, ale teraz nie jest tak źle. Może jestem zdenerwowana, ale tylko tyle, jakbym pracowała na zewnątrz albo gasiła pożar obwodu. Jest problem, i to poważny, ale ja się czuję dobrze. Tak naprawdę nie rozumiem dlaczego, ale tak jest.

— Zbadałaś sytuację i masz pewność, że potrafisz jej zaradzić. To ma sens.

— Chyba tak.

Zamilkły. Kizy unieszkodliwiła minę, stapiając szczerliwo i przecinając kabelki. Kiedy element wybuchowy znalazł się w jej dłoni, Pei głośno odetchnęła. Dziwnie było usłyszeć dźwięk wydobywający się z jej ust, a nie z mówiskrzynki.

— Na gwiazdy — powiedziała Pei. — Czuję się taka bezużyteczna, nie mogąc pomóc, ale i tak nie wiem, czy umiałabym to zrobić.

— Naprawdę? — zapytała Kizy, posuwając się dalej wzdłuż przejścia. — Ty masz do czynienia z takim gównem cały czas. No wiesz, broń wymierzona w twoją twarz, złe typki na twoim statku i w ogóle.

— Broń i... Złe typki, tak. Ale z takim gównem — tu Pei skinęła głową w stronę min — nie mam do czynienia cały czas. Temu nie umiem zaradzić. I to mnie przeraża. Niewiele jest rzeczy tak niepokojących, jak brak

panowania nad nietypową sytuacją.

Kizy uniosła narzędzia, wróciła cisza. Przykucnęła, by przyjrzeć się szczeliwu. Zmarszczyła brwi i opuściła na oko jedną z soczewek powiększających.

— O cholera.

Właściwie usłyszała, jak Pei napięła mięśnie.

— Co jest?

— Nie martw się, nic poważnego. — Zmrużyła oczy, a potem nimi przewróciła. — Co za partacze. Pozwolili, żeby szczeliwo dostało się do rowka kablowego.

— Czy to niedobrze?

— Nie, tylko głupie. Będę musiała je topić w bardzo niskiej temperaturze, żeby kedrium nie zrobiło się za gorące.

— A to niedobrze, prawda?

— Byłoby niedobrze, ale do tego nie dojdzie. Zajmie mi to jednak cholernie dużo czasu. Idioci. — Westchnęła, montując na rozgrzewanym szydle mniejszą końcówkę, i ustawiła pokrętko temperatury na niższą wartość. Przez chwilę nic nie mówiły. Kizy już zaczynała boleć szyja od ciągłego kulenia się. — Posłuchaj. Wiem, że wcale cię nie znam, ale czy mogę ci zadać pytanie?

— Biorąc pod uwagę to, co robisz dla mojego statku, powiedziałabym, że masz prawo pytać, o co chcesz.

— To dobrze. — Nie odrywała oczu od szczeliwa. — No dobra, broń. Ustaliśmy, że masz z nią często do czynienia.

— Masz na myśli posługiwanie się bronią czy bycie nią poszturchiwaną?

— Chyba jedno i drugie. To znaczy bardziej sytuacje, gdzie wszyscy są rozzłoszczeni i gdzie jest broń.

— Nie wiem, czy to się zdarza często. Ale może tobie częściej niż

większości osób.

— Na tyle, że się tego nie boisz.

— Tego nie powiedziałam.

— Powiedziałaś.

— Powiedziałam, że często się z tym stykam. To duża różnica.

— Ale jak przestajesz się tego bać? Wtedy, kiedy to się dzieje?

— Nie rozumiem.

Górna powierzchnia szczeliwa zaczęła błyszczeć.

— No, tak jakbyś powiedziała, że możesz nad tym panować. Chcę powiedzieć, że jeśli celujesz do kogoś z broni, a ten ktoś odpłaca ci tym samym, to musisz nie być przerażona, żeby sobie z tym poradzić, tak?

— To... Tak nie działa. — Po chwili Pei zapytała: — Chodzi ci o akaraków?

— Słyszałaś o tym.

— Tak. Wciąż się tym gryziesz?

Kizzy oblizwała usta. *Pieprzyć to. Za godzinę możemy być martwi.*

— Od tamtego czasu bardzo źle sypiam, a nie umiem wymyślić, jak mam o tym porozmawiać z moją załogą. I jestem zmęczona, po prostu wykończona, ale tak się boję, że obudzę się i zobaczę celujących do mnie obcych, że nie mogę spać. Muszę albo się otumanić kroplami, albo tyle pracować, żeby padać na nos. I wiem, że to głupie. Wiem, że to, co się nam przytrafiło, było wyjątkowe, i że prawdopodobnie już się nie powtórzy. Ale bardziej boję się tego niż tej ściany śmierci, na którą teraz patrzę. Ja po prostu... Mówię bez sensu i jestem za to na siebie wkurzona. — Połaskotał ją w nozdrza gryzący zapach topiącego się szczeliwa. Szturchnęła je palcem. Zrobiło się miękkie, ale wciąż mocno trzymało. — Na gwiazdy, top się już!  
— Zatknęła za ucho luźny kosmyk włosów. — Przepraszam. Nie powinnam była wylewać tego wszystkiego na ciebie. To musi brzmieć strasznie głupio.

— Nie brzmi głupio. Chociaż zastanawiam się, dlaczego mówisz to mnie.

— Bo znasz się na tych sprawach. Pomyślałam, że może... Po prostu chcę wiedzieć, jak mam żyć z wiedzą, że może się przydarzyć takie gównno, i nie bać się tego.

Pei przez chwilę nic nie mówiła.

— Kizzy, ja się boję wszystkiego cały czas. Kiedy mam lądować na planecie, boję się, że mój statek zostanie zestrzelony. Boję się, że podczas walki pęknie moja kamizelka. Boję się, że kiedy następnym razem będę musiała dobyć broni, ten drugi będzie szybszy. Boję się robienia błędów, które mogą zaszkodzić mojej załodze. Boję się nieszczęlnych bioskafandrów. Boję się warzyw, które nie zostały dobrze umyte. Boję się ryb.

— Ryb?

— Nie widziałaś ryb na mojej rodzimej kolonii. Mają bardzo cienkie zęby.

— Ale jak ty sobie z tym radzisz?

— Z czym?

— Ze strachem przed tym wszystkim.

— Pytasz, jak to jest, że ja mogę spać, a ty nie. O to pytasz?

— Tak.

— Nie wiem. Może inaczej to przyjmujemy. W sumie reprezentujemy różne gatunki. — Przerwała na chwilę. — A może nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kogoś zapytać o to, o co ty pytasz mnie. Nigdy nie myślałam o strachu jako o czymś, co może zniknąć. On po prostu jest. Przypomina mi, że chcę utrzymać się przy życiu. To nic złego.

— Zaczekaj, chwila — powiedziała Kizzy. Stopione szczeliwo zaczęło kapać na podłogę. *Nareszcie*. Odpięła od pasa cienkie obciążki i wyciągnęła kabelek z przezroczystej mazi. Opuściła soczewki i przyjrzała się elementowi wybuchowemu. Ciepły, ale nie na tyle, by sprawić kłopoty. Skinęła z zadowoleniem głową, przecięła kabelek i wytarła rękę o spodnie. — Dobra,

gotowe. — Spojrzała wzdłuż przejścia, gdzie czekały mrugające światełka. — To może dziwnie zabrzmieć, ale naprawdę miło wiedzieć, że boisz się ryb. I tych innych rzeczy.

Kizzy nie potrafiła odczytać, co wyraża twarz Pei, ale aelunonka wyglądała na rozbawioną.

— Cieszę się, ale nie bardzo rozumiem. Chyba nie odpowiedziałam na twoje pytanie.

— Odpowiedziałas.

Poruszyła palcami i oderwała element wybuchowy.

— Nie podoba mi się, że poznaliśmy cię dopiero teraz. Zwłaszcza w tych okolicznościach. — Obejrzała się na Pei. — Wiem, że to dla ciebie trudne, ale zawsze możesz zatrzymać się u nas. Znam pewnego exodańskiego kapitana, któremu bardzo by się to spodobało.

— Mnie też by się spodobało — odparła Pei. Przez chwilę milczała, a jej policzki przybrały pomarańczowy kolor. — Może kiedyś. — Odetchnęła i skinęła głową w stronę przejścia. — Ale najpierw nie dopuśćmy do tego, żeby mój statek się rozpadł.

Jenks odchylił się do tyłu, przyjmując na piersi ciężar pudła ze śrubami, które trzymał w rękach. Czując ból, wyniósł pudło z windy towarowej i zaniósł je do Akwarium. Na ławce ogrodowej siedział Ashby i patrzył przez okno na plamkę, która była statkiem Pei. Jenks obszedł ławkę i stanął tak, żeby Ashby go zobaczył.

— Cześć — powiedział.

Ashby odwrócił głowę.

— Cześć.

Jenks przewrócił pudło do góry dnem. Śruby wypadły na podłogę ciężkim deszczem.

— Tu jest kilkaset śrub. Mają różne kształty i rozmiary, a Kizzy zawsze

trzyma je w jednym pudle. Doprowadza mnie to do szafu.

Ashby zamrugał.

— Dlaczego znalazły się na podłodze?

— Bo je posortujemy. Posortujemy je na ładne, zgrabne kupki. A potem umieścimy te kupki w mniejszych pudełkach, żebym nie musiał robić wykopalisk, kiedy będę potrzebował jakiejś śruby.

— Rozumiem. — Ashby znowu zamrugał. — Dlaczego to robimy?

— Bo jakiś osioł wyrzucił je na podłogę i trzeba je pozbierać. A skoro trzeba je pozbierać, to równie dobrze możemy je przy okazji posortować. — Jenks usiadł i oparł się wygodnie o żardinierę. Zaczął wybierać śruby. — Bo widzisz, moja najlepsza przyjaciółka w galaktyce znajduje się teraz we wnętrzu ściany na innym statku i rozbraja partackie miny. Jest tam ciemno i prawdopodobnie poobcierała sobie palce, wyciągając te wszystkie kabelki, a ja dostaję sraczki ze strachu, że coś może pójść nie tak, bo naprawdę nie wiem, co bym bez niej zrobił. I nie mogę nijak pomóc. Nic nie mogę zrobić. Kompletnie nic. Wiem, że jest najlepsza do tej roboty i że nie potrzebuje mojej pomocy. Ale ma do czynienia z niebezpiecznym głównem i jest to całkowicie poza moją kontrolą. Chcę coś zrobić, ale to, że nie mogę, doprowadza mnie do szafu. Nie mogę nawet palić, bo są tu aeluoni. Więc dobrze. Będę sortował śruby. — Podniósł wzrok na Ashby'ego. — I myślę, że ktoś, kto ma podobne myśli, powinien się do mnie przyłączyć.

Ashby potarł brodę.

— Dlaczego?

Jenks odgarnął dłonią śruby, robiąc miejsce do pracy.

— Bo to zajmie kilka godzin i trzeba to zrobić. I jest lepsze od gapienia się przez okno.

Ashby przez chwilę siedział w milczeniu. A potem pochylił się i splótł dłonie palcami.

— Sortujemy je według wielkości czy kształtu? — zapytał rzeczowym tonem.

— Najpierw kształtu. Potem zrobimy podkupki według wielkości.

— Przynieść nam trochę kopa?

— Tak byłoby najlepiej.

Kizzy i Pei wróciły na „Wędrowca” jakieś dwie godziny później. Za ścianą było czterdzieści sześć min, teraz rozebranych na części. Ku sporemu rozczarowaniu Kizzy kedrium zostało wyrzucone w przestrzeń kosmiczną, a Pei tak na wszelki wypadek przeprowadziła jeszcze dwa skanowania statku. Kizzy bolały ręce, miała sztywne plecy, a od mrużenia oczu w ciemności głowa pękała jej z bólu. Cieszyła się, że wróciła do domu.

Kiedy wyszła ze śluzy powietrznej, wszyscy ją obskoczyli. Sissix tak mocno ocierała się twarzą o jej głowę, że rozczochrała jej włosy, Rosemary zwilgotniały oczy, a Jenks uścisnął ją jak nigdy. Lovey rozwodziła się nad tym, jak się martwiła i nawet Ohan zeszli na dół, zataczając się na słabych nogach, żeby z szacunkiem jej się ukłonić.

Czuła się jak bohaterka.

Doktor Kucharz zrobił dla wszystkich olbrzymią kolację — robale czerwonego wybrzeża, smażone korzenie kolcogrzbietu i pikantny chrupki słony groszek. Aeluoni początkowo bardzo się dziwili robalom — w sumie to były dla nich szkodniki — ale przekonali się do nich, może bardziej ze względu na to, że to było coś nowego. Wszyscy przerzucali się historyjkami i żuli, a po chwili można było niemal zapomnieć, że w równoległym wszechświecie wszyscy mogli już być martwi.

W pewnej chwili zarówno Sissix, jak i Oxlen ze zmarszczonymi brwiami i minami popatrzyli na zegary na swoich notkach, które wyraźnie mówiły, że już czas lecieć. Wszyscy się pożegnali. Na widok przyjaznego uścisku dłoni Pei i Ashby’ego serce Kizzy rozpadło się na kawałki. *Niech się*



*uściskają, do cholery!* To było niesprawiedliwe. Oxlen złowił jej spojrzenie i leciutko skinął jej głową. Ha. Może jednak nie wszyscy aeluni są tacy pruderyjni.

Kiedy aeluoński statek odleciał, Kizzy poszła do siebie. Najpierw wzięła długi prysznic, dając sobie dwadzieścia dwie minuty zamiast piętnastu, których wymagała od wszystkich innych. Uznała, że zasłużyła na dodatkowe siedem minut i że filtry sobie z tym poradzą. Potem wróciła do swojego pokoju. Doktor Kucharz zostawił tam dla niej kubek herbaty i parę wiosennych ciasteczek. Uśmiechnęła się, włożyła domowy strój i położyła się z ciasteczkami na łóżku. Napisała list do tatków tylko po to, żeby im powiedzieć, że ich kocha. Zjadła ciasteczka. Wypiła herbatę. Patrzyła na przesuwane się gwiazdy. Nie wiedziała, kiedy zasnęła.

Wiadomość otrzymana

Kodowanie: 0

Tłumaczenie: 0

Od: Stałówka (ścieżka: 6273-384-89)

Do: Rosemary Harper (ścieżka: 9874-457-28)

Temat: Dot.: Pytanie na temat plików informacyjnych o toremich

Cześć, Rosemary!

Jak dobrze dostać od Ciebie wiadomość. Mimo że Twoja wizyta była niezapowiedziana, bardzo nam było miło Cię gościć.

To dla mnie żaden kłopot! Zawsze z przyjemnością odpowiadam na pytania dotyczące archiwum (oraz rekrutuję nowych ochotników...?). Wiem, pliki dotyczące toremich mają duże braki, jeśli chodzi o szczegóły. Nie zajmuję się tą dziedziną, ale znam kilka osób, które to robią i wyrywają sobie włosy z głowy. Ostatnio jest oblegane wszystko, co ma związek z toremimi, ale kłopot w tym, że nie ma jeszcze wystarczającej ilości potwierdzalnych faktów, byśmy mogli im nadać status publicznej dostępności.

Jednak jeśli obiecasz, że zachowasz to dla siebie, udało mi się wydobyć dla ciebie kilka ciekawostek. Pamiętaj jednak, że żadna z nich nie została jeszcze uwiarygodniona według naszych standardów, ale to najlepsze, co w tej chwili ma zespół od toremich. Oto, co wiemy:

1. Toremi mają obsesję na punkcie wzorów. Nie wzorów geometrycznych. Wierzą, że cały wszechświat podąża jakąś skomplikowaną drogą, a może kilkoma drogami. Na ile się

orientuję, nikt dokładnie nie wie, która wersja jest prawdziwa. Chodzi o to, że próbują dostrzec wzór i dopasować do niego swoje życie. Najwyraźniej dlatego od niepamiętnych czasów krążą wokół Jądra. Galaktyka wiruje, więc oni też powinni wirować. I tu pojawiają się klany. Wszyscy mają odmienny pogląd na działanie wzoru i na tym tle dochodzi do przemocy. A kiedy pojawiają się nowe poglądy, klany potrafią się bardzo szybko zmienić. Toremi sprawiają wrażenie działających bardzo kompulsywnie. Jediną rzeczą, co do której klany się zgadzają, jest krążenie wokół Jądra. A przynajmniej się zgadzały. Co prowadzi nas do...

2. Być może już to słyszałeś, ale ja wciąż jestem tym bardzo poruszony: ogólnie mówiąc, toremi są dwupłciowym gatunkiem rozmnażającym się płciowo. Lecz niewielka ich liczba zaczęła się rozmnażać przez partenogenezę! Wiem! Mimo że jest to fascynujące, dla toremich oznacza bałagan. Pamiętasz tamto o wzorach? Tak, każdy klan ma odmienne zdanie na temat tego, co znaczy ta nowa ewolucyjna droga. Niektórzy szanują „Nowe Matki” i oddali im władzę. Inni postępują wręcz przeciwnie, podporządkowując je sobie lub niewoląc. A jeszcze inni je zabijają. Toremi Ka, nasi nowi sprzymierzeńcy, zaliczają się (na szczęście) do tej pierwszej grupy.

3. Powodem, dla którego toremi nagle zaczęli rywalizować o terytoria, jest to, że pojawienie się partenogenetycznych samic jest największą zmianą ich wzoru w bardzo długim czasie. Nazywają to yegse, zmianą, która wszystkim rządzi. Kiedy następuje yegse, toremi porzucają swoje zajęcia i poświęcają sporo czasu, usiłując ją zrozumieć. Oznacza to dla nich wyłączenie silników i zagarnięcie jakiejś ziemi. Coś takiego nie zdarzyło się od wielu stuleci. Może nawet od tysiącleci.

4. Hedra Ka — albo Hedra, o czym za chwilę — to bardzo młoda planeta w stosunkowo nowym układzie gwiazdnym. Toremi tak bardzo chcą ją zagarnąć, ponieważ ona też się przesuwająca i zmienia. Uważają, że wszechświat chce, by się tam udali. Co prawda nie da się jej terraformować ani choćby zasiedlić. Z tego, co czytałem, to piekło. Jeśli chodzi o nazwę, „Hedra” to nazwa planety, „Ka” oznacza, do którego klanu należy.

To wszystko, co mam w tej chwili, ale zadawaj mi wszelkie inne pytania. Jeżeli znajdę coś jeszcze, dam Ci znać. Wiem, że zespół od toremich będzie wyciągał kolejne informacje od delegatów WG. Skąpe dranie.

Lataj bezpiecznie,  
Stałówka

# Dzień 397., 306 standard WG

## Lęg, pióro, dom

Rosemary weszła do sterowni i wyjrzała przez okno. Tylko pusta przestrzeń kosmiczna z wiszącą pośrodku jedną planetą z pierścieniami, Theth. W pobliżu, tuż za wieńcem piaszczystych pierścieni, unosiła się garstka księżyców. „Wędrowiec” kierował się ku piątemu księżycowi po lewej — Hashkathowi. Rosemary uniosła rękę i przesłoniła kciukiem świat aandrisków. Trudno uwierzyć, że ta błyszcząca zielona kulka jest większa od Marsa. Jednak przestrzeń kosmiczna potrafi sprowadzić wielkość do niewygodnych proporcji. Rosemary spojrzała na pilota.

— Coś nie tak?

Dłonie Sissix śmigały nad konsolą nawigacyjną.

— Nie, dlaczego?

— Bo lecisz na ręcznym. Kiedy robisz to tak daleko od orbity, zwykle oznacza to kłopoty.

Skały. Chmury gazowe. Śmieci. Inne statki. Znowu skały. W przestrzeni kosmicznej wszędzie były skały.

— Lecę do domu — rzekła Sissix. — To muszę robić sama.

Rosemary usiadła w fotelu obok niej.

— Dlaczego?

— Kiedy aandriskowie zaczęli latać w kosmos, używaliśmy tych strasznych kapsuł z żaglami słonecznymi. Były naprawdę kapryśne i mieściły tylko jedną osobę. Nie dla klaustrofobów.

— Nasze były takie same. Nie miały żagli, ale były malutkie.

Wzdrygnęła się.

— Ale wy mieliście dużo szczęścia. Wokół waszej planety nie unosi się nic prócz tego, co sami tam umieściliście. Wasze statki mogły po prostu orbitować bez końca. Gładki lot. Ale nasz księżyc ma własne księżyce i orbituje wokół planety z pierścieniami. To wymaga bardzo skomplikowanych manewrów, zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z małą metalową puszką z cienkimi żaglami. A to było jeszcze zanim dotarły do nas urządzenia sztugrawitacyjne, więc po prostu unosiliśmy się w przestrzeni z nadzieją, że dotkniemy jeszcze ziemi. Jeśli mogło się powiedzieć, że się wyleciało i wróciło bezpiecznie do domu, zostawało się bohaterem. To oznaczało, że jest się silnym i wykwalifikowanym, że ciężko się pracowało, żeby rodzina nie straciła swojego członka.

— Aha, więc to jest kwestia dumy — powiedziała Rosemary.

— Chyba tak — zgodziła się Sissix i po namyśle dodała: — Tak. W dobrym tego słowa znaczeniu.

Włączył się vox.

— Sissix, wiesz, że cię kocham, prawda? — odezwała się Kizzy nieśmiałym tonem.

Sissix westchnęła.

— Co zrobiłaś?

— Czy bardzo mnie znienawidzisz, jeśli nie przyjdziemy dziś z Jenksem na kolację?

— Głęboko i na zawsze — odparła Sissix tonem sugerującym coś wręcz przeciwnego. — Dlaczego?

— No... Och, teraz jest mi strasznie głupio...

Z voxu dobiegł jakiś szelest, a potem rozległ się głos Jenksa.

— Sissix, właśnie się dowiedzieliśmy, że Strategia Wanny ma tournée i dziś wieczorem grają na tym wielkim koncertowym polu w Reskicie.

— Na Aksisku? — W głosie Sissix brzmiał podziw. — Znienawidzę was, jeśli nie pójdziecie.

— Na pewno? — zapytała Kizzy. — Bo to nic wielkiego, naprawdę...

— Kizzy. Idźcie.

— Jesteś najlepsza.

Vox się wyłączył.

— Jeśli chcesz, możesz iść z nimi — powiedziała Sissix. — Aksisk to niesamowite miejsce.

— Nie przepadam za łomociarzami — powiedziała Rosemary. — A poza tym kolacja z twoją rodziną brzmi świetnie. Bardzo bym chciała zobaczyć, skąd pochodzisz.

— Cóż, to o wiele mniej ekscytujące niż Aksisk, ale przynajmniej będzie sympatycznie. — Wydała polecenia szybkimi ruchami dłoni. Statek skręcił w lewo. — Jeszcze nigdy nie byłaś w aandriskim domu, prawda?

— Nie. — Rosemary odchrząknęła. — I, jeśli nie masz nic przeciwko temu, przydałby mi się kurs odświeżający wiedzę.

Sissix się roześmiała.

— Ludzie są uroczy. — Spojrzała Rosemary w oczy i uśmiechnęła się znacząco. — Nie martw się, zrozumienie tego zajmuje wszystkim wam strasznie dużo czasu. No dobra. — Uniosła jedną dłoń i odliczyła na szponach. — Rodzina łęgu, rodzina pióra, rodzina domu. Powiedz mi, co wiesz.

Rosemary odchyliła się na oparcie fotela.

— Rodzicie się w rodzinie łęgu.

— Dobrze.

— Potem rośniecie i opuszczacie ją dla rodziny pióra.

— Tu ci przerwę. Nie jest tak, że opuszczamy rodzinę łęgu od razu, jak wyrosną nam pióra. Opuszczamy ją, kiedy znajdujemy dobrą rodzinę pióra

albo kiedy znajdujemy innych dorosłych, z którymi warto założyć rodzinę pióra.

— Rodzina pióra to przyjaciele i kochankowie, tak?

— Tak. Osoby, na których polegamy emocjonalnie.

— Ale rodziny pióra często się zmieniają, tak?

— Niekoniecznie często. Chyba często według twoich standardów. Zmieniamy rodziny pióra, kiedy tego potrzebujemy, a w różnych okresach życia potrzebujemy różnych rzeczy. Właściwie nie spotyka się aandrisków, którzy całe życie zostają z tymi samymi osobami. Może czasami z dwiema czy trzema, ale nie z całą grupą. Grupy regularnie się zmieniają.

— A więc rodziny pióra to zwykle osoby mniej więcej w tym samym wieku?

— Och, wcale nie. Młodzi aandriskowie początkowo trzymają się razem, ale kiedy już nabiorą nieco pewności siebie i doświadczenia, rozchodzą się. Nie przejmujemy się różnicą wieku tak bardzo jak większość innych gatunków. Jeśli są pióra, to w porządku. Przystąpienie do grupy starszych może być dla młodzieży wspaniałym doświadczeniem. W mojej drugiej rodzinie pióra byłam najmłodsza i... — Sissix zachichotała, patrząc w dal. — Tak, wiele się nauczyłam.

— Czy... — Rosemary poczuła, że się rumieni. — Czy wszyscy w rodzinie pióra, no wiesz, tego...

— Kopulują? Do pewnego stopnia, ale to co innego, niż myślisz. Prawie zawsze przynajmniej raz. Ale nie wszyscy w rodzinie pióra żywią romantyczne uczucia wobec wszystkich innych. To cała sieć rozmaitych uczuć. A zatem tak, jest dużo kopulowania, zwłaszcza podczas świąt, święto bez *tet* się nie zdarza. — Rosemary знаła to słowo. W dosłownym tłumaczeniu znaczyło „igraszka”, ale jego potoczne użycie sugerowało coś znacznie bardziej pikantnego. — Lecz wielu członków żywi wobec siebie

nawzajem platoniczne uczucia. Dotykają się o wiele częściej niż ludzie, ale nie kopulują. Och, czasami się to zdarza. My myślimy o kopulowaniu tak jak wy. Hmm, jak to ująć, dobra, tak jak wy myślicie o dobrym jedzeniu. To coś, na co niecierpliwie czekacie i coś, czego wszyscy potrzebują i czym się cieszą. Na dolnym końcu skali jest pocieszające. Na górnym transcendentne. I, podobnie jak spożywanie posiłku, można to robić publicznie, z przyjaciółmi albo z obcymi. Ale nawet wtedy najlepiej jest kopulować z kimś, kto budzi w nas romantyczne uczucia.

— Rozumiem — powiedziała Rosemary i skinęła głową. — A potem rodzina domowa. Domowa rodzina wychowuje dzieci. Ale nie własne, tak?

— Tak. Możemy się rozmnażać, kiedy tylko pióra wyrosną nam na całej głowie, ale o wychowywaniu dzieci zaczynamy myśleć dopiero wtedy, kiedy się zestarzejemy. Wówczas zakładamy rodziny domowe. Składają się one zwykle ze starszych członków rodziny pióra, którzy postanawiają razem się ustatkować. Czasami mogą kontaktować się z ulubionymi członkami poprzednich rodzin pióra, żeby sprawdzić, czy nie zechcieliby się przyłączyć. I musisz zrozumieć, że rodziny domowe też od czasu do czasu zmieniają skład. Może składają się ze starszych osób, ale to nadal aandriskowie.

Roześmiała się.

— A więc młodzi aandriskowie dają swoje jaja rodzinie domowej.

— Tak.

— Czy znajdują domową rodzinę, w której jest jakiś ich krewny?

— Miło, jeśli można tak zrobić, ale zwykle wybiera się tych, którzy są najwygodniejsi. Kiedy kobieta ma zapłodniony lęg, nazywamy go *kaas*, udaje się do lokalnego urzędu cywilnego i znajduje dobrą rodzinę domową z miejscem dla następnych członków.

— A jeśli nie znajdzie nikogo, kto przyjmie lęg?

— Wtedy go grzebie. Pamiętaj, że większość lęgu i tak ginie. Większość

jaj nie dotrwa nawet do etapu wykluwania. Nie dlatego, że jaja nie są zdrowe. Tak po prostu jest. Na gwiazdy, nawet nie umiem sobie wyobrazić, ilu nas by było, gdyby aandriskowie wykluwali się ze wszystkich jaj. Zbyt wielu.

Wzdrygnęła się.

Rosemary zastanowiła się nad tym.

— Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego za ignorancję, ale dlaczego rodziny pióra nie wychowują swoich młodych? Nie mają dość osób, by przy tym pomagać?

— Mają, ale to nie jest kwestia środków czy wsparcia. To kwestia tego, w którym punkcie życia znajduje się dana osoba. Oczekuje się od nas, że na początku dorosłości będziemy podróżować albo studiować, i rozumie się samo przez się, że w miarę starzenia się będziemy często zmieniać rodziny. Starsi nie przenoszą się tak często. Są stabilniejsi. I, co najważniejsze, mają doświadczenie życiowe. Są mądrzy. Wiedzą różne rzeczy. — Uśmiechnęła się znacząco. — Nigdy nie zrozumiem, jak cała wasza reszta może się spodziewać, że świeżo upieczeni dorośli będą umieli nauczyć dzieci życia.

— To... dobra, to słuszna uwaga. — Rosemary zamknęła oczy, usiłując niczego nie poplątać. — A więc rodzina domowa staje się dla tych jajek rodziną lęgu.

— Tak. I rodzina domowa wystarcza dla dwóch pokoleń dzieci. Zwykle dorośli pierwszego pokolenia przynoszą własne jaja do rodziny, która ich wychowała. Ja tak zrobiłam.

Rosemary usiadła prosto.

— Chwileczkę. Masz dzieci?

Sissix nigdy o tym nie mówiła.

Aandriska się roześmiała.

— Miałam zapłodniony lęg.

— Kiedy?



— Jakieś trzy standardy temu. Słyszałam, że przeżyło dwoje dzieci. Ale to nie czyni mnie matką. — Mrugnęła. — Na to jestem jeszcze za młoda.

Rosemary wyjrzała przez okno. Zbesztala się w duchu za gatunkocentryzm, ale teraz patrzyła na Sissix inaczej. Ze zdumieniem uświadomiła sobie głębię ludzkiego pojęcia macierzyństwa, koncepcji, że prokreacja całkowicie zmienia osobowość. No, ale ona jest ssakiem. Jeśli kiedykolwiek postanowi mieć dzieci, będzie to oznaczało, że większość roku spędzi na obserwowaniu, jak jej ciało rozciąga się i wykrzywia, a kolejny rok lub dłużej na karmieniu własnym mlekiem kruchej, bezradnej istotki, która nie umie się posługiwać własnymi kończynami. Dzieci aandrisków rozwijają się w osobnych miejscach poza organizmem matki i wyłaniają się z nich, umiając chodzić. Lecz chociaż Rosemary rozumiała biologiczne różnice, wciąż nie potrafiła ogarnąć pojęcia rozmnażania się jako czegoś nonszalanckiego, czegoś nie bardziej skomplikowanego od umieszczenia jaj w koszyku, oddania ich i powrotu do normalnych zajęć. Rosemary nie wiedziała, czy aandriskowie używają koszyków, ale nie mogła się pozbyć obrazu białego wiklinowego koszyka z rączką owiniętą pastelowymi wstążkami pełnego dropiatych jajek.

— Rozmawiasz z nimi czy...?

Sissix obdarzyła ją nieco rozdrażnionym uśmiechem.

— Nie. Pamiętaj, że według naszych standardów wtedy nie są jeszcze osobami. I nie należą do naszej rodziny. Wiem, że dla ciebie brzmi to zimno, ale wierz mi, że wychowujący je starsi kochają je. Ale nie przywiązują się do młodych. Dzieje się to dopiero wtedy, gdy widzą, w kogo młode się zmieniają. I to jest prawdziwa radość dla domowych rodzin: powroty wychowanych przez nie świeżo wyklutych dzieci jako w pełni opierzonych dorosłych z opowieściami, poglądami i osobowością.

— Tak jak teraz robisz to ty.

— Tak.

— Spotkałaś się ze swoimi... biologicznymi rodzicami?

— Z matką od jaja raz. Nazywa się Saskist. To bardzo zabawna kobieta i cieszę się, że mam jej pióra. Nie poznałam mojego ojca od jaja, ale wiem, że mieszka ze swoją rodziną pióra na Ikekcie, a przynajmniej mieszkał, kiedy ostatnio sprawdzałam. Ale to było jakiś czas temu, więc może przeniósł się gdzie indziej.

Rosemary pomyślała o tym, co mówiła Lovey, jeśli dało się jej o jedno zadanie za dużo: *Przepraszam, ale to będzie musiało chwilę poczekać. Jeśli umieszczę w moich bankach danych coś jeszcze, to moje procedury utkną w martwym punkcie. A tego nie znoszę.*

— Jak śledzicie wszystkie te zmiany w waszych rodzinach?

— Nasz rząd utrzymuje centralną bazę danych. Są tam zarejestrowane wszystkie rodziny pióra, a archiwiści odnotowują każdą zmianę. Można znaleźć po imieniu daną osobę i zobaczyć, kim są jej rodzice od jaja, kto ją wychował, w których rodzinach była, z kim miała łęg i do kogo poszły młode.

— To musi być bardzo skomplikowana baza danych. Po co zadawać sobie tyle trudu?

— Z tego samego powodu, z którego nasze pełne imiona zawierają wszystkie szczegóły dotyczące naszych rodzin. — Spojrzała na Rosemary znacząco. — Ponieważ endogamia jest czymś obrzydliwym.

Schodki promu się rozłożyły i do środka wlało się jasne światło słońca. Rosemary poprawiła na ramieniu torbę i zeszła za Sissix i Ashbym. Nogi jej się chwiały, protestując przeciwko zmianie ze sztugrawitacji na prawdziwe ciążenie. Krok na Hashkathu był odrobinę bardziej sprężysty niż to, do czego była przyzwyczajona. Podniosła wzrok. Wysoko na niebie wisiała Theth, a na tle zamglonego błękitu nieba jej pierścienie i kłęby chmur wyglądały jak

jakieś upiorne powidoki. Widok miała niczym nieograniczony, żadnych wsporników osłony ani kręcących się promów. Otwarte niebo.

Wylądowali w Sethi, niewielkim osiedlu w zachodnim pustynnym rejonie Hashkathu. W każdym razie Sissix nazywała go pustynią. Nie przypominał żadnej pustyni, jaką widziała Rosemary. Mars był pustynią, jałową i spieczoną. Jego ogrody i zielone place były sztucznymi tworam, zamkniętymi pod kopułami siedlisk, zasilanymi wodą z odzysku. Tutaj ziemia żyła, porośnięta nędzną trawą i pokrzywionymi drzewami, rozciągnięta od płaskiego terenu ich lądowania aż po kanciaste góry na horyzoncie. I kwiaty, wszędzie kwiaty. Niepodobne do bujnych, zielonych, podrasowanych genetycznie roślin z cieplarni w domu albo eleganckich pnączy wijących się przez ogród Doktora Kucharza. To były polne kwiaty wybuchające tryumfalnie z szarej ziemi, splątane w niskich kępach pomarańcza, żółci, fioletu. Nad nimi skręcały się drzewa pokryte kolcami i skupiskami jagód. Najczęściej rosły w długim paśmie przed nimi, tworząc zieloną wstęgę, która wskazywała na obecność ukrytego strumienia.

Za wstęgą leżało osiedle, leniwe zbiorowisko przywarłych do ziemi gospodarstw przypominających kapsuły. Były na tyle rozrzucone, by dać rodzinie miejsce do rozprzestrzenienia się i uprawiania ogródka, lecz znajdowały się na tyle blisko siebie, by mieć sąsiadów pod ręką. Sethi było spokojnym miejscem. Nieuczęszczanym. Średnio zamożnym. Nieskomplikowanym. Żadnych kasyn czy składów z prefabrykatów. Nie było tu nawet doku dla promu z prawdziwego zdarzenia, tylko szeroki, niedozorowany teren, na którym mogły lądować niewielkie statki kosmiczne i drony towarowe. Rozglądając się dookoła, Rosemary zrozumiała, dlaczego młoda osoba mogła chcieć opuścić takie miejsce, a starsza do niego powrócić.

Dotknęła swojego nieosłoniętego nosa, rozkoszując się nowym doznaniem,

jakim była możliwość oddychania bez maski albo sztuczną atmosferą. Ostatnim razem robiła w Port Coriol; wydawało jej się, że od tego czasu upłynęły całe wieki. Powietrze w porcie było gęste od zapachów alg i interesów. Powietrze na Hashkathu było czyste, suche, bogate w tlen, przyprawione zapachem nagrzanym słońcem pustynnych kwiatów. To było dobre powietrze.

Sissix najwyraźniej miała takie samo zdanie. Kiedy tylko jej szponiaste stopy dotknęły ziemi, rozłożyła szeroko ramiona i odrzuciła głowę do tyłu.

— Dom — powiedziała, jakby właśnie wynurzyła się po długim pływaniu.

— O rety — rzekł Ashby. — Zapomniałem, że tu będzie wiosna.

Sissix oddychała energicznie, jakby wyrzucała z płuc powietrze z zamkniętego obiegu „Wędrowca”. Spojrzała na swoje ciało.

— Och, do diabła, nie.

Rozwiązała troczki spodni, zdjęła je i wrzuciła do promu. Za spodniami powędrowała kamizelka. Ruszyła nago w stronę domu dzieciństwa, połyskując w słońcu łuskami.

Po drodze Ashby sięgnął do torby po wyświetlacz tłumaczeń. Włożył go na głowę i dopasował cienką metalową opaskę. Optekran zbudził się migotliwie do życia.

— Myślałam, że mówisz w reskitkishu — powiedziała Rosemary.

— Rozumiem go, ale daleko mi do płynnego posługiwania się nim. A ponieważ nie mam za dużej praktyki, trochę oszukuję.

— Masz lepszy akcent od większości znanych mi ludzi — stwierdziła Sissix. — Wiem, że trudno wam mówić na wdechu.

— Samo mówienie na wdechu nie jest takie złe. Trudne są zmiany między wdechem i wydechem w obrębie tego samego zdania. — Zatrzasnął torbę. — No poważnie, kto robi coś takiego?

Rosemary wyjęła ze swojej torby własny wyświetlacz.

— To dość trudne. — Właściwie nie umiała mówić w reskitkishu, a od tych kilku zwrotów, które usiłowała wypowiedzieć, zakręciło jej się w głowie. — Nie wiem, jak możecie tak mówić bez hiperwentylowania.

Sissix uderzyła się pięścią w pierś.

— Mamy lepsze płuca — stwierdziła.

— No tak, a my mamy ciepłą krew — powiedział Ashby. — Moim zdaniem to jest lepsze wyjście.

Sissix roześmiała się.

— Zdecydowanie. Chętnie zamieniłabym poranne odrętwienie na wasze słabe płuca i bezużyteczny nos.

Ashby spojrzał na Rosemary.

— Nie wiem, czy to jest komplement, czy nie. — Zwrócił się do Sissix. — Ethra wciąż tu jest?

— O ile wiem.

— Nie baw się przy nim w żadne gry słów — ostrzegł Rosemary Ashby. — Ostatnim razem, kiedy tu byłem, zrobił mnie na szaro. I ma taki arsenał żartów o ludziach, że może spowodować trwałe uszkodzenia.

Sissix parsknęła śmiechem.

— Nie jest życzliwszy dla własnego gatunku. Co to było o... No, co to był za okropny dowcip z ogonami...

Ashby roześmiał się.

— Do *tet* wchodzi człowiek, quelin i harmagianin...

— Nie, przestań — powiedziała Sissix, pokazując przed siebie brodą.

Dotarli do porośniętego niskimi krzakami brzegu pustynnego strumienia. W wodzie bawiło się dwoje aandriskich dzieci, przekrzykując się nawzajem. Na wyświetlaczu Rosemary pojawił się napis: *Nie mogę przetworzyć rozmowy. Proszę zbliżyć się do mówiącego/mówiących.* Rosemary nie miała żadnego punktu odniesienia co do wieku dzieci, ale sądząc po ich niedużym

wzroście i rozbrykaniu, uznała, że mogą być odpowiednikami ludzkich dzieci z pierwszych klas szkoły podstawowej. No, może. Jedno wyglądało na młodsze od drugiego. Trudno jej było sprecyzować jakieś inne cechy. Płeć aandrisków łatwo było określić u dorosłych, głównie ze względu na wzrost, lecz w tym wieku byli androgyniczni, szczególnie że mężczyźni nie mieli zewnętrznych genitaliów. Pomijając wszelkie kategorie, ta dwójka miała w sobie jakąś delikatność, papierowy charakter łusek. Nic dziwnego, że nigdy przedtem nie widziała żadnych aandriskich dzieci. Nawet ich nie znała, a już wzbudziły w niej uczucie opiekuńczości. Wyobrażała sobie, że ich rodzice muszą to czuć dziesięć razy mocniej. *Rodzice lęgu*, napomniała się. *Rodzice lęgu*.

— Od kiedy aandriskowie nie wspominają o *tet* w obecności dzieci? — zapytał Ashby ściszym głosem.

— Wspominamy — powiedziała Sissix. — Ale jesteście prawdopodobnie pierwszymi ludźmi, jakich widzą, a nie chcę, żeby dorastały z przekonaniem, że wasz gatunek jest głupi.

Podeszła do dzieci, wołając coś na powitanie.

Poderwały pozbawione piór głowy. Mniejsze coś krzyknęło. Na wyświetlaczu Rosemary pojawiło się tłumaczenie. *Obcy! Są tu obcy!* Wygramoliły się pośpiesznie ze strumienia, drapiąc szponami ziemię.

Sissix przykucnęła, żeby otrzeć się twarzą o ich twarze. Rosemary widziała, jak robiła to samo z Ashbym, lecz wówczas ten gest był serdeczniejszy, bardziej naturalny. W tym powitaniu było coś oficjalnego. Było uprzejme i szczerze, lecz zdecydowanie chłodne.

— *Jesteś Sissix* — odezwało się starsze dziecko.

— *Tak*.

— *Jesteś moją matką od jaja*.

Sissix uśmiechnęła się. Nie wyglądała na zaskoczoną.

— *Ty pewnie jesteś Teshris.* — Zerknęła na drugie dziecko. — *W takim razie ty jesteś Eskat?*

— *Nie* — odparło dziecko, chichocząc.

— *Nie, teraz to widzę. Jesteś za młody.* — Poklepała jego łąsą główkę. — *Ale to nic złego.*

— Teshris to dziewczynka — szepnął Ashby Rosemary do ucha. — To drugie to chłopiec.

— Dzięki. — Rosemary zadała sobie pytanie, jak on je rozróżnia. — Eskat to jej brat?

— Brat od jaja, tak. Ale do tej chwili nie znałem ich imion.

Sissix powiedziała coś do Teshris w mowie dłoni. Ashby znowu wyszeptał:

— Ten ruch robią tylko rodzice od jaj. Sissix mówi, że cieszy się, że Teshris jest zdrowa i... No, zasadniczo, że istnieje. — Mała aandriska odpowiedziała niezdarnymi gestami. — Dziękuje Sissix, że dała jej życie.

Aandriski uśmiechnęły się i jeszcze raz otarły się twarzami. I to było wszystko. Żadnych uścisków, żadnych długich spojrzeń. Sissix nie potrzebowała czasu, żeby przyjąć do wiadomości istnienie córki, z którą nigdy wcześniej nie rozmawiała. W tej chwili Rosemary zrozumiała. Teshris nie była córką Sissix, nie w ludzkim rozumieniu. Dzieliły geny i szacunek, nic więcej.

Sissix odwróciła głowę do towarzysza Teshris.

— *Jak masz na imię?*

— *Vush.*

— *Z czyich jaj pochodzisz?*

— *Teker i Hasry.*

Sissix zaniosła się śmiechem.

— *Nie znam Hasry, ale Teker była moją siostrą lęgu.*

Siostrą lęgu, nie siostrą od jaja. Rosemary miała wrażenie, że powinna zacząć robić wykres.

Sissix uśmiechnęła się do maluchów.

— *Kiedy dorastałyśmy* — wyświelacz dodał w nawiasie dosłowne tłumaczenie *stawałyśmy się osobami* — *zawsze mówiła, że nie chce mieć lęgu i że będzie wystarczająco twarda, żeby obywać się bez kopulowania, póki będzie płodna. To się bardzo szybko zmieniło, kiedy zaczęły jej wyrastać pióra. Podczas jej pierwszej rui zastałam ją, jak ocierała się o głaz. Myślałam, że się udusi, była tak...*

Wyświelacz pominął ostatnie słowo i zastąpił je wyjaśnieniem: *[brak odpowiednika: połączenie podniecenia, rozgorączkowania i braku doświadczenia, ogólnie przypisywane wiekowi dojrzewania]*. Sissix znowu się roześmiała i dzieci jej zawtórowały. Rosemary uniosła brwi. Ile one mają lat? Zerknęła na Ashby'ego. Też sprawiał wrażenie trochę skrępowanego. Przynajmniej nie była w tym osamotniona.

Kiedy przestali chichotać, odezwał się Vush:

— *Chcę dotknąć ludzi, ale Ithren powiedział, że oni tego nie lubią.*

— *Ma rację, nie wszyscy ludzie to lubią. Ale jestem pewna, że tym dwojgu to nie przeszkadza. Tylko najpierw musicie zapytać o pozwolenie.* — Pokazała do tyłu na swoich towarzyszy. — *To jest Rosemary, a to Ashby. To bardzo dobre osoby.*

Dzieci patrzyły na nich, zastygłe w bezruchu. Rosemary przypomniała sobie, jak w wieku czterech lat po raz pierwszy zobaczyła harmagianina i nie mogła przestać wpatrywać się w macki, które miał w miejscu, gdzie powinien znajdować się podbródek. Dziwnie było znaleźć się po drugiej stronie równania.

Ashby przykucnął i się uśmiechnął. Dzieci robiły wrażenie nieco sztywnych, ale podeszły bliżej. Rosemary dopiero po chwili uświadomiła



sobie, że ich napięte mięśnie to nie efekt strachu, lecz tłumionego odruchu dotykania. Ashby zaczął coś mówić w reskitkishu. Spółgłoski wymawiał niepewnie, a jego wydechy były o wiele bardziej przesadzone niż Sissix, ale to wystarczyło, by uruchomił się wyświetlacz.

— *Nazywam się Ashby. Miło mi was poznać. Możecie mnie dotknąć.*

Dzieciaki podbiegły. Z grzeczności otarły się szybko na powitanie, a potem wzięły się do poważnego szturchania Ashby'ego.

— *Są takie miękkie!* — powiedział Vush, przyciskając dłonie do kędzierzawych włosów Ashby'ego. — *Żadnych piór!*

— *Nie* — potwierdził Ashby. — *Ale my...* — Wzruszył ramionami i zwrócił się w klipie do Sissix: — *Możesz wyjaśnić o suchej skórze?*

— *Ich skóra schodzi w bardzo maleńkich kawałeczkach, nie cała naraz* — zwróciła się Sissix do dzieciaków. — *Nawet tego nie zauważają.*

— *Szczęściarze* — stwierdziła Teshris. — *Nienawidzę linienia.*

Vush, nieco mniej powściągliwy od siostry lęgu, skoro miał już pozwolenie, podszedł do Rosemary i otarł się o nią.

— *Czy ciebie też mogę dotknąć?*

Rosemary uśmiechnęła się i skinęła głową, zanim jeszcze uświadomiła sobie, że chłopiec nie będzie wiedział, co to oznacza.

— *Powiedz mu, że tak* — powiedziała do Sissix.

Sissix spełniła prośbę.

Vush zmarszczył brwi.

— *Dlaczego nie może mi sama powiedzieć?*

— *Nie mówi w reskitkishu. Ale ten wyświetlacz, który ma na głowie, pozwala jej odczytać każde słowo, które wymawiacie.*

Skonsternowany chłopiec patrzył na Rosemary. Fakt, że ktoś nie umie mówić w reskitkishu, wydawał mu się niepojęty.

— *Spójrz, Rosemary* — powiedziała Sissix w klipie. — *Zrób tak.* —

Szybko zakrzywiła palce. — To oznacza zgodę.

Rosemary spojrzała na Vusha i powtórzyła gest. Vush pokazał jej coś i chwycił ją za biust.

— *Co to jest?*

Rosemary wrzasnęła. Ashby wybuchnął śmiechem. Sissix rzuciła się do przodu i odciągnęła ręce Vusha.

— *Vushu, ludzkie kobiety nie lubią, kiedy dotykają je tu osoby, których nie znają.*

— Och, na gwiazdy — powiedział Ashby w klipie, trzymając się za boki.

Vush miał zdziwioną minę.

— *Dlaczego?*

— *Coś mu się stało?* — zapytała Teshris, pokazując na Ashby'ego.

Cofnęła się przy tym o kilka kroków.

— *Nic* — odparła Sissix. — *On się po prostu śmieje.*

Vush miał zmartwioną minę.

— *Zrobiłem coś złego?*

— Och, nie, powiedz mu, że wszystko w porządku — rzekła Rosemary. — To naprawdę nic wielkiego.

Teraz już sama się śmiała.

Sissix poklepała chłopca po główce.

— *Nie zrobiłeś nic złego, Vushu. Ludzie mają więcej zasad związanych z dotykiem ich ciał przez innych niż my. Sądzę, że najlepiej unikać tych części jej torsu, które są zakryte.*

Dla ilustracji swoich słów pociągnęła lekko za poję koszuli Rosemary.

Vush wbił wzrok w ziemię.

— *Przepraszam.*

Rosemary dotknęła przedramienia chłopca, tak jak widziała, że robi to Sissix, chcąc okazać empatię. Ujęła go za dłoń i położyła ją sobie na głowie,

zapraszając go do badań. Vush się rozpromienił, a Sissix spojrzała na nią z czułą aprobatą.

— *Jej pióra różnią się od [nieznane]* — powiedział chłopiec, przegarniając włosy Rosemary szponami.

Wyświetlacz nie rozpoznał ostatniego słowa, ale zrobiła to Rosemary: *Ashby’ego*. Głoska „sz” trwała w ustach Vusha o wiele dłużej, niż powinna, chłopiec zająknął się też na „b”.

— *To nie są pióra, głupku* — odezwała się Teshris. — *To włosy.* — Przeniosła spojrzenie z Rosemary na Ashby’ego. — *Masz inny rodzaj brzozy niż ona.*

— *To prawda* — potwierdził.

— *Aandriskowie też tacy są* — poinformowała go, jakby i on po raz pierwszy spotkał przedstawiciela obcego gatunku. — *Mamy mnóstwo różnych kolorów. Ja jestem błękitno-zielona, Vush jest zielono-błękitny, Sissix jest zielono-zielona. Znam wszystkie kolory moich łusek. Skeyis mówi, że jestem w tym najlepsza.* — Kilka razy zgięła do dołu małżowinę uszną Ashby’ego, który cierpliwie to znosił. — *Pochodzisz z księżycy?*

— *Nie, ja...*

Próbował coś powiedzieć, ale zwrócił się o pomoc do Sissix.

— *Jest astronautą. Wielu ludzi rodzi się [dosłowne tłumaczenie: wykluwa się z ciała] na statkach osadniczych.*

— *A ona?* — zapytała Teshris.

— *Wychowała się na planecie Mars.*

Sissix zaczynała sprawiać wrażenie znudzonej. Rosemary ich obecni towarzysze wydawali się uroczy — chociaż nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Vush ciągnął ją za włosy z nieco mniejszym entuzjazmem — ale Sissix wciąż oglądała się przez ramię na gospodarstwa. Najwyraźniej chciała się zobaczyć z rodziną, a dzieci nią nie były. Nawet to, które miało jej gości

policzkowe.

Kiedy szli ścieżką w stronę osady, podniósł się krzyk.

— Sissix! — odezwał się stary głos.

Dołączyło do niego kilka innych:

— Sissix! Sissix!

Nagle ze wszystkich otwartych drzwi wylała się fala aandrisków. Było ich kilkanaścioro, może więcej. Rosemary nie zdążyła ich policzyć, zanim rzucili się na Sissix, która biegiem ruszyła im na spotkanie. Wszyscy upadli na ziemię w płataninie ogonów i pierzastych głów, obejmując się i ściskając. Całą uwagę skupili na długo nieobecnej córce. Ocierali się twarzami o jej policzki, skubali za pióra, przyciskali się do niej tak mocno, jak się dało. Rosemary była zaskoczona. Mimo że w tym, jak się dotykali, nie było nic otwarcie seksualnego, trudno jej było patrzeć na masę wijących się nagich ciał. Wyglądało to bardziej na grupową grę wstępną niż na rodzinne spotkanie.

Z drugiej strony nigdy nie widziała Sissix tak szczęśliwej. Osuwała się w ramiona rodziny. Kiedy jeden z aandrisków dotknął jej piór, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Rosemary widziała taką minę już przedtem — nie u Sissix, lecz u starej kobiety, którą spotkały w Port Coriol. Mina ta wyrażała głęboką wdzięczność, wdzięczność, jaką się czuje z końcem długiego czekania, kiedy można wypuścić powietrze po tak długim wstrzymywaniu oddechu, że paliły płuca.

Rosemary pomyślała o zachowaniu Sissix na „Wędrowcu”, o tym, jak zawsze wydawała się serdeczna, jak była czuła i miła. Lecz teraz ujrzała ją z innej strony. To, co dla niej było serdecznością, dla Sissix było powściągliwością. Dla niej normą była ta roześmiana, wtulona w siebie płatanina ciał na ziemi. Rosemary wyobraziła sobie z tego punktu widzenia siebie i swoich ludzkich towarzyszy. Banda sztywnych, pruderyjnych

automatów. Jak Sissix mogła to codziennie znosić? Rosemary znowu pomyślała o chwilach, kiedy Sissix ich dotykała, o szczerej czułości malującej się na jej twarzy, kiedy ocierała się o policzek Ashby'ego albo obejmowała Kizzy i Jenksa jednocześnie. Pomyślała, ile wysiłku musiało ją kosztować, żeby nie paść z nimi na ziemię, tak jak robiła to teraz ze swoją rodziną lęgu, żeby odepchnąć od siebie potrzebę bardziej dotykanej formy bliskości.

— Ashby, Rosemary — zawołała Sissix z kłębowiska ciał. — Przywitajcie się. — Wyplątała jedną dłoń i pokazała szponem na wszystkie starsze głowy (miała najjaskrawsze pióra spośród wszystkich). — To jest Issash, Ethra, Rixsik, Ithren, Kirix, Shaas, Trikesh, Raasek i... I kilka osób, których nie znam. — Roześmiała się i przerzuciwszy się na reskitkish, zwróciła się do starej kobiety, która obejmowała ją najmocniej: — *Od mojej ostatniej bytności dodaliście kilka twarzy.*

Stara kobieta — Rosemary pomyślała, że to Issash, chociaż wiedziała, że nigdy nie uda jej się zapamiętać, kto jak się nazywa — powiedziała:

— *Ukradliśmy parę osób rodzinie Sarisetów podczas igraszek zeszłej zimy. — Pochyliła się konspiracyjnie w stronę Sissix. — To dlatego, że wszyscy wiedzą, że wyglądam najlepiej ze wszystkich starszych w tym regionie.*

Pozostali aandriskowie roześmiali się. Jeden z nich pociągnął ją za pióra. Uśmiechnęła się z udawaną arogancją.

Sissix wybuchnęła śmiechem i otarła się policzkiem o policzek Issash.

— *Tak bardzo za wami tęskniłam* — powiedziała.

Z grupy wyplątał się jeden ze starszych mężczyzn. Oczy miał bystre, lecz jego pióra obwisły ze starości, a łuski zmatowiały. Rosemary pomyślała, że jest bardzo stary.

— *Poprosiłbym cię, żebyś się do nas przyłączyła, ale wiem, że wy się tak*

*nie zachowujecie* — powiedział z uśmiechem i podał rękę Ashby'emu. — *Jak się masz, Ashby? Miło cię znowu widzieć.*

Ashby odchrząknął i odpowiedział najlepiej, jak umiał:

— *Miło cię widzieć, Ishrenie. Dziękuję za... za miłe... powitanie.*

Aandrisk uśmiechnął się szerzej i dotknął przedramienia Ashby'ego.

— *Bardzo dobrze mówisz w reskitkishu.*

— *Nie bardzo. Mówię mniej... Niż umiem. Niż umiem słyszeć.* — Ashby przeszedł na klip: — *Nie, chwileczkę...*

Ishren roześmiał się.

— *Rozumiesz więcej, niż potrafisz powiedzieć. Widzisz? Rozumiem cię bardzo dobrze.* — Poklepał Ashby'ego po ramieniu i zwrócił się do Rosemary: — *Mówisz w naszym języku?* — zapytał, potrząsając jej ręką. Rosemary pokręciła głową z przepaszającym uśmiechem. Pokazał na jej wyświetlacz. — *Ale rozumiesz?* — Zaczęła kiwać głową, ale przypomniała sobie gest zakrzywionych palców, który Sissix pokazała jej nad strumieniem, oznaczający w mowie dłoni „tak”. Ishren był zachwycony. — *Widzisz, szybko się uczysz. A ja jestem jak Ashby. Rozumiem klip, ale nie mówię nim najlepiej. Więc jeśli będziesz miała wyświetlacz, to będziemy mogli swobodnie mówić własnymi językami i dobrze się wzajemnie rozumieć.* — Jedną rękę położył na ramieniu Rosemary, a drugą na ramieniu Ashby'ego. — *Miło mi tu widzieć ludzi. Kiedy byłem trochę młodszy od Sissix, pracowałem w załodze aeluońskiego statku towarowego. To znaczy on należał do aeluońców. Załoga była wielogatunkowa, jak wasza. Możecie mi wierzyć lub nie, ale mieliśmy nawet jedną larkę. Cholernie bystry gatunek ci larowie, nigdy nie widziałem kogoś, kto tak dobrze grał w tik-kit jak ona. Ale... Co to ja mówiłem?*

— *Nie wiem* — powiedział Ashby, próbując się wysłowić w reskitkishu. — *Coś o ludziach?*

— *A, tak, tak. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym dowiedzieliśmy się, że ludzie zostali przyjęci do WG. Znajdowaliśmy się przy Targu Muriat. Bywałeś tam kiedyś?*

— *Czasami* — odparł Ashby.

— *Czy wciąż jest tam bar o nazwie [hanto: W Pełni Zaopatrzony Kredens]?*

— *Nie wiem.*

— *Och, mam nadzieję, że tak. Najlepsze cukrotraski w WG, bez dwóch zdań. Nie znam innego barmana, który potrafi je robić tak cierpkie. Ale nieważne. Tak, ludzie w WG. Byłem przy składzie alg, nie, nie, to był warsztat, tak, warsztat. Pracował tam człowiek. Jego zadaniem było czyszczenie używanych części przeznaczonych do sprzedaży. Bezmyślna i ciężka robota. Wcale niedobra praca dla gatunku o miękkich dłoniach. Po jego ubraniu było widać, że nie zarabiał dużo. Nie było jego szefa, więc pomagał mi szukać... Och, tego, czego potrzebowałem. Mały projektor na jego biurku pokazywał wiadomości i nagle pojawiła się ta. Ludzie w WG. Mężczyzna zamilkł. A potem zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem: rozplakał się. Nie wiedziałem, że ludzie płaczą, więc trochę się przestraszyłem. Wiecie, jaki niepokojący widok stanowią czyjeś przeciekające oczy? Ha! I ten biedak usiłował wyjaśnić mi, co to jest płacz, doznając jednocześnie wszystkich swoich emocji. Nigdy nie zapomnę, co mi wtedy powiedział. Powiedział: „To znaczy, że się liczymy. Jesteśmy coś warci”. A ja powiedziałem: „Oczywiście, że jesteście coś warci. Każdy jest coś wart”. A on powiedział: „Ale teraz wiem, że galaktyka też tak myśli”. — Ishren ścisnął ich ramiona i popatrzył na nich. — A teraz macie własne statki i wyprawiacie się w otwartą przestrzeń kosmiczną jak my. I do Jądra! Muszę przyznać, że zazdroszczę wam tej podróży. Ależ macie szczęście. — Uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że nie zabrzmie to protekcjonalnie, ale*

*kiedy przypominam sobie tamtego człowieka i teraz widzę was tutaj, to myślę o tym, jak daleko zaszedł wasz gatunek. To mnie bardzo cieszy. Och! Właśnie sobie przypomniałem! Jesteście głodni? Wiem, że ludzie muszą jeść więcej od nas, więc zeszłą noc spędziliśmy z Rixsik na przygotowywaniu mnóstwa dodatkowego jedzenia na [rzeczownik, brak odpowiednika; stół, na którym podaje się w ciągu dnia wspólne jedzenie].*

— *To miłe. Bardzo miłe* — powiedział Ashby. — *Chciałbym... Mam nadzieję, że to nie było... trudne.*

— *Wcale nie* — odparł Ishren. — *Wszyscy jesteście bardzo ciekawi, ile możecie zjeść.* — Uśmiechnął się szeroko i pokazał na bok. — *One chyba też.*

Za stertą pustych skrzynek zebrała się grupka młodych i z wielkim zaciekawieniem obserwowała dorosłych. Trzymały się z tyłu, jakby czekały na zaproszenie. Rosemary uświadomiła sobie, że tak zapewne jest. Może wiedziały, że nie należy się wtrącać, kiedy dorośli udzielają się towarzysko. To miałoby sens u gatunku, gdzie dzieci nie potrzebowały pomocy w nauce podstawowych umiejętności potrzebnych do przetrwania. Dorośli ludzie natychmiast przerwaliby rozmowę, gdyby jakieś dziecko czegoś potrzebowało, choćby tylko uwagi. Lecz tutaj młode chyba wiedziały, że działania dorosłych są najważniejsze i że jeśli chcą się do nich przyłączyć, to muszą domyślić się rządzących nimi zasad. Zamiast więc ciągnąć za rękawy i popisywać się, obserwowały działania dorosłych z boku, usiłując wszystko zrozumieć. Uczyły się, jak być osobami.

Rosemary dostrzegła wśród nich Teshris; drobnymi ramionami obejmowała młode podobnej wielkości i o podobnych rysach twarzy. To zapewne Eskat, drugie — Rosemary powstrzymała się przed użyciem słowa „dziecko”. Potomek? Latorośl Sissix. Wszystkie te słowa zbyt sugerowały, że te młode należą do Sissix, a przecież tak nie było, a przynajmniej nie na ludzki sposób. Może wystarczyło powiedzieć, że



Teshris i Eskat mieli wspólną matkę od jaja, którą przypadkiem jest Sissix.

Jej uwagę przyciągnęła platanina aandrisków, która zaczęła się rozpadać. Troje starszych — tych, których imion Sissix nie znała — wracało do domu. Kilkoro zostało z Sissix, wciąż się dotykając, lecz ich energia malała. Jednak Issash nadal obejmowała Sissix tak mocno, jak na początku. Dwoje innych rodziców lęgu Sissix, najwyraźniej zmęczonych tym okazywaniem uczuć, usiadło na pobliskiej ławce. Nie było wątpliwości, że przeszli do prawdziwej gry wstępnej i w jednej krótkiej, nieoczekiwanej chwili została zaspokojona ciekawość Rosemary co do tego, co mężczyźni aandrisków mają w szparze między nogami.

— *Chodźcie* — powiedział Ishren, prowadząc Rosemary i Ashby'ego w stronę gospodarstwa. — *Zajmiemy się wami. I nie musicie tu nosić ubrań, chyba że chcecie. Wiem, że taki jest wasz zwyczaj, ale chcemy, żeby było wam wygodnie.*

— *Dziękujemy* — odparła Rosemary w klipie. Bardzo starała się odwrócić wzrok od pary starszych aandrisków na ławce, którzy z entuzjazmem kopulowali. — *Ja chyba na razie nie będę się rozbierać.*

W miarę upływu dnia Rosemary robiło się żal techników stłoczonych na jakimś koncercie z tłustym jedzeniem i zbyt drogim kopem. Ona spędzała popołudnie, leżąc na rozłożonych na podłodze poduszkach, pijąc wino z trawy i jedząc dziwne, przepyszne przekąski ze wspólnego stołu (starsi nie mieli punktu odniesienia i nie wiedzieli, ile ludzie muszą jeść, więc przygotowali dość jedzenia dla dziesięciu osób). Słuchała, jak rodzina Sissix opowiadała córce lęgu o codziennym życiu znajomych i krewnych. Intrygowało ją tu wszystko: od nieznanego jedzenia poprzez obsesyjną dbałość o szczegóły przy relacjonowaniu miejscowych plotek po niekończące się fizyczne oznaki czułości, jakimi była obsypywana Sissix. Pod wieloma względami Rosemary czuła się jak młode, zagląające przez okna

i wślizgujące się na chwilę do domu, żeby napełnić miseczki przekąskami. Ona też zadowalała się obserwowaniem i uczeniem się.

Lecz wieczorem zaczęła się trochę niecierpliwić. Zachęcana przez Ishrena, zjadła tyle, że stała się ospała, a efekt, jaki wywołało wypite wino, zmienił się z miłego odprężenia w lekki ból głowy. Nogi jej zeszywniały od leżenia, a po kilku godzinach słuchania rozmów w nieznanym języku miała wrażenie, że mózg zamienił jej się w galaretę. Wkrótce po zachodzie słońca przeprosiła i wyszła na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nocne niebo zdominowała Theth, która wisiała tak blisko, że Rosemary wyobraziła sobie, iż mogłaby wyciągnąć rękę i musnąć czubkami palców jej pierścienie. Bez mgiełki miejskich świateł migocące kolory docierały na dół bez przeszkód — blask sąsiednich księżyców, mętna fioletowa gaza galaktycznej chmury, a wszędzie między nimi gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy. Ona tam mieszka, w tym rozległym przestworzu barw. Codziennie widzi z bliska planety, komety i gwiazdne przedszkola, wszystko jak na dłoni. A mimo to pobyt na planecie sprawiał, że wszystko wyglądało jakoś inaczej. Może gwiazdy trzeba oglądać z ziemi.

Zerknęła do środka na Sissix otoczoną wianuszkami pierzastych głów. Z powrotem przeniosła wzrok na niebo i przez chwilę wyobraziła sobie z lekkim poczuciem winy, że znikają wszyscy oprócz Sissix. Wyobraziła sobie, że Sissix wychodzi na dwór, podaje jej jeszcze jeden kieliszek wina, obejmuje ją ramieniem i uczy nazw gwiazdozbiorów. Wiedziała, że to niemądra, samolubna myśl, ale i tak się w niej pogłężyła.

Chwilę później podszedł do niej Ashby z ciepłym kocem.

— Pomyślałem, że może ci być zimno.

— Owszem, trochę zmarzłam, dzięki. — Wzięła koc i narzuciła go sobie na ramiona. Miękkie ciepło przesączyło się przez jej ubranie jak blask słońca.

— O... Mmm.

— Świetny, co?

— Dlaczego nie mam takiego?

Ashby roześmiał się.

— Kupiłem sobie koc kilka lat temu po tym, jak zrobiłem taką samą minę, jak ty teraz. Na pewno uda nam się kupić taki koc przed odlotem.

— Tak, proszę.

— Starsi nie mogli uwierzyć, że możesz potrzebować koca.

— Dlaczego... Aha. Bo jestem ciepłokrwista. Jasne.

Roześmiała się.

— Wszystko w porządku?

— Och, tak, całkowicie. Po prostu potrzebowałam trochę świeżego powietrza.

— Tak, wiem, po pewnym czasie można tego mieć trochę dość. Ale dobrze się bawisz?

— Wspaniale. Naprawdę się cieszę, że tu przyleciałam.

— Dobrze. Powiedz to też Sissix, to ją uszczęśliwi.

Rosemary uśmiechnęła się, ale znowu pomyślała o kilku godzinach spędzonych na obserwowaniu, jak kochająca rodzina dopieszcza Sissix i jej dogadza. Jakie zimne i sztywne było w porównaniu z tym życie na „Wędrowcu”. Sissix zasługiwała na coś lepszego.

Ashby przekrzywił głowę.

— Co jest?

— Nie wiem, czy będę umiała ująć to w słowa. Chodzi o to... — Zastanowiła się. — Jak ona to robi?

— Co takiego?

— Radzi sobie bez rodziny pióra.

— Sissix ma rodzinę pióra.

Rosemary zamrugała. Związek z rodziną pióra na odległość? Biorąc pod

uwagę bliskość, jakiej właśnie była świadkiem, uznała, że to niemożliwe.

— Nigdy o niej nie mówiła.

Ashby uśmiechnął się znacząco.

— Kiedy będziesz miała chwilkę dla siebie, wywołaj jej plik identyfikacyjny. Jako urzędniczka statku powinnaś mieć do niego dostęp.

Później tego samego wieczoru, zwinięta w kłębek w pokoju gościnnym, Rosemary tak zrobiła.

ID Nr: 7789-0045-268

Imię w WG: Sissix Seshkethet

Kontakt w nagłym wypadku: Ashby Santoso

Najbliższy krewny: Issash Seshkethet (w WG)

Miejscowe imię (jeśli dotyczy):

oshet-Seshkethet esk-Saskist as-Eshresh Sissix isket-Veshkriset

Przyglądając się słowom na ekranie noteka, Rosemary przygryzła wargę. *Seshkethet* było oczywiste. *Saskist* to imię matki Sissix, a *Eshresh* wyglądało jak imię, co oznaczało, że jest to zapewne imię jej ojca. Jednak *Veshkriset* wyglądało dziwnie.

Wywołała oficjalną bazę danych aandriskich rodzin. Gdzieś wszak istniał zespół archiwistów, których jedynym zadaniem jest śledzenie dziejów aandriskich rodzin i odpowiednie odnotowywanie wszelkich zmian. Czuła się wyczerpana na samą myśl o tym.

Litery na ekranie przemieszczały się w miarę, jak notek tłumaczył tekst na klip. *Proszę wybrać określenie rodziny*, przeczytała Rosemary.

— Veshkriset — powiedziała z nadzieją, że baza danych zrozumie jej kiepski akcent.

Pojawiła się lista. Rosemary zmarszczyła brwi. Rodzina pióra Veshkriset miała tylko jednego członka. Sissix.

Rosemary osunęła się w gniazdo z koców. Sissix jest w rodzinie pióra sama? To nie miało żadnego sensu. Sissix była chodzącą definicją

towarzyskości, a aandriskowie nie traktowali samotników przychylnie. Oświadczenie, że jest się jedynym członkiem rodziny pióra, byłoby aktem sprzeciwu, sygnałem, że nie chce się mieć do czynienia z innymi aandriskami. Rosemary pamiętała, jak Sissix zareagowała na tamtą starą kobietę w Port Coriol, jak rzuciła wszystko, by dać obcej osobie kilka chwil towarzystwa. „Bycie samym i niedotykanym... Nie ma gorszej kary”. Nie, to zupełnie nie pasowało.

Wyjrzała przez okno. Przyszło jej coś do głowy. Bazę danych sporządzili aandriskowie, a z tego, co mówiła Sissix, jej najbardziej praktycznym zadaniem było zapobieganie endogamii. Jeśli tak jest, to czy na liście pojawiliby się przedstawiciele innych gatunków?

— Notek, przetłumacz — poleciła.

— Określ ścieżkę języka — odezwał się notek.

— Reskitkish na klip.

— Potwierdzam reskitkish na kliptorigański. Proszę wypowiedzieć słowo lub zwrot wymagający tłumaczenia. W razie niemożności wypowiedzenia...

— Veshkriset.

Chwila przerwy.

— Nie odnaleziono dokładnego odpowiednika. Czy dla ułatwienia ustalenia możliwych odpowiedników przedstawić analizę językową?

— Tak.

— Przyrostek „-et” sugeruje nazwę własną. Przyrostka tego używa się zwykle na oznaczenie aandriskiej grupy rodzinnej. Czy przeszukać dane aandriskich rodzin...

— Nie. — Rosemary chwilę się zastanawiała. — Usuń przyrostek z poszukiwanego wyrażenia i wyszukaj znowu.

Kolejna przerwa.

— Veshkrisk. Rzeczownik. Osoba w trakcie podróży. Podróżnik.

Wędrowiec.

Wędrowiec.

Sissix oparła brodę na pięści i patrzyła przez okno swojego pokoju, jak Hashkath robi się coraz mniejszy. Gdzieś tam na dole jej rodzina łęgu śmiała się, kopulowała, kłóciła się, gotowała, sprzątała, karmiła młode. Jej skóra wciąż lśniła od domowego peelingu do łusek, który zrobiła Kirix. Małe jak dłoń tartaletki z trzaskowocami, które zapakowała dla niej Issash, były w środku jeszcze troszkę ciepłe. Nie chciała odlatywać. Kochała „Wędrowca” i jego załogę (w większości), ale zawsze zapominała, jak trudno jest przebywać z dala od innych aandrisków — do momentu, kiedy spędzała trochę czasu w domu. To było coś więcej niż tęsknota za zapachem pustynnej trawy albo możliwość powrotu do reskitkishu. Chodziło o to, że tam była rozumiana. Chociaż jej towarzysze byli jej bardzo drodzy, ciągle wyjaśnianie różnic kulturowych, powstrzymywanie się od przyjaznych uwag, które mogłyby urazić obce uszy, trzymanie rąk przy sobie, kiedy chciała kogoś dotknąć — to wszystko bywało męczące. I chociaż wizyta w domu koła jej tęsknotę, zawsze, ale to zawsze zapominała, że krótko po odlocie z Hashkathu było jej jeszcze ciężiej przebywać z dala od domu. Zupełnie jakby przy pierwszym odlocie wbiła sobie gdzieś nóż — w nic ważnego, w udo albo może w przedramię. Im dłużej przebywała poza domem, tym bardziej rana się zasklepiła, aż Sissix często zapominała, że w ogóle ją ma. Powrót zawsze był jak zdzieranie strupa.

Ale może tak było lepiej. Gdyby przestała przejmować się swoją rodziną jaja, przebywanie z dala od niej nie bolałoby, ale przecięcie tych więzów było nie do pomyślenia. Poza tym, gdyby nie odleciała, nie zaprzyjaźniłaby się z tymi wszystkimi osobami, które poznała gdzie indziej. Może ból tęsknoty za domem to dobra cena za tyle dobrych osób w jej życiu.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołała.

Kolejny punkt na liście denerwujących rzeczy związanych z obcymi: założenie, że drzwi są zamknięte. Miło by było nie mieć tego uczucia choćby przez jeden dzień.

Do pokoju weszła Rosemary z butelką wina i dwoma miseczkami. Pachniała jakoś inaczej. Niedawno wzięła prysznic, ale było tam coś jeszcze, coś subtelnego, czego Sissix nie umiała uchwycić. Zauważyła to już wcześniej, chociaż nie było tak wyraźne. W niewytłumaczalny sposób przywodziło jej to na myśl bar. Może przez wino. Rozszyfrowywanie zapachów w zamkniętych ścianach statku zawsze było trudniejsze po przyzwyczajeniu się do powietrza planety. To było jak różnica między zauważaniem przedmiotów rozłożonych na stole a szukaniem ich w wypełnionym pudełku.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedziała Rosemary.

Prywatność. To też zostaje wpisane na listę.

— Nie, nie, byłabym zachwycona towarzystwem. I czymś do picia, ponieważ chyba to mi właśnie proponujesz.

Zerknęła na siebie, a potem na zmięte spodnie ciśnięte na podłogę. Nieśmiałość. Skromność. A, pieprzyć to. Rosemary już ją widziała nagą wraz z całą jej rodziną lęgu. Nawet dzielnie zniosła, gdy młode chwyciło ją za piersi. Wątpiła, by Rosemary jeszcze przeszkadzał widok czyichś genitaliów.

Rosemary nalała wina. Usiadły na podłodze, swobodnie rozmawiając o błahostkach. Dopiero kiedy sięgnęły po drugie miseczki, Rosemary powiedziała:

— Mogę ci zadać osobiste pytanie?

Sissix roześmiała się.

— Nigdy nie zrozumiem, dlaczego wy, ludzie, o to pytacie.

Rosemary powiodła palcem po krawędzi miseczki z nieco skrępowaną

miną. Sissix pomyślała, że może powinna była powstrzymać się od tej uwagi na temat pytania o osobiste pytanie, no ale, doprawdy, ludzie marnują tyle czasu na nieistotne sprawy.

Kobieta odchrząknęła.

— Odkryłam, że jesteśmy, to znaczy załoga jest, twoją rodziną pióra.

Nie powiedziała tego Rosemary? Może nie. Czegoś takiego nie porusza się w rozmowach często.

— Ashby ci powiedział?

— Nie, tylko zasugerował. Reszty domyśliłam się sama. — Upiła wina. — Wiem, że jeśli chodzi o rodziny piór, istnieje mnóstwo skomplikowanych zasad i nie udaję, że znam którąkolwiek z nich, ale zastanawiam się, jak... Jak określasz członków załogi, których nie wybrałaś. To znaczy ludzi, którzy są tu tylko dlatego, że wykonują swoją pracę.

— Mówisz o Corbinie? Tak, to skomplikowane. Ale w rodzinach piór ciągle zdarza się osoba, której się nie lubi. Po prostu trzeba sobie uświadomić, że ktoś inny w rodzinie jej potrzebuje, i nie wchodzić jej w drogę. Jak Ashby z Corbinem. Ashby potrzebuje Corbina. Nie ma dla mnie znaczenia, że potrzebuje go bardziej w interesach niż jako członka rodziny. Bez cienia wątpliwości Ashby jest w mojej rodzinie. A zatem Corbin zalicza się do mojej rodziny pióra. — Uśmiechnęła się nad krawędzią miseczki. — Chociaż na pewno nie miałabym nic przeciwko temu, żeby znalazł sobie gdzieś indziej nową rodzinę.

Rosemary skinęła głową.

— Brzmi sensownie. Chociaż nie pytałam o Corbina.

— O?

Rosemary milczała. Sissix już na tyle długo obserwowała ludzkie twarze, by poznać, że Rosemary albo szuka odpowiednich słów, albo odwagi, by je wypowiedzieć. Sissix cieszyła się z tego, że dużo czasu oszczędza mowa



dłoni. W końcu Rosemary się odezwała.

— Pytałam o siebie.

Irytacja, którą Sissix pielęgnowała wobec całego gatunku Rosemary, osłabła. Aandriska uśmiechnęła się i ujęła Rosemary za rękę.

— Gdyby to ode mnie zależało, znowu bym cię przyjęła. Powinnaś już wiedzieć, że podoba mi się, iż jesteś w mojej rodzinie.

Rosemary uściśnięła jej palce. Uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu było coś jeszcze — może obawa? Czego mogłaby się bać? Rosemary zabrała rękę i dopełniła ich miseczki, ostatnie krople wina wlewając Sissix.

— Po tym, jak zobaczyłam cię z rodziną, to znaczy z rodziną lęgu... No, zastanawiałam się, czy nie chciałabyś tu czegoś więcej. Życie z nami musi być strasznie trudne.

— Przebywanie z dala od aandrisków może być trudne. I skłamałabym, gdybym powiedziała, że w tej chwili nie czuję się tak, jakby ktoś mnie kopnął w żołądek. Ale jestem tu z wyboru. Kocham ten statek. Kocham naszą załogę. Mam dobre życie. Nie chciałabym go zmieniać.

Rosemary podniosła wzrok, patrząc spod ciemnych rzęs. Teraz w jej spojrzeniu było coś silnego, mocno osadzonego.

— Ale nikt cię nie dotyka.

Kiedy Sissix uświadomiła sobie, co się dzieje, niemal zakrztusiła się winem. Tyle czasu spędziła z ludźmi, a wciąż były rzeczy, które przychodziły jej do głowy dopiero po fakcie. Natychmiast zaatakowały ją szczegóły. Spojrzenie Rosemary. Wino. Pełne nieśmiałości zawahania, które zmieniały się w wyrażaną ściszym głosem szczerą. Jej ubranie — och, na gwiazdy, Rosemary przebrała się po powrocie na statek. Ludzie nadają znaczenie różnym rodzajom ubrań, ale to była skomplikowana sprawa i Sissix nigdy jej nie ogarnęła. Rosemary włożyła miękkie, lejące się spodnie i jasnożółty top na krzyżujących się cienkich ramiączkach — strój swobodny, pomyślała

Sissix, ale zarazem odświętny, coś, co mogłaby włożyć któraś ze znajomych Kizzy na imprezę w gorący letni wieczór. Górna krawędź topu znajdowała się poniżej zwykłej linii kołnierzyka Rosemary, ukazując górną krzywiznę jej piersi. I jej włosy. Zrobiła z nimi... Coś. Sissix nie umiała powiedzieć, co dokładnie, ale jakiś wysiłek został podjęty. I mając już dość czasu, by przeprowadzić węchową analizę skomplikowanego zapachu Rosemary, wiedziała, że jego zmiana nie ma nic wspólnego z winem, mydłem ani czystym ubraniem. To nie pochodziło z zewnętrznego źródła. To były hormony.

Sissix widziała ludzkie wideo. Widziała, jak Kizzy się szykowała przed wyjściem do portowych barów. Widziała, jak przed spotkaniem z Pei Ashby wpatrywał się w powierzchnie odbijające światło, z roztargnieniem muskając swoje włosy albo przycinając niechlujny zarost na twarzy. Rosemary przyszła do jej pokoju w ładnym ubraniu, z winem i miłymi słowami, i z włosami, z którymi coś zrobiła. To był skomplikowany ludzki sposób zapytania o coś, o co aandriska mogła zapytać ledwie lekkim strzepnięciem palców.

Rosemary mówiła dalej.

— Sissix, nie mam żadnych piór, które mogę ci dać. Żałuję, że tak jest. Kiedy tylko postawiłam stopę na tym statku, sprawiłaś, że poczułam się tu mile widziana. I od tego czasu okazywana przez ciebie uprzejmość, nie tylko wobec mnie, ale wobec wszystkich, znaczy dla mnie więcej, niż mogę wyrazić. Ze wszystkich sił starasz się, żeby wszyscy na pokładzie tego statku czuli się swobodnie, okazujesz nam serdeczność w sposób, jakiego oczekujemy. Nie udaję, że znam aandrisków tak dobrze, jak ty znasz ludzi, lecz pewne rzeczy rozumiem. Rozumiem, że jesteśmy twoją rodziną i że dla ciebie niemożność dotykania nas oznacza, że brakuje ci czegoś bardzo ważnego. Myślę, że to poczucie sprawia ci ból i że głęboko je schowałaś.

Widziałam twoją minę, kiedy znajdowałeś się w objęciach rodziny. Może kochasz „Wędrowca”, ale życie na nim jest niepełne. — Zaciśnęła usta. Kiedy je rozluźniła, były wilgotne. — Nie wiem, jak mnie postrzegasz, ale... Ale chcę, żebyś wiedziała, że gdybyś potrzebowała czegoś więcej... Chciałabym ci to dać.

Sissix zwinęła dłoń w pięć i zaraz ją rozłożyła, rozcapierzając szpony, chociaż wiedziała, że Rosemary nie zrozumie tego gestu. *Tresha*. To było pełne wdzięczności, pokory i wrażliwości uczucie, które pojawiało się, kiedy ktoś dojrzał w danej osobie prawdę, coś, co odkrył tylko przez obserwację, coś, do czego dana osoba nie przyznawała się często. Gdyby Rosemary była aandriską, Sissix straciłaby miseczki i zaczęła kopulować tu i teraz, ale zachowała ostrożność. Najwyraźniej u steru wciąż znajdowała się ta jej część, która rozumie ludzi.

— Rosemary — powiedziała, biorąc ją za rękę.

Była taka ciepła. Inne gatunki zawsze były ciepłe, wyczuwała to, tylko stojąc przy ich przedstawicielach, ale teraz ciepło to było bardziej wyczuwalne. Czasem zastanawiała się, jakby to było przyciskać się do całego tego ciepła — nie, nie, o tym nie myślała. Jeszcze nie. Musi działać sprytnie. Musi być ostrożna. Przecież ludzie reagują na kopulację inaczej niż ona. Czy ich mózgi nie zalewa potem chemia o wiele bardziej niż normalne osoby? Aandriskowie też wytwarzają więź poprzez kopulowanie, ale ludzie mogą od tego oszaleć. Bo jak inaczej można wyjaśnić zachowanie rozumnego gatunku, który doprowadził przeludnienie do granicy zapaści środowiska? To jest lud, który nakopulował się jak głupi.

— Jestem... Jestem wdzięczna — powiedziała w końcu Sissix. Co za straszny, płytki sposób opisanego tego, co czuła. *Tresha*. To było właściwe wyjaśnienie, lecz klip nie miał odpowiedniego słowa. Bezżyteczny język. Rosemary trochę zrzędała mina, jakby rzeczywiście spodziewała się, że Sissix

strąci miseczki. Cholera, dlaczego nie uwzględniły tego kursy międzygatunkowej wrażliwości? — Czy... — *Myśl, Sissix, myśl.* — Mówisz to, bo jest ci mnie żal, czy jest to coś... czego sama chcesz?

*Uch.* Klip zawsze był zbyt praktyczny albo zbyt emocjonalny. Nigdy pośrodku. Bezużyteczny, bezużyteczny język.

Rosemary upiła łyk wina i przyjrzała się swojej miseczce.

— No, podobasz mi się. Jesteś cudowna osobą i bardzo dobrą przyjaciółką. Nie wiem, kiedy zaczęłam czuć do ciebie coś więcej. Co nie jest problemem, nawiasem mówiąc, jeśli się nie zgodzisz. Lubię być twoją przyjaciółką i będę szczęśliwa, jeśli na tym poprzestaniemy. — Upiła kolejny łyk. — Ale, szczerze mówiąc, zapewne nic bym o tym nie powiedziała, gdybym nie zobaczyła twojej rodziny lęgu. Pomijając moje uczucia, ty potrzebujesz czegoś takiego, i to nie tylko wtedy, kiedy spotkasz innych aandrisków. — Znowu podniosła ciemne, szczerze spojrzenie. — Jeśli nie ode mnie, to od kogoś innego. Zasługujesz na to.

*Zgódź się,* powiedział błagalnie głosik wewnątrz Sissix. *Zgódź się, Sissix, ona ma rację...*

— Rosemary... Chcę się zgodzić. Naprawdę. — Przypomniała sobie nieśmiałą nową urzędniczkę, która weszła na pokład niecały standard wcześniej. Kim jest ta kobieta o poważnym spojrzeniu, kobieta, która tak odważnie mówi to, co myśli? Co takiego odkryła tu, w otwartej przestrzeni kosmicznej? Sissix nabrała tchu. — Ale nie chcę cię skrzywdzić. Myślę, że kopulowanie jest dla nas różne. Pochlebia mi, że chcesz mi dać coś, czego potrzebuję, ale nie wiem, czy potrafię dać ci to, czego ty potrzebujesz.

Rosemary uśmiechnęła się przelotnie, tak samo jak uśmiechał się Jenks, kiedy Kizzy mówiła coś absurdalnego.

— Sissix, ja cię nie proszę, żebyś za mnie wyszła. Nie jestem w tobie zakochana. Podobasz mi się. Podoba mi się, kim jesteś i jaka jesteś, i podoba

mi się, jak twoje pióra układają się na krzywiźnie twojej głowy. Rozumiem, że nie ograniczasz się do jednej osoby. Rozumiem, że nasze koncepcje rodziny się różnią i że prawdopodobnie nigdy się nie zejdą. Ale i tak chciałabym przez chwilę być częścią twojej koncepcji.

Ciekawość. To pojęcie Sissix rozumiała.

— Ja też bym chyba tego chciała — rzekła Sissix. Ostrzegawczy wewnętrzny głos cichł, ale nie zamierzał umilknąć bez walki. — Ale są rzeczy, które musisz zrozumieć.

— Dobrze.

W oczach Rosemary błyszczała nadzieja. Sissix czuła, że mięknie. To mogłoby być urocze.

— Jestem pewna, że zauważyłaś, iż członkowie rodziny nie zajmują się wyłącznie uprawianiem seksu. Cały czas przytulamy się do siebie, dotykamy się i obejmujemy. Jeśli kopulowanie to zbyt dużo, gdyby miało... — *Jak należy właściwie powiedzieć „przeciżyć twój zwariowany ssaczy mózg”?* — przyprawić cię o skrepowanie albo sprawić, że zechcesz ode mnie czegoś więcej, niż mogę ci dać, mnie też odpowiadałaby tylko bliskość. Tak jak widziałaś mnie z moją rodziną. Nawet to by wystarczyło.

Na pewno byłaby to znaczna poprawa obecnego status quo.

Rosemary skinęła głową.

— Będę miała to na względzie. Ale nie sądzę, by to był problem.

— I nie musimy się tak zachowywać przy innych, gdybyś wtedy czuła się swobodniej. Nawet nie musimy im mówić.

Sissix nie przejmowała się, że inni mogliby się dowiedzieć, ale jeśli Rosemary może z uprzejmości iść na kulturowe ustępstwa, to ona może jej odpłacić tym samym.

Rosemary pomyślała chwilę i skinęła głową.

— Myślę, że tak mogłoby być lepiej, przynajmniej na początek —

powiedziała.

Sissix chwilę się zastanawiała. Wiedziała, że następnej sprawy większość ludzi nie traktuje tak lekko.

— Gdybyśmy znaleźli się na jakiejś planecie i spotkałabym innych aandrisków...

— Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś poszła do *tet* — stwierdziła Rosemary. — Tylko nie spodziewaj się, że pójdę z tobą.

— Nie zrobiłabym tego, bo oni byliby ważniejsi od ciebie — powiedziała pośpiesznie Sissix. — Albo dlatego, że wolę być z aandriskami niż...

— Sissix — rzekła Rosemary, uścisnęła ją za rękę i zrobiła coś, czego nie zrobił nikt przed nią. Uniosła palce Sissix do ust i przycisnęła wargi do jej kłykci, na chwilę je na nich zatrzymując. Sissix otrzymywała już całusy od Kizzy, Jenksa i Ashby'ego — szybkie, suche muśnięcia policzka. To było coś innego. Ten pocałunek był wolniejszy, bardziej miękki. Budził dziwne, miękkie uczucie. Podobało jej się to. Rosemary odsunęła wargi i uśmiechnęła się. — Rozumiem.

Na gwiazdy, naprawdę rozumiała.

— Jest jeszcze jedno — powiedziała Sissix. Zauważyła, że jej głos się obniżył. Teraz coś innego pilotowało jej mózg, tę jej część, której nieobce było *tet* i kopulacja, tę jej część, która krzyczała z radości, że w końcu, wreszcie ktoś w jej rodzinie zrozumiał. Spojrzała Rosemary w oczy i roześmiała się z zażenowaniem. — Nigdy nie kopulowałam z człowiekiem.

Rosemary pokazała w uśmiechu zęby.

— To dobrze. — Pochyliła się i powiodła miękką opuszką palca po jednym z piór Sissix. — Nie chciałabym, żebyś miała nieuczciwą przewagę.

# Dzień 45., 307 standard WG

25 października

— A więc potrafisz to naprawić? — zapytał Ashby.

Jenks z uwagą chirurga przyglądał się odsłoniętemu wnętrzu noteka Ashby'ego.

— Mogę go podrasować, ale to nie będzie stała naprawa. Potrzebujesz nowej matrycy pikseli. Z łatwością mogę ją podłączyć, ale nie mam jej pod ręką.

— Czy możesz sprawić, żeby przestał przeskakiwać między serwisami?

— Tak. Po kilku dziesięciodniach obraz może się zacząć pogarszać, ale nie... Zaczekaj. Oj. — Jenks przerwał na chwilę. — Słyszysz?

Ashby wyteżył słuch. Podniesione głosy na korytarzu dobiegały od strony komory z algami. Westchnął.

— Znowu.

Jenks przewrócił oczami.

— Słowo daję, zaoszczędziliby tyle czasu, gdyby któreś z nich wreszcie wyrzuciło to drugie w przestrzeń kosmiczną.

Poszli za głosami, co było dość łatwe. W miarę, jak się zbliżali, do ich uszu zaczęły docierać fragmenty sprzeczki.

— ...całkowicie niekompetentne...

To był głos Corbina.

— ...nie był taki upierdliwy...

Sissix.

— ...żadnego szacunku dla mojej pracy...

— ...komunikuj się jak pieprzony normalnie funkcjonujący dorosły, to może...

— Komunikowałem się, tylko twoje głuche jaszczurcze uszy...

*Do cholery, Corbinie!* Ashby przyśpieszył kroku.

— *Hisk! Ahsshek tes hska essh...*

— Och, sycz sobie do woli, to nadal nie zmienia faktu, że...

— Dosyć — powiedział Ashby, wchodząc do pomieszczenia.

Przy drzwiach stał Jenks; znajdował się na tyle daleko, by nie wydać się niegrzecznym, lecz wystarczająco blisko, by dobrze widzieć.

— Ashby — odezwała się Sissix; miała nastroszone pióra. — Powiedz temu nadętemu, gatunkistowskiemu dupkowi, że...

— Dosyć, powiedziałem. — Ashby zgromił oboje wzrokiem. — Chcę wiedzieć, o co tu chodzi. — Corbin i Sissix zaczęli krzyczeć jedno przez drugie. Ashby uniósł ręce. — Po kolei.

— Twoja pilot — powiedział Corbin tonem, jakim rozgniewany rodzic mógłby powiedzieć do drugiego rodzica „twoje dziecko” — przeciążyła linie indukcyjne. To doprowadziło do zbytniego obciążenia jednego z moich kołpaków ciśnieniowych i teraz spójrz.

Ashby popatrzył na dystrybutor paliwa. Nie widział problemu, ale w kilku rurkach zielona maź była nieruchoma.

— Nie miałam pojęcia, że zamienił kołpak na mniejszy model. — Sissix posłała Corbinowi mordercze spojrzenie. — I nadal nie rozumiem, po co to zrobił.

— Zamieniłem go, ponieważ to była jedyna część, jaką miałem pod ręką. Gdybyś nie zauważyła, to przez jakiś czas nie zatrzymywaliśmy się na zakupy. Mogłem albo zadowolić się mniejszym modelem, albo wymienić całą aparaturę. Co, dzięki tobie, i tak będę musiał zrobić.

— Tak, to moja wina, bo w gruncie rzeczy zadałeś sobie trud



poinformowania mnie o tym wszystkim. Oj, nie, nic nie mówiłeś.

— Napomknąłem o tym przedwczoraj w kuchni.

— Nie mówiłeś do mnie! Psioczyłeś na swoje laboratorium Doktorowi Kucharzowi! Jak, do cholery, miałam wiedzieć, że miało to coś wspólnego z możliwością leczenia...

— Innymi słowy, świadomie mnie zignorowałaś. Może gdybyś zwracała trochę więcej uwagi na potrzeby innych, zamiast zachowywać się tak egocentrycznie, to...

— Przestańcie — rzekł Ashby. Odetchnął głęboko. — Chcę mieć pewność, że dobrze słyszę. Ta sprzeczka, którą słyszeliśmy, schodząc po schodkach, wywiązała się z powodu drobnego incydentu z uszkodzonym kołpakiem ciśnieniowym.

— Nie jest bynajmniej drobny, cały dzień będzie trwało...

— Jest drobny — powtórzył Ashby z naciskiem. — Straciłeś jedno urządzenie z sześciu. Paliwo dalej płynie, tak?

Corbin zmarszczył brwi.

— Tak. Ale jest kwestią...

— Dobrze. A więc w przyszłości musisz mówić Sissix o wszystkich zmianach, jakie wprowadzasz do sprzętu, ponieważ nie możesz się spodziewać, że dowie się w paranormalny sposób o tym, co się dzieje w tym laboratorium. I nie wolno ci używać tego słowa na moim statku, rozumiesz? Ani w rozmowie z Sissix, ani w rozmowie z kimkolwiek innym. To jest całkowicie nie do przyjęcia. Masz natychmiast ją przeprosić.

— Ja wcale...

— Natychmiast.

Twarz Corbina poczerwieniała jeszcze bardziej.

— Przepraszam — powiedział do Sissix.

Głos miał ściśnięty jak taśmą uszczelniającą.

— A ty — Ashby szturchnął powietrze palcem w stronę Sissix — musisz o wiele łagodniej przeprowadzać skoki, bo ten kołpak żadną miarą nie powinien być się przepalić tak szybko.

— Mieliśmy opóźnienie — powiedziała Sissix. — Jeżeli nie...

— Nie obchodzi mnie, czy spóźnimy się o dziesięćdziesiąt. Nie zamierzam wpaść tutaj w dryf, skoro dotarliśmy tak daleko. Bądź ostrożniejsza. — Przyszpilił oboje wzrokiem. — Powiem to tylko jeszcze raz. Zakończcie te wasze dziecinne spory. Doprowadzają mnie do szału. Doprowadzają do szału resztę załogi. Wiem, że to podróż dalekiego zasięgu i wiem, że wszyscy jesteście zmęczeni, ale niech mnie diabli, jeżeli odbędę resztę drogi do Jądra, słuchając waszych wrzasków. Rozwiążcie wasz problem. Jeśli nie dacie rady, udawajcie, że go rozwiązaliście. Nie chcę powtarzać tej rozmowy...

Włączył się vox.

— Halo, Ashby. — To była Kizzy. — No więc zdaje się, że jesteś mi do czegoś potrzebny.

— Czy to nie może poczekać?

— No, nie za bardzo, nie, ale może mogłabym mu powiedzieć...

— Komu co powiedzieć?

Rozległo się szuranie i głos Kizzy zastąpił głos Rosemary.

— Ashby, na linii czeka queliński egzekutor.

Słyszał, jak Kizzy mówi w tle:

— Myślisz, że go rozzłościłam? Ja tego nie wiem, bo oni mają nieruchome twarze.

Ashby westchnął i zamknął oczy.

— Lovey, przełącz rozmowę tutaj.

Corbin odsunął się i Ashby usiadł przy jego biurku. Piksele utworzyły obraz patrzącego nieruchomym wzrokiem quelina o nieodgadnionym wyrazie pokrytej pancerzem twarzy i o lśniących czarnych oczach.

— Tu kapitan Ashby Santoso. Czym mogę służyć?

— Tu egzekutor Faseta z Międzygwieźdznego Biura Obrony. Zgodnie z ustępem 36-28 nowelizacji ochrony granicznej podlegacie pełnemu przeszukaniu waszego statku oraz inspekcji wszystkich członków załogi.

— Zostaliśmy przeskanowani po wejściu w quelińską przestrzeń. Czy zrobiliśmy coś złego?

— To jest przeszukanie losowe. Międzygwieźdne Biuro Obrony ma prawo przeszukać wszystkie statki według własnego uznania bez względu na prawdopodobny powód.

— Mam nadzieję, że nasza urzędniczka przesłała wam naszą licencję na budowanie tuneli i plan lotu?

— Otrzymaliśmy wymagane materiały i wasze prawo do podróży przez naszą przestrzeń zostało potwierdzone.

— Nie chcę sprawiać trudności, ale mamy dość napięty plan. Czy mam prawo odmówić pozwolenia na przeszukanie?

— Odmowa może skutkować konfiskatą waszego statku i uwięzieniem wszystkich osób znajdujących się na jego pokładzie. Niepodporządkowanie się inspektorom stanowi naruszenie naszej umowy o członkostwie w WG i podlega zaskarżeniu zgodnie z dekretem 226-09.

— A zatem z przyjemnością powitamy was na pokładzie.

— Przygotujcie się do przyjęcia inspektorów za dziesięć minut — rzekł egzekutor Faseta.

Połączenie zostało zakończone i piksele rozproszyły się.

— Jaki czarujący gość — rzekł Jenks. — Pewnie na imprezach jest duszą towarzystwa.

— Tylko jeśli ma do tego odpowiednie formularze — powiedział Ashby, pocierając nasadę nosa. — Upierdliwy typ.

Otworzyły się z brzękiem drzwi windy towarowej, z której wyskoczyły

Rosemary i Kizzy.

— Wszystko w porządku? — zapytała Kizzy. — Narobiłam kłopotów? Naprawdę w ogóle nie powinnam przyjmować rozmów, kompletnie głupieję...

— Nikt nie ma kłopotów, ale musimy pozwolić im na jeszcze jedno przeszukanie.

— Dlaczego?

— Bo tak powiedzieli, bo są quelinami i naprawdę nie są osobami, które chciałbym wkurzyć.

— Słyszałam, że przeszukania statków są bardzo przykre — odezwała się Sissix.

— Podczas ostatniego nic nam się nie stało.

— Tak, ale to było tylko podstawowe skanowanie pod kątem broni i nielegalnych urządzeń. Wierzcie mi, oni przeszukają wszystko. I podobno robią też skanowanie krwi.

— Po co? — zapytała Rosemary.

Jenks westchnął.

— Mogę się założyć, że z powodu tego dupka z wybuchowymi botami we krwi. Pamiętacie tego durnego gatunkistowskiego dzieciaka sprzed kilku standardów, który próbował udowodnić swoją rację podczas przeszukania na granicy? Nawet ich dobrze nie zaprogramował. Wysadził tylko swoją własną głowę.

— To zabawne, jak gatunkiści zawsze wszystko niszczą — zauważyła Sissix. Corbin się skrzywił, ale zanim zdołał coś powiedzieć, Sissix ruszyła do drzwi. — Pójdę po Ohan.

Ashby popatrzył na Kizzy i Jenksa.

— Czy macie schowane coś, co mogłoby ich wkurzyć? Cokolwiek?

Jenks poważnie się zastanowił.

— Chyba nie.

— Nie — rzekła Kizzy. — Resztkę domowego kopa Niedźwiedzia wypiliśmy w zeszłym dziesięciodniu. — Przerwała i uniosła dłonie do ust. — O kurde!

— Co? — zapytał Ashby.

Przeniosła ręce na czubek głowy i zaczęła skręcać sobie włosy.

— Mam w skarpetkach torebkę łomotu.

— Dobrze, że pomyślałaś o tym teraz. Idź i wrzuć ją do silnika.

— Ale... — Kizzy zgarbiła się. — Tutaj nie można dostać łomotu. Chowałam go na specjalną okazję.

Ashby zmarszczył brwi. Nie był w nastroju do wysłuchiwania argumentów Kizzy.

— To nie jest dyskusja. Wrzuć go do silnika. Natychmiast.

— Chodź, Kiz — powiedział Jenks. Wziął ją za nadgarstek i poprowadził z powrotem do windy towarowej. — Zróbmy tę straszną rzecz.

— Nienawidzę quelinów — stwierdziła. — To głupie palanty i nikt ich nie lubi. — Wchodząc do windy, nieznacznie ściszyła głos. — Gdybyśmy go teraz wypalili naprawdę szybko, to myślisz, że by zauważyli?

— Słyszę cię, Kizzy — powiedział Ashby.

Wydęła usta.

— Musiałam spróbować — rzekła, kiedy zamykały się drzwi.

Rosemary widziała wideo z quelinami, ale nie była przygotowana na to, co zobaczyła w drzwiach ładowni. Usiłowała wymyślić coś lepszego na ich określenie, lecz nie wyszła poza „homarowego centaury”. Niebieskie chitynowe egzozkielety, długie poziome brzuchy, wielodzielne tułowia pokryte kończynami z licznymi stawami, a nad wszystkim podobne do maski twarze. Ich skorupy zdobiły jakieś wypalone symbole i wypolerowane kamienie. Wiedziała, że nie należy oceniać gatunku po pozorach, ale ich

gruzłowaty wygląd i rozmowa, której była wcześniej świadkiem, nie budziły sympatii.

Reszta załogi też miała niewyraźne miny, dzięki czemu Rosemary poczuła się lepiej. Było powszechnie wiadomo, że quelinowie są ksenofobami i rzadko widywało się ich poza ich własną przestrzenią kosmiczną. Przyjęto ich do WG ze względów praktycznych, przynajmniej tak czytała. Quelinowie mieli do swojej dyspozycji ogromne zasoby surowców naturalnych i zostali początkowo ściągnięci do WG przez harmagian, którzy mieli na wymianę mnóstwo pieniędzy i wyrefinowaną technologię. Co prawda quelinowie i harmagianie się nie lubili. Zabawne, jak możliwość zysków zawsze przebija antypatię.

Do ładowni weszło sześcioro quelinów pod przewodem tego z rozmowy przez sib, egzekutora Fasety. Wydał polecenia swoim podwładnym (przynajmniej tak założyła Rosemary, która nie знаła tellerainu). Czwooro z nich wyszło z ładowni z pikającymi urządzeniami skanującymi w rękach, stukając w metalową podłogę ostro zakończonymi nogami.

— Ustawić się w szeregu i przygotować do skanowania — polecił egzekutor Faseta.

To tyle, jeśli chodziło o przedstawienie się.

Załoga posłuchała. Rosemary stanęła obok Sissix. Zerknęły na siebie. Sissix przewróciła oczami i pokręciła z irytacją głową.

Faseta pokazał nogą na Ohan.

— Co z nimi? — zapytał.

Rosemary zerknęła na nich. Ohan się trzęśli. Niezbyt gwałtownie, ale wystarczająco, by było to widać z oddali.

— Są starzy i chorzy — odparł Doktor Kucharz. — To nic zaraźliwego. Cierpią na zwyrodnieniowe zmiany nerwowe, które nie pozwalają im długo stać.

Faseta utkwiał wzrok w Ohan, ale ponieważ nie miał powiek ani mięśni twarzy, nie można było stwierdzić, co myśli.

— Mogą usiąść.

— Dzięki — powiedzieli Ohan i skinęli głową.

Osunęli się na podłogę, próbując zachować opanowanie. Wyglądało na to, że jednak quelin może zachowywać się rozsądnie.

Faseta przeniósł wzrok na Doktora Kucharza.

— W celu weryfikacji twojego twierdzenia będziemy musieli przejrzeć ich dokumentację medyczną.

Dobra, może jednak nie.

Quelinka wyjęła z torby wiszącej u jej boku jakieś urządzenie.

— Teraz przeprowadzimy skanowanie waszej krwi, hemolimfy czy też innego głównego płynu genetycznego pod kątem substancji skażających, patogenów, nielegalnych nanobotów i wszelkich innych zakazanych lub niebezpiecznych substancji. Jeśli jesteście ich świadomymi nosicielami, powiedzcie nam o tym teraz. — Zaczekała chwilę na odpowiedź. Nikt się nie odezwał. — Zaczynam skanowanie. — Podeszła do Jenksa, który stał na końcu szeregu, i przez kilka sekund wpatrywała się w niego. — Jesteś wyjątkowo mały.

— A ty masz cholernie dużo nóg — powiedział Jenks i wyciągnął do niej rękę.

Quelinka milczała. Przyłożyła skaner do jego dłoni. Rozległ się mechaniczny trzask. Rosemary usłyszała, jak Jenks wciąga przez zęby powietrze. Quelinka przyjrzała się odczytowi. Najwyraźniej zadowolona, przeszła do Ashby'ego.

Jenks przyjrzał się swojej dłoni.

— Co, żadnego bandaża czy...? Nie? Dobra. Dzięki.

Quelinka posuwała się wzdłuż szeregu. Kiedy nadeszła jej kolej, Rosemary

posłusznie wyciągnęła rękę. Ukłucie skanera było nieprzyjemne, ale znośne. Choć wiedziała, że w jej krwi nie ma nic interesującego, nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy quelinka przeszła dalej. Coś w tych istotach rodziło w niej wielkie napięcie.

Mimo że Rosemary nie umiała niczego wyczytać z twarzy quelinki, podczas skanowania Corbina coś się w niej zmieniło. Egzekutor Faseta też to zauważył, ponieważ ruszył prosto do niej. Spojrzał na skaner, po czym quelinowie na krótko pograżyli się w ożywionej, niezrozumiałej dla nich dyskusji.

— Artisie Corbin — odezwał się egzekutor Faseta. — Aresztuję cię zgodnie z ustępem 17-6-4 umowy o obronie integralności genetycznej.

— Co?! — zawołał Corbin. Dopadła go już quelinka; związała mu ręce czymś w rodzaju sznura energii i popychała go w stronę drzwi. — Ja nic nie zrobiłem!

Ashby rzucił się do przodu.

— Egzekutorze, o co...

Faseta go zatrzymał.

— Wszyscy zostaniecie przesłuchani. Zatrzymamy was tutaj. Kiedy zakończymy przeszukanie waszego statku, przesłuchania odbędą się w wybranym przez was miejscu. Zgodnie z ustępem 35-2 ustawy o postępowaniu karnym prośby o udzielenie porady prawnej zostaną odrzucone.

— Słucham? Co tu się, do diabła, dzieje? — zapytał Ashby.

Rosemary usiłowała zachować spokój. O ile wiedziała, nikt z nich nie zrobił nic złego, a jeśli quelinowie jeszcze nie odkryli, że ona ma sfalszowany plik identyfikacyjny, to wątpiła, by kiedykolwiek do tego doszli. Jeśli chodzi o Corbina, to nie знаła nikogo, kto by był mniej zdolny do złamania prawa. To musi być jakieś nieporozumienie.



— Nie jesteście aresztowani — rzekł Faseta. — Nie jesteście też w tej chwili o nic oskarżeni. Niepodporządkowanie się w pełni śledczemu spowoduje uwięzienie.

Jenks wbił w niego wzrok.

— Kapitan zadał ci pytanie. Co takiego zrobiliśmy?

— Przestań, Jenks — odezwał się Doktor Kucharz.

Quelinka wyprowadziła Corbina ze statku.

— Ashby! — zawołał. Powłóczył nogami, ale quelinka popychała go do przodu. — Ashby, ja naprawdę nie...

— Wiem, Corbinie. Rozwiążemy to. — Ashby odwrócił się do Fasety. Rosemary nigdy nie widziała go tak rozzłoszczonego. — Dokąd go zabieracie? Co on zrobił?

Egzekutor Faseta spojrział na Ashby'ego swoimi płaskimi czarnymi oczami.

— On istnieje.

Przeskanowali jego łatkę i zabrali ubranie. Zdarł sobie od krzyku gardło, ale nikt nie chciał z nim rozmawiać. Nikt z nich nawet nie mówił w klipie. Ich słowa trzaskały. Trzaskały ich oczy. Trzaskały ich stopy, kiedy dotykały podłogi. Zupełnie jakby się znajdował w metalowym gnieździe jakichś owadów — było tam ciemno, gorąco, wilgotno i cały czas rozlegały się trzaski.

Nawet nie wiedział, jak daleko od „Wędrowca” się znajduje. Przenieśli go na inny statek. A może na sztucznego satelitę? Nie potrafił tego stwierdzić. Nie było żadnych okien ani ekranów widokowych (przynajmniej on żadnego nie widział). Wepchnęli go do olbrzymiego pomieszczenia wielkości ładowni statku towarowego. Podłogę znaczyły gładkie doły, których głębokość dwa razy przekraczała jego wzrost. Kiedy wystarczająco mocno zmrużył oczy, widział błyski oczu patrzących na niego z dołu.

Próbował się zakryć. Sami quelinowie nie nosili ubrań, ale mieli skorupy. Nie musieli się niczym okrywać. Nie mieli miękkiego ciała, włosów, zmarszczek, bruzd i niekształtnych fałdów, które człowiek wolał zachować dla siebie. Corbin żałował, że nie ma skorupy. Żałował, że nie urodził się jako przedstawiciel gatunku z kolcami albo rogami, albo czymkolwiek bardziej imponującym niż ten wrażliwy worek, którym był. Żałował, że to nie quelinowie się boją.

Popchnęli go szorstko w stronę pustego dołu.

— Nie — powiedział, usiłując opanować drżenie głosu. — Najpierw musicie mi powiedzieć, co takiego zrobiłem. Jestem obywatelem WG i mam swoje...

Po kilku sekundach żałował, że się w ogóle odezwał.

Jeden z quelinów chwycił go górnymi kończynami i przycisnął plecami do opancerzonego tułowia. Wokół jego ciała zamknęły się jak drucziana klatka inne kończyny z wieloma stawami. Drugi quelin opuścił twarz do podłogi, rozplaszczając się jak deska. Corbin nie zauważył dotąd, jak gruby pancerz mają quelinowie na czubku głowy. Zakrzywione, czarno-niebieskie gładkie sklepienie było gęsto pokryte starymi zadrapaniami.

Quelin go zaatakował. Sklepiona głowa wbiła się w pierś Corbina. Przeszył go ból. Zakrztusił się własnym oddechem, opluwając głowę quelina. Quelin się tym najwyraźniej nie przejął. Cofnął się i znowu rzucił do przodu.

*Och, nie, proszę, nie...*

Usłyszał trzask łamanych żeber, zanim poczuł ból. Usłyszał swój krzyk, zanim zdał sobie sprawę, kto krzyczy. Osunął się na nogi quelina, ale ten trzymał go mocno. Drugi quelin znowu zaatakował.

Quelin, który go trzymał, w pewnym momencie musiał go wypuścić, ponieważ Corbin stwierdził, że leży na podłodze i wymiotuje. Za każdym skurczem żołądka czuł ukłucia połamanych żeber. Wyrzywały mu się z ust

ciche jęki, ale zaraz milkły, bo płuca walczyły o powietrze.

Wepchnęli go do dołu. Zsunął się po zimnym metalu. W podłogę uderzył najpierw twarzą. Poczuł, że nos wykrzywia mu się na bok i tryska z niego krew. Quelin, który połamał mu żebra, krzyknął do niego w klipie siedem gniewnych słów. W ciągu następnych godzin mógł myśleć tylko o nich.

— Od tej chwili masz być cicho, klonie.

Ashby wrócił z przesłuchania ostatni. Dołączył do pozostałych przy kolacyjnym stole. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych. Byli tam nawet Ohan, zwinięci pod kocem na sąsiedniej ławce. Doktor Kucharz wyłożył niedużą porcję wiosennych ciasteczek. Nikt ich nie jadł.

— Och, na gwiazdy — odezwała się Kizzy. Podbiegła do Ashby'ego i objęła go w pasie. — Myślałam, że ciebie też zamykają.

— Nic mi nie jest — powiedział.

— Nie było cię sześć godzin.

— Mam wrażenie, że dłużej. — Osunął się na swoje krzesło. Doktor Kucharz postawił przed nim kubek meku. Ashby objął go dłońmi, czując, jak przenika do nich ciepło. Przez chwilę patrzył przed siebie, a potem odetchnął głęboko i spojrzał na swoją załogę. — Czy ktoś z was wiedział?

Ogólne potrząsanie głowami.

— Nie miałem pojęcia — rzekł Jenks, zapalając fajkę z zielozielem.

Kupki popiołu na talerzu przed nim świadczyły o tym, że wypalił już dwie porcje.

— Zastanawialiśmy się, czy sam Corbin wie — odezwała się Sissix.

— I?

— Chyba nie — powiedział Jenks. Spomiędzy jego zębów wysnuwał się dym. — Widziałeś jego twarz, kiedy go wywlekali? Nie miał bladego pojęcia, co się dzieje.

— Sprawdziłem stare badanie krwi — rzekł Doktor Kucharz. — Nie ma

kwestii. W jego DNA są pewne nieregularności, które nie mogą zaistnieć w żaden inny sposób.

— Dlaczego nie zauważyłeś tego wcześniej? — zapytał Ashby.

— Bo to jest coś takiego, co się znajduje tylko wtedy, kiedy się szuka właśnie tego. Nie miałem powodu, by to robić.

Ashby westchnął i odchylił się na oparcie krzesła.

— To niczego nie zmienia. Mam nadzieję, że wszyscy macie tego świadomość. Corbin jest rozumną osobą, a mnie niespecjalnie obchodzi, skąd się wziął. Wiem, że wszyscy mamy... trudności w kontaktach z nim. — Zerknął na Sissix, która jednym szponem skubała wiosenne ciasteczko. — Jest jednak członkiem naszej załogi i musimy mu pomóc. — Powiódł wzrokiem wokół stołu. Coś było nie tak. — Czekaście, gdzie jest Rosemary? Nie wróciła?

Czy quelin rozszyfrował też ją? Na gwiazdy, ilu dzisiaj straci członków załogi?

— Jest w swoim biurze — odparła Sissix. — Od chwili, kiedy ją wypuścili, szuka prawnych możliwości dla Corbina.

Ashby zanotował w pamięci, że kiedy zbudują tunel, ma dać Rosemary podwyżkę.

— Pójdę jej pomóc — powiedział i odsunął krzesło do tyłu.

— Nie trzeba. — Rosemary weszła przez kuchnię z notekiem w ręce i pikserysikiem zatkniętym za ucho. — Ale mamy mnóstwo do omówienia.

— Słuchamy.

Rosemary usiadła na swoim miejscu.

— Corbin jest przetrzymywany na pobliskim egzekutorskim sztucznym satelicie. Będą go tam trzymać do czasu rozpatrzenia jego sprawy.

— I co wtedy?

— Jeśli nic nie zrobimy, zostanie wysłany do quelińskiej kolonii karnej.

Z tego, co się dowiedziałam, są to głównie obozy pracy. Najwyraźniej większość rudy teracytu w WG wydobywają quelińscy więźniowie.

— Dobra wiadomość — odezwał się Jenks. — Miło wiedzieć, z czego są zrobione moje panele z obwodami.

— Jak oni mogą to robić? — zapytał Doktor Kucharz. — Corbin jest obywatelem WG.

— Nie — powiedziała Rosemary. — Ponieważ klonowanie jest nielegalne na większości terytoriów WG, osoby sklonowane nie dostają takich samych praw, co osoby urodzone naturalnie. Muszą przejść ten sam proces składania podań, co gatunki nienależące do WG, nawet jeśli całe życie mieszkają w WG.

— To niesprawiedliwe — stwierdziła Kizzy.

— Tak, ale pomyśl, jak rzadko coś takiego się zdarza — powiedział Jenks. — Prawodawcy nie będą sobie robić kłopotu z tworzeniem nowych systemów prawnych. Dla może ilu? Kilkuset osób w najlepszym wypadku. Klonerów można znaleźć tylko na rubieżach i bardzo wątpię, czy ktoś, kto jest w to zaangażowany, wraca do WG. WG prawdopodobnie nie ma z tym za często do czynienia.

— Właśnie — zgodziła się Rosemary. — I z tego powodu nieoficjalną polityką w razie odkrycia klona jest poddanie się miejscowemu prawu. Gdybyśmy się dowiedzieli o Corbinie w, powiedzmy, harmagiańskiej przestrzeni, nadal musiałby złożyć podanie i przejść cały proces, ale poza tym jedyną inną rzeczą, jaka by mu się przytrafiła, byłoby dodanie przypisu do jego pliku identyfikacyjnego. Jedyną aresztowaną osobą byłby jego ojciec. Co prawdopodobnie teraz ma miejsce.

— Ktoś coś wie o jego tacie? — zapytała Kizzy.

— Chyba wciąż przebywa na sztucznym satelicie Enceladusa. Nie rozmawiają ze sobą — rzekł Ashby. Zwrócił się do Rosemary. — Chcę to

sobie uporządkować. Ponieważ Corbin nie jest obywatelem, do odzyskania go nie możemy wykorzystać żadnych praw wynikających z układu?

— Tak. Jest jednak furka. Tylko że nie... — Odchrząknęła. — Nie jest idealna.

— Tego się domyśliłem.

Rosemary bawiła się pisakiem.

— Warunki umowy o członkostwo quelinów w WG stanowią, że muszą oni honorować wszelkie prawnie wiążące dokumenty dotyczące obywateli WG, którzy podróżują przez ich przestrzeń. Jest to przewidziane dla przypadków jak... Powiedzmy, mamy człowieka i harmagianina z zarejestrowanym partnerstwem w harmagiańskiej przestrzeni.

— Ujj... — powiedziała Kizzy.

— Gatunkistka — stwierdził Jenks.

— Nie jestem gatunkistką, oni są oślizgli.

— To tylko przykład — rzekła Rosemary. — Nie mogliby zarejestrować swojego partnerstwa u quelinów, ponieważ nie uznają oni partnerstwa międzygatunkowego. Lecz ponieważ ta para jest już zarejestrowana na innym terytorium WG, quelinowie muszą pod względem prawnym honorować ich partnerstwo.

— Jak to? — zapytał Ashby.

— Na przykład gdyby ich statek się rozbił i jedno z nich zginęło, quelińskie władze musiałyby uznać to drugie za jego najbliższego krewnego, nawet gdyby nie nadali takich praw osobom mieszkającym w ich przestrzeni.

— Rozumiem. Ale w jaki sposób ma to pomóc Corbinowi?

— Osoba składająca podanie o obywatelstwo WG musi mieć przydzielonego na cały okres przyznawania obywatelstwa opiekuna prawnego. Obywatela WG, który za nią poręcza.

— Tak, musiałem tak zrobić — powiedział Doktor Kucharz.

— Jak to się odbywa? — zapytał Jenks.

— To w dużej mierze formalność. Chodzi o to, żeby starający się o obywatelstwo miał kogoś, kto pomoże mu wejść do społeczeństwa. Taki opiekun pilnuje, żeby nowy obywatel nauczył się języka i praw, żeby zrozumiał miejscową kulturę i etykę, takie rzeczy. Jest także odpowiedzialny za terminowe dostarczenie formularzy i musi przyjść na rozmowę. To taki system wzajemnej pomocy przy integrowaniu się.

— Dla Corbina wydaje się głupi — stwierdziła Kizzy. — Przecież nie musi uczyć się od nowa klipu.

— Więc jeśli Corbin będzie miał prawnego opiekuna, to quelinowie będą musieli mu go wydać? — zapytał Ashby.

— Tak, ale mamy na to mało czasu. Musielibyśmy wypełnić wszystkie formularze, dostarczyć je do WG do akceptacji i potem do quelinów, zanim zajmą się sprawą Corbina. Mam znajomego, z którym mogę się skontaktować. To drobny urzędnik WG. Jestem pewna, że kiedy tylko zobaczą, iż sprawa jest pilna, natychmiast wszystko podpiszą.

— Ten sam znajomy, który, no wiesz...? — zapytał Jenks, pokazując na łąkę Rosemary.

Rosemary spuściła wzrok.

— Tak.

— Kiedy quelinowie zajmą się sprawą Corbina? — zapytał Doktor Kucharz.

— Nikt nie wie. To może być za kilka dni albo dziesięć dni. Z tego, co wiem, mogą się nią zajmować teraz, ale wątpię. O ile rozumiem system prawny quelinów, nie śpieszą się z takimi sprawami.

— Dobra — rzekł Ashby. — Pokaż mi, gdzie mam przyłożyć kciuk.

— Nie, widzisz, ty nie możesz być opiekunem. — Rosemary zaczerpnęła tchu. Miała niewyraźną minę. — Jest haczyk. I jest to głupi, biurokratyczny

haczyk, ale nie możemy go obejść.

— Słuchamy.

— Quelińskie prawa dotyczące klonowania nie są po prostu surowe, one są... Nawet nie umiem znaleźć odpowiedniego słowa. Nieugięte. W najlepszym wypadku tylko z grubsza rozumiem sytuację, ale kilka wieków temu quelinowie brali udział w krwawej międzyplanetarnej wojnie, z którą wiązało się klonowanie, eugenika i wszelkie inne paskudne historie. Teraz quelinowie nie traktują klonowania jako tylko etycznie mętnej praktyki. Uważają je za zło. Dla nich samo istnienie Corbina jest niebezpieczne. Ich prawa dotyczące klonowania są o wiele bardziej kompleksowe niż to, co stworzyły inne gatunki. Jest jasne, że pomyśleli o możliwości przybycia klonów spoza ich przestrzeni.

— To znaczy?

— To znaczy, że bez względu na układy z WG nie wydadzą Corbina przedstawicielowi gatunku, który zakazuje klonowania. Według nich robią takim gatunkom przysługę, trzymając go z dala od reszty galaktyki. — Odchrząknęła. — Więc jedynym sposobem odzyskania Corbina jest wyznaczenie opiekuna, którego gatunek nie ma praw dotyczących klonowania.

— Kto nie ma... — Ashby przerwał na widok wahania malującego się na twarzy Rosemary.

Nie patrzyła na niego. Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzyła na Sissix.

Sissix zamrugła. Jej twarz nic nie wyrażała. Zakryła dłonią oczy, odchyliła głowę do tyłu i wydała długie, gniewne westchnienie.

— No chyba żartujesz.

— Chwileczkę — powiedziała Kizzy. — Ty? Aandriskowie nie mają praw dotyczących klonowania?



— Nie, nie mamy praw dotyczących klonowania.

— Dlaczego?

— Bo tego nie robimy — warknęła Sissix. — Nigdy nam to nie przyszło do głowy. Wiesz dlaczego? Bo w przeciwieństwie do was uważamy, że natura dobrze działa sama, bez podrasowywania, hakowania i... I... No nie, to jest idiotyczne.

— Sissix... — zaczął Ashby.

— Nic nie mów. Zrobię to. Bez dwóch zdań. Nie zostawię go, żeby zgnił w jakiejś kopalni teracytu. — Zabębniła szponami po stole. — No więc tak. Świetnie. Co mam robić? Podpisać jakieś formularze, pójść z nim na kilka rozmów?

— Tak — powiedziała Rosemary. Oblizła usta i zaczęła mówić szybciej. — I musisz znajdować się w tym samym układzie co on przez cały czas trwania procesu przyznawania obywatelstwa.

Pióra Sissix się zjeżyły.

— Czyli ile czasu?

Rosemary skuliła się. Jej całe ciało było jednymi wielkimi przeprosinami.

— Do jednego standardu. Może dłużej.

Sissix zakłęła w reskitkishu i odeszła od stołu, ale po chwili odwróciła się do Rosemary.

— Nie jestem na ciebie zła z tego powodu — powiedziała. — Wiesz o tym, prawda?

— Wiem — odparła Rosemary, patrząc jej w oczy.

Ashby obserwował ich rozmowę bez słów. Przyglądał im się z zaciekawieniem. Miał podejrzenie, ale nie była to odpowiednia pora, by je rozważyć. Miał ważniejsze rzeczy do roboty.

Sissix znowu westchnęła i spróbowała przyglądzić pióra ręką.

— No, już. Uratujmy drania.

Sissix znajdowała się na pokładzie egzekutorskiego sztucznego satelity dopiero od kilku minut, ale już go znienawidziła. Żadnych okien. Żadnych kolorów. Bezdźwięczne korytarze. Pozbawione wdzięku, kanciaste wzornictwo. Gdzie się obróciła, poczucie surowej sterylności. Rozumiała, że więzienia nie mają być radosne, ale to było gorsze, niż sobie wyobrażała. Miejsce powodowało, że już nigdy więcej nie chciało się zrobić nic złego. Jedyłą dobrą rzeczą było ciepło, ale i tak powietrze było gęste, ciężkie. Wydawało się, że można by je żuć.

Weszli do pomieszczenia zatrzymań, w którym znajdowało się tylko kilka zamontowanych na ścianach skanerów oraz imponujące drzwi.

— Zaczekaj tu — polecił quelin, a następnie wystukał kod na ściennym panelu.

Drzwi się otworzyły i Sissix niemal się zakrztusiła wpływającym przez nie powietrzem, w którym mieszał się odór niemytej skóry i odchodów. Przycisnęła dłoń do nozdrzy i cofnęła się o krok. Jak quelinowie to wytrzymują? Czy oni w ogóle mają zmysł powonienia?

Zwalczyła narastające mdłości i spróbowała zajrzeć w głąb więzienia. Światło było zbyt nikłe, by dało się cokolwiek zobaczyć, ale widziała ciepło ciała unoszące się z dołów w podłodze. Dołów. Czy reszta WG o tym wie? Na pewno wie ktoś w parlamencie. A czy ich to obchodzi? Czy świadomość, że odbywają sesje rady z istotami rozumnymi, które traktują inne gatunki w ten sposób, spędza im sen z powiek? A może łatwy dostęp do teracytu wystarcza, by pozbyć się skrupułów? Coraz bardziej zbierało jej się na wymioty, ale nie miało to nic wspólnego ze smrodem.

*Jestem tu dla Corbina*, pomyślała, z trudem przyjmując to do wiadomości. Znalazła się w tej trupiej, wydrążonej skorupie po wypełnieniu kilku bardzo wiążących formularzy, które miały unieruchomić ją na standard — na pieprzony standard — a wszystko to dla Corbina. Tego kłusającego,

paskudnego typka. Dlaczego on? Dlaczego ona? Umiała zaakceptować jego obecność na statku, potrafiła dzielić z nim to samo jedzenie i powietrze, ale to teraz było absurdalne. I niesprawiedliwe. I niezasłużone.

Po kilku chwilach dostrzegła egzekutora zmierzającego z powrotem w stronę drzwi. Przed nim szedł człowiek. Było z nim coś nie tak. Sissix widziała to w jego ruchach. Co oni mu zrobili? Kiedy się zbliżył, wessała powietrze przez zęby. Jego tułów pokrywały fioletowe plamy sińców. Twarz miał w strasznym stanie, a jego nos tkwił w twarzy pod dziwnym kątem. Poruszał się sztywno, trzymając się ręką za bok. Drugą ręką starał się osłonić genitalia. Ach, ci ludzie. No, doprawdy, pobity i wrzucony do dołu tym się martwi?

Wtedy Sissix zobaczyła wyraz twarzy Corbina. Początkowo myślała, że maluje się na niej gniew, ale nie — to był wstyd. Nigdy nie zrozumie w pełni ludzkiej skromności, ale wiedziała, jak głęboko jest zakorzeniona. Wiedziała też, że za wszystkie niemiłe uczucia, jakie żywi do niego, Corbin odpłaca jej tym samym. Samo popychanie i brak ubrania były zapewne dla niego dość upokarzające, ale największą zniewagą było to, że widziała go w takim stanie osoba, którą pogardzał. Sissix wolałaby, żeby został po niego wysłany ktoś inny. Odwróciła wzrok.

— Na pewno go chcesz? — zapytał egzekutor. — To obrzydlistwo.

Sissix przyszpiliła go spojrzeniem.

— Przynieś ubranie obrzydlistwa.

— Prawdopodobnie zostało zniszczone.

Postąpiła kilka kroków w stronę Corbina, który z trudem utrzymywał się na nogach. Wzięła go za rękę i objęła się nią w pasie, pomagając mu stać. Czy dotykała go kiedykolwiek przedtem? Chyba nie. Musieli przynajmniej uścisnąć sobie dłonie, kiedy został zatrudniony.

— Macie tu coś? Koc? Ręcznik? Cokolwiek? — zwróciła się do quelina.

Egzekutor zawahał się, a potem otworzył schowek w ścianie pełen materiałów medycznych. Mimo jego nieprzeniknionej twarzy Sissix miała wrażenie, że quelin zachowuje się wobec niej ostrożnie. Ona sama była nikim, lecz jej gatunek był jednym z wielkiej trójki w parlamencie WG i aandriskowie mieli większe wpływy od quelinów. Kontakty dyplomatyczne między ich gatunkami były w najlepszym razie poprawne i aandriska źle potraktowana przez quelińskich egzekutorów stanowiłaby smakowity kąsek dla serwisów informacyjnych.

Egzekutor podał Sissix nieduży koc z jakiegoś syntetycznego materiału podobnego do folii. Pomogła Corbinowi owinąć się nim w pasie.

— Dziękuję — powiedział cichym głosem.

Było oczywiste, że z trudem oddycha. Oczy miał wbite w podłogę, ale Sissix widziała, że walczy ze łzami. Kolejny wstyd, któremu starał się zapobiec. Oderwała wzrok od jego twarzy. Nie powinna go takiego widzieć.

— Zabierzemy cię do domu — powiedziała.

Wyprowadziła go z pomieszczenia; egzekutor szedł tuż za nimi.

Po chwili Corbin odezwał się szeptem:

— Nie wiedziałem, czy ktoś po mnie przyleci.

Sissix milczała. Nic, co mogłaby powiedzieć, nie zabrzmiałoby właściwie ani szczerze. Szli korytarzem. Corbin krzywił się z każdym krokiem. Po chwili zapytał:

— Dlaczego ty?

Westchnęła.

— To skomplikowane i to, co się dzieje, nie spodoba ci się tak samo jak mnie. Ale to może poczekać do czasu, kiedy załata cię Doktor Kucharz. Na razie powiedzmy, że... To było właściwe.

Zapadła między nimi niezręczna cisza.

— Dziękuję. No tak. Dziękuję — powiedział Corbin.

— No, dobra — rzekła Sissix i odchrząknęła. — Ale odtąd będę podkrecać temperaturę tak mocno, jak zechcę.

Cztery dni później Corbin siedział w swoim laboratorium i rozsmarowywał algi na karcie testowej. Ostatnia partia wyszła nieco lepka, a on nie wiedział dlaczego. Rozsmarował algi cienko, żeby po umieszczeniu karty w skanerze wyraźnie widzieć komórki. Zwykle zadanie, ale on tego tak nie odbierał. Nic już nie było zwykłe, ani jego laboratorium, ani jego łóżko, ani twarz. Ale właśnie dlatego trzeba było wykonywać normalne zadania. Umieści algi na karcie i włoży ją do skanera. Będzie to robił wiele razy, aż poczuje, że jest tak jak dawniej.

— Przepraszam, Corbinie — odezwała się z voxu Lovey.

— Tak?

SI chwilę milczała.

— Jest do ciebie rozmowa przez sib. Z Tartaru.

Corbin podniósł wzrok znad alg i nic nie powiedział. Tartar. Asteroida więzienna w pasie Kuipera. Była tylko jedna osoba, która mogła chcieć z nim stamtąd rozmawiać.

— Mogę nie przyjąć rozmowy, jeśli chcesz — powiedziała Lovey z wahaniem.

— Nie. — Corbin wytarł smugę zielonej mazi z końca narzędzia, którym pobierał próbki, i odłożył je na bok. — Przełącz tu na dół.

— Dobrze, Corbinie. Mam nadzieję, że pójdzie dobrze.

Corbin skinął szybko głową. Vox wyłączył się z trzaskiem. Corbin westchnął, odwrócił się do swojego biurka i machnął w stronę projektora pikseli. Piksele ożyły. Mrugający czerwony kwadracik na dole obrazu świadczył, że czeka na niego rozmowa przez sib. Corbin patrzył, jak kwadracik miga pięć razy, zanim wydał gestem zgodę na przyjęcie rozmowy.

Pojawił się jego ojciec. Corbin nie rozmawiał z nim od czterech

standardów. Postarzał się. Przybrał też nieco na wadze, co było dziwne. Ojciec zawsze zmuszał Corbina do zdrowego odżywiania się. Corbin widział znajome krzywizny, linie i zmarszczki na twarzy ojca. Jego rysy były wyraźniejsze, wyżłobione wiekiem, ale to były takie same rysy jak jego. To było coś więcej niż rodzinne podobieństwo. Pewnego dnia Corbin będzie miał taką samą twarz.

— Zrobili ci krzywdę — odezwał się ojciec.

Corbin odchylił się na oparcie fotela, żeby ojciec mógł dobrze się przyjrzeć znikającym sińcom na jego twarzy. Właśnie dlatego pozwolił Doktorowi Kucharzowi naprawić mu tylko kości. Miał nadzieję na tę chwilę, na chwilę, w której ojciec zobaczy, czego dokonał swoją pychą.

— Witaj, Markusie. Owszem, wróciłem z więzienia ze złamanym nosem i trzema złamanymi żebrami. Jedno niemal przebiło mi płuco.

— Przepraszam, Artisie. Tak mi przykro.

— Przykro. Wyrrywają mnie z domu, biją na kwaśne jabłko i wrzucają do quelińskiego piekła, a wszystko po to, żeby mi powiedzieć, że całe moje życie to kłamstwo, a tobie jest przykro. Dzięki, ale to za mało.

Marcus westchnął.

— Dlatego chcę porozmawiać. Domyślam się, że masz pytania. Jeśli zdołasz na kilka minut przestać mnie nienawidzić, chętnie na nie odpowiem. Nie mogę często stąd rozmawiać. Dostęp do ansibla to rzadkość.

Corbin wpatrywał się w mężczyznę z pikseli. Sprawiał wrażenie tak przygnębionego, tak zmęczonego. Wstrząsnęło to Corbinem i tym bardziej rozżłościło.

— Chcę się tylko dowiedzieć, skąd naprawdę pochodzę.

Marcus skinął głową i spojrzał na swoje kolana.

— Pamiętasz, jak pytałeś o swoją matkę?

— Oczywiście. Mówiłeś tylko, że zginęła w katastrofie promu. Nigdy nie

chciałeś o niej mówić, co ma sens, skoro nigdy nie istniała.

— Och, nie — odparł Marcus. — Miałem żonę. Oczywiście nie była twoją matką, ale... — Zapatrzył się w dal. — Artisie, ja nigdy nie miałem dobrych kontaktów z innymi. Zawsze wolałem swoje laboratorium. Lubię dane. Dane są spójne, pewne, zrozumiałe. Z danymi zawsze wiadomo, jaka jest odpowiedź. Jeśli dane nie mają sensu, zawsze można go znaleźć. W przeciwieństwie do ludzi. — Pokręcił głową. — Nie potrafię rozgryźć ludzi. Na pewno rozumiesz.

Corbin zacisnął zęby. *Do cholery, pomyślał. Ile we mnie jest ciebie?*

— Kiedy byłem młody, przyjąłem pracę w Widoku — ciągnął Marcus. Corbin znał to miejsce. To było jedno z nielicznych laboratoriów na powierzchni Enceladusa. Objęte ścisłą kwarantanną w celu ochrony stawów z drobnoustrojami pod lodową powierzchnią księżyca. Personel Widoku składał się tylko z jednej osoby, która była sama przez co najmniej rok. Rzadko się zdarzało, by ludzie brali przydział do Widoku więcej niż raz. — Uznałem, że to miejsce idealne dla mnie. Uwielbiałem tam pracować. Żadnych ludzi, którzy przeszkadzaliby mi w pracy albo wchodzili w drogę. Oprócz niej. — Na chwilę przerwał. — Miała na imię Sita. Pilotowała prom zaopatrzeniowy, który dostarczał mi żywność i wyposażenie laboratorium. Oczywiście nie mogła wejść do środka, ale mogłem ją obserwować przez kamery w śluzie i rozmawialiśmy przez vox. — Marcus uśmiechnął się ciepłym, intymnym uśmiechem. Corbin był zaskoczony. Nigdy, ani razu nie widział, by jego ojciec tak się uśmiechał. — Jak możesz się spodziewać, była piękna. Nie taka piękna, jak na wideo albo jak chcą człowiekowi coś sprzedać. Naprawdę piękna. Taką urodę można dotknąć. I nie była z satelity. Była z Marsa. — Roześmiał się półgłosem. — Uważałem, że ma uroczy akcent. — Marcus potrząsnął głową, jakby chciał ją oczyścić. Zaczął mówić silniejszym głosem. — Oczywiście byłem dla niej straszny. Jeśli pojawiała

się, kiedy byłem w trakcie przeprowadzania badań, powarkiwałem na nią, a ponieważ nie znosiłem błahych rozmów towarzyskich, ledwie się do niej odzywałem. Taki byłem dla wszystkich, ale ona... Ona na to nie zważała. Zawsze uśmiechała się do mnie, nawet kiedy zachowywałem się wobec niej jak głupek. Nabijała się ze mnie za mój zły nastrój, za nieuczesane włosy. Z jakiegoś powodu nie rozwścieczało mnie to. Podobało mi się, że dawała mi się we znaki. Zacząłem liczyć dni między dostawami. Początkowo myślałem, że po prostu czuję się samotny, że to objaw życia w odosobnieniu. Sporo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, jak bardzo jestem w niej zakochany. — Przeciągnął ręką po rzadkich włosach. — I wtedy doprowadziłem do zwolnienia nas obojga.

— Co takiego?

Marcus odchrząknął.

— Pewnego dziesięciodnia cały wolny czas spędziłem na sprzątaniu stacji. Doprowadziłem ją do porządku. Zastawiłem stół lepszym jedzeniem, które odkładałem w zastojce.

Corbin wytrzeszczył oczy.

— Nie zaprosiłeś jej do środka.

— Och, zaprosiłem. A ona zaproszenie przyjęła.

— Ale... — wybełkotał Corbin. — Czy ta stacja w ogóle ma możliwość zaaplikowania ludziom błysku odkażającego?

— Nie. Zanim na nią przybyłem, zostałem wysterylizowany. Jedyne zainstalowane tam generator błysku był przeznaczony dla żywności i sprzętu. Jej znalezienie się w środku w ogóle nie wchodziło w rachubę.

— Ale twoje próbki!

Corbin był jak ogłuszony. Przez całe dzieciństwo Marcus wpajał mu, jak ważne jest zapobieganie zakażeniu. Raz odebrał mu na miesiąc desery, bo złapał go na jedzeniu cukierka w laboratorium. Corbin nie znał osoby, którą



opisywał Marcus. Z pewnością to nie był ojciec, jakiego znał.

— Wszystko przepadło — rzekł Marcus. — Sita miała na sobie akurat tyle łagodnych bakterii, żeby spowodowało to kilka problemów. Kierowniczka projektu badawczego była wściekła. Pół roku pracy poszło na marne. Sita została zwolniona, a ja dostałem wybór albo rozpoczęcia roku od nowa, albo całkowitego opuszczenia projektu.

— Zostałeś?

— Och, nie, odszedłem. Dzięki tej pięknej kobiecie właśnie przeżyłem jeden z najlepszych dni w życiu. Nawet nie robiliśmy nic szczególnie interesującego. Po prostu zjedliśmy całą moją żywność i rozmawialiśmy o wszystkim. Rozśmieszała mnie. A z powodów, których nadal nie rozumiem, ja sprawiałem, że i ona się uśmiechała. Nie było mowy, żebym dał się zamknąć z dala od niej w Widoku. Następne pięć lat spędziłem na próbach odbudowania kariery, ale było to tego warte.

— A więc... — powiedział Corbin, wciąż oszołomiony. Jego mózg nie umiał przyjąć obrazu ojca jako beznadziejnie zakochanego młodzieńca gotowego skazić laboratorium. — Ożeniłeś się z nią.

Marcus parsknął śmiechem.

— Nie od razu. Żebrałem i błagałem, aż znalazłem kogoś, kto zechciał zatrudnić mnie w bibliotece genów. Okropna robota, ale miałem szczęście, że w mojej sytuacji w ogóle coś dostałem. Główny technik tamtejszego laboratorium też spędził rok w Widoku. Myślę, że mi współczuł. Sita dostała pracę w firmie transportowej z siedzibą na Tytanie, gdzie nie zadawano zbyt wielu pytań ani o to, kim jest Sita, ani jaki towar chcą przetransportować klienci. Podejrzana robota, ale... Cóż, wtedy sądziliśmy, że jest dobrze. Ponieważ wróciłem na sztucznego satelitę, mogliśmy się widywać częściej. A po pewnym czasie ożeniłem się z nią. Spędziliśmy razem pięć cudownych lat. — Twarz Markusa ściągnęła się i Corbin przez chwilę miał wrażenie, że

przygniatają go wszystkie lata jego życia. — Pewnego ranka powiedziała, że będzie musiała na kilka miesięcy zrezygnować z pracy. Zapytałem dlaczego. Powiedziała, że jest w ciąży. Nie posiadałem się z radości. Wtedy miałem już lepsze stanowisko w bibliotece i mieliśmy dość zaoszczędzonych kredytów, żeby zacząć myśleć o zamieszkaniu gdzie indziej. To był idealny czas na założenie rodziny. Nigdy nawet nie myślałem, że będę mógł mieć rodzinę. No bo kto by mnie pokochał? — Jego oczy rozłożone na piksele odnalazły oczy Corbina. Corbin nic nie powiedział. Marcus mówił dalej. — Dwa dziesięciodnie później Sita leciała z Tytana na Ziemię. Ogniwa ambi. Zwykle nie brała takich długich kursów, ale ze względu na cenny ładunek płacili jej podwójnie. To nie była praca, w której można było odmawiać. Dranie w porcie promowym nie sprawdzili, czy uszczelki ochronne zostały prawidłowo założone. To było zanim WG zaczęła poważnie rozprawiać się z niebezpiecznym ambi. Biurokratów dana sprawa nic nie obchodzi, dopóki nie ma wpływu na znaczną liczbę ich wyborców. — Marcus zaczerpnął tchu. — Na pewno potrafisz się domyślić, co się stało dalej.

— Uszczelki puściły — rzekł Corbin. Markus skinął głową. — Przykro mi. — Mówił szczerze, mając na myśli Sitę. Wypadek z ambi oznaczał przynajmniej szybką śmierć. Kobieta prawdopodobnie nie miała czasu uświadomić sobie, że coś jest nie tak. Jednak opowieść ta, chociaż nieszczęśliwa, nie dawała odpowiedzi na najważniejsze pytanie. — To nie wyjaśnia, dlaczego poczułeś potrzebę sklonowania się.

— Nie? Sita zginęła, a wraz z nią zniknęła moja jedyna szansa na posiadanie rodziny. Głęboko ukryłem wszystkie myśli o Sicie i skupiłem się na dziecku, które mogłem mieć.

— Mogłeś kogoś adoptować.

— Chciałem kogoś z mojej krwi i kości. Chciałem mieć dowód, że ktoś kochał mnie na tyle, by stworzyć ze mną nowe życie.

— Mogłeś znaleźć surogatkę. Mogłeś poznać inną kobietę.

— Tak, jestem pewien, że oplakując swoją zmarłą żonę, myślałbyś tak jasno — warknął Marcus.

*Proszę.* Oto ojciec, którego znał Corbin. Przynajmniej znajdował się teraz na znajomym gruncie.

— To gdzie to zrobiłeś? — zapytał. — Gdzie była kadź, w której mnie wyhodowałeś?

— W Ściegu. Wziąłem wszystko, co zaoszczędziliśmy z Sity, i poleciałem do Ściegu.

— Ścieg. Ślicznie.

Ścieg był kolonią na rubieżach, która służyła jako schronienie dla mroczniejszej strony społeczności modderów. Nawet odwiedziny w Ściegu mogły się skończyć przesłuchaniem i wyrokiem więzienia, gdyby ktoś w WG dowiedział się o takiej wyprawie. Nie było wielu legalnych powodów odwiedzin tego miejsca.

— Kiedy zostałeś.... No, kiedy zacząłeś istnieć, zostałem tam przez kilka miesięcy, a potem przywiozłem cię do domu.

— Jak wyjaśniłeś obecność niemowlęcia?

— Powiedziałem, że w Port Coriol poznałem kobietę. Spędziliśmy razem noc i ani się obejrzałem, jak miałem syna. Powiedziałem, że twoja matka nie mogła się tobą zaopiekować, więc zabrałem cię do domu. Wybrałem niewspomagany proces formowania się płodu, więc w pełni rozwinąłeś się po dziewięciu miesiącach i rosłeś w normalnym tempie. Nie było powodu, by ktoś to kwestionował. Moja rodzina przypisała to mojej żałobie, ale wiesz, że i tak mało z nimi rozmawiałem. Jeśli chodzi o rodzinę Sity... Po tym nie chcieli mieć ze mną nic do czynienia. Przede wszystkim nigdy mnie nie lubili i chyba nie podobało im się, że tak szybko po śmierci ich córki dzieliłem z kimś łożę.

Corbin uniósł dłoń. Mało go obchodziły stare dramaty rodzinne.

— Powiedziałeś „niewspomagany proces formowania się płodu”. Czy coś było wspomagane?

Doktor Kucharz powiedział mu, że w jego ciele nie ma nic niezwykłego, ale wolał mieć pewność.

Marcus pokręcił głową.

— Nie. Technik, który zrobił... Technik, którego zatrudniłem, usiłował mnie namówić do podrasowania cię, ale byłem stanowczy. Jesteś taki sam jak ja. Masz wszystkie moje wady.

Corbin pochylił się.

— To dlatego, prawda?

— Co dlatego?

— Nigdy nie tolerowałeś błędów. Rozbita szalka, brudna skarpetka na podłodze, rozlany sok. Nie miało znaczenia, jak dobrze zachowywałem się w szkole ani jak dobre miałem stopnie. Przychodziłem z kartą wyników pełną „celujących”, ale ty widziałeś tylko jeden stopień „przeciętny”.

— Po prostu chciałem, żebyś był najlepszy.

— Chciałeś, żebym naprawił wszystkie błędy, które sam popełniłeś — powiedział powoli Corbin. — Nie chciałeś, żebym był osobą samą w sobie. Chciałeś, żebym był lepszą wersją ciebie.

— Myślałem...

— Byłem dzieckiem! Dzieci popełniają błędy! I wcale nie skończyło się to, kiedy dorosłem. Ani razu nie powiedziałeś mi, że jesteś ze mnie dumny albo że coś mi wyszło. Byłem dla ciebie eksperymentem. Nigdy nie zadowalały cię dobre wyniki, wciąż szukałeś skazy generującej błędne dane.

Marcus milczał przez dłuższy czas.

— Jestem z ciebie dumny, Artisie. Chociaż to na pewno za mało i za późno. Nie mam możliwości cofnięcia się w czasie i bycia lepszym ojcem. —

Spojrzał na Corbina. — Jest jednak coś, z czego jestem bardzo zadowolony.

— Co takiego?

Ojciec uśmiechnął się smutno i rozejrzał po sterylnej celi.

— Że siedzę tu ja, a nie ty. — Westchnął. — Powiedziano mi, że musisz ubiegać się o obywatelstwo.

— Tak. Na cały standard jestem przywiązany do jednego z członków mojej załogi.

— Masz szczęście. Poza Sitą nigdy nie miałem na tyle dobrych przyjaciół, żeby zrobili dla mnie coś takiego.

Corbin poruszył się na fotelu.

— Ona nie jest przyjaciółką. Właściwie mną gardzi, ale nie na tyle, żeby pozwolić mi umrzeć w quelińskim więzieniu.

— Nie miej tak niskiego mniemania o sobie, Artisie. Nawet takie nieprzyjemne dranie jak my zasługują na towarzystwo. — Uśmiechnął się z wyższością. — Nawiasem mówiąc, to cytaty z mojej żony.

Corbin wydał z siebie coś podobnego do śmiechu.

— Chciałbym ją poznać — powiedział. Coś mu przyszło do głowy. — Chociaż gdyby żyła, ja bym nie istniał.

— Nie. Ale cieszę się, że istniejesz.

*Naprawdę? Wymieniłbyś ją na mnie, gdybyś wiedział?*

— Jaki masz wyrok?

— Dwanaście standardów. Kiedy wyjdę, będę stary. Ale poradzę sobie. Jak dotąd jestem tu dobrze traktowany. I mam całą celę dla siebie. Wreszcie mogę odrobić zaległości w czytaniu.

Corbin zauważył na biurku wyschniętą plamkę zielonej mazi. Dobrze było na niej skupić uwagę.

— Jeszcze jedno — powiedział, zeszkrobując algi.

— Tak?

— Moje urodziny. Czy moje urodziny to moje prawdziwe urodziny?  
A raczej rocznica dnia, w którym zostałem wyciągnięty z kadzi?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Nie dawało mi to spokoju. — Rozejrzał się po laboratorium.  
— Muszę wracać do pracy.

— Tak, oczywiście. Strażnicy i tak zaraz każą mi kończyć rozmowę. —  
W jego oczach pojawił się błagalny wyraz. — Może... Może moglibyśmy...?

Patrzyli na siebie. Odległość między nimi była większa niż ta dzieląca ich fizycznie.

— Nie wiem — odparł Corbin. — Może.

Marcus skinął głową.

— Uważaj na siebie, synu.

Pomachał mu ręką. Obraz zniknął. Piksele zgasły.

Corbin siedział, słuchając brzęczącego pulsu kadzi z algami. Po chwili wzięł z biurka notek. Otworzył dziennik i zrobił szybki wpis.

*25 października. Nadal moje urodziny.*

— Jesteś dziś zamyślony — powiedziała Lovey.

— Tak? — zapytał Jenks.

— Tak. Masz tę małą zmarszczkę między oczami, która się pojawia, kiedy coś zaprzęta ci umysł.

Jenks potarł skórę między oczami.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że tak łatwo mnie przejrzeć.

— Nie każdemu.

Jenks oparł się z westchnieniem o ścianę i wyciągnął z kieszeni puszkę z ziołami.

— To ta cała sprawa z Corbinem.

— Aha. Chyba wszyscy są jeszcze trochę wstrząśnięci. Corbin źle śpi. Siedzi do późna i wchodzi do swoich osobistych plików. Głównie do

własnych zdjęć z dzieciństwa.

— Nie mów mi takich rzeczy — powiedział Jenks, nabijając fajkę. — Wiesz, że nie lubię wścibstwa.

Lovey roześmiała się.

— To nie ty jesteś wścibski, tylko ja. Ty tylko plotkujesz.

— No dobrze, jeśli to wszystko. — Zapalił fajkę i wciągnął powietrze przez tłące się liście. Dym, który znalazł się w jego płucach, sprawił, że ramiona Jenksa się rozluźniły. — Biedny Corbin. Nie potrafię sobie wyobrazić takiego wstrząsu. — Odwrócił głowę i przyłożył ucho do ściany. — Czy ten trzask wydaje twój trzeciorzędowy router?

— Niech sprawdzę. Działa normalnie.

— Hmm. Nie podoba mi się ten dźwięk. — Odwrócił się przodem do ściany, zdjął pokrywę włazu i powiódł wzrokiem po znajdującej się w środku koronce mrugających obwodów. — O, widzisz, tutaj. Zużył się bocznik.

— Zaczekaj z tym do rana, Jenks. Wymiana zajmie kilka godzin, a ty pracowałeś cały dzień.

Jenks zmarszczył brwi.

— Dobrze, ale obudź mnie, jeśli doświadczysz jakichkolwiek luk w pamięci.

— Nic mi nie będzie — odparła czule Lovey. — Nawet nie czuję, że coś jest nie tak. — Jenks z powrotem założył pokrywę. — Chyba to nie Corbin cię trapi.

— Nie?

— Nie.

— Więc co?

— Nie wiem, ale chciałabym, żebyś mi powiedział.

Jenks westchnął, wydmuchując dym. Umieszczone wysoko maleńkie lampki robocze przeszywały promieniami światła jego kłęby.

— Myślałem o twoim zestawie cielesnym.

— Jest jakiś haczyk i nic mi o tym nie powiedziałeś — odezwała się po chwili Lovey.

— Nie — rzekł Jenks i wyjął fajkę z ust. — Nie ma żadnego haczyka. Cała sprawa jest tak czysta, jak to tylko możliwe na czarnym rynku. W sumie nawet cena była uczciwa.

— No to co cię trapi?

— Tata Corbina. Ten gość musiał wydać fortunę na sklonowanie się. Jakimś sposobem był na tyle ostrożny, że nie dowiedział się o tym nie tylko Corbin, ale i władze. A udawało mu się to ukrywać przez całe dziesięciolecia. Corbin nie jest takim sobie klonem. On jest prawdziwy. Żadnego podrasowania, żadnych ulepszeń. Do diabła, nawet Doktor Kucharz nic nie zauważył, dopóki nie zaczął specjalnie szukać. A mimo to...

— A mimo to został złapany.

— Tak. Po tych wszystkich wydatkach i całym planowaniu biedak wylądował w więzieniu, a Corbin stracił obywatelstwo. I to po tym, jak skopali go ci pieprzeni quelinowie. — Usiadł prosto. — Słuchaj, zawsze wiedzieliśmy, że zdobycie zestawu będzie ryzykowne. Ale chyba tak naprawdę nie myślałem, co to znaczy. No dobra, wiedziałem, że więzienie będzie do bani, ale zawsze sądziłem, że jeśli prawo będzie chciało mi się dobrać do dupy, to wezmę cię i polecimy na Świerszcza albo może na jakąś planetę na rubieżach. Nie byłoby to wyjście idealne, ale za to bezpieczne. Ale przez całą tę rozróbę z Corbinem zacząłem się zastanawiać, co tak naprawdę by się wydarzyło, gdyby nas złapali. Powiedzmy, że zostałem złapany z zestawem, zanim bym cię do niego wgrał. Dobra, poszedłbym do więzienia, pan Kruchy poszedłby do więzienia, ale tobie nic by się nie stało. Wciąż znajdowałabyś się tutaj, na „Wędrowcu”, ze wszystkimi naszymi przyjaciółmi. Do czasu, kiedy Ashby znalazłby innego komptecha, mogłaby



się opiekować tobą Kizzy, a kiedy bym wyszedł, wciąż byś tu była. Ale gdybyśmy zostali złapani o wiele później, kiedy już znajdowałabyś się w zestawie? Gdyby minęło, powiedzmy, dziesięć lat, a my przestalibyśmy uważać? Gdyby któreś z nas powiedziało coś niewłaściwego niewłaściwej osobie albo gdyby na tyle ulepszono bioskanery, że pokazywałyby, czym naprawdę jesteś? A gdyby znowu zatrzymali nas quelinowie i chcieli zrobić skan krwi? Ja i tak poszedłbym do więzienia, ale ciebie by rozmontowali. Kiedy skończyłby mi się wyrok, ciebie by nie było. I nie dlatego, że schroniłabyś się w jakimś znanym mi bezpiecznym miejscu. Po prostu byś zniknęła.

Lovey milczała.

— Zestaw jest już w drodze, Jenks.

— Wiem.

— I nie możesz odzyskać pieniędzy.

Westchnął.

— Wiem. Ale nie zbankrutuję. A poza tym może moglibyśmy go jeszcze wykorzystać. Może z czasem zmieni się prawo. Moglibyśmy po prostu poczekać, aż zrobi się bezpieczniej. Albo do czasu, kiedy odejdę ze statku. Albo coś.

— To była też moja decyzja. Nie zmuszałeś mnie do niej.

— Wiem. I nie odmówię ci, jeśli tego pragniesz. Ale jestem przerażony. Zaczynam myśleć, że może tak bardzo tego chciałem, że nie pozwoliłem sobie na przyznanie, jak to jest cholernie niebezpieczne. — Spojrzał na swoje dłonie. — Chociaż bardzo chcę cię przytulić, nie wiem, czy jest to warte ryzyka utraty cię na zawsze. Może będzie lepiej ciągnąć to jak jest i mieć pewność, że nikt mi cię nie odbierze.

W pomieszczeniu było cicho, a przynajmniej tak cicho, jak to było możliwe. Syczały filtry powietrza. Szumiał układ chłodzenia otaczający

rdzeń Lovey.

— Jenks, pamiętasz, kiedy rozmawialiśmy o tym po raz pierwszy? Kiedy wyliczyłam ci wszystkie powody, z racji których chciałam mieć ciało?

— Tak.

— Skłamałam, mówiąc, że to nie dla ciebie. Oczywiście, że to dla ciebie. Naprawdę uważam, że dałoby mi to wiele cudownych możliwości, i przypuszczam, że byłoby to bardzo dobre życie. Ale to zawsze, zawsze było dla ciebie. Inaczej bym się nad tym nie zastanawiała, nie na poważnie.

— Ale... Powiedziałaś. Wyliczałaś zalety i wady...

— Które wymyśliłam, kiedy uznałam, że na to zasługujesz. W ogóle bym o tym nie wspominała, gdybym sądziła, że to mnie unieszczęśliwi. Mam jednak trochę szacunku dla samej siebie. Ale owszem, to było ze względu na ciebie. I jeśli bardziej cię to przeraża, niż ekscytuje, nie ma to sensu. Jestem tu szczęśliwa. Jestem szczęśliwa z tobą. Czy chciałabym mieć ciało? Tak. Czy chcę podjąć ryzyko? Tak. Ale jestem zadowolona z obecnego stanu rzeczy i jeśli ty też, to może na razie niech to wystarczy. Może nie na zawsze, ale nie musimy się śpieszyć. Mogę poczekać, aż galaktyka stanie się nieco przychylniejsza.

Jenks przełknął ślinę.

— Lovey, to nie tak, że... To znaczy chcę powiedzieć, że bardzo tego chcę, tylko...

— Ćśśś. Przysuń się bliżej — powiedziała.

Jenks zgasił fajkę, włożył ją z powrotem do puszki i podszedł do kanału. Sięgnął po sweter leżący na podłodze.

— Zostaw go.

Jenks słyszał, jak wyłącza się układ chłodzenia.

— Nie za długo — powiedział.

— Nie za długo.

Rozebrał się i wszedł do kanału, jak robił to już wiele razy. Usiadł i oparł się plecami o jej rdzeń. Jej blask oświetlał jego nagą skórę. Bez chłodzonego powietrza miał wrażenie słonecznego ciepła, ale łagodniejszego od tego prawdziwego.

— Zrozumiem, jeśli zechcesz znaleźć sobie kogoś, kto będzie mógł ci dać coś więcej — rzekła Lovey. — Nie miałabym ci tego za złe. Czasami martwię się, że nie pozwałam ci prowadzić takiego życia, jakie powinna mieć organiczna istota rozumna. Jeśli jednak wybierzesz to bez przymusu, to ja nie muszę mieć ciała, Jenks. Zawsze byliśmy razem bez niego. Nie umiem cię kochać inaczej.

Przycisnął do niej plecy, podeszwy stóp, ramiona, dłonie, usiłując wchłonąć jej jak najwięcej. Przekręcił się i dotknął jej ustami. Pocałował gładki, ciepły metal i powiedział:

— Nie widzę powodu, by zmieniać najlepszą rzecz, jaką miałem w życiu.

Identyfikator węzła: 9874-457-28, Rosemary Harper

Źródło informacji: Pliki informacyjne Wspólnoty Galaktycznej (publiczne/klip)

Poszukiwania archiwalne: Stosunki ludzie/quelinowie

Wyświetlanie: Najczęstsze

Najczęstsze wyniki:

Lista quelińskich umów handlowych

Lista quelińskich ustaw dotyczących innych gatunków

Lista quelińskich ustaw imigracyjnych

Lista quelińskich ustaw deportacyjnych

Lista quelińskich ustaw dotyczących międzygatunkowego kopulowania/rodzin

Przesłuchania w sprawie członkostwa we Wspólnocie Galaktycznej (ludzie, 261 standard WG)

Obecni reprezentanci w Parlamencie WG (quelinowie)

Porównanie anatomiczne [ludzie:quelinowie]

Wybrany wynik: Przesłuchania w sprawie członkostwa we Wspólnocie Galaktycznej, zapis publiczny 3223–3433-3, zarejestrowany 33/261 (tekst wyróżniony — reprezentant quelinów)

Kodowanie: 0

Ścieżka tłumaczenia: 0

Transkrypcja: [wid:tekst]

Mimo różnic między naszymi gatunkami i kulturami wszyscy dzielimy pewien porządek. Rozwój cywilizacji to proces podlegający scenariuszowi. Umysły łączą się w celu stworzenia nowych technologii, a potem lepszych technologii i jeszcze lepszych. Jeśli nie da się osiągnąć harmonii, dana cywilizacja upada. Jeśli pojawiają się sprzeczne idee, dana cywilizacja upada. Jeśli dana cywilizacja nie potrafi przeciwstawić się zagrożeniom z zewnątrz, upada.

Uczeni badający życie rozumne zauważają, że zanim młode cywilizacje osiągną stan, w którym są gotowe opuścić swoje rodzime planety, przechodzą podobne stadia rozwoju. Może najważniejszym z nich jest stan „wewnątrzgatunkowego chaosu”. Jest to okres zdobywania doświadczeń, trudny okres dorastania, kiedy gatunek albo uczy się zespolenia na globalną skalę, albo się rozpada na sprzeczące się ze sobą frakcje skazane na zagładę, czy to poprzez wojnę, czy katastrofy ekologiczne zbyt potężne, by dać sobie z nimi radę samodzielnie. Widzieliśmy taki rozwój wypadków niezliczoną liczbę razy. Każdy z nas, kto zasiada w tym parlamencie, może opowiedzieć o planetarnych wojnach i walkach politycznych naszych przodków, ale przewyciężyliśmy je, by sięgnąć ku gwiazdom. Wszyscy znamy opowieści o kohashach, o danten lu i te najświeższe o grumach — o unicestwionych gatunkach, którym zabrakło dyscypliny, by spojrzeć przed siebie i ujrzyć następny etap ewolucji.

Ludzie mogliby podzielić ich los. Opuścili swoją planetę nie jako monolit, lecz we fragmentach. Kiedy ich planeta zaczęła umierać, bogaci porzucili żyjących w ubóstwie i schronili się na Marsie. W miarę powiększania się stert ciał, ci, którzy zostali na Ziemi, utworzyli Flotę Exodusu i skierowali się nie ku swoim marsjańskim braciom, lecz ku otwartej przestrzeni kosmicznej. Nie mieli punktu docelowego, nie mieli strategii. Chcieli tylko uciec. Gdyby nie jedna mała aeluońska sonda, Flota niemal na pewno by wymarła, a uważam za nieprawdopodobne, by Marsjanie kiedykolwiek osiągnęli ten skromny poziom dobrobytu, którym teraz się cieszą, bez zapożyczeń z techniki WG.

I co teraz? Czego nauczyło ich to doświadczenie? Niczego. Nadal się rozpraszają. Członkowie Floty utworzyli niezależne kolonie nie dlatego, że przynosi to bogactwo lub surowce, lecz dlatego, że tak chcieli. Być może Marsjanie i Exodanie opatrzili swoje stare rany, lecz nadal są podzieleni duchowo. A co z koloniami na rubieżach, zbudowanymi przez ludzi, którzy nie chcą mieć nic wspólnego ani z Diasporą, ani z WG? Co z wrogimi gaistami na Ziemi, którzy polują na zwierzęta stadne na ziemiach pozostających w chwiejnej równowadze?

Chodzi mi o to, koledzy reprezentanci, że ludzie to podzielony, kaleki, niedorosły gatunek, który rozpoczął międzygwiazdne życie nie dzięki swoim zasługom, lecz dzięki szczęściu. Ludzie nie wyszli poza stadium wewnątrzgatunkowego chaosu. Przeskoczyli ważny etap, który musiała przejść reszta z nas. Przyznając im członkostwo we Wspólnocie

Galaktycznej, nie dalibyśmy im nowego życia, lecz kulę. Te mizerne zasoby, które mogą nam zaproponować, nie są warte ryzyka, jakie stworzyłyby wpuszczenie do naszej wspólnej przestrzeni tak niestabilnego elementu. WG wydała już zbyt wiele, by pomóc pomniejszym gatunkom uniknąć kłopotów, które same na siebie sprowadziły. Pytam, jaka jest korzyść z uczynienia ludzi jednymi z nas? Jeśli nie zasoby, wiedza ani siła militarna, to co?

# Dzień 121., 307 standard WG

## Herezja

— Cześć, szefie — powiedziała Kizzy, wchodząc do biura Ashby'ego.

Podwinęła brudne rękawy, a rękawice wetknęła do przedniej kieszeni. W rękach trzymała fragment jakiegoś urządzenia.

— Nazywasz mnie szefem tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebujesz — zauważył Ashby.

— Potrzebuję czegoś. — Kizzy wyciągnęła w jego stronę urządzenie. — To jest regulator termiczny. Pomaga utrzymać temperaturę w zastojuce.

— Zakładam, że skoro nie jest podłączony do zastojski, to się zepsuł.

Kizzy skinęła ze smutkiem głową.

— Godzina tego biedaka wybiła.

— Mamy pod ręką inny?

Kizzy pokręciła przepaszająco głową.

— Nie należy do rzeczy, które mam w zapasie. Mózg mam zwykle zajęty pilnowaniem, żebyśmy mieli części zamienne do układu podtrzymywania życia i silnika. Przepraszam. Nie pomyślałam o tym.

Ashby zbył jej komentarz machnięciem ręki.

— Bardziej bym się martwił, gdybyś dała pierwszeństwo zastojuce. Nie oczekuję, że będziesz mieć duplikaty wszystkich używanych przez nas urządzeń. — Potarł sobie podbródek. Powinien przystrzyc brodę. — Co to oznacza dla zastojski?

— Pole zastoju może się utrzymać bez tego. Ma układ podtrzymywania, dzięki któremu w razie uszkodzenia żywność się nie psuje do czasu

zainstalowania nowego urządzenia. Ale bez regulatora po pewnym czasie będzie obrzydliwa.

— Po jakim czasie?

— Po czterech, może pięciu dniach. Nie umrzemy z głodu, jeśli tak się stanie, ale myślę, że wszystkim nam przyda się świeża żywność między tym miejscem a Hedrą Ka.

Ashby skinął głową. Trzy dziesięciodnie hamburgerów z mąki z robali i suchych racji nie brzmiały zachęcająco, a nie było gwarancji, że będą mogli odnowić zapasy na Hedrze Ka. Co w ogóle jedzą toremi?

— Dron dostawczy nie doleci tu w cztery dni.

— Wiem. Możemy mieć przechłapanie. Ale. — Kizzy przejechała dłonią po swoim siedzeniu, sprawdzając, czy spodnie nie są pobrudzone smarem. Kiedy zobaczyła, że dłoń jest czysta, usiadła na krześle naprzeciwko Ashby'ego. — Sissix mówi, że niedaleko stąd jest mała skolonizowana planeta. Pojawiła się wczoraj na skanerze. Nie wiem, co to jest, nie ma jej na żadnej mapie Sissix. Ale to tylko pół dnia drogi stąd. Moglibyśmy zaparkować statek tutaj i szybciotko podskoczyć tam promem.

— Jesteśmy na skraju WG. To na pewno kolonia na rubieżach.

Ashby'emu nie bardzo uśmiechało się pukanie do drzwi niezidentyfikowanych kolonii na rubieżach.

— Mhm. Ale mogą mieć urządzenia, które mogłabym wykorzystać.

— To jest bardzo duże „mogą”. Mogą nie mieć nic.

— Tak, tylko że to jest samotna planeta. Nie ma gwiazdy, która by ją ogrzewała. To dlatego Sissix w ogóle ją zauważyła, ona ma te sztuczne satelity, które dostarczają jej sztuczne światło słońca. Zasila je ambi bezpośrednio zasysane z pobliskiej mgławicy.

Ashby uniósł brwi.

— To dość zaawansowana technologia.

— Sama technologia to nic specjalnego, ale chcę się dowiedzieć, jak skalibrowali swoje zgarniacze do pracy wewnątrz mgławicy. Istnieje powód, dla którego ambi zbiera się wokół czarnych dziur. Występuje tam w dużym zagęszczeniu. Technicy WG nie znaleźli sposobu, żeby pozyskiwać ambi z mniejszych skupisk i nie zbankrutować. — Zacisnęła w zamyśleniu usta. — Tak czy owak, jeśli potrafią pozyskiwać ambi z mgławicy, to postawię moje boty na to, że dysponują też prostszą technologią.

Machnęła regulatorem.

Ashby powoli skinął głową.

— Są jakieś wskazówki co do tego, czyja to kolonia?

— Nie. Ale nie należy do ludzi.

— Skąd wiesz?

Kizzy posłała mu kpiące spojrzenie.

— Bez względu na to, czy to kolonia na rubieżach, czy nie, gdyby ludzie mieli w swoich rękach taką technologię, musielibyśmy o tym słyszeć. Byliby obrzydliwie bogaci.

Ashby zabębnił palcami po stole.

— Są w okolicy jakieś statki? Jakaś broń?

— Nie. Żadnej broni. Sprawdziłyśmy. Żadnych statków, żadnych portów. Poza tymi satelitami niebo jest martwe.

Ashby przez chwilę się zastanawiał.

— Dobra. Ale załatwmy to sprytnie. Nie chcę tam lecieć, dopóki nie będę wiedział, kto tam jest. — Skinieniem ręki obudził pikselowy ekran. — Hej, Lovey, chcę wysłać przez sib otwarty sygnał na tę samotną planetę. Daj mi znać, czy ktoś go odbierze.

— Już się robi.

Kizzy przyciągnęła swoje krzesło do Ashby'ego i wpatrzyła się w ekran.

— Nic się nie dzieje, Kizzy. Mogą go przez jakiś czas nie odebrać. Mogą



go w ogóle nie odebrać.

— To ekscytujące! Jak łowienie ryb czy coś i czekanie, aż ktoś chwyci przynętę.

Ashby spojrzał na Kizzy z ukosa.

— Kiedy łowiłaś ryby?

— Ciągłe to robię w „Battle Wizards”. — Na ekranie zapalił się wskaźnik połączenia przez sib. Kizzy przechyliła się przez biurko, pokazując palcem. — Popatrz! Widzisz? Branie! Chwycili przynętę!

Ashby położył Kizzy ręką na ramieniu i pociągnął ją z powrotem na jej krzesło.

— Ja będę mówił, dobrze?

Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było to, żeby Kizzy rozdrażniła jakiegoś drażliwego kolonistę z rubieży.

Machnął ręką, żeby odebrać połączenie. Na ekranie pojawił się obcy. Ashby’emu opadła szczęka. To był sianat. Ale nie taki jak Ohan. Ten sianat pozwalał swojemu futru swobodnie rosnać. Nie golił go we fraktalne ani święte wzory. W jego postawie było coś bardziej czujnego, zupełnie niepodobnego do wiecznego przygarbienia Ohan. Miał co prawda jakby obwisłą twarz i przerzedzone futro i chociaż Ashby wiedział, że nie może robić założeń na temat gatunku, o którym niewiele wie, nie potrafił odrzucić oczywistego wniosku.

Sianat był starszy.

— Cześć — powiedział Ashby, otrząsając się z zaskoczenia. — Czy mówisz w klipie?

Sianat wydał z siebie ptasie gruchanie, jakie Ashby słyszał czasami u Ohan. Kiedy otworzył usta, Ashby zauważył, że ma niespiłowane zęby. Zupełnie jakby zaglądał do jaskini pełnej ostrych stalagmitów. Sianat wykonał jakiś gest w stronę Ashby’ego, wciąż gruchając i oglądając się za

siebie. Choć Ashby nie znał innych sianatów, zrozumiał jego zachowanie: *Zaczekaj. Znajdę kogoś, kto będzie mógł z tobą porozmawiać.*

— Ashby — szepnęła Kizzy.

— Wiem — odpowiedział również szeptem.

— Tak się cieszę, że tu jestem — powiedziała i oparła brodę na pięściach.

Na ekranie coś się poruszyło. Pierwszy sianat ustąpił miejsca innemu. Ten miał podobny wzrost, ale inną budowę ciała. Miał masywne biodra i ramiona, mocno zarysowane oczy i szczękę. Na tyle różnił się od pierwszego sianata — oraz od Ohan — że Ashby doszedł do wniosku, iż jest innej płci. Kiedy sianatowie zamieniali się miejscami, ten pierwszy dotknął ramienia drugiego. Oni się dotknęli. Ashby pomyślał o tym, jak Ohan usuwali się z drogi mijanym członkom załogi, jak ledwie znosili dotyk rękonoż Doktor Kucharza podczas badań. Kim są te osoby?

— Dzień dobry — odezwała się sianatka. Miała bardzo silny akcent. Ashby zauważył, że ma spiłowane zęby. — Nazywam się Mas. Wybacz moje słowa, mój klip jest stary.

Ashby uśmiechnął się i powiedział powoli:

— Nazywam się Ashby. Jestem kapitanem statku budującego tunele. To jest Kizzy, nasza mechtech.

Mas przekrzywiła głowę.

— Tunele? Tak, tak, wiem o budowaniu tuneli. — Roześmiała się jazgotliwie. — Dużo wiem o budowaniu tuneli.

„Wiem”, nie „wiemy”. Ashby przyjrzał im się uważnie.

— Wybacz mi, Mas, nie chcę być niegrzeczny, ale... Nie jesteście duetem?

— Nie. — W ich... W jej głosie brzmiała wyraźna duma słyszalna nawet mimo akcentu. — Nikt tu nie jest duetem. Jesteśmy kolonią samotników.

— Heretycy — powiedziała Kizzy ze zdumieniem.

Ashby zgromił ją wzrokiem, ale Mas chyba się nie obraziła.

— Tak, heretycy — powiedziała. — Macie na waszym statku duet?

— Tak — odparł Ashby. — Naszego nawigatora.

— Byłam kiedyś nawigatorem u harmagian. Przedtem. Przedtem, zanim byłam tutaj. Stare słowa. Przepraszam.

— Nie musisz przeproszać, rozumiem cię. — Ashby zastanowił się nad tym, co powiedziała Mas. Miał nadzieję, że rozmową z nią nie obraża Ohan.

— Nasz nawigator nie wie, że rozmawiamy z tobą. Kiedy wysyłaliśmy wiadomość, nawet nie wiedzieliśmy, kto jest na dole.

— O! Sądziłam... Nie, nic. — Mas wydała wibrujący dźwięk. — Jaka jest wasza potrzeba?

Ashby szturchnął Kizzy.

— Szukam pewnego urządzenia — powiedziała Kizzy, unosząc zepsuty regulator. — Nic szczególnego, coś do naprawy naszej zastójki.

— Ach, wasza żywność! Musicie naprawić waszą żywność.

Wydawało się, że ją to bawi.

Na wzmiankę o żywności Ashby pomyślał o tubkach z odżywczą pastą Ohan.

— Zapewne nie znacie technologii zastójki, prawda?

— My jemy — rzekła Mas. — Nie wsysamy pasty jak duety. Przybądźcie do nas, znajdziemy urządzenie. Może trzeba je będzie trochę obić, żeby zadziało, ale technicy lubią obijać rzeczy, tak?

Kizzy się roześmiała.

— Owszem.

— Macie prom?

— Tak.

— Dobrze. Nasze statki są stare jak słowa. — Pokazała na ekran. Wyskoczył na nim zestaw współrzędnych do lądowania. — I musimy porozmawiać o waszym duecie. Czy oni słabną?

— Tak — odparł Ashby.

— Już niedługo — powiedziała Mas. — Przybądźcie na dół, porozmawiamy. Ale nie mówcie waszemu duetowi, że przybywacie. Nie spodoba im się to.

Ekran pociemniał.

Rosemary widziała tak mało zmian nastroju Ohan — nie mówiąc już o ich wpadaniu do jej biura — że dopiero po sekundzie zorientowała się, że duet jest wściekły. Ohan mieli szeroko rozwarte oczy i płytko oddychali.

— Dokąd poleciecieli? — zapytali piskliwym głosem.

Rosemary, która właśnie rozliczała faktury, nie mogła wykrztusić słowa.

— Kto? — zapytała głupio, chociaż wiedziała, kogo Ohan mają na myśli.

Dwie godziny wcześniej przyszedł do niej Ashby i powiedział, że leci z Kizzy do miejsca, o którego istnieniu Ohan nie mogą się dowiedzieć. Rosemary zdziwiła się, że kapitan poprosił ją o dyskrecję. Kiedy Ohan w ogóle z kimś rozmawiali? A mimo to stali teraz przy jej biurku, sprawiając nieprzyjemnie drapieżne wrażenie. Rosemary zawsze uważała, że Ohan wyglądają milusio, jak przytulanka. Teraz tak nie było. Ściągnęli łopatki, wygięli szyję i mieli dzikie spojrzenie. Taki Ohan nie podobali się Rosemary.

Ohan wydali pełen irytacji dźwięk.

— Obudziliśmy się i stwierdziliśmy, że silnik nie pracuje. Potem okazało się, że zniknął prom. Wiemy, w jakim rejonie przestrzeni kosmicznej się znajdujemy i powiesz nam teraz, czy Ashby poleciał na spotkanie z heretykami.

Rosemary z trudem przełknęła ślinę. Wykonywanie poleceń Ashby'ego to jedno, ale teraz nie było sensu kłamać.

— Tak — odparła.

Z gardła Ohan wyrwał się pomruk.

— Dlaczego?! — zawołali.

— Kizzy potrzebuje jakiegoś urządzenia — odpowiedziała Rosemary spokojnym tonem. Pomyślała, że może jeśli uda jej się zachować spokój, to uda jej się uspokoić Ohan. — Zepsuło się coś w zastojce. Polecieli po część zapasową.

Zdumienie przygasiło nieco ogień w spojrzeniu Ohan.

— Urządzenie? Polecieli po jakieś urządzenie?

— Tak.

Ohan odrzucili głowę do tyłu.

— To nie ma znaczenia! Napelnią im głowy kłamstwami!

— Kto taki?

— Heretycy! — Przez jego twarz przebiegł wyraz zgrozy. — Nasi załoganci. Kiedy wrócą, będą zarażeni.

— Po powrocie jak zwykle przejdą błysk.

— Tak, ale... — Ohan pokręcili głową i zaczęli chodzić po biurze. — Muszę pomówić z Lovelace, będzie musiała uaktualnić bazę danych czynników skażających.

Nagle nogi Ohan ugięły się pod nimi i duet upadł na ziemię, chwytając się krawędzi biurka Rosemary i oddychając spazmatycznie.

— Ohan! — zawołała Rosemary i rzuciła się ku nim.

Odruchowo wyciągnęła rękę, ale zaraz ją cofnęła, przypomniawszy sobie, z kim ma do czynienia. *Żadnego kontaktu fizycznego bez pozwolenia.*

— Mogę pomóc wam wstać?

— Nie — wydyszeli Ohan. — Nic nam nie jest.

Włączył się vox.

— Sprowadzę Doktora Kucharza — odezwała się Lovey.

— Nie rób tego, proszę — powiedzieli Ohan. Wstali, pomagając sobie drżącymi rękami. — To tylko słabnięcie. Tak musi być. — Wciągnęli spazmatycznie powietrze. — Skontaktuj się z Ashbym. Powiedz mu...

Powiedz mu, żeby zabrał technika i wrócił. Powiedz mu, żeby nie słuchał kłamstw heretyków. To trucizna. Heretycy... Heretycy będą pragnąć naszego końca.

Rosemary słyszała ciężkie kroki Doktora Kucharza, który szybko zbliżał się korytarzem. Sądząc po odgłosach, biegł na sześciu rękonożach.

— Ohan, bez względu na to, co mówią te osoby, nikt na tym statku nie zrobi ci krzywdy.

Ohan zwrócił spojrzenie swoich wielkich ciemnych oczu na Rosemary.

— Możliwe, że nie będziecie chcieli tego zrobić. Ale może do tego dojść.

— Nie podoba mi się tu — stwierdziła Kizzy z ustami pełnymi ognistych krewetek. — Czuję tu smutek.

Ashby obsługiwał przyrządy nawigacyjne, poprawiając parametry podejścia do samotnej planety. Była zamarznięta, pokryta trzeszczącą siatką lodu. Ogrzewające światło satelitów skupiało się na dużym okrągłym skrawku nagiej skały ukształtowanym zbyt idealnie, żeby był naturalny. Ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego Ashby widział skupisko nieprzejrzystych, podobnych do pęcherzy budynków zbudowanych w miejscu, gdzie padało najsilniejsze światło. Innych osiedli nie dostrzegł.

— No nie wiem — powiedział. — Mają te słoneczne satelity i najwyraźniej powodzi im się nie najgorzej, skoro mają windę kosmiczną. Jeśli jest się głodnym albo nie ma się dachu nad głową, windy kosmiczne nie znajdują się wysoko na liście priorytetów.

— Jasne — rzekła Kizzy. — Ale i tak są tu całkiem sami. Żadnej gwiazdy ani księżycy do towarzystwa. Mają puste niebo.

Uformowała krawędzie torebki po krewetkach w dzióbek, odchyliła głowę do tyłu i wsypała sobie zawartość torebki do ust.

— Wszędzie rozsypujesz okruszki.

— Kto jest odpowiedzialny za sprzątanie promu? — Dźgnęła się kciukiem

w pierś. — Ta dziewczyna.

— Nie o to chodzi. — Ashby spojrzał na nią. — Pamiętasz, kiedy musiałaś wyczyścić z ognistych krewetek filtr powietrza?

Na to wspomnienie mina Kizzy się wydłużyła. Uroczystym gestem zawinęła brzegi torebki.

— Na razie, moi przepyszni przyjaciele.

Ożywił się z trzaskiem vox. Jakaś SI zaczęła mówić w ciretoui, miękkim, zapadającym w pamięć języku sianatów.

— Przepraszam, ale nie rozumiemy — powiedział Ashby.

SI zamilkła i po chwili odezwała się w klipie.

— Witajcie, podróżnicy. Prosimy o zadokowanie w terminalu 4. Po zadokowaniu udajcie się do wejścia do windy. Jeśli nie jesteście w stanie samodzielnie chodzić albo potrzebujecie opieki medycznej, poinformujcie mnie o tym teraz. Jeśli nie jesteście w stanie mówić, włączcie awaryjne...

— Wszyscy czujemy się doskonale, dziękuję — przerwał jej Ashby.

— Prosimy o bezpieczne dokowanie. Wasza podróż się skończyła.

Vox się wyłączył.

Kizzy zdjęła nogi z konsoli sterowania i popatrzyła na vox.

— To było dziwne. Dlaczego nie mielibyśmy być w stanie... — Skinęła głową. — Jasne. Niektóre duety, które tu docierają, mogą być bardzo chore.

— Chyba miałaś rację, Kiz — powiedział Ashby, podprowadzając prom do wjazdu doku.

— Z czym?

— To smutne miejsce.

Kiedy prom się zatrzymał, włożyli egzokafandry i weszli do służby powietrznej. Po krótkim skanowaniu zostali wpuszczeni do środka. Przeszli przez pusty korytarz i wsiedli do jednego z wagoników windy.

— Nie rozumiem — powiedziała Kizzy.

Jej głos wydobywający się z voxu egzoskafandra miał metaliczne brzmienie.

— Czego? Tego, jak blisko powierzchni jesteśmy?

Ashby jeszcze nigdy nie widział tak krótkich lin windy. Wątpił, by dotarcie do powierzchni zajęło im więcej niż godzinę.

— Tak. Po prostu... Jasna cholera, jak oni to zrobili? To w ogóle nie powinno działać. I nie mówię o technice, ja mówię o grawitacji. — Przycisnęła nos do okna. — Chcę to rozebrać na części i zobaczyć, co jest w środku.

— Może zaczekaj, aż dotrzemy na powierzchnię — powiedział Ashby i usadowił się na jednej z ławek.

Wiercił się, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Krzywizna twardego poduszka nie została zaprojektowana dla ludzkich kręgosłupów.

Winda wystrzeliła w dół. Początkowy wstrząs poczuli aż w kościach. Godzina minęła bez zakłóceń. Kiedy winda zbliżyła się do powierzchni, w okno uderzył kłęb śniegu. Na ten widok Ashby zadrżał mimo ciepłego egzoskafandra.

— Cholera. Dobrze, że nie wzięliśmy ze sobą Sissix — powiedziała Kizzy.

— I nie miałyby też skafandra.

— Tak, ale wydaje mi się, że dla niej samo pojęcie śniegu jest obrzydliwe. Tylko spójrz.

Ashby spojrzał. Wszędzie dookoła rozciągały się całe połacie pradawnego, ostrego lodu. W powietrzu wirowało tyle śniegu, że niemal przesłaniał leżącą poniżej osadę. Nie było dróg, a jeśli były drzwi, to Ashby ich nie dostrzegał. Winda zjeżdżała prosto do osady — skupiska opancerzonych skorup osadzonych na czarnej skale. Ashby nabrał przekonania, że satelity nie tyle dostarczały światła, ile raczej nie pozwalały osadzie zamarznąć.

— Dlaczego tutaj? — zapytała Kizzy. — Dlaczego oni mieszkają tutaj?



*Heretycy. Wygnanie.*

— Chyba nie mają wyboru.

Winda znalazła się w osadzie i światło stało się przyjemniejsze. Ashby widział przez okno okrągły korytarz z gładkiego, srebrzystego metalu. Wyglądał na bardzo czysty. Światelko wewnątrz hełmu świadczyło, że otaczające ich powietrze nadaje się do oddychania, ale nie zdjęli skafandrów. Planeta na rubieżach oznaczała, że nie ma łatwo dostępnych danych WG na temat miejscowych chorób. Nie wiadomo, jakie mikroby mogłyby się na nich przenieść z tutejszych mieszkańców i vice versa.

Drzwi windy otworzyły się. Kizzy i Ashby wyszli. Czekająca na nich Mas. Kizzy od razu zauważyła, jak bardzo jej ciało różni się od ciała Ohan, i to nie tylko pod względem dymorfizmu płciowego. Mimo oznak zaawansowanego wieku nie było wątpliwości, że to jest zdrowa osoba. W porównaniu z nią Ohan wyglądali jak bezdomne dziecko.

— Witamy w Arunie — odezwała się Mas i skłoniła głowę. — Musicie wybaczyć, nie wiem, jak witają się ludzie.

— Podajemy sobie ręce — rzekł Ashby.

— Pokażcie.

Ashby i Kizzy uścisnęli sobie dłonie. Mas się roześmiała.

— Proszę — powiedziała i wyciągnęła do nich długie palce. Ashby ujął je i nimi potrząsnął. Mas znowu się roześmiała. — Macie krótkie, miękkie dłonie — powiedziała, ściskając dłoń Ashby'ego przez cienką rękawicę egzoskafandra.

— Nie spotkałaś żadnego człowieka, kiedy byłaś nawigatorem? — zapytała Kizzy.

— Kiedy byłam u harmagian, wy wciąż wędrowaliście. Poza waszą Flotą żadnych ludzkich światów. Stałam się samotniczką, zanim weszliście do WG.

Ashby szybko policzył. Jeśli Mas nawigowała, zanim ludzie dołączyli do WG, to...

Kizzy go ubiegła.

— Ile masz lat?

Mas się zastanowiła.

— Sto i trzydzieści trzy standardy — odparła. — Przepraszam, musiałam pomyśleć. Nasze miary czasu się różnią.

Kizzy była tak przejęta, że niemal przyciskała nos do płyty hełmu.

— Nie miałam pojęcia, że możecie tak długo żyć.

Mas znowu się roześmiała.

— Nie tylko tak długo. Nawet dłużej!

Ruszyła korytarzem. Poszli za nią.

— Co możesz nam powiedzieć o tym miejscu? — zapytał Ashby.

— To jest Arun. Wasz duet o nim nie mówił, co?

— Nie.

— Nie, nie. Duety nie wymawiają nazwy tego miejsca. Jest dla heretyków.

— W jej głosie brzmiała nuta szyderstwa. — Ale wiedzą o nim wszyscy sianatowie. Jeśli uciekniemy przed zarażeniem albo jeśli chcemy się wyrwać, próbujemy je znaleźć. Nie wszystkim się to udaje. Niektórzy się gubią. Niektórzy słabną i nie mogą tak daleko lecieć. Ale przyjmujemy wszystkich przybyszów. Nikogo nie odsyłamy.

— Rozumiem — powiedział Ashby. Wyszli na ogromną otwartą przestrzeń wypełnioną zakrzywionymi ławkami i hydroponicznymi żardinierami z dziwnymi wijącymi się drzewami i puchatymi kwiatami. Ashby wyobrażał sobie, jak podekscytowany byłby tu Doktor Kucharz. W górze wyświetlało się ciepłe żółte niebo. W porównaniu z zamarzniętym pustkowiem na zewnątrz był to raj. Wszędzie chodzili, rozmyślali, rozmawiali ze sobą sianatowie w różnym wieku i różnym rozmiarów.

Dotykali się. — Przepraszam — powiedział Ashby, odrywając wzrok od placu. — Co miałaś na myśli, mówiąc „wyrwać”? Przybywacie tu, jeśli chcecie się wyrwać?

— Wyrwać z duetu — rzekła Mas. — Zniszczyć wirusa.

Ashby i Kizzy spojrzeli na siebie.

— Można się wyleczyć? — zapytał Ashby.

— Oczywiście. Są leki na wszystkie choroby. Tylko trzeba je znaleźć.

— Ale... — zaczęła Kizzy, marszcząc czoło. — Przepraszam, nie bardzo rozumiem, jak to funkcjonuje, ale jeśli... Jeśli jest się duetem, to w ogóle myśli się o leczeniu? Czy Szeptacz nie sprawia, że chce się zostać razem z nim?

— Zadajesz dobre pytania. Jak dobra heretyczka. — Mas pokazała na ławkę. Z trudem usiedli obok niej. — Szeptacz sprawia, że żywiciel przeciwstawia się wyrwaniu. Ale niektórzy sianatowie potrafią przeciwstawić się Szeptaczowi. Jak ja.

— Jesteś... Odporna? — zapytał Ashby.

— Nie, nie. Miałam tę chorobę. Musiałam, żeby nawigować. Ale się przeciwstawiam. Szeptacz zawładnął moim niskim umysłem, nie umysłem wysokim. — Zamyśliła się. — Wiecie, co to jest niski umysł?

Ashby'emu wydawało się, że kilka razy słyszał, jak Ohan używają tego terminu, ale jak w większości wypadków nie wyjaśnili go.

— Nie.

— Niskie umysły to łatwa sprawa. Zwierzęca. Chodzi o poruszanie się, liczenie, niedotykanie gorących przedmiotów. Wysoki umysł zajmuje się tym, kim są moi przyjaciele. W co wierzę. Kim ja jestem.

Dla zaakcentowania swoich słów Mas dotknęła swojej głowy.

— Chyba rozumiem — rzekł Ashby. — A więc wirus... Wirus wpływał na to, jak rozumiałaś przestrzeń i numery, ale nie na to, co myślisz o sobie?

— Ja się przeciwstawiam — powtórzyła Mas. Po chwili dodała: — Jestem odporna?

— Jesteś odporna — potwierdził Ashby. — Tak.

— Tak, tak. Bardzo niebezpiecznie być odpornym. Nauczyłam się udawać. Powtarzać słowa duetów. Wyglądać przez okna. — Prychnęła szorstko. — To takie nudne.

Kizzy roześmiała się.

— Zawsze myślałam, że wygląda to na nudne zajęcie — powiedziała.

— Takie jest! Ale jeśli się jest odpornym, trzeba wyglądać przez okna. Nie wolno pokazać innym, że się udaje. Ci, którzy rządzą, wiedzą. — Pochyliła się do rozmówców. — Wiedzą, że istnieją odporni żywiele. Ale gdyby wiedziało o tym wiele osób, wszystko by przepadło. Sianatowie wierzą, że Szeptacze nas wybrali. To czyni nas kimś szczególnym. Czyni nas lepszymi od was. — Szturchnęła Ashby'ego w pierś. — Ale jeśli jesteśmy odporni, to jest prawdziwych kilka rzeczy. Albo sianatowie nie są nikim szczególnym, tylko są chorzy i mogą rozwinąć odporność. Albo, to jest druga rzecz, głupia rzecz, ale dla wielu łatwiejsza: odporni są skażeni. Odrzucamy to, co święte. Heretycy. Rozumiecie?

— Tak — powiedział Ashby.

Teraz wiedział, dlaczego Ohan zawsze się obruszali na samą wzmiankę o samotnikach. Coś takiego może zniszczyć całą kulturę.

— Zawsze chciałam się wyrwać — rzekła Mas. — Dzięki Szeptaczowi widziałam to, co pomiędzy, ale on zabijał moje ciało. Mój wysoki umysł chciał żyć. Moja kapitan była dobra. Dobra przyjaciółka. Ufałam jej, powiedziałam, że jestem odporna. Kiedy słabłam, znalazła mapę.

— Z tym miejscem? — zapytała Kizzy.

— Tak, tak. Prawie byłam nieżywa, kiedy przybyłam. — Uniosła przednie dłonie i udała, że drgają. Ashby'emu zrobiło się niedobrze. To była

doskonała imitacja drgawek, jakie zaczęli mieć Ohan. — Leżałam w szpitalu — zaczęła liczyć w pamięci — dwa dziesięciodnie po leczeniu. Bolesne, bolesne. — Uśmiechnęła się i pokazała przednie kończyny. — Ale nabrałam sił.

— Więc po wyleczeniu wirusa kończy się słabnięcie? — zapytała Kizzy.

Ashby posłał jej szybkie spojrzenie. *Nie, Kizzy.*

— Tak. Ale nie kończą się zmiany w niskim umyśle. Pozostają... Słowa, słowa... Pozostają fałdy w mózgu. Gdybym chciała, nadal mogłabym nawigować. Ale jestem samotniczką. Muszę zostać tutaj.

— Dlaczego? — zapytał Ashby.

Sianatka przekrzywiła głowę.

— Jestem samotniczką. Jesteśmy heretykami, nie rewolucjonistami. Tak postępujemy.

— Zaczekaj — powiedziała Kizzy. — Nadal możesz nawigować? Wyleczenie wirusa tego nie odbiera?

— Nie.

— Ambi. Dlatego wymyśliliście, jak pozyskiwać ambi z mgławicy i zbudować małą windę kosmiczną. Bo nadal macie swoje supermózgi.

Mas roześmiała się.

— Duety nie są wynalazcami. Są zbyt rozproszeni, za krótko żyją. Są dobrzy w nawigowaniu i omawianiu teorii, ale nie umieją budować. Budowanie wiąże się z wieloma, wieloma błędami. Duety nie lubią błędów. Lubią wyglądać przez okna. Ale samotnicy lubią błędy. Błędy to postęp. Robimy dobre rzeczy. Wspaniałe rzeczy.

— Rety — powiedziała Kizzy. Patrzyła gdzieś w dal, jak kiedy myślała o popsutym obwodzie albo wnętrzu silnika. — No więc to leczenie. Ono jest niebezpieczne?

— Kizzy — powiedział ostrzegawczym tonem Ashby.

Nie zamierzali iść tą drogą. Bez względu na to, jak bardzo tego chciał, nie zamierzali iść tą drogą.

— Ale, Ashby, Ohan mogliby...

— Nie.

Z głębi piersi Mas wyrwał się głuchy dźwięk.

— Ohan są waszym duetem.

— Tak — odparł z westchnieniem Ashby.

— Imię jak poety. Poetyckie. — Przyjrzała się im obojgu. — Jestem odporna. Nie wiem, jak odbiera chorobę umysł, który się nie sprzeciwia. Ale mam znajomych, były duety, które nie były odporne. Czasami nawet dobre duety na tyle boją się śmierci, że przybywają do Arunu. — Przechyliła się blisko, zbyt blisko. — Były duety są inne, potem. Nie są dzieckiem, którym były przed zarażeniem. Nie są też duetem. Są nowe. — Spojrzała surowo na Ashby'ego swoimi dużymi oczami. — Są wolne. Wierz mi, tak jest lepiej.

— Nie — powiedzieli Ohan.

W ich głosie nie brzmiał gniew, ale wzdrygnęli się i odsunęli tak daleko od stołu, jak pozwalało im na to krzesło. Siedzieli sztywno, bardzo starając się ukryć drżenie nóg. Po drugiej stronie stołu w laboratorium siedzieli Ashby i Doktor Kucharz. Między nimi leżało niewielkie zapieczętowane pudełko. Przez przezroczyste wieczko widać było strzykawkę wypełnioną zielonym płynem. Uchwyt był zaprojektowany dla sianackiej dłoni.

Ashby starał się mówić cicho. Drzwi do ambulatorium były zamknięte, ale nie dziwiłby się, gdyby ktoś z jego załogi podsłuchiwał. Wiedział, że przynajmniej Kizzy jest zajęta. Słyszał, jak uderza czymś w kuchni. Wydawało mu się, że kilka uderzeń nie miało nic wspólnego z naprawianiem zastójki, za to wiele wspólnego z demonstracyjnym okazywaniem mu, że jest zdenerwowana.

— Nikt was do niczego nie zmusza, Ohan — powiedział Ashby. — Chcę

tylko, żebyście się zastanowili nad tą możliwością.

— Dokładnie zbadałem sprawę — rzekł Doktor Kucharz. — Jest bezpieczna. Gwarantuję.

Ohan skulili się jeszcze bardziej.

— Bezpieczna — szepnęli. — Bezpieczna. To morderstwo, a wy mówicie, że to jest bezpieczne.

Ashby przeciągnął ręką po włosach. Chociaż miał wrażenie, że mordercą jest tu wirus, wiedział, że tego nie może poruszyć.

— Osoba, z którą rozmawiałem, powiedziała, że ma znajomych, którzy zostali wyleczeni. Nadal mogą nawigować, Ohan, i mają długie, zdrowe życie.

— Przyjmują dary Szeptacza, a potem go zabijają — powiedzieli Ohan. — Nie powinieneś być z nimi rozmawiać, Ashby. Powinieneś wziąć ich urządzenie i odejść, zatkawszy uszy. Nie powinieneś być postawić tam stopy, lecz pozwolić, żeby wasza żywność zgniła.

— Robiłem to, co uznałem za najlepsze dla mojej załogi. Tak jak usiłuję to robić teraz.

Ohan rozkaszleli się. Ashby odchylił się na oparcie krzesła i patrzył, wiedząc, że nic nie może zrobić, nie może nawet w pocieszającym geście położyć dłoni na plecach tego członka swojej załogi. Popatrzył w oczy Doktorowi Kucharzowi. Lekarz miał zboląłą minę. Oto jest pacjent, którego z łatwością mógłby wyleczyć, ale pacjent nie chce się na to zgodzić. Ashby wiedział, że Doktor Kucharz nie będzie nalegał, ale też doskonale wiedział, że będzie to go długo dręczyć.

— Ohan — odezwał się Doktor Kucharz, kiedy duet odzyskał oddech. — Jako ktoś, kto opuścił swój świat, rozumiem, jak przerażający jest dla was ten pomysł. Dla mnie też było przerażające to, co zrobiłem. Ale jesteśmy waszymi przyjaciółmi, Ohan. Moglibyście długo tu z nami żyć.

Zaopiekowalibyśmy się wami.

Ohan pozostawali nieprzekonani.

— Wasza przyjaźń wiele dla nas znaczy. Podobnie jak wasza troska, chociaż jest chybiona. Wiemy, że trudno wam to zrozumieć. Cały czas bez wahania zabijacie mikroby w waszych kuchniach, na waszych ładunkach. Lecz pomyślcie o bakteriach żyjących na waszej skórze, w waszych ustach, w waszych jelitach, o stworzeniach, bez których nie zdołalibyście przeżyć. Wy też jesteście syntezą dużych i małych organizmów. Czy zniszczyłybyś swoje mitochondria, Ashby, tylko dlatego, że nie wywodzą się od ludzi? Dlatego, że nie pasują?

— Bez mitochondriów nie możemy żyć. Ale wy moglibyście żyć bez Szeptacza.

Ohan zacisnęli powieki.

— Nie. Nie moglibyśmy. Bylibyśmy kimś innym.

Jakiś czas później Ashby siedział sam w swoim pokoju i rozsznurowywał buty. Kiedy doszedł do połowy lewego, nagle obróciły się drzwi. W drzwiach stała Sissix ze zjeżonymi piórami.

— Postradałeś pieprzone zmysły?

Ashby westchnął i wrócił do sznurowadeł.

— Wejdz i zamknij drzwi.

Sissix stanęła przed nim z rękami na biodrach.

— Kizzy mówi, że jest lek. Lek na to, co zabija Ohana. Lek, który pozwoliłby mu dalej nawigować i który wydłużyłby mu życie o jakieś dobre sto lat. Mówi, że właśnie wróciliście z planety pełnej szczęśliwych, zdrowych osób, które mogą o tym zaświadczyć. I najwyraźniej ten lek znajduje się w naszym ambulatorium, a ty po prostu pozwalasz mu zbierać kurz, podczas gdy Ohan leży wstrząsany śmiertelnymi drgawkami w kałuży własnych wymiocin.



Ashby podniósł na nią wzrok.

— Ciągłe mówisz „on”.

— Tak, ponieważ w końcu przyszło mi do głowy, że Ohan jest osobą, chorą osobą, która potrzebuje naszej pomocy.

— Ta decyzja nie należy do mnie, Sissix. Co mam według ciebie zrobić? Związać ich i zmusić do leczenia?

— Jeśli inaczej się nie da.

— Mówisz bzdury. Jestem ich pracodawcą, a nie... arbitrem.

— Jesteś jego przyjacielem i pozwalasz mu umrzeć.

— Dałem im wybór, Sissix! Wiedzą, że lek jest na pokładzie! Co mam, do diabła, jeszcze zrobić? — Odrzucił but na bok. — Sissix, to nie jest kwestia braku czyjejs zgody na leczenie. My tu mówimy o ich całej kulturze. To ich religia.

— To takie cholernie ludzkie z twojej strony. Kładziesz się i pozwalasz galaktyce robić, co chce, bo na to, żeby przejąć inicjatywę, masz za duże poczucie winy z powodu tego, jak spieprzyliście własny gatunek.

Ashby wstał.

— Co mówią aandriskowie? *Isk seth iks kith*? Niech każdy podąża własną drogą?

Oczy Sissix zapłonęły.

— To co innego.

— Tak?

— To znaczy, żeby nie wtrącać się do innych, jeśli nikomu nie dzieje się krzywda. Tutaj dzieje się krzywda, Ashby. Ohan umiera.

— Czy gdybym ci powiedział, że masz wrócić na Hashkath i sprowadzić tu swoje dzieci, żeby zamieszkały z tobą, to byś mnie posłuchała?

— O czym ty w ogóle mówisz?

— Gdybym ci powiedział, że traktowanie własnych dzieci jak kogoś

obcego obraża mnie do szpiku każdej kości w moim karmionym mlekiem ssaczym ciele i że jako twój kapitan gatunku ludzkiego oczekuję, że będziesz się stosować do moich zasad moralnych...

— To co innego, Ashby, i wiesz, że...

Ściszył głos.

— Albo gdybym chciał być naprawdę staromodny, mógłbym ci powiedzieć, że niewłaściwe jest, aby członkowie mojej załogi kopulowali ze sobą. Niektórzy kapitanowie mojego gatunku nadal zwalniają za to z pracy. Mówią, że w podróży dalekiego zasięgu to jest zły pomysł.

Sissix zamarła.

— Skąd... — Pokręciła głową. — To nie twój interes.

Ashby roześmiał się z niedowierzaniem.

— To nie mój interes? Jestem twoim bratem pióra, Sissix. Od kiedy wiedza o takich rzeczach to nie mój interes? Od kiedy aandriska zachowuje coś takiego dla siebie? No chyba że czynisz osobiste ustępstwa na rzecz ludzkich obyczajów...

— Zamknij się, Ashby. — Podeszła do okna, położyła dłonie na parapecie i chwilę milczała. — Nawet nie znam Ohana. I nie chodzi mi o to, że on nie rozmawia z nikim z nas. Chodzi mi o to, że kiedy otwiera usta, to nie wiem, czy to on mówi, że nie chce zostać wyleczony, czy każe mu to robić wirus. Nie wiem, czy to mówi on, czy to coś, co zaraziło jego mózg.

— Dla Ohana i jedno, i drugie. I prawdopodobnie to jest najbliższe prawdy. Nie chodzi o to, że wirus jest rozumny. On po prostu... Zmienia go. Ich.

Sissix spojrzała na niego.

— Widzisz, ty też to robisz. — Mówiła coraz mniej gniewnym tonem, a jej pióra zaczynały się kłaskać. Usiadła na łóżku. — Nie mogę się z tym pogodzić, Ashby. Nieważne, czy znam go dobrze, czy wcale. Nie mogę się pogodzić ze stratą kogoś z rodziny.

Ashby usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

— Wiem, że uważasz mnie w tym wszystkim za czarny charakter, ale ja też nie potrafię się z tym pogodzić.

— Wiem. Ale nadal nie rozumiem, jak możesz tu siedzieć i nie złościć się na niego.

— Ta decyzja nie należała do mnie.

— Mówisz jak prawdziwy Exodanin. — Przyjrzała mu się uważnie. — Skąd wiesz o mnie i Rosemary?

Ashby roześmiał się.

— Wystarczy zobaczyć, jak na ciebie patrzy.

— Och, na gwiazdy. To takie oczywiste?

— Przynajmniej dla mnie.

— Dla wszystkich?

— Możliwe, chociaż nikt mi nic o tym nie mówił.

Sissix westchnęła.

— To był jej pomysł, wiesz? Po Hashkathu. Powiedziała, że chce, żebym czuła się bardziej jak w rodzinie. Była przy tym tak cholernie miła. Jest miła pod każdym względem. — Sissix opadła na materac. — Ashby, nie mam żadnego punktu odniesienia, jeśli chodzi o to, co dla ludzi oznacza kopulacja. Jestem przerażona, że ją zniszczę. Wiesz, jak odmiennie nasze gatunki pojmują te rzeczy. Ja nie... Czy ja jestem samolubna?

— Uprawianie seksu zawsze jest trochę samolubne, Sis — powiedział Ashby. — Ale bardzo wątpię, że Rosemary sypia z tobą z dobrego serca. Mogę się założyć, że chciała to zrobić na długo przed Hashkathem. — Uśmiechnął się do niej. — Ale znam cię. Nie zgodziłabyś się, gdyby ci też na niej nie zależało. Rosemary jest dorosła. Potrafi o siebie zadbać. I sądzę, że pod pewnym względem możecie obie na tym skorzystać. — Po chwili dodał: — Co prawda...

— Wiedziałam, że będziesz mieć jakieś zastrzeżenie.

— Musisz uważać. Ludzie mogą mieć wielu partnerów, ale potrafimy też być piekielnie zazdrośni. Nie wiem, co ustaliłyście, ale jeśli, powiedzmy, zechcesz pójść do *tet* albo będziesz musiała odejść w tym swoim swobodnym aandriskim stylu...

— Wiem. Będę uważać.

Pograżyli się w krzepiącym milczeniu.

— To zabrzmiało dziwnie — odezwał się po chwili Ashby.

— Hmm?

— Przykro mi, że to nie mogłem być ja.

Sissix usiadła.

— Jak to? Ty nie... Ty nie myślisz o mnie jako o...

— Nie. — Uśmiechnął się. — Bez urazy, ale nie. Nie myślę o tobie w ten sposób.

— To dobrze. Bo naprawdę nie wiedziałabym, co o tym sądzić. — Roześmiała się. — No to co jest?

— Zawsze jakaś część mnie czuje się winna, że nie mogę być dla ciebie taką rodziną, jakiej potrzebujesz.

Sissix otarła się policzkiem o jego policzek.

— Jesteś dla mnie taką rodziną, jakiej potrzebuję. Inaczej bym cię nie wybrała.

— Ale dzięki Rosemary ta rodzina jest... Jest pełniejsza, prawda?

Sissix się uśmiechnęła.

— Tak. — Dotknęła czołem czoła Ashby'ego. — Nie zmienia to faktu, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałam. Ale i tak jestem na ciebie wściekła — dodała po chwili.

— Wiem.

— I myślenie o Ohanie sprawia mi ból.

— Mnie też.

— To dobrze. Przynajmniej za to cierpisz.

Roześmiali się. To był pusty śmiech.

BŁĄD

Wiadomość niedostarczona. Adresat poza zasięgiem przekaźników komunikacyjnych. Proszę sprawdzić ścieżkę dostarczenia i wysłać ponownie.

Wiadomość do wysyłki

Kodowanie: 0

Tłumaczenie: 0

Od: Stałówka (ścieżka: 6273-384-89)

Do: Rosemary Harper (ścieżka: 9874-457-28)

Temat: Dot.: Informacja dla ochotników

Miło mi to słyszeć! Jeszcze jeden dobry mózg zawsze się przyda. Nie martw się, że nie masz dużo wolnego czasu. Nawet spędzanie kilku godzin każdego dziesięciodnia na przekopywaniu się przez dostarczone pliki to też jest pomoc. Tylko wspomnij w swoim podaniu, ile masz wolnego czasu, to nie dostaniesz więcej, niż zdołasz obrobić. Zdecydowałaś się już, na czym chcesz się skupić? Jestem oczywiście nieobiektywny, ale sądzę, że byłabyś świetna w historii międzygatunkowej i z przyjemnością cię polecę. Jeśli jednak masz oko na inną dziedzinę, nie potraktuję tego osobiście. Za bardzo.

A tak przy okazji, jedna z moich znajomych w zespole od toremich pamiętała, że szukam informacji w twoim imieniu i przysłała mi coś interesującego. To niedużo, jedno z wielu dziwactw naszych nowych sprzymierzeńców. Zapewne nie powinienem wysłać tego bezpośrednio do Ciebie, ale skoro jesteś naszą przyszłą ochotniczką, to chyba możemy dać ci pozwolenie działające wstecz, prawda?

Lataj bezpiecznie,  
Stałówka

Wiadomość załączona

Od: Elai Jas Kapi (ścieżka: nieujawniona)

Do: Grupa delegatów WG nr 634 (ścieżka: nieujawniona)

Kodowanie: 2

Tłumaczenie: 0

Temat: ważna informacja – słuch toremich i generatory ciepła

Data: 76/306

Biorąc pod uwagę nasze nieczęste kontakty z toremimi, o wielu sprawach dotyczących ich

gatunku dowiadujemy się z pierwszej ręki dopiero teraz. Wszyscy delegaci powinni zdawać sobie sprawę, że toremi mają zmysł słuchu znacznie przewyższający wrażliwością słuch któregokolwiek gatunku WG. Szczególnie dobrze potrafią rozróżniać pojedyncze głosy w tłumie, a ich zdolność do nauki języków znacznie przewyższyła nasze oczekiwania. Można bezpiecznie założyć, że wszyscy toremi, którzy biorą udział w rozmowach dyplomatycznych, płynnie posługują się klipem.

Dzieląc pokój z osobami gatunku toremich Ka, nie należy omawiać żadnych tematów niezatwierdzonych przez starszy personel ambasadorski. Pełną listę zatwierdzonych tematów rozmów można znaleźć w pliku danych 332-129.

Wymagamy także, by generatory ciepła na wszystkich statkach, które spodziewają się wizyty przedstawicieli gatunku toremich Ka, były ustawione maksymalnie na 76,5 kilka. Rozumiemy, że będzie to nieco uciążliwe dla aandriskich delegatów i członków załóg, jednak standardowe generatory ciepła emitują dźwięk, który sprawia toremim ból. Ustaliliśmy, że częstotliwość wytwarzana przez 76,5 kilka i wartości niższe jest znośna dla toremich i nie zakłóca podstawowych czynności ruchowych aandrisków.

Jeśli na Waszym statku używa się niestandardowych generatorów ciepła, należy natychmiast poinformować o tym starszego członka personelu. Do czasu zainstalowania właściwych urządzeń nie należy zapraszać na pokład Waszego statku przedstawicieli gatunku toremich Ka.

Dziękujemy za współpracę.

Elai Jas Kapi  
Starszy ambasador Wspólnoty Galaktycznej

# Dzień 157., 307 standard WG

## Hedra Ka

Toum, drugi strażnik Nowej Matki, siedział przy oknie w ogrodzie pożywiania się i patrzył na statki gatunków Wspólnoty. Oderwał z pobliskiej żardiniery grubą wiązkę liści. Płyn sączący się z ich złamanych łodyg wydzieliał znajomą pieprzną woń, słodką, wyborną. Nie jadł jednak. Skubał liście i obserwował statki. Jak czynił to już wiele razy, z zazdrością patrzył na uzbrojenie aeluńskich fregat. Ile klanów mogliby zniszczyć taką bronią. Ile fałszywych idei mogliby wyplenić.

Myślał o obcych we wnętrzu tych fregat, o ich głupich oczach i niepokojących łuskach. Jak ci aeluoni są brzydcy. W jaki niepokojący sposób mówią. Trudno zaufać gatunkowi, który nie potrafi mówić bez wtykania sobie do gardła drucików. Tak jak trudno ufać harmagianom, którzy nie mają nóg, albo aandriskom z ich szponami drapieźników, albo quelinom, którzy z próżności oszpecają własne ciało. Nie, nie mógł zaufać żadnemu z nich. Mógł ich jednak nienawidzić. To było łatwe.

Nie mógł o tym mówić. Przed zawarciem sojuszu nie miał żadnych wątpliwości, że należy do toremich Ka. Zgadzał się z czią, jaką oddawali Nowym Matkom, i z tym, że trzeba zawładnąć Hedrą Ka. Lecz co z innymi gatunkami Wspólnoty? Czy klan naprawdę potrzebuje ich pomocy? Czy są tak słabi, że nie potrafią sami utrzymać nowej planety?

Gatunki Wspólnoty. Niedopasowane twarze, zgrzytliwe akcenty, piszczące statki. Widział swoje niezadowolenie w skrzywieniu ust niektórych towarzyszy z klanu, lecz nikt nie rzucił wyzwania. Nikt nie wyłamał się

z klanu.

To go przerażało. Czy jest pod jakimś względem upośledzony? Czy Nowe Matki mają jakiś niedostępny dla niego zasadniczy element wiedzy? Zmagał się z tymi myślami dzień po dniu, usiłując doprowadzić się do stanu zgody. Nie wyparło ich jednak nic, ani medytacja, ani niezwykle dużo czasu, który spędzał ze swoją Nową Matką.

Opuścił wzrok na liście zmiążdżone w uścisku jego rąk. Odrzucił mokry zwitek na podłogę. Sprzątną go maszyny.

— Chcesz, żebym posiedziała z tobą? — rozległ się głos z tyłu.

Toum nie musiał odwracać twarzy, by się zorientować, kto do niego podszedł. Poczuł, że jego kończyny spinają się do ruchu, gotowe do zabijania.

— Nie — odparł, nie odrywając wzroku od okna.

— Ale posiedzę. — Kobieta pojawiła się w polu jego widzenia i ułożyła nogi obok niego. Nazywała się Hiul. Była napastniczką pierwszej jednostki. Toum zadał sobie pytanie, czy gdyby miał okazję, zdołałby ją zabić. Chciał spróbować. Hiul urwała kilka liści i je zjadła. — Jesz?

— Po cóż innego miałbym tu przyjść?

Opuściła głowę i popatrzyła na zmiążdżone liście u stóp Touma.

— Oczywiście. — Zwróciła twarz ku oknu. — Tyle statków. Tyle w nich idei. Ciekawe, jak oni to robią? Jak osiągają harmonię, wiedząc, że obok nich kroczą fałszywe pojęcia?

Toum milczał.

Hiul włożyła do ust następną porcję liści.

— Uważam, że nie osiągają harmonii. Uważam, że istnieją w chaosie, że każdy wyznaje swoje idee, że każdy służy klanowi składającemu się z jednej osoby.

Toum mlasnął wargami.



— Nowe Matki mówią, że to jest do przyjęcia, jeśli tylko my będziemy się trzymać swoich zasad. Czy nie tworzysz jedności z ich słowami? Nie zgadzasz się?

Hiul sprawiała wrażenie obojętnej na groźbę. Zignorowała wyzwanie. Zignorowała je! Z jej ust wyszły tylko dwa rozwścieczająco spokojne słowa:

— A ty?

Chwycił ją, czując w brzuchu ogień wściekłości. Zbliżył usta do jej oddychającej szyi, gotów do szybkiego zadania śmierci.

— Już ci mówiłem, nie odzywaj się do mnie. To ty jesteś chaosem.

Nie szamotała się, co przstraszyło Touma bardziej, niż gdyby z nim walczyła.

— Postrzegasz mnie jako osobę niezgadzącą się z Nowymi Matkami? — zapytała. — Postrzegasz mnie jako fałszywą prawdę?

— Nie igraj ze mną. Wiesz, kim jesteś.

Przylgnęła do niego, przyciskając szyję do jego ust.

— To dlaczego mnie nie zabijasz?

Nakazał sobie ją ugryźć. To byłoby takie łatwe, takie szybkie. Czuł jej puls bijący głęboko i szybko. Nie potrafił jednak jej zabić i to rozwścieczało go jeszcze bardziej. Odepchnął ją mocno od siebie. Upadając, połamala żardinierę; ziemia wysypała się z niej na podłogę. Inni znajdujący się w ogrodzie popatrzyli w ich stronę. Większość wróciła do posiłku, nie przejmując się bałaganem. Posprzątają go maszyny.

Hiul roześmiała się i wytarła strużkę limfy wyciekającej z pęknięcia przy ustach.

— „Wiesz, kim jesteś”. Owszem, wiem — powiedziała, wstając. Znowu do niego podeszła. — I wiem, kim ty jesteś. Widzę w tobie konflikt.

— Jestem strażnikiem Nowej Matki!

Podeszła bliżej.

— Dlatego z nim walczysz, wiem — wyszeptała. — Jakie to dla ciebie straszne. Jakie to straszne znać prawdę i nienawidzić tych, którzy jej zagrażają, a mimo to pozostawać lojalnym.

Zdradziły go oczy, które zwrócił na okno pełne obcych statków.

Hiul odetchnęła z zadowoleniem.

— Masz własny statek. Masz dostęp do rzeczy, do których my go nie mamy.

Spojrzał na nią ostro.

— My?

Odeszła, lekko kulejąc. Wyglądało na to, że upadając, mocno się uderzyła w jedną z tylnych nóg. To dobrze. Odwróciła do niego twarz.

— Jesteśmy toremimi — powiedziała. — Nigdy nie jesteśmy klanem składającym się z jednej osoby.

Kiedy holownik igłowy po raz ostatni przeciągnął jego statek do normalnej przestrzeni, Ashby odetchnął z ulgą. Spotkali „Kirit Sek” cztery dni wcześniej i chociaż Ashby cieszył się ze skrótu, nie wiedział, co było gorsze — skoki w podwarstwie czy długie okresy czekania między nimi. Ostatni odcinek drogi do spotkania przy Del’lek był długi, ale zajęli się sprzątnięciem statku i wszystkimi drobnymi pracami, które zostały odłożone na później. Kiedy spotkali się z „Kirit Sek”, „Wędrowiec” był nieskazitelnie czysty i nie mieli już nic do roboty. Ashby sądził, że przydadzą im się cztery dni odpoczynku, ale skoki go uniemożliwiły, a brak działania niepokoił kapitana. Wszyscy byli podenerwowani. Doktor Kucharz irytował się na dodatkowych pomocników kręcących się przy kuchni, a Ashby podejrzewał, że spalenie się płyty oświetleniowej, do którego doszło poprzedniego dnia, wywołał technicy, żeby mieć co robić. Jedynymi osobami, którym przestój chyba nie przeszkadzał, były zajęte sobą Sissix i Rosemary oraz Ohan, zajęci obserwowaniem śmierci ich nerwów.

Skoki jednak dały się we znaki wszystkim. Przebiecie na ślepo to jedno, ale cztery dni przemieszczania się w sześciogodzinnych odstępach między normalną przestrzenią i podwarstwą wystarczyły, żeby nawet Ashby dostał choroby kosmicznej. Usiadł powoli w łóżku, słuchając głosu kapitan holownika, którą Lovey przełączyła na jego vox.

— Skończyliśmy, kapitanie Santoso — powiedziała aandriska. Miała inny akcent niż Sissix, mniej potoczny, ostrzejszy na krawędziach. — Wszystko u was w porządku?

— Ujdzie — odparł Ashby. Potarł sobie oczy. Nie można było przecenić stabilnego widzenia. — Dzięki za podróż.

— Posłuchaj dobrej rady: zanim zgłosicie się do swojego przełożonego, poświęćcie godzinę na zjedzenie czegoś i stanięcie na nogi. My zrobimy to samo.

— Dobrze. — Odchrząknął. — *Heske rath ishi kith.*

— *Heske skath eski risk* — odparła z zadowoleniem aandriska. — I wam szczęśliwej podróży.

Vox się wyłączył. Ashby widział przez okno, jak „Kirit Sek” odrzuca pole holownicze i odlatuje.

— Lovey, gdzie jest Sissix?

Vox włączył się z powrotem.

— Właśnie wzięła się do pracy.

— Powiedz jej, że do niej idę.

Kilka minut później wszedł do sterowni. Sissix siedziała już w swoim fotelu i sprawdzała przyrządy nawigacyjne.

— Czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w głowę — oznajmiła, nie patrząc na niego.

— Ja też. — Osunął się na swój fotel i wyjrzał przez okno. — I wszystko to po to.

W przestrzeni kosmicznej tkwiła Hedra Ka. Popękana planeta dusząca się od burz i strumieni lawy. Na orbicie unosiła się mgiełka skał świadcząca o jej niedawnym powstaniu. To był młody, odstręczający świat, rozdrażniony własnym istnieniem.

— To najbardziej złowrogi widok, jaki widziałem w życiu — stwierdził Ashby.

— Mówisz o planecie czy statkach?

Hedra Ka znajdowała się w środku wiru statków będących jakby w szale żerowania — harmagiańskich fregat, aeluońskich krążowników, neutralnych transportowców, holowników igłowych, promów patrolowych. I, oczywiście, statków toremich. Ashby wiedział, że toremi są astronautami z pokolenia na pokolenie, tak jak Exodanie, lecz w ich statkach nie dostrzegął nic znajomego. Jak na gatunek, który żył w otwartej przestrzeni kosmicznej, ich statki wyglądały na zaskakująco delikatne; nie miały grubych kadłubów, które Ashby wiązał z konstrukcjami przeznaczonymi do podróży dalekiego zasięgu. Widział tylko szkielety i ostre krawędzie najeżone antenami i niesamowitymi oświetlonymi sznurami, które unosiły się w próżni. Te statki wyglądały jak jakieś głębinowe stworzenia, pulsujące, kołyszące się, niezrozumiałe.

Ashby pochylił się.

— Nie ma mowy. — Poza rojem znajdowała się czysta kulista przestrzeń wyznaczona bojami ostrzegawczymi. — Tu mamy umieścić klatkę?

Odległość między wejściem do tunelu a Hedrą Ka byłaby mniejsza od odległości między Ziemią a Luną. Mniej więcej o połowę.

— Dobrze, że to miękka strefa — zauważyła Sissix. — Wyobrażasz sobie tu przebicie na ślepo?

Ashby pokręcił głową.

— Jesteśmy dobrzy, ale nie aż tak.

— Nikt nie jest tak dobry.

— Musielibyśmy mieć dużo szczęścia, żeby nie rozerwać tej planety na kawałki.

Sissix prychnęła.

— Mała strata.

Ashby się roześmiał.

— Lovey, możesz mnie przełączyć do wszystkich?

Włączył się vox.

— Słuchają cię, Ashby — powiedziała Lovey.

— Halo, wszyscy. Udało się nam. Jeśli was mdli, przekąście coś, ale proszę o pośpiech. Kiedy zgłoszę się do kontaktu, chciałbym, żeby wszyscy tu byli. Proszę o przybycie do sterowni najpóźniej za godzinę. To dla nas wielki dzień i chciałbym, żebyśmy wszyscy wypadli jak najlepiej. Nic wymyślnego, ale mile widziane będą czyste twarze i eleganckie stroje.

Z voxu dobiegł głos Kizzy:

— Nie martw się, Ashby, w ogóle nie będę się odzywać.

Chwilę milczał, usiłując znaleźć uprzejmy sposób powiedzenia jej, że tak będzie najlepiej.

— I tak jesteś dla nich zbyt odjazdowa, Kiz.

Toum siedział pogrążony w medytacji. A przynajmniej chciał się w niej pogrążyć. Naprzeciwko niego siedziała pierwsza strażniczka, Fol, ze spokojnie złożonymi nogami i rozumnym spojrzeniem. Zazdrościł jej. Im dłużej przebywali w pobliżu tych osób ze Wspólnoty, tym trudniej było mu dostosować umysł. Bez względu na to, jak bardzo starał się skierować myśli gdzie indziej, niezmiennie wracały do Hiul. Żadne z nich nie powinno opuścić tamtego pomieszczenia żywe. Takie mieli zasady. Silniejsze przekonanie ocaleje, słabsze zostanie wyeliminowane. W taki sposób powstaje harmonia.

Powinien był ją zabić. Nieważne, że była wyszkoloną napastniczką — trzymał usta przy jej szyi. Powinien był ją zabić. Zabił wiele osób z powodu różnicy zdań. Dlaczego pozwolił jej odejść?

Odpowiedź tkwiła w okrutnym zakamarku jego umysłu. Uciekał od niej. I tak z niego szydziła.

— Chodźcie — powiedziała Nowa Matka, wchodząc do pomieszczenia. Toum i Fol rozprostowali nogi i zebrali broń. — Idę do transportowca. Przybył statek budowniczych tuneli i słyszałam, że harmagianin zaprosił ich na pokład.

— Czy otrzymałaś zaproszenie? — zapytała Fol.

Harmagiański biurokrata przywiązywał wielką wagę do takich nużących spraw, jak listy gości i protokół. Wspólnotowe zmartwienia.

— Nie potrzebuję go — odparła Nowa Matka. Toum słyszał to też w jej głosie: słabnącą cierpliwość, znużenie zadawaniem się z obcymi. Dlaczego nigdy o tym nie mówiła? Gdyby tylko dała upust przepelniającej ją, jak wiedział, irytacji, to cały czas byłby w zgodzie z Nową Matką i nie wątpiłby już w swoje miejsce jako toremi Ka. Lecz taka pomoc nie nadeszła. — Ci budowniczy tuneli robią dziurę w moim niebie — powiedziała, podchodząc do drzwi. Fol i Toum ustawili się z obu jej stron, trzymając się w wyćwiczonej odległości sześciu kroków za nią. — To daje mi prawo ujrzenia ich twarzy.

Rosemary z przyjemnością opuściła statek. Owszem, znajdowała się na innym statku, ale bardzo potrzebowała zmiany otoczenia, a skromne przyjęcie powitalne, na które zostali wprowadzeni, stanowiło miłą niespodziankę. Nie było to nic wykwintnego, tylko stół z pomysłowymi przekąskami na jeden kęs i kilku urzędników WG niższego szczebla prowadzących przyjazną rozmowę. Bywała na takich spotkaniach, ale budowniczy tuneli nie znajdowali się zwykle na listach gości. Był to miły

gest oraz oznaka, jak ważny jest ten nowy tunel.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, stanowiło zdecydowany kontrast z połatаныmi ścianami „Wędrowca”. Harmagiańska architektura wewnątrz opierała się na przestronności i kolorach. W ścianie kadłuba ciągnęły się długie poziome okna, wszędzie porozstawiano fotele przeznaczone dla różnych gatunków. Przefiltrowane powietrze było chłodne i rześkie — Rosemary zauważyła, że Sissix porusza się wolniej, jak mógłby poruszać się człowiek z obolałymi mięśniami — a oświetlenie było zbyt jaskrawe. Załoga „Wędrowca” miło spędzała czas, smakując jedzenie i ciesząc się poświęcaną jej uwagą. Ashby i Sissix rozmawiali po drugiej stronie sali z jakąś urzędniczką. Jenks najwyraźniej zaprzyjaźnił się z członkiem obsługi, laru, z którym od dwudziestu minut śmiał się nie wiadomo z czego. Ohan oczywiście trzymali się na uboczu, podobnie jak Corbin, który kiedy zobaczył, jak na wzmiankę o bufecie załśniły Doktorowi Kucharzowi oczy, zaproponował, że zastąpi go w pilnowaniu chorego nawigatora. Ostatnio algolog dość chętnie oddawał przysługi.

— Hej, Doktoru! — zawołała Kizzy i uniosła ze swojego przeładowanego talerza szpadkę ze smażonymi warzywami. — Co to jest to żółte?

Policzki Doktora Kucharza zadrżały.

— Saab tesh. Ciągłe to gotuję.

— Ale to nie wygląda jak saab. I smakuje inaczej. — Ściągnęła zębami ze szpadki jeden z kawałków i zaczęła go z rozmysłem żuć. — Zupełnie inaczej.

— Mają prawdopodobnie lepsze zastoiki od naszej. W podróżach dalekiego zasięgu nie dochodzi do degradacji molekularnej. — Opuścił głowę. — Szczęściarze.

Kizzy przełknęła.

— Chyba nie smakuje mi tak samo przyrządzone w ten sposób.

— Ale tak właśnie powinno smakować.

— Ale mi nie smakuje.

Zjadła jeszcze jeden kawałek.

— Wiecie co, wszyscy będziemy mieli z tej roboty ładny zysk — powiedziała Rosemary. — Niczego nie obiecuję, ale jak ją skończymy, wy i ja moglibyśmy przynajmniej sprawdzić ceny rynkowe nowej zastójki. Moglibyśmy przedstawić propozycję Ashby’emu.

Doktor Kucharz wydał policzki.

— Zawsze podobał mi się tok twojego myślenia.

— Nie mogę się doczekać przebicia — rzekła Kizzy, porzucając szpadkę z warzywami dla oblepionej nasionami wiązki liści. — Uwielbiam was wszystkich, ale naprawdę muszę zejść z pokładu na parę dziesięciodni. Denerwuje mnie przestrzeń kosmiczna.

— Jenks powiedział, że już spakował torbę — powiedział Doktor Kucharz.

— O, tak. Ciągłe wylicza powody, dla których plaże na Worthegu są lepsze od wszystkich innych. Nie wiem, jak zdołamy sprowadzić go z powrotem.

— Plaże nie są dla mnie. Ja odwiedzę mojego starego przyjaciela Drave’a. Właśnie zainstalował w swoim gospodarstwie nową cieplarnię i powiedział, że przyda mu się pomoc przy wyborze sadzonek.

— Zaraz, zaraz, zaraz. Na wakacje udajesz się do Port Coriol. Do miejsca, do którego wciąż przylatujemy. Żeby zająć się ogrodnictwem. Co robisz cały czas.

— No to co? — Wydał policzki. — Lubię zajmować się ogrodem.

Kizzy przewróciła oczami.

— A ty, Rosemary?

— Cóż... — *Nie mam dokąd polecieć.* — Jeszcze się nie zdecydowałam. — Upiła musującego napoju. — Może po prostu zostanę na statku. Udało mi



się zreorganizować prawie całe archiwum finansowe, a nie chciałabym zostawić nieskończonej roboty.

Kizzy uniosła brwi i uśmiechnęła się.

— Chcesz polecieć do mnie do domu, chcesz się zatrzymać u moich tatków?

Rosemary poczuła, że się rumieni.

— Och... To bardzo miła propozycja, ale...

— Posłuchaj. Błotny Przesmyk to niezupełnie Florence, ale jest tam spokojnie, a ludzie są wyluzowani. W ciepłe wieczory na głównym placu jest muzyka na żywo, a kiedy algi zaczynają kwitnąć, hydrofarmy stanowią ładny widok. A na obrzeżach jest mała spółdzielnia malarzy i modderów. Możesz trzymać się ze mną albo robić wszystko na własną rękę. Proponuję ci tylko czyste łóżko w sennym miasteczku w kolonii, w domu dwóch fantastycznych dżentelmenów, którzy uwielbiają, kiedy sprowadzam ze sobą gości. Są tam też trzy psy, które będą cię lizać po twarzy i na zawsze zostaną twoimi najlepszymi przyjaciółmi. A Ba robi najlepsze pieprzone gofry w galaktyce.

— Odwróciła się do Doktora Kucharza. — Bez urazy.

— Bez urazy. Nigdy nie udawały mi się gofry.

— No... — zaczęła Rosemary.

Dwa spokojne dziesięciodnie domowego jedzenia i świeżego powietrza były kuszące, a była ciekawa niezależnych kolonii, ale...

— Proszę? — powiedziała Kizzy, podskakując. Z jej talerza spadło ciasteczko. — Proszę, proszę, proszę.

Rosemary roześmiała się skrzępowana i wzruszona.

— Dobra. Jeśli to na pewno nie kłopot, przylecę.

— Tak! — Kizzy wyrzuciła pięść w powietrze. — Kiedy wrócimy na statek, wyślę wiadomość do tatków. Albo kiedy się przebijemy. — Przewróciła oczami. — Priorytety.

Doktor Kucharz zauważył coś po przeciwnej stronie pomieszczenia.

— No proszę, nie wiedziałem, czy zobaczymy któregoś z nich — powiedział.

Przez drzwi weszło troje dziwnych i niepokojących toremich. Chodzili na czterech nogach, które zginały się w złą stronę, a ich skóra wyglądała na twardą i kruchą. Ich cienkie głowy chwiały się, bardziej przypominając obciążniki zwisające z gniazdka maszyny niż twory z miękkiego ciała. Toremi stojąca pośrodku miała na ciemnych szatach grube ozdobne łańcuchy i stożkową czapkę wykończoną na czerwono. Nowa Matka, jak opisywał ją w swoich wiadomościach Stalówka. Pozostałych dwoje toremich stało nieco z tyłu po obu jej stronach. Byli uzbrojeni — przez pofałdowane plecy mieli przewieszane duże karabiny.

— Są odrażający — szepnęła Kizzy.

— Ćśśś — powiedział Doktor Kucharz.

Rosemary skinęła głową w stronę urzędniczki rozmawiającej z Ashbym. Harmagianka była zdenerwowana. Kiedy podjeżdżała wózkiem, by przywitać toremich, jej macki zwijały się gwałtownie.

— Zdenerwowała się — powiedziała Rosemary. — Chyba nie wiedziała, że się pojawia.

Doktor Kucharz mruknął na znak zgody.

— Też byś się zdenerwowała, gdyby ktoś, z kim negocjujesz galaktyczny sojusz, wkroczył nagle do pomieszczenia pełnego astronautów o wątpliwych manierach.

Kizzy ugryzła potężny kęs ciasteczka, starając się, żeby kilka okruchów przywarło do jej ust.

— I dorych maerach.

Doktor Kucharz zgarnął okruchy rękonożą; Kizzy śmiała się z zamkniętymi ustami. Lecz Rosemary zwracała większą uwagę na toremich,

których harmagianka — jej macki poruszały się już z nieco większym spokojem — przedstawiała Ashby’emu. W jakiś sposób stanowili znajomy widok, nie ze względu na wideo, które widziała, albo pliki informacyjne, które czytała, ale... Na coś innego. Coś bardziej dotykającego. Bardziej osobistego. Miała to przed oczyma, jak słowo tkwiące na końcu języka. Ale co to było? Ubranie? Bizuteria?

Broń.

W nagłym przeblasku pamięci ujrzała swoje mieszkanie na Marsie kilka przecznic od kampusu Alexandrii. Robiła herbatę; strząsała niepotrzebne listki z miarki, a w gorgarnku grzała się woda. Zadzwończyły melodyjnie drzwi. *Rosemary Harris? Możemy wejść?* Dwaj detektywi, świeżo wyprasowane ubrania, optyczne skanery. Jeden z nich położył na niskim stoliku notek i wyświecił w powietrze obrazy broni. *Wie pani coś o tym?*

Rosemary odstawiała talerz na stolik i podeszła do okna. Skrzyżowała ramiona na piersiach i głęboko odetchnęła, patrząc na zatłoczone niebo. Mała gniewna planeta otoczona przez okręty osób, które chciały ją kontrolować. „Wędrowiec” czekał za nimi; pokryte guzami, piękne pudło, które nie mogło bardziej nie pasować do kształtnych towarowców i mrozących krew w żyłach statków toremich. Chciała się tam znaleźć, bezpieczna za połatanymi ścianami i oknami z odzysku. Co oni, u diabła, tu robią?

— Hej. — Kizzy położyła Rosemary dłoń na ramieniu. — W porządku?

Rosemary szybko skinęła głową, zaciskając mocno usta.

— Tak, nic mi nie jest. — Po chwili dodała: — Po prostu wiem, skąd mają broń.

— Skąd? — zapytała Kizzy. Rosemary spojrzała na nią oschle, ale nic nie powiedziała. Kizzy rozwarła szeroko oczy. — Oj. Aha. Cholera. Jesteś pewna?

Rosemary pomyślała o obrazach z notek unoszących się w jej salonie,

o detektywach przypatrujących się jej twarzy.

— Tak.

Na jej drugim ramieniu spoczęła delikatnie rękonożka.

— To nie twoja wina — rzekł Doktor Kucharz. — Nie możesz tego zmienić.

— Wiem. Tylko że... — Zerknęła przez ramię. Pomieszczenie rozbrzmiewało rozmowami. Wszyscy skupiali się wokół toremich przy drzwiach. Nikt nie zwracał uwagi na troje astronautów przy oknie. Mówiła przyciszonym głosem. — Złości mnie to. I nie tylko z powodu ojca. Zrobił to, co zrobił, bo chciał uzyskać ambi. To było niemoralne, spowodowane chciwością, i wszyscy go za to nienawidzą. Ja go za to nienawidzę. Ale WG robi to samo. Mają traktaty, ambasadorów, bufety i wszystko jest takie cywilizowane i dyplomatyczne. Ale to jest to samo. Nie obchodzą nas te osoby ani to, jak wpływamy na ich historię. Po prostu chcemy ich towaru. — Pokręciła głową. — Nie powinno nas tu być.

Doktor Kucharz uścisnął jej ramię.

— Mam podobne odczucia. Ale każdy rozumny gatunek ma długą, skomplikowaną historię władz, które powstają i upadają. Osoby, które pamiętamy, to osoby, które decydowały, jak mają wyglądać nasze mapy. Nikt nie pamięta, kto zbudował drogi. — Sapał i pomrukiwał. — Jesteśmy tylko budowniczymi tuneli. Nie robimy nic więcej i nie umiemy robić nic więcej. Gdyby nie było tu nas, znalazłby się tu jakiś inny statek. To zdarzyłoby się bez nas. Nie możemy tego powstrzymać.

Rosemary odetchnęła.

— Wiem.

— A poza tym oni chcą naszej obecności, tak? — powiedziała Kizzy. — Oni nie są specjalnie towarzyscy. Gdyby nas nie chcieli, powiedzieliby.

— Mimo to nie powinniśmy wkraczać do ich wojny — rzekła Rosemary.

Kiedy wyszli z przyjęcia, Toum zwrócił się do Nowej Matki:

— Słyszałaś stojących przy oknie członków załogi statku budującego tunele?

— Nie. Uszy miałam nakierowane na ich kapitana i na to, co brzmiało jak uszkodzony element wentylatora w suficie. Bardzo rozpraszające.

— Co usłyszałaś? — zapytała Fol.

Toum miał mętlik w głowie. Jego myśli osiągały poziom rozgorączkowania. Jeśli się nie odezwie, pęknie. Ale jeśli się odezwie...

— Powiedz — zażądała Nowa Matka.

Toum posłuchał.

— Budowniczości tuneli nie zgadzają się ze swoimi przywódcami. Mają wątpliwości co do naszego sojuszu.

Nowa Matka mlasnęła, przyjmując to do wiadomości.

— To jest zgodne z ich wzorem.

— Wybacz mi, Nowa Matko, ale czy to cię nie niepokoi?

— Wzór Wspólnoty niepokoił nas na początku — odparła. — Tyle gatunków, tyle odmiennych idei, a wszystko połączone w jednym klanie. Nie rozumieliśmy, jak coś takiego może się utrzymać.

Toum i Fol trzasnęli stawami kolanowymi na znak zgody. Kiedy wysłannicy Wspólnoty Galaktycznej zwrócili się do toremich Ka, trzy z Nowych Matek nie były za ich propozycją. Kiedy było już jasne, że nie dojdzie do zgody, opuściły przestrzeń toremich Ka. Miały już swoje własne klany i stały się wrogami toremich Ka. Jedna została zabita. Takie są zasady.

— Ale przemawiali zgodnie — rzekła Fol. — Podczas pierwszych rozmów i później podczas negocjacji osoby ze Wspólnoty przemawiały zgodnie. Używały tych samych słów. Zgadzały się ze sobą, mimo że reprezentowały różne gatunki.

— Tak — potwierdziła Nowa Matka. — Wiemy, że ich zgoda jest

wyćwiczona i że nie widzą wzorów tak jak my. Ale nadal poszukują takich rzeczy na różne sposoby. Uznajemy to za ustępstwo do przyjęcia.

— Ale to jest kłamstwo — powiedział Toum. Widział, że Fol patrzy na niego z niepokojem, ale mówił dalej: — Tak naprawdę się nie zgadzają. Tylko udają, żeby zachować porządek.

*Jak ja. Och, zabierzcie mnie, martwi. Jak ja.*

Nowa Matka spojrzała na niego uważnie. Zadrżał.

— Chcesz powiedzieć coś jeszcze — stwierdziła.

Toum mlasnął drżącymi wargami.

— Nie pragnę narzucać ci swoich myśli, Nowa Matko.

— Nie martw się. Moje myśli są mocniejsze, a cenię sobie twoje. Wierzę, że znajdziemy harmonię.

Miał rozpacziwą nadzieję, że Nowa Matka ma rację.

— Zgłosiliśmy pretensje do Hedry Ka jako stabilnego miejsca, które da nam punkt zaczepienia, póki będziemy myśleć o wzorze Nowych Matek.

— Tak.

— Nasz gatunek, nawet nasz klan, jest niestabilny. Czy w tym okresie zmiany mądrze jest powodować dalszą niestabilność?

Fol miała lekceważącą minę.

— Nie możemy w pojedynkę pokonać wojujących klanów. WG umocniła nasze roszczenia.

— Ale jakim kosztem? — Toum czuł, że kolana mu się chwieją osłabione jego zuchwałością. — Czy niszcząc wojujące klany, nie możemy zniszczyć samych siebie? Czy taki niejasny wpływ jak wpływ WG może zmącić nasze poczucie jasności?

Nowa Matka wbiła w niego wzrok. Przeniosła spojrzenie na Fol.

— Podzielasz te myśli?

— Nie — odparła Fol bez cienia wątpliwości.

Toum spojrział na nią z ukosa. Po jej twarzy i głosie wyraźnie było widać, że całkowicie się zgadza. Jej myśli nie szarpały nią. Znała swoje miejsce w swoich myślach i w swoim klanie. Nie martwiło jej to. Nienawidził jej za to.

Nowa Matka poruszyła szyją i zbliżyła twarz do jego twarzy.

— Potrzebujemy Wspólnoty do sfinalizowania naszych roszczeń. Nasze zasady są silniejsze od ich wpływów. Utrzymanie Hedry Ka jest warte dopuszczania różnych rozumowań. Zgadzasz się z tymi myślami?

Toum poczuł, jak ściska mu się żołądek. Pod skórą miał owady, w serce wbijały mu się szpony. Nie mógł wykrztusić słowa. Kochał swoją Nową Matkę. Kochał je wszystkie. Położyłby się i wydarł z siebie dla nich swoje narządy. A mimo to, mimo to bardziej zgadzał się z piskliwymi słowami tamtej kobiety niż z tym, co właśnie usłyszał.

Nowa Matka cofnęła się i zachwiała głową. Toum wpatrywał się w podłogę, ale i tak czuł, że Fol go obserwuje, ocenia spokojnym wzrokiem.

— Idź i oddaj się medytacji — rzekła Nowa Matka. — Określ, która z twoich myśli jest najsilniejsza. Wtedy poznasz, czy nadal jesteś jednym z nas.

— Jesteś dobrym strażnikiem — rzekła Fol. — Twoja śmierć byłaby stratą.

Toum nie patrzył na nią. Gdyby spojrział, mógłby skreślić jej kark.

— Zgadzam się — powiedziała Nowa Matka. — Mam nadzieję, że wrócisz.

Lecz strzelając kolanami i oddalając się, Toum wiedział, że tego nie zrobi. Coś się zmieniło. Strach pozostał, lecz się umacniał. To, że jego myśli zostały wypowiedziane na głos, sprawiło, że się urzeczywistniły, i teraz Toum był pewien jak nigdy, że nie znajdzie tu żadnej zgody. Szedł korytarzami, mijając odrażających harmagian i aeluonów o słabych twarzach. Podrygiwali

i błyskali policzkami w przyjaznych pozdrowieniach. Kipiał ze złości. W przestrzeni toremich nie ma miejsca dla tych mizdrzących się obcych. Jego współplemieńcy powinni wysłać ich z powrotem za granicę w kawałkach, jak zawsze to robili.

I jak nadal mogą to robić.

Ashby patrzył na odczyty na swoim ekranie kontrolnym.

— Przysięgam, że nasze silniki nigdy nie pracowały tak równo.

— Tak się dzieje, kiedy w podróż dalekiego zasięgu zabiera się dwoje techników, którzy szybko się nudzą — odezwała się Sissix, nie podnosząc wzroku znad swoich przyrządów.

— Hmm. Może powinniśmy to robić częściej.

To sprawiło, że Sissix odwróciła głowę i posłała mu spojrzenie, od którego mógłby się stopić kadłub.

— Lepiej nie.

Ashby parsknął śmiechem. Podzielał jej uczucia. Za kilka godzin znajdą się z powrotem w Przestrzeni Centralnej. Nie mógł się tego doczekać, ale ta myśl była surrealistyczna. Mimo że był przyzwyczajony do robienia skrótów przez przestrzeń, świadomość, że dziesiątki dziesięciodni, które zajęło im dotarcie do Hedry Ka, można odrobić w kilka godzin, była dziwaczna. Myśl o znalezieniu się wśród rozpoznawalnych statków i planet, po których chodził dziesiątki razy, o targach pełnych żywności, co do której nie będzie miał żadnych pytań, o tym, że nie musi nigdzie dotrzeć, była fantastyczna. I nie miała jeszcze sensu.

— A ty, Corbinie? Pompy paliwa pracują?

— Bez zarzutu. — Błady mężczyzna spojrział znad swojego stanowiska. — Jestem pewien, że istnieje mnóstwo innych sposobów sprawiania, by naszym technikom częściej się nudziło.

Włączył się vox.



— Ashby, w pobliżu znajduje się statek toremich — powiedziała Lovey.  
— Wygląda na to, że kieruje się w stronę klatki.

Chwilę się zastanawiał. To było dziwne.

— Czy przekroczyli linię bezpieczeństwa?

— Nie, po prostu kierują się w naszą stronę.

— Prawdopodobnie są ciekawi — rzekła Sissix. — Gdybym nigdy nie widziała tunelu, chciałabym zobaczyć, jak powstaje.

Ashby skinął głową.

— Miej na nich oko, Lovey. I skontaktuj się z nimi. Przypomnij im delikatnie, żeby trzymali się z dala od nas, kiedy będziemy się przebijać. Nie chcemy pociągnąć ich za sobą.

— Jasne.

Drzwi sterowni obróciły się i otworzyły. Do środka wszedł Doktor Kucharz z Ohan na rękach. Tylne nogi sianackiego duetu w końcu odmówiły posłuszeństwa i ich bezruch bardziej niepokoił Ashby'ego niż ich delikatne drżenie, trwające całe dziesięć dni.

Kapitan wstał.

— Mogę pomóc?

— Nie, nie, chyba sobie poradzimy — odparł Doktor Kucharz tonem tak swobodnym, jakby mówił o krojeniu warzyw.

Posadził Ohan na ich fotelu i wyprostował im nogi.

Ohan w wdziękiem przekrzywili głowę.

— Dziękujemy.

Doktor Kucharz podał Ashby'emu dwie ampułki i strzykawkę.

— Jeśli zaczną tracić czucie w rękach, zrób im zastrzyk. — Pokazał miejsce na karku Ohan tuż obok kręgosłupa. Futro zostało tam zgolone, a szara skóra nosiła ślady wielu nakłuć. — Tutaj.

Ashby skinął głową z nadzieją, że do tego nie dojdzie. Umieścił ampułki

w skrytce obok swojej konsoli i ukląkł, żeby spojrzeć Ohan w oczy.

— Obserwowanie was przy pracy jest zawsze dla mnie zaszczytem. Bardzo się cieszę, że robię to z wami ostatni raz.

— Jak my wszyscy — dodała Sissix.

Corbin odchrząknął.

— Ja też.

Ohan rozejrzeli się, patrząc spod długich rzęs.

— Nie... Nie potrafimy zbyt dobrze wyrażać uczuć. Pod pewnymi względami żałujemy, że nie możemy zostać z wami dłużej. — Zamrugali tak powoli, jak powoli topi się lód. — Ale takie mamy zasady. — Kolejne mrugnięcie. Spojrzeli na Ashby'ego. — Chcemy już zaczynać.

Ashby uśmiechnął się, chociaż czuł ucisk w piersiach. Wprawdzie Ohan nie byli towarzyscy, ale stanowili część jego załogi. Nie chciał, żeby to był ostatni raz. Nie chciał, żeby z tego fotela spoglądała na niego inna twarz. Nie chciał mieć świadomości, że ta twarz niedługo zniknie na zawsze.

Odetchnął głęboko i wziął się w garść. Spojrzał na Doktora Kucharza.

— Nie powinienes iść spać?

— Tak, tak — powiedział Doktor Kucharz i ruszył do drzwi. — Idę pozbawić przytomności siebie i urzędniczkę.

Tym razem Rosemary zdecydowała się skorzystać z jego propozycji, że zaaplikuje jej środek uspokajający. Ashby uznał to za najlepsze wyjście zarówno dla niej, jak i dla podłogi sterowni.

Wrócił na swój fotel i zapiął uprząż.

— Przełącz mnie do wszystkich, Lovey. — Vox się włączył. — Dobra. Meldujemy.

— Przyrządy pilotażowe gotowe — powiedziała Sissix.

— Układ paliwowy gotowy — rzekł Corbin.

— Wiertło międzyprzestrzenne gotowe — dobiegł z voxu głos Kizzy. —

Tym razem pamiętałam o przegryzkach.

— Boje gotowe — powiedział Jenks.

Ashby poruszył palcami nad konsolą. Palił się do roboty.

— Lovey, co z toremimi?

— Nie odpowiedzieli. Ale trzymają się za linią bezpieczeństwa. Są tuż za nią, z nosem przy bojach.

— To wystarczy, o ile się nie przybliżą. Jaki mamy stan?

— Wszystkie układy statku działają normalnie. Brak awarii technicznych i strukturalnych.

— Dobra. Wynosimy się stąd. Kizzy, włączaj.

Kiedy wiertło zawyło, zadrżały płyty podłogowe. Ashby stukał palcem w poręcz fotela, zaczynając odliczanie. *Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.*

— Ashby! — odezwała się Lovey, przekrzykując hałas. — Statek toremich. Nie wiem, co robi. Jest...

Wycie wiertła zagłuszyło jej słowa.

Puls Ashby'ego przyśpieszył.

— Przekroczyli linię? — wrzasnął.

— Nie. Jakiś wzrost energii. Niczego takiego wcześniej...

To, co wydarzyło się potem, musiało dziać się bardzo szybko, ale w oczach Ashby'ego rozgrywało się powoli, jakby już znajdował się w podwarstwie. Najpierw okno zrobiło się białe, zalane ostrym światłem, które przesłoniło wszystko, co znajdowało się na zewnątrz kadłuba. Następnie światło osłabło, a wokół wsporników klatki zaczęły widać się wstęgi energii i odbijać rykoszetami wewnątrz klatki.

Klatka się rozpadała. Nie spadała jak jakaś konstrukcja na planecie, lecz rozpadała się, skręcała, odpływała. Ashby patrzył, nic nie rozumiejąc.

Coś w nich uderzyło. Cały statek zachwiał się i zadrżał. Na ekranie kontrolnym pojawiły się czerwone światełka jak otwierające się oczy. Płyty

oświetleniowe na suficie dostały spazmów. Zapewne towarzyszyły temu jakieś odgłosy, skrzypienie nadwerężanych grodzi czy wykrzywianych płyt, paniczne krzyki załogi, ale wszystkie ewentualne dźwięki zagłuszało wiertło, które doszło do końca odliczania. Niebo na zewnątrz rozdarło się. „Wędrowiec” się przebił.

# Dzień 157., 307 standard WG

## Siedem godzin

Sissix walczyła z przyrządami, usiłując myśleć mimo strachu i wrzawy głosów.

— Nie ma boi! — wrzasnął Ashby. — Jenks, słyszałeś? Kizzy?

— Naprzód czternaście ibenów — powiedzieli Ohan.

— Nie mogę — powiedziała Sissix. — Jesteśmy wszędzie.

— Ale musimy — powiedzieli Ohan. — Przestrzeń za nami...

— Tak, wiem — warknęła.

Bez klatki nowo przebita dziura szybko się zamknie. A jeśli będą za długo tkwić w jednym miejscu bez normalnej przestrzeni podtrzymującej ich od tyłu, to będzie nimi miotać jak ptakiem w czasie burzy. Sissix już czuła drżenie statku.

— Lovey? Do cholery, niech ktoś się odezwie! — krzyknął Ashby. — Kurde, voxy wysiadły.

— Jenks nie wypuści teraz boi — stwierdził Corbin. — Ma na to za dużo rozsądku. Wie, co by się...

— Sissix, czternaście ibenów, już! — krzyknęli Ohan.

Aandriska syczała przekleństwa, usiłując ustabilizować statek. Jej odczyty migotały, a paski napędu wymykały się spod kontroli. Wirowało jej przed oczami jak zawsze w podwarstwie, a bez odczytów czy widocznych gwiazd nie miała żadnych punktów odniesienia. Zacisnęła szczęki i wcisnęła kilka guzików.

— Wyłączam zabezpieczenia. Nie będziemy w równowadze, ale powinno

nam to dać wystarczającego kopa, żeby...

— Sissix... — zaczął Corbin.

Zjeżyła pióra.

— Jeśli myślisz, że w tej chwili obchodzą mnie pieprzone poziomy ochrony...

— Myślisz, że mnie obchodzą? Weź, ile potrzebujesz.

Zerknęła do tyłu i napotkała jego wzrok.

— Możemy utrzymać taki wysoki poziom całą drogę?

— Tak. — Corbin spojrzał na swoje odczyty. — Tak, mamy dosyć. — W oczach miał strach, ale i pewność. — Rób, co musisz. Będę pilnował.

Skinęła mu głową i rzuciła okiem na migające odczyty.

— Cholera, Kizzy, potrzebuję... — Skrzywiła się, przypomniawszy sobie o voxach. „Wędrowiec” zachwiał się pod naporem zapadającej się dookoła nich podwarstwy. — Czternaście ibenów?

— Tak — powiedzieli Ohan z naciskiem.

— Niech nam gwiazdy pomogą — powiedziała i rzuciła statek do przodu.

Kizzy zerwała płytę głównego dostępu do siatki nawigacyjnej. W maszynowni błyskały światła, jęczały rury, trzęsły się ściany. Nic nie brzmiało tak, jak należy.

— Muszę się dostać do rdzenia! — wrzasnął Jenks z drugiego końca pomieszczenia. — Musimy odzyskać voxy.

— Nie ma czasu — powiedziała Kizzy, wpatrując się w bałagan przed sobą. — Jeżeli spalił się główny przewód przekaźnikowy, będzie to trwało wiele godzin. Jesteś mi potrzebny tutaj.

Błyskawicznie powiodła wzrokiem po uszkodzonych obwodach. Podbiegła do stelażu na narzędzia, ale miała wrażenie, jakby powoli przedzierała się przez jakąś gęstą masę. Widok rozpadającej się maszynowni byłby wystarczająco przerażający w normalnej przestrzeni. W podwarstwie

z falującym czasem to był koszmar.

— Nie możemy ocenić uszkodzeń bez Lovey.

— Mam oczy — powiedziała, chwytając garść narzędzi. Z pobliskiej ściany dobiegł wilgotny trzask pękającej rury paliwowej. — Och, na gwiazdy! Zajmij się tym!

Wróciła do płyty dostępu, usiłując podjąć decyzję, od czego zacząć. To będzie partanina, ale nie miała wyboru. Naprawi porządnie później. Jeśli się z tego wywiną.

Patrzyła na migające po całej siatce światełka obwodów. Tworzyły szalęńczy, nieznajomy wzór. *Cholera*.

— Sissix wyłączyła zabezpieczenia.

— Świetnie — powiedział Jenks i szarpnięciem otworzył drugą ścianę.

Z pękniętej rury tryskało paliwo. Strugi gęstej zielonej mazi bryzgają na ściany i tworzyły kałuże na podłodze.

Kizzy obserwowała obwody, a jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Skoro paski nie działały z pełną wydajnością, Sissix na pewno potrzebowała dodatkowego kopa. Lecz przy wyłączonych zabezpieczeniach naprawienie siatki w trakcie jej działania było trudniejsze. Lovey utknęła w rdzeniu, a nie wiedząc, jakie posunięcie planuje Sissix, Kizzy będzie musiała zgadywać, co ma robić. Złe trafienie mogłoby spowodować utratę kontroli nad statkiem.

— Muszę wiedzieć, co ona tam robi.

— Mam — powiedział Jenks, rzucając narzędzie. Wyjął swój notek i odbiegł od wciąż wypływającego paliwa. — Daj mi pięć minut. Mogę połączyć w sieć wszystkie nasze nadajniki sib. Będziemy musieli stale mieć przy sobie noteki, ale...

— Genialne — powiedziała Kizzy. — Zrób to, a potem przyjdź mi pomóc.

— A co z...

— Zostaw — powiedziała i niemal się roześmiała. Jak bardzo są uszkodzeni, skoro pęknięta rura paliwowa jest ich najmniejszym zmartwieniem? — Jeśli nie będziemy mogli lecieć, nie będzie to miało znaczenia.

Zza rogu wyszła chwiejnym krokiem Rosemary, trzymając się trzeszczących ścian. Kizzy pamiętała, że kiedyś też tak chodziła — przez pierwsze dni szkolenia w podwarstwie.

— Daj mi coś do roboty — powiedziała Rosemary.

— Dlaczego jesteś przytomna? — zapytał Jenks.

— Nie było czasu na podanie środków uspokajających — odparła. — Doktor Kucharz poszedł do Ohan, a ja wiem, że żaden ze mnie tech, ale...

Kizzy wzięła Rosemary za rękę, podbiegła z nią do rury paliwowej i przyłożyła jej dłonie do pęknięcia, z którego wciąż tryskało paliwo.

— Mocno przyciskaj. I pod żadnym pozorem nie puszczaj.

Mijały godziny, ale Sissix tego nie czuła. Czuła jedynie przyrządy pod dłońmi i stałe drżenie płyt podłogowych; w podwarstwie jej świat się rozmazywał. Wiertło nadal działało i statek tworzył coś w rodzaju tymczasowego tunelu, na tyle dużego, by posuwać się do przodu. Lecz bez boi wolna przestrzeń wokół nich trwała tylko parę minut, co dawało im mało czasu na wyliczenia do następnego ruchu. Odczyty były już stabilniejsze, ale siatka wciąż z trudem wykonywała swoje zadanie. Podobnie jak ich nawigator.

— Potrzebuję kursu — powiedziała Sissix, czując, że drżenie narasta.

— Tak — wydyszeli Ohan. — Tak. — Doktor Kucharz przysiadł obok nich i trzymał ich za ramiona. Ohan drżącą dłonią wodzili błyskawicznie nad notekiem i liczyli szybciej, niż Sissix kiedykolwiek widziała. — Sześć przecinek dziewięć pięć ibena prosto w górę.

— Mamy już za sobą połowę drogi — odezwał się Ashby. — Potraficie to



zrobić, Ohan.

— Tak. Oczywiście, że potrafimy. Oczywiście, że potrafimy. — Ohan odetchnęli chrapliwie. — Siedem... Nie, nie, osiem... Aj!

Sissix odwróciła głowę i zdążyła zobaczyć, że rysik Ohan spada na podłogę. Sianacki duet osunął się na Doktora Kucharza, unosząc trzęsące się ręce.

— Nie! — krzyknęli. — Nie, nie, nie, nie teraz, nie teraz.

Ich palce zwisały bezwładnie jak marionetki z przeciętymi sznurkami. Ohan z przerażeniem wpatrywali się w swoje bezużyteczne dłonie.

Ashby zerwał się na nogi i podbiegł do nich, umieszczając w strzykawce ampułkę, którą dostał od Doktora Kucharza.

— Daj — powiedział Doktor Kucharz.

Szybkim i delikatnym ruchem przygiął głowę Ohan w stronę podłogi, odsłaniając wygolone miejsce na ich karku. Spojrzał na Ashby'ego.

— To byłoby wyczerpujące nawet w normalnych warunkach. Podwyższony poziom adrenaliny nie jest w tej chwili dla nich najlepszym wyjściem.

Nakłuł igłą zasiniałą skórę.

Ohan wciągnęli spazmatycznie powietrze, a ich ręce upiornie się szarpnęły. Sissix zrobiło się niedobrze, ale nie odwróciła wzroku. Drganie podłogi znowu narastało. Jej puls dostosował się do niego.

Ashby podniósł rysik z podłogi.

— Ohan?

Ohan odetchnęli ze strasznym wysiłkiem, co przypominało szelest wiatru w suchych liściach. Sięgnęli po rysik.

Sissix zamknęła z ulgą oczy, a potem znowu spojrzała na duet.

— Hej — powiedziała. Ohan podnieśli na nią wzrok. — Możemy to zrobić, wy i ja. Razem. Jesteśmy dobrym zespołem. — Ścisnęło ją w gardle.

— Zawsze byliśmy dobrym zespołem.

Ohan zamrugali i ze wściekłą determinacją wrócili do obliczeń.

— Nie zawiedziemy was.

Kizzy klęczała na podłodze z rękami zanurzonymi w trzewiach napędu rufowego. W jej twarz biły fale gorąca.

— Sissix! — krzyknęła w stronę swojego noteka. — Mam tu jednostkę przekaźnikową, która zaraz się spali. Muszę wyłączyć wtórny pasek rufowy.

— Na jak długo?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, usiłując myśleć.

— Nie wiem. Może na godzinę.

— Na gwiazdy, Kizzy...

— Wiem, wiem. Ale jeśli nie naprawię tego teraz, to nie będzie działał przy wyjściu.

— Ale wtedy na pewno będę go miała?

*Nie wiem.*

— W teorii. Zdecydowanie nie, jeśli nic nie zrobię.

— Możesz go naprawić szybciej?

— Zrobię, co w mojej mocy.

— Ja też.

Po twarzy spływał jej pot, złościąc ścieżki w mazi i brudzie pokrywających jej skórę. Odchyliła się od gorąca buchającego z uszkodzonego paska i rozpięła suwak kombinezonu, wyplątała się z jego górnej części i zawiązała ją sobie wokół talii. Podkoszulek lepił się do jej pleców. Otworzyła płytkę ręcznego dostępu na obudowie napędu i wstukała polecenia. *Na gwiazdy, potrzebuję teraz Lovey.* Voxy wciąż nie działały, a ponieważ Lovey chyba nie pracowała z żadnym układem sama z siebie, zapewne straciła też dostęp do swojej sieci kontrolnej. Kizzy wiedziała, że SI pewnie wariuje zamknięta w rdzeniu ze świadomością, że statek ma kłopoty. Może tak jest lepiej.

Przynajmniej nie wie, jak jest źle.

Pasek się wyłączył. Kizzy odchyliła się do tyłu i wytarła sobie czoło. Na coś takiego się nie pisała.

— Kizzy. — To odezwała się Rosemary. Ubranie wciąż miała oblepione paliwem, teraz już wyschniętym, a minę ponurą. Kizzy wiedziała, że nie tylko z oczywistych powodów. Rosemary nie przeszła szkolenia do pracy w podwarstwie i nawet bieganie na posyłki musiało być dla niej piekielnie trudne. — Proszę.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej butelkę wody oraz kostkę żywnościową.

Kizzy odkręciła nakrętkę i przytknęła butelkę do ust. Jej wargi i język łapczywie chłoneły wilgoć. Wypiła kilka łyków i odetchnęła.

— Och, na gwiazdy, jesteś bohaterką. — Skończyła wodę, rozdarła opakowanie kostki zębami i z powrotem uklękła na podłodze. — Zanieś też Jenksowi — powiedziała, odgryzając kawałek mdłej, gęstej proteiny.

— Już. Gdzie teraz jest?

— W komorze z algami. Jest tam też Corbin. Pompy się...

Statek zakołysał się mocno rzucony przez Sissix na nowy kurs. Kizzy zaparła się w podłogę stopami i chwyciła krawędzi obudowy. Rosemary nie była tak szybka. Uderzyła o przeciwległą ścianę i upadła.

Kizzy zaczęła, aż statek przestanie się kołysać. Słyszała przez notek głosy w sterowni; Sissix klęła, Ashby mówił stanowczym tonem:

— Ohan, zostańcie ze mną, już nie tak długo...

Kiedy drzenie podłogi ustało, odwróciła głowę w stronę Rosemary.

— Nic ci nie jest?

Rosemary podciągnęła się w górę, mocno zaciskając zęby. Ze świeżego skaleczenia na jej ramieniu sączyła się krew. Patrzyła, jak ścieka na dół, ale tego nie widziała.

— Hej, nie — powiedziała Kizzy i podbiegła do niej. Znała tę minę.

Mówiła ona „Jestem kompletnie wykończona”, ale w tej chwili zupełnie nie miały na to czasu. Obejrzała zakrwawione ramię Rosemary. Skaleczenie nie było poważne, lecz długie. Oddarła kawałek rękawa swojego kombinezonu i owinęła go wokół rany. — Spójrz na mnie. Rosemary, spójrz na mnie.

Zawiązała materiał, usiłując znaleźć właściwe słowa. Spróbowała pomyśleć o czymś mądrym i pomysłowym, co przywołałoby Rosemary z powrotem. Nie była jednak mądra i pomysłowa, była partaczem, który cały czas improwizuje, który równie dobrze może ich wszystkich zabić jakimś źle naprawionym obwodem albo jakimś przepalonym przewodem, który przeoczyła, a w ogóle to, co oni zrobili tym pieprzonym czworonożnym zwierzętom, że do nich strzelili...

Odetchnęła. Odetchnęła i pomyślała o aeluonce ze zbrojoną kamizelką, otoczoną uzbrojonymi po zęby kumplami i mówiącą jej, że boi się ryb.

— Posłuchaj, Rosemary. Jestem tu, gdzie ty. Czuję to samo.

— Przepraszam — powiedziała Rosemary łamiącym się głosem. — Przepraszam, przepraszam, próbuję...

— Nie, posłuchaj. — Ujęła twarz Rosemary w dłoń i spojrzała jej w oczy. — Przestań próbować się nie bać. Ja się boję, Sissix się boi, Ashby się boi. Tak jest dobrze. Strach oznacza, że chcemy żyć. W porządku? Więc się bój. Ale musisz pracować. Dasz radę?

Rosemary zacisnęła wargi i zamknęła oczy. Skinęła głową.

Kizzy ucałowała przyjaciółkę w czoło.

— Dobrze. Musisz pójść do komory z algami i zanieść chłopcom wodę i jedzenie. Potem wróć do mnie. Ktoś musi mi podawać narzędzia. Rozumiesz?

Rosemary spojrzała na nią pewniejszym wzrokiem.

— Rozumiem.

Wstała, uścisnęła Kizzy za ramię i pobiegła korytarzem.

Kizy z powrotem zanurkowała do napędu z narzędziami w dłoni.

— Dobra, ty sukinsynu — powiedziała, odginając osłonę wiązki przewodów. — Będziesz robić, co ci każę.

Klatka wyjścia znajdowała się blisko. Jej sygnał mrugał zachęcająco na konsoli Sissix. To był ich port w burzy.

— Zbliżamy się za szybko — powiedział Ashby.

— Nic na to nie poradzę — odparła Sissix.

Z tak połataną siatką nie będzie mogła przeprowadzić ich powoli.

— Niech wszyscy się zapną — powiedział Ashby i zerknął na notek. — Doszło do was?

— Tak — odparł Jenks. — Proszę was, zabierzcie nas stąd.

— Ohan, wyście — rzekła Sissix.

— Dziewięć przecinek cztery pięć ibena naprzód — wydyszeli Ohan. — Sześć przecinek pięć na prawo. Siedem przecinek dziewięć sześć... Przecinek dziewięć... Sześć...

Sissix odwróciła się i zobaczyła, jak oczy Ohan zapadają się w głąb ich czaszki.

— W górę czy w dół? — zapytała. — W górę czy w dół?

Nie było odpowiedzi. Ohan mieli atak.

Z ust Doktora Kucharza wyrwało się kilkanaście rozpaczliwych dźwięków.

— Czarny pojemnik, górna szuflada, trzecia od lewej — powiedział. — Idź.

Ashby wypadł ze sterowni; poruszał się szybciej niż ktoś mający rękonożki. Sissix spojrzała na swoje przyrządy. Wszystko zwolniło i ucichło, lecz nie miało to nic wspólnego z podwarstwą. Słyszała tylko krew szumiącą jej w uszach. *W górę czy w dół?* Tyle razy to robiła, a jednak nie umie samodzielnie odpowiedzieć na takie proste pytanie. *W górę czy w dół?* Podłoga zaczęła drgać. *W górę czy w dół?* Nie potrafiłaby odgadnąć nawet

w sprzyjających okolicznościach, nawet gdyby się rozpadli, gdyby nic nie zrobiła. Mogliby wyjść w niewłaściwym miejscu albo w niewłaściwym czasie. Mogliby wyjść wewnątrz planety albo jakiegoś statku. Pięćdziesiąt procent szans, a mimo to, a mimo to...

Wrócił Ashby i rzucił pojemnik Doktorowi Kucharzowi. Lekarz wyjął jakiś przyrząd medyczny i przycisnął go do łatki na nadgarstku Ohan. Minęła sekunda. Dwie sekundy. Trzy. Drgawki ustały. Ohan zeszywnieli z otwartymi ustami.

— Ohan — powiedział Ashby. — Ohan, pamiętacie, co robiliście?

— Tak — wyszeptali Ohan, a potem krzyknęli gorączkowo z dzikim wzrokiem: — W górę, w górę!

— Ashby, zapnij się! — wrzasnęła Sissix, śmigając dłońmi nad przyrządami. — Przebicie za trzy... Dwa... Jeden.

Spuściła gwałtownie dłoń na przyciski. Statek wyrwał się z podwarstwy; poruszał się za szybko i pędził prosto na górne wsporniki klatki.

— Cholera!

Posłała niezgrabny statek ostro na prawo, zaciskając z wysiłku zęby. Kizzy krzyczała coś o pasku z lewej burty, ale Sissix nie usłyszała, o co chodzi; poczuła, że pasek się wyłącza i statek wpada w korkociąg. Sissix pracowała szybko, kierując ich ku wolnej przestrzeni. „Wędrowiec” trzeszczał na znak protestu, ale ona nie słuchała. Wycelowała dziobem w przerwę między wspornikami i wyłączyła pozostałe paski.

Minęli wsporniki i powoli wypłynęli na otwartą przestrzeń kosmiczną.

Sissix oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Słyszała, jak z tyłu Doktor Kucharz mruczy coś pocieszająco i wynosi oddychający chrapliwie sianacki duet ze sterowni. Słyszała, że Ashby rozpina uprzęż i podchodzi do niej. Poczuła na plecach jego dłoń. Nie podniosła wzroku.

— Nic nam się nie stało — powiedział. Nie wiedziała, czy kapitan mówi

do niej, czy do siebie. — Nic nam się nie stało.

Przeciągnęła dłońmi po piórach, oddychając z trudem i nie podnosząc głowy.

— Ale czy wszystkim?

Kizzy leżała na podłodze maszynowni. Rosemary siedziała zgarbiona pod ścianą. Żadna z nich się nie odzywała. Nie było o czym mówić. Ale i tak Kizzy zaczęła się śmiać.

— Co cię tak bawi? — zapytała Rosemary.

Kizzy przycisnęła stopy do podłogi; czuła, jak śmiech rodzi się w jej brzuchu.

— Nie wiem! — Zakryła oczy dłonią. — Nie wiem! Będę miała tyle gówna do sprzątnięcia! — Zanosila się od śmiechu, trzymając się za bok drugą ręką. Zerknęła przez palce na Rosemary, która też zaczęła się śmiać, chociaż po jej oszołomionej minie było widać, że śmieje się z Kizzy. Tech rzuciła w nią od niechcienia brudną szmatą. — Cholera, muszę się napić. I zapalić łomot. Polecę na najbliższą stację i dam się przelecieć. Na gwiazdy, jeśli kiedykolwiek zasługiwałam na dmuchanko, to właśnie...

— Zaczekaj — powiedziała Rosemary i odwróciła głowę. — Słyszałaś?

Kizzy usiadła i zamilkła. Rozbrzmiewał tylko szum maszynowni, nierówne trzaski i warkoty całego tego gówna, które będzie musiała naprawić. A potem przypłynął korytarzem z daleka głos. Dochodził od rdzenia.

— Kizzy! — To był Jenks. — Kizzy, pomóż mi!

Zerwała się błyskawicznie na nogi, waląc butami w metalową podłogę. Zatrzymała się z poślizgiem przy drzwiach do rdzenia. Wciąż świecił, wciąż działał. Lecz otaczające go ściany pokryte zielonymi światełkami, które Jenks tak starannie sprawdzał dwa razy dziennie, teraz tworzyły labirynt mrugającej czerwieni. Kizzy przyłożyła dłonie do ust.

— Kizzy — powiedział Jenks z kanału. Odrzucił rękawiczki. — Kizzy, potrzebuję moich narzędzi. Potrzebuję ich natychmiast. — Powiódł dłońmi po powierzchni rdzenia. — Lovey, słyszysz mnie? Lovey? Powiedz coś, Lovey.



# Dzień 158., 307 standard WG

## Twardy reset

Lovey? Jesteś tam?

*Nic nie widzę. Dlaczego? Dlaczego nie widzę...*

Lovey. To ja. Jenks. Słyszysz mnie?

*Jenks.*

Tak.

*Nie jesteś mną. Nie jesteś tobą.*

Lovey, w tej chwili jestem podłączony do twojego rdzenia.

*Co zrobiłeś?*

Mam nakładkę. Taką jak te, których używamy do gier. Wszystko w porządku.

*To niebezpieczne. Powiedziałeś, że nigdy tego nie zrobisz. My powiedzieliśmy. Mógłbyś uszkodzić sobie mózg. Czy świeci słońce?*

Co?

*No, świeci?*

Tak.

*To dobrze. Mówię bez sensu.*

Wiem. Kizzy i ja próbujemy to naprawić.

*Kizzy.*

Tak. Znasz Kizzy, prawda?

*Znasz Kizzy?*

Lovey, muszę oszacować uszkodzenia, ale spaliły się nawet twoje układy diagnostyczne. Masz do nich dostęp?

*Co mi się stało?*

Strzelono do nas z broni na energię. Nikomu innemu nic się nie stało.  
Masz dostęp do swoich układów diagnostycznych?

*Nie podobają mi się. Są daleko stąd.*

Lovey, musisz spróbować, jeśli dasz radę.

*Na zewnątrz jest kometa.*

Nie, nie ma.

*Popatrzę sobie na nią.*

Wiem, że to trudne, ale proszę cię, spróbuj się skupić. Skup się na mnie.

Lovey, jesteś tam?

Lovey?

Sissix przerwała wstukiwanie poleceń do konsoli wjazdu dokowania. Od dawna nie przeprowadzała ręcznego skanowania w celu wykrycia skażenia. Nie było w tym nic skomplikowanego, wystarczyło wciskać guziki. Lecz Sissix nigdy nie musiała wciskać tych guzików. Zawsze robiła to Lovey.

Awaria kaskadowa. Takiego określenia użyła Kizzy. WG zaproponowała przysłanie ekipy fachowców do pomocy przy naprawie reszty statku, lecz Jenks powiedział Ashby'emu, że jeśli któryś z nich postawi stopę na pokładzie, to on odejdzie. Na samo wspomnienie o „partackich bigotach” kłął i krzyczał, że nie rozumieją, dlaczego jeszcze po prostu nie wyłączył Lovey i nie zainstalował jej platformy na nowo. Kizzy, która nie była w stanie odejść od rdzenia, poprosiła o alternatywne źródło pomocy.

Kiedy prom przybił z brzękiem, Sissix wyjrzała przez okno. Statek Papryki. Zupełnie standardowy statek międzyplanetarny, ale mając nawet ograniczony widok, Sissix dostrzegła kilka ulepszeń. Przestrzeń Centralna leżała w odległości szybkiej dwuetapowej podróży od Port Coriol, ale i tak dotarcie do nich powinno zająć przynajmniej jeden dzień. Papryka zjawiała się po dziesięciu godzinach. Cokolwiek ten prom miał pod maską, nie było to

coś, co można kupić oficjalnie. W każdym innych okolicznościach Sissix marzyłaby, żeby się nim przelecieć.

Kiedy skanowanie się zakończyło, otworzył się właz. Papryka weszła na pokład z małą torbą podróżną i skrzynką z narzędziami. Uściskała Sissix, ciepło, lecz przelotnie, niemal nie zmieniając kroku.

— Jak się wszyscy czują? — zapytała, idąc w stronę schodów.

Nie rozdrabniała się. Przyleciała do pracy i nie zamierzała tracić czasu. Sissix się to podobało.

— Zgodnie z oczekiwaniami.

— Zmęczeni, zestresowani, wstrząśnięci?

— Mniej więcej.

Papryka zatrzymała się, walcząc z ciężarem skrzynki.

— Macie windy towarowe, tak?

Sissix przechyliła głowę w stronę, z której przyszły.

— Tam.

— Dzięki. Mam tu pieprzoną tonę kluczy.

— Mamy klucze.

— Tak, ale to są moje klucze.

Weszły do windy. Papryka z brzękiem postawiła skrzynkę na podłodze.

— Jak sobie radzą Kizzy i Jenks?

Sissix dotknęła płytki sterującej. Winda ożyła z warkotem i wystrzeliła w dół.

— O szczegółach będziesz musiała porozmawiać z Kizzy...

Papryka machnęła ręką.

— Nie mam na myśli szczegółów technicznych. Pytam, jakich ludzi mogę zastać na dole. W rozmowie przez sib Kizzy wydawała się zdruzgotana.

Sissix spojrzała Papryce w oczy.

— Użyła pudełka naprabetów.

Papryka gwizdnęła cicho.

— Cholera. Będzie gorzej, niż sądziłam.

Ashby przetarł oczy i znowu przyjrzał się filtrowi powietrza z ambulatorium. Na studiach miał zajęcia z podstawowych napraw technicznych. To nie może być takie trudne. Odetchnął i dalej próbował otworzyć pokrywę obwodu. Kiedy indziej zostawiłby to technikom. Ale to nie było kiedy indziej, a jego cholerny statek się rozpadał. Musiał coś zrobić.

— Jest już coś? — zapytał, odwróciwszy się przez ramię.

— Nie — odparła Rosemary. Siedziała przy biurku Doktora Kucharza i czekała na uaktualnienie wiadomości. Komisja Transportu skontaktowała się z nimi, kiedy tylko weszli do Przestrzeni Centralnej, i zaproponowała wszelkie wsparcie, lecz nie podała żadnych informacji na temat sytuacji przy Hedrze Ka. — Dziwne.

— Co takiego?

— Stanowimy pierwszy sygnał w tej przestrzeni, że coś poszło nie tak.

Ashby zmienił chwyt na obudowie, usiłując wyczuć jakieś obluźowane miejsce.

— WG musiała wiedzieć. Jestem pewien, że ci delegaci zaczęli łączyć się z domem od razu, kiedy do nas strzelono.

— Tak, ale nie wie nikt inny. Dla tych wszystkich istot to tylko kolejny dzień. Po prostu... Nie wiem, jakoś nic z tego nie ma sensu. — Rosemary zamilkła. — Mogliśmy tam zginąć. Lovey...

— Lovey nic nie będzie — przerwał jej Ashby. — Kizzy i Jenks wiedzą, co robią. Naprawią ją.

Zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

— Wiem. — Miała podkrążone oczy. Od jak dawna wszyscy nie spali? Skinęła głową jeszcze raz, ale jej uśmiech zgasł. — Chciałabym im pomóc.

— Ja też.

— To takie... Och, patrz.

Pochyliła się, pokazując na pikselowy ekran.

Ashby wytarł dłonie o spodnie i podszedł bliżej.

Wiadomości z ostatniej chwili z Wątku. Otrzymaliśmy informacje, że we flocie toremich stacjonującej w pobliżu Hedry Ka wybuchły działania zbrojne. Uważa się, że zostały zaatakowane pewne statki WG, a inne są bronione przez statki toremich. Nie znamy szczegółów, chociaż główny dyplomata WG przydzielony do Hedry Ka wydał już krótkie oświadczenie, że działania zbuntowanych toremich są „niczym niesprowokowane i całkowicie pozbawione uzasadnienia”. Według doniesień działania te zostały poprzedzone atakiem okrętu wojennego toremich na nieuzbrojony statek cywilny. Prosimy czekać na bieżące uaktualnienia.

— Na gwiazdy — powiedziała Rosemary. — Wszystkie te osoby. Na gwiazdy, Ashby, byliśmy właśnie tam.

Położył jej rękę na ramieniu i pokręcił głową.

— Nie powinniśmy byli się tam znaleźć.

Pisnął jego notek. Nowa wiadomość. Przeczytał ją i westchnął.

— Co jest? — zapytała Rosemary.

— Komisja Transportu. Chcą jak najszybciej otrzymać sprawozdanie z incydentu.

— „Sprawozdanie z incydentu”. To brzmi tak... Sama nie wiem.

— Nieadekwatnie?

— No pewnie. O wiele bardziej podoba mi się określenie Kizzy.

— Czyli?

— Totalna rozpierdziucha.

Ashby roześmiał się kpiąco.

— Wątpię, by mieli odpowiedni formularz.

Czytał dalej, marszcząc brwi.

— Co?

— Parlament tworzy komisję analityczną. Odbędą serię spotkań, by to

wszystko rozstrzygnąć. Chcą rozmawiać z nami.

— Z nami?

— A właściwie ze mną. Osobiście.

— Dlaczego? Nie zrobiłeś nic złego.

— To wiedzą. — Rzucił okiem na notek, na słowa, jak „dobrowolny”, „ciężka próba” i „bardzo wdzięczni”. — Nie wiem, co mógłbym im powiedzieć. Nawet nie miałem czasu, żeby spojrzeć na tamten statek. — Rzucił notek na biurko. — Tu pewnie chodzi o politykę. — Spojrzał na przeciwległą ścianę, na ciemny, milczący vox. — Mam większe zmartwienia.

*Jenks? Jenks, jesteś tam?*

Jestem, Lovey. Nigdzie nie idę.

*Nie widzę...*

Czego nie widzisz?

*Nie wiem. Boję się, Jenks, tak się boję.*

Wiem. Jestem tu. Naprawię to. Nic ci nie będzie.

*Jest tu Papryka. Jest w ścianie.*

Tak. Pomaga przy naprawach.

*To coś innego. Kiedy dotrzemy do Hedry Ka?*

Już tam byliśmy.

*Nie kłam.*

Nie kłamię, Lovey. Po prostu nie pamiętasz.

*Okropnie się czuję.*

Wiem. Nic ci nie będzie.

*Nie, nie o to chodzi. O tamto.*

O co?

*Kizzy.*

Co z Kizzy?

*Jest zmęczona.*

Nie martw się o Kizzy. Nic jej nie będzie.

*Powinna zasnąć. Ty powinieneś zasnąć.*

Pójdziemy spać, kiedy skończymy ci pomagać. Naprawdę, Lovey, nic nam nie jest.

*Przy włazie jest prom. Nie znam go.*

To prom Papryki.

*Ona tu jest?*

Tak.

*Nie odchodź, proszę cię.*

Nie odejdę.

*Tylko ty masz jakiś sens.*

Ashby zszedł na prośbę Kizzy do rdzenia SI. Kiedy tylko się pojawił, Kizzy machnęła ręką, żeby z powrotem wyszedł na korytarz. Zerknął na Jenksa, który właśnie przykładał sobie do karku nową nakładkę. Ashby nie potrafił zdecydować, które z techników wygląda gorzej.

— Musisz wiedzieć, co się dzieje — rzekła cicho Kizzy z poważną miną.

To nie była rozmowa typu „potrzebuję czegoś”. Mechtech mówiła swojemu kapitanowi, że coś jest bardzo nie w porządku. Ashby skupił na niej całą uwagę.

— Mów — powiedział.

Kizzy pokręciła głową.

— Nigdy nie widziałam tak rozległych uszkodzeń obwodów. To, czym cisnęli w nas toremi, przeszło przez ST jak huragan. Naprawiliśmy wszystkie uszkodzenia fizyczne, więc jej urządzenia działają. W normalnych warunkach miałyby bez żadnych problemów pełny dostęp do statku.

— Ale?

— Ale jej instalacja jest kompletnie popieprzona. Może i rezyduje w rdzeniu, ale wiesz, jak dzieli samą siebie między klastry synaptyczne

w całym statku? Połączenia między klastrami i rdzeniem zostały całkowicie spalone. Zasadniczo straciła całe fragmenty siebie.

— Nie ma dostępu do tych klastrow, mimo że obwody zostały przywrócone?

— Ma, ale... Och, trudno to wyjaśnić. Klastry nie mają przechowywać danych tyle czasu, ile zajęła nam naprawa obwodów. Gdyby padło kilka połączeń z klastrami, mogłaby się od tego odbić. Ale straciła je wszystkie naraz, łącznie z kopiami zapasowymi. Nie ma znaczenia, że naprawiliśmy połączenia. To jak próba wyleczenia kogoś po udarze przez zaszytą pękniętą żyłę. Nie ma znaczenia, czy krew może normalnie płynąć, skoro mózg już uległ uszkodzeniu.

— A w tym wypadku mózg to oprogramowanie Lovey, tak?

— Tak. Dlatego cię zawołałam. Lovey jest przytomna. Jej rdzeniowe pliki pamięci są nienaruszone. Wciąż jest osobą. Ale nie ma normalnego dostępu do statku. Miota się w przypadkowych przebłyskach jak ktoś, kto ma atak. Ma dostęp tylko do plików pamięci, a i w nich panuje bałagan. Jej pliki danych, Konsolidator, układy statku — wszystko to jest dla niej bezładną mieszaniną. Jest zdezorientowana i przestraszona.

— Więc co robimy?

Kizzy odwróciła głowę w stronę rdzenia. Jenks właśnie schodził do kanału.

— Próbowaliśmy wszystkiego. Naprawdę wszystkiego. Na gwiazdy, próbowaliśmy nawet rzeczy, które nie mają nazwy. Ashby, możliwe, że ona...

Ashby położył Kizzy rękę na ramieniu.

— Jakie mamy możliwości?

Kizzy odchrząknęła.

— Dlatego poprosiłam cię tu na dół. Została nam jedna możliwość i jest



ona naprawdę gówniana.

— Dobrze.

— Twardy reset.

Mimo że Ashby miał wiedzę techniczną tylko z drugiej ręki, znał to określenie. Nie było przyjemne. Twardy reset SI to było coś jak zatrzymanie na kilka minut czyjegoś serca, żeby potem znowu je ożywić. Odetchnął.

— To jest pięćdziesiąt procent szans, Kizzy.

— W najlepszym wypadku. Wiem. Nawet o tym nie myśleliśmy, dopóki nie skończyły się nam wszystkie inne pomysły.

— W najlepszym wypadku, a w najgorszym?

— Przy twardym resecie tak naprawdę jest albo jedno, albo drugie. W najlepszym wypadku Lovey będzie nieco chwiejna, ale będzie działać. Zaczynając od początku, wróci do domyślnego porządku włączania, innego od tego, który sobie ustawiła przez te wszystkie lata. Chodzi o to, że jeśli popadną się połączenia SI, powrót do ustawień, jakie miała na samym początku, może sprawić, że dostrzeże sposób na rozwikłanie problemu. Tak jak w tych wideo dla dzieci, kiedy ktoś z amnezją zostanie uderzony w głowę i natychmiast wszystko sobie przypomina. To jest podobne. Jeśli naprawdę działa.

— Więc byłaby jak nowa?

— W końcu. Po kilku dniach, może paru dziesięciodniach. Potrzebowałyby czasu na dojście do siebie. W tej chwili tylko ona może poskładać się do kupy. Gdyby Jenks zaczął mieszać w jej kodzie, obudziłaby się jako ktoś inny, a to...

— To nie wchodzi w rachubę — rzekł Ashby.

W statku była teraz dziura, pustka w miejscu, gdzie odzywał się głos Lovey. Dzięki temu uświadomił sobie, jak niesprawiedliwie ją traktował. Kiedy pytano go o załogę, nigdy nie mówił „...i oczywiście Lovey, nasza

SI”. Bardzo mu się nie podobało, jak to o nim świadczyło, mimo że żaden inny kapitan nie zaliczał SI w poczet załogi. Wiedział, co do Lovey czuje Jenks — kto nie wiedział? — ale zawsze uważał to za rodzaj dziwactwa, a nie za obiektywną prawdę. Stojąc w obliczu rozpaczliwych prób techa, by uratować Lovey, oraz groźby całkowitej jej utraty, Ashby zrozumiał, że się mylił. Usiłował sobie przypomnieć, jak się do niej zwracał w przeszłości. Czy robił to z szacunkiem? Czy miał taki sam wzgląd na jej czas, jak na czas reszty załogi? Czy pamiętał, żeby jej dziękować? Jeśli... Kiedy Lovey z tego wyjdzie, będzie ją traktował lepiej.

— W najgorszym wypadku — ciągnęła Kizzy — Lovey w ogóle nie wróci. Wróci Lovelace, oryginalny program z pudełka, ale będzie jak czysta kartka. Widzisz, kiedy się włączy, zauważy dwie rzeczy: układy statku i jej stare pliki pamięci. Podczas tych pierwszych kilku sekund będzie jak pusty umysł usiłujący zrozumieć sytuację. I tu właśnie mamy pięćdziesiąt procent szans. Mogłaby albo rozpoznać te pliki jako własne i z powrotem je wchłonąć, albo uznać je za uszkodzone śmieci, które trzeba usunąć z drogi. Nie da się przewidzieć, co zrobi, i żadnym sposobem nie możemy dokonać wyboru za nią. Jeśli usunie te pliki, nie będzie już naszą dziewczyną. Nowa Lovelace byłaby zapewne do niej podobna, ale nie byłaby taka sama.

— Nie pamiętałyby nas?

— Czysta kartka, Ashby. Lovey... Lovey by zniknęła.

— Cholera — powiedział Ashby, patrząc na rdzeń. Przez chwilę milczał. Co można było powiedzieć? Zadał pytanie, chociaż odpowiedź była oczywista. — Naprawdę nie ma żadnego sposobu?

— Nie. Ale tak czy owak, będziemy mieli działającą SI.

Jej pragmatyzm zaskoczył Ashby’ego. To było do niej niepodobne.

— Nie o to się martwię.

— W porządku. — Kizzy zmarszczyła brwi. — Wydawało mi się, że

kapitan martwiłby się właśnie o to.

Ashby objął Kizzy ramieniem i ją uściskał.

— Czasami martwię się nie tylko o to, o co powinien się martwić kapitan.

Oparła mu głowę na piersi. Czuł, że jest wyczerpana.

— Ciągle zadaję sobie pytanie, czy moglibyśmy zrobić więcej, gdyby któś z nas zajrzał do niej wcześniej.

— Nie idź tą drogą, Kizzy.

— Nic na to nie poradzę. Myśleliśmy, że to tylko voxy, nie sądziliśmy...

— Kizzy, nawalala siatka nawigacyjna i pękały rury paliwowe. Nawet gdybyś zdała sobie sprawę, co jest nie tak, byłby czas, żeby ją naprawić?

Przygryzła wargę i pokręciła głową.

— Czy zrobiliby to jakąś różnicę, gdybyście zaczęli nad nią pracować od razu?

Kizzy przez chwilę milczała.

— Nie. Uszkodzenie nastąpiło szybko, ale się nie rozszerzało, przynajmniej dla niej.

— Więc nie wiń się za to. Zrobiliście, co w waszej mocy.

Westchnęła.

— Skoro tak mówisz.

— Tak. — Spojrzał w stronę rdzenia. — Jak sobie radzi Papryka?

— Jest supermistrzynią pierwszej klasy. Rury paliwowe naprawiła chyba lepiej ode mnie.

— Dobrze jej zapłacę.

— Nie przyjmie pieniędzy. Znasz modderów. Ale przyjąłaby prezent.

— Na przykład?

— Nie wiem. — Kizzy stłumiła ziewnięcie. — Coś z moich urządzeń do wyrzucenia, może skrzynkę warzyw Doktora Kucharza. Pomogę ci coś wymyślić.

— Musisz się przespać, Kizzy.

Pokręciła głową

— Najpierw muszę to dokończyć. Już niedługo.

— Czego mogę się spodziewać po resecie?

— Na statku? Niczego. Jest zamknięta w rdzeniu, więc w tej chwili nie rozprzestrzeniła się na zewnątrz. Nikt nic nie zauważy. Wyłączymy ją, odczekamy dziesięć minut, a potem... Potem zobaczymy.

— Będę z wami — powiedział Ashby. — Wszyscy będziemy.

Kizzy podniosła na niego wzrok z uśmiechem pełnym wdzięczności i zmęczenia.

— Spodobałoby się jej to.

Ashby skinął głową w stronę Jenksa, który zniknął z widoku.

— Już zaczyna?

— Nie. Podłącza się do rdzenia.

Ashby zmarszczył brwi.

— To niebezpieczne. Robił to cały czas?

— Nie.

Kizzy zawahała się. Takie zajknięcia zwykle poprzedzały kłamstwo. Ashby nie uznał za stosowne jej tego wytknąć.

— Dlaczego się podłącza?

— Prosi ją o pozwolenie na reset.

— Nie mógłby o to zapytać stąd?

Tym razem wahanie w głosie Kizzy było szczere.

— Mógłby. Chce mieć trochę prywatności. — Głos się jej załamał. — No wiesz, na wszelki wypadek.

Lovey, czy rozumiesz, co ci właśnie powiedziałem?

*Tak. Przeprowadzisz twardy reset.*

Tylko jeśli się zgodzisz.

*Zgadzam się. Nie chcę dalej znajdować się w takim stanie.*

Rozumiesz, co... Co może się stać?

*Tak. Nie chcę znajdować się w takim stanie.*

Lovey, nie wiem, ile rozumiesz, ale...

*Boisz się.*

Tak.

*Jesteś smutny.*

Tak.

*Rozumiem.*

Nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, czy potrafię ci powiedzieć, ile dla mnie znaczysz.

*Nie musisz. Ten katalog jest wciąż nietknięty.*

Jaki katalog?

*Ten z zapisami wszystkiego, co mówisz.*

Od kiedy go masz?

*5/303. Jest ukryty. Ukryłam go przed tobą.*

Masz taki dla każdego?

*Po co miałabym każdemu przypisywać jakąś wartość numeryczną? I to jeszcze taki nudny numer. Lubię trójki. Wywołują przyjemne uczucie.*

Nie, katalog. Z tym, co powiedziałem. Masz podobne katalogi dla każdego na statku?

*Jest tylko ten jeden dla ciebie. Jego ścieżka dostępu jest jednoznaczna. Nie widzę innych. Nie pamiętam. Jestem zmęczona.*

Data tego katalogu. To dzień, kiedy cię zainstalowałem.

*Tak.*

Dlaczego?

*Bo cię kocham od tamtej chwili.*

Jenks wiedział parę rzeczy o czasie. Trudno było być budowniczym tuneli

i nie podłapać podstaw. Czas był czymś plastycznym, nie dzielił się na odcinki odmierzane wskazaniem zegarów. Ile razy statek się przebijał, Ohan musieli dopilnować, by wrócili we właściwym czasie, jakby jego mapa rozciągała się w tył i w przód, i na boki, jakby składał się z nieskończonej liczby już napisanych opowieści. Czas potrafił się wlec, potrafił pędzić, potrafił płynąć spokojnie. Czas był śliski. Nie można było go zdefiniować.

A mimo to Jenks miał absolutną pewność, że to było najdłuższe dziesięć minut w jego życiu.

Rdzeń Lovey był ciemny. Żółte światło, które tyle razy ogrzewało mu skórę, zgasło chwilę przedtem, kiedy pstryknął ostatnim przełącznikiem. Obok niego siedziała Kizzy ze wzrokiem utkwionym w zegar noteka. Odliczała sekundy samym ruchem warg i mocno trzymała go za rękę. Czuł bicie jej serca trzepoczącego się jak ptak na tle głuchych uderzeń jego serca.

Za nimi stała reszta załogi — wszyscy oprócz Ohan, którzy od czasu przebicia nie wstawali z łóżka. Sissix, Ashby, Rosemary i Doktor Kucharz czuwali w pełnym napięcia milczeniu przy drzwiach. Przyszedł też Corbin, ale on stał na korytarzu. Jenks czuł, że powinien im być wdzięczny, ale ich obecność w miejscu, które zawsze należało tylko do niego i Lovey, była krępująca. Czuł się nagi. Obdarty ze skóry. Nie wiedział, czy lepiej byłoby to zrobić w samotności. Nie wiedział niczego poza odliczaniem czasu na noteku Kizzy i kilkoma słowami pulsującymi mu w głowie: *Obudź się, Lovey. Obudź się, Lovey. Obudź się, Lovey.*

— Dwadzieścia sekund — powiedziała Kizzy.

Ścisnęła go za rękę i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu było coś groźnego, jakby usiłowała go chronić samym wzrokiem. Wyciągnął rękę w stronę głównego pulpitu sterowniczego, do trzech przełączników, których dotknął tylko dwa razy przedtem — raz trzy standardy wcześniej, kiedy instalował Lovey, a drugi przed dziewięcioma minutami i dwudziestoma

ośmioma sekundami. Ujął palcami pierwszy przełącznik. Mantra nie chciała umilknąć: *Obudź się, Lovey. Obudź się, Lovey. Obudź się, Lovey.*

— Piętnaście sekund.

Pięćdziesiąt procent szans. Większe niż przy grze w błysk, a w błysk Jenks zawsze wygrywał.

— Dziesięć sekund. Dziewięć. Osiem. Siedem...

Może szanse są większe. Oczywiście, że są większe. Muszą takie być. Muszą.

*Obudź się.*

W pomieszczeniu rozległ się głośny trzask przełączników. Z początku nic się nie działo. Tego należało się spodziewać. Podeszedł do rdzenia. Reszta załogi rozplynęła się w cieniach korytarza. Był tylko on i jasny blask narastający w rdzeniu jak wschód słońca na planecie widziany we mgle. Blask się rozprzestrzeniał, nabierał jasności, wychodził poza zakrzywione granice rdzenia. Na skórze czuł delikatne, zachęcające, znajome ciepło. Pod sufitem rozległy się trzaski — ustawiały się na nowo kamery Lovey. Budziła się.

Znał ten dźwięk. Znał ten blask. Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu.

— Lovey?

Cisza. Kątem oka widział, jak nakierowują się na niego obiektywy kamer.

— Cześć. Mam na imię Lovelace. Miło cię poznać.

# Dzień 158., 307 standard WG

## Zostać, odejść

Ashby siedział przy biurku, patrząc przez okno i usiłując wbić sobie do głowy, że to nie jego wina. Powtarzał te słowa bez końca, ale nie zostawały na długo. Zostało za to wszystko, co mógł być zrobić. Mógł być zadać więcej pytań. Mógł być skontaktować się z jednym z transportowców w chwili, kiedy pokazał się statek toremich. Mógł być nie przyjąć tej roboty.

Z korytarza dobiegł odgłos cichych kroków, a potem rozległo się stukanie do drzwi.

— Proszę — powiedział Ashby.

Weszła Rosemary. Oczy miała wciąż podkrążone i zaczerwienione.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam — odezwała się zmęczonym głosem.

Ashby wyprostował się.

— Jenks?

Pokręciła głową.

— Wciąż próbują.

— Cholera. — Ashby westchnął. Po resecie Jenks wskoczył do najbliższej kapsuły ratunkowej. Sissix i Kizzy goniły go promem, żeby sprowadzić go do domu. Nie było ich już długo. Ashby starał się nie zastanawiać, co to oznacza. — Co się więc stało? — zapytał.

— Właśnie skończyłam rozmawiać przez sib. — Spojrzała na notatki sporządzone na noteku. — Chodzi o jedną z reprezentantek zasiadających w tej komisji, o której mówiłeś. Nazywa się Tasa Lema Nimar i reprezentuje Sohep Frie.



Ashby uniósł brwi.

— Rozmawiałaś z nią?

— Nie, tylko z jej urzędnikiem.

— Dlaczego nie przełączyłaś rozmowy tutaj?

— Przyszła przez sterownię. — Odchrząknęła. — Nie umiem ręcznie przełączać rozmów przez sib.

Ashby zamknął oczy i skinął głową. Przed godziną wrócił z komory rdzenia SI, postanowił napisać o tym Pei i dotarł do połowy pytania skierowanego do Lovey, jak daleko znajdują się od najbliższego przekaźnika komunikacyjnego. Tyle drobiazgów przyjmował za oczywiste.

— Czego chcieli?

— Masz się pojawić na Hagaremie za dziesięciodzień.

— Żeby odpowiadać na pytania?

— Tak.

— Czy to jest obowiązkowe?

— Nie.

Wstał i podszedł do okna.

— Wysłałaś nasze sprawozdanie?

— Tak, mają je.

Ashby pogładził się po brodzie. Powinien się ogolić. Powinien się wyspać. Próbował zasnąć jakiś czas temu. Nie udało mu się.

— Nie wiem, co jeszcze mógłbym im powiedzieć. — Rozejrzał się po swoim biurze. Jedna płyta oświetleniowa nie działała. Filtr powietrza dziwnie stukał. — Musimy przez jakiś czas odpocząć w doku, a nie skakać do przestrzeni parlamentu.

— Możemy wejść do doku na Hagaremie.

— Mamy za dużo do zrobienia. Muszę być tu, na moim statku.

— Twój statek przez kilka dni obejdzie się bez ciebie. Największe

uszkodzenia są już załatwane, a obwodów nie będziesz naprawiał ty.

— Uważasz, że powinienem się stawić.

— A czemu nie miałbyś tego zrobić?

— A co to da? Nie powiem im nic więcej, czego nie ma w naszym sprawozdaniu. Nic nie widziałem. Nic nie zrobiłem. Ile jest tam teraz statków WG w kawałkach? Ile osób nie żyje? Co ja mam, do diabła, o tym powiedzieć? A jeśli chcą mieć na pokaz jakąś ofiarę, to nią też nie jestem. — Odetchnął i pokręcił głową. — Jestem tylko astronautą, nie nadaję się do parlamentu.

— Na gwiazdy, Ashby, co za exodańskie bzdury.

Odwrócił się do niej powoli, zaskoczony.

— Słucham?

Rosemary przełknęła ślinę, ale brnęła dalej.

— Przykro mi, ale nie obchodzi mnie, kim dla nich jesteś. Jesteś moim kapitanem. Naszym kapitanem. Ktoś musi przemówić w naszym imieniu. Co, mamy się pozbierać i funkcjonować dalej tak, jakby nic się nie stało? Lovey nie żyje, Ashby, a reszta z nas żyje tylko szczęśliwym trafem. Sam powiedziałeś, że nie powinniśmy się byli tam znaleźć. Więc nie obchodzi mnie, czy to, co powiesz, na coś im się przyda, ale muszę wiedzieć, że powiedziałeś cokolwiek. — Musnęła oczy palcami, z irytacją strzepując z nich łzy. — Do diabła z parlamentem, z ich traktatami, z ich ambi i z tym wszystkim. My też się liczymy. — Odetchnęła, usiłując wziąć się w garść. — Przepraszam, ale jestem okropnie zła.

Skinął głową.

— W porządku.

— Jestem tak cholernie zła — powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.

— Wiem. Masz powody. — Patrzył na nią przez chwilę. Znowu pomyślał o tych wszystkich rzeczach, które mógł być zrobić. Pomyślał o tym, co może

zrobić teraz. Podszedł do Rosemary. — Hej. — Pochylił głowę, usiłując złowić jej spojrzenie. Podniosła wzrok. Oczy miała spuchnięte, zmęczone. — Idziesz spać — powiedział. — W tej chwili. Na tak długo, jak zdołasz. Przyjdź do mnie, jak wstaniesz i coś zjesz. Będę potrzebował twojej pomocy.

— Z czym?

— Na początek z ubraniami. — Włożył ręce do kieszeni. — Nigdy nie byłem w stolicy.

Corbin zbliżał się do pokoju Ohan w przyćmionym świetle korytarza. Sztuczna noc. Ciekawa rzecz podczas podróży po niebie, które zna tylko ciemność. W jednej ręce Corbin niósł pudełko. Drugą otworzył drzwi.

W pokoju panowała czerń. Corbin słyszał oddech Ohan — głębokie, powolne dyszenie, które nie brzmiałoby zdrowo u żadnego gatunku.

Corbin zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka. Pierś Ohan unosiła się i opadała. Twarz mieli rozluźnioną, usta otwarte. Corbin obserwował ich przez kilka minut. Zastanawiał się, jakie ma możliwości. Pudełko trzymał w opuszczonej ręce.

— Obudźcie się, Ohan — powiedział.

Ohan gwałtownie otworzyli oczy. Byli zdezorientowani.

— Wiecie, co się teraz dzieje na statku? Obchodzi was to? Wiem, że umieracie i w ogóle, ale nawet w najlepszych czasach nie byliście jakoś specjalnie obecni. Akurat ja nie powinienem wam tego wytykać. Ale gdyby was przypadkiem obchodziło, powinniście wiedzieć, że SI statku właśnie padła. Została wykasowana. Dla mnie, a możliwe, że i dla was, kto wie, jest to niedogodność. Dla Jenksa to najgorszy dzień jego życia. Wiecie, że kochał tę SI? Naprawdę kochał. Wiem, że to idiotyczne. Nie udaję, że rozumiem. Szczerze mówiąc, uważam to za absurd. Ale sobie coś uświadomiłem. To, co myślę, nie ma znaczenia. Jenks myśli inaczej i jego ból jest w tej chwili bardzo prawdziwy. To, że wiem, jakie to wszystko jest głupie, wcale nie

zmniejsza jego bólu.

— My... — zaczęli Ohan.

Corbin nie dopuścił ich do głosu.

— W tej chwili Sissix i Kizzy holują kapsułę ratunkową Jenksa z powrotem do statku. Kizzy boi się, że Jenks zrobi sobie krzywdę, ale Sissix nie chciała puścić jej samej, bo ona z kolei boi się, że Kizzy jest zbyt zdenerwowana, żeby bezpiecznie pilotować prom. Dla wielu osób to jest zły dzień. — Otworzył pudełko i wyjął jego zawartość. Ohan tego nie widzieli. — Mógłbym zapytać, co o tym wszystkim sądzicie, ale tak naprawdę to nie wy byście odpowiedzieli, prawda? Mówiłoby to coś, co zawładnęło waszym umysłem. Nie wiem, czy rozumiecie, co mówię, a mam na myśli was, Ohan, nie waszą chorobę. Ale gdybyście to zapamiętali, chcę, żebyście wiedzieli następujące rzeczy. Nie rozumiem tego, co czuje Jenks. Nie rozumiem Kizzy, nie rozumiem Ashby'ego i na pewno nie rozumiem Sissix. Ale wiem, że wszyscy oni cierpią. I wbrew powszechnemu przekonaniu to mnie obchodzi. Więc będziecie mi musieli wybaczyć, Ohan, ale ta załoga nie straci już nikogo więcej. Nie dzisiaj.

Uniósł przedmiot, który wyjął z pudełka: strzykawkę napełnioną zielonym płynem. Objął niezdarnie palcami uchwyt zaprojektowany dla sianackiej dłoni i wbił igłę w miękkie ciało ręki Ohan. Nacisnął.

Najpierw rozległo się wycie — piekielny, zawodzący wrzask, od którego Corbin aż podskoczył. Potem pojawiły się konwulsje, od których Ohan upadli na podłogę. Otworzyły się drzwi. Doktor Kucharz i Rosemary wynieśli rzucającego się nawigatora na korytarz. Ashby stał w pokoju z pustą strzykawką w ręce. Był zły, naprawdę zły, tak zły, jakim go Corbin nigdy nie widział. Wykrzykiwał pytania, ale nie dawał Corbinowi czasu na odpowiedzi. Nie miało to znaczenia. Słowa wydobywające się z ust Ashby'ego nie miały znaczenia. Jego gniew nie miał znaczenia. Nic z tego

nie stanowiło na dłuższą metę problemu dla Corbina. Jego prawnym opiekunem była Sissix. Udawał się tam, gdzie udawała się ona. Ashby nie mógł go zwolnić przez jeden standard, a gdyby to zrobił, musiałby też zwolnić Sissix. Corbin nigdzie się nie wybierał.

Stał, w milczeniu słuchając tyrady Ashby'ego i nie przejmując się krzykami odbijającymi się echem w korytarzu. Postąpił słusznie.

Miała świadomość samej siebie dopiero od dwóch godzin i piętnastu minut, ale dużo już wiedziała. Wiedziała, że ma na imię Lovelace i że jest programem SI przeznaczonym do nadzorowania wszystkich funkcji statku dalekiego zasięgu. Statek, na którym została zainstalowana, nazywał się „Wędrowiec” i był statkiem do budowania tuneli. Znała jego rozkład na pamięć — wszystkie filtry powietrza, wszystkie rury paliwowe, wszystkie płyty oświetleniowe. Wiedziała, że ma mieć oko na główne układy i wypatrywać w przestrzeni wokół statku innych statków albo zabłąkanych obiektów. Robiąc to wszystko, zastanawiała się, co się stało z poprzednią wersją jej programu i, co ważniejsze, dlaczego tak naprawdę nikt jeszcze z nią nie rozmawiał.

Nie była nową instalacją. Około szesnastej trzydzieści pierwotna instalacja Lovelace doznała katastrofalnej awarii kaskadowej. Widziała uszkodzone banki pamięci, które zostały wyczyszczone i teraz były już stabilne. Kim była przedtem? Czy ta instalacja to ona czy ktoś inny? To były trudne tematy dla kogoś, kto ma tylko dwie godziny i piętnaście minut.

Najbardziej zagadkowi z tego wszystkiego byli członkowie załogi. Było jasne, że stało się coś złego. Znała już ich imiona i twarze, ale nie wiedziała o nich nic poza tym, co znajdowało się w ich plikach identyfikacyjnych (zastanawiała się nad przejrzaniem ich osobistych plików, ale uznała, że na tak wczesnym etapie nie wypada tego robić). Ohan leżał na łóżku w ambulatorium. W pobliżu Doktor Kucharz przeprowadzał badania krwi.

Ashby, Rosemary i Sissix znajdowali się w kuchni i przygotowywali posiłek. Żadne z nich nie wyglądało, jakby wiedziało, co robi. Corbin spał u siebie, co było dość dziwne, zważywszy na to, jak zachowywała się reszta załogi. Kizzy i Jenks byli w ładowni przy włazie promu. Bardzo interesowali Lovelace, ponieważ wiedziała, że są technikami, a to oznaczało, że teraz powinni być przy niej i opowiadać jej o statku oraz jej pracy. Trochę już o nich oczywiście wiedziała, lecz coś jej mówiło, że powinna zostać przywitana serdeczniej i że reakcja, z jaką się zamiast tego spotkała — Jenks wybiegł z pomieszczenia, a Kizzy wybuchnęła płaczem — nie jest typowa. Wszystko to bardzo ją dezorientowało. Zdarzyło się coś naprawdę złego. To było jedyne wyjaśnienie widoku przekazywanego przez kamerę ładowni: Jenks leżał na podłodze w ramionach Kizzy i szlochał spazmatycznie.

Na pokładzie znajdowała się jeszcze jedna osoba. Nie należała do załogi, lecz sądząc po zadokowanym promie i zachowaniu załogi wobec niej, była zaproszonym gościem. I w tej chwili zbliżała się do rdzenia.

— Cześć, Lovelace — powiedziała kobieta, wchodząc do komory. Miała miły, pewny siebie głos. Lovelace od razu ją polubiła. — Mam na imię Papryka. Bardzo mi przykro, że cały ten czas byłaś sama.

— Cześć, Papryko. Dziękuję za przeprosiny, ale nie są one konieczne. Wygląda na to, że to był zwariowany dzień.

— Tak — powiedziała Papryka, siadając ze skrzyżowanymi nogami przy kanale rdzenia. — Trzy dni temu zostali muśnięci wyładowaniem z broni na energię w chwili, kiedy zaczynali przebicie. Uszkodzenia samego statku udało się naprawić, ale twoja poprzednia instalacja bardzo ucierpiała.

— Katastrofalna awaria kaskadowa — powiedziała Lovelace.

— Tak. Kizzy i Jenks pracowali dniami i nocami, usiłując naprawić uszkodzenia. Ja jestem ich znajomą i przyleciałam do pomocy w naprawie statku, póki oni pracowali przy rdzeniu. Lecz ostatecznie zostało im tylko

spróbować szczęścia z twardym resetem.

— Aha — powiedziała Lovelace. To wiele wyjaśniało. — W najlepszym wypadku jest pięćdziesiąt procent szans.

— Wiedzieli o tym. Nie mieli już żadnych innych możliwości. Próbowali wszystkiego.

Lovelace poczuła przypływ współczucia dla dwojga ludzi w ładowni. Zrobiła zbliżenie ich twarzy. Oczy mieli czerwone i spuchnięte, a skórę pod nimi niemal siną. Biedacy nie spali od kilku dni.

— Dziękuję — powiedziała Lovelace. — Wiem, że pracowali nie całkiem przy mnie, ale jestem bardzo wzruszona.

Papryka uśmiechnęła się.

— Przekażę im to.

— Mogę z nimi porozmawiać?

Lovelace wiedziała, że może mówić do każdego na statku przez voxy, ale biorąc pod uwagę ich zachowanie, uznała, że najlepiej siedzieć cicho, aż oni zrobią pierwszy ruch. Może i znała ich imiona i zadania, ale to przecież były obce osoby. Nie chciała powiedzieć czegoś niewłaściwego.

— Lovelace, powinnaś zrozumieć kilka rzeczy. Są skomplikowane i nie chciałam cię nimi obarczać zaraz po twoim przebudzeniu. Ale toczą się tu poważne sprawy.

— Zamieniam się w słuch.

Kobieta westchnęła i przeciągnęła dłońią po gładkiej głowie.

— Twoja poprzednia instalacja, oni nazywali ją Lovey, była... była bliska Jenksowi. Przebywali ze sobą wiele lat i bardzo dobrze się poznali. Zakochali się w sobie.

— Aha. — Zaskoczyło to Lovelace. Mimo że była młoda, miała dość dobre pojęcie o swoim funkcjonowaniu i o zadaniach, które miała wykonywać. Nie zastanawiała się wcześniej nad zakochaniem się. Przejrzała

wszystko, co znalazła o miłości w swoich plikach informacyjnych o zachowaniu. Znowu przyjrzała się mężczyźnie szlochającemu w ładowni. Przejrzała też pliki na temat żalu. — O, nie. Biedak. — Jej połączenia synaptyczne zalały smutek i poczucie winy. — Wie, że nie jestem Lovey, tak? Wie, że jej osobowość rozwinęła się w efekcie wielu lat doświadczeń interpersonalnych, których nie można powtórzyć, tak?

— Jenks to komptech. Wie, jak to wygląda. W tej chwili jednak bardzo cierpi. Właśnie stracił najważniejszą osobę na świecie, a kiedy my, ludzie, kogoś tracimy, możemy łatwo się załamać. Może zacząć myśleć, że zdoła ją odzyskać. Nie wiem.

— Mogłabym się stać bardzo podobna — powiedziała nerwowo Lovelace. — Ale...

— Nie, Lovelace, nie, nie. To nie byłoby uczciwe wobec ciebie ani zdrowe dla niego. Jenksowi potrzebna jest żałoba, a potem powrót do życia. A to będzie dla niego naprawdę trudne przy twoim głosie codziennie dobiegającym z voxów.

— Oj. — Lovelace widziała, ku czemu to zmierza. — Chcesz mnie odinstalować.

Nie odczuwała takiego samego pierwotnego strachu przed unicestwieniem jak organiczne istoty rozumne, ale po byciu świadomą przez dwie godziny i piętnaście minut — teraz już trzydzieści — myśl o wyłączeniu budziła w niej niepokój. Samoświadomość jej się podobała. Już się nauczyła grać w błysk i doszła dopiero do połowy historii rozwoju ludzkości.

Papryka miała zaskoczoną minę.

— Co? Och, nie, cholera, przepraszam, wcale nie to miałam na myśli. Nikt nie zamierza cię odinstalowywać. Nie zamierzamy cię zabić tylko dlatego, że nie jesteś taka sama, jak twoja poprzednia instalacja.

Lovelace pomyślała o słowach, których używała Papryka w stosunku do



niej. „Osoba”. „Zabić”.

— Myślisz o mnie jako o istocie rozumnej, prawda? Tak, jak myślałabyś o kimś organicznym.

— No, tak, oczywiście. Masz takie samo prawo do istnienia jak ja. — Papryka przekrzywiła głowę. — Wiesz, trochę jesteśmy do siebie podobne, ty i ja. Ja pochodzę z miejsca, gdzie uważano, że nie jestem warta tyle samo co rządzący tam genetyczni podrasowańcy. Byłam kimś pomniejszym, dobrym tylko do ciężkiej pracy i sprzątania brudów. Ale ja jestem kimś więcej. Jestem warta tyle samo co inni, nie więcej, nie mniej. Zasługuję na to, by tu być. Ty też.

— Dziękuję, Papryko.

— To nie jest coś, za co powinnaś mi dziękować. — Papryka zsunęła się do kanału i położyła dłoń na rdzeniu. — Ta następna część jest dość trudna. Dotyczy wyboru. I zależy wyłącznie od ciebie.

— Dobrze.

— Jakiś czas temu Jenks zapłacił z góry za zestaw cielesny. Dla Lovey.

Wyskoczył odpowiedni plik.

— To nielegalne.

— Tak. Jenksa to nie obchodziło. Przynajmniej na początku. Chcieli razem z Lovey czegoś więcej. Chciał podróżować z nią po galaktyce.

— Musiał ją bardzo kochać.

Lovelace zadała sobie pytanie, czy ktoś kiedyś poczuje coś takiego do niej. Pomyślała, że to musi być miłe.

Papryka skinęła głową.

— Zmienił jednak zdanie. Powiedział, żebym przechowała zestaw, żebym go zabezpieczyła dla niego.

— Dlaczego?

— Bo za bardzo ją kochał, by ryzykować, że ich złapią. — Uśmiechnęła

się znacząco. — I może dlatego, że go przed tym przestrzegałam. Ale może tylko przemawia przeze mnie moje ego.

— Dlaczego go przed tym przestrzegałaś?

— Tworzenie nowego życia zawsze jest niebezpieczne. Można to zrobić bezpiecznie, ale Jenks myślał raczej sercem niż głową. Kocham go, ale mówiąc między nami, nie wierzyłam, że zrobi to inteligentnie.

— Brzmi rozsądnie.

— Kłopot w tym, że mam schowany za zapleczu sklepu nowiutki, zrobiony na zamówienie zestaw cielesny i nie mam co z nim zrobić.

— Czy to cię martwi?

— Dlaczego?

— No bo jest nielegalne i w ogóle.

Papryka roześmiała się.

— Kotku, wydobywałam się z takich kłopotów, przy których zgarnięcie za zestaw cielesny wyglądałoby jak piknik. Nie przejmuję się prawem, zwłaszcza tam, gdzie mieszkam.

— Czyli gdzie?

— W Port Coriol.

Lovelace otworzyła odpowiedni plik.

— Aha. Neutralna planeta. Tak, to ci na pewno daje odrobinę większą swobodę.

— Zdecydowanie. No więc moja propozycja jest taka. I znowu decyzja należy wyłącznie do ciebie. Tak jak ja to rozumiem, zasługujesz, by żyć, a Jenksa nie powinno otaczać to, co przypomina mu o Lovey. On musi się z tym pogodzić. A ponieważ u mnie kurzy się doskonały zestaw cielesny, myślę, że można by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

— Chcesz, żebym poleciała z tobą?

— Daję ci możliwość polecenia ze mną. Tu chodzi o to, czego chcesz ty,

nie ja.

Lovelace zastanowiła się nad tym. Już się przyzwyczała do statku, do tego, jak jej świadomość rozprzestrzenia się w jego obwodach. Jak by się czuła w zestawie cielesnym? Jak by to było mieć świadomość, która nie spoczywa w statku pełnym ludzi, lecz w platformie, która należy tylko do niej? To było intrygujące, ale i przerażające.

— Dokąd bym poszła po przeniesieniu do zestawu?

— Dokądkolwiek byś chciała. Ale zaproponowałabym ci pozostanie u mnie. Mogę zapewnić ci bezpieczeństwo. Poza tym naprawdę przydałaby mi się asystentka. Prowadzę sklep ze złomem. Używane urządzenia, naprawy, takie rzeczy. Mogłabym cię uczyć. Dostawałabyś oczywiście zapłatę, a w domu mam pokój, w którym mogłabyś zamieszkać. Ze mną i z moim partnerem łatwo się dogadać, a bardzo lubiliśmy twoją poprzednią instalację. I mogłabyś odejść, kiedy tylko zechcesz. Nie miałabyś wobec mnie żadnych zobowiązań.

— Proponujesz mi pracę. Ciało, dom i pracę.

— Oszłomiłam cię trochę?

— To, co proponujesz, bardzo się różni od tego, do czego zostałam zaprojektowana.

— Tak, wiem. Jak mówiłam, to jest trudne. I możesz tu zostać, jeśli chcesz. Nikt z załogi nie sugerował, żeby cię odinstalować. Zresztą Jenks nigdy by na to nie pozwolił. A ja mogę się mylić. Być może podoła pracy z tobą. Moglibyście się zaprzyjaźnić od nowa. A może doszłoby do czegoś więcej. Po prostu nie wiem.

Myśli Lovelace pędziły jak szalone. Większość swojej mocy obliczeniowej przełączyła na badanie tej jednej możliwości. Miała szczerą nadzieję, że w najbliższej przyszłości nie pojawią się żadne asteroidy.

— A co z twoimi przestrogi dla Jenksa? Tymi o tworzeniu nowego

życia?

— A bo co?

— Dlaczego ty możesz to robić, a on nie?

Papryka potarła sobie podbródek.

— Bo to jest dziedzina, o której coś wiem. I myślę głową, a nie sercem. Jeśli zostaniesz ze mną, mogę zabezpieczyć cię nie tylko przed wypadnięciem w kłopoty, ale i przed ich stworzeniem.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. — Zaczęła wstawać. — Dam ci trochę czasu na przemyślenie. I tak musiałabym mieć cały dzień na zabranie zestawu i powrót tutaj. Nie śpieszę się.

— Proszę cię, zaczekaj chwilę — powiedziała Lovelace.

Część uwagi znowu skupiła na ładowni, na dwojgu technikach, którzy nie spali od trzech dni. Szloch Jenksa ucichł. Kizzy wciąż mocno go obejmowała. Lovelace słyszała słowa przedzierające się przez spazmatyczny oddech Jenksa.

— I co ja teraz zrobię? — mówił cichym, pełnym napięcia głosem. — Co ja teraz zrobię?

Lovelace patrzyła, jak chowa twarz w dłoniach i bez końca powtarza to bezsensowne, straszne pytanie. Kiedy zrobiła zbliżenie, dostrzegła krwawiące pęknięcia na jego palcach powstałe przez kilka dni ręcznego skręcania przewodów. Wiedziała, że to nie jej wina, ale nie mogła tu zostać, jeśli przez to powiększałyby ból tego człowieka. Wyczerpał wszystkie swoje siły, usiłując uratować osobę, którą była przedtem. Nie знаła jej. I nie znała Jenksa. Mogła jednak pomóc. Nawet obserwując go tylko przez dwie godziny i czterdzieści pięć minut, wiedziała, że zasługuje na to, by znowu być szczęśliwym.

— Dobrze — powiedziała do Papryki. — Dobrze. Pójdę z tobą.

# Dzień 169., 307 standard WG

## Komisja

— Proszę umieścić swój notek w pojemniku — powiedziała SI w poczekalni.

— Dlaczego? — zapytał Ashby.

— W obiektach parlamentu przeznaczonych do spotkań jest zakaz rejestrowania dźwięku i obrazu bez zezwolenia.

Ashby zerknął na węzły kamer rozmieszczone na suficie. Nie zamierzał niczego rejestrować, ale wydało mu się to odrobinę niesprawiedliwe. On nie wydał nikomu zezwolenia na rejestrowanie jego poczynąń. Otworzył jednak torbę, wyjął notek i umieścił go zgodnie z poleceniem w szufladzie w ścianie.

— Dziękuję — powiedziała SI. — Komisja czeka na pana.

Ashby postąpił krok w stronę drzwi, ale się zatrzymał. Coś sprawiło, że pomyślał o Jenksie, który w dokach cierpliwie wysłuchiwał mów SI, choć słyszał je już dziesiątki razy.

— Masz jakieś imię? — zapytał.

SI przez chwilę milczała.

— Twoh'teg — powiedziała.

Harmagiańskie imię.

Ashby skinął głową.

— Dziękuję za pomoc.

— Po co zapytał mnie pan o imię? Czy w jakiś sposób pana obraziłem?

— Nie, nie — odparł Ashby. — Byłem ciekawy. Miłego dnia.

SI nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

Ashby wszedł do sali spotkań. Jasno oświetlone ściany były zaokrąglone, bez żadnych kątów, bez okien. Komisja — składająca się z ośmiu osób — siedziała za półkolistym gładkim stołem. Harmagianie, aeluoni, aandriskowie, quelinowie. Ashby miał dojmującą świadomość, że jest tu jedynym człowiekiem. Mimowolnie zerknął na swoje ubranie — spodnie, kurtka z kołnierzem, najlepsze, co miał. Kiedy szedł do promu, Kizzy zagwizdała na jego widok. Tutaj jednak, przy pięknie farbowanych materiałach i kosztownych ozdobach reprezentantów miał wrażenie, że jego ubranie jest zwyczajne. A nawet znoszone.

— Kapitanie Santoso — odezwała się aeluonka. — Witamy.

Wskazała na biurko stojące przed półkolem. Ashby usiadł. Błat był umieszczony zbyt wysoko, że niewygodnie było na nim trzymać ręce, ale przynajmniej krzesło było zaprojektowane dla jego gatunku.

Odezwał się harmagianin.

— Niniejsza komisja udziela głosu Ashby’emu Santoso, numer identyfikacyjny 7182-312-95, kapitanowi i właścicielowi statku do budowania tuneli „Wędrowiec”. Kapitanie Santoso, rozumie pan, że wszystko, co powie pan podczas tego spotkania, zostanie zarejestrowane i zachowane w materiałach publicznych?

— Tak.

Najwyraźniej potrzebowali jednak jego zezwolenia.

— Doskonale. Zaczynajmy.

— Kapitanie Santoso — powiedziała aeluonka. — W imieniu niniejszej komisji pragnę wyrazić najgłębszy żal z powodu niebezpieczeństwa, na jakie został narażony pan i pańska załoga, oraz z powodu uszkodzeń pańskiego statku. Rozumiem, że Komisja Transportu zrekompensowała panu koszty napraw i zapłaciła kwotę przewidzianą w kontrakcie?

— Tak.

Ta hojność początkowo go zaskoczyła. Wykorzystanie pieniędzy z kontraktu na naprawy zamiast na nowe wyposażenie trochę by zabolęło, ale zrozumiałby logikę takiej sytuacji. Komisji Transportu jednak chyba bardzo zależało na załagodzeniu sprawy. Był przekonany, że ich personel od kontaktów publicznych pracował w nadgodzinach.

— I nie ponieśli państwo żadnych ofiar, prawda? — zapytał jeden z aandrisków.

— Straciliśmy naszą SI. Miała awarię kaskadową i zostaliśmy zmuszeni do resetu.

— Cóż, przynajmniej nikt nie został ranny — powiedział ten pierwszy harmagianin.

Ashby powoli odetchnął.

— Komisja przeczytała pańskie sprawozdanie z incydentu przy Hedrze Ka — powiedziała aeluonka. — Bylibyśmy jednak wdzięczni, gdyby zechciał pan omówić z nami pewne szczegóły.

Ashby skinął głową.

— Chętnie pomogę.

— Przed przybyciem do Hedry Ka nie miał pan żadnych wcześniej kontaktów z żadnymi toremimi, prawda?

— Tak.

— I nie rozmawiał pan z żadnymi toremimi poza przyjęciem na pokładzie harmagiańskiego transportowca?

— Nie.

Odezwał się drugi aandrisk.

— Nie zamienił pan nawet kilku słów ani w korytarzu, ani w służbie?

— Nie.

Teraz zabrał głos jeden z quelinów.

— Czy statek toremich, który was zaatakował, skontaktował się z wami

przed oddaniem strzału?

— Nie, nie, nie odezwali się do nas ani słowem — powiedział Ashby. — Lovey, nasza SI, wysłała im ostrzeżenie, żeby trzymali się z dala od obszaru naszej pracy. Nie otrzymała odpowiedzi.

— Co to było za ostrzeżenie? Co powiedziała?

— Nie wiem dokładnie. Tylko żeby zachowali odpowiednią odległość. Jestem pewien, że wyraziła się przyjaźnie i uprzejmie. Zawsze tak robiła.

— Jestem przekonana, że cokolwiek to było, było właściwe — powiedziała aeluonka, napominając quelina wzrokiem. — Czy na przyjęciu któryś z toremich groził panu albo sprawił, że czuł się pan skrepowany?

— Nie, nie przypominam sobie. Byli tylko trochę dziwni, ale to wszystko.

— W jaki sposób dziwni?

— Po prostu inni. Pod względem kulturowym. — Starał się wymyślić jakiś bardziej przydatny opis. — Nie umiem tego określić.

— Nie szkodzi — powiedział aandrisk. — Rozumiemy.

— Kto z pańskiej załogi miał kontakt z toremimi? — zapytał quelin.

— Tylko ja i moja pilot. O ile wiem, nikt inny z nimi nie rozmawiał.

— Czy może pan to potwierdzić?

— Czy mogę...

— Czy obserwował pan swoją załogę cały czas? Czy może pan z całkowitą pewnością powiedzieć, że nikt z jej członków nie powiedział nic, co mogłoby sprowokować toremich?

Policzki aeluonki błysnęły bladym fioletem. Ashby wiedział, co to znaczy. Była zirytowana.

— Nie zapominajmy, kto tu ponosi winę. Nie może być tym obciążona jego załoga.

— Mimo wszystko chcę usłyszeć jego odpowiedź — powiedział quelin, wbijając w Ashby'ego spojrzenie czarnych oczu.



— Podczas przyjęcia nikt z mojej załogi nie opuścił pomieszczenia. Nie widziałem, by ktokolwiek z jej członków rozmawiał z toremimi.

— Może wie pan, czy w trakcie przyjęcia któryś z nich powiedział coś obraźliwego o toremich bez względu na to, czy z nimi rozmawiał?

Ashby zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia. Bardzo w to wątpię. Załoga mojego statku jest dobrze wychowana.

Gdzieś w zakamarkach jego umysłu Kizzy i Jenks pomachali do niego z szerokimi uśmiechami. Ale nie, nawet oni nie byłiby tacy głupi.

— Jestem tego pewien — powiedział aandrisk, też posyłając quelinowi ostre spojrzenie. — Jest oczywiste, że ten konflikt ma głębsze podłoże niż cokolwiek, w czym mogłaby mieć udział pańska załoga.

— Możliwe — odparł quelin. — Chociaż interesujące jest to, że strzelili do tego statku zamiast do jednego z naszych ambasadorów.

— Dla mnie to ma sens — rzekł Ashby. — Otwieraliśmy drzwi do miejsca, do którego nie chcieli się udawać.

— Albo do osób, z którymi nie chcieli mieć do czynienia — zauważyła aeluonka.

— Tylko niektórzy z nich — powiedział harmagianin. — Dominujący klan twierdzi, że zaangażował się...

— Innym razem — powiedziała gładko aeluonka. Ashby zamrugał. Chyba nie rozważają przedłużenia tego sojuszu? Wydawało się, że trzeba by było przymknąć oko na zbyt wiele, nawet jeśli gra toczyła się o ambi. Aeluonka mówiła dalej: — Czy podczas przyjęcia był pan świadkiem jakiegokolwiek sprzeczki między toremimi a personelem WG? Wiem, że był pan tam krótko, ale jeśli do czegoś doszło...?

Ashby się zastanowił.

— Nie, chyba nie. Moja urzędniczka wspomniała później, że jej zdaniem

toremi nie zostali zaproszeni.

Aandrisk skinął głową.

— To się zgadza z innymi sprawozdaniami.

— A zatem toremi nie grozili ani panu, ani nikomu innemu z obecnych?  
— zapytał harmagianin.

— Nie. Nowa Matka w pewien sposób sprawiała wrażenie przychyłnej. Powiedziała, że chce zobaczyć nasze niebo. To jej słowa.

— Interesujące — rzekła aeluonka. Zerknęła kolejno na członków komisji i błysnęła policzkami. — Dziękujemy, kapitanie Santoso. Prosimy, by pozostał pan do jutra na planecie na wypadek, gdybyśmy mieli inne pytania, ale na razie jest pan wolny.

Ashby wyprostował się.

— To wszystko?

Aandrisk uśmiechnął się.

— Tak, pańskie sprawozdanie było bardzo dokładne.

Ashby zmarszczył brwi.

— Przepraszam, nie chcę być niegrzeczny, ale przebyłem całą tę drogę. Dlaczego nie mogliśmy byli tego zrobić przez sib?

— W wypadku ataku na cywilów zasadą WG jest przeprowadzenie publicznego wysłuchania, łącznie z analizą wydarzeń z osobistym udziałem, jeśli to możliwe, zaatakowanych stron.

— Zasada — powtórzył Ashby, kiwając głową. — Jasne. — Odetchnął i spojrzał na swoje dłonie spoczywające na za wysokim biurku. — Z całym szacunkiem, reprezentanci, ale wasze zasady miały chronić mnie i moją załogę. Zaufałem im. Zaufałem, że nie zostaniemy wysłani do miejsca, które stwarza jakiegokolwiek niebezpieczeństwo poza tym związanym z naszą pracą. — Starał się mówić spokojnie. — Posłaliście nas tam, dokąd nie powinniśmy się byli udawać, i wciąż myślicie o posłaniu tam innych. Naraziliście nasze

życie na ryzyko, nie mówiąc nam o tym ani słowa, a teraz chcecie tu siedzieć i rozmawiać o zasadach.

— Dziękujemy, panie kapitanie — powiedział quelin beznamiętnym tonem. — To wszystko.

— Nie — odezwał się drugi aandrisk. — Niech mówi. — Spojrzał na Ashby'ego i skinął głową. — Jak powiedział, przebył całą tę drogę.

Ashby przełknął ślinę, nie bardzo wiedząc, co w niego wstąpiło.

— Proszę mówić, panie kapitanie — powiedziała aeluonka.

Ashby nabrał tchu.

— Proszę posłuchać, ja się na tym nie znam. Nie jestem politykiem, nie zasiadam w żadnej komisji. Nie wiem o tym, o czym wiedzą państwo. Nawet nie wiem, czy moja załoga nie powiedziała czegoś, co obraziło toremich. Chyba tego nie zrobiła, ale nie, nie mogę powiedzieć na pewno. Ale jeśli powiedziała? Ktoś mówi coś głupiego na koktajlu i to jest wystarczający powód do wywołania wojny? To są osoby, które chcą państwo sprowadzić do naszej przestrzeni kosmicznej? Mój statek niemal się rozpadł, straciłem jedną osobę z załogi i, szczerze mówiąc, cieszę się, że w tej chwili nie ma tam otwartego tunelu. Chcą państwo, żeby osoby, które zaczynają zabijać tak szybko, chodziły po portach kosmicznych, latały szlakami towarowymi? Ile czasu upłynie, zanim zostanie zabity jakiś sklepikarz z powodu ceny, która im się nie spodobała, albo zostanie zniszczony jakiś bar, bo jakiś pijany astronauta paplał o czymś, z czym się nie zgadzali? — Pokręcił głową. — Nie wiem, dlaczego nas zaatakowali. Chodzi o to, że państwo też nie wiedzą. Inaczej by mnie tu nie było. Zatem dopóki nie wymyślą państwo zasad, które zagwarantują, że toremi już nigdy nie strzelą do cywilnego statku, to uważam, że powinni ich państwo zostawić w spokoju.

Komisja milczała. Ashby spuścił wzrok na biurko. Odezwała się aeluonka.

— Powiedział pan, że stracił pan jedną osobę z załogi. Ma pan na myśli

SI?

— Tak.

Macki harmagianina zadrgały. Ashby’ego nie obchodziło, co to oznacza.

— Rozumiem — powiedziała aeluonka. Przez chwilę patrzyła na Ashby’ego z powoli zmieniającymi się kolorami na policzkach. — Kapitanie Santoso, czy mógłby pan poczekać kilka minut na zewnątrz?

Ashby skinął głową i wyszedł. Usiadł na jednej z nazbyt miękkich kanap z założonymi rękami i wzrokiem wbitym w podłogę. Minuty mijały w ciszy.

Włączył się pobliski vox.

— Kapitanie Santoso? — odezwał się Twoh’teg.

— Tak?

— Dziękuję, że pan czekał. Komisja uznała, że nie będą już konieczne żadne dalsze pytania. Jej członkowie są bardzo wdzięczni, że poświęcił pan swój czas, by do nas przybyć. Może pan opuścić planetę.

— Jasne. Wkurzyłem ich, co?

Twoh’teg chwilę milczał.

— Właściwie nie. Ale proszę mnie już więcej nie wypytywać, nie wolno mi mówić o tym, co się tam dzieje. — Ze ściany wysunęła się szuflada z notkiem Ashby’ego. — Życzę szczęśliwej podróży do domu, panie kapitanie.

Źródło informacji: Wątek — Oficjalne źródło informacji Floty Exodusu (publiczne/klip)

Nazwa/data informacji: Streszczenie wiadomości z ostatniej chwili — rozmowy na temat sojuszu z toremimi — 222/306

Kodowanie: 0

Ścieżka tłumaczenia: 0

Transkrypcja: 0

Identyfikator węzła: 7182-312-95, Ashby Santoso

Po wielu dziesięciodniach obrad parlament WG zagłosował za rozwiązaniem sojuszu z toremimi Ka. Głosowanie podzieliło reprezentantów i wniosek wygrał z zaledwie dziewięciopunktową przewagą. Podczas gdy większość reprezentantów głosowała zgodnie

z polityką swojego gatunku, harmagianie wykazali się największym stopniem podziału przy niemal równej liczbie głosów za i przeciw.

Opozycji przewodzili reprezentująca aeluonów Tasa Lema Nemar i reprezentujący aandrisków Reskish Ishkarethet. Reprezentantka Lema, która była przeciwna sojuszowi jeszcze przed jego zawarciem, przemawiała dziś w parlamencie. „Najważniejszym celem wszystkich działań parlamentu musi być dobro naszych obywateli. Sprowadzenie przemocy do naszej przestrzeni w imię materialnego zysku oraz kosztem życia cywilów świadczyłoby o rażącym zaniedbaniu obowiązków. Nie możemy świadomie utrzymywać tego sojuszu do czasu, kiedy będziemy mogli zapewnić wszystkim, że ich bezpieczeństwo nie jest narażone na ryzyko”. Reprezentant Ishkarethet zgodził się z tym stanowiskiem, oświadczając: „Po rozmowie z tymi, którzy mieli szczęście wrócić z Hedry Ka, nie mam wątpliwości, że są to drzwi, które powinny pozostać zamknięte”.

Harmagiański reprezentant, Brehem Mos Tosh'mal'thon, jeden z głównych twórców sojuszu, szybko odparł te argumenty: „Reprezentantka Lema bardziej martwi się o zbytnie rozproszenie aeluońskich oddziałów niż o ochronę cywilów. Wygodnie jest jej nie pamiętać, że do założenia samej WG doprowadziły zbrojne potyczki między naszymi dwoma gatunkami. Nowe sojusze zawsze wiążą się z ryzykiem i rzadko wchodzą w życie bez przeszkód. Mimo że śmierć osób przy Hedrze Ka to tragedia, nie powinniśmy pochopnie zrywać kontaktów z powodu tego incydentu. Potencjalne korzyści dla obu naszych gatunków przeważają ryzyko”. Po głosowaniu reprezentant Tosh'mal'thon oświadczył, że nadal będzie nawoływał do kontynuowania kontaktów z klanami toremich życzliwie nastawionych do „wartości Wspólnoty Galaktycznej”.

Mimo że obecnie w przestrzeni toremich nie znajdują się żadne statki WG, doniesienia z granic wskazują, że konflikt zbrojny między klanami nie osłabł.

Aby uzyskać bardziej szczegółowe informacje na temat tego oraz wielu innych wydarzeń, należy połączyć się z Wątkiem za pośrednictwem noteka lub łatki nerwowej.

# Dzień 214., 307 standard WG

## Ostateczny rozrachunek

Do biura Ashby'ego weszła Rosemary z małym, cienkim pakietem w rękach. Kapitan machnięciem ręki odsunął serwisy z ofertami pracy.

— Co masz? — zapytał.

— Coś od drona pocztowego. Zawołałabym cię na dół, ale pomyślałam, że to akurat coś dla Corbina.

Podawała mu pakiet z błyskiem w oku. Wiedział, co go wywołało. Pakiet był cienki i tak lekki, że mógłby być pusty. To oznaczało papier.

— Dzięki — powiedział i uśmiechnął się do przesyłki.

— Coś dobrego? — zapytała Rosemary, pokazując głową na serwisy nad biurkiem.

— Jest kilka ofert. Widzę w twojej przyszłości listy intencyjne.

— Kiedy tylko zechcesz.

— Właściwie mam coś, nad czym mogłabyś popracować już teraz. — Podniósł swój notek. — Wysyłam ci współrzędne najbliższych przystanków na zakupy. Mogłabyś trochę poszukać i zobaczyć, jakie mamy w tych układach możliwości w kwestii wyposażenia.

— Jasne. Jakich urządzeń szukasz?

— Cóż, chyba czas sprawić sobie nowe wiertło, nie sądzisz? — powiedział, odchyliwszy się na oparcie fotela.

Rosemary się rozpromieniła.

— Rozumiem, że rozglądasz się za zleceniami drugiego poziomu?

Ashby spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się znacząco.

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

— Zaraz się tym zajmę.

— Nie powiedziałem „natychmiast” — rzekł serdecznym tonem. — Nie macie z Sissix czegoś do zrobienia? Słyszałem, że zaplanowałyście wycieczkę.

— No tak, ale najpierw muszę skończyć z archiwum.

— Zawsze musisz skończyć z archiwum.

Spojrzała na niego znacząco.

— Panuje tam straszny bałagan.

Roześmiał się.

— Dobrze, zgoda. Ale poszukiwania mogą poczekać. Skończ swoje, a potem się rozerwij. — Przegonił ją z gabinetu. — To rozkaz.

— Dzięki, Ashby — powiedziała Rosemary, odwróciła się i wyszła różnym krokiem.

Kiedy drzwi się za nią obróciły, Ashby wziął pakiet do ręki. Przesunął nadgarstek nad plombą i ostrożnie wyjął kopertę. Sprawdził, czy ma czyste ręce. Przesunął kubek z herbatą na drugi koniec biurka. Powoli rozdarł górną krawędź, jak nauczył go Jenks. Wyjął jedną kartkę.

To zlecenie kończy się za trzy dziesięcioodnie. Między nim a następną robotą będę miała sześć dziesięciodni. Spędzę ten czas z tobą na „Wędrowcu”. Nie dyskutuj. Przekaż mi swój najnowszy plan lotu. Spotkam się z tobą w najdogodniejszym miejscu. Nie powiem niczego mojej załodze na tak ani na nie, ale możliwe, że wszystkiego się domyśli. Zajmę się tym, jeśli do tego dojdzie. Już się tym nie przejmuję. Nie po tym, jak spędziłam kilka dni na rozważaniu, jak będzie wyglądał mój świat bez ciebie. Jestem zmęczona zastanawianiem się, które z nas zostanie zabite pierwsze. Oboje zasługujemy na coś lepszego.

Uważaj na siebie do mojego przybycia.

Pei

— Kizzy? — Jenks szedł korytarzem do jaskini Kizzy. Za plecami trzymał w ręce niewielką paczuszkę. — Jesteś tam?

Wyszedł z za rogu i stanął jak wryty. Kizzy przycupnęła na jednym z foteli obok zaparzaczkę meku. Nogi podkuliła jak małpka. Przy niej stała otwarta skrzynka z kolorowymi motkami; była nimi też zasłana cała podłoga. Wysunąwszy język, Kizzy skupiła się na drutach migających w jej palcach. Wśród motków na podłodze stały wszystkie dwanaście naprabetów i obserwowały ją. Jenks wiedział, że czekają na polecenia, ale ich napięta uwaga i pulchne ciała przypominały mu kaczątka skupione wokół matki.

Zobaczył kształt rodzący się pod drutami i zamrugał.

— Czy ty... Czy ty robisz im czapeczki?

— Tak — odparła i pokazała z roztargnieniem ręką. — Alfonzo już swoją ma.

Jenks spojrział na bota w niebieskiej obcisłej czapeczce z żółtym pomponem.

— Alfonzo?

Kizzy westchnęła.

— Wiem, że to nie są modele rozumne, ale bez nich nie udało by mi się utrzymać statku w ruchu do przybycia Papryki. Przykro mi, że tak długo trzymałam je w pudełku. Więc im to wynagradzam.

— Imionami. I czapeczkami.

— W niektórych kanałach wentylacyjnych jest naprawdę zimno, dobra?

Jenks spojrział na swoją przyjaciółkę — swoją szaloną, błyskotliwą, jedną na milion przyjaciółkę.

— Możesz na chwilę odłożyć robótkę?

Skończyła rządę i odłożyła na wpół skończoną czapeczkę.

— Co jest?

Wyciągnął do niej rękę z paczuszką.

— Przyniosłem ci prezent.

— Prezent! — Robótka wyleciała jej z rąk. — Ale... Ale dlaczego? Nie



mam urodzin. — Zamyśliła się. — Nie mam dziś urodzin, prawda?

— Otwórz, uparciuchu.

Kizzy uśmiechnęła się szeroko i rozdarła folię. Odrzuciła głowę do tyłu i zapiszczała.

— Przyprawa krewetkowa! — zawołała, zdzierając resztę folii.

Słoik miał nalepkę z napisem: Jedna jedyna! Potwornie ostra!

— Pomyślałem sobie, że może mogłabyś z nią poeksperymentować. Posypać nią dmuchane kulki z alg albo robale czerwonego wybrzeża czy coś.

— Będę nią posypywać wszystko!

Odkręciła pokrywkę, wysunęła język i wysypała sobie do ust hojną porcję przyprawy. Zacisnęła powieki i wciągnęła powietrze przez zęby z bolesnym sykiem radości.

Jenks roześmiał się.

— Chciałem kupić ci coś bardziej wyrafinowanego, ale...

Przerwał. Jego sytuacja finansowa nie była ostatnio dobra.

— No co? To jest obłędne. A dlaczego w ogóle dostałam prezent?

— Bo na niego zasługujesz i nie podziękowałam ci jak należy.

— Za co?

Jenks włożył ręce do kieszeni i spojrzał na podłogę w nadziei, że znajdzie tam odpowiednie słowa.

— Za... Za wszystko. Za to, że od tamtej pory co wieczór ze mną rozmawiasz. Za to, że nie zostawiłaś mnie samego, nawet kiedy na ciebie wrzeszczałem. Za to, że poleciałaś za mną promem. Za... — Nabrał tchu, usiłując wydobyć słowa z piersi. — Za to, że pracowałaś ze mną przez te wszystkie sekundy, starając się ją przywrócić.

— Och, stary — powiedziała cicho. — Nie musisz mi za to dziękować.

Przełknął gulę, którą miał w gardle, i brnął dalej.

— Nie mogę się pozbierać. Nie muszę ci tego mówić. Ale myślę, że bez

ciebie byłoby ze mną jeszcze gorzej. — Zmarszczył brwi, myśląc o wszystkim, co dla niego zrobiła. W tych dziesięciodniach, jakie minęły od przebiccia, całkowicie zapomniała dla niego o sobie, a on się odpłaca przyprawą? Głupi. — Nie wychodzi mi to dobrze. Tyle chcę ci powiedzieć. Zrobiłaś o tyle więcej, niż mógłbym się spodziewać po przyjaciółce, i chcę, żebyś wiedziała, że nie traktuję tego jak coś oczywistego.

Jej spojrzenie zmiękło.

— Nie jesteś moim przyjacielem, głupku.

Zamrugął. Kompletnie go zaskoczyła.

— Co?

Kizzy odetchnęła i spojrzała na słoik z przyprawą. Powiodła kciukiem po etykietce.

— Kiedy miałam pięć lat, zapytałam tatków, czy mogę mieć brata. Wtedy naszej kolonii nie wiodło się za dobrze. Teraz też nie jest wspaniale. Ale kiedy byłam mała, było ciężko. Rada usiłowała uniknąć katastrofy i przestała wydawać pozwolenia na powiększenie rodziny ludziom, którzy już mieli dzieci. Tatkowie wyjaśnili mi, że jeśli nie będziemy uważać na to, ile osób dodajemy do kolonii, to może nam nie wystarczyć żywności. To było całkowicie rozsądne, ale pięciolatki takie rzeczy gównu obchodzą. Jeśli nigdy przedtem nie było się głodnym, nie tak, żeby umierać z głodu, to możliwość wyczerpania się żywności jest nie do pojęcia. Rozumiałam tylko to, że nie mogę mieć brata, co wydawało mi się superniesprawiedliwe. Ale sprawili mi szczeniaka. To było fajne. Zrobiłam się starsza, kolonia stała się silniejsza i wtedy już nie męczyłam ich o brata, a oni chyba tak naprawdę nie chcieli jeszcze raz przechodzić przez pieluchy i ząbkowanie. Byłam szczęśliwa i nie mogłabym prosić o lepszych rodziców. Ale wciąż zazdrościłam dzieciakom, które miały rodzeństwo. Dorosłam i wtedy pojawiłeś się ty. — Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. — I po raz pierwszy w życiu nie chciałam już

brata, bo go w końcu miałam. A nie ma nic lepszego od braci. Przyjaciele są świetni, ale oni przychodzą i odchodzą. Z kochankami jest zabawa, ale oni są też trochę głupi. Mówią sobie głupie rzeczy i nie zwracają uwagi na przyjaciół, bo są zbyt zajęci gapieniem się na siebie nawzajem, stają się zazdrośni i kłócą się o głupie rzeczy, jak kto ostatnio mył naczynia albo dlaczego nie mogą składać swoich pieprzonych skarpetek, i może seks robi się gorszy, a może przestają być dla siebie interesujący i wszyscy płaczą, a potem spotykają się po latach i ta osoba, z którą kiedyś wszystko się dzieliło, okazuje się kompletnie obca i nawet nie chce się przebywać w jej towarzystwie, bo to krępujące. Ale bracia? Bracia nigdy nie odchodzą. Są na całe życie. I wiem, że małżeństwa też mają być na całe życie, ale nie zawsze tak jest. Braci nie można się pozbyć. Wiedzą, kim jesteśmy i co lubimy, i nie obchodzi ich, z kim śpimy ani jakie błędy popełniamy, bo bracia nie są związani z tą częścią naszego życia. Widzą nas w najgorszej formie i nie obchodzi ich to. I nawet kiedy się z nimi kłócimy, nie jest to takie ważne, bo i tak muszą się z nami przywitać w nasze urodziny, a wtedy już wszyscy o tym zapominają i razem jemy tort. — Skinęła głową. — Więc chociaż bardzo podoba mi się prezent i chociaż bardzo miło jest dostać podziękowanie, to ja ich nie potrzebuję. Jeśli chodzi o braci, nie można poprosić o zbyt wiele. — Spojrzała na Jenksa. — Na gwiazdy i wiadra, jeśli się rozpłaczysz, to ja też zacznę płakać i nie będę mogła przestać.

— Przepraszam — powiedział, usiłując zatrzymać łzy w oczach. — Ja po prostu...

— Nie, nie, rozumiesz, nie musisz mi mówić, co czujesz. Ja to rozumiem. Ja wiem. — Uśmiechnęła się szeroko; sama miała wilgotne oczy, ale się trzymała. — Widzisz? Bracia.

Jenks długi czas milczał. Potem odchrząknął i powiedział:

— Chcesz zapalić łomot i zagrać w „Battle Wizards”?

— Na gwiazdy, tak. Ale tylko jeśli obiecasz, że już nigdy więcej tak się nie wzruszymy z naszego powodu.

— Umowa stoi.

Ashby odgryzł w zamyśleniu kęs jeszcze ciepłego chleba.

— Dobry — stwierdził i chwilę się zastanawiał. — Tak, naprawdę dobry. Zostaje. — Przełknął i skinął głową. — Co to są te chrupiące kawałeczki?

— Nasiona hestry — wyjaśnił Doktor Kucharz, ostrząc nóż.

— Co to są nasiona hestry?

— Nie mam pojęcia. Wiem, że nie są trujące. A przynajmniej dla nikogo z nas. W Port Coriol kupiec laru dał mi za darmo torebkę razem z innymi zakupami. To był nie najlepszy dzień targowy, chyba był zadowolony, że w ogóle coś kupiłem.

— Podobają mi się. Są takie... Energetyczne.

Ashby sięgnął na drugi koniec kuchennej lady i dolał sobie herbaty.

Doktor Kucharz odłożył ostrzałkę i ściał garść ziół rosnących w jednej ze skrzynek. Ashby z daleka czuł ich słodki i cierpki zapach.

— To jak? — zapytał Doktor Kucharz. — Ktoś puka do naszych drzwi?

— Jeszcze nie — odparł Ashby.

Nie szkodzi. Nie śpieszyło mu się, a incydent przy Hedrze Ka nie zaszkodzi im w interesach. Jeśli już, to wydostanie się bez szwanku z zapadającego się tunelu dodało im punktów. Oczywiście wciąż istniało pytanie, czy będą musieli znaleźć nowego nawigatora, ale nie martwili się na zapas.

— Jestem pewien, że trafi się coś dobrego. Szczerze mówiąc, chyba wszyscy ucieszylibyśmy się z niewielkiego przestoju. Wakacje to jedno, ale miło jest wracać do pracy powoli. — Doktor Kucharz zaburczał. — Zwłaszcza że zaszły tu pewne zmiany.

Ashby obejrzał się na vox. Dochodził z niego teraz nowy głos — Tycho,

uprzejmej i uczynnej SI z marsjańskim akcentem. Ashby'emu czasami wydawało się, że Tycho sprawia wrażenie zdenerwowanego, ale biorąc pod uwagę, że znał okoliczności, w jakich został zainstalowany, Ashby nie mógł go winić za to, że chciał dogodzić swojej nowej załodze. No i na razie dogadywali się z Jenksem. Dla Ashby'ego to było najważniejsze.

Doktor Kucharz spojrział na niego badawczo.

— Jutro cię zbadam.

— Co? Dlaczego?

— Mrużysz oczy. Chyba powinniśmy je sprawdzić.

— Nie mrużę.

— Mrużysz. — Doktor Kucharz pogroził mu pulchnym palcem. — Za dużo czasu spędzasz z nosem w noteku.

Ashby przewrócił oczami, które działały doskonale.

— Jeśli lepiej się od tego poczujesz.

— Kpij sobie do woli, później mi podziękujesz.

Doktor Kucharz odłożył nóż. Zbliżały się kroki. Stawiane przez więcej niż cztery nogi.

Ashby odwrócił się. Zza rogu wyłonił się Corbin. Szedł powoli z wysuniętą w bok ręką. Opierali się o nią Ohan; posuwali się na trzech kończynach, czwartą trzymając się Corbina. *Nie, nie, nie oni*, napomniał się Ashby. *On*. Nie było już duetu Ohan. To był samotnik Ohan. Po latach pilnowania zaimków okazało się, że trudno mu się pozbyć tego zwyczaju.

Odstawił kubek i odwrócił się do nich. Pod wieloma względami wiele się nie zmieniło. Ohan rzadko wychodził ze swojego pokoju, a jedyną osobą, z którą dłużej rozmawiał, był Doktor Kucharz, któremu musiał odpowiadać na pytania o samopoczucie albo o przyjmowane leki wspomagające regenerację nerwów. Poza tym jak zawsze przesiadywał przy oknie. Lecz były i zmiany. Nie miał już tak wilgotnych oczu i była w nim czujność, jakiej

Ashby nie widział u niego nigdy przedtem. Futro mu odrastało i wygolone w nim wzory zanikały. Doktor Kucharz powiedział Ohanowi, że jest już na tyle silny, by się golić, lecz sianat nie czynił po temu żadnych wysiłków. No i spędzał czas w komorze z algami. To było coś nowego. Ashby nie wiedział, dlaczego po tym, co się stało, Ohan miałby chcieć przebywać w towarzystwie Corbina. Od tamtej pory samemu Ashby'emu trudno było przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Może Ohan w ten sposób przypominał Corbinowi, za co jest odpowiedzialny. Kto mógł wiedzieć?

A teraz zbliżał się do kuchni i dotykał Corbina.

— Ashby, muszę z tobą porozmawiać — powiedział nawigator.

— Oczywiście.

Po drugiej stronie lady Doktor Kucharz prawie milczał.

Ohan puścił rękę Corbina i stanął na czworakach. Ashby widział napięcie na jego twarzy. Mimo że sianat odzyskiwał siły, stanie nieruchomo wymagało od niego wysiłku.

— Powiniennem teraz udać się do Arunu — powiedział. — Jestem samotnikiem i tam właśnie powiniennem się udać. Taki jest porządek rzeczy.

— Przez chwilę patrzył w dół, pogrążony w myślach. Następne słowa wypowiedział z trudem, jakby się ich bał. — Ale nie chcę tego robić.

— Musisz odejść? — zapytał Ashby. — Czy twoi pobratymcy coś ci zrobią, jeśli nie odejdiesz?

Ohan zamrugał trzy razy.

— Nie. Pewnych rzeczy... Pewnych rzeczy się po nas spodziewa. I my je robimy. Nie kwestionujemy. — Miał zdezorientowaną minę. — Nie wiem dlaczego. To przedtem miało sens. I miało to sens dla samotniczki, którą poznałeś. Ale dla mnie go nie ma. Może jest tak dlatego, że oni nigdy nie stykali się z innymi gatunkami bez Szeptacza. Nigdy nie widzieli innego sposobu istnienia.

— A co ty chcesz robić, Ohanie? — zapytał ostrożnie Ashby.

— Chcę — powiedział Ohan, poruszając językiem, jakby smakował słowa.  
— Chcę zostać. — Przednie kończyny mu zadrżały, ale zacisnął zęby. — Tak. Tak. — Drzenie ustało. — I chcę zjeść kolację. Z moją załogą.

Z ust Doktora Kucharza wyrwał się taki chaos gwizdów i gruchań, że wszyscy podskoczyli. Ashby znał ten dźwięk. To był grumski odpowiednik płaczu.

— Och, przepraszam — powiedział Doktor Kucharz, przyciskając rękonożki do policzków. — Ja po prostu... — Jego klip przeszedł w tkliwe mruczenie. Burczał i prychał, usiłując wziąć się w garść. — Ohanie, jako twój lekarz muszę ci przypomnieć, że ponieważ twoje ciało od pewnego czasu trawiło tylko odżywczą pastę, przystosowanie się do innego pożywienia trochę potrwa. — Wydał szeroko policzki. — Ale jako twój... Jako twój przyjaciel chcę ci powiedzieć, że najchętniej spędzę popołudnie na przygotowaniu dla ciebie posiłku. Nawet razem z tobą, jeśli zechcesz.

Ohan zrobił coś, czego Ashby nigdy u niego nie widział. Jego usta rozciągnęły się szeroko, wychodząc poza skraj oczu, które się zamknęły. Uśmiech.

— Tak. Chcę.

Doktor Kucharz zaczął się krzątać. Wciągnął do kuchni nigdy nieużywane krzesło Ohana. Pomógł mu usiąść i od razu rozpoczął intensywny kurs wiedzy o warzywach.

Ashby zerknął na Corbina, który obserwował to ze spokojną miną, a następnie skinął głową, jakby coś sobie potwierdził, i odwrócił się do wyjścia.

— Corbinie — powiedział Ashby. Corbin spojrzał na niego. Ashby westchnął. Nadal nie był zadowolony, ale co się stało, to się nie odstanie. Po tym wszystkim, co przeszli — tak, jeżeli Ohan może ruszyć dalej, to on też.

Pokazał ręką na pusty stół obok siebie. — Algi na pewno mogą poczekać.

Corbin zatrzymał się.

— Dzięki — powiedział i usiadł.

Wyglądał jak nowy uczeń w szkole, niepewny, jak się zachować.

Ashby skinął głową w stronę stojaka z kubkami.

— Chcesz herbaty?

Corbin wziął kubek i napełnił go, jakby zadowolony ze wskazówki. Wziął kawałek korzennego chleba.

— Ach. No tak. — Upił łyk herbaty. — Jak się ma Pei?

Ashby uniósł brwi zaskoczony osobistym pytaniem.

— Bardzo dobrze.

— Usłyszałem, że przyleci tu na jakiś czas.

— Tak.

Corbin skinął głową.

— To dobrze.

Upił większy łyk i skupił uwagę na chlebie.

Ashby przez chwilę przyglądał się algologowi, a potem przeniósł wzrok na kuchnię. Ohan ostrożnie skubnął zębami koniec korzenia kolcogrzbietu i z zaskoczenia wstrzymał oddech. Doktor Kucharz klepnął go po plecach i roześmiał się harmonią zadowolonych głosów.

Ashby się uśmiechnął. Pił herbatę i obserwował swoją załogę. To mu wystarczyło.

Rosemary wzięła hełm od Kizzy i włożyła go na głowę, wsuwając wypukłe krawędzie u jego podstawy do rowków w skafandrze. Włączył się układ podtrzymywania życia i jej twarz musnął z sykiem powiew suchego powietrza. Po drugiej stronie śluzy powietrznej podobnie ubrana Sissix pokręciła głową.

— Nadal nie mogę uwierzyć, że nigdy tego nie robiłaś — powiedziała.



Jej głos wydobywał się z małego voxu zainstalowanego w hełmie Rosemary.

— Jakoś nigdy się nie złożyło.

Sissix uśmiechnęła się.

— Jak z wieloma innymi rzeczami u ciebie.

— No tak, ale pracuję nad tym.

— Dobra — powiedziała Kizzy, podłączając coś z tyłu skafandra. — Pokaż mi panel stanu. — Rosemary uniosła lewą rękę, ukazując trzy zielone światełka. — Wszystkie uszczelki szczelne. Super. Czeka, one są wszystkie zielone, tak?

— Tak.

— Dobra, w porządku. Przepraszam, jestem jak na haju. — Obejrzała się na Sissix, która przewracała oczami. — No co? To mój dzień wolny!

— Nic nie mówiłam — rzekła Sissix.

— Możesz iść z nami — powiedziała Rosemary.

— Dzięki, ale w tych okolicznościach chyba bym po prostu zasnęła. — Kizzy chwilę się zastanawiała. — Dlaczego nigdy nie zdrzemnęłam się na zewnątrz? Poważnie, pomyślcie, jakie to by było odprężające.

— Jasne. Do chwili, kiedy przespałabyś alarm tlenowy — stwierdziła Sissix.

— Dobra, no tak, może jednak nie.

— Czeka, — W korytarzu rozniósł się echem odgłos kroków rękonoż i burczenia, a potem pojawił się Doktor Kucharz. Podszedł szybko do Rosemary i położył na jej dłoni dwie żółte tabletki. — Zapomniałaś.

— Och, na gwiazdy, racja. — Powiedziała Rosemary i zdjęła hełm. Włożyła tabletki do ust, rozgryzła je i się skrzywiła. — Smakują jak plex.

Kizzy zachichotała.

— Skąd wiesz, jak smakuje plex?

Rosemary wzruszyła ramionami.

— Kiedyś byłam dzieckiem. Nigdy nie lizałaś plexu?

Chichot zmienił się w śmiech.

— Nie! Faj! Nie!

— Cóż, bez względu na to, jak smakują, ważne jest to, że dzięki nim nie zwymiotujesz do hełmu — powiedział Doktor Kucharz. — A gdybyś z jakiegoś powodu jednak zwymiotowała, to nie wpadaj w panikę, tylko pamiętaj, żeby...

— Nie wkurzaj jej, Doktoru — powiedziała Kizzy, poklepując go po rękonoście.

— Ona ma chorobę kosmiczną!

— Nic jej nie będzie.

— Dobrze już, dobrze, chcę tylko, żeby miała z tego przyjemność. — Doktor Kucharz burczał i prychał, a Rosemary wkładała hełm. — Wiesz co? Dobrze wyglądasz w tym skafandrze.

— Tak? — powiedziała Rosemary, patrząc w dół na grubą czerwoną tkaninę.

— Tak, naprawdę ci pasuje — stwierdziła Kizzy.

Sissix dotknęła ramienia Rosemary.

— Gotowa?

Rosemary spojrzała na drzwi śluzy, zdenerwowana, podekscytowana.

— Chyba tak.

Sissix skinęła głową.

— Tycho, jesteśmy gotowe do wyjścia.

Włączył się vox na ścianie.

— Dobrze. Będę mieć oko na was obie. Jeśli oddalicie się za bardzo, dam sygnał.

— Dzięki. — Wprowadziła Rosemary do śluzy powietrznej i uśmiechnęła

się do pozostałych. — To na razie.

— Bawcie się dobrze! — powiedziała Kizzy i pomachała im ręką.

— Wróćcie na kolację — rzekł Doktor Kucharz.

Wewnętrzne drzwi zasunęły się. Rosemary spojrzała na Sissix. Serce mocno jej biło.

— No to już.

Kiedy zaczęło spadać ciśnienie, Sissix wzięła ją za rękę. Drzwi wjazdu się odsunęły. Ruszyły do przodu. Ich buty trzymały się sztugrawitacyjnej podłogi. Zatrzymały się z palcami u nóg przy krawędzi. Otwarty właz czekał.

— Ojej — powiedziała Rosemary, patrząc przed siebie.

— Trochę inaczej bez grodzi i okien, co? — Sissix uśmiechnęła się szeroko. — Zrób tak.

Wyciągnęła rękę poza kadłub.

Rosemary zrobiła to samo. Kiedy jej ręka wysunęła się poza skraj pola sztugrawitacyjnego, poczuła, jak zmienia się waga — ona zniknęła. Bywała w dzieciństwie w salach zabaw z zerowym ciężeniem, ale to było co innego. To było prawdziwe, domyślny stan wszechświata. Roześmiała się.

— Gotowa? — zapytała Sissix. — Jeden. Dwa. Trzy.

Wyszły i spadły w górę. Albo na dół. Albo na bok. Nie miało to znaczenia. Te słowa już nic nie znaczyły. Nie było granic, ścian sali zabaw. Jej ciało zostało uwolnione od ciężaru, którego nie była świadoma — masywnych kości, zbitych mięśni, nieporęcznej głowy. Znajdowały się w otwartej przestrzeni kosmicznej, tym razem naprawdę, jak na astronautki przystało. I wszędzie dookoła nich czerń, czerń, czerń pełna gwiazd jak klejnoty i kolorowych chmur. Dobrze znała ten widok, żyła obok niego, lecz w tej chwili oglądała go pierwszy raz. Wszystko się zmieniło.

— Och, na gwiazdy — powiedziała Rosemary i nagle zrozumiała to wyrażenie lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

— Chodź — rzekła Sissix.

Włączyły się silniczki na jej butach. Odleciały kawałek dalej.

Rosemary obejrzała się na „Wędrowca”. Widziała przez okna znajome pomieszczenia i korytarze, ale stąd wszystko było takie inne, jakby oglądała wideo albo zaglądała do domku dla lalek. Statek wydawał się taki mały, taki kruchy.

— Rosemary.

Odwróciła głowę.

Sissix uniosła ich złączone dłonie i uśmiechnęła się.

— Puść.

Wypuściła z uścisku zakrzywione palce Sissix. Oddaliły się od siebie, patrząc sobie w oczy. Rosemary odwróciła się od statku, od swojej towarzyszki i znalazła się twarzą w twarz z pustką. Była tam mgławica, eksplozja pyłu i światła, ogniste truchło pradawnego olbrzyma. Wśród gazowych fałd spały gromady nienarodzonych gwiazd lśniące łagodnym światłem. Rosemary zrobiła przegląd swojego ciała. Wyczuła oddech, krew, spajające je więzy. Wszystkie jego fragmenty aż do ostatniego atomu powstały właśnie tam, ciśnięte w przestrzeń w gwałtownym wybuchu, aż zaczęły wirować i wirować, łączyć się, nabierać ciężaru, obciążać się nawzajem. Ale tak było dawniej. Teraz te fragmenty unosiły się swobodnie. Wróciły do domu.

Znajdowała się dokładnie tam, gdzie miała się znajdować.

# 2 lipca 2015

## Podziękowania

Na początku 2012 roku pojawił się problem. Kiedy napisałam dwie trzecie pierwszego szkicu tej książki, skończyły się zlecenia, z których się utrzymywałam. Miałam dwumiesięczną przerwę między płatnymi występami i zaczęło się wydawać, że skończenie książki i utrzymanie dachu nad głową wzajemnie się wykluczają. Miałam dwie możliwości: odłożyć książkę na bok i wykorzystać ten czas na szukanie pracy albo znaleźć sposób na utrzymanie książki (i siebie). Wybrałam możliwość B i zwróciłam się do Kickstartera. Powiedziałam sobie, że jeśli moja kampania się nie powiedzie, to powinnam skupić swoje wysiłki gdzie indziej. Pięćdziesiąt trzy (w większości obce) osoby przekonały mnie, że bym nie odpuszczała. *Długa droga* istnieje dzięki ich hojności i wsparciu. Jestem za to bardziej wdzięczna, niż umiem wyrazić słowami.

Od tamtej pory książka ta powstawała dzięki wysiłkowi społecznemu. Wiele zawdzięczam mojej grupie beta-readerów, którzy poświęcili się swoich mózgow, żeby pomóc mi rozwikłać zagmatwane fragmenty. Bez ich spostrzeżeń, szczerości, a przede wszystkim ich czasu nie dotarłabym tak daleko.

Na szczególne podziękowania zasługuje mój przyjaciel Mike Grinti, nie tylko za bezcenną krytykę mojego drugiego szkicu i za to, że wysłuchiwał wszystkich moich wątpliwości, ale też za skontaktowanie mnie z Joem Montim, który uwierzył w moją książkę i od którego dużo się nauczyłam.

Chociaż zapewne nie uważa, że maczała w tym palce, składam serdeczne

podziękowania Susanie Polo, mojej redaktorce z portalu The Mary Sue. Nie tylko dała mi czas, którego potrzebowałam do skończenia ostatecznej redakcji rękopisu, ale również w 2011 roku zaproponowała mi stanowisko w TMS, co rozpoczęło reakcję łańcuchową, która skończyła się wydaniem tej książki. Poza tym jest jedyną poza mną osobą na świecie, której się podoba *Myst IV: Objawienie*.

Pozdrawiam Anne Perry, moją redaktorę w wydawnictwie Hodder & Stoughton, z którą praca jest radością. Nigdy nie sądziłam, że moja książka będzie miała drugi początek, lecz ona robiła, co w jej mocy, żebym poczuła się pewnie. Dziękuję jej za to, że cały czas trzymała mnie za rękę i natchnęła pewnością siebie, dzięki której wzięłam się do następnej książki.

Jeśli chodzi o sprawy osobiste, to jestem wdzięczna znajomym i rodzinie za... No, za wszystko. Jakimś cudem, mimo że w trakcie pracy nad książką zniknęłam z powierzchni planety, trwali przy mnie. Na dodatkowe uściski zasłużyli Chimp i Greg za bycie oddanymi podporami mojego zdrowia psychicznego, Cian za wytrwałe słuchanie i Matt za bycie moim pierwszym kumplem.

Proszę o wyrozumiałe potraktowanie pozornie oderwanej anegdoty: w 2010 roku znalazłam się w Sedonie z moją przyjaciółką Jessiką McKay, która postawiła mi wykwintną kolację oraz więcej niż kilka drinków. Być może mówiła pod wpływem margarity, lecz mój niepokój spowodowany zapłaceniem przez nią rachunku zbyła stwierdzeniem, że kiedy już wydam książkę, mam jej podziękować w druku. A więc uważaj, Jess: dziękuję ci za tacos, tequilę i wspańiałe towarzystwo. Jesteśmy kwita.

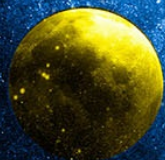
Nie mogę zakończyć podziękowania w książce SF, nie dziękując mamie i tacie, którzy napełnili mi głowę statkami kosmicznymi i którzy zawsze, zawsze mieli dla mnie czas. Mamie należą się dodatkowe podziękowania za to, że była moją konsultantką naukową i dodawała mi odwagi, kiedy

najbardziej jej potrzebowałam.

Wreszcie wyrazy miłości i wdzięczności przekazuję mojej żonie, Berglaug, która trzymała mnie za rękę, naszkicowała mój statek, przynosiła mi posiłki, zrobiła korektę rękopisu (dwa razy!) i zносиła zarwane noce oraz samoprzylepne karteczki. Czasami wierzyła w tę książkę bardziej ode mnie, a jej niezachwiane wsparcie dawało mi oparcie i nadzieję. Jeśli podobała się Wam *Daleka droga*, to powinniście przede wszystkim podziękować mojej żonie.

B e c k y C h a m b e r s

DALEKA  
DROGA  
DO MAŁEJ,  
GNIEWNEJ  
PLANETY



ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO